

Alexandra Adornetto

Blask

Przełożyła Beata Góralska-Glumna

*O! mów, mów dalej, uroczy aniele.
Bo ty mi w noc tę tak wspaniale.
Świecisz jak lotny goniec niebios rozwartemu.
Od podziwienia oku śmiertelników.
Które się wlepia w niego, aby patrzeć.
Jak on po ciężkich chmurach się przesuwa.
I po powietrznej żegluje przestrzeni.*

William Szekspir, *Romeo i Julia*, przeł. Józef Paszkowski, [w:] William Szekspir,
Tragedie, PIW Warszawa 1974.

*Aureoli twojej blaskiem
Do snu się otulać chcę
Beyonce, Aureola*

Frau Hale z wdzięcznością za nauczenie mnie tego, co naprawdę ważne

Zejsście

Nie obyło się bez drobnych komplikacji. Pamiętam, że gdy wylądowaliśmy, słońce dopiero zaczynało wschodzić, ponieważ na ulicach wciąż paliły się latarnie. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się uniknąć zbędnego zwracania na siebie uwagi - co miało wszelkie szanse powodzenia, gdyby nie pewien trzynastoletni rozwoziciel gazet, odbywający swą poranną rundę.

Jechał rowerem, trzymając przed sobą gazety zwinięte w ciasne rulony i upchnięte w foliowej torbie. W powietrzu unosiła się jeszcze mgła, więc miał na sobie bluzę z naciągniętym na głowę kapturem. Pochłonięty był osobliwą grą, polegającą na ocenianiu celności każdego rzutu. Gazety z cichym plaśnięciem lądowały jedna po drugiej na podjazdach i werandach, a chłopiec uśmiechał się do siebie z zadowoleniem, ilekroć udało mu się wcelować w upatrzone miejsce. W pewnej chwili za jedną z bram rozszczękał się mały jack russell terrier i chłopiec odruchowo podniósł wzrok.

Spojrzał w górę akurat w momencie, gdy snop białego światła zniknął w chmurach, pozostawiając na środku drogi troje przybyszów nie z tego świata. Pomimo iż otrzymaliśmy ludzkie ciała, coś w naszym wyglądzie wyraźnie go zaniepokoiło. Być może przyczyną była nasza świetlista, lśniąca księżycową poświatą skóra, być może zaś nasze białe szaty podróżne, całe w strzępach po burzliwym przejściu. Mogło też chodzić o bezradność, z jaką spoglądaliśmy na własne ręce i nogi - jakbyśmy nie mieli pojęcia, do czego właściwie służą - lub o parę, nadal unoszącą się z naszych włosów. Tak czy inaczej, chłopiec stracił równowagę, skreślił gwałtownie kierownicę i wpadł do rowu. Wygramoliwszy się zeń, stał przez kilka sekund jak zaczarowany, rozdarty między obawą a zaciekawieniem. Wszyscy troje wyciągnęliśmy do niego ręce w nadziei, że wykonujemy przyjazny, uspokajający gest. Niestety, żadne z nas nie pamiętało, by się przy tym uśmiechnąć. Co gorsza, zbyt późno zdaliśmy sobie z tego sprawę. Gdy w pośpiechu wykrzywialiśmy usta, starając się zrobić to jak należy, chłopiec obrócił się na pięcie i uciekł w popłochu. Nasza cielesność wciąż była dla nas czymś nowym, obcym - niczym skomplikowana maszyna, w której tak wiele różnych części musi działać równocześnie. Mięśniom mojej twarzy i ciała brakowało elastyczności, nogi drżały jak u dziecka stawiającego pierwsze kroki, oczy nie przywykły jeszcze do ziemskiego półmroku. Przybyliśmy z miejsca rozjarzonego światłem, miejsca, które nie zna cienia.

Rower leżał w rowie, przednie koło nadal się obracało. Gabriel podszedł, wyciągnął go i oparł o najbliższy płot. Wiedział, że chłopiec po niego wróci.

Nietrudno było odgadnąć dalszy ciąg tej historii: chłopiec wpada do domu jak burza i relacjonuje całe zdarzenie zaskoczonym rodzicom. Matka odgarnia mu włosy z czoła, sprawdzając, czy ma gorączkę. Zaspany ojciec dorzuca uwagę na temat wybujałej wyobraźni, nad którą trzeba nauczyć się panować.

Odnalazłszy Byron Street, wędrowaliśmy nierównym chodnikiem w poszukiwaniu numeru piętnastego. Nasze nieszczęsne zmysły z trudem nadążały za bombardującą je rzeczywistością. Tak dużo było tu kolorów, i to tak różnych! Ze świata najczystszej bieli zostaliśmy przeniesieni do miejsca, które mieni się barwami niczym paleta malarza impresjonisty. Jakby tego było mało, każda rzecz miała odmienny kształt i strukturę. Muskający czubki moich palców wiatr sprawiał wrażenie tak żywego, że zastanawiałam się, czy wyciągnąć rękę i spróbować go pochwycić. W otwartych ustach czułam rześkie, chłodne powietrze. Do nozdrzy wdzierał mi się zapach benzyny i przypalonych tostów, pomieszany z aromatem sosen i słoną wonią oceanu. Jednak największy problem stanowił hałas. Wydawało się, że wiatr zanosí się wyciem, a łoskot uderzających o skały fal odbija się w mojej głowie dudniącym echem. Docierał do mnie każdy dźwięk z ulicy - odgłos uruchamianego samochodu, trzaśnięcie kuchennych drzwi, płacz dziecka, skrzypienie starej, poruszanej przez wiatr ogrodowej huśtawki.

- Z czasem nauczysz się wyłączać - odezwał się Gabriel. Zaskoczył mnie. Tam, skąd przybyliśmy, komunikowaliśmy się bez słów. Tutaj okazało się, że w swojej ludzkiej postaci Gabriel ma niski, ciepły głos.

- Kiedy? - Przerażliwy krzyk przelatującej nad nami mewy sprawił, że gwałtownie zacisnęłam powieki. Mój własny głos brzmiał tak melodyjnie.

- Niedługo. Będzie łatwiej, gdy się temu poddasz.

Byron Street biegła przez wzgórze, wznosząc się stopniowo, by potem znów opaść, na samym zaś szczycie znajdował się nasz nowy dom. Ivy natychmiast wpadła w zachwyty.

- Spójrzcie tylko! - wykrzyknęła. - Ma nawet nazwę! Dom zawdzięczał ją ulicy, przy której stał. Na miedzianej tabliczce wygrawerowano eleganckim pismem napis „Byron”. Nieco później odkryliśmy, że pozostałe ulice w sąsiedztwie nazwano na cześć innych angielskich poetów romantycznych: Keats Grove, Coleridge Street, Blake Avenue. „Byron” miał nam zapewnić dach nad głową i jedyne schronienie podczas pobytu na ziemi. Zbudowany z piaskowca, porośnięty

bluszczem, z oknami po obu stronach centralnie umieszczonych drzwi, stał w głębi, z dala od ulicy, ukryty za płotem z kutego żelaza i dwuskrzydłową bramą. Uroku dodawała mu staromodna fasada w stylu georgiańskim. Do sfatygowanych frontowych drzwi prowadziła żwirowa ścieżka. W ogrodzie przed domem królował majestatyczny okazały wiąz, otoczony plataniną najrozmaitszych dzikich kwiatów. Przy płocie pyszniła się cała masa hortensji. Ich pastelowe główki drżały od porannego zimna. Spodobało mi się to miejsce - wyglądało, jakby stworzono je z myślą o tym, by wytrzymało wszelkie przeciwności losu.

- Bethany, podaj mi klucz - poprosił Gabriel.

Jedynym zadaniem, jakie mi powierzono, była opieka nad tym kluczem. Zaczęłam przetrząsać kieszenie.

- Musi gdzieś tu być - zapewniłam.

- Powiedz, proszę, że nie zdążyłaś go zgubić.

- Przypominam ci, że spadliśmy z nieba - odparłam urażona. - W takiej sytuacji nietrudno stracić orientację.

Ivy parsknęła śmiechem.

- Masz go na szyi.

Westchnęłam z ulgą, zdejmując z szyi łańcuszek i wręczając go Gabrielowi. Weszliśmy do holu i ujrzelśmy wewnątrz przygotowane na nasze przybycie. Przydzieleni do tego zadania błękitni posłańcy dopilnowali każdego detalu z niezwykłą skrupulatnością, nie szczędząc przy tym kosztów.

Dom dosłownie wypełniono światłem. Wysokie, jasne pomieszczenia zaaranżowano z myślą o zapewnieniu jak największej przestrzeni. Na lewo od głównego holu znajdował się pokój muzyczny, na prawo bawialnię. Idąc prosto, trafiało się do pracowni, przez którą można było przejść na wyłożone kostką podwórko. Tył domu stanowiła nowoczesna dobudówka. Ze zdominowanej przez marmur i stal nierdzewną ekskluzywnej kuchni wchodziło się do okazałego salonu z puszystymi dywanami, na których ustawiono wyściełane miękkimi poduchami sofy. Z każdej strony otwierało się wyjście na rozległy, wyłożony drewnem taras. Na piętrze mieściły się sypialnie i łazienka, a w niej jeszcze więcej marmuru i wpuszczona w podłogę wanna. Drewniane podłogi skrzypiały zachęcająco przy każdym kroku, sprawiając wrażenie, jakby dom witał nas w swoich progach. Zaczął padać lekki, ciepły deszcz. Dźwięk uderzających o dach kropli przypominał melodię wygrywaną palcami pianisty.

Pierwsze tygodnie upłynęły nam na oswojaniu się z otoczeniem. Rzadko wychodziliśmy z domu. Skupiliśmy się na rejestrowaniu doznań, czekając cierpliwie, aż nasze ciała przestaną być dla nas jedną wielką niewiadomą. Rzuciliśmy się w wir codziennych drobnych rytuałów. Tyle musieliśmy się jeszcze nauczyć! I wcale nie było to łatwe. Z początku zaskoczenie wywoływał nawet fakt, że pod stopami mamy stały grunt. Wiedzieliśmy, że wszystko na ziemi ulepione zostało z maleńkich cząsteczek materii, tworzących rozmaite elementy: powietrze, skały, drzewa, zwierzęta. Lecz doświadczanie tego osobiście było zupełnie inną sprawą. Otaczały nas najprzeróżniejsze fizyczne bariery. Należało wypracować metody omijania ich, starając się przy tym unikać wszechogarniającego uczucia klaustrofobii. Niemal za każdym razem, gdy brałam do ręki jakiś przedmiot, czekała mnie niespodzianka. Ludzkie życie codzienne okazało się niezwykle skomplikowane: istniały specjalne urządzenia do gotowania wody, dziwaczne gniazda w ścianach, służące do przesyłania prądu, a także rozmaite utensylia kuchenne oraz łazienkowe, zaprojektowane po to, by oszczędzać czas i zapewniać komfort. Każda rzecz miała inną strukturę, inny smak - istna kolejka górską dla zmysłów. Widziałam, że Ivy i Gabriel najchętniej wyłączyliby się całkowicie, uciekając w błogosławioną ciszę, ale ja rozkoszowałam się każdą chwilą, nawet jeśli czułam się tym wszystkim nieco przytłoczona.

Niekiedy wieczorami odwiedzał nas biało odziany, pozbawiony twarzy opiekun. Pojawiał się po prostu na jednym z foteli w salonie. Nigdy nie wyjawiono nam jego tożsamości, lecz wiedzieliśmy, że pełni funkcję łącznika pomiędzy przebywającymi na ziemi aniołami a niebem. Zaczynał zwykle od przeprowadzenia czegoś w rodzaju odprawy, w czasie której mogliśmy omówić wyzwania związane z egzystencją w ludzkim ciele, a także zadawać pytania.

- Właściciel domu prosił o dokumenty z miejsca, gdzie mieszkaliśmy poprzednio - oznajmiła Ivy podczas pierwszego spotkania.

- Przepraszamy za to przeoczenie. Proszę się tym więcej nie martwić - odparł opiekun. Jego twarz pozostawała niewidoczna, lecz gdy mówił, spod kaptura wydobywały się obłoczki pary.

- Ile czasu powinno upłynąć, zanim opanujemy nasze ciała? - chciał wiedzieć Gabriel. Tak naprawdę miał na myśli mnie.

- To zależy - odrzekł opiekun. - Nie powinno to zająć więcej niż kilka tygodni, chyba że będziecie się opierali.

- Jak radzą sobie pozostali emisariusze? - Ivy bardzo przejmowała się sytuacją.

- Część, tak jak wy, przystosowuje się do życia wśród ludzi, innych rzucono wprost na pole

walki. Niektóre zakątki ziemi aż roją się od wysłanników ciemności.

- Dlaczego od pasty do zębów boli mnie głowa? - To pytanie zadałam ja. Moje rodzeństwo rzuciło mi karcące spojrzenia, lecz opiekun wydawał się niewzruszony.

- Pasta do zębów zawiera związki chemiczne, których zadaniem jest zabijać bakterie - wyjaśnił. - Po około tygodniu bóle głowy powinny ustąpić.

Po zakończonych konsultacjach Gabriel i Ivy zawsze zostawali nieco dłużej, omawiając coś w cztery oczy, podczas gdy ja zastanawiałam się, co takiego mają do powiedzenia, czego nie mogłabym usłyszeć.

Jedno z największych wyzwań stanowiło opiekowanie się naszymi ciałami. Były takie delikatne. Należało o nie dbać, odżywiać je, chronić przed chłodem czy deszczem. Moje wymagało nawet więcej starań niż ciała mojego rodzeństwa, ponieważ byłam młoda, po raz pierwszy odwiedziłam ziemię i nie miałam, kiedy zdobyć choćby podstawowej odporności. Gabriel był wojownikiem od zarania dziejów, Ivy została pobłogosławiona darem leczenia. Ze mną sprawa wyglądała nieco inaczej. Gdy w pierwszych dniach wybrałam się na spacer, zmuszona byłam zawrócić, drżąc z zimna, nim zdałam sobie sprawę, że to wina źle dobranego stroju. Gabriel ani Ivy nie czuli zimna, lecz nawet ich ciała wymagały pewnych zabiegów. Przez dłuższy czas nie mogliśmy pojąć, dlaczego już koło południa czujemy się słabi i zmęczeni, zanim zrozumieliśmy, że musimy regularnie jadać posiłki. Przygotowywanie ich było tak nudnym zajęciem, że w końcu Gabriel litościwie zaproponował, że przejmie związane z tym obowiązki. Domowa biblioteczka zawierała pokaźną kolekcję książek kucharskich i odtąd często wieczorami można go było zastać pogrążonego w lekturze jednej z nich.

Kontakty z ludźmi ograniczaliśmy do minimum. Na zakupy jeździliśmy do sąsiedniego, większego miasteczka o nazwie Kingston, wybierając pory, w których sklepy były przeważnie puste. Nie otwieraliśmy drzwi ani nie odbieraliśmy telefonów. Na spacery wychodziliśmy wtedy, gdy ludzie byli zajęci w swoich domach. Od czasu do czasu wybieraliśmy się do centrum miasta, by usiąść w którymś z kawiarnianych ogródków i obserwować przechodniów. Udawaliśmy wówczas zajętych sobą, aby nie przyciągać niepotrzebnie uwagi. Jedyną osobą, przed którą się ujawniliśmy, był ojciec Mel, ksiądz w kościele pw. Świętego Marka - małym, mieszczącym się nad samym morzem kościółku z szarego piaskowca.

- Wielkie nieba - rzekł na nasz widok. - A więc nareszcie jesteście.

Lubiliśmy ojca Mela, ponieważ nie zadawał żadnych pytań ani niczego od nas nie żądał -

po prostu łączył się z nami w modlitwie. Mieliśmy nadzieję, że z czasem nasz subtelny wpływ na mieszkańców miasteczka ujawni się w tym, że zainteresują się własną duchowością. Nie liczyliśmy na to, że nagle zaczną przestrzegać skrupulatnie wszystkich przykazań i co niedziela pojawiać się na mszy, ale pragnęliśmy przywrócić im wiarę, nauczyć znów wierzyć w cuda. Nawet jeśli ich wizyty w kościele miałyby ograniczyć się do zapalenia świeczki w drodze do supermarketu, byłibyśmy szczęśliwi.

Venus Cove było sennym nadmorskim miasteczkiem, takim, w którym nigdy nic się nie dzieje. Podobał nam się ten spokój i często chodziliśmy na spacerówkę brzegiem morza, zwłaszcza w porze obiadowej, kiedy plaża niemal pustoszała. Któregoś wieczoru dotarliśmy aż na przystań, chcąc obejrzeć zacumowane tam łodzie. Pomalowane na wesołe kolory, wyglądały jak wycięte z pocztówki. Gdy dotarliśmy do końca pomostu, spostrzegliśmy siedzącego tam chłopca. Mógł mieć nie więcej niż siedemnaście lat, lecz już dało się w nim dostrzec mężczyznę, jakim pewnego dnia się stanie. Ubrany był w postrzępione, sięgające do kolan dzinsowe spodnie i biały podkoszulek. Opalone, umięśnione nogi zwiesił z pomostu. Łowił ryby - obok niego leżał gruby płócienny worek pełen przynęty i kilka różnych kołowrotek. Na jego widok stanęliśmy jak wryci, zamierzając natychmiast zawrócić, ale on zdążył nas zauważyć.

- Cześć - powiedział, uśmiechając się jakby ironicznie. - Ładny wieczór na spacer.

Mój brat i siostra skinęli tylko głowami, nie ruszając się z miejsca. Uznałam, że to niegrzecznie nie odwzajemnić tak miłego powitania, i wyszłam przed nich.

- Rzeczywiście - odparłam. Była to chyba pierwsza oznaka mojej słabości - ludzka ciekawość brała górę nad rozsądkiem. Mieliśmy za zadanie przebywać wśród ludzi, oddziaływać na nich, lecz nie zaprzyjaźniać się z nimi lub wprowadzać ich do naszego życia. Ja zaś właśnie zlekceważyłam jedną z podstawowych reguł tej misji. Wiedziałam, że powinnam zamilknąć i odejść, lecz zamiast tego wskazałam leżące obok chłopca akcesoria wędkarskie.

- Jak połów?

- Robię to dla zabawy. - Przechylił wiadro, by pokazać mi, że jest puste. - Jeśli nawet cokolwiek złowię, i tak wrzucam to do wody. Zrobiłam jeszcze jeden krok, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Miał jasnobrązowe włosy w ciepłym orzechowym kolorze. Opadały mu miękko na twarz, połyskując w zachodzącym słońcu. Jego oczy miały kształt migdałów i niesamowity, niemal turkusowy odcień błękitu. Ale to sposób, w jaki się uśmiechał, tak mnie zafascynował. A więc tak się to robi - pomyślałam - bez wysiłku, instynktownie i do głębi po ludzku. Patrząc na

niego, czułam zadziwiające, niemal magnetyczne przyciąganie. Ignorując ostrzegawcze spojrzenie Ivy, zrobiłam kolejny krok do przodu.

- Chcesz spróbować? - zapytał, wyczuwając moje zaciekawienie i wyciągając w moim kierunku wędkę, którą trzymał w ręku.

Podczas gdy ja starałam się sklecić jakąś sensowną odpowiedź, Gabriel uczynił to za mnie:

- Chodź już, proszę, Bethany. Musimy wracać. Zauważyłam, jak bardzo oficjalny ton Gabriela różnił się od sposobu mówienia chłopca. Słowa Gabriela brzmiały jak wyćwiczone kwestie, wypowiedane podczas sztuki odgrywanej w teatrze.

I tak się zapewne czułam. Kojarzył mi się z postacią z któregoś ze starych hollywoodzkich filmów, oglądanych przez nas w ramach przygotowań do pobytu tutaj.

- Może następnym razem - odparł chłopiec, wyczuwając napięcie w głosie Gabriela. Kiedy się uśmiechał, w kącikach jego oczu pojawiały się małe zmarszczki. Coś w wyrazie jego twarzy kazało mi podejrzewać, że doskonale się bawi. Odsunęłam się niechętnie.

- Jak mogłeś być tak nieuprzejmy? - powiedziałam do brata, gdy tylko odeszliśmy na tyle daleko, żeby nie było nas słychać. Sama siebie zaskoczyłam tym pytaniem. Od kiedy to anioły uważają powściągliwe zachowanie za coś niewłaściwego? Od kiedy zaczęłam uznawać rezerwę Gabriela za brak ogłady? Tak został stworzony - nie należy do ludzkiej rasy, nie rozumie jej. Mimo to ganiłam go za brak cech przynależnych ludziom.

- Musimy zachować ostrożność, Bethany - przemawiał do mnie jak do zbląkanego dziecka.

- Gabriel ma rację - dodała Ivy, jak zawsze lojalna wobec brata. - Nie jesteśmy jeszcze gotowi na kontakty z ludźmi.

- Ja chyba jestem - odparłam.

Odwróciłam się, by po raz ostatni spojrzeć na chłopca. Wciąż na nas patrzył i wciąż się uśmiechał.

W ludzkim ciele

O poranku zbudziło mnie słońce wpadające przez wysokie okna. Żłociste światło rozlewało się, tworząc plamy na sosnowych deskach podłogi. W jego promieniach drobinki kurzu wirowały w nieprzerwanym tańcu. Wdychałam napływający z powietrzem słony zapach morza. Słyszałam krzyki mew i wzburzone, spienione fale, rozbijające się o skały wybrzeża. Otaczały mnie znajome przedmioty - nauczyłam się nazywać ten pokój swoim. Ktokolwiek był odpowiedzialny za urządzenie go, musiał wiedzieć to i owo na temat jego przyszłej właścicielki. Nie brakowało mu dziewczęcego uroku, głównie za sprawą śnieżnobiałych mebli, żelaznego łóżka z baldachimem i tapety w różyczki. Szuflady toaletki zdobił wesoły kwiatowy wzorek, w kącie stał wiklinowy bujany fotel. Przy ścianie obok łóżka umieszczono zgrabne biurczko na rzeźbionych nóżkach.

Przeciągnęłam się, czując na skórze każdą fałdkę prześcieradła, każde zagniecenie pościeli - nadal nie przyzwyczaiałam się do jej dotyku. W miejscu, z którego przybyliśmy, nie było żadnych przedmiotów. Nie potrzebowaliśmy do życia nic o fizycznej strukturze, więc nic takiego się tam nie znajdowało.

Niełatwo opisać niebo. Niektórym ludziom zdarza się czasem ujrzeć w przelocie jego skrawek, ukryty w najgłębszych zakamarkach ich podświadomości - zastanawiają się później, co też takiego to mogło być. Spróbujcie wyobrazić sobie bezkresną przestrzeń wypełnioną bielą, niewidzialne miasto, w którym, jak okiem sięgnąć, nie widać niczego materialnego - a mimo to jego piękno nie ma sobie równych. Niebo jak z płynnego złota, skrzące się różowym kryształem; uczucie lekkości, zwiewności, pozorna pustka, mająca w sobie więcej przepychu niż najwspanialszy ziemski pałac. Lepiej nie zdołam opisać czegoś tak niewysłowionego, jak miejsce, w którym do niedawna mieszkałam. Ludzki język mnie nie zachwyił - wydaje się wręcz absurdalnie ograniczony. Tak wielu rzeczy nie sposób wyrazić słowami. To chyba w ludziach najsmutniejsze - ich najważniejsze myśli i uczucia często umykają niewypowiedziane i mało kto umie właściwie je odczytać.

Jednym z najbardziej niezrozumiałych dla mnie ludzkich określeń było słowo „miłość”. Tak wiele znaczeń związanych z tym jednym słówkiem! Wszyscy szafowali nim beztrósco,

opisując za jego pomocą swoje przywiązanie do ulubionych rzeczy, zwierząt, miejsc czy potraw, po czym w następnym zdaniu potrafili użyć go w odniesieniu do najważniejszej dla siebie osoby. Czy to właściwe? Czy dla wyrażania najgłębszych emocji nie powinno istnieć inne, osobne pojęcie? Ludzie wydawali się bardzo zaabsorbowani miłością. Każdy marzył o tym, by stworzyć uczuciową więź z kimś, kogo będzie mógł nazywać swoją „drugą połówką”. Z tego, co czytałam na ten temat, wynikało, że bycie zakochanym oznacza jedno: zastąpienie obiektowi swoich uczuć całego świata. Reszta mogłaby dla kochanków nie istnieć. Rozdzieleni wpadali w melancholię, połączeni na nowo - zaczynali żyć. Tylko będąc razem, byli w stanie dostrzegać barwy otaczającej ich rzeczywistości. W oddaleniu od siebie tracili je z oczu, aż wszystko zaczynało zlewać się w wyblakłą szarość.

Leżałam w łóżku, rozmyślając o sile tego rodzaju uniesień, tak irracjonalnych i jednocześnie tak niezaprzeczalnie ludzkich. Jak to jest, gdy czyjaś twarz staje nam się tak droga, że już zawsze trwa wryta w naszej pamięci? Jakie to uczucie, cenić czyjś zapach lub dotyk wyżej niż własne życie? Oczywiście nie wiedziałam nic o ludzkiej miłości, lecz samo pojęcie zawsze mnie intrygowało. Istoty niebieskie nigdy nie starały się zrozumieć intensywności łączących ludzi związków, dla mnie jednak było coś fascynującego w łatwości, z jaką pozwalali oni innym bez reszty opanowywać swoje serca i umysły. Ileż ironii zawierało się w sposobie, w jaki miłość z jednej strony otwierała im oczy na wspaniałość tego świata, a z drugiej ograniczała całą ich uwagę do siebie nawzajem.

Dochodzące z dołu odgłosy krzątającego się w kuchni rodzeństwa przerwały moje rozmyślenia i wyciągnęły mnie z łóżka. Zresztą, jakież znaczenie mogą mieć podobne dywagacje, skoro zakochanie to stan dla aniołów nieosiągalny?

Otuliwszy się szczelnie ciepłą kaszmirową chustą, podreptałam boso na dół. W kuchni powitała mnie apetyczna woń gorących tostów i kawy. Z przyjemnością zwróciłam uwagę na fakt, że zaczynam się powoli adaptować - jeszcze kilka tygodni temu tego rodzaju zapachy mogłyby wywołać ból głowy lub falę mdłości. Tego dnia jednak były przede wszystkim zachęcające. Pod stopami czułam miłą, gładką fakturę drewna. Nawet gdy, wciąż jeszcze na wpół śpiąca, stanęłam tak niezdarnie, że zahaczyłam o lodówkę, uderzając się w duży palec, nie straciłam dobrego humoru. Przeszywający ból przypomniał mi tylko, że żyję, oddycham i czuję.

- Dobry wieczór, Bethany - zażartował mój brat, wręczając mi kubek gorącej herbaty. Przed odstawieniem na stół przytrzymałam go w dłoniach odrobinę za długo i poparzyłam sobie

palce. Gabriel zauważył, że drgnęłam z bólu, i ledwo dostrzegalnie ściągnął brwi. Znowu zapomniałam, że - w odróżnieniu od mojego rodzeństwa - nie jestem odporna na tego typu doznania.

Moja fizyczna forma była tak samo podatna na zranienia, jak ludzkie ciało, chociaż mogłam samodzielnie zaleczyć drobne obrażenia, takie jak rozcięcie czy złamana kość. Był to jeden z głównych powodów, dla których Gabriel miał wątpliwości odnośnie do mojego wyboru. Uważał, że jestem niemal bezbronna, przez co jego zdaniem cała misja mogła okazać się dla mnie zbyt niebezpieczna. Zostałam do niej wybrana ze względu na to, że lepiej niż inne anioły potrafiłam wczuć się w ludzką naturę - opiekowałam się ludźmi, współczułam im, próbowałam ich zrozumieć. Wierzyłam w nich i płakałam nad ich losem. Być może działo się tak dlatego, że byłam jeszcze bardzo młoda. Stworzono mnie zaledwie siedemnaście ziemskich lat wcześniej, co liczone w latach niebieskich równało się niemowlęctwu. Zarówno Gabriel, jak i Ivy istnieli od stuleci. Walczyli w niejednej bitwie i widzieli ludzkie okrucieństwo przekraczające granice mojej wyobraźni. Mieli całą wieczność na zdobycie siły i wytrzymałości potrzebnych do zapewnienia sobie ochrony. Oboje odwiedzali ziemię przy okazji rozlicznych misji, zdążyli się więc przystosować do panujących tu warunków. Zdawali sobie sprawę z tutejszych zagrożeń i pułapek. Ja zaś byłam aniołem w najczystszej, najbardziej wrażliwej postaci - naiwna, ufna, delikatna i krucha. Odczuwałam ból, ponieważ nie chroniły mnie przed nim lata mądrości i doświadczenia. Z tej właśnie przyczyny Gabriel wolałby, żeby mnie nie wybrano, i ta sama przyczyna stanowiła powód, dla którego wybrana zostałam właśnie ja.

Ale ostateczna decyzja nie należała do niego. Należała do kogoś zupełnie innego, kogoś tak potężnego, że nawet Gabriel nie śmiał mu się sprzeciwić. Zmuszony był pogodzić się z faktem, że za moim wyborem stała racja, której nawet on nie był zdolny pojąć.

Upiłam na próbę łyżeczek herbaty i uśmiechnęłam się do brata. Rozchmurzył się, sięgając po pudełko płatków i studiując wnikliwie etykietę.

- Co wolisz: tost czy coś pod nazwą „zbożowe kółeczka z miodem”?

- Poproszę tost - odpowiedziałam, krzywiąc się na płatki. Ivy siedziała za stołem, smarując swoją kromkę masłem.

Próbowała rozwinąć w sobie upodobanie do jedzenia. Obserwowałam, jak kroi chleb na równiutkie kwadraciki, miesza je na talerzu, a następnie układa niczym puzzle. Podeszłam i usiadłam obok, wdychając upojny zapach frezji, który zawsze jej towarzyszył.

- Blado wyglądasz - zauważyła ze zwykłym dla niej spokojem, odgarniając wpadający do oczu kosmyk jasnoblond włosów. Ivy od jakiegoś czasu upierała się, by matkować naszej małej rodzinie.

- To nic takiego - odparłam od niechcenia, po czym po chwili wahania dodałam: - Po prostu miałam zły sen. Wymienili zatroskane spojrzenia. Widziałam, że oboje przejęli się tą informacją.

- Nie powiedziałaabym, że to nic takiego - rzekła Ivy.

- Wiesz dobrze, że my nie miewamy snów.

Gabriel odwrócił się od okna i podszedł, by spojrzeć na mnie z bliska. Końcem palca uniósł mi podbródek. Na jego czole znów rysowały się zmarszczki, zaburzając nieskazitelną symetrię pięknej twarzy.

- Bądź ostrożna, Bethany - przestrzegł dobrze mi już znanym tonem starszego brata. - Staraj się nie przywiązywać zanedo do doświadczeń fizycznych. Choć mogą ci się wydać ekscytujące, pamiętaj, że jesteśmy tu tylko gośćmi. Wszystko to jest tymczasowe i prędzej czy później będziemy musieli wrócić...

- Urwał, widząc rozpacz malującą się na mojej twarzy. Kiedy podjął myśl, starał się mówić weselszym głosem: - Zresztą, zostało jeszcze mnóstwo czasu, zanim to nastąpi. Możemy wrócić do tej rozmowy kiedy indziej.

Towarzystwo Ivy i Gabriela bywa pod pewnymi względami dość specyficzne. Gdziekolwiek się pojawialiśmy, prawie wszyscy się za nimi oglądali. Gabriel w swoim ziemskim wcieleniu bardziej niż cokolwiek innego przypomina antyczną rzeźbę. Jego ciało ma idealne proporcje, a każdy mięsień wygląda, jakby został wykuty w marmurze. Długie do ramion włosy w jasnym piaskowym kolorze nosi najczęściej związane z tyłu w luźny kucyk. Ma wspaniale sklepione czoło i idealnie prosi y nos. Wyblakłe, poprzecierane na kolanach dzinsy i wymięta lniana koszula dodawały mu swoistego, nonszalanckiego uroku. Gabriel jest archaniołem, jednym z siedmiu świętych. Zaledwie drudzy od góry w anielskiej hierarchii, mają zarazem najwięcej do czynienia z ludźmi. Pełnią funkcję łączników między Bogiem a śmiertelnikami - po to zostali stworzeni, jednak dusza Gabriela jest przede wszystkim duszą wojownika. Jego niebieskie imię znaczy „Boży Bohater” - to on patrzył, jak płonie Sodom i Gomora.

Ivy z kolei, choć należy do najstarszych i najmądrzejszych przedstawicieli naszej rasy, nie wygląda na więcej niż dwadzieścia lat. Jest serafinem, więc według naszej klasyfikacji znajduje

się najbliżej Boga. W Królestwie Niebieskim serafiny mają po sześć skrzydeł, symbolizujących sześć dni tworzenia świata. Na nadgarstku Ivy widnieje wytatuowany złoty wąż - znak jej miejsca w hierarchii. Wedle legend, podczas bitwy serafiny szły w pierwszym szeregu, zionąc ogniem - lecz ja nie spotkałam nigdy łagodniejszego stworzenia niż ona. W swej ziemskiej postaci wygląda jak renesansowa Madonna z łabędzią szyją i bladą owalną twarzą. Jej oczy, podobnie jak oczy

Gabriela, mają barwę nieba podczas deszczu. Tego ranka ubrana była w białą zwiewną sukienkę i złote sandały.

Ja jedna z naszej trójki nie wyróżniałam się niczym nadzwyczajnym. Ot, pospolity anioł w okresie przejściowym, nic specjalnego.

Najniższy możliwy szczebel. Nie przeszkadzało mi to - mogłam dzięki temu nawiązywać kontakt z duszami, które przekraczają progi

Królestwa Niebieskiego. Mój wygląd zewnętrzny cechuje taka sama eteryczność, jak w przypadku mojego rodzeństwa. Tyle że ja mam ciemne oczy i czekolado-wobrązowe falujące włosy, długie do pasa. Gdy dowiedziałam się, że zostanę oddelegowana na ziemię, sądziłam, iż będę mogła sama zdecydować o tym, jaką powierzchowność przybrać, lecz odbywało się to na zupełnie innych zasadach. Stworzono mnie drobną, delikatną i raczej niewysoką. Otrzymałam buzię w kształcie serca, małe, lekko spiczaste uszy i mlecznobiałą skórę. Ilekroć zdarzyło mi się uchwycić przypadkiem swoje odbicie w lustrze, widziałam gorliwość, której próżno było szukać na twarzach Ivy i Gabriela. Nawet gdybym chciała, nie byłabym w stanie prezentować się tak dystyngowanie, jak oni. Pełen powagi i opanowania wyraz twarzy obojga rzadko się zmieniał, bez względu na dramatyzm sytuacji. Na mojej zaś nieustannie malowało się zaciekawienie, niezależnie od tego, jak bardzo próbowałam przydać jej nieco stateczności.

Ivy wstała i zaniósła swój talerz do zlewu. Jak zawsze wyglądało to tak, jakby tańczyła, zamiast iść. Oboje poruszali się z niewymuszonym wdziękiem, który daremnie starałam się naśladować. Co najmniej kilka razy usłyszałam, że tupię stanowczo zbyt głośno, a do tego mam dziurawe ręce.

Pozbywszy się resztek niedojedzonego tosta, Ivy rozciągnęła się wygodnie na wyścielonym poduszkami parapecie i otworzyła gazetę.

- Co nowego? - zapytałam.

W odpowiedzi uniosła pierwszą stronę, abym mogła zobaczyć. Odczytałam nagłówki:

zamachy bombowe, kataklizmy, kryzys ekonomiczny... Byłam zdruzgotana.

- Nic dziwnego, że ludzie nie czują się bezpieczni - westchnęła Ivy. - Zupełnie zatracili wiarę w siebie nawzajem.

- Czy istnieje w takim razie cokolwiek, co moglibyśmy dla nich zrobić? - spytałam niepewnie.

- Nie spodziewajmy się na początku zbyt wiele - odparł Gabriel. - Zmiany wymagają czasu.

- Poza tym nie mamy zajmować się zbawianiem całego świata - dodała Ivy. - Musimy skupić się na odcinku, który nam przydzielono.

- Masz na myśli to miasteczko?

- Oczywiście. - Ivy skinęła głową. - Figuruje na liście wytypowanych przez siły ciemności. Dziwne sobie miejsca wybierają.

- Pewnie zaczynają od mniejszych miasteczek, by później pięć się powoli w górę - powiedział Gabriel z obrzydzeniem. Skoro uda im się opanować małe miasto, mogą spróbować podbić większe, potem stan i wreszcie cały kraj.

- Po czym poznamy, jak wiele szkód zdążyli już wyrządzić? - zapytałam.

- To się wkrótce okaże - odparł Gabriel. - Lecz nie spoczniemy, dopóki nie położymy kresu ich niszczycielskim zapędom. Nie zakończymy naszej misji, dopóki to miejsce znowu nie znajdzie się w rękach Pana.

- A tymczasem spróbujmy może wtopić się w tło. - Ivy starała się zapewne poprawić trochę ogólny nastrój.

Miałam ochotę roześmiać się w głos i zaproponować, by spojrzęła w lustro. Jak na kogoś, kto pamięta czasy jeszcze przed powstaniem ziemi, Ivy potrafi niekiedy sprawiać wrażenie dość naiwnej. Nawet ja wiedziałam, że wtapianie się w jakiegokolwiek tło będzie w naszym przypadku nie lada wyzwaniem.

Każdy mógł dostrzec, jak bardzo się wyróżniamy - i to bynajmniej nie z powodu ekstrawaganckiego ubioru. My naprawdę byliśmy inni - po prostu nie z tego świata. Nie było w tym zresztą niczego szczególnie dziwnego, zważywszy na to, jako kto - albo raczej co - zostaliśmy stworzeni. Rzucaliśmy się w oczy z kilku powodów: ludzkie ciała charakteryzuje brak doskonałości, a my mieliśmy jej w nadmiarze. Nie sposób było nie zwrócić uwagi na naszą skórę, zwłaszcza w tłumie. Była tak przejrzysta, że wyglądała, jakby zawierała w sobie drobinki światła. Stawało się to jeszcze bardziej widoczne po zmroku, kiedy wydawało się, że każdy jej

odkryty skrawek jarzy się własną wewnętrzną energią; nie zostawialiśmy śladów stóp, nawet stąpając po czymś tak miękkim jak piasek. No i żadne z nas nie odważyłoby się wyjść z domu w zbyt krótkiej koszulce - pewien drobiazg, jaki należało ukryć, wymagał stroju, który dużo zakrywa.

Podczas gdy my staraliśmy się przystosować do życia w miasteczku, jego mieszkańcy zachodzili w głowę, co też możemy robić w takiej sennej prowincjonalnej miejscowości jak Yenus Cove. Niektórzy sądzili, że jesteśmy wczasowiczami na przedłużonym urlopie.

Inni brali nas za znane im z telewizji postacie i wypytywali o seriale lub programy, o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia. Nikt nie przypuszczał, że mamy tu do wykonania zadanie, że przybyliśmy z misją pomocy światu stojącemu w obliczu zagłady. Wystarczyło otworzyć gazetę lub włączyć telewizor, by zrozumieć, dlaczego zostaliśmy przysłani: morderstwa, porwania, ataki terrorystyczne, wojny, napaści... lista ciągnęła się bez końca. Tak wiele dusz było zagrożonych, że wysłannicy ciemności postanowili wykorzystać okazję i zebrać obfite żniwo. Gabriel, Ivy i ja znaleźliśmy się tu po to, by zniwelować ich wpływ. W rozmaitych miejscach na całym ziemskim globie działali inni posłańcy dobra i pewnego dnia wszyscy mieliśmy zostać wezwani z powrotem, by zdać relację. Miałam pełną świadomość powagi sytuacji, lecz byłam przekonana, że porażka nie wchodzi w grę. Nawet więcej - spodziewałam się, że sama nasza obecność okaże się lekiem na całe zło. Czas miał pokazać, jak bardzo się myliłam.

Mieliśmy dużo szczęścia, trafiając akurat do Venus Cove. Było to miejsce przepiękne i pełne kontrastów. Część wybrzeża stanowiły dzikie, smagane wiatrem klify - z okien naszego domu widać było, jak górują nad ciemną, niespokojną powierzchnią oceanu. Nocami wichur zanosił się przeciągłym wyciem wśród drzew. Wystarczyło jednak pójść odrobinę dalej w głąb lądu, by natknąć się na sielankowe obrazki: falujące wzgórza, krowy pasące się na zielonych łąkach i kolorowe wiatraki.

Na zabudowę miasteczka składały się przede wszystkim skromne, obłożone białym sidingiem domki, lecz bliżej morza biegło kilka wysadzanych drzewami ulic, przy których stały nieco większe i bardziej okazałe budynki. Nasz „Byron” do takich właśnie należał. Gabriel nie był szczególnie zachwycony tym faktem - jego surowa natura nie znosiła nadmiernych wygód, uważał je za zbyt liczny luksus. Z pewnością lepiej by się czuł w czymś mniej wyszukany, lecz Ivy i ja byliśmy zachwycone. A skoro sam

Najwyższy nie widział niczego zdrożnego w tym, że spędzamy nasz czas tutaj w przyjemnych wai mikach, dlaczego my miałybyśmy się tym martwić? Nie przeszło mi przez myśl, że taki dom niespecjalnie sprzyja „wtapianiu się w tło”, ale się nie odezwałam. Czułam, że nawet bez narzekania jestem dla Ivy i Gabriela ciężarem.

Venus Cove liczy około trzech tysięcy mieszkańców, lecz podczas wakacji ta liczba się podwaja, a miasteczko zamienia się w tętniący życiem kurort. Niezależnie jednak od pory roku turyści zachowują się otwarcie i przyjaźnie. Lubię atmosferę tego miejsca: nie ma tu ludzi w garniturach, pędzących do ważnych zajęć na wysokich stanowiskach, nikt nigdzie się nie spieszy. Bar przy plaży cieszy się takim samym powodzeniem, jak ekskluzywne restauracje - nikomu nawet do głowy nie przychodzi, by zastanawiać się nad tym, gdzie umówić się na kolację. Takie rzeczy w ogóle nie mają tu znaczenia.

- Zgadzasz się z tym, Bethany? - Do rzeczywistości przywołał mnie głęboki tembr głosu Gabriela. Próbowałam przypomnieć sobie, o czym była mowa, lecz w głowie miałam pustkę.

- Przepraszam - powiedziała ze skrucą - trochę się zamyśliłam. Co mówiłeś?

- Staralem się omówić pewne podstawowe zasady. Od dziś wszystko się zmieni.

Przyglądał mi się spod ściągniętych brwi, odrobinę zirytowany moim brakiem uwagi. Nasza dwójka miała tego ranka rozpocząć zajęcia w zespole szkół imienia Bryce'a Hamiltona - ja w charakterze uczennicy, Gabriel jako nowy nauczyciel muzyki. Uznano, że szkoła będzie doskonałym miejscem na rozpoczęcie naszej działalności. Liczba uczęszczających tam młodych ludzi, których wartości wciąż ewoluowały, dobrze wróżyła naszej misji przeciwstawiania się siłom ciemności. Ivy ze swoją uduchowioną naturą nie bardzo nadawała się do liceum, zgodziliśmy się zatem, że będzie się nami opiekowała, a także dbała o nasze - lub raczej moje - bezpieczeństwo. Gabriel doskonale potrafił sam się o siebie zatroszczyć.

- Najważniejsze to nie stracić z oczu powodów, dla których nas tu przysłano - rzekła Ivy. - Otrzymaliśmy klarowne wytyczne: mamy czynić dobro i własnym szlachetnym postępowaniem dawać przykład innym. Nie chcemy na razie żadnych cudów, dopóki nie jesteśmy w stanie przewidzieć reakcji na nie. Powinniśmy jednocześnie obserwować ludzi i dowiadywać się o nich jak najwięcej. Ich kultura jest niezwykle złożona i w całym wszechświecie nie ma podobnej.

Podjeżdżałam, że zasady te zostały sformułowane głównie na mój użytek. Gabriel umiał

dać sobie radę w każdej sytuacji.

- Będzie świetna zabawa - ucieszyłam się, być może ciut za bardzo otwarcie.

- Tu nie chodzi o zabawę - zgromił mnie Gabriel. - Czy ty w ogóle słuchasz, o czym tu się rozmawia?

- Zasadniczo chodzi o to, żeby odpędzić złe wpływy i przywrócić ludziom wiarę w siebie nawzajem - wtrąciła Ivy ugodowo. - Nie martw się o Bethany, Gabe. Poradzi sobie.

- Innymi słowy jesteśmy tu po to, by roztoczyć opiekę nad tą społecznością - kontynuował mój brat. - Nie wolno nam jednak za bardzo rzucać się w oczy. Musimy zadbać przede wszystkim o to, aby nikt nie odkrył prawdy o nas. Bethany, spróbuj, proszę, powstrzymać się od mówienia rzeczy, które mogłyby... zaniepokoić uczniów.

Tym razem to ja poczułam się dotknięta.

- Niby jakich rzeczy? Aż taka jestem przerażająca? - Wiesz, o co chodzi Gabrielowi - rzekła Ivy. - Miał na myśli tylko to, żebyś zastanowiła się, zanim coś powiesz. Żadnych osobistych szczegółów, żadnych uwag w rodzaju: „Bóg uważa” albo „Bóg mi powiedział”. Mogliby dojść od wniosku, że coś z tobą nie tak.

- No dobrze - prychnęłam z urazą. - Ale polatać po korytarzach podczas przerwy obiadowej to chyba będzie mi wolno?

Gabriel posłał mi srogie spojrzenie. Czekałam, aż zrozumie mój żart, lecz jego oczy nadal były poważne. Westchnęłam. Mimo że bardzo go kocham, czasem wolałabym, aby wykazał się nieco większym poczuciem humoru.

- Spokojnie. Będę grzeczna, obiecuję.

Bardzo wiele zależy od tego, jak skutecznie będziemy się pilnowali - powiedziała Ivy.

Znowu westchnęłam. Doskonale wiedziałam, że kwestia „pilnowania się” dotyczy tylko mnie. Ivy i Gabriel dysponowali w tej kwestii wystarczającą ilością doświadczenia, by stało się to ich drugą naturą. Wszystkie zasady znali na pamięć. Jakie miałam przy nich szanse? W dodatku ich osobowości były znacznie stabilniejsze od mojej. Pasowałyby do nich przydomki „Król i Królowa Lodu”. Nic ich nigdy nie peszyło, nic ich nie niepokoiło i - co najważniejsze - nic nie było w stanie wyprowadzić ich z równowagi. Byli jak para doświadczonych aktorów, którzy już dawno do perfekcji opanowali swoje kwestie. Ze mną nie wyglądało to tak różowo: od samego początku ciężko mi szło. Z jakiegoś powodu przyjęcie ludzkiej postaci było dla mnie szokiem. W ogóle nie byłam przygotowana na intensywność, jaka towarzyszy temu

doświadczeniu. Z oceanu błogiej nicości trafiłam wprost na rozpędzoną karuzelę wrażeń. Co gorsza, wszystkie te doznania potrafiły się przeplatać, zmieniać jak w kalejdoskopie, wprowadzając nieopisany chaos. Zdawałam sobie sprawę, że powinnam nabrać dystansu do wszelkich emocji, lecz niestety, nie miałam pojęcia, jak tego dokonać. Zdumiewało mnie, że przeciętny człowiek potrafi poradzić sobie z tym nieustannym zgiełkiem, nieustanną gorączką pulsującą pod skórą - a to jest przecież tak niewiarygodnie wyczerpujące. Starłam się nie dać nic po sobie poznać, zwłaszcza Gabrielowi - bałam się, że mogłoby to obniżyć moją ocenę w jego oczach, dowieść słuszności jego obaw. Jeśli którekolwiek z nich kiedykolwiek musiało stawić czoło podobnym trudnościom, oboje po mistrzowsku to ukrywali.

Ivy stwierdziła, że czas przygotować dla mnie mundurek i poszukać dla Gabriela czystej koszuli oraz spodni. Jako członek ciała pedagogicznego, Gabriel powinien był pojawiać się w pracy w koszuli i pod krawatem, co średnio mu się spodobało. Na jego strój składały się na ogół luźne dzinsy i powyciągane swetry, w bardziej dopasowanych ubraniach czuł się jak więzień. Odzież jako taka wywoływała w nas osobliwe poczucie ograniczenia, więc pełnym współczucia wzrokiem przyglądałam się, jak biedny Gabriel schodzi po schodach, dusząc się w białej, wykrochmalonej, opiętej koszuli. Szarpał przy tym węzeł krawata tak długo, aż udało mu się go poluzować.

Konieczność ubierania się nie była zresztą jedynym problemem. Zmuszeni byliśmy opanować także rozmaite rytuały związane z higieną, takie jak kąpiel, mycie zębów czy rozczesywanie włosów. W Królestwie Niebieskim nigdy nie musieliśmy się zastanawiać nad podobnymi rzeczami - egzystencja tam nie wymagała żadnych zabiegów. Życie w ludzkim ciele oznaczało potrzebę pamiętania o mnóstwie przedziwnych drobiazgów.

- Jesteś pewna, że właśnie tak ubierają się nauczyciele? - dopytywał się Gabriel.

- Tak mi się wydaje - odparła Ivy. - Ale nawet jeśli nie mam racji, naprawdę chcesz ryzykować już pierwszego dnia?

- Dlaczego nie mogę iść w tym, co miałem na sobie? - marudził Gabriel, podwijając rękawy koszuli w nadziei, że uda mu się uwolnić chociaż ręce. - Było mi przynajmniej wygodnie.

Ivy cmoknęła ze zniecierpliwieniem i zajęła się mną. Należało sprawdzić, czy zdołałam prawidłowo włożyć szkolny mundurek.

Musiałam przyznać, że jak na tego rodzaju odzież, prezentował się nie najgorzej. Sukienka została uszyta z ładnego bładoniebieskiego materiału. Miała plisowany przód i biały, okrągły

kołnierzyk. Do tego bawełniane podkolanówki, brązowe, zapinane na klamerki buciki i granatowy zakiet z logo szkoły wyhaftowanym złotą nicią na górnej kieszonce. Ivy kupiła też dla mnie jasnobłękitno-białe wstążki, które teraz zręcznie wplotła mi we włosy.

- Gotowe - oznajmiła, uśmiechając się z satysfakcją. - Transformacja z ambasadora niebios w uczennicę miejscowej szkoły zakończona.

Wolałam, żeby nie używała w odniesieniu do mnie słowa „ambasador” - speszyło mnie to. Termin ten niósł wiele oczekiwań, a nie były to bynajmniej oczekiwania z rodzaju tych, jakie ludzie zazwyczaj miewają w odniesieniu do swoich dzieci. Nie chodziło o utrzymywanie czystości w pokoju, opiekowanie się rodzeństwem czy odrabianie lekcji. Te oczekiwania in n siały zostać spełnione, ponieważ w przeciwnym razie... Cóż, nie chciałam nawet myśleć, co by się mogło stać w przeciwnym razie. Nogi miałam jak z waty i czułam, że jeszcze chwila, a się przewrócę.

- Nie jestem pewna, czy dam sobie radę - wyjąkałam, zdając sobie sprawę, jak to zabrzmiało. Jakbym była rozkapryszonym dzieckiem. - Chyba nie jestem jeszcze gotowa.

- Decyzja w tej sprawie nie należy do nas - przypomniał Gabriel, ani na chwilę nie tracąc zimnej krwi. - Cel naszego istnienia jest jeden: wypełniać zobowiązania wobec naszego Stwórcy.

- I nadal chcę to robić, ale tu chodzi o l i c e u m. Co innego obserwować życie z boku, a co innego znaleźć się w centrum wydarzeń!

- W tym cała rzecz - odpowiedział Gabriel. - Nie da się niczego zmienić, stojąc z boku.

- A jeśli coś pójdzie nie tak?

- Będę tam, aby to naprawić.

- Sęk w tym, że ten świat wydaje się pełen niebezpieczeństw, a już szczególnie dla nas.

- Dlatego tu jestem.

Nie chodziło mi wyłącznie o zagrożenia fizyczne. Z tymi każde z nas z łatwością dałoby sobie radę. Najbardziej martwiły mnie czyhające wszędzie pokusy ziemskiego życia. Nie miałam stuprocentowej pewności, czy zdołam im się oprzeć, a to mogło mieć katastrofalne skutki. Aniołom zdarzało się już przecież tracić z oczu cel, który im wyznaczono. Wszyscy znaleźmy mrożące krew w żyłach opowieści o upadłych siostrach i braciach, którzy ulegli ludzkim słabościom, i wszyscy wiedzieliśmy, do czego ich to doprowadziło.

Ivy i Gabriel spoglądali na otaczającą ich rzeczywistość wy-trenowanym, chłodnym okiem, świadomi wszelkich pułapek. Lecz dla takiego nowicjusza jak ja pobyt na ziemi wiązał się z

gigantycznym ryzykiem.

Venus Cove

Szkoła znajdowała się na obrzeżach miasteczka, usytuowana na samym szczycie pofałdowanego zbocza góry. Oznaczało to, że wyglądając z któregośkolwiek z okien budynku, miało się widok albo na winnice i zielone wzgórza z pasącymi się na nich krowami, albo na poszarpane klify Wybrzeża Rozbitków, nazwanego tak od rozlicznych statków, które przez stulecia zatonięły w zdradliwych wodach. Liceum mieściło się w jednej z najstarszych budowli w mieście: okazałej rezydencji z gotyckimi oknami, rozległymi trawnikami i własną dzwonnica. Zanim w latach sześćdziesiątych zaadaptowano ją na obecne i cle, był w niej klasztor.

Rząd kamiennych stopni prowadził do obrośniętej winorośl bramy, w której cieniu umieszczono solidne dwuskrzydłowe drzwi. Do głównego budynku przylegała mała kapliczka. Ponoć służyła głównie jako schronienie dla szukających samotności uczniów, od czasu do czasu odprawiano w niej msze - Z przynajmniej tak nam powiedziano. Tereny szkolne otaczał wysoki kamienny mur. Żelazne, zwieńczone kolcami wrota zostawiono otwarte, by samochody mogły wjechać na wysypany żwirem podjazd.

Pomimo staroświeckiego wyglądu szkoła cieszyła się opinią nowoczesnej, Znana była zwłaszcza z ducha świadomości społecznej, i z tego względu wybierali ją przede wszystkim postępowi rodzice, którym zależało na tym, aby ich dzieci wzrastały w atmosferze tolerancji. Większość uczniów miała wielopokoleniowe związki z tym przybytkiem poprzez swoich rodziców i dziadków, którzy tu niegdyś uczęszczali.

Stałam razem z Gabrielem i Ivy przed bramą, przyglądając się napływającej młodzieży. Główne wysiłki kierowałam na uspokojenie motyli, które wyprawiały dzikie harce w moim żołądku. Było to uczucie nieprzyjemne, ale i dziwnie radosne. Wciąż nie zdążyłam się przyzwyczaić do efektów, jakie emocje potrafią wywoływać w ludzkim ciele. Odetchnęłam głęboko. Zabawne, że fakt bycia aniołem w niczym nie umniejsza stresu związanego z pierwszym dniem pobytu w nowym miejscu. Do tego, aby wiedzieć, że pierwsze wrażenie może zaważyć na tym, czy zostaną zaakceptowana czy odrzucona, nie musiałam być człowiekiem. Często przysłuchiwałam się modlitwom nastoletnich dziewcząt i większość z nich skupiała się na prośbach o przyjęcie do „fajnej paczki” oraz o chłopaka ze szkolnej drużyny rugby. Mnie wystarczyłaby jedna bratnia dusza.

Uczniowie nadchodzili w trzy - lub czteroosobowych grupkach: dziewczęta ubrane w stroje identyczne jak mój, chłopcy w szarych spodniach, białych koszulach i krawatach w błękitno-białe pasy. Nawet pomimo mundurków nietrudno było wyróżnić poszczególne szkolne społeczności, których istnienia byłam świadoma dzięki obserwacjom prowadzonym w niebie. Chłopcy z klasy muzycznej mieli długie do ramion, niedbale związane włosy - niesforne kosmyki wpadały im do oczu. Taszczyli ze sobą futerały z instrumentami, ich dłonie i przedramiona pokryte były nabazgranymi długopisem fragmentami partytur. Poruszali się niespiesznie, koszule nosili wypuszczone na wierzch. Niewielka gromadka gotów wyróżniała się mocno umalowanymi oczami oraz wymyślnymi natapirowanymi fryzurami. Zastanawiałam się, jak to możliwe, że przychodzą tak do szkoły - muszą łamać co najmniej kilka punktów regulaminu. Ci, którzy uważali się za artystyczne dusze, urozmaicali swoje mundurki dodatkami w postaci beretów lub czapeczek, dokładając do nich kolorowe szaliki i chusty. Niektóre dziewczęta szły pozbijane w ciasne stadka, jak na przykład grupka platynowych blondynek, które przechodziły przez jezdnię, trzymając się pod ręce. Najłatwiej było rozpoznać typ żądny wiedzy: nieskazitelne mundurki, brak jakichkolwiek ozdób, przerzucony przez ramię plecak z logo szkoły. Maszerowali z opuszczonymi głowami, skupieni, całą swoją sylwetką wyrażając zapal do nauki. Gołym okiem widać było, że nie mogą się już doczekać wizyty w miejscu, w którym czują się najlepiej - szkolnej bibliotece. W cieniu pod drzewami rozłożyło się kilkunastu chłopców. Ubrani niedbale, w powypuszczanych na wierzch koszulach, luźno zawiązanych krawatach i tenisówkach na bosych stopach, popijali colę lub mleko czekoladowe z puszek i kartoników. Najwyraźniej nieśpieszno im było w szkolne mury - woleli hałaśliwe wygłupy polegające na szarpaniu się, skakaniu i przewracaniu się nawzajem na ziemię. W pewnym momencie jeden z nich rzucił pustą puszką po coli prosto w głowę kolegi. Tamten stał przez chwilę oszołomiony, lecz zaraz wybuchnął gromkim śmiechem.

Przyglądaliśmy się temu wszystkiemu z rosnącym przerażeniem, wciąż nie ruszając się spod bramy. Jakiś chłopiec minął nas wolnym krokiem, oglądając się z zaciekawieniem. Miał na głowie czapkę baseballową założoną daszkiem do tyłu, a spodnie opuścił na biodrach tak nisko, że można było bez trudu odczytać markę bielizny.

- Obawiam się, że niełatwo będzie mi zaakceptować niektóre z najnowszych trendów - westchnął Gabriel, wydymając z niesmakiem wargi.

Ivy się roześmiała.

- Mamy dwudziesty pierwszy wiek - odparła. - Postaraj się nie nastawiać za bardzo krytycznie.

- Czy nie na tym polega praca nauczyciela?

- Może i tak, tylko nie spodziewaj się, że przysporzy ci to sympatii. - Spojrzała śmiało w kierunku wejścia i wyprostowała odrobinę plecy, choć ich linia już i tak była nieskazitelna.

Ścisnęła Gabriela za ramię, mnie wręczając kartonową teczkę z rozkładem zajęć, mapką szkoły i kilkoma ulotkami, które przyniosła z sekretariatu parę dni wcześniej.

- Gotowa? - zapytała.

- Bardziej już nie będę - odparłam, starając się nabrać nieco odwagi. Miałam wrażenie, że wkaczam na pole bitwy. - Idziemy.

Ivy została w bramie, machając do nas jak matka odprowadzająca swoje dzieci w pierwszym dniu szkoły.

- Wszystko będzie dobrze, Bethany - obiecał Gabriel. - Pamiętaj, kim jesteśmy.

Spodziewaliśmy się, że nasza obecność wywrze pewne wrażenie, ale żadne z nas nie przewidziało tego, co nastąpiło. Ludzie albo zatrzymywali się, by otwarcie się na nas gapić, albo rozstępowali, przepuszczając nas, jakbyśmy byli co najmniej członkami rodziny królewskiej. Starając się unikać patrzenia komukolwiek w oczy, weszłam za Gabrielem do sekretariatu. Na podłodze leżał ciemnozielony dywan, pod ścianą ustawiono rząd wyściełanych krzeseł. Dalej znajdowało się pomieszczenie, od którego odgradzała nas szklana ścianka. Widać było przez nią stojący wentylator i sięgające sufitu regały. Niska, pulchna kobieta w różowym rozpinanym swetrze ruszyła ku nam pośpiesznie z ważną miną. Przechodząc, zgromiła spojrzeniem jedną z sekretarek, dając jej do zrozumienia, że powinna natychmiast odebrać dzwoniący na biurku obok telefon. Gdy podeszła na tyle blisko, by się nam dokładniej przyjrzeć, jej twarz nieco złagodniała.

- Dzień dobry - powiedziała z ożywieniem, mierząc nas wzrokiem od góry do dołu. - Moje nazwisko Jordan, jestem kierowniczką sekretariatu. Ty musisz być Bethany, a pan - mimowolnie ściszyła głos, wpatrując się z uznaniem w doskonale rysy Gabriela - to na pewno pan Church, nasz nowy nauczyciel muzyki.

Wyszła zza szklanego przepierzenia i przelożyła pod pachę teczkę, którą trzymała w ręku, by uścisnąć nam dłonie.

Witamy w naszej szkole! - powiedziała z entuzjazmem. Przydzieliłam Bethany szafkę na trzecim piętrze - możemy, tam pójść, a później odprowadzę pana, panie Church, do pokoju

nauczycielskiego. Zebrania grona pedagogicznego odbywają się we wtorki i czwartki. Mam nadzieję, że się państwu u nas spodoba. Przekonacie się, że to miejsce wprost tętni życiem. Mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że przez dwadzieścia lat pracy nie przydarzył mi się ani jeden nudny dzień.

Wymieniliśmy z Gabrielem spojrzenia, zastanawiając się, czy słowa pani Jordan nie zawierają przypadkiem subtelного osi rżenia. Wypchnęła nas na dwór, prowadząc następnie obok boiska do koszykówki, na którym kilkunastu spoconych młodych ludzi odbijało z zapalem piłkę o asfalt, grając w kosza.

- Mamy dziś po południu ważny mecz - poinformowała nas pani Jordan, konfidencyjnie puszczając oko. Zerknęła na gromadzące się nad nami chmury i ściągnęła brwi. - Mam wielką nadzieję, że deszcz jednak nie spadnie. Nasi chłopcy będą bardzo zawiedzeni, jeśli mecz się nie odbędzie.

Podczas gdy ona paplała, ja zerknęłam na Gabriela i stwierdziłam, że spogląda ukradkiem w niebo. Dyskretnie obrócił dłoń wnętrzem do góry i zamknął oczy. Grawerowane srebrne pierścienie, które nosił na palcach, zaśniły w słońcu. Momentalnie, jakby w odpowiedzi na jego bezgłośny rozkaz, warstwę chmur przecięły słoneczne promienie, zalewając boisko złotem.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła pani Jordan. - Cóż za odmiana! To z pewnością wy przywieźliście tę piękną pogodę.

Korytarze w głównym skrzydle wyłożono chodnikiem w kolorze czerwonego wina. Dębowe przeszklone drzwi prowadziły do wysokich, staromodnie urządzonych klas. Zachowano nawet część oryginalnych ozdobnych elementów oświetlenia. Pokryte graffiti szafki, stojące rzędem wzdłuż całego korytarza, cokolwiek mdląca woń dezodorantu oraz dochodzący ze stołówek zapach smażonych hamburgerów stanowiły w porównaniu z tym jaskrawy kontrast. Pani Jordan błyska wicznie prowadziła nas po budynku, informując w biegu, gdzie znajdują się najważniejsze miejsca (czworokątny dziedziniec z płóciennym zadaszeniem w kształcie żagla, pracowni: plastyczna, multimedialna oraz nauk ścisłych, aula, sala gimnastyczna i bieżnia, boiska, a także szkolne centrum sztuk scenicznych, w skrócie CSS). Musiało jej się bardzo śpieszyć, ponieważ zaraz po tym, jak wskazała mi moją szafkę, udzielając naprędce mglistych wskazówek co do usytuowania gabinetu pielęgniarki oraz zapewniając, że chętnie odpowie na wszystkie pytania, chwyciła Gabriela za łokieć i pociągnęła za sobą. Obejrzał się na mnie z

niepokojem.

- Dasz sobie radę? - zapytał bezgłośnie.

Uśmiechnęłam się do niego w odpowiedzi, licząc, że wyglądam na dostatecznie pewną siebie. Nie chciałam, by Gabriel się o mnie martwił - miał wystarczająco dużo na głowie. Zaraz zresztą rozległ się donośny dzwonek, odbijając się gromkim echem od ścian budynku - rozpoczynała się pierwsza lekcja. Nagle znalazłam się zupełnie sama na korytarzu pełnym obcych twarzy. Przeciskali się obok mnie obojętnie, śpiesząc na różne zajęcia. Przez chwilę poczułam się tak, jakbym była niewidzialna albo znalazła się tu przez przypadek. Zerknęłam na mój plan i zdałam sobie sprawę, że widniejące na nim zbitki liter i cyfr mogłyby równie dobrze zostać zapisane w obcym języku - nic z nich nie rozumiałam. YCHS11 - jak niby miałam to rozszyfrować? Przez moment rozważałam nawet, czy nie dać nurka w tłum i pobiec z powrotem na Byron Street.

- Przepraszam - zaczepiłam mijającą mnie właśnie właścicielkę burzy iście tycjanowskich loków. Zatrzymała się, przyglądając mi się z zainteresowaniem. - Jestem tu nowa - wyjaśniłam rozpaczliwie, podnosząc w górę plan lekcji. - Czy mogłabyś mi wytłumaczyć, co to oznacza?

- To oznacza, że masz teraz chemię z panem Veltem w sali S-jedenaście - wyjaśniła. - To kawałek dalej tym korytarzem. Jeśli chcesz, możemy pójść razem, jesteśmy w tej samej grupie.

- Dzięki - odpowiedziałam z ulgą.

- Masz może okienko po chemii? Mogłabym ci pokazać szkołę.

- Co mam? - spytałam, coraz bardziej zdezorientowana.

- Okienko, w sensie wolną godzinę. - Dziewczyna spojrzała na mnie z ukosa. - A w twojej starej szkole jak je nazywaliście? - Wyraz jej twarzy zmienił się nagle, najwyraźniej na myśl o znacznie bardziej niepokojącej możliwości. - A może nie mieliście okienek?

Nie - odparłam, śmiejąc się nerwowo. - Nie mieliśmy.

- To fatalnie! Przy okazji, jestem Molly.

Była śliczna. Miała okrągłą buzię, gładką skórę i błyszczące oczy. Jej zaróżowione policzki przypomniały mi obraz, który kiedyś widziałam - przedstawiał słodką pasteczkę na tle sielankowego krajobrazu.

- Bethany - odrzekłam z uśmiechem. - Miło mi cię poznać. Molly czekała cierpliwie przy

mojej szafce, podczas gdy ja przetrząsałam plecak w poszukiwaniu właściwego podręcznika, zeszytu oraz czegoś do pisania. Jakaś część mnie marzyła o tym, by zawołać Gabriela i poprosić go, żeby zabrał mnie do domu. Niemal czułam, jak obejmują mnie jego silne ramiona, ukrywając przed światem i prowadząc na Byron Street. Sama jego obecność dawała mi poczucie bezpieczeństwa, bez względu na to, co się działo. Nie wiedziałam jednak, jak znaleźć go w tej wielkiej szkole - mógł znajdować się za każdymi z niezliczonych drzwi, w którymkolwiek z identycznie wyglądających korytarzy. Nie miałam pojęcia, gdzie szukać pracowni muzycznej. W duchu zganiłam się za taki przejaw zależności od Gabriela. Moim zadaniem jest przetrwać tu bez jego opieki, i to nie tylko przez jeden dzień. Czyż nie postanowiłam pokazać mu, że dam sobie radę? Molly otworzyła drzwi klasy i weszliśmy do środka. Rzecz jasna, byliśmy spóźnieni.

Pan Velt okazał się niskim łysym mężczyzną ze świecącym czołem. Miał na sobie sweter w geometryczne wzory, wyblakły od wielokrotnego prania. Gdy weszliśmy z Molly, objaśniał właśnie grupie uczniów jakiś nabazgrany na tablicy wzór. Malująca się na ich twarzach pustka wskazywała na zupełny brak zainteresowania tym, co dzieje się na lekcji.

- Miło mi, że raczyła się pani pojawić, panno Harrison - rzekł do Molly, która prześliznęła się tymczasem zręcznie na tył klasy.

Moje nazwisko także już najwyraźniej znał - znajdowało się na liście obecności.

- Pierwszy dzień i od razu spóźnienie - stwierdził, cmokając i unosząc z przyganą brew. - Nie najlepiej to wróży. Proszę zająć jak najszybciej swoje miejsce.

Nagle przypomniał sobie, że nie przedstawił mnie klasie. Oderwał się na chwilę od pisania, by dokonać pobieżnej prezentacji:

- To Bethany Church. Jest nowa w naszej szkole, więc postarajcie się, proszę, przyjąć ją ciepło.

Prawie wszystkie oczy obserwowały mnie, gdy podchodziłam do ostatniego wolnego krzesła. Stało z tyłu, przy ławce obok Molly, więc gdy pan Velt zakończył wykład i kazał nam się zająć pytaniami z podręcznika, mogłam lepiej jej się przyjrzeć. Zauważyłam, że górny guziczek mundurka zostawiła rozpięty, a w uszach nosiła duże srebrne koła. Właśnie piłowała pod ławką paznokcie wyjętym wcześniej z kieszeni pilniczkiem, wyraźnie ignorując polecenia nauczyciela.

- Nie przejmuj się Veltem - wyszeptła, widząc moje zaskoczenie. - To totalny nudziarz, kompletnie go pokręciło. Wyżywa się na nas, odkąd jego żona wniosła pozew o rozwód. Jedyne, co go ostatnio interesuje, to jego nowy kabriolet, w którym zresztą wygląda jak idiota.

Posłała mi szeroki uśmiech, ukazując równe białe zęby. Miała trochę za mocno umalowane rzęsy, za to jej cera lśniła naturalnym blaskiem.

- Bethany, ładne imię - ciągnęła. - Tylko trochę staroświeckie. Ale co tam, moje wcale nie lepsze. Jak z jakiejś czytanki dla dzieci.

Uśmiechnęłam się do niej niepewnie, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć komuś, kto w tak bezpośredni i pewny siebie sposób wyraża swoje myśli.

Cóż, nie mamy wpływu na to, jakie imiona wybierają dla nas rodzice - odparłam, zdając sobie sprawę, że nie jest to szczególnie błyskotliwa odpowiedź. Sęk w tym, że nie powinnam była w ogóle rozmawiać. Trwała lekcja, a biedny pan Vet zdecydowanie potrzebował wsparcia. Poza tym czułam się jak oszustka, bo przecież anioły nie mają rodziców. Przez chwilę myślałam, że Moll wyczuje kłamstwo, lecz nic takiego nie nastąpiło.

- Skąd jesteś? - zapytała, dmuchając na paznokcie i potrząsając buteleczką odblaskowo różowego lakieru.

- Mieszkaliśmy za granicą - odparłam, zastanawiając się przelotnie, co by było, gdybym jej oznajmiła, że przybyłam z Królestwa

Niebieskiego. - Nasi rodzice tam zostali.

- Naprawdę? - Wydawało się, że Moll jest pod wrażeniem. - A gdzie konkretnie? Zawahałam się.

- Różnie. Często się przeprowadzają.

Najwyraźniej taka sytuacja nie była dla niej niczym nadzwyczajnym, ponieważ nie zgłosiła zastrzeżeń.

- Czym się zajmują? - brzmiało kolejne pytanie.

W panice próbowałam przypomnieć sobie właściwą odpowiedź. Pamiętałam, że to omawialiśmy, ale nic poza tym. To by było bardzo w moim stylu popełnić tak podstawowy błąd już w pierwszej godzinie uczniowskiej kariery. I wtedy mnie olśniło.

- Są dyplomatami. Mieszkam tu ze starszym bratem, właśnie zaczął w tej szkole pracę jako nauczyciel. Rodzice do nas dołączają, gdy będą mogli. - Staralam się zawrzeć w tej wypowiedzi jak najwięcej informacji, licząc, że uda mi się zaspokoić jej ciekawość i powstrzymać dalsze

pytania. Anioły z natury nie umieją kłamać. Miałam nadzieję, że Moll nie będzie zbyt dociekliwa. Technicznie rzecz ujmując, nic z tego, co powiedziałam, nie było nieprawdą.

- Ekstra - skwitowała krótko moje rewelacje. - Nigdy nie wyjeżdżałam za granicę, ale byłam parę razy w mieście. No, musisz się liczyć z tym, że twoje życie w Wenus Coce będzie się zasadniczo różnić od dotychczasowego. Tutaj nie uświadczysz zbyt wielu atrakcji... Chyba że weźmie się pod uwagę to, co działo się przez ostatnich kilka miesięcy. Ale to akurat wcale nie było fajne.

- To znaczy?

- Widzisz, ja się tu urodziłam, tu mieszkali moi dziadkowie - prowadzili w miasteczku sklep. I przez cały ten czas właściwie nie mieliśmy większych powodów do zmartwień. Czasem jakiś pożar w fabryce albo wypadek na łodzi, ale teraz...

- Moll ściszyła głos. - Ciągłe zdarzają się jakieś napady, włamania, ludziom przytrafiają się dziwne rzeczy... A w zeszłym roku mieliśmy epidemię grypy. Sześcioro dzieciaków umarło.

- To potworne, co mówisz - wyjąkałam. Zaczynał do mnie docierać rozmiar zniszczeń poczynionych przez wysłanników ciemności. Nie wyglądało to dobrze. - To wszystko?

- Jest coś jeszcze. Ale raczej nie wspominaj o tym w szkole - większość nadal to przeżywa.

- Nie martw się, będę uważała - obiecałam.

- Jakies pół roku temu jeden z chłopaków z ostatniej klasy - Henry Taylor - wspiął się na dach po piłkę do koszykówki, która wpadła tam podczas treningu. Nie wyglądał się ani nic takiego, po prostu chciał ją zdjąć. Nikt nie wie, jak to się właściwie stało, ale pośliznął się i spadł. Upadł dokładnie na środek boiska - jego koledzy wszystko widzieli. Do dzisiejszego dnia nie udało się do końca usunąć plamy krwi. Nikt już tam nie gra.

Zanim zdołałam cokolwiek odpowiedzieć, pan Velt chrząknął znacząco i posłał nam mordercze spojrzenie.

- Jak rozumiem, objaśnia pani nowej koleżance pojęcie wiązań kowalencyjnych, panno Harrison?

- Niezupełnie, proszę pana. Nie chciałabym jej zanudzić na śmierć już pierwszego dnia.

Na czole pana Velta pojawiła się pulsująca żyła. Uznałam, że czas interweniować. Wysyłając w jego stronę kojącą energię, z zadowoleniem obserwowałam, jak powoli się uspokaja. Opatulił ramiona, z jego twarzy stopniowo zniknęła purpurowa czerwień, ustępując miejsca bardziej naturalnemu odcieniowi. Popatrzył na Molly i zaśmiał się pobłaźliwie, niemal

po ojcowsku.

Pani poczucie humoru jest jak zwykle niezawodne, panno Harrison.

Molly wyglądała na zdeorientowaną, lecz miała wystarczali o dużo rozumu, by powstrzymać się od dalszych komentarzy.

- Jak dla mnie to on przechodzi kryzys wieku średniego - wyszeptała do mnie zamiast tego.

Pan Velt przestał zwracać na nas uwagę i zajął się ustawianiem projektora. Wszystko we mnie jęknęło. Usilnie starałam się opanować narastającą falę paniki. Nawet w ciągu dnia można było dostrzec bijącą od nas - aniołów - delikatną poświatę. Po ciemku stawała się bardziej widoczna, lecz przy odrobinie wysiłku możliwa do ukrycia. Jednak w padającym wprost ze stojącego tuż za moją głową projektora halogenowym świetle efekt mógł być nie do przewidzenia. Nie było sensu ryzykować. Poprosiłam o pozwolenie na wyjście do łazienki i wysliznęłam się po cichu z klasy. Stałam na korytarzu, czekając, aż pan Velt zakończy prezentację i zapali górne światło. Slajdy przesłakiwały jeden po drugim z głośnymi kliknięciami. Przez szybę w drzwiach widziałam, że przedstawiają uproszczoną teorię wiązań walencyjnych. Ucieszyłam się, że nie muszę na to dzień zajmować się czymś tak prozaicznym.

- Zgubiłaś się? - zapytał ktoś za moimi plecami.

Zaskoczona obróciłam się gwałtownie na pięcie i zobaczyłam chłopaka opartego nonszalancko o metalowe szafki, dokładnie naprzeciwko drzwi do klasy. Mimo iż w zapiętej pod szyję koszuli, schludnie zawiązanym krawacie i szkolnej marynarce prezentował się znacznie poważniej, nie mogło być mowy o pomyłce: te same orzechowobrzazowe włosy, opadające na znajomą twarz, te same oczy w pięknym, jaskrawobłękitnym kolorze. Nie sądziłam, że jeszcze go zobaczę, a tymczasem chłopiec z pomostu stał właśnie przede mną, uśmiechając się w lekko ironiczny sposób.

Nic, wszystko w porządku - odparłam, odwracając się pospiesznie. Nic nie wskazywało na to, by mnie rozpoznał. Miałam nadzieję, że jeśli będę go ignorowała - nawet za cenę bycia nieuprzejmą - nie podejmie rozmowy. Nie byłam przygotowana na takie spotkanie, poza tym coś w jego osobie sprawiało, że nie bardzo wiedziałam, gdzie podziać oczy ani co zrobić z rękami. On jednak nigdzie się nie śpieszył.

- Wydaje mi się, że ze środka byłoby jednak lepiej widać - stwierdził.

Nie miałam wyjścia, musiałam zareagować. Postanowiłam posłać mu lodowate spojrzenie, wyrażając w ten sposób niechęć do rozmowy, lecz gdy tylko nasze oczy się spotkały, nastąpiło

coś zgoła odmiennego. Zrobiło mi się dziwnie słabo, świat wokół mnie zawirował i poczułam, że jeśli się natychmiast czegoś nie przytrzymam, zacznę wirować razem z nim.

Musiałam wyglądać, jakbym zaraz miała zasłabnąć, ponieważ on odruchowo wyciągnął rękę, żeby mnie złapać. Na nadgarstku miał cienką bransoletkę ze splecionych rzemyków - jedyne odstępstwo od tradycyjnego szkolnego stroju.

Nie zapamiętałam go wystarczająco dokładnie. Był bardzo przystojny, jednak bez śladu próżności. Uśmiechał się lekko - w jego jasnych oczach kryła się głębia, której za pierwszym razem nie dostrzegłam. Pomimo szczupłej na pierwszy rzut oka postury dało się zauważyć rysujące się pod szkolnym mundurkiem ramiona pływaka. Przyglądał mi się, jakby chciał mi pomóc, tylko nie do końca wiedział jak. Patrząc na niego, zrozumiałam, że jego głównym atutem wcale nie jest gładka buzia, lecz emanujące z niego spokój i opanowanie. Dużo bym dała, aby móc odpowiedzieć mu jakąś równie ciętą i dowcipną uwagą, lecz niestety nic mądrego nie przychodziło mi do głowy.

- Trochę zakręciło mi się w głowie, zaraz przejdzie - wymamrotałam. Podszedł odrobinę bliżej, wciąż zaniepokojony.

- Chcesz usiąść?

Nie, już wszystko w porządku - odparłam zdecydowanie. Upewniwszy się, że nic mi nie jest, znów wyciągnął rękę - tym razem na powitanie - i uśmiechnął się rozbajająco.

Poprzednim razem nie zdążyłem się przedstawić. Jestem Xavier. A więc nie zapomniiał.

Miał szeroką, ciepłą dłoń. Moją przytrzymał o ułamek sekundy dłużej, niż wymagała tego grzeczność. Przypomniałam sobie, ni Gabriel mówił o unikaniu wchodzenia w zbyt - niebezpieczną - zażyłość z ludźmi. W głowie zadźwięczał mi ostrzegawczy sygnał. Ściągnęłam brwi i oswobodziłam rękę. Zawieranie bliższej znajomości z tym niebywale interesującym młodym i człowiekiem o zniewalającym uśmiechu nie byłoby zbyt mądrym posunięciem. Oszalały trzepot serca towarzyszący każdemu spojrzeniu w jego stronę świadczył wystarczająco wyraźnie, w jak poważnych jestem tarapatach. Powoli uczyłam się odczytywać sygnały wysyłane przez moje ciało i wiedziałam, że towarzystwo Xaviera wprawia mnie w zakłopotanie. Lecz wyczuwałam też ślad innego uczucia, uczucia, którego nie potrafiłam zdefiniować a to nie mogło oznaczać niczego dobrego. Odsunęłam się od niego w stronę drzwi klasy. Kątem oka dostrzegłam, że właśnie zapalono światło. Wiedziałam, że postępuję niegrzecznie, byłam jednak zbyt rozrzucona, aby się tym przejąć. Zresztą Xavier nie wyglądał na obrażonego. Cała ta

sytuacja raczej go bawiła.

- Jestem Bethany - zdążyłam jeszcze rzucić, stojąc w drzwiach.

- Do zobaczenia, Bethany - odparł.

Wchodząc do klasy, czułam, że twarz mi płonie. Pan Velt posłał mi pełne wyrzutu spojrzenie - jak na zwykłe wyjście do łazienki, nie było mnie stanowczo zbyt długo.

Podczas przerwy obiadowej wiedziałam już, że to miejsce stanowi istne pole minowe, usiane projektorami oraz innymi pułapkami służącymi do wychwytywania ukrywających się aniołów. Przed zajęciami wychowania fizycznego przeżyłam kolejny atak paniki w momencie, w którym zdałam sobie sprawę, że mam się przebierać na oczach innych dziewcząt. Wszystkie zdejmowały poszczególne części odzieży bez sekundy wahania, wrzucając je do szafek lub zostawiając na podłodze. Molly splątały się ramiączka od stanika i poprosiła mnie o pomoc. Zrobiłam to, modląc się w duchu, by nie zauważyła, jak nienaturalnie miękkie są moje dłonie.

- O matko, musisz zużywać tony kremu - stwierdziła.

- Zgadza się - odparłam, jak gdyby nigdy nic.

- I jak ci się u nas podoba? Wypatrzyłaś już dla siebie jakieś ciacha?

- Jakie ciacha? - bąknęłam zaskoczona. - W stołówce widziałam tylko batoniki.

Molly wytrzeszczyła na mnie oczy. Wyglądała, jakby miała zamiar parsknąć śmiechem, ale wyraz mojej twarzy musiał jej uświadomić, że nie żartuję.

- Ciacho to inaczej atrakcyjny chłopak - wyjaśniła. - Naprawdę nigdy wcześniej nie słyszałaś tego określenia? Gdzieś ty ostatnio chodziła do szkoły? Na Marsie?

Zaczerwieniłam się, gdy tylko dotarł do mnie sens jej pierwszego pytania.

- Nie poznałam jeszcze właściwie żadnych chłopców. - Wzruszyłam ramionami. - Wpadłam tylko na jakiegoś Xaviera.

Miałam nadzieję, że udało mi się wymówić jego imię normalnym głosem.

- Którego Xaviera? - dopytywała się Molly zaintrygowana. - Blondyna? Xavier Laro ma blond włosy, gra w drużynie lacrosse. Jest całkiem do rzeczy, może się podobać. Obawiam się tylko, że ma już dziewczynę. Albo może z nią zerwał? Nie jestem pewna, ale mogę spróbować się dowiedzieć.

- Ten miał ciemne włosy - przerwałam jej - i niebieskie oczy.

- Ojej. - Molly zrzędała mina. - W takim razie to musiał być Xavier Woods. Jest przewodniczącym samorządu szkolnego.

- Wydawał się miły.

Na twoim miejscu nie próbowałabym do niego startować powiedziała nieco mentorskim tonem. Widać było, że szczerze się o mnie martwi, ale wyczułam też, że spodziewa się, iż tak krytycznie przyjmę jej radę. Być może to jedna z zasad rzących światem nastolatków: przyjaciółki zawsze mają rację.

- Ja do nikogo nie startuję, Molly - zapewniłam, lecz nic mogłam się powstrzymać, by nie zapytać: - A co z nim nie tak? Mnie wydawał się chodzącą doskonałością.

Nie, no, z nim wszystko w porządku, ale powiedzmy, że ma pewien bagaż. Co to znaczy?

To znaczy, że całe mnóstwo dziewczyn od dawna próbuje zwrócić na siebie jego uwagę, ale on jest po prostu nieosiągalny.

- Chcesz powiedzieć, że w jego życiu jest ktoś inny?

Był. Miała na imię Emily. Żadnej nie udało się go pocieszyć, odkąd ona... - urwała.

- Zerwała z nim? - podsunęłam.

- Nie. - Molly ściszyła głos i z zakłopotaniem wykręciła palce. - Zginęła w pożarze domu, trochę ponad rok temu. Przedtem byli nierozłączni, wszyscy mówili, że pewnie się pobiorą i tak dalej. Żadna nie zdołała jej dorównać. Myślę, że chyba do tej pory nie pogodził się z jej śmiercią.

- To straszne. Przecież on miał wtedy raptem...

- Szesnaście lat - dokończyła za mnie Molly. - Przyjaźnił się też z Henrym Taylorem, przemawiał nawet na jego pogrzebie. Właśnie zaczynał się podnosić po stracie Emily, kiedy Henry zginął. Większość sądziła, że to go do reszty załamie, ale on po prostu zamknął się w sobie i żyje dalej.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Patrząc na twarz Xaviera, nigdy bym nie odgadła, ile bólu musiał znieść. Choć myśląc o tym teraz, zdałam sobie sprawę, że dostrzegłam w jego oczach pewną ostrożność.

- Teraz jest już lepiej - dodała Molly. - Spotyka się z przyjaciółmi, gra w szkolnej drużynie rugby i trenuje pływaków z młodszych klas. Można z nim nawet pożartować, ale jakiegokolwiek związki z dziewczynami po prostu nie wchodzi w grę. Wydaje mi się, że po tym wszystkim on już chyba nie ma ochoty się angażować.

- Trudno go za to winić.

Nagle Molly zorientowała się, że wciąż stoję ubrana, i zmieniła ton.

- Przebij się szybko - pogoniła mnie. - Co ty, wstydzisz się?

- Tylko troszeczkę. - Uśmiechnęłam się do niej i zniknęłam w kabinie prysznicowej.

Na widok stroju do ćwiczeń, który miałam włożyć, Xavier Woods natychmiast wyleciał mi z głowy. Rozważałam nawet ucieczkę przez okno. Był po prostu okropny: szorty miały stanowczo za krótkie nogawki, a bluzka podjeżdżała do góry tak bardzo, że praktycznie nie mogłam się ruszyć, nie obnażając przy okazji połowy brzucha. Od razu wiedziałam, że będzie to problem - jako anioł nie mam pępka, nasza skóra jest gładka i jasna, bez jakichkolwiek piegów, znamion czy ubytków. Szczęśliwie moje skrzydła (upierzone, lecz cienkie jak papier) składają na plecach tak płasko, że przynajmniej o to nie musiałam się martwić - pomijając fakt, że były zeszywniałe z braku ruchu. Gabriel obiecał nam, że wybierzemy się któregoś dnia tuż przed świtem w góry, by je trochę rozprostować. Nie mogłam się doczekać.

Obciągnęłam koszulkę tak bardzo, jak się dało, i dołączyłam do Molly. Stała przed lustrem, nakładając na usta grubą warstwę błyszczyku. Nie bardzo rozumiałam, po co jej makijaż na zajęciach z wychowania fizycznego, lecz nie zaprotestowałam, gdy wręczyła mi pędzelek. Nie chciałam okazać się niewdzięczna. Nie od razu opanowałam technikę używania pędzelka, ale ostatecznie udało mi się pokryć wargi raczej nierówną warstwą kosmetyku. Jak przypuszczam, tego rodzaju czynności wymagają pewnej praktyki. Ja zaś - w odróżnieniu od pozostałych dziewcząt - nie eksperymentowałam z zawartością kosmetyczki swojej mamy od dnia, w którym skończyłam pięć lat. Do niedawna nie miałam nawet pojęcia, jak wygląda ludzka wersja mojej twarzy.

Zaciśnij usta i rozetrzyj - poradziła Molly. - O tak... Powtórzyłam zaprezentowaną przez nią czynność. Okazało się, że błyszczyk w istocie pokrył moje usta bardziej równomiernie, dzięki czemu przestałam wyglądać jak klaun. Teraz lepiej - skomentowała Molly z aprobatą. Dzięki.

Ty chyba nie malujesz się zbyt często? Pokręciłam głową. I bez tego jesteś ładna, fakt. Ale w tym kolorze wyjątkowo do twarzy.

W każdym razie pachnie niesamowicie.

- Nazywa się „Melonowy sorbet” - odparła Molly z zadowoloną miną. Zaraz jednak coś odwróciło jej uwagę. Pociągnęła nosem.

- Czujesz? - zapytała.

Również pociągnęłam nosem, zdjeta nagłym strachem. Czyżby to o mnie chodziło? Czy to możliwe, aby nasz zapach był dla mieszkańców ziemi nie do zniesienia? A może Ivy rozpyliła na moim ubraniu jakieś perfumy, uznawane w świecie Molly za wyjątkowo ohydne?

- Pachnie jakby... deszczem? - powiedziała wreszcie. Natychmiast się odprężyłam. To, co czuła, nie było niczym więcej, jak tylko typową wonią roztracaną przez wszystkie anioły. Na korzyść Molly należy dodać, że skojarzenie z deszczem było bardzo prawidłowe.

- Nie gadaj głupot, Molly - odezwała się jedna z jej koleżanek. Z tego, co pamiętałam z pośpiesznych prezentacji, miała na imię

Taylah. - Widzisz tu jakiś deszcz?

Molly wzruszyła ramionami i pociągnęła mnie za rękaw, wyprowadzając z szatni. W sali gimnastycznej czekała na nas mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta w spodenkach z lycry. Miała blond włosy i zniszczoną przez słońce twarz. Bujając się na piętach, donośnym krzykiem zażądała od nas dwudziestu pompek.

- Straszne są te baby od wuefu, nie? - Molly przewróciła oczami. - Napinają się jak nie wiem co.

Nic nie odpowiedziałam, lecz zważywszy na nieustępliwość malującą się na twarzy kobiety oraz na mój całkowity brak entuzjazmu, raczej niewiele wskazywało na to, abyśmy miały się polubić.

Pół godziny później miałyśmy za sobą po dziesięć okrążeń boiska, po pięćdziesiąt pompek, pięćdziesiąt brzuszków, przysiadów i wykroków - i to zaledwie w ramach rozgrzewki. Żał mi było pozostałych uczennic, które zataczały się, dysząc ciężko, w mokrych od potu koszulkach. Anioły nie odczuwają zmęczenia - nasza energia nigdy się nie wyczerpuje i nie musimy jej oszczędzać. Nie wydzielamy też potu - możemy przebiec kilkadziesiąt kilometrów, a na naszych ciałach nie pojawia się nawet kropla. Molly nagle zdała sobie z tego sprawę.

- Przecież ty nie masz nawet zadyszki! - zauważyła z pretensją w głosie. - Matko, ależ musisz być wysportowana!

- Albo używać naprawdę dobrego dezodorantu - dodała Taylah, wylewając sobie resztę wody z butelki za dekolt. Ćwiczący nieopodal chłopcy gapili się na nią z otwartymi ustami.

- Robi się gorąco! - drażniła się z nimi, parując im przed nosem w teraz już przezroczystej koszulce. Przedstawienie trwało do chwili, gdy nauczycielka, zorientowawszy się w sytuacji, ruszyła ku nam niczym rozjuszony byk.

Reszta dnia minęła spokojnie, jeśli nie liczyć faktu, że nieustannie łapałam się na przeczesywaniu wzrokiem szkolnych korytarzy - miałam nadzieję, że jeszcze raz, choć przez chwilę, zobaczę chłopca, o którym wiedziałam już, że ma na imię Xavier. Wziąwszy pod uwagę

to, co usłyszałam na jego temat od Molly, czułam się mile wyróżniona tym, że w ogóle zwrócił na mnie uwagę.

Wracając myślą do tamtego wieczoru na pomoście, przypomniałam sobie, jak bardzo zaciekały mnie jego oczy - ten niesamowity, intensywny odcień błękitu. W takie oczy nie da się patrzeć za długo bez drżenia kolan. Zastanawiałam się, co by się stało, gdybym wtedy przyjęła jego zaproszenie i usiadła obok. Czy rozmawialibyśmy podczas moich prób wędkowania? O czym byśmy mówili?

Wymierzyłam sobie w myślach solidnego kuksańca. Nie po to przysłano mnie na ziemię! Następnie złożyłam uroczyli. | obietnicę, że od tego dnia w ogóle nie będę zaprzętała solne głowy Xavierem Woodsem. Gdy się na niego natknę, będę udawała, że go nie dostrzegam. Jeśli zechce się do mnie odezwać, udzielę zdawkowej odpowiedzi i odejdę. Innymi słowy, nie pozwolę mu się w jakikolwiek sposób do siebie zbliżyć.

Nie trzeba chyba mówić, jak sromotna czekała mnie porażka.

Ziemskie sprawy

Wraz z dźwiękiem ostatniego dzwonka zebrałam książki i dosłownie rzuciłam się do ucieczki, chcąc uniknąć tłumów na korytarzach. Jak na jeden dzień zdecydowanie dość miałam tarmoszenia, wypytywania oraz szczegółowych oględzin. Pomimo usilnych starań nie udało mi się złapać ani chwili wytchnienia. Podczas kolejnych przerw Molly ciągała mnie po całej szkole, chcąc przedstawić wszystkim swoim przyjaciółkom po kolei. Te zaś zasypywały mnie setkami pytań, zadawanych w tempie wystrzałów z karabinu maszynowego. Mimo to udało mi się przetrwać ten pierwszy dzień bez większych niepowodzeń i byłam z tego powodu dumna.

Czekając na Gabriela, spacerowałam pod rosnącymi tuż za szkolną bramą palmami. Przechodząc obok jednej z nich, zatrzymałam się i oparłam plecami o chłodny nierówny pień. Ziemska roślinność budziła mój nieustający zachwyt. Weźmy takie palmy, czyż nie są zadziwiające? Przypominają mi strażników - ich długie, wąskie pnie kończą się zniecka pękami liści, które wyglądają zupełnie jak pióropusze na hełmach wartowników. Stojąc tak, obserwowałam wychodzących ze szkoły uczniów. Patrzyłam, jak wyraźnie odprężeni rzucają torby i plecaki na siedzenia aut i zdejmują szkolne marynarki. Część odjeżdżała w kierunku miasta, by dołączyć do przyjaciół czekających w lokalnych kafejkach i innych ulubionych miejscach spotkań. Ja nie czułam się odprężona - zbyt dużo się tego dnia wydarzyło. W głowie aż huczało mi od natłoku wrażeń, które usiłowałam jakoś sobie poukładać. Nawet mimo daru nieograniczonej energii nie mogłam odpędzić narastającego poczucia wyczerpania. Marzyłam tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w domu.

Dostrzegłam wreszcie Gabriela - przedzierał się przez gromadę uczniów tłoczących się na głównych schodach, a za nim podążało stadko wielbicieli, głównie dziewcząt. Przyglądając się tej scenie z boku, można było odnieść wrażenie, że mój brat to jakiś znany piosenkarz lub aktor. Dziewczęta trzymały się kilka kroków z tyłu, usilnie starając się nie rzucać w oczy. Wyglądało na to, że jak dotąd Gabrielowi udało się zachować zimną krew, lecz patrząc na jego zaciśnięte usta i potargane włosy, zgadywałam, że także jemu spieszno już do domu. Gdy tylko odwracał głowę w kierunku deptających mu po piętach uczennic, te natychmiast milkły. Znałam swojego brata na tyle, by wiedzieć, że - choć stara się tego nie okazywać - wcale nie jest zadowolony z

tego rodzaju zainteresowania swoją osobą. Zamiast mu schlebiać, wprawiało go to raczej w zakłopotanie.

Dotarł już prawie do bramy, gdy jedna z dziewcząt - wyjątkowo dobrze zbudowana brunetka - „przypadkiem” potknęła się i zatoczyła w jego kierunku, o mało nie upadając. Jednym płynnym ruchem Gabriel złapał ją w ramiona tuż przed tym, nim uderzyła o ziemię. Rozległo się chóralne westchnienie podziwu, wydane przez przyglądającą się całemu zajściu żeńską część widowni, w połowie zieloną z zazdrości o bardziej pomysłową koleżankę. Lecz niestety, zazdrość ta była nieuzasadniona: Gabriel pomógł dziewczynie stanąć na nogi, pozbierał drobiazgi, które wypadły z jej torby, a następnie bez słowa podniósł własną, sponiewieraną teczkę i ruszył dalej. Nie był to z jego strony celowy brak taktu - on po prostu nie widział potrzeby mówienia czegokolwiek. Dziewczyna patrzyła za nim tęsknym wzrokiem, podczas gdy przyjaciółki obstały ją w nadziei, że spłynie i na nie choć część jej splendoru.

- Biedaku, już zdążyłeś dorobić się własnego fanklubu. - Poklepałam go ze współczuciem po ramieniu, ruszając w drogę do domu.

- Nie ja jeden. Ty chyba też nie skarżyłaś się dziś na brak zainteresowania.

- Owszem, ale mnie nikt nie próbował tak desperacko zagadywać. - Nie wspomniałam o spotkaniu z Xavierem Woodsem.

Podświadomie czułam, że Gabrielowi wcale by się to nie spodobało.

- Nie wszystko można mieć - odpowiedział nieco oschle. Po powrocie do domu zrelacjonowałam Ivy całutki dzień, minuta po minucie. Gabriel, który nie przeżywał każdej chwili tak bardzo jak ja, nie miał nic do opowiadania. Gdy dotarłam do momentu, w którym opisałam scenę przed szkołą, Ivy stłumiła uśmiech.

- Nastoletnie dziewczynki bywają czasem mało subtelne - stwierdziła. - Z drugiej strony chłopców o wiele trudniej rozszyfrować. Niezmiernie to wszystko interesujące, nie uważacie?

- Mnie oni wszyscy wydają się po prostu zagubieni - odparł Gabriel. - Nie sądzę, aby któreś z nich miało jakiegokolwiek pojęcie na temat tego, o co naprawdę w życiu chodzi. Nie zdawałam sobie sprawy, że będziemy musieli zaczynać od zupełnych podstaw. Będzie znacznie ciężiej, niż przypuszczałam. - Zamilkł i wszyscy po raz kolejny uświadomiliśmy sobie, jak poważne i trudne czeka nas zadanie.

- Od początku wiedzieliśmy, że nie będzie łatwo - odezwała się miękko Ivy.

- Jest coś, co zwróciło moją uwagę - powiedziałam. - Wygląda na to, że przez ostatnich

kilka miesięcy sporo się w tym miasteczku wydarzyło. Słyszałam okropne rzeczy.

- Co konkretnie? - chciała wiedzieć Ivy.

- Dwoje uczniów zginęło w niepokojących okolicznościach w ciągu jednego roku - odparłam. - Do tego dochodzą lokalne epidemie, pożary oraz różne inne niecodzienne zdarzenia. Zaczynają dostrzegać, że dzieje się coś niedobrego.

- Zdaje się, że przybyliśmy w samą porę - powiedziała Ivy.

- Lecz jak się dowiemy, kto... lub co jest za to odpowiedzialne? - spytałam.

Na razie nie ma sposobu, aby to sprawdzić - odparł Gabriel. Naszym zadaniem jest zaprowadzić tu porządek i czekać, aż znów spróbują. Możecie mi wierzyć: nie poddadzą się bez walki.

Zamilkliśmy. Każde z nas myślało o konfrontacji, do której prędzej czy później musi dojść.

Zaprzyjaźniłam się dzisiaj z kimś - oznajmiłam, chcąc rozjaśnić nieco ponury nastrój. Zabrzmiało to trochę tak, jakbym dokonała czegoś niezwykłego, i oboje spojrzeli na mnie ze znaną mi już troską pomieszaną z dezaprobatą.

Czy zrobiłam coś złego? - obruszyłam się, widząc ich miny. - Czy nie wolno mi mieć przyjaciół? Sądziłam, że mamy wtapiać się w tło.

- To nie ma nic wspólnego z wtapianiem się w tło. Podtrzymywanie przyjaźni wymaga czasu i energii. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? - spytał Gabriel. - Przyjaciołom zależy na tym, aby zacieśniać więzy.

- Czy to ma jakiś związek ze sznurami? - Chyba nie bardzo rozumiałam, o co mu chodzi.

- Nie. To oznacza, że zechcą stworzyć więź emocjonalną wyjaśnił Gabriel. - Związki międzyludzkie cechuje bardzo często nienaturalna wręcz zażyłość - nigdy tego nie pojmę.

- Może się to okazać uciążliwe - dodała Ivy, którą wyraźnie coś męczyło. - Nie wspominając o tym, że przyjaźń niesie pewne oczekiwania, więc musisz być bardzo rozważna.

- Jakie oczekiwania?

- Tego rodzaju związki ludzie budują na zaufaniu. Przyjaciele dzielą się swoimi problemami, zwierzają się sobie i... - Urwała, kręcąc złocistą główką i patrząc błagalnie na Gabriela.

- Ivy próbuje ci powiedzieć, że każdy, z kim się zaprzyjaźnisz, będzie zadawał ci rozmaite pytania i oczekiwał od ciebie odpowiedzi - dokończył za nią. - Zechce stać się częścią twojego życia, a to wiąże się z niebezpieczeństwem.

- No cóż, w takim razie wielkie dzięki za zaufanie - odparłam z godnością. - Doskonale wiecie, że nigdy nie zrobiłabym niczego, co mogłoby narazić naszą misję na niepowodzenie. Naprawdę uważacie, że jestem aż tak głupia?

Z satysfakcją patrzyłam, jak wymieniają pełne poczucia winy spojrzenia. Może i jestem od nich młodsza oraz mniej doświadczona, ale to jeszcze nie powód, by traktować mnie jak idiotkę.

- Wcale tak nie uważamy - zapewnił Gabriel nieco bardziej ugodowo. - Oczywiście, że ci ufamy. Chcemy tylko uniknąć niepotrzebnych komplikacji.

- Nie będzie żadnych komplikacji - przekonywałam. - Chcę jednak spróbować żyć jak normalna nastolatka.

- Musimy po prostu zachować daleko idącą ostrożność. - Gabriel wyciągnął rękę, by delikatnie ścisnąć moją dłoń. - Powierzono nam zadanie, którego waga znacznie przewyższa nasze osobiste pragnienia.

Gdy ujął to w ten sposób, zrozumiałam, że ma rację. Dlaczego on musi być taki mądry? Trudno to znieść. A jeszcze trudniej się na niego gniewać.

W domu czułam się znacznie bardziej swobodnie. W krótkim czasie urządziliśmy się całkiem przytulnie. Wykazaliśmy się pod tym względem typowo ludzką cechą, jaką jest potrzeba dostosowania danej przestrzeni do własnych upodobań, a następnie identyfikowania się z nią. Po takim dniu jak ten nasz dom stanowił dla nas upragniony azyl. Nawet Gabrielowi zaczynało się podobać życie tutaj, choć nigdy by się do tego nie przyznał. Bardzo rzadko niepokoił nas dźwięczący przy furtce dzwonek (okazały front chyba odstraszał niespodziewanych gości), więc każde z nas mogło zajmować się tym, na co tylko miało ochotę.

Kiedy już nieco odpoczęłam, uprzytomniłam sobie, że należałoby jakoś zagospodarować czas przez resztę dnia. Sęk w tym, że zupełnie nie wiedziałam jak. Gabriel i Ivy nigdy nie mieli z tym najmniejszego kłopotu. Pograżali się w ulubionej lekturze, zasiadali przy fortepianie lub zamykali się w kuchni, ubrudzeni po łokcie mąką. Ja zaś, nie mając żadnego hobby, byłam skazana na snucie się bez celu. Postanowiłam skupić się na razie na czymś pożytecznym. Przyniosłam z łazienki czynnie pranie, poskładałam je, wstawiłam wodę na herbatę. Pootwierałam okna, by przewietrzyć nieco pokoje, i uprzątnęłam bałagan ze stołu w jadalni. Oczyszczałam podwórze z kłujących sosnowych gałązek, po czym ułożyłam je dekoracyjnie w wysmukłym wazonie. Zauważyłam, że w skrzynce nabierało się trochę reklam, i postarałam się zapamiętać, aby przy najbliższej okazji kupić stosowną nalepkę - widziałam takie na skrzynkach naszych

sąsiadów. Zerknęłam na jedną z ulotek, zanim wrzuciłam ją do kubła na śmieci: informowała o wyprzedży w nowo otwartym sklepie sportowym pod raczej mało oryginalną nazwą SportsMart.

Dziwnie się czułam, wykonując te proste codzienne czynności - mnie samej tak daleko było do zwykłej dziewczyny. Spróbowałam wyobrazić sobie, co też mogą w tej chwili robić przeciętne siedemnastolatki: porządkują swoje pokoje na żądanie doprowadzonych do ostateczności rodziców czy słuchają ulubionej muzyki? Wysyłają do siebie wiadomości z telefonów, planując sobotni wieczór z koleżankami, czy sprawdzają pocztę w komputerze, podczas gdy powinny się uczyć?

Zadano nam pracę domową z co najmniej trzech przedmiotów, co jako jedna z niewielu w klasie odnotowałam skrupulatnie w odpowiednim miejscu w zeszycie. Reszta moich kolegów i koleżanek wołała beztróska zaufać pamięci. Teoretycznie powinnam była jak najprędzej zasiąść do pracy, by przygotować się na następny dzień, lecz spodziewałam się, że zajmie mi to niewiele czasu i raczej nie będzie wymagało znacznego zaangażowania. Mówiąc prościej, był to dla mnie zupełny drobiazg. Znałam odpowiedź na każde możliwe pytanie, więc stwarzanie pozorów odrabiania lekcji wydawało się niepotrzebną stratą czasu. Niemniej wzięłam szkolny plecak i powlokłam się na górę. Mój pokój znajdował się u szczytu schodów, na poddaszu. Jego okna wychodziły na morze i nawet gdy były zamknięte, docierał do mnie łoskot fal rozbijających się o skały. Miał też wąziutki balkonik z delikatną kutą balustradą, na nim zaś stało wiklinowe krzeselko, z którego mogłam podziwiać kolorowe łódki kołyszące się rytmicznie na wodzie. Siedziałam tam długą chwilę z odblaskowym flamastrem w ręku i podręcznikiem do psychologii otwartym na stronie zatytułowanej *Reakcja skprno galwaniczna*, rozłożonym na kolanach.

Rozpaczliwie starałam się zająć czymś myśli, głównie po to, by powstrzymać się od rozpamiętywania wciąż na nowo spotkania z Xavierem. Powracał do mnie każdy szczegół: jego przenikliwy wzrok i lekko przekrzywiony krawat. W głowie rozbrzmiewały mi echem słowa Molly: „Na twoim miejscu nie próbowałabym do niego startować... Ma pewien bagaż”. Dlaczego tak mnie to intryguje? Dlaczego nie mogę o nim zapomnieć, choć tak bardzo tego chcę? Zmuszałam się do myślenia o czymkolwiek innym, lecz nie mijała chwila, a już zamiast tekstu, który próbowałam czytać, widziałam jego twarz. Szczupła ręka z nadgarstkiem opasanym plecioną skórzaną bransoletką pojawiała się znikąd, nie pozwalając mi się skupić. Zastanawiałam się nad tym, jaka była Emily - jakie to uczucie stracić ukochaną osobę?

Nim zesłam na dół, by pomóc Gabrielowi w przygotowaniu obiadu, pokrzątałam się

jeszcze trochę po swoim pokoju, udając sama przed sobą, iż wymaga on sprzątnięcia.

Gabriel nieustannie zaskakiwał mnie i Ivy zaangażowaniem w prace kuchenne. Zasadniczo motywowała go oczywiście konieczność zapewnienia nam wszystkim odpowiednio zbilansowanych posiłków, lecz poza tym - jak wkrótce odkryłyśmy - sam proces ich przyrządzania sprawiał mu mnóstwo niekłamanej przyjemności. Podobnie jak muzyka, gotowanie pozwalało rozwinąć skrzydła jego twórczej inwencji. Gdy weszłam, stał za marmurowym blatem, czyszcząc po kolei kracianą ściereczką różne gatunki grzybów. Przed nim stała rozłożona i oparta na metalowej podpórcie książka kucharska, do której co jakiś czas w skupieniu zaglądał.

Obok, w misce, moczyło się coś, co wyglądało jak czarna posiekana kora drzewa. Zaglądając mu przez ramię, odczytałam nazwę przepisu: „grzybowe risotto”. Wyglądał na dość skomplikowany jak dla początkującego kucharza, lecz zaraz uświadomiłam sobie, że chodzi przecież o Gabriela. Archanioła. Jako taki bez trudu osiągał mistrzostwo we wszystkim, czego się tknął, i żadna praktyka nie była mu do lego potrzebna.

Mam nadzieję, że lubisz grzyby? - zagadnął mnie, widząc ciekawość na mojej twarzy.

Zaraz się dowiemy. - Usiadłam przy stole. Lubiłam się przyglądać, jak Gabriel pracuje. Za każdym razem tak samo zachwyciły mnie zręczność i precyzja jego ruchów, gdy zupełnie zwyczajne rzeczy przemieniały się w coś niezwykłego. W przypadku Gabriela i

Ivy transformacja z anioła w człowieka przebiegła znacznie łagodniej i sprawniej. Dalekie im były co prawda błahostki codziennego życia, lecz mimo to dało się dostrzec, że bardzo pewnie stąpają po ziemi. W Królestwie Niebieskim każde z nich potrafiło wyczuć najdrobniejsze wahania nastrojów drugiego i tę umiejętność zabrali ze sobą także tutaj. Ja stanowiłam dla nich w wielu przypadkach zagadkę, z czym nie do końca umieli sobie poradzić.

- Zrobić ci herbaty? - spytałam Gabriela, chcąc się choć trochę przydać. - Gdzie Ivy?

W tym właśnie momencie wkroczyła, ubrana w lniane spodnie i podkoszulek, z włosami mokrymi po kąpiel. Zaszła w niej widoczna zmiana. Zamiast rozmarzenia na jej twarzy gościł nieznany mi dotąd wyraz determinacji. Wydawała się czymś zaprzątnięta, ponieważ ledwo zdążyłam nalać jej herbaty, a już przeprosiła nas i opuściła kuchnię. Zauważyłam też, że ostatnio często i zawzięcie notuje coś w swoim kajeciku.

- Czy Ivy ma jakiś problem? - zapytałam Gabriela, gdy wyszła.

- Chciałaby już zacząć działać - odparł.

Nie wiedziałam ani nie pytałam, jakie dokładnie działania Ivy mogłaby mieć na myśli, lecz zazdrościłam jej, iż dąży do jakiegoś celu. Kiedy ja odkryję swój? Kiedy poczuję satysfakcję, że zrobiłam coś dobrego?

- Ale w jaki sposób?

- Znasz swoją siostrę, jej nigdy nie brak inwencji. Coś wymyśli. - Czy Gabriel celowo starał się być tajemniczy? Czy zdawał sobie sprawę, jak bardzo czuję się zagubiona?

- A co ja powinnam robić? - spytałam, zła na siebie za nadąsany ton.

- To samo do ciebie przyjdzie - odrzekł mój brat. - Daj sobie trochę czasu.

- A zanim to nastąpi?

- Czy nie mówiłaś, że chciałabyś spróbować żyć jak normalna nastolatka?

Uśmiechnął się do mnie ciepło i - jak zwykle - rozwiął tym wszelkie moje niepokoje.

Zajrzałam ciekawie do miski z czarnymi plastrami pływającymi w mętnej cieczy.

- Ta kora to składnik dania?

- To suszone borowiki lub inaczej prawdziwki. Przed przyrządzeniem należy je namoczyć.

- Hmm... wyglądają pysznie - starałam się być miła.

- Są uważane za przysmak. Nie martw się na pewno przypadną ci do gustu.

Przysunęłam Gabrielowi kubek z herbatą i wróciłam do przypatrywania się jego pracy, doskonale się przy tym bawiąc. W pewnym momencie nóż wysliznął mu się z ręki, rozcinając głęboko czubek palca wskazującego. Zapało mi dech. Widok krwi mnie zaszokował - w dość przerażający sposób przypominał o tym, jak kruche są nasze ciała. Nie przywykłam do oglądania tego gęstego szkarłatnego płynu, kapiącego teraz z palca mojego brata. Dotychczas krew kojarzyła mi się tylko z ludźmi. Lecz Gabriel nawet się nie skrzywił. Przyłożył po prostu skaleczony palec do ust, a gdy go odjął, nie było żadnego śladu po rozcięciu. Umył ręce mydłem leżącym na zlewie i wrócił do siekania, krojenia oraz obierania.

Wzięłam w palce kawałek selera przeznaczonego do sałatki, włożyłam go do ust i zaczęłam żuć ot tak, dla zabicia czasu. Po chwili doszłam do wniosku, że ludzie z pewnością nie wybierają tego warzywa ze względu na jego smak - praktycznie w ogóle go nie miało. Było za to przyjemnie chrupkie. Jednak pomysł, że mam po nie sięgnąć dobrowolnie, wydał mi się absurdalny. Chyba że chodzi o wartości odżywcze - to mogę zrozumieć. Właściwe odżywianie oznacza zdrowsze ciało i dłuższe życie. Ludzie niepotrzebnie aż tak boją się śmierci, lecz z

drugiej strony trudno im się dziwić, skoro nie mają pojęcia, co ich czeka. W odpowiednim momencie zrozumieją, że w ogóle nie było czego się bać.

Obiad ugotowany przez Gabriela okazał się, jak zwykle, wspaniały. Nawet Ivy, która zasadniczo nie przepadała za jedzeniem, musiała przyznać, że jest pod wrażeniem.

- Kolejny kulinarny sukces, braciszku - stwierdziła, włożywszy do ust pierwszy kęs.

- Rewelacyjnie doprawione - zawtórowałam jej. Był to jeden z wielu cudów, jakie ziemia miała do zaoferowania. Bez końca podziwiałam rozmaite smaki i konsystencje właściwe różnym rodzajom jedzenia: gorzkie, kwaśne, słone, kremowe, cierpkie, słodkie, pikantne... a czasem prawie wszystko naraz. Niektóre z nich uwielbiałam, inne wywoływały gwałtowną chęć przepłukania ust - lecz za każdym razem było to coś nowego i niesamowitego.

Gabriel z właściwą sobie skromnością udał, że nie słyszy naszych pochwał, i rozmowa powróciła do wydarzeń minionego dnia.

- No, to pierwszy dzień mamy za sobą. Chyba poszło nieźle, aczkolwiek nie spodziewałem się, że aż tylu uczniów obdarzonych jest talentem muzycznym.

- Myślę, że większość z nich odkryła w sobie ten talent zupełnie nieoczekiwanie, i to na twój widok. Ivy nie udało się powstrzymać uśmiechu.

- W każdym razie mam nad czym pracować - odparł Gabriel. - Jeśli potrafią odnaleźć piękno w muzyce, będą umieli je zobaczyć i w sobie nawzajem, i w otaczającym ich świecie.

- Nie nudzą cię te lekcje? - zapytałam. - Przecież i tak masz już dostęp do całej ludzkiej wiedzy.

- Nie sądzę, by Gabriela interesowała sama istota - odrzekła Ivy. - Zapewne starał się skoncentrować na innego rodzaju sprawach. - Niekiedy moja siostra wpadała w nieopisane irytującą manierę mówienia zagadkami, spodziewając się przy tym, iż wszyscy pozostali doskonale orientują się, o co jej chodzi.

- Ja tam się okropnie nudziłam - upierałam się przy swoim. - Szczególnie na chemii. Doszłam do wniosku, że ten przedmiot wybitnie mnie nie kręci.

Gabriel zachichotał ochryple. Najwyraźniej rozbawił go mój dobór słów.

- No cóż, będziesz sama musiała poszukać tego, co cię kręci. Popróbuj różnych rzeczy i zobacz, co cię zaciekawi.

- Lubię zajęcia z literatury. Zaczęliśmy dziś oglądać filmową adaptację *Romea i Julii*.

Nie wspomniałam im o tym, lecz historia ta niezwykle mnie wciągnęła. Fakt, że

kochankowie zadurzyli się w sobie tak głęboko i tak nieodwołalnie już od pierwszego spotkania, zafascynował mnie, rozbudził palącą ciekawość, niemal chęć doświadczenia takiego uczucia.

- I jak ci się podoba? - zainteresowała się Ivy.

- Jest bardzo piękna. Tylko nasza profesor strasznie się wściekła, kiedy jeden z chłopców powiedział coś o pani Kapuletti.

- A co takiego powiedział?

- Nazwał ją MKCP To musi chyba oznaczać coś obraźliwego, bo panna Castle powiedziała, że skończony z niego prymityw, i wyrzuciła go z klasy. Gabe, powiedz mi, proszę, co to jest MKCP?

Ivy zasłoniła usta serwetką, ukrywając uśmiech, Gabriela..Natomiast zrobił coś niesłychanego: oblał się rumieńcem i poruszył niespokojnie na krześle, wyraźnie zażenowany. Nigdy leszcze go takim nie widziałam.

To jakiś skrót pochodzący od stosowanego przez młodzież wulgaryzmu, jak sądzę - wymamrotał.

Tyle to się domyśliłam, ale czy wiesz, co on oznacza? Milczał przez chwilę, starając się znaleźć odpowiednie słowa. Jest to termin używany przez nastoletnich chłopców na określenie atrakcyjnej kobiety, która jest przy tym matką. - Odchrząknął i pośpiesznie wstał z krzesła, by dolać sobie wody.

Jestem pewna, że ten skrót ma jakieś konkretne rozwinięcie naciskałam.

Ma - odrzekł Gabriel, zrezygnowany. - Ivy, czy pamiętasz, może, jakie?

- Wydaje mi się, że chodzi o „matkę, którą chciałbym... bliżej poznać” - wybąkała moja siostra.

- Tylko tyle?! - wykrzyknęłam. - Wielkie mi halo! Panna Castele stanowczo powinna wyluzować.

Małe cuda

Gdy skończyliśmy jeść i pozmywaliśmy wspólnie naczynia, Gabriel wyszedł jeszcze na taras poczytać, choć powoli robiło się ciemno. Ivy kontynuowała pucowanie i tak nieskazitelnie czystych kuchennych blatów. Jej dbałość o porządek zaczynała powoli zakrawać na obsesję, choć mógł to być także sposób radzenia sobie z tęsknotą za niebem. Rozglądałam się w poszukiwaniu czegoś, czym i ja mogłabym się zająć. W Królestwie Niebieskim czas nie istniał, nie istniała więc także potrzeba wypełniania go. Na ziemi jednak wynajdywanie sobie zajęć stanowi istotę egzystencji i nadaje jej sens.

Moje rozterki musiały zwrócić uwagę Gabriela, ponieważ nagle zrezygnował z czytania, wtykając głowę przez balkonowe drzwi.

- A może pójdziemy na spacer, pooglądamy zachód słońca? - zaproponował.

- Doskonała myśl. - Od razu poprawił mi się humor. - Idziesz, Ivy?

- Najpierw przyniosę nam coś cieplejszego do ubrania. Wieczorami robi się naprawdę chłodno.

Przewróciłam oczami. Ależ ta Ivy przesadza! Z naszej trójki tylko ja mogłam zmarznąć, a miałam już na sobie kurtkę. Ona i

Gabriel zahartowali się podczas poprzednich wizyt na ziemi, tylko mnie czekała jeszcze długa droga.

- Przecież wy nawet nie odczujecie zimna - stwierdziłam.

- Nie o to chodzi. Ktoś mógłby to zauważyć. Po co niepotrzebnie zwracać na siebie uwagę?

- Ivy ma rację - poparł ją Gabriel. - Trzeba być ostrożnym. - Zniknął na górze, by wrócić po chwili z dwiema grubymi kurtkami.

Ponieważ nasz dom stał na szczycie wzgórza, zmuszeni byliśmy pokonać długą serię zapiaszczonych schodów, nim dostaliśmy się na plażę. Stopnie były tak wąskie, że należało iść gęsiego. A istniał przecież dużo wygodniejszy sposób - wystarczyło rozwinąć skrzydła i dać nurka w dół, lądując wprost na miękkim piasku. Oczywiście nie odważyłam się powiedzieć tego głośno. Doskonale wiedziałam, że czekałby mnie długi wykład na temat lekkomyślności. Sama zdawałam sobie sprawę, że lot w biały dzień, w dodatku w publicznym miejscu, to gwarantowany sposób na przekreślenie wszelkich naszych dotychczasowych wysiłków.

Milczałam więc, schodząc jak przykładowa śmiertelniczka po wszystkich stu siedmiu stopniach, aż wreszcie dotarliśmy na brzeg.

Natychmiast zrzuciłam buty, delektując się jedwabistą pieszczotą ziarenek piasku pod stopami. Tak dużo było jeszcze do odkrycia na ziemi! Nawet zwykły piach ma tyle różnych właściwości. Niemal każda jego drobinka odznacza się inną wielkością i barwą, a w słońcu okazuje się niekiedy zupełnie przezroczysty. Plaża obfitowała też i w inne małe skarby: perłowe muszelki, kawałki szkła wygładzone monotonnym ruchem fal, na wpół zakopany sandałek czy porzucona dziecięca łopatka. Maleńkie białe kraby przemykały w tę i z powrotem przez mikroskopijne tunele wydrążone w skalach. Bliskość oceanu oznaczała szaleństwo dla zmysłów - jego ryk, przywodzący na myśl żywą istotę, wypełniał moją głowę łoskotem, który zdawał się nigdy nie milknąć, a jedynie przycichać po to, by zaraz zagrznieć ze zdwojoną siłą. Od hałasu bolały mnie uszy, słone powietrze podrażniało gardło i nos, a policzki płonęły i piekły, smagane gwałtownymi podmuchami wiatru. Mimo to rozkoszowałam się każdą minutą, czerpiąc pełną garścią z nowych, tak bardzo ludzkich doświadczeń.

Powędrowaliśmy brzegiem, ścigani przez spienione fale przyływu. Pomimo składanych sobie niedawno obietnic ćwiczenia silnej woli nie zdołałam opanować przemożnej chęci ochlapania Ivy. Trochę się bałam, że może być zła, ale ona upewniła się tylko, czy

Gabriel odszedł wystarczająco daleko, i oddała mi z nawiązką. Fontanna wody wzbija się w powietrze, rozbryzgując się tuż nad moją głową niczym deszcz klejnotów. Głośny śmiech zwrócił uwagę Gabriela, który pokręcił z dezaprobatą głową, dziwiąc się naszym wybrykom. Ivy puściła do mnie oko, pokazując na niego. Od razu zgadłam, co ma na myśli, i nie trzeba mi było dodatkowej zachęty.

Gabriel nie zauważył, jak z rozbiegu wskoczyłam mu na plecy, oplatając ramionami szyję. Dla niego ważyłam tyle co nic. Ruszył biegiem z taką prędkością, że słyszałam wiatr gwizdający mi w uszach, i poczułam się dawną sobą. Znalazłam się bliżej nieba, niemal gotowa uwierzyć, że oto niosą mnie moje własne skrzydła.

Nagle Gabriel się zatrzymał. Puściłam go, lądując z głuchym stęknieniem na mokrym piasku, on zaś pochylił się, chwycił garść wodorostów i cisnął nimi w Ivy, trafiając ją prosto w twarz. Zaczęła parskać i prychać, usiłując pozbyć się ośli-złych słonych liści, wypełniających jej usta.

- Poczekaj no tylko! - krzyknęła, plując. - Pożałujesz tego!

- Nie sędzę - droczył się Gabriel. - Musiałabyś mnie najpierw dogonić!

O zachodzie słońca na głównej plaży wciąż siedziało jeszcze kilka osób. Część z nich łapała ostatnie promienie ciepła przed uderzeniem lodowatego wichru, przed którym ostrzegęła Ivy, a część przyszła tu, by zjeść kolację na łonie natury. Nieopodal nas jakaś kobieta pakowała rzeczy swoje i córeczki. Dziewczynka, może pięcio - lub sześćioletnia, podbiegła do niej cała we łzach. Na jej pulchnym ramionku widoczna była czerwona opuchlizna, zapewne skutek ugryzienia, które dodatkowo rozdrapała. Dziecko płakało coraz głośniej, podczas gdy matka bezradnie przetrząsała torebkę w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc. W końcu wydobyła z niej tubkę żelu aloesowego, lecz nie była w stanie uspokoić córki na tyle, by móc posmarować jej rękę.

Ivy podeszła do nich i pochyliła się nad małą. Na twarzy matki pojawił się wyraz ulgi i wdzięczności, gdy usłyszała miękki, kojący głos mojej siostry:

- Co za wstrętne ugryzienie.

Dziewczynka natychmiast przestała płakać. Patrzyła na Ivy jak na kogoś, kogo zna od urodzenia. Ta zaś wzięła tubkę, odkręciła nakrętkę i nałożyła nieco lekarstwa na spuchniętą rączkę.

- To powinno pomóc - powiedziała.

Mała gapiła się na nią z zachwytem. Widziałam, jak jej wzrok powędrował nad głowę Ivy, w miejsce, gdzie znajdowała się jej aureola. Na ogół tylko my możemy ją dostrzec. Czy to możliwe, że ta dziewczynka wyczuła otaczającą Ivy aurę swymi wyostrozonymi zmysłami dziecka?

- Lepiej?

- Duzo lepiej - odparła mała. - Zaczarowałeś mnie? Ivy się roześmiała.

- Mam swoje magiczne sposoby.

- Bardzo pani dziękuję za pomoc - odezwała się młoda matka, przyglądając się w osłupieniu, jak opuchlizna i zaczerwienienie na rączce córki znikają. Po chwili skóra w tym miejscu była gładka i zdrowa, bez śladu jakiegokolwiek podrażnienia. - Nie wiedziałam, że ten żel jest taki dobry!

- Nie ma za co - odrzekła Ivy. - A żel faktycznie jest doskonały. Niewiarygodne, co potrafi dzisiejsza medycyna.

Nie zwlekając, ruszyliśmy plażą do portu. Gdy dotarliśmy do miasta, dochodziła dziewiąta

wieczór, lecz na ulicach wciąż było gwarno, mimo że następnego dnia wszyscy szli do pracy. Centrum miasteczka okazało się uroczym miejscem, pełnym sklepików z antykami oraz kafejek serwujących herbatę w porcelanowych filiżankach, z których każda należała do innego kompletu. Podobnie było z talerzykami i pucharkami, w których podawano mrożone desery. O tej godzinie jednak wszystko, poza jednym pubem i lodziarnią, było już zamknięte. Uszliśmy zaledwie kilka kroków, gdy usłyszałam za plecami wysoki głos, niosący się wraz z dźwiękami melodii wygrywanej na banjo przez ulicznego śpiewaka. - Beth! Tutaj!

Z początku nie zorientowałam się, że chodzi o mnie. Nikt nie nazywał mnie w ten sposób. Imienia, które zostało mi nadane w

Królestwie Niebieskim, nigdy nie skracano - zawsze brzmiało ono „Bethany”. „Beth” towarzyszyła pewna poufałość, która bardzo mi się spodobała. Gabriel i Ivy zastygli bez ruchu. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Molly z grupką znajomych na ławce przed lodziarnią.

Była ubrana w czarną sukienkę bez pleców, zupełnie nieodpowiednią na taką pogodę. Siedziała na kolanach chłopca o rozjaśnionych przez słońce włosach. Miał na sobie bermudy w kwiaty. Jego szerokie dłonie głaskały długimi, miarowymi ruchami nagie plecy Molly, a ona machała energicznie, wołając mnie. Zerknęłam niepewnie na Ivy i Gabriela. Nie wyglądali na zadowolonych. Był to dokładnie ten rodzaj kontaktu z ludźmi, którego woleliby uniknąć. Poza tym widziałam, że Ivy bardzo nie podoba się takie głośnie zachowanie. Lecz oboje z Gabrielem zdawali sobie sprawę, że tak oczywiste zignorowanie Molly oznaczałoby poważne naruszenie zasad dobrego wychowania.

- Nie przedstawisz nas swojej koleżance, Bethany? - spytała Ivy.

Położyła mi dłoń na ramieniu, prowadząc mnie w kierunku Molly i jej przyjaciół. Kolega Molly, z początku zły, że wyrwała się z jego objęć, szybko znalazł nowy obiekt zainteresowania. Gapił się na Ivy tak, że opadła mu szczęka. Bezwstydnie wodził wzrokiem po wszystkich krągłościach jej idealnej figury. A gdy Molly zbliżyła się do nas na tyle, by lepiej przyjrzeć się mojemu rodzeństwu, na jej twarzy zagościł ten sam wyraz trwożnego zachwyty, który oglądałam przez cały dzień u innych dziewcząt w szkole. Czekałam, aż coś powie, ale się nie odezwała. Zamiast tego otworzyła i zamknęła usta, zupełnie jak ryba. Dopiero po chwili udało jej się opanować na tyle, by zdobyć się na słaby uśmiech.

- Molly, to jest Ivy, moja siostra, i Gabriel, mój brat - dokonałam błyskawicznej prezentacji.

Jej oczy wędrowały od Gabriela do Ivy. Ledwo zdołała wydusić krótkie pozdrowienie i nieśmiało odwróciła wzrok. Zaskoczyła mnie tym. W szkole widziałam wiele razy, jak swobodnie rozmawiała z chłopcami, żartując i drocząc się z nimi, świadoma swoich wdzięków.

Gabriel przywitał się z nią w taki sam sposób, jak z każdym nowym znajomym: był nieskazitelnie uprzejmy, zachowywał się przyjaźnie, lecz z dystansem.

- Miło mi cię poznać - rzekł, skłaniając lekko głowę. Ivy pozwoliła sobie na nieco więcej serdeczności, posyłając Molly życzliwy uśmiech. Biedna dziewczyna wyglądała, jakby spadła jej na głowę tona cegieł.

Dopiero ochryple krzyki dochodzące od strony pubu położyły kres tej niezręcznej sytuacji. Zamieszanie robili młodzi, dobrze zbudowani mężczyźni, tak zamroczeni alkoholem, że nie zdawali sobie sprawy z hałasu, jaki czynią, lub też było im to zupełnie obojętne. Dwóch z nich stało naprzeciwko siebie z zaciśniętymi pięściami. Ich wykrzywione złością twarze jednoznacznie wskazywały, że bójka jest nieunikniona. Kilka osób, które siedziały przy stolikach na zewnątrz, popijając wieczorną kawę, zebrało pośpiesznie swoje rzeczy i weszło do środka. Gabriel zrobił krok do przodu, osłaniając Molly, Ivy i mnie. Jeden z mężczyzn, nieogolony typ z grzywą czarnych, brudnych i rozczochranych włosów, zamachnął się na drugiego. Dało się słyszeć trzask pękającej szczęki. Tamten w odpowiedzi rzucił się na niego, przewracając na ziemię, podczas gdy reszta kompanii okrążyła ich, głośnymi okrzykami zachęcając do walki.

Na twarzy Gabriela pojawiła się odraza, zastępując na moment zwykle opanowanie. Zrobił jeszcze kilka kroków w kierunku okładających się pięściami mężczyzn. Niektórzy z gapiów obserwowali go zdezorientowani, zastanawiając się, jaki jest jego udział w całym zajściu. Gabriel zaś złapał ciemnowłosego napastnika, z łatwością stawiając go na nogi, jakby tamten był lekki niczym piórko. Następnie podniósł z ziemi jego towarzysza z rozerwaną, ociekającą krwią wargą, i stanął między nimi. Jeden natychmiast zamachnął się na Gabriela, lecz ten chwycił jego pięść w powietrzu, nie zmieniając nawet wyrazu twarzy. Wówczas obaj zgodnie zwrócili się przeciwko niemu, zjednoczeni wściekłością na tę nieproszoną interwencję. Młócili rękami jak w amoku, lecz ani jeden cios nie okazał się celny, choć Gabriel nie ruszał się z miejsca. W końcu obydwaj osunęli się na chodnik, ledwo zipiąc z wysiłku.

- Idźcie do domu - nakazał im Gabriel głębokim, donośnym głosem. Od chwili, gdy włączył się w tę awanturę, były to jego pierwsze słowa. Siła zawartego w nich autorytetu otrzęwiła obu śmiałków. Ociągali się jeszcze przez chwilę, niby się zastanawiając, lecz w końcu

odeszli, zataczając się i klnąc pod nosem, podtrzymywani przez kolegów.

- To było niewiarygodne! - wykrzyknęła Molly, gdy tylko Gabriel do nas wrócił. - Jak pan to zrobił? Pewnie jest pan mistrzem karate!

Gabriel zbył jej zachwyty wzruszeniem ramion.

- Jestem pacyfistą. Przemoc jest niegodna człowieka. Ta odpowiedź najwyraźniej zbiła Molly z tropu.

- To co... zjecie może z nami? - zapytała wreszcie. - Te ich miętowe lody z kawałkami czekolady są po prostu niezwykłe. Masz, Beth, spróbuj...

Zanim zdołałam zaprotestować, wsunęła mi do ust całą łyżeczkę specjału. Poczułam, że mam na języku coś zimnego i śliskiego, co w dodatku w błyskawicznym tempie zaczęło zmieniać kształt. Wydawało się, że przechodzi w inny stan skupienia - z aksamitnej bryłki przeistoczyło się w gęsty płyn, który ściekał mi do gardła. Od zimna momentalnie rozbolała mnie głowa, więc szybko wszystko przełknęłam.

- Pyszne - powiedziałam szczerze.

- Mówiłam! - ucieszyła się Molly. - Czekaj, zaraz ci przyniosę całą porcję.

- Przykro mi, ale musimy już wracać - przerwał jej dość szorstko Gabriel.

- Ach, tak... oczywiście. - Molly wyraźnie zmarkotniała. Zrobiło mi się jej żal. Tak bardzo starała się ukryć rozczarowanie.

- Może innym razem? - zaproponowałam.

- Jasne - odpowiedziała nieco weselej, odwracając się do swoich przyjaciół. - Do jutra, Beth. Ale! Czekaj, byłabym zapomniała! Mam coś dla ciebie.

Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej tubkę błyszczycy, takiego samego jak ten, który dała mi do wypróbowania w szkole.

- Mówiłaś, że ci się podobał, więc ci kupiłam.

- Dziękuję, Molly - wyjąkałam. Właśnie dostałam pierwszy w życiu ziemski prezent. Wzruszyło mnie, że o mnie pomyślała. - To naprawdę bardzo miło z twojej strony.

- Nie ma sprawy. Niech ci dobrze służy.

Gdy wracaliśmy do domu, ani Gabriel, ani Ivy nawet jednym słowem nie skomentowali mojej świeżo zawartej przyjaźni z Molly.

Widziałam, że wymienili kilka znaczących spojrzeń, lecz byłam już zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać.

Podczas wieczornej toalety stałam przez dłuższą chwilę w łazience przed olbrzymim lustrem, przyglądając się sobie. Trochę trwało, zanim się przyzwyczaiłam, że w ogóle mogę się zobaczyć. W niebie mogliśmy widzieć innych, lecz nigdy siebie. Przy odrobinie szczęścia dało się czasem zauważyć skrawek własnej twarzy odbitej w czyichś oczach, lecz nawet wtedy była to tylko rozmazana plamka, szczałkowy szkic, któremu brakowało kolorów i wykończenia.

Posiadanie ludzkiego ciała oznaczało możliwość obejrzenia ukończonego obrazu. Każdy włos, każdy por w skórze był idealnie wyraźny. Zauważyłam, że różnię się od innych dziewcząt z Venus Cove. Moja skóra była biała jak śnieg, podczas gdy one wszystkie zachowały jeszcze letnią opaleniznę. Miałam wielkie, brązowe oczy o dużych źrenicach. Wtopy Molly i jej koleżanek nosiły ślady licznych fryzjerskich eksperymentów, podczas gdy moje po prostu rozdzielały się pośrodku głowy, opadając na ramiona miękkimi falami w naturalnym kasztanowym kolorze. Usta miałam wydatne i czerwone. Później dowiedziałam się, że sprawiają, iż wyglądam czasem, jakbym się dąsała.

Westchnęłam, związałam włosy w luźny węzeł na czubku głowy i włożyłam flanelową piżamę z nadrukiem w czarno-białe tańczące krowy. Nawet pomimo ograniczonego doświadczenia szczerze wątpiłam, czy znalazłaby się w Venus Cove choć jedna dziewczyna, która ubrałaby się dobrowolnie w coś podobnego. Dostałam ją od Ivy i był to jak dotąd najwygodniejszy strój w mojej szafie. Gabriel otrzymał podobną, tyle że w żagłówki. Niestety, jeszcze nie miałam okazji go w niej oglądać.

Poszłam na górę, ciesząc się z prostoty, z jaką urządzono mój pokój. Lubiłam zwłaszcza wąskie przeszklone drzwi, prowadzące na maleńki balkon. Często zostawiałam je lekko uchylone i leżałam w łóżku, zaciągnąwszy muślinowe zasłony, przysłuchując się odgłosom oceanu. Było tu tak spokojnie. Przez otwarte drzwi napływał słony zapach morza, z dołu dochodziły dźwięki fortepianu, na którym Gabriel grał Mozarta. Każdej nocy kołysała mnie do snu muzyka lub łagodny szmer głosów mojego rodzeństwa.

Wyciągnęłam się wygodnie na łóżku, delektując się dotykiem świeżej chłodnej pościeli. Z ulgą myślałam o śnie, co przyjął z niejakim zaskoczeniem - anioły nie potrzebują go tak bardzo jak ludzie. Wiedziałam, że minie jeszcze wiele godzin, zanim Ivy i

Gabriel udadzą się na spoczynek. Jednak dzień pełen nowych wrażeń okazał się niezmiernie wyczerpujący. Ziewając, obróciłam się na bok. Głowa ciążyła mi od naporu bezładnych myśli i pytań, na które nie miałam siły szukać odpowiedzi.

Gdy zapadałam w drzemkę, wydało mi się, że ktoś wszedł cicho do pokoju. Poczułam, jak materac ugina się pod jego ciężarem, gdy przysiadł w milczeniu na brzegu łóżka. Byłam pewna, że obserwuje mnie, jak śpię, lecz nie śmiałam otworzyć oczu, wiedząc - obawiając się - że jest wytworem mojej wyobraźni. Nie chciałam jeszcze płoszyć tego złudzenia. Chłopiec odsunął miękkim gestem opadający mi na oczy kosmyk włosów i pochylił się, by pocałować mnie w czoło. Jego usta musnęły moją skórę leciutko jak skrzydła motyla. Nie bałam się, miałam do niego absolutne zaufanie. Usłyszałam, jak wstaje i przymyka drzwi balkonowe, po czym odwraca się, by odejść.

- Dobranoc, Bethany - wyszeptał głos Xaviera Woodsa. - Słodkich snów.

- Dobranoc - odpowiedziałam sennie, lecz gdy otworzyłam oczy, pokój okazał się pusty. A później moje powieki stały się tak ciężkie, że same zaczęły opadać. Przyćmione światło nocnej lampki, odgłosy morza - wszystko odpłynęło. Zapadłam w głęboki, spokojny sen.

Lekcja francuskiego

Ktoś mnie wołał. Staralam się go zignorować, lecz nie ustępował, i ostatecznie zmuszona byłam opuścić błogą, pełną mgieł krainę sennych marzeń. - Wstawaj, śpiochu!

Otworzyłam oczy i ujrzałam poranne światło wlewające się do pokoju niczym ciepłe płynne złoto. Usiadłam i starłam z twarzy resztki snu. W nogach łóżka stała Ivy. W rękę trzymała kubek.

- Spróbuj, smakuje okropnie, ale pomaga się obudzić.
- Co to jest?
- Kawa. Wielu ludzi uważa, że bez niej nie da się funkcjonować.

Siedząc na łóżku, sączyłam gorzki czarny napar, starając się powstrzymać od wyplucia go. Zastanawiałam się, jak ludzie mogą to kupować, lecz już po chwili kofeina zaczęła działać i musiałam przyznać, że czuję się znacznie różnie.

- Która godzina? - spytałam.
- Późna.
- Gdzie Gabe?
- Zdaje się, że poszedł pobiegać. Wstał o piątej rano.
- Oszałał - wyjęczałam, zaciągając zasłony wokół łóżka. Stuprocentowa nastolatka.

Po chwili wyskoczyłam z łóżka, przeczesalam włosy grzebieniem, upinając je luźno na karku, opłukałam twarz i poczłapałam do kuchni. Gabriel, który zdążył już wrócić z joggingu, przygotowywał właśnie śniadanie. Wykąpany, zaczesał mokre włosy do tyłu, przez co wyglądał trochę jak lew. Miał na sobie jedynie owinięty wokół bioder ręcznik, a jego muskularne ciało lśniło w porannym słońcu. Złożone skrzydła były niemal niewidoczne - o ich istnieniu świadczyła jedynie cienka falująca linia między łopatkami. Krzątał się przy kuchence, trzymając w ręku stalową łopatkę.

- Naleśniki czy gofry? - zapytał. Nie musiał odwracać głowy, by wiedzieć, kto wszedł.
- Właściwie nie jestem głodna - odparłam przeproszająco.
- Chyba w ogóle nie zjem śniadania, kupię sobie coś później.
- Nikt nie wyjdzie z tego domu z pustym żołądkiem. - Gabriel postanowił być nieugięty. -

Więc co wybierasz?

- Jest za wcześnie! Nie zmuszaj mnie, bo zwymiotuję! - Wyklócałam się jak dziecko, które próbuje się wykręcić od zjedzenia brukselki.

Gabriel wyglądał na urażonego.

- Przepraszam bardzo, czy sugerujesz, że moje potrawy doprowadzają ludzi do wymiotów?

Och...

- Ależ oczywiście, że nie. Ja po prostu... - starałam się naprawić błąd.

Na to mój brat położył mi ręce na ramionach, wpatrując się we mnie z powagą.

- Bethany, czy wiesz, co dzieje się z ludzkim ciałem, gdy nie dostarcza mu się odpowiedniej ilości pożywienia?

Pokręciłam z irytacją głową. Wiedziałam, że zaraz przedstawi mi całą listę faktów, z którymi nie będę mogła dyskutować.

- Nie może funkcjonować. Nie zdołałabyś się skoncentrować na lekcjach, mogłabyś nawet mieć zawroty głowy. - Przerwał, czekając, aż jego słowa wywrą spodziewane wrażenie.

- Nie chcesz chyba zemdleć już drugiego dnia szkoły, prawda?

Udało mu się osiągnąć zamierzony efekt. Usiadłam z impetem na krześle, wyobrażając sobie, jak przewracam się z głodu, nade mną zaś pojawia się cała masa zaniepokojonych twarzy. Możliwe, że znalazłaby się wśród nich i twarz Xaviera Woodsa, który nagle doszedłby do wniosku, że nie chce mieć ze mną do czynienia.

- Poproszę naleśniki - mruknęłam ponuro. Usatysfakcjonowany Gabriel odwrócił się do kuchenki.

Śniadanie przerwał nam dzwonek do drzwi. Byłam ciekawa, kto też może nas niepokoić o tak wczesnej godzinie. Staraliśmy się unikać sąsiadów. Obie z Ivy spojrzaliśmy wyczekująco na Gabriela. Potrafił wyczuwać myśli każdego, kto znalazł się wystarczająco blisko niego - bardzo przydatna umiejętność, która nieraz już okazała się zgoła bezcenna. Ivy przybyła z niebios z darem leczenia. Jakim szczególnym talentem ja zostałam obdarzona, miało się dopiero okazać. Najwyraźniej należało zaczekać, aż w odpowiednich okolicznościach sam się objawi.

- Kto to? - zapytała Ivy bezgłośnie.

- Sąsiadka z naprzeciwka - odparł Gabriel. - Nie zwracajmy na nią uwagi, może odejdzie.

Siedzieliśmy bez słowa i bez ruchu, lecz nasza sąsiadka prawdopodobnie nie należała do osób, które poddają się bez walki. Ku naszemu zaskoczeniu, kilka minut później dało się słyszeć skrzypnięcie bocznej furtki i nim zdołaliśmy się zorientować, nasz gość stał już przy kuchennym

oknie, machając do nas ochoczo. Byłam oburzona tym najściem, lecz moje rodzeństwo zachowało zimną krew.

Gabriel szybko narzucił szlafrok i poszedł otworzyć drzwi. Po chwili wprowadził do kuchni kobietę lat około pięćdziesięciu, o włosach utlenionych na platynowy blond i z twarzą opaloną na brązowo. Miała na sobie mnóstwo złotej biżuterii oraz welurowy dres.

Usta pomalowała jaskrawą szminką. Pod pachą trzymała papierową torbę. Ujrzawszy naszą trójkę, przez moment wyglądała na oszołomioną. Nie dziwiłam jej się musiał to być niezwykle widok.

- Witam - powiedziała żywo, przechylając się przez stół, by uścisnąć nam dłonie. - Na waszym miejscu sprawdziłabym dzwonek przy drzwiach, zdaje się, że nie działa. Nazywam się Dolores Henderson, mieszkam obok.

Gabriel zajął się prezentacją, podczas gdy Ivy, jak każda wzorowa gospodyni, zaoferowała gościowi filiżankę kawy, stawiając jednocześnie na stole talerz z muffinkami. Zauważyłam, że pani Henderson zlustrowała Gabriela mniej więcej w taki sam sposób, jak robiły to dziewczęta ze szkoły.

- Nie, nie, dziękuję bardzo - odparła w odpowiedzi na propozycję Ivy. - Wpadłam tylko z taką małą powitalną wizytką, zobaczyć, jak się urządziliście. - Postawiła na blacie papierową torbę, którą przyniosła. - Pomyślałam, że może mielibyście ochotę na dżem domowej roboty. Dałam po słoiczku morelowego, figowego i truskawkowego - nie wiedziałam, jaki lubicie.

- To bardzo miło z pani strony, pani Henderson - podziękowała uprzejmie Ivy, lecz widziałam, że Gabriel zaczyna się niecierpliwić.

- Och, mów mi Doiły - odrzekła sąsiadka. - To nic wielkiego! My tu wszyscy jesteśmy bardzo uczynni.

- Miło to słyszeć - odparła Ivy.

Nie mogłam się nadziwić - jak ona to robi, że ma na wszystko gotową odpowiedź? Ja nie byłabym w stanie nawet zapamiętać nazwiska tej kobiety.

- A pan to pewnie ten nowy nauczyciel muzyki w naszym liceum, prawda? - nie odpuszczała pani Henderson. - Mam bardzo zdolną siostrzenicę, która chętnie rozpoczęłaby naukę gry na skrzypcach. Pan uczy gry na skrzypcach, prawda?

- Między innymi - odparł lakonicznie Gabriel.

- Gabriel gra na kilku różnych instrumentach - wyjaśniła Ivy, piorunując go wzrokiem.

- Kilku! Coś takiego! Ależ pan musi być utalentowany! - entuzjazmowała się pani Henderson. - Siedząc u siebie na ganku, słyszę często, jak pan gra. A wy, dziewczynki, też na czymś gracie? I jaki z pana dobry brat, że się pan tak zaopiekował siostrami, przyjeżdżając tu z nimi!

Ivy westchnęła. Wyglądało na to, że zarówno nasz „przyjazd”, jak i szczegóły naszej „rodzinnej historii” szybko stały się pożywką dla miejscowych plotkarzy.

- Rodzice chyba zamierzają niedługo do was dołączyć? - dopytywała się pani Henderson, omiatając pomieszczenie ciekawskim spojrzeniem, jakby spodziewała się zobaczyć rodziców wyskakujących z lodówki lub spadających z sufitu.

- Mamy nadzieję wkrótce się z nimi spotkać - odparł Gabriel, rzucając okiem na zegar.

Dolly wyraźnie nie była usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. Ponieważ jednak nie doczekała się żadnego rozwinięcia, postanowiła zmienić temat.

- Poznaliście już kogoś ciekawego?

Bawiło mnie przyglądanie się tej scenie. Z im większą determinacją pani Henderson próbowała wyciągnąć z Gabriela interesujące ją informacje, tym mniej był skłonny ich udzielać.

- Nie mieliśmy zbyt dużo czasu na zawieranie znajomości - odrzekła Ivy. - Byliśmy raczej zajęci.

- Zajęci! - wykrzyknęła Dolly. - Tacy atrakcyjni młodzi ludzie! Trzeba będzie coś z tym zrobić. W miasteczku jest kilka naprawdę bajeranckich klubów - będę musiała was tam zabrać.

- Nie mogę się doczekać - odparł Gabriel tonem całkowicie wyzutym z emocji.

- Pani Henderson... - zaczęła Ivy, zorientowawszy się wreszcie, że nie ma szans na rychłe zakończenie tej rozmowy.

- Dolly.

- Tak, oczywiście, Dolly... sęk w tym, że my już musimy zbierać się do szkoły.

- Ależ naturalnie! Ja tu paplam i paplam, a wy się spieszycie. No cóż, jeśli będziecie czegokolwiek potrzebowali, mieszkam tuż obok. My tu wszyscy jesteśmy ze sobą bardzo zżyci.

Dzięki „wizytce” Dolly ja spóźniłam się na omawianie wypracowania z angielskiego, Gabriel zaś zastał swoich uczniów zabawiających się celowaniem papierowymi kulami w wiszący pod sufitem wentylator. Następną godzinę miałam wolną, spotkałam się więc z Molly na korytarzu przy szafkach. Musnęła na powitanie mój policzek swoim, po czym zdała mi szczegółową relację z wydarzeń poprzedniego wieczoru. Jakiś chłopiec imieniem Chris pożegnał

się z nią na Facebooku większą liczbą wirtualnych przytuleń i serduszek niż zazwyczaj, co dało Molly podstawy do rozważania kierunku, w jakim zmierza ich związek. Błękitni posłańcy oczyścili nasz dom z wszelkich zbędnych, ich zdaniem, zdobyczy techniki, tak więc niewiele wiedziałam na temat tego, o czym mówi Molly. Udało mi się jednak kiwać w odpowiednich momentach głową, dzięki czemu niczego nie zauważyła.

- Skąd możesz wiedzieć, co naprawdę czuje ktoś w Internecie? - zapytałam.

- Od tego są emotikonki, głuptasie - wyjaśniła Molly. - Ale i tak nie ma się co za bardzo wczytywać. Wiesz, który dzisiaj jest? - Jak się okazało, Molly miewała deprymujący zwyczaj przeskakiwania z tematu na temat bez najmniejszego ostrzeżenia.

- Szósty marca - odparłam.

Na to Molly wyciągnęła z kieszeni różowy kalendarzyk, po czym, piszcząc z ekscytacji, przekreśliła w nim tę datę długopisem ozdobionym piórkiem.

- Zostały już tylko siedemdziesiąt dwa dni - poinformowała mnie, zaróżowiona z emocji.

- Do...

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

- Do balu absolwentów, gapo! Nigdy w życiu na nic się tak nie cieszyłam.

Normalnie poczułabym się urażona, gdyby ktoś nazwał mnie „gapą”, lecz dość szybko odkryłam, że tutejsze dziewczęta traktują docinki jako formę czułości.

- Chyba trochę za wcześnie, żeby o tym myśleć - zdziwiłam się. - To jeszcze ponad dwa miesiące.

- Niby tak, ale wiesz, to jest najważniejsze wydarzenie roku! Wszyscy przygotowują się z wyprzedzeniem.

- Dlaczego?

- Ty poważnie pytasz? - Oczywiście Molly zrobiły się okrągłe jak talerzyki. - Przecież bal absolwentów to jak rytuał przejścia, jedyny dzień, który zapamiętasz do końca życia! No, może oprócz ślubu. Możemy szaleć, ile dusza zapagnie - limuzyna, suknia, wymarzony chłopak, tańce! Na tę jedną noc stajemy się księżniczkami!

Przyszło mi do głowy, że niektóre z nich już zachowują się jak księżniczki, ale powstrzymałam się od komentarza.

- Brzmi nieźle - mruknęłam. Tak naprawdę uważałam, że cała rzecz zapowiada się po prostu niedorzecznie, i natychmiast postanowiłam za żadną cenę nie dać się w to wciągnąć.

Mogłam sobie wyobrazić, jak kategoryczną dezaprobatę wyraziłby Gabriel wobec czegoś koncentrującego się w tak dużej mierze wyłącznie na zbytku oraz błahych przyjemnościach.

- Masz już jakiś pomysł na to, z kim chciałabyś pójść? - Molly szturchnęła mnie znacząco.

- Jeszcze nie. - Nie chciałam roztrząsać tej kwestii. - A ty?

- No więc - tu Molly ściszyła głos - Casey powiedział Taylah, że słyszał, jak Josh Crosby mówi Aaronowi Whitemanowi, że Ryan

Robertson zastanawia się, czy mnie zaprosić!

- Ojej! - Staralam się wyglądać tak, jakbym zrozumiała choć słowo z tego, co przed chwilą powiedziała. - To cudownie.

- No nie? - pisnęła Molly. - Tylko nikomu nie mów. Nie chcę zapeszyć.

Uśmiechnęła się, szczerząc zęby, i nim zdołałam ją powstrzymać, zaznaczyła w moim terminarzu którąś z dat w połowie maja, obrysowując ją czerwonym serduszkami. Zwróciła mi go, swój rzucając na bezładny stosik piętrzący się w jej szafce. Oprócz były jak poupychanych książek po wyścielonym papierkami dnie walała się na wpół opróżniona butelka jakiegoś napoju, spory wybór różnokolorowych błyszczków oraz kilka opakowań miętówek. Na wewnętrznych ściankach widniały poprzyklejane taśmą jedne na drugich plakaty modnych zespołów muzycznych. Moje ułożone równo podręczniki, szkolna marynarka powieszona starannie na przeznaczonym do tego celu haczyku oraz schludnie przyklejony kolorowy plan lekcji tworzyły rażący kontrast. Nie umiałam być bałaganiarą tak jak ludzie, każda cząsteczka mojego jestestwa domagała się porządku. Byłam żywą ilustracją powiedzenia, iż czystość idzie w parze z pobożnością.

Poszłam za Molly do stołówki, gdzie siedziałyśmy, zabijając czas do chwili, gdy ona musiała iść na matematykę, a ja na francuski. Najpierw jednak zmuszona byłam cofnąć się po niezbędne do zajęć książki, których nie wzięłam wcześniej, ponieważ były duże i nieporęczne. Ułożyłam je na teczce z notatkami, sięgając jeszcze po leżący nieco głębiej słownik angielsko-francuski.

- Witaj, nieznamo - odezwał się tuż za mną jakiś głos. Zaskoczona poderwałam głowę z takim impetem, że uderzyłam nią o metalowy sufit szafki.

- Ostrożnie! - wykrzyknął głos.

Odróciłam się i zobaczyłam Xaviera Woodsa. Na jego twarzy błąkał się ten sam zagadkowy uśmieszek, który tak dobrze zapamiętałam z naszego pierwszego spotkania. Dziś

miał na sobie strój sportowy: ciemnoniebieskie spodnie od dresu i białą koszulkę polo. Bluzę ze szkolnym logo przewiesił przez ramię. Patrzyłam na niego wyczekująco, rozmasowując sobie czubek głowy i zastanawiając się, dlaczego mnie zagadnął.

- Przepraszam, że cię wystraszyłem - powiedział wreszcie. - Wszystko w porządku?

- W jak najlepszym - zapewniłam, czując, jak jego nieodparty urok znów zaczyna na mnie działać. Uniósł brwi, przyglądając mi się badawczo. Tym razem znaleźliśmy się na tyle blisko siebie, że mogłam dostrzec miedziane i srebrzyste plamki na turkusowym błękitcie tęczywek jego oczu. Przeczesał palcami opadające na czoło włosy.

- Jesteś nowa w naszej szkole, prawda? Wczoraj jakoś nie udało nam się porozmawiać.

Nie mogłam wydusić żadnej odpowiedzi, więc kiwnęłam tylko głową i skupiłam się na skrupulatnych oględzinach własnych butów.

Gdy tylko podniosłam wzrok, zrozumiałam, jak duży był to błąd. Napotkawszy jego spojrzenie, poczułam tę samą wewnętrzną słabość, co poprzednio. Miałam wrażenie, że spadam w otchłań, zupełnie bezwładna.

- Słyszałem, że mieszkałaś za granicą - ciągnął Xavier, niezrażony moim milczeniem. - Co taka bywała w świecie dziewczyna robi w naszym prowincjonalnym miasteczku?

- Przyjechałam tu z rodzeństwem - wybąkałam.

- A tak, widziałem. Nie sposób ich nie zauważyć. - Zawahał się na sekundę. - Podobnie jak ciebie.

Poczułam, jak oblewam się gorącym rumieńcem. Zrobiłam krok do tyłu, pewna, że z daleka można wyczuć buchający ode mnie żar.

- Spóźnię się na francuski - wyjąkałam. Złapałam pierwsze z brzegu książki i pobiegłam korytarzem, niemal potykając się o własne nogi.

- Sale językowe są w innym skrzydle! - zawołał za mną Xavier, lecz nie zawróciłam.

Odnalazłszy wreszcie właściwą klasę, z ulgą odkryłam, iż nauczyciel dopiero co przyszedł. Pan Collins, który wcale nie wyglądał mi na Francuza (jego akcent również pozostawiał wiele do życzenia), był wysoki, chudy i nosił brodę. Miał na sobie tweedową marynarkę, a pod szyją apaszkę zamiast krawata.

Sala nie była duża, a do tego prawie pełna. Rozejrzałam się w poszukiwaniu najbliższego wolnego miejsca, po czym przeżyłam niewielki wstrząs na widok osoby, koło której stało jedyne puste krzesło. Moje biedne serce skakało w piersi jak oszalałe, gdy do niego podchodziłam.

Odetchnęłam głęboko i postarałam się uspokoić. Ostatecznie chodziło przecież o zwykłego ziemskiego chłopca.

Xavier Woods wyglądał na rozbawionego tą sytuacją. Usiadłam obok niego, starając się nie patrzeć w jego kierunku, tylko skupić na odnalezieniu w podręczniku strony, której numer pan Collins zapisał na tablicy.

- Możesz mieć trudności z nauką francuskiego z tej książki - powiedział Xavier półgłosem.

Zażenowana stwierdziłam, że w pośpiechu wzięłam niewłaściwy podręcznik. Przede mną leżała nie gramatyka francuska, lecz

Historia rewolucji francuskiej. Po raz drugi w ciągu kilku zaledwie minut poczułam, że moje policzki oblały się szkarłatem. Pochyliłam głowę, starając się zakryć je włosami.

- Panno Church - odezwał się pan Collins - bardzo proszę przeczytać na głos rozdział pierwszy ze strony dziewięćdziesiątej szóstej zatytułowany *A la bibliotheque*.

Zamarłam. Nie mogłam uwierzyć, że oto przyjdzie mi oznajmić przed całą klasą, iż na pierwsze zajęcia przyniosłam niewłaściwe książki. Czy można być większą niedojdą? Już otwierałam usta, by wydukać jakieś usprawiedliwienie, gdy Xavier podsunął mi ukradkiem swój podręcznik.

Rzuciłam mu pełne wdzięczności spojrzenie i zaczęłam czytać. Przychodziło mi to z łatwością, mimo iż nigdy wcześniej nie miałam kontaktu z tym językiem. Tak właśnie wygląda nauka w przypadku nas, aniołów - wystarczy zacząć, by natychmiast osiągnąć najwyższy możliwy poziom. Gdy skończyłam, pan Collins już od dłuższego czasu stał przy naszej ławce. Czytałam płynnie, zbyt płynnie. Za późno zdałam sobie sprawę, że powinnam była popełnić kilka błędów w wymowie lub przynajmniej zająknąć się, potknąć w jednym czy dwóch miejscach. Niestety, nie przyszło mi to do głowy. Prawdopodobnie jakaś część mnie pragnęła wypaść jak najlepiej ze względu na Xaviera Woodsa, w nadziei że zrehabilituję się choć odrobinę w jego oczach.

- Czyta pani ze swobodą osoby urodzonej we Francji, panno Church. Czy mieszkała tam pani kiedyś?

- Nie, proszę pana.

- Nawet przez krótki czas?

- Niestety nie.

Zerknęłam na Xaviera. Jego uniesione brwi jednoznacznie świadczyły o tym, że jest pod

wrażeniem.

- W takim razie ma pani wrodzony talent do języków. Może przeniesie się pani do grupy zaawansowanej? - zaproponował pan

Collins.

- Nie! - zaprzeczyłam gorąco, marząc o tym, by dał mi wreszcie spokój. Czułam, że przygląda mi się pół klasy. Poprzysięgam sobie, że następnym razem będę się bardziej pilnowała. - Przede mną jeszcze wiele pracy - zapewniłam go. - Wymowa jest co prawda moją mocną stroną, ale za to w gramatyce zupełnie się gubię.

Pana Collinsa najwidoczniej usatysfakcjonowało takie wyjaśnienie.

- Woods, czytaj, proszę, dalej od miejsca, w którym skończyła panna Church - polecił, po czym ściągnął brwi, rzucając okiem na ławkę. - Gdzie twoja książka?

Błyskawicznie przesunęłam podręcznik w jego kierunku, lecz on nie uczynił najmniejszego gestu, by go przyjąć.

- Bardzo przepraszam, proszę pana, ale zapomniałem dziś książek. Siedziałem wczoraj do późna. Dzięki, Beth.

Miałam zamiar zaprotestować, lecz Xavier uciszył mnie spojrzeniem. Pan Collins popatrzył na niego groźnie, zapisał coś w notesie i odszedł, mamrocząc gniewnie pod nosem.

- Niezbyt dobry przykład jak na przewodniczącego samorządu. Zostań, proszę, po lekcji.

Po skończonych zajęciach czekałam na korytarzu na Xa-viera. Uważałam, że jestem mu winna choć kilka słów podziękowania za uratowanie przed kompromitacją.

Wreszcie drzwi klasy otworzyły się i ukazał się w nich Xavier. Nie wyglądał na zdenerwowanego - wręcz przeciwnie, szedł swobodnie, jak ktoś odprężony. Na mój widok uśmiechnął się zadowolony, że na niego poczekałam. Miałam spotkać się z Molly, lecz ta myśl wyleciała mi z głowy, zaledwie się pojawiła. Gdy Xavier na mnie patrzył, musiałam przypominać sobie o konieczności oddychania.

- Nie ma za co, i w ogóle nie ma sprawy - odezwał się, zanim zdążyłam otworzyć usta.

- Skąd wiedziałeś, co chciałam powiedzieć? - spytałam zirytowana. - A jeśli chciałam ci nagadać za to, że wpakowałeś się przeze mnie w kłopoty?

Przyglądał mi się przez kilka sekund. Wyglądał na zdziwionego.

- Jesteś zła? - zapytał wreszcie.

I znów zobaczyłam ten półuśmiech igrający na jego ustach, jakby nie mógł się

zdecydować, czy okoliczności są na tyle zabawne, by pozwolić sobie na pełną wersję.

Minęły nas dwie uczennice, posyłając mi zawistne spojrzenia. Wyższa z nich żartobliwie pogroziła Xavierowi palcem.

- Cześć, Xavier - rzuciła głosem słodkim jak ulepek.

- Cześć, Lano - odparł uprzejmie, lecz obojętnie. Wydało mi się oczywiste, że nie ma ochoty z nią rozmawiać, lecz Lana chyba tego nie zauważyła.

- Jak ci poszło na teście z matmy? - nie dawała za wygraną. - Według mnie był okrooownie trudny! Przydałyby mi się korepetycje.

Ponieważ stałam obok, widziałam, że Xavier patrzy na nią zupełnie bez wyrazu. Równie dobrze mógłby spoglądać na ekran komputera. Lana natomiast paplała rozkosznie, wdzierając się oraz świadomie przybierając takie pozy, by jej krągła figura prezentowała się najkorzystniej. Żaden inny chłopiec na miejscu Xaviera nie odmówiłby sobie przyjemności zlustrowania jej od stóp do głów, lecz on ani na sekundę nie oderwał oczu od jej twarzy.

- Myślę, że poszło mi całkiem nieźle. A jeśli chodzi o korepetycje, to Marcus Mitchell ostatnio się ogłaszał. Powinnaś z nim porozmawiać, jeśli naprawdę sądzisz, że ich potrzebujesz.

Oczy Lany zwięzły się ze złości i upokorzenia.

- Dzięki - rzuciła przez zęby, odwracając się z impetem, by odejść.

Wydawało się, że Xavier nie zauważył, iż ją uraził, a nawet jeśli, to nie wyglądał na zmartwionego. Gdy zwrócił się do mnie, jego twarz miała zupełnie inny wyraz. Był poważny i skupiony, jakby usilnie próbował rozwiązać jakiś skomplikowany problem. Starłam się pohamować ogarniające mnie zadowolenie - najprawdopodobniej patrzył w taki sposób na wiele innych dziewcząt, Lana zaś stanowiła tylko pechowy wyjątek. Przypomniałam sobie, co usłyszałam na temat Emily, i w duchu zbeształam się za ten przejaw próżności. Dlaczego niby miałabym go jakoś szczególnie interesować?

Zanim jednak udało nam się wrócić do rozmowy, zauważyła nas zaskoczona Molly. Zbliżyła się ostrożnie, najwyraźniej niepewna, czy aby nie przeszkadza.

- Cześć, Molly - rzucił Xavier, gdy stało się jasne, że ona nie odezwie się pierwsza.

- Cześć - odpowiedziała, pociągając mnie zaborczym gestem za rękaw. Mówiła przymilnym głosikiem małej dziewczynki, która bardzo chce się przypodobać. - Beth, chodź ze mną do stołówki, zanim umrę z głodu! A w piątek po szkole koniecznie musisz ze mną wrócić do domu - przyjdzie siostra Taylah, która jest kosmetyczką, i nałoży nam wszystkim maseczki.

Będzie super! Ona zawsze zostawia masę próbek, więc będziesz sobie mogła wziąć coś na później.

- Brzmi rzeczywiście super - włączył się Xavier z udawanym entuzjazmem, który szczerze mnie rozbawił. - O której mam się zjawić?

Molly udawała, że go nie słyszy.

- Przyjdiesz, Beth?

- Zapytam Gabriela i dam ci znać.

Widziałam, że Xavier wygląda na zdziwionego. Czy to pomysł spędzenia wieczoru z maseczką na twarzy przyprawił go o wstrząs, czy też może fakt, że muszę prosić brata o pozwolenie na wyjście?

- Ivy i Gabriel oczywiście też mogą przyjść - odrzekła na to Molly z nadzieją.

- Nie jestem pewna, czy by im się coś takiego spodobało. - Po czym na widok miny Molly dodałam szybko: - Ale zapytam.

Natychmiast się rozpromieniła, obdarzając mnie pełnym wdzięczności uśmiechem.

- Dzięki. Słuchaj, czy mogę cię o coś spytać? - Popatrzyła wymownie na Xaviera, który wciąż stał koło nas. - W cztery oczy

Na takie dictum Xavier uniósł ręce w żartobliwym geście kapitulacji i odszedł. Z trudem powstrzymałam się, by go nie zawołać. Molly zniżyła głos do szeptu:

- Czy Gabriel... coś... może... o mnie wspominał?

Ani Gabriel, ani Ivy od chwili naszego spotkania pod lodziarnią nie wymienili imienia Molly w kontekście innym niż ogólne ostrzeżenia dotyczące pochopnego zawierania przyjaźni. Z jej tonu wywnioskowałam jednak, że jest zafascynowana Gabrielem, i nie chciałam zrobić jej przykrości.

- A wiesz, że tak. - Miałam nadzieję, że zabrzmiało to przekonująco. W tym jednym przypadku wolno mi było skłamać: chodziło o zaoszczędzenie drugiej osobie niepotrzebnego bólu. Lecz nawet wówczas nie przychodziło to łatwo.

- Naprawdę? - wyglądała na uszczęśliwioną.

- Oczywiście - zapewniłam ją, myśląc, że tak właściwie to przecież wcale nie mijam się z prawdą. Gabriel rzeczywiście o niej wspominał, tyle że nie tak, jak by sobie tego życzyła.

Powiedział, że ucieszył się, widząc, jaką miłą znalazłam sobie przyjaciółkę.

- Tak powiedział? Nie mogę uwierzyć, że w ogóle mnie zauważył. Jest taki piękny!

Przepraszam cię, Beth, wiem, że to twój brat i tak dalej, ale z niego jest naprawdę niezłe ciacho.

Zachwycona wzięła mnie pod rękę i pociągnęła w kierunku stołówki. Xavier także tam był, siedział przy stoliku dla sportowców. Tym razem, gdy nasze oczy się spotkały, wytrzymałam jego spojrzenie. Wszystko naokoło mnie zniknęło i nie widziałam już niczego prócz jego uśmiechu - tego wspaniałego ujmującego uśmiechu, który sprawiał, że w kącikach oczu robiły mu się malutkie zmarszczki.

Przyjätko

Moje zainteresowanie Xavierem bynajmniej nie uszło uwagi Molly - co więcej, zdecydowała się udzielić mi kilku rad, choć wcale jej o to nie prosiłam.

- On naprawdę nie jest w twoim typie - oznajmiła stanowczo, bawiąc się włosami. Stałyśmy w kolejce po obiad.

Trzymałam się blisko niej, by uniknąć nieustannego poszturchiwania przez uczniów przepychających się do lady. Dwójka pełniących tego dnia dyżur zmaltretowanych nauczycieli usiłowała nie zwracać uwagi na panujący wokół nich chaos. Raz po raz zerkali tęsknie na zegar, odliczając minuty do chwili, gdy będą mogli znaleźć się w zaciszu pokoju nauczycielskiego.

Staralam się udawać, że nie przeszkadzają mi ani wbijające się we mnie łokcie, ani lepkie smugi na podłodze. Skupiłam się na tym, co mówi Molly.

- O co ci chodzi? - zapytałam niewinnie.

Zmrużyła oczy i popatrzyła na mnie wzrokiem, który dawał jasno do zrozumienia, że nie przekonuje jej moja naiwna gra.

- Fakt, Xavier jest jednym z najprzystojniejszych chłopaków w szkole, ale każdy wie, że to chodzące kłopoty. Mnóstwo dziewczyn już próbowało i wszystkie leczą teraz złamane serca. Nie mów mi później, że cię nie ostrzegałam.

- Nie wydaje mi się, żeby celowo był wobec nich okrutny - odparłam, wiedzona gorącym pragnieniem wystąpienia w jego obronie, mimo że nie wiedziałam o nim prawie nic.

- Zrozum, Beth, jeśli zakochasz się w Xavierze, czeka cię gorzkie rozczarowanie. Uwierz mi.

- Jakim sposobem jesteś tak doskonale zorientowana? Czyżbyś i ty leczyła złamane serce?

Rzuciłam to pytanie żartem, ale Molly nagle spoważniała.

- Można tak to ująć.

- Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy. Co się stało?

- Podkochiwałam się w nim przez długie miesiące, aż w końcu znudziły mi się subtelne aluzje i zapytałam go wprost, czyby się ze mną nie umówił. - Powiedziała to lekko i niefrasobliwie, jakby opisywała coś, co zdarzyło się wiele lat temu i nie miało już żadnego znaczenia.

- I?

- I nic. - Wzruszyła ramionami. - Odmówił. Co prawda zachował się uprzejmie, wyjaśnił mi, że widzi we mnie tylko koleżankę. Ale mimo to była to chyba najbardziej upokarzająca chwila w moim życiu.

Nie mogłam powiedzieć jej wprost, że to wcale nie brzmiało tak źle. Co więcej, byłam zdania, że zachowanie Xaviera zasługiwało na szacunek, a nawet podziw. Opowiadając o złamanych sercach, Molly przedstawiała go niemal jako potwora bez skrupułów, tymczasem on tylko odrzucił jej awanse, i to najdelikatniej jak umiał. Zdążyłam się już jednak dowiedzieć na tyle dużo o damskiej przyjaźni, by milczeć. Należało okazać zrozumienie i współczucie.

- To po prostu nienormalne - kontynuowała Molly oskarżycielskim tonem. - Chłopak obnosi się z tą swoją śliczną buźką, dla każdego zawsze miły i uśmiechnięty, ale zbliżyć się do siebie to nikomu nie pozwoli.

- No dobrze, ale czy próbuje wmawiać dziewczynom, że zależy mu na czymś więcej niż tylko na przyjaźni? - nie wytrzymałam.

- Nie - przyznała. - Ale to w dalszym ciągu nie w porządku. Jak długo można się tłumaczyć, że się nie ma czasu na randki? Może to nie zabrzmiało zbyt przyjemnie, ale powinien już sobie dać spokój z tą Emily. Dziewczyna przecież nie zmartwychwstanie. Dobra, dosyć o naszym szkolnym idolu. Mam nadzieję, że dasz radę być u mnie w piątek - przynajmniej zapomnimy o tych beznadziejnych chłopakach.

- Nie jesteśmy tu po to, by udzielać się towarzysko - przypomniał Gabriel w odpowiedzi na moją prośbę o pozwolenie pójścia w piątek po południu do Molly.

- Ale niegrzecznie byłoby ją zbyć - zaprotestowałam.

- Poza tym to przecież piątek, następnego dnia nie idziemy do szkoły.

- Zrobisz, jak zechcesz, Bethany. - Westchnął. - Znalazłbym kilka pożyteczniejszych sposobów na spędzenie wieczoru, ale nie mogę ci niczego zabraniać.

- Tylko ten jeden raz. Obiecuję, że nie wejdzie mi to w nawyk.

- Mam nadzieję.

Nie spodobał mi się zawarty w tych słowach nacisk ani też subtelna aluzja, jakobym już zaczynała tracić z oczu to, co najważniejsze. Nie pozwoliłam jednak popsuć sobie humoru - chciałam doświadczać wszelkich aspektów ludzkiego życia. Ostatecznie mogło się przecież okazać, że dzięki temu lepiej zrozumieć zadanie, jakie mam do wykonania.

O siódmej byłam już wykąpana i ubrana w zieloną wełnianą sukienkę. Włożyłam do niej botki i ciemne rajstopy. Nałożyłam nawet na usta odrobinę błyszczyku, który dostałam od Molly. Rezultat wydał mi się całkiem zadowolający - wyglądałam jakby nieco mniej blado.

- Nie ma potrzeby się tak stroić, nie idziesz na bal - stwierdził na mój widok Gabriel.

- Dziewczyna zawsze powinna dążyć do tego, aby prezentować się jak najlepiej - stanęła w mojej obronie Ivy, puszczając do mnie oko. Najprawdopodobniej także nie była zachwycona moimi planami spędzenia wieczoru w towarzystwie Molly i jej paczki, lecz nie umiała długo się gniewać. Potrafiła wyczuć, kiedy należy się pogodzić z sytuacją w imię utrzymania dobrej atmosfery.

Ucałowałam ich oboje na pożegnanie, po czym wyszłam frontowymi drzwiami. Gabriel początkowo upierał się, że mnie odwiezie - jak się okazało, w garażu przy domu stał zaparkowany czarny jeep - lecz Ivy udało się odwieść go od tego zamiaru. Wytłumaczyła mu, że jest jeszcze jasno, a poza tym od domu Molly dzieli nas zaledwie kilka przecznic. Zgodziłam się jednak, aby Gabriel po mnie przyjechał, obiecując, że zadzwonię, gdy będę chciała wyjść.

Ten samotny spacer sprawił mi dużą przyjemność. Mimo że zima powoli się kończyła, wiatr, który podwiewał mi sukienkę, był chłodny. Wdychałam świeży zapach oceanu połączony z aromatyczną wonią iglaków. Poczułam, iż możliwość pobytu tutaj, chodzenia po ziemi jako żywa, wrażliwa na jej piękno istota to przywilej, za który powinnam być wdzięczna.

O ileż więcej radości dawało to doświadczenie w porównaniu z obserwacjami prowadzonymi z innego wymiaru! Przypatrywanie się tętniącej życiem planecie z wysokości Królestwa Niebieskiego przypominało oglądanie przedstawienia z daleka. Przebywanie na scenie wiązało się z o wiele większą tremą, ale i towarzyszące temu emocje były nieporównywalne. Mój pogodny nastrój prysł w chwili, gdy dotarłam pod numer ósmy przy Sycamore Grove. Patrząc na dom, zastanawiałam się, czy aby na pewno dobrze trafiłam. Drzwi wejściowe były otwarte na oścież, w środku paliły się wszystkie światła. W salonie dudniła muzyka, wszędzie paradowały skąpo odziane nastolatki. To nie może być tutaj! Sprawdziłam adres zapisany na skrawku papieru ręką Molly. Wyglądało na to, że jednak niczego nie pomyliłam. Zauważyłam kilka znajomych ze szkoły twarzy, a parę osób nawet mi pomachało. Ruszyłam po schodkach i o mało nie wpadłam na chłopca, który wymiotował, przewieszony przez barierkę.

Przyszło mi do głowy, by zawrócić i pójść do domu, wymyślając po drodze jakąś wymówkę na użytek Ivy i Gabriela. Doskonale wiedziałam, że żadne z nich nigdy nie zgodziłoby

się na to wyjście, gdyby zdawali sobie sprawę, co się tu naprawdę dzieje. Lecz wkrótce ciekawość wzięła górę i postanowiłam wejść do środka. Oczywiście tylko na moment, żeby przywitać się z Molly i wyjaśnić jej, dlaczego nie mogę zostać.

W korytarzu kłębił się tłum ludzi, a powietrze przesiąknięte było intensywnym zapachem tytoniu i perfum. Głośna muzyka nie pozwalała normalnie rozmawiać, więc wszyscy krzyczeli sobie wprost do uszu. Czując drgającą pod stopami podłogę i patrząc na kołyszące się ciała tańczących, miałam wrażenie, że trafiłam w sam środek trzęsienia ziemi. Niskie wibrujące rytmy miażdżyły mi bębniaki w uszach. Wtuliłam głowę w ramiona. Na policzkach czułam gorące oddechy, nos drażnił smród piwa i żółci. Całość była tak boleśnie przytłaczająca, że z trudem utrzymywałam równowagę. Lecz to przecież właśnie część ludzkiego życia, powtarzałam sobie w myślach, życia, którego zdecydowałam się zaznać, nawet jeśli miałyby mnie niekiedy ścinać z nóg. Odetchnęłam więc głęboko i parłam naprzód.

W każdym możliwym kącie oraz najmniejszym zakamarku tłoczyła się młodzież. Część paliła papierosy, inni pili alkohol, jeszcze inni przytulali się bez skrępowania do swoich partnerów i partnerek. Torując sobie drogę, przyglądałam się zafascynowana grupce grającej w grę nazywaną przez nich „łowcą skarbów”. Dziewczęta ustawiały się w szeregu, podczas gdy celujący z niewielkiej odległości chłopcy wrzucali im za dekolt słodkie pianki. Każdy celny rzut punktowany był odzyskaniem pianki jedynie za pomocą ust.

Towarzyszyły temu głośne piski i chichoty.

Nigdzie nie było widać rodziców Molly. Być może wyjechali. Zastanawiałam się, jak też by zareagowali, gdyby mogli zobaczyć swój dom w takim stanie. W pokoju na tyłach podchmielone pary obściskowały się na obitych brązową skórą kanapach. Na podłodze pełno było pustych butelek po piwie, a zawartość szklanych miseczek z przekąskami w postaci kukurydzianych chipsów i kolorowych drażetek została niemal w całości wdeptana w dywan. Z tyłu mignęła mi twarz Leah Green, jednej z dziewcząt z paczki Molly. Zaczęłam się do niej przeciskać. Stała obok przeszklonego wyjścia prowadzącego na obszerny taras połączony z basenem.

- Beth! Jednak cię puścili! - wrzasnęła, przekrzykując muzykę. - Superimpreza!

- Widziałaś Molly?! - zapytałam równie głośno.

- Jest w jacuzzi!

Udało mi się wywinąć z objęć wyraźnie pijanego chłopaka, próbującego zawlec mnie w

kierunku podrygującej na parkiecie masy.

Zdołałam także w porę uchylić się przed niedźwiedzim uściskiem innego, który z kolei upierał się nazywać mnie „brachem”. Jakaś dziewczyna odciągnęła go ode mnie, przepaszając.

- Wybacz! - wrzasnęła. - Stefan się nawalił! Kiwnęłam głową i wysliznęłam się na dwór, odnotowując w pamięci, by po powrocie dopisać nowe słowa do listy, którą tworzyłam na własny użytek.

W ogrodzie wałało się jeszcze więcej pustych butelek i puszek, musiałam więc stąpać bardzo ostrożnie. Pomimo chłodu zarówno basen, jak i jacuzzi pełne były dziewcząt w bikini oraz chłopców w krótkich spodenkach. Niebieskie światło rzucało nieco upiorną poświatę na baraszkujące ciała. Obok mnie przemknął jeden z uczestników imprezy - zupełnie nagi - i wskoczył do wody. Wypłynął, szczękając zębami, jednak dumny z okrzyków aplauzu, jakie wywołał. Staralam się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jestem tym wszystkim przerażona.

Dostrzegłszy wreszcie Molly, poczułam ulgę. Siedziała w jacuzzi wcisnięta między dwóch chłopców. Na mój widok podniosła się powoli, przeciągając jak kotka, dbając o to, by obaj koledzy mieli jednakową szansę docenić powab jej smukłej sylwetki i opalonej lśniącej skóry.

- Bethie! Dawno przyszedłeś? - zapytała śpiewnie.

- Przed chwilą. Czy nastąpiła jakaś zmiana planów? Gdzie twoja kuzynka?

- Ależ, skarbie, odpuściliśmy sobie ten pomysł! - odrzekła Molly beztrosko, jakby chodziło o jakiś pozbawiony znaczenia detal. - Moja ciotka zachorowała, więc rodzice wyjechali na całe trzy dni. Nie mogliśmy przecież przegapić takiej okazji - musiałam urządzić m a l u s i e p r z y j ą t k o!

- Weszłam tylko się z tobą przywitać. Nie mogę zostać - powiedziałam. - Mój brat myśli, że wypróbujemy nowe produkty do makijażu.

- Ale go tu nie ma, prawda? - Molly uśmiechnęła się łobuzersko. - A czego brat Gabriel nie widzi, to go nie zabol. No, już dobrze. Chodź, napijesz się z nami drinka i cię puścimy. Nie chcę, żebyś miała przeze mnie kłopoty.

W kuchni zastałyśmy Taylah, która miksowała coś w blenderze. Dookoła niej stała imponująca kolekcja butelek. Odczytałam kilka nalepek: biały karaibski rum, szkocka whisky, tequila, absynt, likier melonowy, burbon, wino musujące. Niewiele z tego rozumiałam.

Nie szkolono mnie z zakresu odmian alkoholu - można powiedzieć, że pozostałam w tym temacie niedouczona.

- Czy mogę prosić dwa razy Specjalność Taylah? - zapytała Molly. Oplotła przyjaciółkę ramionami, poruszając biodrami w takt muzyki.

- Już się robi. - Taylah napełniła dwie wysokie szklanki niemal po brzegi zielonkawym płynem.

Molly włożyła mi jedną z nich do ręki, z drugiej upijając spory haust. Przeszliśmy do salonu. Dwa potężne głośniki ustawione w rogach pokoju ryczały tak, że nawet ściany zdawały się wibrować. Powąchałam ostrożnie swojego drinka.

- Co w tym jest? - zapytałam Molly przez ogłuszający łomot.

- Wszystkiego po trochu. Zdrówko!

Upiłam łyk z grzeczności, natychmiast tego żałując. Napój był przeraźliwie słodki, a do tego palił w gardło. Ponieważ jednak nie chciałam wyjść na marudę, co jakiś czas popijałam malutkimi łyżkami miksturę ze szklanki. Molly, która była w doskonałym humorze, poprowadziła mnie w sam środek roztańczonego szaleństwa. Przez kilka chwil bawiliśmy się razem, lecz zaraz potem straciłam ją z oczu w natłoku zupełnie obcych twarzy. Usiłowałam znaleźć lukę w tym ścisku i się stamtąd wydostać, lecz ilekroć pojawiła się bodaj najmniejsza szczelina, natychmiast znikła. Zauważyłam też, że za każdym razem, gdy moja szklanka robiła się pusta, ktoś ją napełniał, jakby obsługiwał nas niewidzialny barman.

Kręciło mi się w głowie i z trudem trzymałam się na nogach. Sądziłam, że to z powodu głośniejszej muzyki oraz tłoku, do których nie byłam przyzwyczajona. Piłam więc drinka w nadziei, że nieco mnie orzeźwi. Gabriel przecież w kółko powtarzał, jak ważne dla naszych ciał jest utrzymywanie prawidłowej gospodarki wodnej.

Kończyłam właśnie trzecią szklankę, gdy poczułam przemożną chęć położenia się na podłodze. Lecz zanim zdołałam to zrobić, czyjaś silna ręka złapała mnie za ramię i wyciągnęła z parkietu. Potknęłam się i ręka zacisnęła się mocniej. Prawie zupełnie bezwładna, pozwoliłam się wyprowadzić do ogrodu. Tam zostałam posadzona na ławce, gdzie z wdzięcznością pozostałam, zgięta wpół, z pustą szklanką w ręku.

- Na twoim miejscu uważałbym z tym.

Z niejakim trudem rozpoznałam twarz Xaviera Woodsa. Miał na sobie wyblakłe dzinsy i dopasowaną szarą koszulkę z długim rękawem. Znacznie lepiej podkreślała jego atletyczną budowę niż szkolny mundurek. Odgarnęłam włosy z oczu. Miałam wrażenie, że jestem spocona, choć to przecież niemożliwe.

- Uważać... z czym?

- Z tym... co pijesz. To jest dosyć mocne - odparł, jakby tłumaczył coś oczywistego.

Zrobiło mi się niedobrze i rozboleła mnie głowa. Wiedziałam, że powinnam coś powiedzieć, lecz przeszkadzały mi w tym coraz silniejsze fale nudności. Zamiast tego oparłam się o Xaviera, bliska płaczu.

- Czy twoja rodzina wie, gdzie jesteś? - zapytał. Potrząsnęłam głową, od czego cały ogród począł niebezpiecznie wirować.

- Ile tego wypijaś?

- Nie mam pojęcia - wymamrotałam półżywa. - Ale chyba mi zaszkodziło.

- Często pijesz alkohol?

- To był pierwszy raz.

- O Jezu... To dlatego tak cię ścięło.

- C o zro...bi... - Pochyliłam się gwałtownie do przodu, o mało nie spadając z ławki.

- Hej! - Xavier złapał mnie w porę. - Lepiej odwiozę cię do domu.

- Zaraz mi przejdzie.

- Nic z tych rzeczy. Cała się trzęsiesz.

Zdziwiona zdałam sobie sprawę, że ma rację. Xavier wszedł do domu, by wziąć kurtkę, którą następnie mnie otulił. Pachniała nim, co natychmiast dodało mi otuchy.

Molly podeszła do nas, zataczając się.

- Jak leci? - zagadnęła, zbyt zadowolona, by przejmować się obecnością Xaviera.

- Co piła Beth? - zwrócił się do niej.

- Zwykły koktajl. Głównie wódka. A co, Beth, źle się czujesz?

- I owszem - odrzekł Xavier sucho.

- Mam jej coś przynieść? - Molly najwyraźniej nie bardzo wiedziała, co robić.

- Zabieram ją do domu - oznajmił stanowczo. Nawet ja wyczułam pretensję w jego głosie.

- Dzięki, Xavier. Postaraj się tylko nie opowiadać za dużo jej bratu, on chyba nie jest zbyt wyrozumiały.

Zapach skórzanych siedzeń w samochodzie Xaviera podziałał na mnie kojąco, lecz mimo to wciąż czułam gorąco palące mnie w środku. Resztkami świadomości zarejestrowałam fakt, że jedziemy wyboistą drogą, a następnie zostałam wyniesiona z auta, lecz czułam się zbyt senna, by móc utrzymać otwarte oczy. Powieki po prostu same mi opadały.

Dzięki temu nie widziałam wyrazu twarzy Gabriela, gdy otworzył drzwi. Nie sposób było jednak nie usłyszeć lęku, z jakim przemówił:

- Co się stało? Czy ktoś ją skrzywdził? - Wziął w dłonie moją głowę.

- Nic jej nie jest - odparł Xavier. - Po prostu za dużo wypła.

- Gdzie była?

- Na prywatce u Molly.

- Na prywatce? - powtórzył Gabriel. - Nic nam nie wiadomo o żadnej prywatce.

- To nie z winy Beth, ona chyba też nic nie wiedziała. Poczułam, że przejmują mnie mocne ramiona mojego brata.

- Dziękuję ci za przywiezienie jej do domu - powiedział tonem ucinającym dalszą dyskusję.

- Nie ma sprawy. Straciła na pewien czas kontakt z rzeczywistością, być może dobrze byłoby, aby ktoś ją zbadał.

Zapadła cisza - Gabriel zastanawiał się, co odpowiedzieć. Doskonale wiedziałam, iż żaden lekarz nie jest mi potrzebny. Ponadto takie badanie mogłoby ujawnić pewne niewytłumaczalne anomalie. Lecz Xavier nie miał o tym pojęcia, czekał więc na decyzję

Gabriela.

- Zajmiemy się nią - odezwał się wreszcie mój brat. Niezbyt dobrze to zabrzmiało, jakbyśmy próbowali coś ukryć. Nie miałabym też nic przeciwko temu, by Gabriel okazał odrobinę więcej wdzięczności. Ostatecznie Xavier mnie uratował.

Gdyby nie on, nadal byłabym u Molly i kto wie, co mogłoby się wydarzyć.

- Rozumiem. - W głosie Xaviera słychać było podejrzliwość. Wyczuwałam, że ociąga się z odejściem. Nie udało mu się jednak znaleźć żadnego powodu, dla którego mógłby zostać.

- Proszę przekazać Beth, że życzę jej szybkiego powrotu do zdrowia.

Usłyszałam chrzęst żwiru pod stopami Xaviera, a następnie warkot odjeżdżającego samochodu. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, była chłodna dłoń Ivy gładząca moje czoło. Moje ciało zaczęła wypełniać uzdrawiająca energia.

Fantom

Obudziłam się, nie mając zupełnie pojęcia, jaka jest pora dnia czy godzina. Byłam świadoma jedynie bezlitosnego dudnienia, rozlegającego się w mojej głowie, oraz tego, że język mam wyschnięty na wiór. Uplłynęło dobrych kilka minut, nim zdołałam ułożyć wydarzenia poprzedniego wieczoru we względny porządek, po czym chciałam już tylko zapaść się pod ziemię. Na wspomnienie żalospnego stanu, w jakim się znalazłam, niezdolna nie tylko do zrozumiałego wysławiania się, ale nawet do utrzymania się na nogach, ogarnął mnie palący wstyd. Pamiętałam Gabriela niosącego mnie na rękach i jego głos przepełniony zarówno troską, jak i rozczarowaniem. Przypomniałam sobie konsternację na twarzy Ivy, gdy musiała mnie rozebrać i położyć do łóżka niczym małe dziecko. Podczas gdy ona zaciągała zasłony, Gabriel raz po raz dziękował komuś przy drzwiach.

Zaraz potem dotarło do mnie, że większość przyjęcia u Molly spędziłam oparta bezwładnie o jakiegoś pocziwca, który się nade mną ulitował. Następnie jęknęłam głośno, ponieważ przed oczami stanęła mi jego twarz. Dlaczegoż ze wszystkich szlachetnych rycerzy, którzy mieli okazję przybyć mi na ratunek, musiał to być akurat Xavier Woods? Co też myślał Nasz Ojciec w Swej nieskończonej mądrości? Usilnie starałam się przypomnieć sobie wszystkie fragmenty naszej krótkiej pogawędki, lecz pamięć odmówiła mi aż tak wyszukanych usług.

Zalała mnie fala żalu i upokorzenia. Zarzuciłam kołdrę na głowę, by ukryć płonące policzki, i zwinęłam się w kłębek, modląc się, bym mogła zastygnąć tak na zawsze. Co myśli teraz o mnie Xavier Woods, przewodniczący samorządu szkolnego w liceum, do którego uczęszczam? Co sądzą inni? Spędziłam w tej szkole zaledwie tydzień, a już przyniosłam wstyd swojej rodzinie, już zdołałam pokazać się światu jako osoba zupełnie nieprzygotowana do życia. Jak to możliwe, że nie zorientowałam się, co piję? A jakby tego wszystkiego było mało, właśnie udowodniłam rodzeństwu, że nie można mnie ani na sekundę spuścić z oka.

Z dołu dobiegły stłumione glosy. Gabriel i Ivy omawiali coś cicho. Na myśl o tym, w jakiej postawiłam ich sytuacji, znów poczułam zalewające mnie gorąco. Jak mogłam być taka samolubna? Jak mogłam nie wziąć pod uwagę faktu, że moje działania nie dotyczą tylko mnie? Ich reputacja została narażona tak samo jak moja - przy czym tę niewątpliwie zszargałam. Zaczęłam na poważnie rozważać możliwość spakowania manatków i rozpoczęcia wszystkiego od

nowa w innym miejscu. Ani Gabriel, ani Ivy z pewnością nie oczekują, że zechcę zostać w Venus Cove po widowisku, jakie z siebie zrobiłam. W zasadzie spodziewałam się, że lada chwila wejdą do mojego pokoju, oznajmiając mi, iż podjęli decyzję. Zabralibyśmy po cichutku swoje rzeczy i przenieśli się do nowego domu.

Nie byłoby czasu na żadne pożegnania - wszystkie nawiązane tu znajomości pozostałyby jedynie miłymi wspomnieniami.

Nikt jednak nie nadchodził i ostatecznie zmuszona byłam zaryzykować zejście na dół, stawiając czoło konsekwencjom swoich wyczynów. Po drodze zobaczyłam się przelotnie w lustrze wiszącym w korytarzu. Wyglądałam na wyczerpaną, pod oczami miałam sine kręgi. Według zegara dochodziło południe.

W kuchni zastałam Ivy siedzącą przy stole, pochyloną nad haftem, który wykańczała. Gabriel stał przy oknie, wyprostowany i sztywny, z rękami założonymi do tyłu. Patrzył zamyślony na morze. Podeszłam do lodówki i nalałam sobie szklankę soku pomarańczowego. Szybko wychyliłam ją do dna, by ugasić dokuczliwe pragnienie.

Gabriel nie odwrócił się, mimo iż musiał zdawać sobie sprawę z mojej obecności. Zadrżałam - nawet najgorsze wymówki byłyby lepsze niż to milczące oskarżenie. Za bardzo zależało mi na szacunku Gabriela, by go utracić. Jego złość przynajmniej choć trochę zmniejszyłaby moje poczucie winy. Pragnęłam, by odwrócił się choćby po to, bym mogła zobaczyć jego twarz.

Ivy odłożyła robótkę i popatrzyła na mnie.

- J a k się czujesz? - zapytała. Nie wyglądało na to, że jest zła lub zawiedziona. Nie rozumiałam dlaczego.

Odruchowo dotknęłam obolałych skroni.

- Bywało lepiej.

Wisząca w powietrzu cisza była tak gęsta, że tylko ją nożem kroić.

- Przepraszam was bardzo - dodałam pokornie. - Nie wiem, jak do tego doszło. Strasznie mi głupio.

Wreszcie i Gabriel skierował na mnie spojrzenie. Jego oczy pociemniały niczym niebo podczas burzy, lecz dostrzegałam w nich jedynie głębokie uczucie, jakim mnie darzył.

- Nie musisz się obawiać, Bethany - rzekł ze zwykłym spokojem. - Jako ludzie nie unikniemy pewnych błędów.

- Nie gniewacie się na mnie? - wydukałam, przenosząc wzrok z jednego na drugie. Ich perłowobiała skóra połyskiwała łagodnie.

- Oczywiście, że się nie gniewamy - zapewniła Ivy. - Jak moglibyśmy mieć do ciebie pretensje o coś, na co nie miałaś wpływu?

- W tym rzecz - westchnęłam. - Powinnam być mądrzejsza. Jestem pewna, że żadnemu z was by się to nie przytrafiło. Dlaczego tylko ja ciągle coś psuję?

- Nie zadręczaj się tak - powiedział Gabriel. - Pamiętaj, że to twój pierwszy pobyt na ziemi. Z czasem nabierzesz większego doświadczenia.

- Nietrudno zapomnieć, że ludzie to stworzenia z krwi i kości, że nie są niezniszczalni - dodała Ivy.

- Postaram się o tym pamiętać - odparłam, odrobinę pocieszona.

- Mam coś, co pozwoli ci się pozbyć tego młota pneumatycznego z głowy - oznajmił Gabriel.

Wciąż w piżamie w krówki, podeszłam do niego, by popatrzeć, jak wyjmuje z lodówki potrzebne składniki. Odmierzał je i wrzucał do blendera z aptekarską wręcz dokładnością. W końcu wręczył mi szklankę mętnego czerwonego płynu.

- Co to jest? - spytałam nieufnie.

- Sok pomidorowy, żółtko jajka oraz szczypta chili. Zgodnie z encyklopedią medyczną, do której zajrzałam wczoraj wieczorem, to jedno z najskuteczniejszych lekarstw na kaca.

Mikstura prezentowała się i pachniała fatalnie, lecz wiedziałam, że dotkliwy ból głowy sam z siebie nie ustąpi. Zatkaną więc nos i przełknęłam napój. Później przyszło mi na myśl, że Ivy mogła przecież z łatwością usunąć moje dolegliwości, przykładając mi dłoń do skroni. Widać moje rodzeństwo postanowiło nauczyć mnie, iż należy samemu stawiać czoło skutkom swoich poczynań.

- Może zostaniemy dziś w domu? - zaproponowała Ivy. - Będziemy mieli czas, żeby się spokojnie zastanowić.

Nigdy nie podziwiałam ich bardziej niż tego właśnie dnia. Wyrozumiałość, jaką mi okazali, można określić tylko jednym słowem: nadludzka. Rzecz jasna, taka właśnie była.

W porównaniu z resztą społeczności żyliśmy jak kwakrzy: żadnej telewizji, komputerów czy telefonów komórkowych. Jedynym ustępstwem na rzecz nowoczesności była naziemna linia telefoniczna, którą podłączyliśmy zaraz po przeprowadzce. Większość nowinek technicznych

postrzegaliśmy jako rodzaj złego ducha, który zniechęca ludzi do spotkań towarzyskich, deprecjonując przy tym wartości rodzinne. Nasz dom był miejscem, w którym chcieliśmy spędzać ze sobą czas, zamiast tracić go na zakupy w Internecie czy oglądanie ogłupiających programów telewizyjnych.

Szczególnie Gabriel nie znosił telewizji. Podczas przygotowań do pobytu na ziemi pokazał nam fragment jednego z tak zwanych reality show, by lepiej zaprezentować swoje racje. Przedstawiał on grupę ludzi walczących z otyłością, których dzielono na grupy, a następnie kusząco różnymi przysmakami, aby sprawdzić siłę ich woli. Ci, którym nie udało się opanować, byli piętnowani i wyśmiewani. Gabriel uznał takie igranie z uczuciami oraz karmienie się ludzką słabością za wyjątkowo obrzydliwe. Jeszcze gorsze było to, że publiczność uważała takie okrucieństwo za rozrywkę.

Tak więc tego popołudnia żadne z nas nie szukało rozrywki w zdobyczach techniki. Woleliśmy wylegiwać się na tarasie, czytając, grając w scrabble lub po prostu rozmyślając. „Zastanawianie się” nie oznaczało, iż nie wolno nam było robić innych rzeczy. Chodziło jedynie o to, by nieco się wyciszyć, tak aby móc rozważyć swoje sukcesy i porażki. Lub raczej, aby Ivy i Gabriel mogli ocenić swoje sukcesy, ja zaś skupić się na porażkach. Patrząc w niebo, skubałam kawałeczki melona. Owoce zdecydowanie należały do mego ulubionego pożywienia. Ich słodka i czysta świeżość przypominała mi o miejscu, z którego przybyłam. Zauważyłam, że słońce tworzy tu kulę płonącej bieli - oślepiało mnie i nie sposób było na nie zbyt długo patrzeć. Pomyślałam o świetle, jakie znałam z Królestwa Niebieskiego: całe niebo skąpane było w łagodnym złocistym blasku, którego można było dotknąć i który przepływał między palcami niczym płynny miód. Tutaj blask ten wydawał się znacznie bardziej surowy - ale też z jakiegoś powodu o wiele bardziej realny.

- Widzieliście to? - Ivy wyszła do nas, trzymając w ręku półmisek pełen owoców i różnych serów. Rzuciła na stół gazetę gestem pełnym odrazy.

- Mhm. - Gabriel skinął głową.

- Co to jest? - Usiadłam, wyciągając szyję, aby zobaczyć nagłówek. Udało mi się dostrzec część fotografii zajmującej całą pierwszą stronę. Przedstawiała ludzi rozpierzchających się we wszystkich kierunkach - mężczyźni na próżno usiłujących ochronić kobiety, matki wyciągające ręce ku leżącym w pyłe dzieciom. Niektórzy zaciskali powieki, modląc się. Usta innych rozwarły się w niemym krzyku. Za nimi widać było liżące niebo płomienie i gęsty, przesłaniający słońce

dym.

- Zamachy bombowe na Bliskim Wschodzie - powiedział mój brat, odwracając szybko stronę. Na próżno. Zdjęcie wyryło się już na zawsze w mojej pamięci. - Ponad trzystu zabitych. Wiesz, co to oznacza?

- Że nasi wysłannicy tam na miejscu nie wywiązują się należycie ze swego zadania? - odparłam drżącym głosem.

- Że nie mogą wywiązać się z niego jak należy - poprawiła mnie Ivy.

- Co im przeszkadza? - chciałam wiedzieć.

- Siły ciemności biorą górę nad siłami dobra - odrzekł Gabriel poważnie. - Zdarza się to coraz częściej.

- Naprawdę uważasz, że tylko niebo przysłało tu swoich reprezentantów? - Ivy była nieco zniecierpliwiona tym, jak słabo jestem zorientowana. - Mamy towarzystwo.

- Nie możemy jakoś pomóc? - spytałam. Gabriel pokręcił głową.

- Nie wolno nam działać bez upoważnienia.

- Ależ tam zginęło trzysta osób! - wykrzyknęłam. - To chyba nie jest jakiś drobiazg?!

- Oczywiście, że nie. Lecz nas tam nie wezwano. Mamy swój posterunek tutaj i nie możemy go opuścić dlatego, że w innej części globu dzieje się coś niedobrego. Otrzymaliśmy jasne instrukcje: zostać tutaj i strzec Venus Cove. Z pewnością nie bez przyczyny.

- A co z tamtymi ludźmi? - nie dawałam za wygraną, wciąż mając przed oczami ich przerażone twarze.

- Możemy tylko modlić się o Boską interwencję.

Po południu zorientowaliśmy się, że kończą nam się zapasy jedzenia. Mimo iż nadal byłam wycieńczona, zadeklarowałam, że pojedę do miasteczka. Miałam nadzieję, iż załatwienie sprawunków pozwoli mi przestać wciąż wracać myślami do tamtego zdjęcia i zadręczać się ludzką niedolą.

- Co mam przywieźć? - zapytałam, biorąc kopertę. Na jej odwrocie zamierzałam zapisać listę zakupów.

- Owoce, jajka i chleb z tej nowej francuskiej piekarni - odparła Ivy.

- Podwieźć cię? - zapytał Gabriel.

- Nie, dzięki. Wezmę rower, przyda mi się trochę ruchu. Zostawiłam Gabriela z jego lekturą i udałam się do garażu.

Złożoną w kostkę lnianą torbę wsunęłam do koszyczka przy kierownicy. Przejeżdżając obok domu, pomachałam Ivy, która pracowała w ogrodzie, zajęta przycinaniem róż.

Trwająca dziesięć minut jazda do centrum okazała się bardzo przyjemna i skutecznie mnie otrzeźwiła. Świeże, pachnące sosnowym lasem powietrze rozwiało moje smutki. Nie pozwalałam sobie na myślenie o Xavierze Woodsie, uporczywie blokując wszelkie wspomnienia z poprzedniego wieczoru. Moja pamięć miała jednak własne zdanie na ten temat, ponieważ co rusz podsuwała mi rozmaite obrazy: a to jego silnych ramion podnoszących mnie z ziemi, a to sposobu, w jaki jego koszula ocierała się o mój policzek, a to dotyku jego dłoni odgarniających mi włosy z czoła, zupełnie jak w tamtym śnie... Wszystko to przyprawiało mnie o drżenie.

Przypiąwszy rower do stojaka przed pocztą, ruszyłam do supermarketu. Przy wejściu zwolniłam kroku, aby przepuścić dwie wychodzące kobiety: nieco przygarbioną starszą panią oraz jej zażywną towarzyszkę w średnim wieku. Młodsza odprowadziła starszkę na ławkę przed sklepem, sama zaś zawróciła, by przykleić na szybie ogłoszenie. Przy ławce przysiadł grzecznie na tylnych łapach srebrzystoszary pies. Było to niezwykle stworzenie, z wyrazem pyska tak rozumnym, iż mógłby należeć do człowieka. Nawet siedząc, trzymał się prosto i dumnie. Miał leciutko obwisłe policzki, lśniąca satynową sierść i oczy przejrzyste jak światło księżyca.

Starszka wyglądała na tak nieszczęśliwą i przygnębioną, że nie sposób było nie zwrócić na nią uwagi. Powód jej rozpaczki stał się dla mnie jasny w chwili, gdy przeczytałam ogłoszenie nalepione na sklepowym oknie. Był to plakat ze zdjęciem psa zatytułowany

„Oddam w dobre ręce”.

- Tak będzie najlepiej, Alice, sama zobaczysz - powiedziała młodsza kobieta tonem osoby trzeźwo myślącej. - Chcesz chyba, żeby

Fantom wiódł szczęśliwe życie, prawda? Nie może przeprowadzić się razem z tobą. Znasz zasady.

Starsza pani pokręciła smutno głową.

- Biedak trafi w nowe miejsce, będzie zupełnie zdezorientowany. Oboje mamy swoje przyzwyczajenia.

- Psy łatwo się przystosowują. A teraz chodźmy do domu na obiad. Jestem pewna, że telefon zaraz zacznie dzwonić.

Alice nie podzielała entuzjazmu swojej towarzyszki. Patrzyłam, jak jej zdeformowane reumatyzmem palce obracają nerwowo smycz, jak poprawia drżącą ręką włosy upięte na karku w

mizerny koczek. Nieśpieszno jej było wstawać, jakby tą prostą czynnością miała przypieczętować jakąś umowę, której nie zdążyła dobrze przemyśleć.

- Skąd będę wiedziała, czy dobrze się nim opiekują? - zapytała.

- Poprosimy nowych właścicieli, żeby cię odwiedzali.

W głosie kobiety pobrzmiwała nuta zniecierpliwienia. Zauważyłam też, że z każdym zdaniem mówi coraz bardziej podniesionym głosem. Jej pierś falowała ciężko, na upudrowanych skroniach pojawiły się krople potu. Raz po raz zerkała na zegarek.

- A jeśli zapomną? - Alice wydawała się coraz bardziej zdenerwowana.

- Na pewno nie - prychnęła jej towarzyszka lekceważąco. - Czy potrzebujesz czegoś jeszcze, zanim odwiozę cię do domu?

- Trzeba kupić przysmaki dla Fantoma. Tylko nie te z kurczakiem, tych nie lubi.

- To może tu zaczekasz, a ja szybko skoczę i kupię?

Alice skinęła głową i zapatrzyła się przed siebie z rezygnacją w oczach. Schyliła się, by podrapać Fantoma za uszami, a on spojrzał na nią smutno. Widać było, że istnieje między nimi milczące porozumienie.

- Jaki piękny pies - odezwałam się, chcąc nawiązać rozmowę. - Co to za rasa?

- Wyżeł weimarski - odrzekła Alice. - Lecz niestety, już niedługo nie mój.

- Tak, słyszałam. Przykro mi.

- Biedny Fantom. - Alice westchnęła ciężko i pochyliła się, by przemówić do psa. - Nawet nie wiesz, co się dzieje, prawda? Ale i tak jesteś bardzo dzielny.

Uklękałam, by poklepać Fantoma po głowie, a on obwąchał mnie ostrożnie, po czym podał mi łapę.

- A to dopiero - zdziwiła się Alice. - On zazwyczaj nie bywa wylewny w stosunku do obcych. Musi pani bardzo lubić psy.

- Uwielbiam zwierzęta - odparłam szczerze. - Jeśli wolno mi zapytać: dlaczego nie może go pani ze sobą zabrać?

- Przenoszę się do domu spokojnej starości w centrum miasta. Nazywa się „Fairhaven”, może słyszałaś? Nie wolno tam trzymać psów.

- Wielka szkoda. Ale niech się pani nie martwi, jestem pewna, że taki piękny pies szybko znajdzie nowego pana. Cieszy się pani na tę przeprowadzkę?

Wyglądała na nieco zaskoczona tym pytaniem.

- A wiesz, dziecko, że jesteś pierwszą osobą, która mnie o to pyta? Chyba jest mi po prostu wszystko jedno. Na pewno będę spokojniejsza, wiedząc, że Fantom ma dokąd pójść. Miałam nadzieję, że może moja córka go weźmie, ale ona mieszka w bloku.

Fantom wtulił mokry nos w moją dłoń, a mnie wpadł do głowy pewien pomysł. Być może to sama Opatrzność doprowadziła do tego spotkania, stwarzając mi tym samym okazję do naprawienia moich niedawnych błędów. Czyż nie tym właśnie mam się zajmować? Czy nie powinnam pomagać ludziom, zamiast skupiać się na własnych zachciankach? W przypadku kryzysu po drugiej stronie kuli ziemskiej niewiele mogę zrobić, lecz tu zaistniała sytuacja, w której na coś się przydam.

- A może ja go wezmę? - zaproponowałam impulsywnie. Wiedziałam, że jeśli pozwolę sobie na dłuższe zastanowienie, stracę odwagę. Twarz Alice natychmiast się rozpromieniła.

- Mogłabyś? Jesteś zupełnie pewna? - dopytywała się. - To byłoby wspaniale! Nigdzie nie znajdziesz wierniejszego przyjaciela, to mogę ci obiecać z ręką na sercu. Już cię polubił! Ale co powiedzą na to twoi rodzice?

- Nie będą mieli nic przeciwko temu - odparłam, licząc na to, że Gabriel i Ivy spojrzą na tę decyzję pod tym samym kątem, co ja.

- Więc zgadza się pani?

- Idzie Felicity - oznajmiła uszczęśliwiona Alice. - Lepiej szybko przekażmy jej dobre wieści.

Razem z Fantomem przyglądaliśmy się, jak odjeżdżają - jedna ocierając chusteczką oczy, druga z ulgą malującą się na twarzy. Poza pełnym żalu szczeknięciem za swoją panią oraz wyrazem przygnębienia w oczach Fantom nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego zmianą właściciela. Chyba instynktownie rozumiał, że ten stan rzeczy to najlepsze, na co może liczyć w zaistniałych okolicznościach. Czekał cierpliwie przed wejściem, gdy robiłam zakupy. Później przewiesiłam torbę przez rączkę kierownicy, smycz zahaczając o drugą, i poszłam do domu piechotą, prowadząc rower.

- Nie miałaś problemu z piekarnią? - zawołał Gabriel, słysząc, że wchodzę.

- Niestety, zapomniałam o chlebie. - Wkroczyłam do kuchni z Fantomem depczącym mi po piętach. - Ale przywiozłam coś w zamian.

- Jejku, Bethany! - wybuchnęła entuzjastycznie Ivy. - Gdzieś ty go znalazła?

- Ktoś potrzebował pomocy. - Opisałam im pokrótce przygodę z Alice. Ivy pogłaskała

Fantoma po głowie, a on położył jej pysk na dłoni. Było coś niezwykłego w tych jego jasnych smutnych oczach, co powodowało, że doskonale do nas pasował. - Mam nadzieję, że możemy go zatrzymać?

- Oczywiście. - Gabriel nie zamierzał wdawać się w dyskusję. - Każde stworzenie potrzebuje dachu nad głową.

Obie z Ivy zajęłyśmy się przygotowywaniem prowizorycznego posłania dla Fantoma oraz wybieraniem dla niego miski. Gabriel przyglądał się nam, a kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. Uśmiechał się tak rzadko, że wrażenie było niesamowite - jakby słońce wyjrzało zza chmur.

Od początku stało się jasne, że Fantom będzie należał do mnie. Patrzył na mnie jak na przybraną matkę i truchtał za mną po całym domu niczym cień. Gdy siadałam na kanapie, związał się w kłębek na moich stopach, grzejąc lepiej niż butelka z gorącą wodą, i zasypiał, lekko pochrapując. Pomimo swych rozmiarów miał flegmatyczną naturę i w krótkim czasie bardzo zżył się z naszą niewielką rodziną.

Po kolacji wzięłam gorący prysznic, po czym rozłożyłam się na sofie z głową Fantoma na kolanach. Okazywane przez niego przywiązanie podziało na mnie jak lekarstwo i wkrótce czułam się tak odprężona, że niemal zupełnie zapomniałam o wydarzeniach poprzedniego wieczoru.

I wtedy usłyszałam pukanie do drzwi.

Żadnych chłopców

Fantom warknął ostrzegawczo, wybiegł z pokoju i zaczął zapamiętane węszyć przy drzwiach wejściowych, usiłując wepchnąć nos w szparę pod nimi.

- A ten co tu robi? - wymamrotał Gabriel pod nosem.

- Kto to? - wyszeptaliśmy obie z Ivy jednocześnie.

- Nasz bohaterski przewodniczący.

Zawarty w słowach Gabriela sarkazm spłynął po mnie jak woda po gęsi.

- To Xavier Woods stoi za drzwiami? - zapytałam z niedowierzaniem, rzucając ukradkowe spojrzenie w lustro nad kominkiem.

Pomimo wczesnej godziny miałam na sobie piżamę w krowy, włosy po kąpieli upięłam byle jak za pomocą plastikowego klipsa. Ivy podchwyciła mój wzrok, rozbawiona tym przejawem próżności.

- Nie wpuszczajcie go, proszę, wyglądam okropnie - błagałam.

Przestępowałam niespokojnie z nogi na nogę, podczas gdy oni się naradzali. Po przedstawieniu, jakie urządziłam na przyjęciu

Molly, Xavier Woods był ostatnią osobą, którą miałam ochotę oglądać. Mało tego - to właśnie jego nade wszystko pragnęłam unikać.

- Poszedł już? - spytałam po chwili.

- Nie - odrzekł Gabriel. - I nie ma najmniejszego zamiaru odejść.

W panice zaczęłam dziko wymachiwać rękami, próbując przywołać Fantoma.

- Do nogi! - szeptałam rozpaczliwie, usiłując jednocześnie zagwizdać cicho przez zęby. - Spokój, Fantom!

Fantom jednak nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, wciskając nos jeszcze głębiej w szparę pod drzwiami.

- Czego on chce? - zapytałam Gabriela.

Ten umilkł na moment, po czym spochmurniał.

- No, to już jest bezczelność.

- Co?

- Jak długo znasz tego młodego człowieka?

- Przestań! To naruszenie prywatności! - wykrzyknęłam oburzona.

- Dajcie spokój. - Ivy wstała, kręcąc głową. - Teraz już i tak nas usłyszał. Zresztą nie powinniśmy go tak traktować. Całkiem niedawno wyświadczył Bethany sporą przysługę, zapomnieliście już?

- Daj mi przynajmniej pójść na górę - wysyczałam, lecz ona już była przy drzwiach, odciągając Fantoma i każąc mu usiąść. Gdy wróciła do pokoju, Xavier Woods szedł tuż za nią. Wyglądał jak zwykle, może poza lekko potarganymi przez wiatr włosami.

Uspokojony brakiem jakiegokolwiek zagrożenia Fantom ułożył się z głębokim westchnieniem na kanapie. Gabriel raczył powitać gościa jedynie nieznacznym skinieniem głowy.

- Chciałem tylko sprawdzić, czy z Beth wszystko w porządku - rzekł Xavier, niezrażony chłodnym przyjęciem ze strony mego brata.

Zdawałam sobie sprawę, że powinnam się w tym momencie odezwać, lecz miałam pustkę w głowie.

- Jeszcze raz chcielibyśmy ci podziękować za przywiezienie jej do domu - włączyła się Ivy, jako jedyna z nas pamiętając o dobrych manierach. - Może się czegoś napijesz? Miałam właśnie zrobić gorącą czekoladę.

- Dziękuję bardzo, ale nie mogę zostać.

- Więc chociaż usiądź - poprosiła Ivy. - Gabrielu, może po mógłbyś mi w kuchni?

Gabriel niechętnie wyszedł za nią.

Gdy zostałam sam na sam z Xavierem, dotarło do mnie, jak śmieszni i staroświeccy musimy mu się wydawać. W pokoju nie widać było nawet śladu telewizora, moje rodzeństwo udało się właśnie do kuchni, by własnoręcznie przygotowywać gorącą czekoladę, ja zaś siedziałam w pizamie, gotowa do snu, mimo że wybiła zaledwie ósma wieczór.

- Ładny pies - powiedział Xavier. Wyciągnął rękę, którą Fantom ostrożnie powąchał, po czym ją ochoczo poszturchiwał ją nosem. Po cichu liczyłam, że może chociaż warknie, co pozwoliłoby mi zyskać przekonanie, iż Xavier jednak nie jest tak zupełnie pozbawiony wad. Niestety, najwyraźniej nie wymyślono jeszcze testu, którego nie byłby w stanie zdać celująco.

- Znalazłam go dziś - odparłam.

- Znalazłaś? - Xavier uniósł brwi. - Czy przygarniasz wszystkie bezpańskie zwierzęta?

- Nie - odrzekłam urażona. - Jego właścicielka przenosiła się do domu spokojnej starości.

- A, więc to pies pani Alice Butler.

- Skąd wiesz?

- To małe miasto. - Wzruszył ramionami. - Martwiłem się wczoraj o ciebie. - Nie odrywał oczu od mojej twarzy.

- Już dobrze się czuję - zapewniłam drżącym głosem. Spróbowałam popatrzeć mu w oczy, lecz zakreśliło mi się w głowie i zmuszona byłam odwrócić wzrok.

- Musisz starannie dobierać sobie przyjaciół.

W jego głosie pojawiła się dziwna zażyłość, jakbyśmy znali się od dawna. Niepokoiło mnie to i fascynowało zarazem.

- To nie była wina Molly. To ja powinnam była mieć więcej rozumu.

- Jesteś zupełnie inna od tutejszych dziewcząt.

- Jak to?

- Nieczęsto wychodzisz z domu, prawda?

- Można mnie nazwać domatorką.

- Myślę, że to miła odmiana.

- Ja bym wolała być taka jak inni.

- Dlaczego tak mówisz? Nie ma sensu udawać kogoś, kim się nie jest. Wczoraj mogło ci się przytrafić coś złego. - Nagle się uśmiechnął. - Całe szczęście, że byłem na miejscu i zdołałem cię uratować.

Nie wiedziałam, czy żartuje czy mówi poważnie.

- Jak mogę ci się odwdziaczyć? - zapytałam głosem, w którym pobrzmiwała - a przynajmniej taką miałam nadzieję - lekko zalotna nutka.

- Jest taka jedna rzecz... - zawiesił znacząco głos.

- Jaka rzecz?

- Umów się ze mną. Na przykład w następną sobotę. Moglibyśmy pójść do kina, jeśli miałabyś ochotę.

Byłam tak oszołomiona, że nie od razu udało mi się odpowiedzieć. Czy ja w ogóle dobrze usłyszałam? Czy naprawdę Xavier

Woods, najbardziej nieosiągalny chłopiec w naszym liceum, poprosił mnie właśnie, żebym się z nim umówiła? W jakiej formie na ogół wyraża się zgodę? Gdzie była Molly, gdy jej potrzebowałam? Wahałam się o kilka sekund za długo i Xavier uznał to za odmowę.

- Powiedz, jeśli nie chcesz.

- Ależ nie, bardzo chętnie!

- Super. Czy mogłabyś dać mi swój numer? Wpiszę sobie do komórki. Później ustalimy szczegóły.

Wyciągnął z kieszeni wiatrówki małe, czarne i błyszczące urządzenie. Spoczywało na jego dłoni, migocząc delikatnie. Z kuchni dobiegł brzęk naczyń - nie było czasu do stracenia.

- Łatwiej będzie, jeśli ty dasz mi swój i to ja do ciebie zadzwonię - powiedziałam prędko.

Nie zaprotestował. Na stoliku do kawy wypatrzyłam gazetę, z której oddarłam róg. Wręczyłam mu go.

- Przydałoby się jeszcze coś do pisania - rzekł.

Znalazłam długopis włożony do jednej z książek, którą Gabriel właśnie czytał. Xavier nabazgrał szybko kilka cyfr i dorysował uśmieszek. Wsunęłam skrawek papieru do kieszeni dokładnie w momencie, w którym Ivy i Gabriel weszli do pokoju, niosąc tacę z kubkami. Zdążyłam jeszcze posłać im promienny uśmiech.

Odprowadziłam Xaviera do drzwi, gdzie zatrzymał się, omiatając wzrokiem mój osobliwy strój. Z jego twarzy zniknął już wyraz napięcia, ustępując miejsca charakterystycznemu kpiarskiemu uśmieszki.

- Ładna piżamka - stwierdził, przyglądając mi się z ciekawością. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Pomyślałam, że z łatwością mogłabym patrzeć mu w oczy przez cały dzień, nie nudząc się. Przyzwyczaiałam się już, że ludzką powierzchowność cechują rozmaite niedoskonałości, lecz w przypadku Xaviera tak nie było. Podziwiałam jego pięknie wykrojone usta, gładką skórę i uroczy dołeczek w brodzie, zastanawiając się, czy to aby na pewno nie wytwór mojej wyobraźni. Górne guziki koszuli, którą miał pod kurtką, nie były zapięte i dostrzegłam, że nosi na szyi srebrny krzyżyk na rzemyku. Nie zauważyłam go wcześniej.

- Cieszę się, że ci się podoba - odrzekłam, czując się nieco pewniej.

Roześmiał się głośno i dźwięcznie. Nawet jego śmiech miał w sobie coś urokliwego.

Zarówno Gabriel, jak i Ivy usilnie starali się zachować niewzruszony spokój na wieść o moim zamiarze spotkania się z Xavierem w nadchodzący weekend.

- Naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? - zapytał Gabriel.

- A dlaczego miałabym uważać inaczej? - odparłam prowokująco. Bardzo spodobała mi się myśl o samodzielnym podejmowaniu decyzji i wcale nie miałam ochoty tak od razu wyzywać

się tej niezależności.

- Bethany, zastanów się, proszę, nad możliwymi konsekwencjami takiego postępowania. - Ivy przemawiała łagodnie, lecz na jej czole pojawiły się zmarszczki, a na twarzy malował się rzadki u niej niepokój.

- Nie ma się nad czym zastanawiać. Wy zawsze przesadzacie. - Sama siebie nie przekonałam tą niefrasobliwą argumentacją, lecz nie zgadzałam się przyjąć do wiadomości istnienia jakiegokolwiek powodu do obaw. - W czym problem?

- Tylko w tym, że umawianie się na randki nie jest i nigdy nie było częścią wyznaczonego nam zadania. - Głos Gabriela był zimny jak stal, podobnie jak jego oczy.

Zdawałam sobie sprawę, że pogłębiam jedynie jego wątpliwości związane z moim udziałem w misji. Byłam tak podatna na wpływy, tak skłonna do ulegania ludzkim kaprysom i marzeniom. Jakaś maleńka część mnie, ukryta gdzieś głęboko, podpowiadała, że powinnam nieco zwolnić tempo i przemyśleć wszystko jeszcze raz. Pogodzić się z faktem, że związek z Xavierem to igranie z losem oraz przejaw skrajnego egoizmu z mojej strony. Lecz ta druga część, znacznie większa, przemawiała o wiele donośniej, zagłuszając wszelkie wątpliwości i domagając się spotkania z nim.

- Być może mądrzej byłoby na jakiś czas odwrócić od nas uwagę - zasugerowała Ivy nieco mniej szorstko. - Popracujmy razem nad kilkoma pomysłami, które pomogłyby podnieść świadomość społeczną w miasteczku. Co ty na to?

Przypominała mi nauczycielkę, która stara się zachęcić uczniów do projektu przygotowywanego w ramach zajęć w szkole.

- Ale to są twoje pomysły.

- Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś się do nich przyłączyła - zachęcała Ivy.

- Chcę znaleźć własny sposób.

- Wrócimy do tej rozmowy, gdy zaczniesz myśleć nieco trzeźwiej - uciął Gabriel.

- Nie pozwolę traktować się jak dziecko - prychnęłam rozdrażniona. Odwróciłam się na pięcie, cmokając na Fantoma.

Usiedliśmy razem na szczycie schodów, Fantom z pyskiem na moich kolanach. Gotowałam się ze złości.

- Nie mogę uwierzyć, że ona gotowa byłaby zaprzepaścić wszystko dla byle zachcianki - mówił Gabriel. Słyszałam, jak chodzi po pokoju w tę i z powrotem.

- Dobrze wiesz, że Bethany nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego świadomie. - Ivy starała się załagodzić sytuację. Bardzo źle znosiła wszelkie tarcia między nami.

- Co to ma być w takim razie? Czy ona w ogóle ma świadomość tego, po co tu jesteśmy? Zdaję sobie sprawę, że trzeba jej okazać wyrozumiałość ze względu na brak doświadczenia, ale to już jawny bunt. Jest uparta i zawzięta, zupełnie jej nie poznaję. Pokusa czyha wszędzie. Jesteśmy tu zaledwie od kilku tygodni, a Bethany już nie może znaleźć w sobie wystarczająco dużo siły, by oprzeć się urokowi przystojnego chłopca!

- Cierpliwości, Gabrielu. Z czasem nabierze...

- Nie wiem, na ile mi jeszcze jej wystarczy! - przerwał jej podniesionym głosem, lecz szybko się opanował. - Co radzisz?

- Nie przeszkadzajmy jej, a sama wkrótce zrozumie, że ta droga zaprowadzi ją donikąd. Jeśli uprzemy się ją przekonywać, cała ta sprawa nabierze dla niej wagi na tyle dużej, by o nią walczyć.

Brak odpowiedzi Gabriela sugerował, że zastanawia się nad słowami Ivy.

- Z czasem dotrze do niej, że to, czego pragnie, nigdy nie nastąpi.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - westchnął Gabriel. - Czy widzisz teraz, dlaczego jej udział w naszej misji wzbudził we mnie tyle obaw?

- Jej celem nie jest przeciwstawianie się nam - powtórzyła

Ivy.

- Owszem, lecz siła odczuwanych przez nią emocji jest wśród nas niespotykana - stwierdził Gabriel. - Uczucia, jakimi darzymy ludzi, powinny być zdystansowane. Nasza miłość obejmuje ludzkość jako taką, nie budujemy sentymentalnych związków z poszczególnymi jej przedstawicielami. Bethany zaś wydaje się kochać głęboko, bezwarunkowo - zupełnie jakby była człowiekiem.

- Zauważyłam - odrzekła moja siostra. - Oznacza to, że jej uczucie ma znacznie większą moc niż nasze, ale jest też o wiele bardziej niebezpieczne.

- Otóż to. Nad czymś tak silnym nie zawsze da się zapanować. I jeśli pozwolimy się temu rozwijać, wkrótce może znaleźć się poza czyjąkolwiek kontrolą.

Nie miałam ochoty dłużej tego słuchać. Weszłam po cichutku do swojego pokoju i rzuciłam się na łóżko, bliska łez. Nie byłam przygotowana na tak gwałtowną reakcję. Siła tłumionych emocji dosłownie zaparła mi dech w piersiach. Zrozumiałam, że to moje rozbudzone

ciało daje o sobie znać. Czułam się tak, jak sędzę, że można się czuć po przejeździe starą, rozklekotaną kolejką górską, chybotliwą i niepewną. Krew pulsowała mi w żyłach, myśli tłukły się bezładnie po głowie, żołądek ścisnęła żal i gniew. Głęboko dotknął mnie fakt, że zostałam potraktowana jak eksperyment naukowy, który wymyka się spod kontroli. I jeszcze ten ton, sugerujący, jakobym robiła coś złego, ten całkowity brak zaufania - zupełnie mnie to rozstroiło. Dlaczego tak bardzo zależy im na tym, aby odciąć mnie od towarzystwa ludzi, którego tak pragnę? Co miała na myśli Ivy, mówiąc iż „ta droga zaprowadzi mnie donikąd”? Traktowali Xaviera jak pretendenta do mojej ręki, i to takiego, który nie spełnia ich oczekiwań. Kto dał im prawo osądzania czegoś, co nie zdążyło jeszcze na dobre zaistnieć? Spodobałam mu się. Z jakiejś przyczyny uznał mnie za godną uwagi. Nie miałam zamiaru pozwolić, aby absurdalne obawy mojej rodziny zniechęciły go już na wstępie. Prawdę powiedziawszy, mnie samą zaskakiwała gotowość, z jaką zaakceptowałam moją fascynację Xavierem. Stawała się ona z dnia na dzień silniejsza, eskalując w zawrotnym - i niebezpiecznym - tempie, a ja nie zamierzałam temu przeciwdziałać. Powinnam była odczuwać co najmniej niepokój, a tymczasem intrygował mnie ten tępy ból w klatce piersiowej, który pojawiał się na myśl o tym, że mielibyśmy się więcej zobaczyć. Wszystkie mięśnie w moim ciele tężyły na samo wspomnienie słów Gabriela. Co było tego przyczyną? Czyżbym oddalała się od Boga? Czyżbym stawała się człowiekiem?

Tej nocy spałam niespokojnie. Przyśnił mi się mój pierwszy koszmar. Przyzwyczyłam się już do tego, że miewam sny, lecz ten był inny. Tym razem ujrzałam siebie postawioną przed Trybunałem Niebieskim. W ławie przysięgłych zasiadały okutane od stóp do głów postacie bez twarzy. Nie potrafiłam odróżnić jednej od drugiej. Ivy i Gabriel też tam byli, jednak tylko w charakterze obserwatorów - przyglądali się wszystkiemu z galeryjki. Ich oczy nie wyrażały niczego. Patrzyli prosto przed siebie i nawet na mnie nie spojrzeli, mimo że ich wołałam. Czekałam na ogłoszenie wyroku, po czym zdałam sobie sprawę, że to już nastąpiło. Nie było nikogo, kto by się za mną wstawił, żadnego obrońcy.

Zaraz potem poczułam, że spadam. Wszystko wokół mnie obracało się w pył - kolumny w sali sądowej, odziane w szaty postacie, a na koniec twarze Gabriela i Ivy. A ja wciąż spadałam, wirując i koziołkując w nieskończonej podróży donikąd. Nagle wszystko znieruchomiało i stwierdziłam, że jestem uwięziona w pustce. Padłam na kolana, z nisko pochyloną głową, z połamanymi krwawiącymi skrzydłami. Nie mogłam się podnieść. Światło powoli gasło, aż otoczyła mnie dusząca ciemność, tak gęsta, że na próżno starałam się dojrzeć własne ręce. Byłam

sama w tym świecie czerni. Patrzyłam na siebie i widziałam wcielenie hańby, anioła, który utracił łaskę.

Zbliżał się do mnie ktoś, jakaś postać o niewyraźnych, jakby zamazanych kształtach. W pierwszym momencie serce podskoczyło mi w nadziei, że może to Xavier. Lecz szybko musiałam ją porzucić, ponieważ instynktownie wyczułam, że ktokolwiek to jest, należy się go bać. Mimo bólu, jaki odczuwałam we wszystkich członkach, usiłowałam odczołgać się jak najdalej od niego. Spróbowałam rozłożyć skrzydła, ale były zbyt zniszczone, by mnie słuchać. Wkrótce ciemna postać zbliżyła się, po czym pochyliła nade mną i mogłam zobaczyć jej twarz. Uśmiechała się z zadowoleniem - teraz byłam jej własnością. Nie pozostało mi już nic, pochłonął mnie cień. Zostałam skazana na wieczne potępienie. Nie było dla mnie ratunku.

Z nadejściem poranka poczułam się lepiej, jak to często bywa. Zyskałam nowe, nieznanne mi dotąd poczucie równowagi. Ivy weszła do pokoju, by mnie obudzić, a wraz z nią napłynął nieodłączny aromat frezji.

- Pomyślałam, że kawa dobrze ci zrobi - powiedziała.

- Zaczyna mi smakować - stwierdziłam, bez mrugnięcia okiem upijając łyk z zaoferowanego mi kubka. Ivy przysiadła sztywno na brzegu łóżka.

- Jeszcze nigdy nie widziałam Gabriela tak zdenerwowanego - zagaiłam, pragnąc ją jakoś udobruchać. - Zawsze myślałam, że jest... niewzruszony.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że on także to przeżywa? Jeśli sprawy przybiorą niewłaściwy obrót, to on i ja poniesiemy za to odpowiedzialność.

Jej słowa uderzyły we mnie jak obuch. Poczułam, że łzy napływają mi do oczu.

- Nie chcę, żebyście źle o mnie myśleli.

- Nie myślimy - zapewniła Ivy. - Gabriel po prostu chce cię chronić. Pragnie tylko oszczędzić ci bólu.

- Nie rozumiem, w jaki sposób spędzanie czasu z Xavierem miałyby mi zaszkodzić. A co ty myślisz? Tak szczerze.

Ivy nie umiała się gniewać tak jak Gabriel, więc gdy przysunęła się, by wziąć mnie za rękę, zrozumiałam, że moje wcześniejsze zachowanie zostało mi wybaczone. Niemniej napięta postawa oraz surowa linia ust wskazywały, że jej stosunek do całej sprawy nie uległ zmianie.

- Myślę, że nie należy rozpoczynać czegoś, czego nie będziemy mogli kontynuować. Nie byłoby to w porządku, prawda?

Łzy, które dotychczas udawało mi się powstrzymywać, popłynęły. Ivy objęła mnie i utuliła, głaszcząc po głowie. Siedziałam tak, łkając, bezradna i zrozpaczona.

- Byłam bardzo głupia, prawda?

Pozwoliłam wreszcie dojść do głosu rozsądkowi. Prawie nie znałam Xaviera Woodsa i raczej wątpliwe było, by popadł w otchłań rozpacz, dowiedziawszy się, iż jednak nie zamierzam się z nim spotykać. Zachowywałam się nedorzecznie, traktując go niemal jak wybranka, z którym poprzysięgliśmy sobie wieczną miłość. Być może była to wina Romea i Julii. Tak czy inaczej odniosłam wrażenie, iż powstała pomiędzy nami głęboka, zagadkowa więź - lecz mogłam się przecież mylić. Czy możliwe, że to wszystko istniało tylko w mojej wyobraźni?

Mogłam zapomnieć o Xaverze, potrafiłam to zrobić. Pozostawało pytanie, czy tego chcę. Nie dało się zaprzeczyć, że Ivy ma rację.

To nie nasz świat, nie możemy sobie rościć żadnych praw ani do niego, ani do tego, co oferuje. Nic nie upoważniało mnie do wkraczania w życie Xaviera. Byliśmy jedynie posłańcami, zwiastunami nadziei. Niczym więcej.

Gdy Ivy wyszła, wyłowiłam z kieszeni piżamy kawałek papieru, na którym Xavier zapisał swój numer telefonu. Rozwinęłam go, po czym powoli, metodycznie podarłam na drobniutkie strzępki. Wyszłam na balkon i rozsypałam niczym confetti. Stałam jeszcze długą chwilę, przyglądając się ze smutkiem, jak odlatują, niesione wiatrem.

Bunt

Udawanie, że nie jestem już zainteresowana randką z Xavierem, okazało się łatwiejsze, niż przypuszczałam - przez cały tydzień nie pojawił się w szkole. Przeprowadziwszy dyskretne śledztwo, dowiedziałam się, iż wyjechał na obóz wioślarski. Nie musząc obawiać się przypadkowego spotkania, odetchnęłam nieco swobodniej. Nie miałam pewności, czy na sam widok jego orzechowej grzywki, opadającej na świetliste oczy, nie zrezygnowałabym z wycofania się z danego słowa. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, czy w ogóle zdołałabym cokolwiek sensownego wykrztusić. Dotychczasowe wysiłki, jakie czyniłam, jednoznacznie zwiastowały fiasko.

Przerwy obiadowe spędzałam z Molly i jej towarzystwem na dziedzińcu, wysłuchując bez zbytniego zainteresowania niekończących się narzekań na szkołę, chłopców oraz rodziców. Wszystkie ich rozmowy były do siebie tak podobne, że wkrótce miałam wrażenie, iż znam każdą kwestię na pamięć. Tego dnia głównym tematem był bal absolwentów - czyli nic nowego.

- Mój Boże, tyle trzeba jeszcze obmyślić - westchnęła Molly, wyciągając się na trawie jak kot.

Jej przyjaciółki zajęły miejsca w pobliżu. Część z nich położyła się na ławkach, podciągając spódniczki wysoko, by jak najefektywniej wykorzystać wiosenne słońce. Ja siedziałam po turecku obok Molly, pilnując, aby moja spódnica zakrywała skromnie kolana.

Mój Boże, wiem! - zawtórowała jej Megan Judd. Zmieniła ułożenie głowy spoczywającej na kolanach Hayley, po i czym podwinęła bluzkę, by opalać brzuch. - Wczoraj wieczorem zaczęłam robić listę spraw do załatwienia. - Wciąż leżąc na plecach, otworzyła szkolny notes, obficie ozdobiony ponaklejanymi przez nią metkami znanych projektantów, co najwyraźniej uważała za formę eleganckiej dekoracji. - Słuchajcie tylko - ciągnęła, odczytując kolejne punkty z zaznaczonej zagiętym rogiem strony. - Umówić się na manicure. Rozejrzeć się za butami. Kupić kopertówkę. Wybrać biżuterię. Przejrzyć zdjęcia aktorek pod kątem fryzury dla siebie.

Zdecydować się na odcień opalenizny. Zamówić limuzynę. I tak dalej...

- Zapomniałaś o najważniejszym: znaleźć sukienkę - odezwała się Hayley. Pozostałe dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

Zdumiewała mnie determinacja, z jaką omawiały w najdrobniejszych szczegółach

wydarzenie tak odległe w czasie, lecz powstrzymałam się od komentarza. Tego rodzaju uwaga raczej nie miała szans na entuzjastyczne przyjęcie.

- A ile to będzie kosztować! - jęknęła Taylah. - Skończy się na tym, że spluczę się do ostatniego centa. Pójdzie wszystko, co zarobiłam w tej cholерnej piekarni.

- Ja się nie muszę martwić - oznajmiła Molly z dumą. Odkładałam każdą wypłatę, którą dostawałam w drogerii, już od zeszłego roku.

- U mnie kasę wykładają rodzice - pochwaliła się Megan. Zgodzili się zafundować mi całą imprezę, pod warunkiem że zdam wszystkie egzaminy. Mogę sobie zażyczyć nawet mikrobusu, jeśli zechcę.

Dziewczęta wyraźnie były pod wrażeniem.

- W takim razie pilnuj, żebyś niczego nie zawaliła - powiedziała Molly.

- Co ty, cudów oczekujesz? - zaśmiała się Hayley.

- Macie z kim iść? - zapytała któraś.

Część dziewcząt odpowiedziała twierdząco, a część w ogóle nie musiała się o to martwić, ponieważ miały chłopaków. Reszta żyła oczekiwaniem, że jakiś chłopiec zapyta, czy zechcą mu towarzyszyć.

- Ciekawe, czy Gabriel przyjdzie - zastanawiała się Molly, odwracając się do mnie. - Wszyscy nauczyciele dostali zaproszenia.

- Nie jestem pewna - odparłam. - On chyba nie przepada za tego typu rzeczami.

- Lepiej zaprosz Ryana, zanim zrobi to ktoś inny - poradziła jej Hayley.

- Fakt, najlepsi idą na pierwszy ogień - przytaknęła Taylah. Molly wyglądała na urażoną.

- To nie byle potańcówka, moja droga - przypomniała. - To on musi mnie zaprosić.

Taylah prychnęła rozbawiona.

- Życzę powodzenia.

- Czasem mnie załamujesz, Molly - jęknęła Hayley. - Ryan ma z metr dziewięćdziesiąt wzrostu, blond włosy, kawał klaty i gra w drużynie lacrosse. Może i nie jest najbystrzejszy, ale nie rozumiem, na co ty czekasz.

- Czekam, aż mnie zaprosi. - Molly wyduła wargi.

- Może się wstydzi? - zasugerowała Megan.

- A ty go widziałas? - Taylah przewróciła oczami. - Co jak co, ale nieśmiałość to ostatnie, o co bym go podejrzewała.

Dyskusja zeszła na kwestię wyższości sukienek balowych nad koktajlowymi. Rozmowa stała się tak nieznośnie banalna, że musiałam uciec. Wybąkałam coś na temat nowej książki, która miała przyjść do biblioteki.

- Daj spokój, tylko ostatnie łajzy siedzą w bibliotece - stwierdziła Taylah. - Jeszcze cię ktoś zobaczy.

- I tak spędzimy tam całą przerwę przed szóstą lekcją przez to durne wypracowanie - narzekła Megan.

- O czym to miało być? - zapytała Hayley. - Coś z polityką Bliskiego Wschodu chyba?

- Gdzie w ogóle jest ten Bliski Wschód? - odezwała się dziewczyna imieniem Zoe, blondynka, która zawsze nosiła włosy upięte w koronę.

- To region wokół Zatoki Perskiej - poinformowałam. - Leży w południowo-zachodniej Azji.

- Coś ci się pomyliło, Bethie - zaśmiała się Taylah. - Każdy wie, że Bliski Wschód jest w Afryce.

Zaprzagnęłam zobaczyć się z Ivy, lecz wiedziałam, że jest zajęta pracą w mieście. Przyłączywszy się do tutejszej organizacji kościelnej, starała się zwerbować jak najwięcej członków. Przygotowała plakietki z hasłami nawołującymi do sprawiedliwego handlu, wydrukowała ulotki z informacjami na temat niewolniczych warunków pracy w krajach Trzeciego Świata. Ponieważ cieszyła się w miasteczku popularnością graniczącą z uwielbieniem, odnosiła spore sukcesy. Nagminnie zgłaszała się do niej młodzież płci męskiej, kupując astronomiczne ilości plakietek w nadziei, że uda im się w zamian zdobyć jej numer telefonu lub zasłużyć choć na poklepanie po ramieniu. Ivy obrała sobie za cel sprowadzenie mieszkańców miasteczka na łono Matki Ziemi. Można powiedzieć, że była urodzonym ekologiem - propagowała organiczną żywność, ducha wspólnoty oraz przewagę świata natury nad materialnym.

Ruszyłam zatem w kierunku skrzydła muzycznego, licząc, że znajdę tam Gabriela. Była to najstarsza część szkoły. Usłyszałam śpiew dochodzący z głównej auli, więc pchnęłam ciężkie, wykładane ozdobną boazerią drzwi. Na wysokich ścianach obszernej sali wisiały ponure portrety byłych dyrektorów szkoły. Gabriel stał przy pulpicie, dyrygując grupą chórzystów z trzeciej klasy. Wszystkie chóry ogromnie zyskały na popularności, odkąd pojawił się w szkole, a kandydatek zgłosiło się tyle, że próby klas czwartych musiały odbywać się w auli.

Tego dnia uczył ich śpiewać jeden ze swoich ulubionych hymnów w harmonii czterogłosowej. Akompaniowała im na pianinie Lucy McCrae. Moje wejście spowodowało lekkie zamieszanie. Gabriel odwrócił się, by zlokalizować jego źródło, i wówczas światło wpadające przez witrażowe okno zlało się w jedno z jego złocistymi włosami, stwarzając na ułamek sekundy złudzenie ogarniających go płomieni.

Pomachałam do niego, czekając, aż chór podejmie przerwana pieśń.

Oto jestem, Panie. Czyś mnie wolał? To Twój głos w głęboką niósł się noc. Prowadź, Panie mój, pójdę wszędzie. Lud Twój serca Twojego pozna moc.

Mimo że kilkoro chórzystów trochę fałszowało, a pianino grało odrobinę za głośno, dźwięk czystych młodych głosów trafiał do serca. Zostałam aż do dzwonka, a wychodząc, czułam, że nie mogłam przyjść w lepszym momencie. Przypomniano mi o tym, co najważniejsze.

Kilka następnych dni zlało się w jedną całość i nim zdążyłam się zorientować, naszedł piątek, a wraz z nim koniec kolejnego tygodnia. Wioślarze wrócili ponoć tuż po przerwie obiadowej, lecz ponieważ żadnego z nich nie zauważyłam, wyszłam z założenia, że musieli pojechać prosto do domów. Zastanawiałam się, czy Xavier doszedł już do wniosku, że nie jestem nim jednak zainteresowana, skoro tak długo się nie odzywał. A może wciąż czekał na mój telefon? Myśl, że miałby się na mnie zawieść, sprawiała mi przykrość. A do tego nie nadarzyła się nawet okazja, by cokolwiek mu wytłumaczyć.

Pakując swoje rzeczy po lekcjach, spostrzegłam, że w jedną ze szpar w metalowych drzwiczkach szafki ktoś wsunął zwitek papieru.

Wypadł, gdy je otwierałam. Podniósłszy go z ziemi, odczytałam wiadomość naskrobaną pochyłym chłopięcym pismem:

W razie gdybyś zmieniła zdanie będę w sobotę o 21.00 w kinie Merkury

X

Przeczytałam liścik kilka razy. Niepojęty talent do oszłamiania mnie, jaki posiadał Xavier, działał nawet na odległość. Obchodziłam się z liścikiem tak delikatnie, jakby był starożytną relikwią. Ten chłopak łatwo się nie zrażał. Spodobało mi się to. A więc tak się czuje dziewczyna, za którą ktoś się ugania, pomyślałam. Miałam ochotę skakać z radości, lecz na szczęście udało mi się zachować spokój. Jednak dołączając do Gabriela i Ivy, wciąż szeroko się uśmiechałam. Moja twarz za nic nie chciała dać się wcisnąć pod maskę powściągliwości.

- Wyglądasz na zadowoloną z siebie - stwierdziła Ivy na mój widok.
- Dostałam dobrą ocenę z klasówki z francuskiego - skłamałam.
- Spodziewałaś się innej?
- Nie, ale mimo to przyjemnie jest zobaczyć własną wiedzę potwierdzoną czarno na białym.

Zaskoczyła mnie łatwość, z jaką zaczęło mi przychodzić kłamanie. Wyglądało na to, że jestem w tym coraz lepsza, choć bynajmniej nie był to powód do radości.

Gabriel wyraźnie się ucieszył, widząc mnie w lepszym nastroju. Wiedziałam, że czuje się winny. Cierpiał, będąc świadkiem czyjegoś smutku, a co dopiero jego przyczyną. W zasadzie nie miałam do niego pretensji o to, że potraktował mnie tak surowo. To, że nie do końca pojmował, co właściwie odczuwam, nie było przecież jego winą. Skupiał się na nadzorowaniu naszej misji i nie próbowałam sobie nawet wyobrazić, jak wielkie napięcie musiało temu towarzyszyć. Od niego zależało bezpieczeństwo moje i Ivy, a siły niebieskie polegały na jego roztropności. Nic dziwnego, że starał się za wszelką cenę unikać komplikacji. A tym dokładnie według niego groziły moje kontakty z Xavierem.

Euforia związana z otrzymaną wcześniej wiadomością trwała przez resztę popołudnia i cały wieczór. Lecz w sobotę na nowo zaczęło dręczyć mnie sumienie. Nie miałam pojęcia, co robić. Rozpaczliwie chciałam zobaczyć się z Xavierem, czując jednocześnie, iż byłoby to z mojej strony lekkomyślne i samolubne. Gabriel i Ivy ufali mi jako swojej rodzinie. Nie mogłam świadomie narażać ich reputacji.

Sobotni poranek upłynął w miarę spokojnie, wypełniony domowymi obowiązkami i długim spacerem po plaży, na który zabrałam

Fantoma. Zerknąwszy po powrocie na zegar i uświadomiwszy sobie, że minęła już blisko połowa dnia, zrobiłam się nieco nerwowa.

Podczas obiadu udało mi się ukryć jakoś swoje poruszenie, później zaś Ivy umilała nam czas śpiewem, a Gabriel przygrywał jej na starej gitarze akustycznej. Jej słodki melodyjny głos wzruszyłby do łez nawet zatwardziałego przestępcę. Gabriel wydobywał z instrumentu dźwięki tak doskonałe, że wydawało się, iż żyją własnym życiem.

Okolo wpół do dziewiątej wieczorem poszłam do siebie na górę. Wyrzuciłam na podłogę całą zawartość szafy, a następnie zaczęłam wszystko układać. Niezależnie od tego, jak bardzo starałam się zapomnieć o Xavierze, myśli o nim wciąż powracały, i to z siłą rozpędzonego

pociągu. Za pięć dziesiątą nie potrafiłam skupić się na niczym innym. Wyobrażałam go sobie, jak czeka. Czas płynął, a on odkrywał, że jednak nie przyjdę. Oczami duszy widziałam, jak wzrusza ramionami, wychodzi z kina i zapomina o mnie na zawsze. To właśnie ta wizja okazała się nie do zniesienia. Nim zdążyłam się zorientować, już trzymałam w ręku torebkę i otwierałam drzwi balkonowe, by sekundę później zsunąć się po obrośniętej winoroślą kracie wprost do ogrodu. Zawładnęło mną bezgraniczne pragnienie ujrzenia Xaviera, nawet jeśli nie miałabym zamienić z nim ani słowa.

Biegłam, potykając się, ciemną ulicą. Skręciłam w lewo, kierując się wprost na jarzące się w dole światła miasteczka. Kilka przejeżdżających samochodami osób obejrzało się za mną - musiałam stanowić nie lada widok: blada jak duch, pędząca przed siebie na oślep dziewczyna z długimi rozpuszczonymi włosami, powiewającymi za nią na wietrze niczym chorągiew. Zdaje się, że w przelocie dostrzegłam nawet panią Henderson, wyglądającą zza rozchylonych żaluzji, lecz mnie to nie obeszło.

Odnalezienie kina Merkury zajęło mi około dziesięciu minut. Minęłam kawiarnię o nazwie „Gruby Kot”, wypełnioną młodzieżą.

Szafa grająca dudniła muzyką, na miękkich pluszowych kanapach siedziały nastolatki, sącząc mleczne koktajle lub pogryzając z gigantycznych misek meksykańskie chipsy. Część tańczyła na podłodze z kolorowych płytek. Następna była restauracja „Na Tarasie”, jeden z bardziej eleganckich lokali w Venus Cove. Mieściła się na pierwszym piętrze starego wiktoriańskiego hotelu. Najlepsze stoliki znajdowały się na balkonie biegnącym wzdłuż frontu budynku. Z dołu widziałam migoczące na stolikach świece. Przemknęłam obok piekarni i supersamu, pod którym zaledwie tydzień wcześniej poznałam Alice i Fantoma. Gnałam z taką prędkością, że dotarwszy do kina, nie zauważyłam go i musiałam zawrócić, zorientowawszy się dopiero na końcu ulicy.

Był to przybytek z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku, który w ostatnim czasie odnowiono, zachowując oryginalny styl. Cały wystrój oparty został na dekoracjach nawiązujących do epoki. Podłogi pokryto czarno-białym, wypolerowanym na wysoki połysk linoleum. Obite sztuczną błyszczącą skórą w kolorze spalonej pomarańczy sofy miały chromowane nóżki, z sufitu zwieszały się żyrandole w kształcie latających spodków. Zerknęłam w lustro umieszczone nad stoiskiem ze słodczymi. Z emocji z trudem łapałam oddech, moje policzki zaróżowiły się od biegu.

Gdy weszłam do kina, hol okazał się pusty. Nikt nie kręcił się przy kąciku, w którym serwowano kawę. Z plakatów wyczytałam, że odbywa się maraton filmów Hitchcocka. Z pewnością już się rozpoczął. Xavier albo wszedł na salę sam, albo wrócił do domu.

Nagle ktoś za moimi plecami odchrząknął przesadnie głośno, najwyraźniej starając się przyciągnąć moją uwagę. Odwróciłam się.

- Efektowne wejście. Szkoda tylko, że nie zobaczymy filmu. Za mną stał Xavier, uśmiechając się w typowy dla niego, lekko ironiczny sposób. Miał na sobie granatowe spodnie do kolan i kremową koszulkę polo.

- I tak nie mogę go zobaczyć - wysapałam. - Przyszłam tylko po to, żeby ci to powiedzieć.

- Naprawdę musiałaś biec taki kawał, żeby mi to przekazać? Nie wystarczyło zadzwonić?

W jego oczach igrały wesołe ogniki. Na próżno starałam się wymyślić odpowiedź, która nie zabrzmiałaby nedorzecznie.

Najprościej byłoby stwierdzić, że zgubiłam jego numer telefonu, ale nie chciałam go okłamywać.

- Skoro już tu jesteś, to może napijemy się kawy? - zaproponował.

- A co z filmem?

- Mogę go obejrzeć innym razem.

- Dobrze, ale nie zostanę długo. Nikt nie wie, że wyszłam z domu - wyznałam.

- To dosłownie dwie ulice stąd, jeśli nie masz nic przeciwko małemu spacerowi.

Kawiarenka nazywała się „Zakochani”. Xavier położył mi dłoń między łopatkami, by skierować mnie do drzwi. Czułam bijące od niej gorąco. Całe moje wnętrze zaczęło wypełniać dziwne ciepło, nim zdałam sobie sprawę, że jego ręka spoczywa dokładnie w miejscu, w którym przebiegała linia złożenia skrzydeł. Odsunęłam się od niego szybko, chichocząc nerwowo.

- Dziwna z ciebie dziewczyna - stwierdził zaskoczony.

Ucieszyłam się, słysząc, iż prosi o stolik na uboczu. Pragnęłam uniknąć ciekawskich spojrzeń. Już idąc razem ulicą, zwróciliśmy uwagę wystarczająco wielu osób. Część z siedzących w środku chłopców i dziewcząt znałam ze szkoły, lecz tylko z widzenia, nie było więc potrzeby podchodzenia, by się przywitać. Zauważyłam, że nim usiedliśmy, Xavier skinął kilka razy głową w kierunku innych stolików. Czy to wszystko jego znajomi? Ciekawe, czy nasze wspólne wyjście stanie się pożywką dla poniedziałkowych plotek.

Samo miejsce było bardzo przyjemne i powoli zaczęłam się odprężyć. Przyćmione światło

oraz wiszące na ścianach stare plakaty filmowe tworzyły miłą atmosferę. Na stolikach porozkładano darmowe pocztówki reklamujące prace lokalnych artystów. Menu oferowało koktajle mleczne o różnych smakach, kawę, ciasta i desery lodowe. Kelnerka w czarno-białych tenisówkach przyjęła nasze zamówienie: gorącą czekoladę dla mnie i kawę z dużą ilością mleka dla Xaviera. Zerkała przy tym na niego, uśmiechając się zalotnie.

- Mam nadzieję, że spodoba ci się to miejsce - powiedział, gdy odeszła. - Lubię tu przychodzić po treningu.

- Wydaje się sympatyczne. Dużo trenujesz?

- Dwa popołudnia w tygodniu plus większość sobót i niedziel. A ty? Znalazłaś sobie jakieś hobby?

- Jeszcze nie. Nie mogę się zdecydować. Xavier pokiwał głową.

- To wymaga czasu. - Skrzyżował ramiona na piersi i oparł się wygodnie. - W takim razie opowiedz mi coś o sobie.

Tego się obawiałam.

- Co chciałbyś wiedzieć? - spytałam ostrożnie.

- Po pierwsze, dlaczego wybraliście akurat Venus Cove? Nie jest to szczególnie popularne miejsce.

- Właśnie dlatego. Powiedzmy, że była to decyzja związana ze zmianą stylu życia. Mieliśmy już dość wielkich miast, postanowiliśmy więc osiedlić się gdzieś, gdzie będzie można zaznać trochę ciszy i spokoju. - Takie wyjaśnienie powinno wydać mu się prawdopodobne. Wiele rodzin zmienia miejsce zamieszkania z podobnych przyczyn. - Teraz ty powiedz mi coś o sobie.

Domyślił się, jak sędzę, iż staram się w ten sposób uniknąć dalszych pytań, lecz mu to nie przeszkadzało. Mówił chętnie i z dużą swobodą. W przeciwieństwie do mnie nie miał oporów przed dzieleniem się szczegółami dotyczącymi swojego życia.

Usłyszałam kilka anegdotek o członkach rodziny, jak również skróconą wersję historii rodu Woodsów.

- Mam pięcioro rodzeństwa, z czego czworo młodszych. Oboje rodzice są lekarzami, mama pracuje jako internistka w tutejszej przychodni, a tata jest anestezjologiem. Claire, najstarsza z nas, poszła w ich ślady - studiuje na drugim roku medycyny. Mieszka w miasteczku uniwersyteckim, ale co sobotę przyjeżdża do domu. Niedawno zaręczyła się ze swoim chłopakiem, Lukiem. Są razem od czterech lat. Oprócz niej mam jeszcze trzy siostry: Nicole,

która ma piętnaście lat, ośmioletnią Jasmine i Madeline, która niedługo skończy sześć. Najmłodszy jest czteroletni Michael. Nie zanudzam cię?

- Nie, skąd. To bardzo ciekawe, mów dalej - poprosiłam. Te wszystkie detale związane z codziennością zwyczajnej ludzkiej rodziny wydały mi się frapujące i bardzo chciałam usłyszeć ich jak najwięcej. Czy to możliwe, że mu zazdrościłam?

- No więc... chodzę do naszej szkoły od samego przedszkola, bo mojej mamie bardzo zależało na tym, żebym otrzymał katolickie wykształcenie. Jest zatwardziałą konserwatystką - zaczęła się spotykać z moim tatą w wieku piętnastu lat. Wyobrażasz sobie? Można powiedzieć, że razem dorastali.

- Muszą być ze sobą bardzo związani.

- Mieli wzloty i upadki, ale nigdy nie przydarzyło im się nic, z czym nie umieliby sobie poradzić jako para.

- Na pewno jesteście bardzo zżyci.

- Tak, to prawda. Chociaż mama bywa czasem trochę nadpiekuńcza.

Mogłam sobie wyobrazić nadzieje, jakie rodzice Xaviera wiązali ze swoim najstarszym synem.

- Ty także pójdziesz na medycynę?

- Pewnie tak. - Wzruszył ramionami.

- Nie wyglądasz na zachwyconego tym pomysłem.

- Prawda jest taka, że interesuję się projektowaniem wnętrza, ale powiedzmy, że nie spotkało się to ze szczególnym entuzjazmem.

- Dlaczego?

- Ponieważ projektanci nie są specjalnie rozchwytywani. Myśl o zainwestowaniu całej masy pieniędzy w moją edukację tylko po to, żebym na koniec nie mógł znaleźć pracy, jakoś nie przemówiła do moich rodziców.

- A co z tym, czego ty pragniesz?

- Czasem rodzice wiedzą lepiej.

Wyglądało na to, że bez żalu pogodził się z tą decyzją, ciesząc się, że potrafi sprostać oczekiwaniom rodziców. Jego dalsza droga została dokładnie zaplanowana i nie wyobrażałam sobie, by mógł zboczyć z raz obranego kursu. W tym akurat sensie utożsamiałam się z nim - moją ścieżkę, jaką miałam do przebycia w ludzkim ciele, wyznaczały liczne ograniczenia i

wskazówki, a jakiegokolwiek odstępstwa z pewnością nie byłyby mile widziane. Z tą korzystną dla Xaviera różnicą, że popełniane przez niego błędy nie narażały go na gniew Boży. W jego przypadku doliczano je do puli zdobytych doświadczeń.

Gdy wypiliśmy już mniej więcej połowę zamówionych napojów, Xavier doszedł do wniosku, że przyda nam się „bomba kaloryczna”, i poprosił o tort czekoladowy. Olbrzymi kawałek był obficie udekorowany bitą śmietaną oraz jagodami i podany na dużym białym talerzu, zaopatrzonym w dwie długie łyżeczki. Pomimo gorącej zachęty, abym „zaszalała”, poskubałam go tylko delikatnie przy brzegach. Na koniec Xavier uparł się, że za mnie zapłaci, i wyglądał na urażonego propozycją, że dołożę się do rachunku. Stanowczo odsunął moją rękę, na odchodnym wrzucając banknot do wielkiego słoja z napiwkami, z naklejką z napisem NA SZCZĘŚCIE.

Dopiero gdy znaleźliśmy się na ulicy, zdałam sobie sprawę, która jest godzina.

- Wiem, że już późno - powiedział Xavier, widząc moją minę. - Ale może przejdziemy się kawałeczek? Nie chciałbym jeszcze odwozić cię do domu.

- I tak czeka mnie ciężka przeprawa.

- W takim razie dodatkowych dziesięć minut nie zrobi różnicy.

Dobrze wiedziałam, że powinnam się pożegnać. Ivy i Gabriel z pewnością zdążyli zauważyć moją nieobecność i martwili się o mnie. Nie, żebym się tym nie przejmowała - po prostu nie mogłam znieść myśli o zrezygnowaniu z towarzystwa Xaviera choćby o sekundę wcześniej, niż dyktowała absolutna konieczność. Kiedy byłam przy nim, wypełniała mnie błogość tak wszechogarniająca, że cała reszta świata bladła i rozpływała się w tle. To było tak, jakby otaczała nas własna, prywatna bańka mydlana, której nic prócz trzęsienia ziemi nie mogło zniszczyć.

Pragnęłam, by ta noc trwała wiecznie.

Szliśmy uliczką biegnącą w kierunku plaży. Dotarłszy do jej końca, zobaczyliśmy wesołe miasteczko, które właśnie zaczynano rozstawiać w pobliżu drewnianego deptaka. Tego typu rozrywki cieszyły się szczególną popularnością wśród rodzin ze znudzonymi zimą dziećmi. Diabelski młyn obracał się powoli na wietrze, wokół toru leżały poprzewracane samochodziki. W oddali połyskiwał żółto nadmuchiwany zamek.

- Chodź, popatrzymy - rzucił Xavier z dziecięcym entuzjazmem.

- Chyba jeszcze nie otwarte. Nie wpuszczają nas. - Było coś odstręczającego w tym starym i

sfatygowanym wesołym miasteczku, coś, co sprawiało, że nie miałam ochoty go zwiedzać. - Poza tym jest już prawie ciemno.

- Gdzie się podziela twoja żądza przygody? Możemy przecież przeskoczyć przez ogrodzenie.

- No dobrze, chodźmy rzucić okiem. Ale od razu mówię, że przez żadne płoty skakać nie będę.

Jak się okazało, niepotrzebnie się obawiałam. Nie ustawiono jeszcze żadnego ogrodzenia, więc po prostu weszliśmy. Nie było tam dużo do oglądania. Kilku mężczyzn, którzy ciągnęli na linach jakieś maszyny, w ogóle nie zwróciło na nas uwagi. Na stopniach jednej z przyczep siedziała bardzo opalona kobieta, paląc papierosa. Miała na sobie kolorową suknię i mnóstwo podzwaniających przy każdym ruchu bransoletek - sięgały jej aż do łokci. Wokół jej oczu oraz ust widniały głębokie zmarszczki, a ciemne włosy posiwiały na skroniach.

- Młodzi zakochani - powiedziała na nasz widok. - Przykro mi, moi drodzy, jeszcze nieczynne.

- Przepraszamy - odparł Xavier grzecznie. - Już wychodzimy. Kobieta zaciągnęła się papierosem.

- Przepowiedzieć wam przyszłość? - zapytała skrzeczącym głosem. - Skoro już tu jesteście...

- Jest pani medium? - spytałam. Byłam zaintrygowana, ale zachowałam sceptycyzm.

Prawdą jest, że niektórzy ludzie mają podwyższony próg wrażliwości i zdarza im się doświadczać czegoś na kształt przecucia, lecz nic więcej. Część z nich widuje duchy lub odczuwa ich obecność, jednak określanie siebie mianem medium wydawało mi się przesadą graniczącą z zarozumiałstwem.

- Oczywiście - odrzekła kobieta. - Angela Messenger2 do usług.

Z trudem opanowałam zaskoczenie. Jej imię brzmiało tak podobnie do słowa „anioł”, że niemal wytrąciło mnie to z równowagi.

- No chodźcie, nie wezmę od was pieniędzy - dodała. - Rozerwiemy się trochę.

W przyczepie pachniało jedzeniem na wynos. Na stoliku paliły się świece, na ścianach wisiały obszyte frędzlami kilimy. Angela wskazała nam, gdzie mamy usiąść.

- Najpierw ty - rzekła do Xaviera, ujmując jego dłoń i wpatrując się w niego z uwagą. Z wyrazu jego twarzy odczytałam, że traktuje to wszystko jak dobry żart.

- woja linia serca jest zakrzywiona, a więc masz romantyczne usposobienie - oznajmiła. - Krótka linia głowy oznacza, że co na myśli, to i na języku. Odczuwam też silną błękitną energię. Wynika z tego, że masz w sobie krew bohatera, lecz oznacza to również, iż czeka cię wielkie cierpienie, choć nie wiem, jakiego rodzaju. Powinieneś się przygotować, ponieważ nastąpi to już niebawem.

Xavier postarał się przyjąć jej słowa z należytą powagą.

- Dziękuję - odparł. - To bardzo ciekawe. Twoja kolej, Beth.

- Wolałabym nie - powiedziałam.

- Przyszłości nie należy się bać. Należy stawiać jej czoło - stwierdziła Angela. W jej ustach zabrzmiało to niemal jak wyzwanie.

Niechętnie wyciągnęłam otwartą dłoń. Choć kobieta miała palce szorstkie i zrogowaciałe, ich dotyk nie był nieprzyjemny.

Chwyliła mnie mocno za rękę, po czym nagle spoważniała.

- Widzę biel - odezwała się, przymykając oczy, jakby była w transie. - Czuję nieopisaną radość. - Otworzyła oczy.

- Masz niespotykaną aurę, dziecko. Niech no zerknę na twoje linie. Tu mamy silną, prostą jak struna linię serca, co zdradza, że

kochać będziesz w życiu tylko raz... Dalej... dobry Boże!

2 *Messenger* - ang. posłaniec (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

- Zacieśniła uchwyt, prawie wyłamując mi palce, by naciągnąć skórę.

- Co takiego? - zapytałam z niepokojem.

- Twoja linia życia - odrzekła kobieta z oczami rozszerzonymi z przerażenia. - Nigdy czegoś takiego nie widziałam.

- A co z nią nie tak? - spytałam zniecierpliwiona.

- Moje dziecko - zniżyła głos do szeptu - ty jej nie masz.

Wracaliśmy do samochodu Xaviera w krępującej ciszy.

- To było naprawdę dziwne - odezwał się wreszcie, otwierając drzwi auta.

Wsiadłam.

- Nie da się ukryć - odparłam, próbując sprawiać wrażenie bez troskiej. - Ale kto by tam wierzył w takie rzeczy?

Xavier dopiero co otrzymał prawo jazdy. Jeździł niebieskim, odnowionym kabrioletem z 1956 roku, który dostał od rodziców na Gwiazdkę. Przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił bieg, a następnie włączył radio. Miły melodyjny głos spikera powitał nas na cyklicznym wieczorku jazzowym. Wnętrze samochodu przesycone było zapachem skórzanych siedzeń oraz czegoś świeżego i delikatnego - przypuszczalnie wody po goleniu, której używał Xavier. Dawało mi to dziwne poczucie bezpieczeństwa.

Odbywszy wcześniej tylko kilka krótkich przejażdżek naszą hybrydową terenówką, zupełnie nie spodziewałam się ryku, z jakim silnik kabrioletu obudził się do życia. Przywarłam do siedzenia. Xavier rzucił mi spojrzenie spod uniesionych brwi.

- Żyjesz?

- Czy ten samochód na pewno jest bezpieczny?

- Wątpisz w moje umiejętności jako kierowcy? - Uśmiechnął się znacząco.

- Tobie ufam, nie jestem tylko przekonana co do auta.

- Jeśli już zwracasz taką uwagę na bezpieczeństwo, dobrze byłoby wziąć przykład ze mnie i zapiąć pas.

- Co zapiąć?

Xavier pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Zaczynam się o ciebie martwić - wymamrotał pod nosem.

- Naprawdę będziesz miała kłopoty? - zapytał, gdy podjechaliśmy pod dom. Światło na werandzie nadal się paliło, co jednoznacznie wskazywało na to, że moja nocna eskapada nie uszła uwagi rodzeństwa.

- Jeśli nawet, to trudno. Doskonale się bawiłam.

- Ja też. - Promień księżyca zamigotał na krzyżyku, który nosił na szyi.

- Xavier... - zaczęłam z wahaniem - czy mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Tak się zastanawiam... dlaczego chciałeś się ze mną dziś umówić? Bo widzisz, Molly opowiadała mi o... no wiesz... o twojej...

- Emily? - dokończył Xavier z westchnieniem. - I co w związku z tym? - W jego głosie zabrzmiała obronna nuta. - Widzę, że nie ma szans na to, żeby ludzie zostawili ją w spokoju. Tak

to właśnie jest w małych miasteczkach. Wszyscy żyją plotkami.

Nie śmiałam podnieść wzroku. Czułam, że przekroczyłam pewną granicę, lecz nie było już odwrotu.

- Molly powiedziała, że nie interesowało cię towarzystwo innych dziewcząt, więc zaciekało mnie... dlaczego akurat ja?

- Emily nie była jedynie moją dziewczyną - odrzekł Xavier. - Była moją najlepszą przyjaciółką. Rozumieliśmy się w sposób, który trudno wyjaśnić, i nikt mi jej nie zastąpi. Lecz kiedy poznałem ciebie... - Urwał.

- Czy jestem do niej podobna? - spytałam. Roześmiał się.

- Ani trochę. Ale przy tobie czuję się tak samo jak przy niej.

- To znaczy?

- Czasem zdarza się tak, że poznajesz jakąś osobę i coś zaskakuje - jest ci dobrze w jej towarzystwie, masz poczucie, jakbyś znała ją od urodzenia, nie musisz niczego udawać.

- Myślisz, że Emily miałyby coś przeciwko temu, że dobrze się przy mnie czujesz?

Uśmiechnął się.

- Gdziekolwiek teraz jest, na pewno chciałaby, abym był szczęśliwy.

Wiedziałam doskonale, gdzie znajduje się Emily, lecz miałam na tyle rozumu, by jeszcze nie dzielić się z Xavierem tego rodzaju informacjami. Dość, że nigdy wcześniej nie widziałam na oczy pasa bezpieczeństwa, nie wspominając o mojej dłoni, na której brakowało linii życia. Uznałam, że jak na jeden wieczór, w zupełności wystarczy niespodzianek.

Siedzieliśmy przez kilka minut w milczeniu. Żadne z nas nie chciało psuć nastroju.

- Wierysz w Boga? - zapytałam wreszcie.

- Nikt nigdy mnie o to nie pytał. Większość ludzi uważa religię za rodzaj sposobu na określenie własnej osobowości.

- A więc?

- Wierzę w wyższą siłę, w duchową energię. Życie wydaje mi się zbyt złożone, by mógł nim rządzić przypadek. Zgadzasz się ze mną?

- W stu procentach.

Tego wieczoru wysiadałam z samochodu Xaviera ze świadomością, że świat, który znam, zmienił się nieodwołalnie. Wchodząc po schodach, nie myślałam o tym, iż czeka mnie bura. Zastanawiałam się, kiedy znów go zobaczę. Było jeszcze tyle rzeczy, o których chciałam z nim

porozmawiać.

Po same uszy

Drzwi otworzyły się, nim zdążyłam zapukać, i stanęła w nich zatroskana Ivy. Gabriel siedział w salonie nieruchomo, z kamienną twarzą. Nawet nie mrugnął okiem. W normalnej sytuacji na taki widok natychmiast ogarnęłyby mnie wyrzuty sumienia, lecz tym razem na drodze stanął im głos Xaviera, który nadal dźwięczał mi w uszach, a także wspomnienie jego dłoni na moich plecach, gdy wchodziliśmy do kawiarni. Wciąż czułam świeży, subtelny zapach jego wody kolońskiej.

W głębi ducha, już wymykając się tego wieczoru przez balkon, wiedziałam, że Gabriel od razu wyczuje moją nieobecność. Wiedziałam, że domyśli się, dokąd poszłam i z kim. Wiedziałam też, iż przejdzie mu przez myśl, by wybrać się na poszukiwanie mnie, i że ten pomysł odrzuci. Żadne z nich nie zdecydowałoby się na krok, który mógłby się skończyć publicznym zwróceniem na siebie uwagi.

- Niepotrzebnie na mnie czekaliście, nic mi nie groziło - powiedziałam. Wbrew moim intencjom zabrzmiało to dość niefrasobliwie. Ton mojego głosu był bardziej zuchwały niż przeproszający. - Przykro mi, jeśli się o mnie martwiliście - dodałam po namyśle.

- Nie, Bethany. Wcale nie - odezwał się Gabriel cicho, nie podnosząc głowy. - Nie jest ci przykro, inaczej byś tego nie zrobiła. - Świadomość, że nie chce na mnie spojrzeć, sprawiała mi ból.

- Gabe, proszę... - zaczęłam, lecz uciszył mnie nieznoszą-cym sprzeciwu gestem ręki.

- Miałem liczne obawy związane z twoim udziałem w tej misji. Właśnie udowodniłaś, że potrafisz być nieobliczalna. - Mówił to tak, jakby brzydził się własnymi słowami. - Jesteś młoda i niedoświadczona. Twoja aura jest cieplejsza i bardziej ludzka niż któregośkolwiek z innych znanych mi aniołów, a mimo to cię wybrano. Czułem, że będą z tym problemy, jednak pozostali wierzyli, iż wszystko potoczy się szczęśliwie. Lecz teraz widzę, że ty sama podjęłaś decyzję - stawiasz przelotne zauroczenie ponad rodzinę. - Podniósł się gwałtownie z miejsca.

- Czy moglibyśmy przynajmniej o tym porozmawiać? - poprosiłam.

Sprawy przybrały nadzwyczaj dramatyczny obrót, co moim zdaniem wcale nie byłoby konieczne, gdyby tylko Gabriel zechciał mnie wysłuchać.

- Nie teraz. Jest późno. Cokolwiek masz do powiedzenia, może poczekać do rana. - To

powiedziawszy, wyszedł.

Ivy popatrzyła na mnie wielkimi smutnymi oczami. Nie mogłam pogodzić się myślą, że ten wieczór miał zakończyć się tak nieprzyjemnie. Zwłaszcza że jeszcze dosłownie przed momentem byłam wprost idealnie szczęśliwa.

- Mógłby sobie darować ten katastroficzny ton - wymamrotałam pod nosem.

To ją ostatecznie dobiło.

- Bethany, jak możesz mówić takie rzeczy! Zachowałam się dziś karygodnie, nawet jeśli jeszcze tego nie widzisz. W tej chwili nasze słowa mogą ci się wydawać przesadą, ale postaraj się przynajmniej wziąć je pod uwagę, zanim całkiem stracisz kontrolę nad sytuacją.

W końcu pojmiesz, że to, co czujesz do tego chłopca, to zwykłe zadurzenie, które wkrótce minie.

Oboje przemawiali do mnie samymi zagadkami. Jak miałam dostrzec problem, jeśli nie umieli go jasno przedstawić?

Zdawałam sobie sprawę z tego, że moje wyjście z Xavierem stanowiło małe odstępstwo od zasad, ale czymże to mogło grozić? Jaki sens ma przebywanie na ziemi, nasza zdolność do przeżywania ludzkich doświadczeń, jeśli musimy udawać, że są bez znaczenia?

Niezależnie od tego, co wydawało się właściwe mojemu rodzeństwu, wcale nie chciałam, by moje uczucia do Xaviera „minęły”. To sprowadzałoby go do poziomu jakiegoś wirusa, który mój organizm ma za zadanie zwalczyć. Jeszcze nigdy nie odczuwałam tak przemożnej potrzeby czyjejś obecności. Przypomniało mi się zdanie, które gdzieś przeczytałam: Serca nie da się oszukać. Nie pamiętałam, skąd pochodziło, lecz ten, kto je napisał, miał rację. Jeśli Xavier był chorobą, nie pragnęłam wyzdrowieć. Jeśli moje szaleństwo miało być postrzegane jako grzech, za który przyjdzie mi słono zapłacić, trudno. Niech i tak będzie. Było mi wszystko jedno.

Ivy poszła na górę do swojego pokoju, zostawiając mnie sam na sam z Fantomem, który najwyraźniej instynktownie zgadywał, czego mi potrzeba. Podeszedł do mnie i zaczął się ocierać o moje nogi, dobrze wiedząc, iż nie oprę się pokusie pogłaskania go.

Przynajmniej w jego oczach nie uchodziłam za przestępcę.

Poszłam do siebie i zdjęłam ubranie, zostawiając je rozrzucone na podłodze. Nie chciało mi się spać - czułam się osaczona i przytłaczało mnie to. Stałam pod prysznicem, poddając się strumieniowi gorącej wody. Przyniósł ulgę napiętym mięśniom ramion i pleców. Pomimo wcześniejszych ustaleń, aby nigdy nie pozwalać sobie na to w domu, bo mógłby to zobaczyć ktoś

niepowołany, rozpostarłam skrzydła na tyle, na ile pozwalały szklane ścianki kabiny. Odretwiałe i sztywne, ponieważ przez wiele godzin były złożone, wchłaniały szybko wilgoć, dwukrotnie zwiększając swój ciężar. Odchyliłam głowę do tyłu, woda spływała mi po twarzy. Ivy prosiłabym przemyślała swoje postępowanie, lecz choć przez tę krótką chwilę nie miałam ochoty nad niczym się zastanawiać. Pragnęłam po prostu odpocząć.

Wytarłszy się pośpiesznie, poczłapałam do łóżka. Skrzydła wciąż były mokre. Za nic w świecie nie chciałam zranić rodzeństwa, a jednak miałam wrażenie, że moje serce zamienia się w głąz za każdym razem, gdy próbuję wyobrazić sobie, że nie zobaczę już więcej Xaviera. Marzyłam o tym, by zjawił się w moim pokoju. Poprosiłabym go, aby uwolnił mnie z tego więzienia. Nie zawahałby się, byłam tego pewna. Puszczając wodze fantazji, widziałam siebie jako bezbronną dziewicę przywiązaną do torów, podczas gdy twarze dręczycieli należały do Ivy i Gabriela. Zdawałam sobie sprawę z tego, że to irracjonalne, a ja sama popadam w melodramatyczną przesadę, a mimo to nie mogłam się powstrzymać. Jak miałam wytłumaczyć mojej rodzinie, że Xavier to nie żadna przelotna miłośćka, że znaczy dla mnie o wiele więcej? Fakt, iż poza tą jedną randką widzieliśmy się zaledwie kilka razy, był nieistotny.

Jak miałam im to wyjaśnić? Byłam w stu procentach przekonana, że choćbym pozostawała na ziemi przez tysiące lat, nigdy już nie spotkam nikogo takiego. Posiadałam wiedzę niedostępną dla śmiertelników, która dawała mi pewność równą jedynie świadomości, iż kiedyś przyjdzie mi opuścić tę zieloną planetę.

Tym, co stanowiło wielką niewiadomą, była kwestia konsekwencji, jakie czekałyby mnie, gdyby w Królestwie Niebieskim dowiedziano się o moich wybrykach. Nie odważyłam się o to pytać, lecz mogłam sobie wyobrazić, że reakcja nie należałaby do łagodnych. Z drugiej jednak strony, czy naprawdę zbyt wielkim zuchwalstwem byłoby liczyć na odrobinę współczucia i zrozumienia?

Czyż nie zasługuję na nie tak samo jak człowiek, któremu wszystko zostałoby wybaczone bez sekundy namysłu? Zastanawiałam się, co byłoby dalej. Czy zostałabym wezwana z powrotem, okryta hańbą? Na myśl o tym przeszył mnie zimny dreszcz, lecz zaraz pojawiło się wspomnienie twarzy Xaviera, znów wypełniając moje wnętrze ciepłem.

Następnego ranka, podobnie jak przez resztę weekendu, nikt nie poruszył tego tematu. W poniedziałek Gabriel przygotował śniadanie w milczeniu. Trwało ono aż do chwili, w której dotarliśmy do bram szkoły i rozdzieliliśmy się.

Towarzystwo Molly oraz jej koleżanek przyniosło tym razem pożądaną odmianę. Z wdzięcznością przysłuchiwałam się ich paplaninie - pozwalała mi nie myśleć. Tego dnia gwoździem programu stała się analiza ubraniowych wpadek najmniej lubianych nauczycieli. Pan Philips, na przykład, nosił według nich fryzurę „spod kosiarki”, a spódnice panny Pace znacznie lepiej nadawałyby się na dywan. Pani Weaver zyskała dzięki swym kończącym się tuż pod biustem, szytym na miarę spodniom, przydomek „Wielkie Gacie”. Większość z nich uważała członków grona pedagogicznego za obcy gatunek, któremu nie należą się szacunek ani grzeczność. Mimo to wiedziałam, że za tymi złośliwościami nie stoją żadne złe zamiary. Po prostu im się nudziło.

Wkrótce zresztą rozmowa zesłała na daleko ważniejsze tory.

- Pełna mobilizacja, moje drogie! Wybieramy się na zakupy - oznajmiła Hayley. - Chcemy pojechać pociągiem do miasta i przejść się po butikach w Punch Lane. Molly, zabierzesz się z nami?

- Jasne. A ty, Beth?

- Nie wiem nawet, czy pójdę na ten bal.

- Skąd taki pomysł? - Molly wyglądała na zaszokowaną, jakby jedynie wydarzenie rangi Apokalipsy mogło posłużyć za wystarczający powód do tego, by nie iść na bal absolwentów liceum.

- Choćby stąd, że nie mam z kim.

Nie przyznałam się Molly, że kilku chłopców poruszyło ten temat w mojej obecności, korzystając z rzadkich momentów, w których udało im się złapać mnie samą podczas przerwy. Zbyłam ich ogólnikowymi odpowiedziami, każdemu powtarzając, iż nie jestem pewna, czy się wybiorę, co nie było zupełną nieprawdą. Grałam na zwłokę, skrywając w głębi duszy nadzieję, że zaprosi mnie

Xavier.

Dziewczyna o imieniu Montana przewróciła oczami.

- Tym się w ogóle nie martw. Sukienka jest ważniejsza. Przecież zawsze kogoś znajdziesz.

Miałam właśnie wspomnieć coś o zajrzeniu do terminarza, gdy poczułam, że obejmuje mnie czyjeś silne ramię. Reszta dziewcząt zamarła, ze wzrokiem utkwionym ponad moją głowę.

- Cześć, dziewczyny, nie będziecie miały nic przeciwko, jeśli porwę Beth na minutkę, prawda? - zapytał Xavier.

- Tak się składa, że akurat omawiamy coś bardzo ważnego - wyraziła swój sprzeciw Molly. Zmrużywszy podejrzliwie oczy, patrzyła na mnie wyczekująco.

- Zaraz ją oddam, obiecuję - odparł Xavier.

W sposobie, w jaki się do mnie zwracał, widać było pewną zażyłość, która żadnej z nich nie umknęła. Nie miałam nic przeciwko temu, aczkolwiek nagle znalezienie się w centrum uwagi nieco mnie krępowało. Xavier poprowadził mnie do pustego stolika.

- Co ty wyprawiasz? - wyszeptalam.

- Zdaje się, że przybywanie ci z odsieczą zaczyna wchodzić mi w nawyk. Chyba że marzyłeś o spędzeniu reszty obiadu na rozmowach o natryskowej opaleniznie oraz przedłużaniu rzęs?

- Skąd ty w ogóle wiesz o istnieniu takich rzeczy?

- Mam siostry.

Usiadł wygodnie na krześle, ignorując ukradkowe spojrzenia biegnące ku nam teraz już ze wszystkich stron zatłoczonej stołówki.

W niektórych kryła się zazdrość, inne wyrażały zwykłe zaciekawienie. Choć jego towarzystwo byłoby mile widziane lub wręcz pożądane przy niemal każdym stoliku, Xavier wybrał mnie.

- Zwracamy na siebie uwagę - powiedziałam, wiercąc się niespokojnie.

- Ludzie uwielbiają plotkować, nic na to nie poradzisz.

- Dlaczego nie usiądziesz z przyjaciółmi?

- Ty wydajesz się bardziej interesująca.

- Nie ma we mnie niczego interesującego - odrzekłam tonem, do którego wkraść się cień paniki.

- Nie mogę się z tobą zgodzić. Widzisz, nawet twoja reakcja na określenie „interesująca” jest interesująca. Do naszego stolika podeszło dwóch młodszych chłopców.

- Cześć, Xavier - rzucił wyższy z nich i uprzejmie skinął głową. - Udał się ten zlot, co? Wygrałem cztery z sześciu rund rozgrzewkowych!

- Dobra robota, Parker - odparł Xavier, z łatwością wchodząc w rolę przewodniczącego samorządu i opiekuna. - Wiedziałem, że skopimy tyłek Westwoodowi.

Chłopak promieniał z dumy.

- Myślisz, że mam szansę na udział w ogólnokrajowych?

- zapytał.

- Nie zdziwiłbym się. Trener był z ciebie zadowolony. Nie zapomnij tylko wpaść w przyszłym tygodniu.

- Jasna sprawa. Do zobaczenia w środę! Xavier kiwnął głową i stuknęli się pięściami.

- Na razie, młody.

Nie można było nie zauważyć, że Xavier doskonale radzi sobie w kontaktach z innymi - umie być życzliwy i otwarty bez nadmiernej poufałości. Gdy tylko zostaliśmy sami, jego twarz znów przybrała wyraz skupienia, zupełnie jakby moje słowa miały dla niego ogromne znaczenie. Przyprawiało mnie to o dreszcze. Nie mogłam powstrzymać nerwowego uśmiechu. Poczułam gorąco pełną powoli w górę i po chwili rumieniec zalał całą moją twarz.

- Jak ty to robisz? - zapytałam, by ukryć zmieszanie.

- Co robię?

- Tak łatwo przychodzi ci rozmawianie z ludźmi. Wzruszył ramionami.

- Nie mam wyjścia. Czekał, zapomniałbym! Zaciągnąłem cię tu, żeby coś ci oddać. - Wyjął z kieszeni marynarki długie, białe, opalizujące pióro. Miejscami połyskiwało delikatnie na różowo.

- Znalazłem je w aucie po tym, jak odwiozłem cię do domu.

Wyrwałam mu je, wsuwając między kartki notesu. Nie miałam pojęcia, w jaki sposób znalazło się w samochodzie Xaviera. Moje skrzydła przez cały czas pozostawały ciasno złożone i schowane pod ubraniem.

- To jakiś talizman? - zapytał. Jego turkusowe oczy wpatrywały się we mnie z zaciekawieniem.

- Można tak powiedzieć - odpowiedziałam ostrożnie.

- Wyglądasz na zdenerwowaną. Czy coś się stało? Pokręciłam energicznie głową i odwróciłam wzrok.

- Wiesz, że możesz mi zaufać.

- Tak naprawdę to nie wiem.

- Przekonasz się, kiedy mnie bliżej poznasz. Raczej uczciwy ze mnie facet.

Nie słuchałam go. Przeszukiwałam wzrokiem tłum, sprawdzając, czy przypadkiem nie ma tam Gabriela. Jego obawy nie wydawały mi się już tak bezpodstawne.

- Twój entuzjazm mnie przytłacza - roześmiał się Xavier, sprowadzając mnie tym

gwałtownie na ziemię.

- Przepraszam. Mam dziś sporo na głowie.

- Mogę w czymś pomóc?

- Raczej nie, ale miło, że pytasz.

- Zdajesz sobie sprawę, że tajemnice źle wpływają na związek? - Skrzyżował ręce na piersi i oparł się wygodnie.

- A kto tu mówi o związku? Poza tym nie musimy się chyba sobie ze wszystkiego zwierzać. Nie jesteśmy małżeństwem.

- Chcesz za mnie wyjść? - zapytał Xavier głośno. Bulka wyraźnie zaintrygowanych osób odwróciło głowy. - Myślałem raczej o tym, żeby najpierw bliżej się poznać i zobaczyć, dokąd nas to zaprowadzi, ale skoro tak ci zależy...

Przewróciłam oczami.

- Bądź cicho albo dam ci w nos.

- Ojej - udał przerażonego. - Już się boję. Chyba jeszcze nikt nigdy nie dał mi w nos.

- Sugerujesz, że nie potrafiłabym zrobić ci krzywdy?

- Wręcz przeciwnie. Ty akurat masz szczególną moc. Patrzyłam na niego zdumiona. A potem, gdy dotarło do mnie znaczenie jego słów, poczerwieniałam jeszcze bardziej. - Bardzo śmieszne - stwierdziłam sucho. Jego ręka leżąca na stole otarła się o moją. Coś dotychczas głęboko uspiętego w moim wnętrzu obudziło się.

No i stało się. Nic nie mogłam na to poradzić - zawładnęło mną błyskawiczne i wszechogarniające uczucie do Xaviera Woodsa. Nagle całe moje dotychczasowe życie zaczęło wydawać się niezwykle odległe. Z pewnością nie tęskniłam już za niebem tak bardzo, jak Ivy i Gabriel. Dla nich pobyt na ziemi oznaczał codzienne zmaganie się z ograniczeniami ludzkiego ciała, dla mnie natomiast stanowił źródło nieustającej radości, ponieważ pozwolono mi posmakować cudu bycia człowiekiem.

Coraz zręczniej szło mi ukrywanie przed bratem i siostrą mojego stanu ducha. Zdawałam sobie sprawę, iż są go świadomi, lecz nawet jeśli nie pochwalali mojego zachowania, najwyraźniej zawarli ciche porozumienie, aby nie poruszać przy mnie tego tematu. Za to akurat byłam im wdzięczna. Wyczuwałam jednak, że się ode mnie oddalają. Łącząca nas więź uległa rozluźnieniu, przy stole podczas posiłków często zapadała krępująca cisza. Co wieczór zasypiałam, słuchając szmeru ich rozmów prowadzonych szeptem, wiedząc doskonale, iż to moje

nieposłuszeństwo jest przedmiotem tych dyskusji. Z własnego wyboru nie uczyniłam żadnego gestu, który pomógłby zmniejszyć rosnący między nami dystans, mimo iż miałam świadomość, że kiedyś prawdopodobnie będę tego żałowała.

Tymczasem zaprzętały mnie zupełnie inne sprawy. Niespodziewanie okazało się, że z trudem przychodzi mi dospanie do rana.

Wyskakiwałam z łóżka, nim Ivy przysłała mnie obudzić, i wkrótce przestało to być konieczne. Spędzałam dużo czasu przed lustrem, wypróbowując rozmaite uczesania, starając się spojrzeć na siebie oczami Xaviera. Odtwarzałam w myślach fragmenty naszych rozmów, zastanawiając się, jak wypadłam. Niekiedy cieszyłam się z jakiejś błyskotliwej uwagi, którą udało mi się wygłosić, innym razem beształam się za nieporadność. Jednym z moich ulubionych zajęć w wolnych chwilach stało się wymyślanie celnych ripost, a następnie uczenie się ich na pamięć na wypadek, gdyby miały się przydać.

Zaczęłam zazdrościć Molly i jej koleżankom. Miały przed sobą coś, o czym ja mogłam tylko marzyć: przyszłość, którą dane im będzie spędzić na tej planecie. Będą mogły dorosnąć, założyć rodziny, spróbować sił w rozmaitych zawodach. Czekają je wspomnienia, które będą dzieliły z życiowymi partnerami. Ja byłam tylko gościem, którego pobyt wcześniej czy później musi dobiec końca. Choćby z tego jednego powodu powinnam była postarać się raczej zdusić uczucie do Xaviera, niż pozwolić mu się rozwijać.

Zdążyłam jednak dowiedzieć się pewnej rzeczy na temat nastoletniej miłości: jej siła nie zależy wcale od długości trwania związku.

Trzy miesiące stanowią normę, po sześciu para osiąga punkt zwrotny, jeśli zaś przetrwają cały rok, uważa się ich niemal za małżeństwo. Nie miałam pojęcia, ile czasu przeznaczono na mój pobyt na ziemi, lecz niezależnie od tego, czy został mi miesiąc czy też właśnie rok, nie zamierzałam stracić ani dnia. Każda minuta spędzona z Xavie-rem składała się na wspomnienia, które kiedyś będą musiały wystarczyć mi na całą wieczność.

Problemu ze zbieraniem takich wspomnień nie miałam żadnego, ponieważ wkrótce nie było dnia, żebyśmy nie spędzili ze sobą choć kilku minut. Zwyczajowo odnajdowaliśmy się w szkole, gdy tylko któreś z nas miało wolne. Niekiedy były to jedynie krótkie rozmowy na korytarzu lub wspólny obiad. Podczas przerw rozglądałam się uważnie, próbując wytropić go wychodzącego z szatni. W trakcie apeli czekałam z drżeniem serca na moment, w którym

wejdzie na podium. Na boisku wypatrywałam go, mrużąc oczy, wśród graczy biegających po murawie. Molly zasugerowała z przekąsem, że być może przydałyby mi się okulary.

W te popołudnia, w które nie miał treningu, Xavier odprowadzał mnie do domu. Upierał się, aby nosić moją torbę. Przedłużaliśmy spacer, jak się dało, wędrując okreśną drogą przez centrum miasteczka i za każdym razem wstępując do

„Zakochanych”, która to kafejka bardzo szybko stała się „naszym” miejscem.

Czasami opowiadaliśmy sobie o tym, co wydarzyło się podczas dnia, innym razem po prostu siedzieliśmy w milczeniu. Do szczęścia wystarczyło mi samo przyglądanie się Xavierowi - nigdy nie miałam dość. Nie mogłam oderwać wzroku od jego miękkich, opadających na twarz włosów, od jego oczu w kolorze oceanu. Fascynował mnie sposób, w jaki zawsze unosił tylko jedną brew. Jego twarz przypominała dzieło sztuki. Dzięki wyostrzonym zmysłom nauczyłam się wyczuwać jego obecność po zapachu. Gdy tylko znalazł się gdzieś w pobliżu, widziałam o tym, zanim jeszcze go zobaczyłam - w powietrzu unosiła się ta specyficzna, delikatna i świeża woń.

Niekiedy podczas tych błogich słonecznych chwil rozglądałam się ukradkiem, spodziewając się kary z niebios. Wydawało mi się, że ktoś lub coś śledzi mnie z ukrycia, potajemnie zbierając dowody na moją niesubordynację. Lecz nic się nie wydarzyło.

Dzięki Xavierowi z odludka stałam się członkiem szkolnej społeczności. Poprzez znajomość z nim odkryłam, że popularność może być zaraźliwa. Tak jak można było zostać skreślonym z powodu kontaktów z niewłaściwą osobą, tak w identyczny sposób zyskiwało się powszechną sympatię. Niemal z dnia na dzień zaakceptowano mnie z tego tylko powodu, że zaczęłam się zaliczać do grona przyjaciół Xaviera Woodsa. Nawet Molly, która z początku niezbyt przychylnym okiem patrzyła na moje zainteresowanie nim, dała się obłaskawić. Nadal oglądano się za nami, gdziekolwiek się razem pojawiliśmy, lecz teraz budziliśmy raczej podziw niż zdziwienie. Dostrzegałam różnicę także wtedy, gdy byłam sama. Ludzie pozdrawiali mnie na korytarzach, zagadywali w klasie podczas oczekiwania na nauczyciela, dopytywali się, jak poszło mi na ostatniej klasówce.

Nasze kontakty w szkole ograniczał fakt, że niemal wszystkie zajęcia mieliśmy osobno. Gdyby nie to, najprawdopodobniej chodziłabym za nim krok w krok, jak szczeniaczek. Oprócz francuskiego, na który uczęszczaliśmy razem, jego mocną stroną była matematyka i inne nauki ścisłe, podczas gdy mnie ciągnęło raczej w kierunku sztuk pięknych.

- Uwielbiam lekcje literatury - oznajmiłam pewnego razu w stołówce, jakbym właśnie

dokonała ważnego odkrycia. Miałam przy sobie podręczny słowniczek terminów literackich. Otworzyłam go na chybił trafił. - Założę się, że nie wiesz, co to jest przerzutnia.

- Nie wiem, ale brzmi groźnie - odparł Xavier.

- To przeniesienie końca zdania do następnego wersu.

- A nie byłoby prościej zwyczajnie postawić kropkę? - Była to jedna z rzeczy, które mi się w nim tak podobały: na wszystko miał gotową receptę.

Roześmiałam się.

- Bardzo możliwe, tylko czy wiersz by na tym zyskał?

- Powiedz mi, co cię tak fascynuje w literaturze? - zapytał ze szczerym zainteresowaniem. - Mnie do szału doprowadza świadomość, że nigdy nie udaje się uzyskać jednoznacznej odpowiedzi. Wszystko jest względne.

- Piękne jest właśnie to, że każdy może na swój własny sposób zinterpretować dane słowo czy zdanie. Nawet wielogodzinna dyskusja na temat znaczenia wiersza wcale nie musi doprowadzić do jakiegokolwiek konkluzji.

- I nie denerwuje cię to? Nie wolałabyś mieć pewności?

- Czasem lepiej nie doszukiwać się tej pewności na siłę. Życie nie jest czarno-białe, pełno w nim szarości.

- W moim życiu dominuje raczej czerń i biel. U ciebie nie?

- Nie - odrzekłam z westchnieniem, myśląc moim o konflikcie z rodzeństwem. - Mój świat jest pokręcony i łatwo się w nim pogubić. Czasem mnie to męczy.

- Coś mi się zdaje, że będę musiał się tym zająć - odparł na to Xavier.

Patrzyliśmy na siebie w milczeniu przez kilka chwil. Miałam wrażenie, że jego oczy w tym niesamowitym morskim kolorze przenikają na wskroś moją głowę, wydobywając z niej najskrytsze myśli.

- A wiesz, że tych z profilu humanistycznego można łatwo odróżnić? - powiedział wreszcie, uśmiechając się szeroko.

- Tak? A jakim to sposobem?

- Chodzą w beretach, z poczuciem wyższości wypisanym na twarzy.

- Nieprawda! - zaprotestowałam. - Ja tak nie robię.

- Nie, ty nie musisz nikogo udawać. Nigdy się nie zmieniaj. I broń Boże nie zacznij nosić beretu.

- Spróbuję. - Roześmiałam się.

Rozległ się dzwonek, sygnalizując rozpoczęcie kolejnej lekcji.

- Co teraz masz? - spytał Xavier.

Zamachałam mu radośnie przed nosem moim kieszonkowym słowniczkiem.

Zawsze chętnie szłam na zajęcia z panną Castle. Jej klasa była bardzo zróżnicowana, mimo że liczyła tylko dwanaście osób.

Uczęszczały do niej dwie dziewczyny o wiecznie smutnych twarzach. Oczy malowały czarnym ołówkiem, a policzki pudrowały na biało, przez co wyglądały, jakby nigdy w życiu nie widziały słońca. Była też grupka pilnych, starannie uczesanych uczennic, których schludne piórniki dosłownie pękały w szwach. Tym zależało głównie na stopniach i na ogół notowały tak zawzięcie, że rzadko kiedy miały czas na włączenie się do dyskusji. Pierwszy z dwóch chłopców, Ben Carter, nieco zbyt pewny siebie, lecz bystry, nosił oryginalną fryzurę i uwielbiał się spierać. Drugi, Tyler Jensen, krzepki zawodnik rugby, niezmiennie przychodził spóźniony, a następnie przez całą lekcję siedział w milczeniu, sprawiając wrażenie, jakby znalazł się tam przez przypadek. Powód jego udziału w zajęciach pozostawał dla wszystkich tajemnicą.

Ponieważ byliśmy małą grupą, przydzielono nam ciasne pomieszczenie w starej części szkoły. Przylegało bezpośrednio do sekretariatu i gabinetu dyrektora. Jako że nie używano go do żadnych innych celów, mogliśmy dowolnie poprzestawiać meble i ozdobić ściany plakatami. Mój ulubiony przedstawiał Szekspira przebranego za pirata, z kolczykiem w uchu. Jedyнным plusem tej sali był fakt, iż jej okna wychodziły na trawnik oraz wysadzaną palmami ulicę. W przeciwieństwie do innych przedmiotów atmosfera panująca na zajęciach z literatury nigdy nie bywała senna. Powietrze aż wibrowało od pomysłów, które na wyścigi chciały wydostać się z naszych głów.

Usiadłszy obok Bena, obserwowałam, jak przegląda na laptopie strony swoich ulubionych zespołów. Kontynuował tę czynność nawet po tym, jak zjawiała się panna Casde. W rękę trzymała kubek z kawą, a pod pachą gruby plik kartek do rozdania. Była to wysoka, smukła kobieta tuż po czterdzieście, z burzą ciemnych loków i z rozmarzonymi oczami. Nosila okulary w grubych oprawkach, zawieszzone na szyi na czerwonym sznurku, oraz bluzki w pastelowych kolorach. Sądząc po sposobie poruszania się i mówienia, znacznie lepiej czułaby się w którejś z powieści Jane Austen, gdzie damy jeździły powozami, a cięte riposty fruwały po salonach niczym iskry. Podchodziła do języka z wielką pasją i niezależnie od tekstu, który w danym momencie

omawialiśmy, za każdym razem tak samo żywo utożsamiała się z jego główną bohaterką. Wykładała swój przedmiot z takim zaangażowaniem, że często ktoś przechodzący akurat korytarzem zatrzymywał się, by zaglądnąć do klasy i ujrzeć pannę Castle walącą pięścią w biurko, bombardującą nas pytaniami lub gestykującą zawzięcie, aby lepiej zobrazować jakąś tezę. Nie dziwiłabym się, gdybym któregoś dnia zastała ją stojącą na stole lub huśtającą się na lampie.

Zaczęliśmy semestr od omawiania *Romea i Julii* w połączeniu z sonetami Szekspira. Tym razem otrzymaliśmy zadanie napisania własnych wierszy o miłości, które następnie miały zostać wyrecytowane przed całą grupą. Nienawykłe polegać tylko na własnej wyobraźni prymuski natychmiast wpadły w panikę. Nie było to coś, co dałoby się sprawdzić w Internecie.

- Nie wiemy, o czym pisać! - lamentowały. - To za trudne!

- Dajcie sobie trochę czasu - odrzekła panna Castle pogodnie.

- Ale nam się nic interesującego nie przytrafia.

- Wiersz nie musi być oparty na osobistych doświadczeniach - przekonywała. - Możecie wszystko od początku do końca zmyślić.

Dziewczęta nadal nie miały natchnienia.

- Czy mogłaby pani podać nam jakiś przykład? - naciskały.

- Przez ostatnie cztery miesiące miałyście do czynienia z przykładami - odrzekła panna Castle zrezygowana. I wtedy wpadła na pomysł, jak pomóc im zacząć. - Zastanówcie się nad tym, co najbardziej cenicie w chłopcach.

- Według mnie najważniejsza jest inteligencja - oznajmiła dziewczyna imieniem Bianca.

- Musi umieć zarobić na rodzinę - dodała jej koleżanka Hannah.

Panna Castle wyglądała, jakby zabrakło jej słów. Od konieczności ustosunkowania się do wygłoszonego przez Hannah stwierdzenia uratowała ją wypowiedź, która padła z drugiego końca sali.

- Tak naprawdę interesujący są tylko ludzie mroczni i z problemami - oznajmiła Alice, jedna z gotek.

- Laski nie powinny tyle gadać - odezwał się Tyler z ostatniej ławki, przeciągając zgłoski.

Była to pierwsza rzecz, jaką powiedział od początku semestru, więc panna Castle gotowa była litościwie pominąć negatywną wymowę jego wystąpienia.

- Dziękujemy ci, Tylerze - odrzekła z lekkim przekąsem. - Przedstawiłeś właśnie dowód na

to, iż poszukiwanie partnera to niezwykle indywidualna sprawa. Niektórzy mówią, że i tak nie mamy wpływu na to, w kim się zakochujemy - to miłość wybiera nas. Zdarza się i tak, że oddajemy serce komuś, kto jest zupełnym zaprzeczeniem tego, czego - jak nam się wydawało - szukaliśmy w drugim człowieku. Macie może ochotę coś dodać?

Ben Carter, który od dłuższego czasu przewracał oczami z udręczoną miną, ukrył twarz w dłoniach.

- Wielkie historie o miłości muszą kończyć się tragicznie - powiedziałam nagle.

- Mów dalej - zachęciła mnie panna Castle.

- Patrząc chociażby na Romea i Julię, łatwo dojść do wniosku, że to fakt, iż zostają rozdzieleni, czyni ich uczucie silniejszym.

- Rzeczywiście, rewelacja: oboje kończą jako trupy - prychnął Ben.

- Gdyby przeżyli, na pewno by się rozwiedli - orzekła Bianca. - Nikt z was nie zauważył, że Romeo potrzebował jakichś pięciu sekund, żeby przerzucić się z Rozaliny na Julię?

- Po prostu od pierwszej chwili wiedział, że Julia jest tą jedyną - odparłam.

- No proszę cię - parsknęła Bianca. - Po dwóch minutach nie da się stwierdzić, czy się kogoś kocha. Chciał się do niej dobrać i tyle. Romeo był tak samo napalony jak każdy inny chłopak w jego wieku.

- Jeśli już o tym mowa, to on w ogóle niewiele o niej wiedział - rzekł Ben. - Zwracał uwagę tylko na fizyczne walory: Julia jest słońcem i takie tam. Uważał ją za niezłą laskę, ale nic więcej.

- Według mnie chodziło głównie o to, że dla niego wszystko inne przestało istnieć, odkąd ją poznał - tłumaczyłam. - Natychmiast pojął, że to ona będzie dla niego całym światem.

- O Jezu - jęknął Ben.

Panna Castle posłała mi uśmiech pełen zrozumienia. Jako beznadziejna romantyczka nie potrafiła oprzeć się urokowi Romea.

Inaczej niż reszta nauczycieli, którzy na wyścigi gnali na parking, gdy tylko rozległ się ostatni dzwonek, nie odczuwała znużenia swoją pracą. Była marzycielką. Podejrzewam, że gdybym oznajmiła jej, iż przybywam wprost z niebios z misją ratowania ziemi, nawet by nie mrugnęła.

Uratowana

Nigdy nie widziałam Boga. Czułam Jego obecność i słyszałam Go, lecz ani razu nie stanęłam z Nim twarzą w twarz. Jego głos wcale nie jest tak gromki i dudniący, jak wyobraża to sobie większość ludzi i jak przedstawiają rozmaite filmy. To raczej subtelny szept, który prześlizguje się po naszych myślach delikatnie jak podmuch wiatru muskający wysokie trzciny. Z naszej trójki tylko Ivy mogła Go oglądać. Audyencja na dworze Naszego Ojca to przywilej zarezerwowany jedynie dla serafinów. Gabriel z kolei, jako archanioł, miał najwięcej do czynienia ze śmiertelnikami. Był świadkiem najgorszych cierpień, takich jak te, o których mówi się w wiadomościach: wojny, klęski żywiołowe, epidemie. Nasz Ojciec wysyłał go, aby wraz z pozostałymi członkami swego kręgu pomagał ludzkości obrać właściwy kierunek. Mimo iż wiedzieliśmy, że Ivy pozostaje w bezpośrednim kontakcie z Naszym Stwórcą, nigdy nie udało nam się skłonić jej, aby nam o tym opowiedziała. Oboje z Gabrielem wiele razy próbowaliśmy wydobyć z niej jakiegokolwiek informacje na ten temat - bez skutku. Tak więc, choć może się to wydawać nieprawdopodobne, ja również skazana byłam na domysły. Postrzegałam Boga w sposób bardzo zbliżony do tego, jak przedstawiał Go Michał Anioł: jako mędrca z siwą brodą, siedzącego w chmurach na tronie. Choć wyobrażenie to było najprawdopodobniej nie do końca trafne, jedna kwestia nie podlega najmniejszej wątpliwości: bez względu na to, jak wygląda, Nasz Ojciec jest czystym i skończonym uosobieniem miłości.

Delektowałam się każdym dniem spędzonym na ziemi, lecz niekiedy brakowało mi ładu, jaki panuje w niebie. Poza tą jedną, wiekopomną rewoltą, która zakończyła się pierwszym i ostatnim wygnaniem, w Królestwie Niebieskim nie było konfliktów, swarów i niesnasek. A i o tamtych wydarzeniach, pomimo iż odmieniły na zawsze losy ludzkości, rzadko kiedy wspominało.

Gdy przebywałam w niebie, miałam zaledwie mglistą świadomość istnienia tego mroczniejszego ze światów. Znajdował się gdzieś w odległym miejscu, my zaś na ogół byliśmy zbyt zajęci, by o nim rozmyślać. Każdemu z aniołów przypisano w Królestwie rozmaite funkcje oraz związane z nimi obowiązki. Niektórzy z nas witali nowe dusze, pomagając im w przejściu, inni zjawiali się u węzłowia umierających, niosąc otuchę. Jeszcze inni pełnili funkcję stróżów czuwających nad ludźmi. Ja opiekowałam się świeżo przybyłymi duszyczkami dzieci. Moim

zadaniem było pocieszyć je i wyjaśnić, że jeśli tylko pozbędą się lęku, w niedługim czasie znowu zobaczą swoich rodziców. Stanowiłam coś w rodzaju anielskiego odpowiednika przedszkolanki.

Cieszyłam się, że nie zostałam wyznaczona na anioła stróża, ponieważ wiąże się z tym przytłaczająca ilość pracy. Do ich obowiązków należy wysłuchiwanie modlitw licznych podopiecznych, a także naprowadzanie ich na właściwą ścieżkę. Rola ta bywa niekiedy trudna do udźwignięcia. Na własne oczy widziałam kiedyś anioła stróża usiłującego w jednej i tej samej chwili pośpieszyć z pomocą choremu dziecku, kobiecie przechodzącej przez wyjątkowo nieprzyjemny rozwód, człowiekowi dopiero co zwolnionemu z pracy oraz ofierze wypadku samochodowego. Było tak dużo do zrobienia, że nie wiedzieliśmy, w co ręce włożyć.

Xavier i ja siedzieliśmy w cieniu rosnącego na dziedzińcu klonu, jedząc drugie śniadanie. Fakt, że jego ręka spoczywała zaledwie kilka centymetrów od mojej, nie dawał mi spokoju. Miał szczupłe, lecz męskie dłonie. Na palcu wskazującym nosił prostą srebrną obrączkę. Byłam tak pochłonięta przyglądaniem mu się, że gdy się odezwał, ledwo go usłyszałam.

- Czy mógłbym cię o coś poprosić?

- Co? A tak, oczywiście. Co mam zrobić?

- Czy mogłabyś przejrzeć to przemówienie? Sprawdziłem je już dwa razy, ale na pewno przeoczyłem co najmniej kilka błędów.

- Jasne. Na jaką to okazję?

- Mam w przyszłym tygodniu konferencję na temat metod kierowania zespołem - odparł niedbale, jakby takie imprezy stanowiły dla niego chleb powszedni. - Nie musisz robić tego teraz. Możesz wziąć je do domu, jeśli wolisz.

- Nie, nie ma problemu.

Schlebiało mi, że liczy się z moim zdaniem na tyle, by poprosić mnie o pomoc. Rozłożyłam kartki na trawie i przeczytałam tekst. Przemówienie Xaviera było bardzo dobrze napisane, lecz istotnie umknęło mu kilka drobnych błędów gramatycznych, które szybko wyłapałam.

- Jesteś doskonałą korektorką - stwierdził. - Dziękuję, że się tym zajęłaś.

- Ale to przecież żaden kłopot.

- Nic z tych rzeczy, jestem ci winien przysługę. Daj mi znać, jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić.

- Nic mi nie jesteś winien.

- Owszem, jestem. A tak przy okazji, kiedy masz urodziny? Zaskoczył mnie tym pytaniem.

- Nie cierpię dostawać prezentów - powiedziałam prędko, na wypadek gdyby przyszedł mi do głowy jakiś głupi pomysł.

- A kto mówi o prezentach? Pytam po prostu o dzień, w którym się urodziłaś.

- Trzydziestego lutego - rzuciłam pierwszą datę, jaka mi się nasunęła. Xavier uniósł brew.

- Jesteś pewna?

Spanikowałam. Czyżbym powiedziała coś nie tak? Przebiegłam w myślach wszystkie miesiące i odkryłam swoją pomyłkę. Luty ma tylko dwadzieścia osiem dni!

- To znaczy trzydziestego kwietnia - poprawiłam się, szczerząc zęby w pełnym zakłopotaniu uśmiechu.

Roześmiał się.

- Jesteś pierwszą znaną mi osobą, która nie pamięta daty własnych urodzin.

Nawet gdy robiłam z siebie głupka, rozmowy z Xavierem nie traciły nic ze swego uroku.

Potrafił opowiadać o najbardziej prozaicznych sprawach w sposób, który czynił je wyjątkowymi. Uwielbiałam dźwięk jego głosu i jeśli nawet ograniczyłby się do odczytywania nazwisk z książki telefonicznej, również przysłuchiwałamby mu się z radością. Czy to pierwszy objaw zakochania? Nie wiedziałam.

Podczas gdy Xavier dopisywał uwagi na marginesie swojego przemówienia, ja zatopiłam zęby w kanapce z włoskiego pieczywa z zapiekаныmi warzywami. Prawie natychmiast skrzywiłam się z niezadowoleniem, ponieważ moje kubki smakowe zaatakowało coś bardzo dziwnego i gorzkiego. Dzięki Gabrielowi poznaliśmy już większość podstawowych produktów składających się na naszą codzienną dietę, lecz wciąż było mnóstwo rzeczy, których nie próbowałam. Ostrożnie zajrzałam do kanapki, przyglądając się nieufnie substancji rozsmarowanej pod warzywami.

- Co to jest? - zapytałam.

- Zdaje się, że bakłażan - odparł Xavier. - W eleganckich restauracjach niekiedy nazywają go oberżyną.

- Nie, nie to. To drugie. - Wskazałam warstwę zielonej pasty.

- Nie wiem. Daj spróbować. - Obserwowałam, jak odgryza kawałeczek i wolno żuje. - Pesto - oznajmił po chwili.

- Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane? - spytałam rozdrażniona. - Nawet zwykłe kanapki!

Masz, zupełną rację - stwierdził Xavier z zadumą. - Pesto niezwykle komplikuje nasze życie. - Zaśmiał się i ugryzł jeszcze jeden kęs, podsuwając mi swoją nietkniętą tortillę z sałatką.

- Nie wygłupiaj się - zaprotestowałam. - Zjedz sobie spokojnie, jakoś przeżyję to pesto.

Lecz pomimo moich próśb nie zgodził się zwrócić mi kanapki. W końcu poddałam się i zjadłam jego tortillę, ciesząc się w duchu z naszej zażyłości.

- Nie rób sobie wyrzutów - powiedział. - Jestem facetem, mnie wszystko smakuje.

Idąc do klasy, zobaczyliśmy na korytarzu spore zamieszanie. Poruszone głosy opowiadały o jakimś wypadku. Nikt nie wiedział dokładnie, kogo dotyczył, lecz wszyscy uczniowie kierowali się do głównego wyjścia. Na dworze, wokół czegoś lub kogoś, zgromadził się już przejęty tłum. Wyczułam ludzkie cierpienie i zalała mnie fala paniki.

Przepchnęłam się za Xavierem przez tłum, a uczniowie instynktownie robili przejście przewodniczącemu szkolnego samorządu. Dostrzegłam leżące na chodniku kawałki rozbitego szkła. Powędrowałam za nimi wzrokiem i zobaczyłam samochód z doszczętnie rozbitym przodem. Z silnika unosił się dym. Doszło do czołowego zderzenia z udziałem dwójki uczniów z najstarszych klas. Jeden z kierowców stał przy swoim aucie, oszołomiony i zdezorientowany. W jego przypadku najwyraźniej szczęśliwie skończyło się na drobnych zadrapaniach. Przeniosłam spojrzenie z jego pogruchotanego volkswagena, zatrzymując je na drugim samochodzie, który teraz stanowił z nim jedną pogiętą całość. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że prowadząca go dziewczyna wciąż znajduje się w środku, pochylona na siedzeniu, z głową bezwładnie opartą o kierownicę. Nawet z miejsca, w którym stałam, widać było, że jest poważnie ranna.

Tłum przyglądał się temu wszystkiemu z otwartymi ustami, nie bardzo wiedząc, czego się od niego oczekuje. Tylko

Xavier zachował zimną krew. Zniknął, by zadzwonić po pomoc oraz zawiadomić nauczycieli.

Nie mając pewności, co powinnam robić, działając bardziej pod wpływem impulsu niż czegokolwiek innego, podeszłam do samochodu, zanosząc się kaszlem od gryzącego dymu. Drzwi od strony kierowcy zostały zmiażdżone i niemal zupełnie oderwały się od karoserii. Nie zważając na rozgrzany metal, który ranił mi dłonie, chwyciłam za nie, wyrwałam, i zamarłam na widok twarzy dziewczyny. Z jej rozciętego czoła płynęła krew, usta miała rozchylone, a oczy zamknięte.

Nawet w niebie na widok krwawych scen rozgrywających się na ziemi robiło mi się słabo,

lecz tym razem nie zdążyłam o tym pomyśleć. Objąwszy ramiona dziewczyny najdelikatniej, jak potrafiłam, zaczęłam wyciągać ją z wraku. Była cięższa, niż myślałam, więc z wdzięcznością przyjął pomoc dwóch dobrze zbudowanych chłopców, którzy podbiegli do nas, wciąż jeszcze ubrani w stroje do wuefu. Ułożyliśmy ją na chodniku, w bezpiecznej odległości od dymiącego pojazdu.

Zrozumiałam, że na tym ich możliwości się kończą. Obaj raz po raz zerkali nerwowo przez ramię, czekając na przybycie karetki.

Nie było czasu do stracenia.

- Pilnujcie, żeby nikt tu nie podchodził - poleciłam im i zajęłam się dziewczyną.

Uklękałam przy niej, przykładając dwa palce do jej szyi, tak jak kiedyś pokazał mi Gabriel. Nie wyczułam pulsu. Jeśli w ogóle oddychała, nie było żadnych widocznych oznak. W myślach wzywałam Gabriela, żeby przyszedł mi z pomocą, bo nie miałam szans poradzić sobie sama. Właściwie już przegrywałam tę bitwę. Ciepła krew, płynąca z głębokiej rany na czole dziewczyny, powoli zasychała w jej włosach. Pod oczami pojawiły się sine kręgi, twarz była trupio blada. Podejrzewałam obrażenia wewnętrzne, lecz nie potrafiłam stwierdzić, jakie organy zostały uszkodzone.

- Trzymaj się - wyszeptałam tuż przy jej uchu. - Pomoc już jedzie.

Położyłam sobie jej głowę na kolanach. Dłonie miałam lepkie od krwi. Z całych sił skupiałam się na przelewaniu w jej ciało uzdrawiającej energii. Wiedziałam, że zostały mi dosłownie minuty. Jej organizm już prawie się poddał. Czułam duszę próbującą oddzielić się od ciała. Wkrótce będzie spoglądać na nie, leżące nieruchomo, z góry.

Trwałam w skupieniu, wkładając w to tyle wysiłku, że zaczęłam się obawiać, iż wkrótce sama stracę przytomność. Walcząc z zawrotami głowy, starałam się skoncentrować jeszcze bardziej. Wyobraziłam sobie ukryte głęboko w moim wnętrzu źródło oraz moc płynącą z niego wszystkimi arteriami po to, by zgromadzić się w czubkach moich palców, a następnie wnikać w leżące na ziemi ciało. Im słabsza się stawałam, tym większą miałam nadzieję na to, że jakimś cudem ta dziewczyna przeżyje.

Zanim zobaczyłam Gabriela, usłyszałam jego głos, nakazujący uczniom przepuszczenie go. Na widok kogoś z kadry nauczycielskiej z tłumu wyrwało się zbiorowe westchnienie ulgi. Od tej chwili to nauczyciel przejmował kontrolę nad sytuacją.

Podczas gdy Xavier zajął się drugim kierowcą, Gabriel uklęknął obok mnie i użył swojej

mocy do zasklepienia ran dziewczyny.

Pracował szybko i cicho, wyczuwając połamane żebra, przebite płuco, nadgarstek, który złamał się jak gałązka. Nim nadjechało pogotowie, jej oddech się unormował, choć nadal nie odzyskała przytomności. Zauważyłam, że drobne rozcięcia pozostały niezaleczone, zapewne po to, by nie wzbudzić podejrzeń.

Gdy sanitariusze umieszczali dziewczynę na noszach, podbiegły do nas jej rozhisteryzowane przyjaciółki.

- Grace! - krzyknęła jedna z nich. - Mój Boże, czy ona jest cała?

- Grace! Co ci się stało? Słyszysz nas?

- Jest nieprzytomna - powiedział Gabriel - ale nic jej nie będzie.

Mimo iż dziewczęta nie przestały szlochać i nadal trzymały się kurczowo siebie nawzajem, widziałam, że słowa Gabriela podziałały na nie uspokajająco.

Po odesłaniu uczniów z powrotem do klas Gabriel wziął mnie pod ramię i poprowadził w kierunku głównych schodów, gdzie czekała na nas Ivy. Xavier, który nie wszedł z innymi do środka, przybiegł do nas, dostrzegłszy wyraz mojej twarzy.

- Wszystko w porządku, Beth?

Jego orzechowe włosy zmierzwił wiatr, a pulsująca na szyi żyła zdradzała napięcie.

Chciałam mu odpowiedzieć, ale nie mogłam złapać tchu. Wszystko wokół mnie zaczęło wirować. Czułam, że Gabriel pragnie, abyśmy jak najszybciej zostali sami.

- Lepiej wracaj na zajęcia - rzekł do Xaviera tonem polecenia wydawanego przez nauczyciela.

- Zaczekam na Beth - odparł tamten. Przebiegł wzrokiem po moich potarganych włosach i pobrudzonych krwią rękawach bluzki, zatrzymując się na dłoni, którą ścisnęłam kurczowo ramię brata.

- Beth musi chwilę odpocząć - oznajmił Gabriel chłodno. - Później możesz do niej zajrzeć. Jednak Xavier nie pozwolił się zbyć.

- Nie odejdę, dopóki ona sama mi tego nie powie. Przelotnie zaciekawilo mnie, jaki wyraz twarzy ma mój brat, lecz gdy odwróciłam głowę, aby na niego spojrzeć, poczułam, że schody usuwają mi się spod nóg. A może to ugięły się pode mną kolana? Przed oczami pojawiły mi się czarne plamki. Oparłam się o Gabriela nieco mocniej.

Pamiętam jeszcze, że wymówiłam imię Xaviera i ujrzałam, jak robi krok w moją stronę.

Zaraz potem osunęłam się w ramiona brata.

Gdy się obudziłam, ujrzałam mój pokój. Leżałam na łóżku zwinięta w kłębek, przykryta kolorową narzutą. Czułam napływające od strony balkonu powietrze, przesycone słonawym zapachem morza, a więc drzwi musiały być uchylone. Uniosłam głowę i skupiłam wzrok na krzepiących detalach w rodzaju obłazającej delikatnie z parapetu farby czy nadgryzionych zębem czasu klepek podłogi, połyskujących miękko bursztynowym blaskiem zachodzącego słońca. Puszysta poduszka pachniała lawendą.

Ukryłam w niej twarz, nie chcąc jeszcze wstawać. Spojrzałam na budzik - była siódma wieczór! Spałam wiele godzin. Moje kończyny sprawiały wrażenie, jakby były z ołowiu. Na krótką chwilę wpadłam w panikę, nie mogąc poruszyć nogami, nim zorientowałam się, że leży na nich Fantom.

Widząc, że już nie śpię, ziewnął i się przeciągnął. Pogłaskałam go po jedwabistej głowie, a on popatrzył na mnie smutnymi przejrzystymi oczami.

- No chodź - wymruczałam. - Jeszcze nie pora spać. Usiadłam chyba zbyt gwałtownie, ponieważ fala słabości przygniotła mnie niczym lawina, niemal przewracając z powrotem na wznak. Przerzuciłam nogi przez krawędź łóżka, próbując zebrać dość siły, by wstać. Nie było to łatwe, lecz ostatecznie udało mi się włożyć szlafrok i podreptać powolutku na dół, skąd dochodziły dźwięki *Ave Maria* Schuberta. Opadłam na najbliższe krzesło. Zarówno Gabriel, jak i Ivy musieli być w kuchni, ponieważ pachniało intensywnie imbirem oraz czosnkiem. Przerwali swoje zajęcie i wyszli, by się ze mną przywitać. Ivy wycierała ręce w kuchenną ściereczkę. Oboje się uśmiechali. Byłam odrobinę zaskoczona, ponieważ upłynęło już sporo czasu, odkąd nasze stosunki cechowało coś więcej poza czystą uprzejmością.

- Jak się czujesz? - chłodne, szczupłe palce Ivy pogłaskały mnie po głowie.

- Jakby potracił mnie autobus - odpowiedziałam szczerze, - Zupełnie nie wiem, co mi się stało. Wcześniej wszystko było w porządku.

- Na pewno domyślasz się, dlaczego zemdlałaś - odezwał się Gabriel. Posłałam mu zdziwione spojrzenie.

- Odżywiam się jak należy i słucham wszystkich twoich rad, - Ależ to zupełnie nie o to chodzi. Straciłaś przytomność, ponieważ uratowałaś życie tej dziewczynie.

Tego rodzaju przedsięwzięcie potrafi być naprawdę wyczerpujące - dodała Ivy. () mało nie roześmiałam się w głos.

Gabe, ale to przecież ty ją uratowałeś - powiedziałam. Ivy spojrzała na niego wzrokiem sugerującym, że należy mi się wyjaśnienie, po czym oddaliła się dyskretnie, by nakryć stół do kolacji.

- Ja zaleczyłem tylko jej rany fizyczne - wyjaśnił Gabriel. Patrzyłam na niego ogłupiała, zastanawiając się, czy sobie ze mnie żartuje.

- Jak to: tylko? Na tym właśnie polega ratowanie czyjś życia. Jeśli wyjmiesz kulę z rany postrzelonego człowieka, potem tę ranę zaleczysz, to uratujesz go od śmierci.

- Nie, Bethany. Ta dziewczyna by umarła. Gdybyś nie przelała w nią własnych sił witalnych, żadne moje wysiłki nie byłyby w stanie jej pomóc. Wyleczenie ran nie przywróci do życia kogoś, kto już przekroczył próg. Mówiłaś do niej - to twój głos przywołał ją z powrotem i to twoja determinacja powstrzymała jej duszę przed opuszczeniem ciała.

Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę. Ja uratowałam człowieka? Nie zdawałam sobie nawet sprawy, że potrafię dokonać czegoś podobnego. Wierzyłam święcie, że ilość mocy, którą posiadam, wystarczy jedynie na ukojenie czyichś nerwów lub pomoc w odnalezieniu zagubionej rzeczy. Jak to możliwe, że znalazłam w sobie dość siły, aby wyrwać kogoś ze szponów śmierci? Władza nad morzem, powietrzem, ludzkim życiem -10 dar Gabriela. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że być może stać mnie na więcej, niż sądziłam.

Ivy popatrzyła na mnie z drugiego końca pokoju oczami błyszczącymi z dumy.

- Gratuluję - powiedziała. - To dla ciebie wielki krok naprzód. - Tylko dlaczego czuję się teraz tak fatalnie? - jęknęłam, wracając nagle myślą do moich obolałych członków.

- Taki wysiłek bardzo osłabia - wyjaśniła Ivy. - Szczególnie za pierwszym czy drugim razem. To dla twojego ludzkiego ciała prawdziwy szok. Nie zawsze tak będzie. Z czasem przyzwyczaisz się i zaczniesz szybciej odzyskiwać siły.

- Czy to oznacza, że będę mogła to powtórzyć? Dzisiaj to nie był tylko szczęśliwy traf?

- Jeśli zdołałaś zrobić to raz, zdołasz i drugi - odparł Gabriel. - Wszystkie anioły mają tę umiejętność, tyle że wymaga ona praktyki.

Pomimo wyczerpania poczułam się nagle lekko i swobodnie. Z apetytem spałaszowałam kolację. Gdy skończyliśmy jeść, Gabriel i

Ivy nie pozwolili mi pomóc przy sprzątanii. Zamiast tego zostałam wyprowadzona przez Ivy na taras i wepchnięta do hamaka.

- Miałaś bardzo ciężki dzień - powiedziała.

- Ale ja nie lubię nic nie robić.

- Za chwilę będziesz mogła się wykazać. Mam do wydziergania całą masę czapek i szalików dla naszego sklepiku. - Ivy nieodmiennie znajdowała czas na zacieśnianie więzi ze wspólnotą miasteczka, wykonując dla nich drobne prace. „Czasem to właśnie małe rzeczy liczą się najbardziej” - mawiała.

- Wydawało mi się, że tego rodzaju działalność polega raczej na oddawaniu starych ubrań, a nie na szyciu nowych - drażniłam się z nią.

- No cóż, nie mamy jeszcze używanych rzeczy do oddania, bo za krótko tu mieszkamy - odrzekła. - A coś muszę ofiarować.

Okropnie bym się czuła, nie dając nic. Poza tym zrobię je raz-dwa.

Siedziałam w hamaku, owinięta moherowym kocem, starając się przetrwać wydarzenia minionego popołudnia. Z jednej strony wydawało mi się, że lepiej niż kiedykolwiek rozumiem cel naszej misji, podczas gdy z drugiej czułam się jeszcze bardziej skołowana. Ten dzień stanowił doskonały przykład tego, czym powinnam się zajmować - ochroną świętości życia. Tymczasem ja traciłam czas, pochłonięta szczenięcą obsesją na punkcie chłopca, który tak naprawdę nic o mnie nie wiedział. Biedny Xavier - pomyślałam - nigdy nie będzie w stanie zrozumieć, kim jestem, choćby nie wiem jak próbował. To nie jego wina. Mógł poznać mnie tylko na tyle, na ile sama mu pozwolę. Byłam tak zajęta stwarzaniem pozorów, że nie wzięłam pod uwagę faktu, iż prędzej czy później to wszystko i tak się skończy. Xavier był człowiekiem z krwi i kości, wiódł tu życie, którego ja nigdy nie będę mogła być częścią. Satysfakcja, którą czułam z powodu odniesionego tego popołudnia sukcesu, zbladła, pozostawiając mnie dziwnie odrętwiałą.

Pocałunek

Tak naprawdę tylko w niedzielę mogłam na nowo poczuć więź z domem. Klęcząc w ławce i słuchając kolejnych wersów *Agnus Dei*, byłam dawną sobą. W kościele panował spokój, jakiego próżno szukać gdzie indziej. Było tam chłodno i cicho, zupełnie jak na dnie oceanu. Za każdym razem, gdy przekraczałam jego próg, zyskiwałam świadomość, iż jestem bezpieczna. Co niedziela Ivy i ja służyłyśmy jako ministrantki, a Gabriel pomagał ojcu Melowi udzielać Komunii Świętej. Po mszy zawsze zostawaliśmy, aby z nim pogawędzić.

- Wspólnota się rozrasta - zauważył któregoś dnia. - Co tydzień widzę, jak przybywa nowych twarzy.

- Być może ludzie zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, co w życiu ważne - odparła Ivy.

- Albo też idą za waszym przykładem - uśmiechnął się ojciec Mel.

- Kościołowi nie potrzeba rzeczników - powiedział Gabriel. - Powinien przemawiać własnym głosem.

- Nie ma znaczenia, co sprowadza ludzi - odrzekł ksiądz. - Ważne jest tylko to, co tu znajdują.

- Jedyne, co możemy zrobić, to pokierować ich we właściwą stronę - zgodziła się Ivy.

- W istocie, nie można ich zmusić, żeby uwierzyli - odparł. - Lecz można pokazać im, jak wielka jest siła wiary.

- Oraz modlić się za nich - dodałam.

- Naturalnie. - Ojciec Mel puścił do mnie oko. - I coś mi mówi, że Bóg słucha was wyjątkowo uważnie.

- Słucha nas tak samo jak innych - sprostował Gabriel. Widziałam, że niepokoi go fakt, iż rozmowa schodzi na niepewny grunt.

Mimo iż nigdy nie daliśmy ojcu Melowi nawet cienia powodu, by podejrzewał, skąd przybyliśmy, istniał między nami rodzaj cichego porozumienia. Uznałam, że nie ma w tym niczego dziwnego. Był przecież osobą duchowną - spędził życie na próbach zbliżenia się do Boga. - Miejmy nadzieję, że pobłogosławi to miasteczko Swą dobrocią - dodał Gabriel.

W błękitnych oczach ojca Mela pojawiły się wesołe iskierki. Patrząc na nas, powiedział:

- Myślę, że już to uczynił.

Następnego dnia podczas przerwy śniadaniowej Xavier miał zawody, więc spędziłam ją, przysłuchując się, jak Molly i Taylah z ożywieniem rozprawiają o jakimś butiku tuż za miastem. Można tam było dostać podróbki ubrań znanych projektantów tak doskonale udające oryginały, iż nikt nie domyśliłby się, że nimi nie są. Byłam tak zaprzętnięta własnymi myślami, że gdy Molly zapytała mnie, czy pojedę z nimi, zgodziłam się bez wahania. Nawet zaproszenie na organizowane w tę sobotę na plaży ognisko przyjąłam kiwnięciem głowy, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co się do mnie mówi.

Nadszedł wreszcie wyczekiwany koniec piątej lekcji - na następnej godzinie miałam francuski razem z Xavierem. Ulgę przynosiło mi samo przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu, chociaż i tak w ogóle nie mogłam się skupić. Rozpaczliwie pragnęłam natychmiast porozmawiać z nim, mimo iż nadal nie podjęłam decyzji, co mu powiem. Wiedziałam tylko, że nie mogę się już doczekać.

Był bliżej niż na wyciągnięcie ręki i musiałam włożyć dłonie pod uda, aby powstrzymać się od dotknięcia go. Działo się tak dlatego, że chciałam upewnić się, iż nie jest wytworem mojej wyobraźni, ale też nie mogłam się oprzeć - czułam się jak magnes pchany ku drugiemu magnesowi siłą przyciągania, której znacznie łatwiej jest się poddać niż opierać. Minuty ciągnęły się w nieskończoność, zdawało się, że czas celowo postanowił płynąć wolniej po to tylko, by zrobić mi na złość.

Xavier wyczuł mój dziwny nastrój i po dzwonku został na miejscu, obserwując, jak reszta klasy przechodzi gęsiego obok nas. Podczas gdy ja ostentacyjnie udawałam, że pakuję książki i przybory szkolne, on siedział spokojnie, nie okazując zniecierpliwienia. Kilka ciekawskich osób zerknęło w naszym kierunku, prawdopodobnie w nadziei usłyszenia czegoś, co można będzie przekazać znajomym w charakterze pikantnej ploteczki.

- Próbowałem się wczoraj do ciebie dodzwonić, ale nikt nie podnosił słuchawki - odezwał się wreszcie, widząc, iż mam trudności z rozpoczęciem rozmowy. - Martwiłem się.

Bawiłam się nerwowo zamknięciem piórnika, które najwyraźniej się zacięło. Musiałam wygłądać na zakłopotaną, ponieważ wstał, kładąc mi ręce na ramionach.

- Co się dzieje, Beth? - Między jego brwiami pojawiła się znajoma zmarszczka, która gościła tam, ilekroć Xavier czymś się przejmował lub niepokoił.

- To chyba ten wczorajszy wypadek tak mnie rozstroił. Ale już czuję się lepiej.

- To dobrze. Jednak wydaje mi się, że chodzi o coś więcej.

Pomimo że znaleźliśmy się tak krótko, Xavier za każdym razem umiał bezbłędnie odczytać mój stan ducha. Niestety, jego oczy nie zdradzały zupełnie niczego. Nie odwrócił wzroku - turkusowe spojrzenie wwierało się we mnie niczym laser.

- Moja sytuacja jest dość skomplikowana - zaczęłam niepewnie.

- W takim razie spróbuj mi ją wyjaśnić. Kto wie, być może cię zaskoczę?

- To, co jest między nami, to, że spędzamy razem czas... staje się trudniejsze, niż myślałam... - Urwałam. - Nasza znajomość dała mi więcej, niż byłam sobie w stanie wyobrazić, lecz mam też inne zobowiązania, inne sprawy, których nie mogę zaniedbać.

W miarę jak narastały we mnie emocje, mój głos stawał się coraz bardziej donośny i piskliwy. Zamilkłam na chwilę, by nabrać powietrza.

- Nie przejmuj się tak, Beth. Wiem, że coś ukrywasz. Poczułam gwałtowny lodowaty lęk, ale przede wszystkim ulgę. Skoro Xavier odkrył już, jaka ze mnie oszustka i kłamczucha, znaczyło to, że mój udział w tej misji okazał się całkowitą porażką. Pierwsza zasada obowiązująca wszystkich posłańców dobra polega na trzymaniu wszystkiego w tajemnicy. Tylko pod tym warunkiem możemy pomóc światu stanąć na nogi - ujawnienie naszej tożsamości mogłoby wprowadzić niewyobrażalny chaos. Z drugiej jednak strony mogło to również znaczyć, że Xavier świadomie postanowił zaakceptować mnie taką, jaką jestem, prawda zaś na mój temat niekoniecznie musiała zrazić go do mnie na zawsze.

- Naprawdę? - wyszeptałam. Wzruszył ramionami.

- Przecież to widać gołym okiem. Nie wiem, co to takiego, ale widzę, że nie daje ci spokoju.

Nie odpowiedziałam od razu. Nade wszystko pragnęłam wyznać mu prawdę, wylać z siebie wszelkie sekrety i obawy niczym wino z rozbitej butelki, pozwolić im popłynąć swobodną strugą, nie bacząc na to, co zniszczą po drodze.

- Rozumiem, że z jakiegoś powodu nie chcesz lub nie możesz o tym mówić - rzekł Xavier.

- Nie musisz. Potrafię uszanować twoją prywatność.

- To nie w porządku wobec ciebie. - Czułam się jeszcze bardziej rozdarta. Myśl, że miałabym go opuścić, sprawiała mi fizyczny ból, jakby serce w mojej piersi pękało powoli na pół.

- Czy to nie ja powinienem o tym zdecydować?

- Nie utrudniaj mi tego. Ja próbuję cię chronić!

- Chronić mnie? - spytał ze śmiechem. - Przed czym?

- Przecie mną - odrzekłam cicho, zdając sobie sprawę, jak niedorzecznie brzmią te słowa.

- Nie wyglądasz mi na szczególnie niebezpieczną. Chyba że nocą zamieniasz się w wilkołaka...

- Po prostu nie jestem tym, kim się wydaję. - Odsunęłam się od niego, kuląc ramiona, jakbym próbowała ukryć się przed rzeczywistością. Czułam się słaba i wyczerpana. Oparłam się o ścianę, niezdolna spojrzeć mu w oczy.

- Nikt z nas nie jest. Sądysz, że nie domyśliłem się, że jesteś inna? Wystarczyło na ciebie popatrzeć.

- A na czym to polega? - zapytałam z czystej ciekawości.

- Nie jestem do końca pewny, ale wiem, że to jest właśnie to, co mi się w tobie podoba.

- Problem w tym, że sam fakt, iż ci się podobam, nie czyni mnie jeszcze odpowiednią dla ciebie dziewczyną.

- Kto w takim razie jest dla mnie odpowiedni?

- Ktoś, z kim będziesz mógł nawiązać relację opartą na uczciwości. W innym przypadku nie ma to sensu.

- Czy próbujesz mi powiedzieć, że ty nie możesz być tym kimś? - Nie sposób było odczytać czegokolwiek z wyrazu jego twarzy.

Wydawał się niewzruszony, pozbawiony jakichkolwiek emocji. Przypuszczalnie to, co przeszedł, sprawiło, że nie był wylewny.

Widziałam, że stara się w ten sposób uczynić całą sytuację łatwiejszą dla mnie, lecz bezceremonialność, z jaką zadał to pytanie, odniosła odwrotny skutek. Teraz, gdy myśl ta została wypowiedziana na głos, wydawała się zdecydowanie zbyt ostateczna. Nadal nie umiałam znaleźć właściwych słów, a do tego bałam się, że moje milczenie może zostać uznane za obojętność.

- W porządku. Domyślam się, że nie jest to dla ciebie przyjemne, i nie chcę niczego utrudniać. Czy pomogłoby ci, gdybym przez jakiś czas trzymał się od ciebie z daleka? - zapytał.

Jakże niestałe i sprzeczne potrafią być ludzkie uczucia! Przez ostatnich kilka minut próbowałam zaproponować takie właśnie rozwiązanie, a teraz poczułam się zdruzgotana łatwością, z jaką gotów był odejść, nawet jeśli miał na względzie jedynie moje dobre samopoczucie. Nie byłam do końca pewna, jakiej reakcji się spodziewałam, ale z pewnością nie takiej. Czyżbym chciała zobaczyć, jak pada przede mną na kolana, wyznając dozoną miłość?

Na to rzecz jasna nie mogłam liczyć, lecz nie mogłam także pozwolić mu odejść. Nie sądziłam, bym była w stanie to znieść.

- A więc to koniec? - wykrztusiłam. - Już cię więcej nie zobaczę?

Xavier wyglądał na zdezorientowanego.

- Zaraz, czy nie o to ci chodziło?

- I tylko tyle masz mi do powiedzenia? Nawet nie spróbujesz sprawić, bym zmieniła zdanie?

- A chcesz, żebym spróbował? - Na jego ustach znów pojawił się ten zagadkowy czuły uśmiech.

Zamilkłam, by się zastanowić. Dobrze wiedziałam, co powinnam odpowiedzieć. Proste „nie” załatwiłoby sprawę i pozwoliło powrócić rzeczom do stanu sprzed naszego spotkania na korytarzu przed pracownią chemiczną, kiedy to starałam się uniknąć świecenia w ciemności. Jednak nie mogłam zmusić się do wypowiedzenia go. Skłamałabym.

- Być może właśnie tego chcę - odrzekłam powoli.

- Beth, ty chyba sama nie wiesz, czego chcesz - odparł Xavier miękko. Kciukiem otarł łzę, która spływała mi po policzku.

- Nie chcę komplikować ci życia. - Pociągnęłam nosem. Zdałam sobie sprawę, jak absurdalnie to brzmi. - Sam powiedziałaś, że wolisz jasne zasady.

- Miałem na myśli zainteresowania, nie ludzi. Być może przydałoby mi się trochę komplikacji - odrzekł. - Bezproblemowe związki są przereklamowane.

Jęknęłam, wyprowadzona z równowagi.

- Ty naprawdę na wszystko masz gotową odpowiedź.

- Cóż mogę rzec? Taki już mój los. - Wziął mnie za rękę. - Mam pomysł. Może dam ci coś, co ułatwi ci podjęcie decyzji?

- Dobrze. Skoro sądzisz, że to pomoże.

Zanim się zorientowałam, Xavier ujął moją twarz w dłonie, a następnie obrócił ją ku sobie. Jego usta zaledwie musnęły moje, lecz to wystarczyło, bym zadrżała od stóp do głów. Podobał mi się sposób, w jaki mnie trzymał - jakbym była niezwykle krucha i delikatna. Oparł swoje czoło o moje, nie śpiesząc się, jakby czas stanął dla nas w miejscu. Zaczęło mnie wypełniać rozkoszne gorąco. Stałam na palcach i oddałam pocałunek namiętnie i natarczywie, przywierając do niego całym ciałem. Pozwoliłam sobie rozpląnąć się w jego ramionach, wtulając

się w niego jeszcze mocniej. Ciepło skóry Xaviera przenikało przez moją cienką bluzkę. Czułam, jak szybko bije mu serce.

- Spokojnie - wymruczał mi wprost do ucha, lecz się nie odsunął.

Staliśmy tak, przytuleni, aż wreszcie Xavier delikatnie, acz stanowczo rozluźnił uścisk. Założył mi za ucho niesforny kosmyk włosów, uśmiechając się tym swoim cudownym półuśmiechem.

- I? - zapytał, krzyżując ręce na piersi. W głowie miałam zamęt.

-1 co?

- Czy pomogłem ci się zdecydować?

Zamiast odpowiedzieć, wplotłam palce w jego miękkie, orzechowobrazowe włosy i przyciągnęłam go do siebie.

- Chyba tak - stwierdził, nie kryjąc zadowolenia.

Tego dnia dowiedziałam się, że pragnę czegoś więcej niż tylko jego towarzystwa - łaknęłam jego bliskości. Nie miałam co do tego najmniejszych wątpliwości. Czułam, jak moja twarz płonie w miejscu, w którym jej dotykał, i marzyłam tylko o tym, by zrobił to znowu. Zaledwie kilka godzin wcześniej szczerze wierzyłam, że nie mam wyjścia, jak tylko odciąć się od niego, ponieważ nie widziałam sposobu, aby wyjaśnić mu, kim naprawdę jestem. Teraz zaczęłam taki sposób dostrzegać. Byłoby to poważne wykroczenie, zagrożone najprawdopodobniej jakąś niewyobrażalną karą, lecz nawet najgorsza kara byłaby łatwiejsza do zniesienia niż rozłąka z nim. Jeśli miałyby to nam oszczędzić bólu rozstania, gotowa byłam ponieść wszelkie konsekwencje.

Jedyne, co musiałam zrobić, to otworzyć przed Xavierem zaryglowane dotychczas wrota do mojego świata.

- Chcę, żebyśmy byli razem - powiedziałam. - Nie sądzę, bym kiedykolwiek pragnęła czegoś bardziej.

Pogłaskał delikatnie wnętrze mojej dłoni i splótł palce z moimi palcami. Staliśmy tak blisko siebie, że stykaliśmy się nosami.

Nachylił się, by szepnąć mi do ucha:

- Jeśli mnie chcesz... jestem twój. - Westchnęłam głośno, gdy pocałował je, sunąc ustami w dół, aż do nasady szyi. Nie byłam w stanie się opanować. Wnętrze klasy zaczęło się oddalać i topnieć niczym śnieg w maju.

- Pozostaje pewna dość ważna kwestia - rzekłam, niechętnie odsuwając go od siebie. Przyglądał mi się, przeszywając mnie na wylot jaskrawobłękitnymi oczami, tak że niemal straciłam wątek. - Nic z tego nie będzie, jeśli nie poznasz całej prawdy.

Jeżeli zależało mi na Xavierze tak bardzo, jak wskazywało na to moje bijące serce, zasługiwał na szczerość. Gdyby miało się okazać, że to dla niego zbyt wielki ciężar, znaczyłoby to, że być może moje uczucia nie zostały odwzajemnione i musiałabym się z tym pogodzić. Tak czy inaczej, czas było zakończyć tę grę. Najważniejsze, by Xavier poznał prawdziwą mnie, bo dotychczas znał tylko tę wyidealizowaną wersję, którą sam sobie stworzył. Innymi słowy, należało przedstawić mu się bez próby ukrywania czegokolwiek, lub też - jak mawiano tu, na ziemi - bez retuszu.

- Zamieniam się w słuch. - Patrzył na mnie wyczekująco.

- Nie teraz. To nie taka prosta sprawa, a poza tym potrzebuję zdecydowanie więcej miejsca.

- W takim razie gdzie? - zapytał zaintrygowany.

- Idziesz w sobotę na ognisko? - spytałam prędko, ponieważ klasa zaczynała wypełniać się przed kolejnymi zajęciami.

- Miałem cię zapytać, czy pójdziesz ze mną.

- Dobrze - zgodziłam się. - W takim razie wszystko wyjaśnię ci w sobotę.

Pocałował mnie szybko i wyszedł. Oparłam się o krawędź najbliższej ławki, z trudem łapiąc oddech. Czułam się tak, jakbym właśnie wzięła udział w długim i wyczerpującym biegu.

Na skrzydłach

Przez cały tydzień myślałam o ognisku. Przerazało mnie to, co zamierzałam zrobić, lecz ogarnęło mnie też dziwne podniecenie. Decyzja została podjęta, a wraz z nią spadł mi z piersi wielki ciężar. Mimo że tak dużo czasu zajęły mi wewnętrzne rozterki, teraz czułam się zadziwiająco pewna swego. Wciąż powtarzałam sobie w duchu słowa, w jakich miałam zamiar wyznać Xavierowi prawdę, za każdym razem wprowadzając drobne poprawki.

Xavier natomiast zachowywał się tak, jakbyśmy byli parą, co bardzo mi się podobało. Tworzyliśmy dzięki temu własny, wyjątkowy świat, do którego nikt inny nie miał wstępu. Oznaczało to również, że traktujemy naszą znajomość poważnie, wierzymy w nią. Nie było to już szczenięce zauroczenie, z którego szybko się wyrasta. Oboje zaangażowaliśmy się w ten związek. Gdy o tym myślałam, twarz rozciągała mi się w szerokim uśmiechu. Pamiętałam, oczywiście, ostrzeżenia Ivy i Gabriela, ich niezachwiane przekonanie, iż nie mamy żadnych szans na wspólną przyszłość, lecz z jakiegoś powodu nie stanowiło to już dla mnie problemu. Niebo mogłoby rozewrzeć się nade mną, zionąc ogniem i siarką, a i tak nie przestałabym się uśmiechać. Tak właśnie działał na mnie Xavier - sama myśl o nim wywoływała gdzieś głęboko w mojej piersi istną eksplozję szczęścia, które rozsypywało się po całym moim wnętrzu niczym drobniutkie koraliki, wywołując drzenie serca i mrowienie skóry.

Zycie z nim obiecywało tak wiele. Czy jednak nadal będzie go pragnął, gdy pozna już moje prawdziwe oblicze?

Staralam się jak mogłam ukryć mój euforyczny stan przed Ivy i Gabrielem. Wystarczająco dużo czasu zajęło mi otrząśnięcie się po ostatniej eskapadzie z Xavierem i nie sądziłam, by byli w stanie znieść coś podobnego po raz drugi. Siadając z nimi do stołu, czułam się jak podwójny agent i przez cały czas zastanawiałam się, czy wyraz mojej twarzy nie zdradza zbyt wiele. Jednak to, że moje rodzeństwo zostało obdarzone darem czytania w ludzkich umysłach, nie oznaczało, że mają nieograniczony wgląd także w mój.

Ponadto moje zdolności aktorskie najwyraźniej się poprawiły, ponieważ ten świeżo nabyty entuzjazm przeszedł bez echa. Z niejakim zaskoczeniem stwierdziłam, że rozumiem wreszcie znaczenie powiedzenia „cisza przed burzą”. Teoretycznie wszystko szło gładko, lecz dobrze

wiedziała, jak złudne bywają pozory. W tle tykała bowiem bomba z opóźnionym zapłonem. Napięcie, złość i poczucie winy wrzały pod przykrywką rodzinnego szczęścia, gotowe wybuchnąć w chwili, gdy Gabriel i Ivy dowiedzą się o mojej zdradzie.

- Jeden z uczniów trzeciej klasy zapytał mnie dziś, czy naprawdę istnieje coś takiego jak otchłań 3- oznajmił Gabriel któregoś wieczoru przy kolacji. Uznałam fakt, że rozmowa zesłała na ten akurat temat, za wyjątkową ironię losu.

Ivy odłożyła widelec.

- Co odpowiedziałeś?

- Ze nikt tego nie wie.

- Dlaczego nie powiedziałeś, że tak? - spytałam.

- Ponieważ dobre uczynki muszą wynikać z czyjejś nieprzymuszonej woli - wyjaśnił mój brat. - Jeśli ktoś ma pewność, że zostanie osądzony, zrobi wszystko, byle uniknąć kary.

Miał rację.

- A jak właściwie wygląda otchłań? - Wiedziała wystarczająco dużo o piekle i niebie, lecz nikt nigdy nie opowiadał mi nic o tym, co jest pośrodku.

- Przybiera różne formy - oparła Ivy. - Może to być na przykład poczekalnia lub dworzec.

- Niektóre dusze twierdzą, że jest gorsza niż piekło - dorzucił Gabriel.

- Przecież to bez sensu - zaśmiałam się. - Co może być gorsze od piekła?

- Wieczna nicość - rzekła Ivy. - Czekać rok po roku na pociąg, który nigdy nie nadjedzie, modlenie się o to, by wywołano twoje imię. Traci się tam poczucie czasu, wszystko zlewa się w jedno niekończące się pasmo niczego. Dusze błagają o to, by dostać się do nieba, próbują rzucić się w czeluść piekła, lecz stamtąd nie ma ucieczki. Błagają się więc bez celu. I tak bez końca, Bethany. Na ziemi miną wieki, a one nadał tam będą.

- Ach... - Tylko tyle zdołałam wydusić.

Pozostało mi jedynie zastanawianie się, czy anioły również mogą trafić do otchłani.

We wtorek podczas przerwy obiadowej usiadłam z Molly oraz resztą dziewcząt na skąpanym w popołudniowym słońcu trawniku. Na gałązkach drzew pojawiły się już pierwsze zielone pączki, przyroda budziła się do życia. Za nami wznosił się okazały budynek szkoły, rzucając cień na ławki ustawione wokół szerokiego, oplecionego czułym uściskiem bluszczu pnia prastarego dębu. W oddali, na zachód od nas, widniał ciągnący się aż po horyzont ocean, a nad nim sunęły leniwie chmury. Dziewczęta rozłożyły się wygodnie na miękkiej trawie, wystawiając

buzie ku ciepłym słonecznym promieniom. Czując się tego dnia wyjątkowo zuchwale, zaryzykowałam i

podciągnęłam spódniczkę nieco ponad kolana.

3 Otchłań, limbus, limbo - w religii katolickiej (choć doktryna ta nie jest obecnie oficjalnie uznawana przez Kościół) oraz niektórych innych wyznaniach chrześcijańskich jest to miejsce, w którym znalazły się dusze osób zmarłych przed zmartwychwstaniem Chrystusa. Trafiają tam także dusze wszystkich nie-ochrzczonych, którzy nie popełnili żadnego grzechu (z tego względu są to głównie dusze dzieci). Jednak dalsza część wypowiedzi Gabriela sugeruje, że ma on na myśli raczej czyściec, choć z kolei opis, który za chwilę podaje Ivy, nie pasuje tak naprawdę do żadnego z tych miejsc (otchłań nie wiąże się z karą ani cierpieniem, natomiast w czyścicu dusze oczyszczane są z grzechów za pomocą ognia).

- Brawo, Bethany! - Dziewczęta przyklasnęły temu odważnemu posunięciu, dodając, iż stają się powoli „jedną z nich”. Zaraz potem wróciły do ulubionego zajęcia, czyli ploteczek na temat nieobecnych koleżanek oraz nauczycieli.

- Panna Lucas to wredna krowa - narzekała Megan. - Kazała mi napisać od początku całe wypracowanie na temat rewolucji w

Rosji, ponieważ uznała, że jest zbyt niechlujne. O co jej w ogóle chodzi?

- Zapewne o to, że pisałaś je pół godziny przed oddaniem - stwierdziła Hayley. - Czego się spodziewałaś? Piątki z plusem? Megan wruszyła ramionami.

- Jak dla mnie, to ona po prostu mnie nie lubi, bo jest zazdrosna. Nic dziwnego, skoro wygląda jak yeti.

- Napisz skargę - podsunęła z poważnym wyrazem twarzy dziewczyna imieniem Tara. - To czysta dyskryminacja.

- Fakt, czepia się ciebie jak mało kogo - zaczęła Molly, po czym nagle zamilkła i znieruchomiała, ze spojrzeniem utkwionym w postać przechodzącą na ukos przez trawnik.

Odwróciłam się, by poznać przyczynę jej dziwnego zachowania, i zobaczyłam Gabriela. Szedł w kierunku skrzydła muzycznego.

Samotny, z wiecznie nieobecny spojrzeniem i futerałem z gitarą przerzuconym przez ramię. Lekceważył już od jakiegoś czasu zasady dotyczące nauczycielskiego stroju, miał więc na

sobie podarte dzinsy oraz biały podkoszulek z krótkim rękawem, a na nim kamizelkę w prążki. Nikt nie ośmielił się zakwestionować jego wyboru. Nie było zresztą powodu. Gabriel był tak lubiany przez uczniów, że jego odejście z pewnością wywołałoby liczne protesty. Zauważyłam, że dobrze się czuje w tym otoczeniu. Kroczył swobodnie, stawiając długie kroki, jego ruchy były sprężyste i płynne. Wyglądało na to, że zmierza w naszą stronę. Molly gwałtownie podniosła się do pozycji siedzącej, wypinając pierś i przyglądając gorączkowo niesforne loki. Gabriel jednak nagle skręcił w zupełnie innym kierunku. Pogrążony w myślach, nawet na nas nie zerknął. Na twarzy Molly odmalował się zawód.

- A co powiecie o panu Churchu? - zagadnęła na jego widok Taylah, gotowa podjąć przerwana zabawę.

Od tak dawna siedziałam, nie odzywając się, pochłonięta wyobrażaniem sobie siebie porzuconej gdzieś hen, na bezludnej wyspie pośrodku Morza Karaibskiego, lub uprowadzonej przez piratów, czekającej na Xaviera, który miał wkrótce przybyć, by mnie uratować, że dziewczęta najwyraźniej zapomniały o mojej obecności. W innym wypadku zapewne zastanowiłyby się dwa razy, nim zdecydowałyby się przy mnie rozmawiać o Gabrielu.

- Nic - odrzekła Molly obronnym tonem. - On jest boski. Można było niemal usłyszeć szum trybików obracających się w jej głowie. Wiedziałam, że jej fascynacja Gabrielem przybrała jeszcze na sile, podsycana dodatkowo jego obojętnością. Nie chciałam, by Molly cierpiała z powodu odrzucenia, które ją nieuchronnie czekało. Gabriela ulepiono z innej, znacznie twardszej gliny i jako taki był niezdolny do odwzajemnienia jej uczuć. Tego rodzaju doświadczenia były mu tak samo odległe, jak oddalone jest niebo od ziemi. Patrząc na ludzi, widział jedynie dusze wymagające opieki i ochrony, z trudem odróżniając mężczyzn od kobiet. Molly zaś uległa złudzeniu, iż jest on takim samym młodym człowiekiem jak ci, których zna - pełnym buzujących hormonów, a przez to skorym ulec urokowi dziewczyny, jeśli ta potrafi użyć swoich atutów. Lecz niestety, nie miała pojęcia, czym Gabriel jest naprawdę. Może i wyglądał jak człowiek, lecz w odróżnieniu ode mnie bardzo daleko mu było do tego, co ludzkie. W niebie znany był też jako Anioł Sprawiedliwości.

- Trochę sztywny - zauważyła Clara.

- Nieprawda! - oburzyła się Molly. - W ogóle go nie znasz.

- A ty niby znasz?

- Chciałabym...

- Śnij dalej.

- Jest nauczycielem - wtrąciła Megan - i to w dodatku dobrze po dwudziestce.

- Uczy tylko muzyki, to trochę co innego - stwierdziła Molly optymistycznie.

- Ale uczy! - rzuciła Taylah. - Opamiętaj się, dziewczyno, to nie twoja liga.

Molly zmrużyła oczy. Nie zamierzała poddać się bez walki.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparła. - Mnie się wydaje, że on sam decyduje o tym, kto jest w jego lidze. Zapadła niezręczna cisza, ponieważ przypomniano sobie o mnie. Dziewczęta błyskawicznie zmieniły temat.

- No więc - powiedziała Megan nieco sztucznie ożywionym tonem - wracając do balu...

Gdy tego popołudnia Xavier odprowadził mnie do domu, zastałam Ivy pochłoniętą pieczeniem babeczek. Nos miała ubrudzony mąką, oczy błyszczące i najwyraźniej doskonale się bawiła. Wszystkie potrzebne składniki w pojemnikach z po-działką stały obok niej w schludnym rzędzie, ona sama zaś zajęta była dekorowaniem gotowych już wypieków, tworząc na nich perfekcyjnie symetryczne wzory, jakich z pewnością nie umiałaby wykonać ludzka ręka. Bardziej przypominały miniaturowe dzieła sztuki niż coś do jedzenia. Gdy tylko przekroczyłam próg kuchni, wcisnęła mi jedną do ręki.

- Są śliczne - powiedziałam. - Czy mogłabym z tobą o czymś porozmawiać?

- Oczywiście.

- Czy myślisz, że jest szansa, aby Gabriel puścił mnie na szkolny bal? Ivy oderwała się na chwilę od pracy i popatrzyła na mnie.

- Xavier cię zaprosił?

- A jeżeli nawet, to co? - najeżyłam się.

- Spokojnie. Myślę, że byłoby mu niezwykle do twarzy w smokingu.

- To znaczy, że nie widzisz w tym niczego złego?

- Wręcz przeciwnie, uważam, że bardzo ładna zwas para.

- Możliwe. Pod warunkiem, że w ogóle uda mi się pójść.

- Nie przesadzaj z tym pesymizmem - ofuknęła mnie Ivy. - Musimy co prawda zaczekać na to, co powie Gabriel, ale nie wydaje mi się, żeby miał coś przeciwko. Ostatecznie to szkolna impreza.

Pragnęłam jak najszybciej poznać ostateczny werdykt. Wyciągnęłam Ivy z domu i

rozpoczęliśmy przeszukiwanie plaży, na którą Gabriel poszedł pospacerować. W jedną stronę piaszczysty brzeg morza ciągnął się aż do głównej plaży, gdzie miłośnicy sportów wodnych ślizgali się na falach, a w cieniu palm stały furgonetki sprzedające lody. W przeciwnym kierunku, jeśli wyteżyło się wzrok, można było dostrzec postrzępione klify znacznie mniej przyjaznego Wybrzeża Rozbitków, a także skalny cypel, zwany przez wszystkich Urwiskiem. Rejony te cieszyły się dość ponurą sławą ze względu na zmienne wiatry, kapryśne morze i burzliwe przypływy. Niekiedy odwiedzali je nurkowie poszukujący resztek wraków wielu statków, które zatoniły tam przez minione dziesięciolecia, lecz przeważnie jedynymi gośćmi w tamtym miejscu były mewy, kołyszające się niewinnie na wodzie.

Dojrzałyśmy Gabriela siedzącego na wysokiej skale, zapatrzona w morze. Promienie słoneczne odbijające się od jego białej koszulki tworzyły wokół niego świetlistą poświatę. Znajdował się zbyt daleko, bym mogła zobaczyć jego twarz, lecz domyślałam się, że gości na niej wyraz głębokiej tęsknoty. Było czasem coś takiego w Gabrielu, jakiś niewysłowiony smutek, który starał się, jak mógł, skrzętnie skrywać. Sądzę, że wynikał on z ciężaru wiedzy, jaką posiadał, którą niepodobna było z kimkolwiek się podzielić. Gabriel poznał istotę wszechrzeczy znacznie głębiej niż Ivy czy ja i dźwiganie tego samemu z pewnością nie było łatwe. Nieobce mu były wszelkie okropieństwa przypuszczalnie potrafił zobaczyć również te, które dopiero mają nastąpić. Nic więc dziwnego, że bywał posępny. Na domiar złego nie istniał nikt, komu mógłby się zwierzyć. Lata, które spędził w służbie Stwórcy wszechświata, uczyniły go bardzo samotnym. Przydało mu to rysu surowości, który sprawiał, iż ludzie czuli się w jego towarzystwie nieswojo. Młodzież go uwielbiała, lecz dorośli nieodmiennie odnosili wrażenie, że są poddawani ocenie.

Wyczuwając, że ktoś go obserwuje, Gabriel odwrócił głowę w naszą stronę. Zrobiłam krok do tyłu, nie chcąc mu przeszkadzać, lecz na nasz widok rozchmurzył się i zaczął do nas machać, żebyśmy się do niego przyłączyły.

Gdy dotarliśmy do miejsca, w którym siedział, pomógł nam obu wspiąć się na skały, po czym wszyscy troje usiedliśmy obok siebie. Pomyślałam wówczas, że od dawna nie widziałam go tak odprężonego.

- Węszę tu jakiś podstęp - zażartował.

- Proszę, pozwól mi iść na bal absolwentów - powiedziałam przymilnie. Gabriel pokręcił ze zdziwieniem głową.

- Nie miałem pojęcia, że chciałabyś pójść na ten bal. Nie sądziłem, że cię to zainteresuje.

- Sęk w tym, że wszyscy tam będą. W szkole od miesiący o niczym innym się nie mówi. Moim koleżankom będzie przykro, jeśli nie przyjdę. Dla nich to wiele znaczy. - Szturchnęłam go lekko w ramię. - Tylko mi nie mów, że ty się nie wybierasz.

- Nie wybierałem się, ale teraz nie mam innego wyjścia. Poproszono mnie o przyłączenie się do dyżurujących nauczycieli - odrzekł, nie wyglądając na zbytnio zachwyconego tą perspektywą. - Nie rozumiem, skąd ludzie biorą takie pomysły. Wszystko to wydaje mi się stratą czasu i pieniędzy.

- Jednak jest to nieodłączna część szkolnego życia - odezwała się Ivy. - Dlaczego nie potraktować tego jako swego rodzaju wywiadu środowiskowego?

- Otóż to. Będziemy w samym centrum wydarzeń - dodałam. - Jeśli mamy jedynie przyglądać się z boku, mogliśmy równie dobrze pozostać w Królestwie Niebieskim.

- I nie ma to absolutnie nic wspólnego z faktem, że będziesz miała okazję wystąpić w sukni? - zapytał Gabriel. - Ależ skąd! - oburzyłam się. - No, może trochę. Westchnął.

- No cóż, skoro to tylko na tę jedną noc...

- A do tego ty przecież tam będziesz, mając oko na wszystko - dorzuciłam.

- Ivy, mam nadzieję, że pójdziesz ze mną. - Gabriel odwrócił się do Ivy.

- Oczywiście! - przyklasnęła. Jak zawsze cieszyła się z osiągniętego kompromisu. - Będzie świetna zabawa!

Sobotni wieczór okazał się wprost idealny na ognisko. Powietrze było czyste i łagodne, a niebo miało kolor aksamitnego błękitu. Z południa wiał lekki wietrzyk, poruszając koronami drzew, przez co wyglądały, jakby się sobie kłaniały. Powinnam była czuć się podenerwowana, ale wszystko układało się w mojej głowie w logiczny ciąg. Miałam niebawem scementować mój związek z Xavierem poprzez połączenie się naszych dotąd tak odległych światów.

Tego wieczoru szczególną uwagę zwróciłam na strój. Wybrałam rozkloszowaną, długą i zwiewną spódnicę oraz białą bluzkę z krótkimi marszczonymi rękawkami i haftem wokół dekoltu. Gdy zesłam na dół, zastałam Ivy i Gabriela siedzących w salonie.

Gabriel czytał jakiś religijny traktat, napisany miniaturowym drukiem, pomagając sobie szkłem powiększającym. Zważywszy na jego młodzieńczą powierzchowność, był to widok niezwykle zabawny i z trudem stłumiłam chichot. Ivy z kolei daremnie próbowała nauczyć Fantoma podstawowych komend.

- Siad, Fantom - prosiła słodkim głosem, zarezerwowanym na ogół dla niemowlaków. - No,

usiąść ładnie dla mamusi. Dobrze wiedziałam, że dopóki będzie przemawiała do niego takim tonem, Fantom jej nie posłucha. Był bardzo inteligentnym psem i nie lubił, gdy się do niego zwracano w taki dziecinny sposób. Mogłabym przysiąc, że jego pysk wyrażał w tej chwili najgłębszy niesmak.

- Tylko nie wracaj za późno - przypomniał mi Gabriel.

Powiedziałam mu, że wybieram się na plażę pospacerować w towarzystwie Molly i jej znajomych, informując go również, że będzie wśród nich Xavier. Nie zgłosił żadnych zastrzeżeń, z czego wywnioskowałam, iż jego stosunek do moich potrzeb, jeśli chodzi o życie towarzyskie, uległ niejakiemu złagodzeniu. Ciężar, z jakim wiązała się nasza misja, powodował, że każde z nas potrzebowało od czasu do czasu ucieczki. Nikt nie protestował, gdy Gabriel szedł samotnie pobiegać lub gdy Ivy zamykała się w domku dla gości, zabierając ze sobą szkicownik. Nie było więc żadnego powodu, dla którego i ja nie miałabym skorzystać z podobnego przywileju, gdy odczuwałam taką potrzebę.

Ufali mi na tyle, by nie zadawać zbyt wielu pytań, i czułam się okropnie na myśl o tym, że zamierzam wkrótce to zaufanie zawieść. Nie mogło być jednak mowy o wycofaniu się - nade wszystko pragnęłam zaprosić Xaviera do mojego sekretnego świata, łaknęłam związanej z tym intymności. Wraz z determinacją odczuwałam i dręczącą obawę, że tak jawne pogwałcenie zasad z pewnością oznaczać będzie surową karę. Udało mi się jednak wyrzucić z głowy ponure myśli, zastępując je wyobrażeniem twarzy Xaviera. Od dzisiejszego wieczoru począwszy, wszystkiemu będziemy już stawiali czoło razem.

Nie zamierzałam zbyt długo być na ognisku. Potrzebowałam tylko tyle czasu, ile konieczne było, by wyjawić Xavierowi swą tajemnicę i poznać jego reakcję, jakakolwiek będzie. W nieskończoność zastanawiałam się nad możliwymi wynikami naszej rozmowy i wreszcie ograniczyłam je do trzech. Moje rewelacje mogły go albo zafascynować, albo napelnić odrazą, albo przerazić. Czy pomyśli, że powinnam znaleźć się w muzeum? Czy w ogóle uwierzy w prawdę, gdy wreszcie zbiorę się na odwagę, by mu ją wyjawić, czy też może będzie podejrzewał, że to jakaś przemyślana sztuczka? Wkrótce miałam się tego dowiedzieć.

- Bethany doskonale da sobie radę - powiedziała Ivy. - Siadaj, Fantom! Siad!

- Tu nie chodzi o brak wiary w możliwości Bethany. To ten świat pełen jest zagrożeń - odparł Gabriel. - Widzieliśmy tu już niejedno. Dlatego proszę cię, żebyś uważała.

- Tak jest! - odrzekłam, salutując przed nim po wojskowemu i starając się nie zwracać

uwagi na szarpiące poczucie winy. Gabriel długo mi tego nie zapomni.

- Siad, Fantom! - gruchała dalej Ivy. - Usiądź na pupie!

- Och, na litość boską! - Gabriel odłożył książkę i wyciągnął swój długi palec w kierunku psa. - Siad - polecił głębokim głosem.

Fantom zrobił bojaźliwą minę i natychmiast przysiadł na tylnych łapach. Urażona Ivy nie kryła rozdrażnienia.

- Cały dzień próbowałam go tego nauczyć! To jakaś podejrzana męska solidarność!

Zbiegłam lekko po wąskich schodkach ku zarośniętej ścieżce wiodącej na plażę. Gdziekolwiek widać było na piasku ślady zostawione przez węże, od czasu do czasu tuż przede mną przemykała zbłąkana jaszczurka. Gałązki pękały z trzaskiem pod moimi stopami, a drzewa rosły miejscami tak gęsto, że ich gałęzie tworzyły nad moją głową zielone sklepienie, przez które przenikały jedynie skrawki ostatnich promieni zachodzącego słońca. Donośny chór cykad zagłuszał wszystko prócz przeciągłego ryku oceanu. Jeśli zgubiłabym drogę, wystarczyło iść za odgłosem morza.

Wyszłam wreszcie na gładki, biały piasek plaży, skrzypiący przy każdym kroku. Ognisko odbywało się nieco dalej, w pobliżu klifów. Wybrano to miejsce, ponieważ wiadomo było, że będzie tam zupełnie pusto. Maszerowałam brzegiem, rozmyślając o tym, o ileż bardziej złowrogo wygląda ten krajobraz nocą. Wokół nie było nikogo prócz samotnego wędkarza, który siedział na niskiej skałce. Obserwowałam, jak podcina wędkę i kręci kołowrotkiem, po czym przygląda się uważnie swojej zdobyczy, a następnie wrzuca ją do wody. Zauważyłam, że ocean przybiera różne barwy: w najgłębszym miejscu, tuż przy horyzoncie, miał kolor atramentowego granatu, bliżej środka mienił się odcieniami akwamaryny, a fale łagodnie chlupoczące przy samym brzegu były jasnozielone i przejrzyste niczym szkło. W oddali majaczył kawałek lądu, rodzaj cypla, na którego końcu zbudowano latarnię morską. Z miejsca, gdzie się znajdowałam, wydawała się malutka jak naparstek.

Zaczynało się powoli ściemniać. W niewielkiej odległości przed sobą usłyszałam głosy, po czym ujrzałam postacie rzucające powyrywane z zeszytów kartki, zużyte arkusze egzaminacyjne i inne tego typu łatwopalne materiały na spory stos, który miał wkrótce powędrować do ogniska. Nie było ryczącej muzyki ani rozszalałego tłumu, jak na prywatce u Molly. Zamiast tego nieliczni już przybyli uczestnicy leżeli na piasku, sącząc piwo z butelek i dzieląc się wymiętymi papierosami. Molly z koleżankami jeszcze się nie pojawiła.

Xavier siedział na kłodzie do połowy zagrzebanej w piasku. Miał na sobie dzinsy, rozciągnięty jasnoniebieski podkoszulek i srebrny krzyżyk na rzemyku. W rękę trzymał na wpół opróżnioną butelkę i zaśmiewał się z popisów parodystycznych jednego z kolegów.

Migotliwe światło płomieni tańczące na jego twarzy czyniło go jeszcze bardziej fascynującym niż zazwyczaj.

- Cześć, Beth! - krzyknął ktoś. Reszta pozdrowiła mnie gestami oraz skinieniami głowy. Czyżby nareszcie przestali traktować nas jako sensację, akceptując fakt, iż wszędzie chodzimy razem? Uśmiechnęłam się nieśmiało w odpowiedzi, wsuwając się szybko na miejsce obok Xaviera, gdzie poczułam się pewniej.

- Pięknie pachniesz - powiedział, pochylając się, by pocałować mnie w czubek głowy. Kilku jego przyjaciół zaczęło gwizdać i poszturchiwać go, przewracając oczami.

- Chodź. - Pomógł mi wstać. - Idziemy stąd.

- Już wychodzicie? - zażartował któryś.

Postanowiliśmy się przejść - odparł Xavier pogodnie. Jeśli wam to nie przeszkadza. Okrzyki i gwizdy towarzyszyły nam, gdy oddalaliśmy się spacerem od grupy skupionej wokół ciepła rozpalającego się /. wolna ogniska. Ponieważ zaliczali się oni do najbliższych znajomych Xaviera, rozumiałam, że nie mają na myśli nic złego. Wkrótce ich głosy zlały się w jeden odległy szum.

- Nie mogę zostać długo.

- Domyślam się.

Objął mnie jedną ręką i ruszyliśmy plażą w milczeniu, kierując się ku postrzępionym klifom, które, ledwo widoczne, rysowały się na tle ciemnego nieba. Ciepły uścisk ramienia Xa-viera sprawiał, że czułam się bezpieczna. Nic złego nie mogło mnie spotkać.

Wiedziałam jednak, że gdy tylko oddalę się od niego, na nowo ogarnie mnie lodowata niepewność.

Gdy rozciąłam sobie stopę o ostrą krawędź muszli, Xavier uparł się, że będzie mnie niósł. W duchu dziękowałam Opatrzności, iż w otaczającym nas mroku nie zobaczy, że rana goi się sama. Nawet gdy ból ustąpił, trzymałam się go kurczowo, ciesząc się okazywaną mi troską. Rozluźniłam mięśnie, pozwalając, by moje ciało stopiło się z ciałem Xaviera. Starając się wtulić w niego jak najmocniej, dźgnęłam go nieopatrzenie palcem w oko. Wydawałoby się, że jako anioł powinnam być pełna gracji, a tymczasem zaprezentowałam niezdarność godną nieporadnego

dziecka. Przeprosiłam go najgoręcej, jak umiałam.

- Nic się nie stało, mam jeszcze jedno - zażartował. Ponieważ oko łzawiło obficie, zamrugał kilka razy, chcąc odzyskać zdolność widzenia.

Gdy dotarliśmy do piaszczystej zatoczki, osłoniętej z jednej strony wznoszącym się nad nią klifem, Xavier postawił mnie na ziemi.

Wyszczerbione skały od wieków tworzyły tu łuk, niczym przejście do innego świata, a padające na piasek promienie księżyca nadawały mu świetlisty, perłowiebieski odcień. Na szczyt klifu prowadziły strome schodki. Roztaczał się stamtąd najpiękniejszy widok na latarnię. Leżące na dnie płytkiej wody odłamki kamieni urastały do nadnaturalnych rozmiarów. Mało kto prócz turystów zapuszczał się w tę okolice, a i ci nie zagłądali tu zbyt często. Większość ludzi wolała główną plażę, w której poblizu rozlokowały się kawiarenki i sklepy z pamiątkami. Zakątek ten pozostawał ustronny - w zasięgu wzroku nie było nikogo. Jedynym dźwiękiem był łoskot fal, rozlegający się niczym setka głosów przemawiających nieznanym, tajemnym językiem.

Xavier usiadł, opierając się plecami o chłodną skałę. Stałam obok niego, nie chcąc przedłużać nieuniknionego, lecz nie wiedząc, jak zacząć. Oboje doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, po co tu przyszliśmy: pragnę coś mu wyjawić. Zgadywałam, że i Xavier dużo o tym rozmyślał, lecz z pewnością nie spodziewał się tego, co miało nastąpić.

Czekał, aż przemówię, podczas gdy mnie zaschło w ustach. To miała być moja wielka chwila. Tego wieczoru zamierzałam wyznać mu prawdę o sobie. Przez cały tydzień miałam wrażenie, że czas płynie niemiłosiernie wolno, a godziny wloką się w ślimaczym tempie. Lecz gdy wyczekiwany moment wreszcie nadszedł, grałam na zwłokę. Czułam się jak aktor, który zapomniał kwestii, mimo że na próbie poszło mu doskonale. Pamiętałam najważniejsze punkty tego, co chcę powiedzieć, ale umknęły mi gdzieś słowa, jakimi miałam je wyrazić, gesty, które powinny towarzyszyć mojej wypowiedzi, sposób, w jaki zamierzałam przejść do sedna. Dreptałam w tę i z powrotem po piasku, wyłamując nerwowo palce, zastanawiając się, jak i od czego zacząć. Drżałam, mimo że noc była ciepła. Moje niezdecydowanie sprawiło, że Xavier poczuł się niezręcznie.

- Cokolwiek to jest, Beth, miejmy to już za sobą. Poradzę sobie z tym.

- Cieszę się. Niestety, to trochę skomplikowane. Odgrywałam tę scenę w głowie nieskończoną ilość razy, lecz gdy przyszło co do czego, nie mogłam wydobyć z siebie ani słowa.

Xavier wstał i położył ręce na moich ramionach, chcąc dodać mi otuchy.

- Zrozum, że cokolwiek mi o sobie powiesz, i tak nie zmieni to mojego zdania na twój temat. Nie może.

- Dlaczego?

- Nie wiem, czy zauważyłaś, ale szaleję za tobą.

- Naprawdę? - Byłam miło zaskoczona tym oświadczeniem. - Więc jednak nie zauważyłaś? To bardzo niedobrze - w przyszłości będę musiał postarać się lepiej ci to okazywać.

- O ile nadal będziesz widział przed nami wspólną przyszłość.

- Kiedy mnie już lepiej poznasz, zrozumiesz, że ja nigdy nie uciekam. Potrzebuję dużo czasu, aby stwierdzić, czy chcę się do kogoś zbliżyć, lecz gdy raz podejmę decyzję, to się jej trzymam.

- Nawet jeśli popełniasz błąd?

- Nie wydaje mi się, aby tak się działo w twoim przypadku.

- Skąd możesz wiedzieć? Jeszcze nie usłyszałaś, co mam ci do powiedzenia - wymamrotałam.

Xavier rozwarł szeroko ramiona, jakby chciał sprowokować mnie do zadania ciosu.

- Pozwól zatem, że ci to udowodnię.

- Nie mogę - wyjąkałam. - Boję się. A jeśli nie zechcesz mnie więcej widzieć?

- To niemożliwe, Beth - odparł bardziej stanowczo. A po chwili dodał niskim, poważnym głosem: - Wiem, że to dla ciebie trudne, ale musisz mi zaufać.

Spojrzałam mu głęboko w oczy - były niczym przepastne błękitne jeziora - po czym zrozumiałam, że ma rację. I zaufałam mu.

- Najpierw powiedz mi, jaka była najstraszniejsza rzecz, która ci się kiedykolwiek przytrafiła? - zaczęłam.

Zastanawiał się przez kilka sekund.

- Okropnie się bałam, wspinając się po trzydziestometrowej linie. No i kiedyś, gdy pojechaliśmy ze stanową drużyną młodzików - trenowałam wtedy piłkę wodną - zdarzyło mi się złamać regulamin i trener Benson mnie wyprowadził. Ten facet potrafi być naprawdę przerażający, jeśli chce. Zrobił mi potworną awanturę i zabronił grać w meczu z Creswell następnego dnia.

Po raz pierwszy dotarło do mnie, że Xavier jest tylko człowiekiem. Jeśli tak według niego

wyglądają wstrząsające doświadczenia, jakim cudem przetrwa moje wyznanie?

- I to wszystko? - zapytałam. Wypadło to trochę nazbyt szorstko. - To twoje najstraszniejsze przeżycia? Popatrzył mi prosto w oczy.

- No cóż, sądzę, że można do nich zaliczyć również tę noc, gdy dowiedziałem się, iż moja dziewczyna zginęła w pożarze. Ale wolałbym do tego nie wracać...

- Przepraszam. - Wbiłam wzrok w ziemię. Nie mogłam uwierzyć w swoją głupotę. Zapomniałam o Emily. Xavier wiedział więcej na temat bólu i cierpienia, niż mnie kiedykolwiek dane było doświadczyć.

- Nie przepraszaj. - Wziął mnie za rękę. - Posłuchaj mnie teraz uważnie: poszedłem zobaczyć się z jej rodziną tuż po wypadku. Stali wszyscy razem na ulicy i przez chwilę myślałem, że zaszła pomyłka. Sądziłem, że jest z nimi. Podbiegłem, by ją przytulić i pocieszyć. I wtedy ujrzałem twarz jej matki - wyglądała, jakby nie miała już po co żyć. Wówczas zrozumiałem. Dotarło do mnie, że nie tylko ich domu już nie ma, nie ma również Emily.

- To straszne - wyszeptałam, czując, jak oczy wypełniają mi się łzami. Xavier otarł je kciukiem.

- Nie mówię ci tego po to, by cię zdenerwować. Mówię to dlatego, żebyś wiedziała, iż mnie nie wystraszysz. Możesz powiedzieć mi, co tylko chcesz. I tak od ciebie nie ucieknę.

Odetchnęłam więc głęboko i rozpoczęłam przemowę, która miała na zawsze odmienić życie nas obojga.

- Chciałabym, żebyś wiedział, że niczego nie pragnę bardziej niż tego, byś po dzisiejszym wieczorze nadal chciał się ze mną spotykać. - Na te słowa Xavier uśmiechnął się i spróbował mnie objąć, lecz go powstrzymałam. - Pozwól mi skończyć. Postaram się wyjaśnić ci to wszystko najlepiej, jak potrafię.

Skinął głową, krzyżując ręce na piersi i skupiając na mnie całą uwagę. Przemknęło mi przez głowę, że zachowuje się jak gorliwy uczeń, gotowy zrobić wszystko, by zadowolić nauczyciela. Wyglądał, jakby czekał w napięciu na polecenie.

- Wiem, że to może wydać ci się dziwne, ale chcę, żebyś popatrzył, jak chodzę. Widziałam, że moja prośba nieco go zaskoczyła. Nie zaprotestował jednak.

- Dobrze.

- Tylko tym razem nie patrz na mnie. Patrz na piasek. Nie odrywając wzroku od jego twarzy, powoli zatoczyłam wokół niego okrąg.

- I co zauważyłeś? - spytałam.

- Ze nie zostawiasz śladów - odparł Xavier tonem, który sugerował, że w ogóle go to nie dziwi. - Niezła sztuczka. Powinnaś chyba więcej jeść.

Jak dotąd, szło nieźle. Niełatwo było zbić go z tropu. Uśmiechając się ponuro, usiadłam przy nim i obróciłam stopę podszwą do góry. Miękka skóra w kolorze brzoskwini wyglądała na nietkniętą.

- Pamiętasz? Rozciąłam sobie stopę...

- Nie ma śladu rany. - Xavier zmarszczył czoło. - Jak to się... Zanim dokończył zdanie, chwyciłam jego dłoń i położyłam ją sobie na brzuchu.

- Czujesz różnicę? - zapytałam, nie siląc się na aluzje. Jego palce przesuwają się delikatnie po mojej skórze. Gdy dotarł do miejsca, w którym powinien znajdować się pępek, zatrzymał rękę, delikatnie naciskając kciukiem w poszukiwaniu znajomego wgłębienia.

- Nie znajdziesz go - odezwałam się, nim zdążył cokolwiek powiedzieć. - Ponieważ go tam nie ma.

- Co się stało? - zapytał. Sądził zapewne, że brałam udział w jakimś wypadku, po którym nigdy tak do końca nie doszłam do siebie.

- Nic się nie stało. Tak właśnie wyglądam.

Mogłam niemal dostrzec, jak próbuje w myślach dopasować do siebie kawałki łamigłówki.

- Kim ty jesteś? - spytał ledwo dosłyszalnym szeptem. - Zaraz ci pokażę. Czy mógłbyś zamknąć oczy? I nie otwieraj ich, proszę, dopóki ci nie powiem.

Upewniwszy się, że jego powieki są zaciśnięte, wbiegłam, przeskakując po trzy stopnie naraz, po schodkach wykutych w ścianie klifu. Na palcach przeszłam po szczycie, zatrzymując się niepewnie w pobliżu krawędzi, wprost nad głową Xaviera. Grunt pod mną był szorstki i nierówny, lecz zdołałam utrzymać równowagę. Od ziemi dzieliło mnie ze dwadzieścia metrów, ale to nie wysokość mnie powstrzymywała. Bałam się, że nie znajdę w sobie dość odwagi, by przeprowadzić to, co zaplanowałam. Serce skakało mi w piersi jak oszalałe, fikając dzikie fikolki. W głowie tłukły się dwa przekrzykujące się wzajemnie głosy: „Co ty wyprawiasz?“, wołał jeden.

„Oszalałaś? Natychmiast złaź i wracaj do domu! Jeszcze nie jest za późno!” Jednak ten drugi był innego zdania: „Zaszłaś tak daleko - powtarzał. - Nie możesz się teraz wycofać. Sama wiesz, jak bardzo tego pragniesz - nigdy nie będziesz mogła z nim być, jeśli teraz zrezygnujesz. Zresztą dobrze, zostań tchórzem i odejź. Niech on odsunie się od ciebie i zapomni o wszystkim.

Mam nadzieję, że wieczna samotność okaże się przyjemna”.

Musiałam zakryć usta, żeby nie zacząć głośno krzyczeć. Nie było sensu dłużej zwlekać. Podjęłam już decyzję.

- Możesz otworzyć oczy! - krzyknęłam do Xaviera.

Nim spojrzał w górę, rozglądał się przez kilka sekund, zdezorientowany. Wreszcie mnie dostrzegł. Pomachałam mu.

- Co ty tam robisz? - w jego głosie dało się wyczuć panikę. - Beth, to nie jest zabawne. Zejdź na dół, zanim coś ci się stanie.

- Nie bój się, już schodzę. Tyle że po swojemu. Zrobiłam krok do przodu. Stałam teraz na samej krawędzi.

Chwiejąc się, przeniosłam ciężar ciała na pięty. Chropowata skała boleśnie raniła mi stopy, lecz nie zwracałam na to uwagi. Unosiłam się już niemal w powietrzu, nade wszystko pragnąc kolejny raz poczuć wiatr we włosach.

- Daj spokój, Beth! Zostań tam, idę po ciebie! - słyszałam, jak Xavier krzyczy, ale nie słuchałam go już.

Smagana coraz gwałtowniejszymi podmuchami wiatru, rozłożyłam ramiona i runęłam w dół. Człowiekowi w takiej chwili żołądek podskoczyłby do gardła, lecz mnie rozpierała radość, uczucie wszechogarniającej euforii. Leciałam ostrym skosem ku ziemi, rozkoszując się gwałtownym pędem powietrza szczypiącego mnie w policzki. Xavier znów coś krzyknął i zaczął biec, chcąc mnie złapać, lecz jego wysiłki były daremne. W tym akurat przypadku nie potrzebowałam niczyjej pomocy. W połowie lotu opuściłam ręce i pozwoliłam, aby nastąpiła przemiana. Z wnętrza mego ciała wystrzeliło oślepiające światło, wydostając się na zewnątrz każdym porem i rozjarzając skórę niczym rozgrzany do białości metal. Zobaczyłam, jak Xavier cofa się, osłaniając oczy. Zaraz potem poczułam, jak między moimi łopatkami rozkładają się skrzydła. Uwalniając się, rozerwały na strzępy cienką tkaninę bluzki. Rozpostarte, rzucały na piasek długi cień, sprawiając wrażenie, jakby unosił się nad nim jakiś olbrzymi majestatyczny ptak.

Xavier przykucnął i zdałam sobie sprawę, że pulsujący blask musi go bardzo razić. Wisząc w powietrzu, podczas gdy moje skrzydła pracowały miarowo, czułam się naga i bezbronna, ale też i dziwnie podekscytowana. Napięte ścięgna sygnalizowały gotowość do dalszego wysiłku. Tak dużo czasu spędzały ostatnio ściśnięte ubraniem! Z trudem oparłam się przemożnej chęci, by

wzbić się wyżej i dać nurka między chmury. Po chwili poszybowałam w dół, lądując łagodnie na piasku. Buchający ode mnie płomienny żar przygasł nieco, gdy moje stopy dotknęły stałego gruntu.

Xavier przetarł oczy i zamrugał gwałtownie, starając się odzyskać wzrok. W końcu udało mu się to i mnie zobaczył. Cofnął się o krok, oszołomiony, z rękami zwisającymi bezwładnie po bokach, jakby nagle zapomniał, do czego służą. Stałam przed nim, wciąż jeszcze delikatnie połyskując. Strzępy bluzki zwisały smutno niczym macki, zza ramion zaś wyłaniały się imponujących rozmiarów skrzydła, lekkie jak puch, lecz sprawiające wrażenie olbrzymiej siły. Rozpuszczone włosy spływały swobodnymi falami na plecy, a świetlisty krąg nad moją głową - wiedziałam to na pewno - jaśniał silniej niż kiedykolwiek.

- Jasny gwint! - wyrwało się Xavierowi.

- Czy mógłbyś nie bluźnić? - poprosiłam grzecznie. Gapił się na mnie, próbując znaleźć właściwe słowa.

- Wiem - westchnęłam. - Dam głowę, że nie tego się spodziewałeś. - Machnęłam ręką w kierunku plaży. - Teraz możesz odejść, jeśli chcesz.

Xavier stał przez kilka sekund bez ruchu, przyglądając mi się szeroko otwartymi oczami. Następnie okrążył mnie powolutku, muskając ostrożnie palcami moje skrzydła. Mimo iż wyglądały potężnie, były cienkie jak pergamin i ważyły tyle co nic. Patrzyłam, jak podziwiała delikatne białe pióra i maleńkie membrany, widoczne pod przezroczystą skórą.

- O rety - powiedział wreszcie. Wyraźnie brakowało mu słów. - To jest takie...

- Nienaturalne?

- Niesamowite. Ale czym ty jesteś? Bo przecież nie możesz być...

- Aniołem? Bingo.

Xavier potarł w zamyśleniu grzbiet nosa, jakby starając się w ten sposób pomóc sobie odnaleźć w tym wszystkim jakiś sens.

- To nie może być prawda - oznajmił w końcu. - Nie pojmuję tego.

- Oczywiście, że nie pojmujesz. Mój świat oddziela od twojego olbrzymia przepaść.

- Twój świat? - zapytał z niedowierzaniem. - To czysty obłąd.

- Dlaczego?

- Jak to, dlaczego? Przecież to jakieś bajki. Takie rzeczy nie istnieją naprawdę!

- Ależ istnieją - zapewniłam. - Ja jestem jak najbardziej prawdziwa.

- Wiem. I najbardziej przeraża mnie to, że ci wierzę. Przepraszam cię na moment...

Usiadł ciężko na piasku, unosząc brwi i krzywiąc się jak ktoś, kto zмага się z niemożliwą do wyjaśnienia zagadką. Próbowałam wyobrazić sobie, co musi dziać się w jego głowie. Z pewnością zapanował tam chaos. Na usta ciśnie mu się tyle pytań.

- Jesteś zły? - spytałam.

- Zły? Dlaczego miałbym być zły?

- Bo nie powiedziałam ci o tym wcześniej.

- Próbuję sobie tylko to wszystko jakoś poukładać - odparł.

- Rozumiem, że to niełatwe. Nie śpiesz się.

Milczał przez długą chwilę. Gwałtowny urywany oddech wskazywał, że toczy jakąś wewnętrzną walkę. Wstał i powoli przesunął dłonią nad moją głowę, zataczając półkole. Wiedziałam, że wyczuwa palcami ciepło emitowane przez aureolę.

- A więc dobrze. Anioły istnieją - zgodził się wreszcie, wymawiając te słowa wolno i wyraźnie, jakby sam sobie starał się coś objaśnić. - Ale co robicie tu, na ziemi?

- Są nas tu tysiące, w ludzkiej skórze, rozsianych po całym globie - odrzekłam. - Mamy do wypełnienia misję.

- Jaką misję?

- Trudno to wytłumaczyć. Jesteśmy tu, aby pomóc ludziom znów zwrócić się ku sobie, pokochać się nawzajem. - Wyraz twarzy Xaviera sugerował, że niewiele z tego rozumie, postarałam się więc nieco rozwinąć swoją wypowiedź. - Na świecie jest za dużo złości, za dużo nienawiści. To pobudza ciemne moce, zachęca je. Gdy raz się uwolnią, nie będzie można ich powstrzymać. Nasza praca polega na tym, by niwelować negatywne wpływy, zapobiegać nieszczęściom. To miejsce już wiele przeszło.

- Chcesz powiedzieć, że wszystkie te złe rzeczy, które się tu ostatnio wydarzyły, są sprawką sił ciemności?

- W każdym razie większość.

- A mówiąc o siłach ciemności, masz na myśli diabła, jak sądzę?

- Lub jego wysłanników.

Xavier wyglądał, jakby miał się zaraz roześmiać, lecz się powstrzymał.

- To jakieś szaleństwo. Kto niby wysłał was na tę misję?

- Sądziłam, że to akurat jest oczywiste.

Xavier wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem.

- Chyba nie chodzi ci o...

- Owszem, tak.

Ta informacja wyraźnie nim wstrząsnęła. Miał taką minę, jakby właśnie dostał się w sam środek tornada, które porwało go ze sobą, a następnie cisnęło z powrotem na ziemię. Palcami bezwiednie odgarnął włosy z czoła.

- Czy to znaczy, że Bóg naprawdę istnieje?

- Nie wolno mi o tym mówić. - Uznałam, iż najlepiej będzie zakończyć rozmowę, nim zajdzie ona za daleko. - Niektóre rzeczy pozostają poza ludzkim pojmowaniem. Miałabym nie lada kłopoty, gdybym zaczęła ci to wyjaśniać. Nie powinniśmy nawet wymawiać

Jego imienia.

Xavier kiwnął głową.

- Ale jest też życie po śmierci? - zapytał. - Niebo?

- Bez wątpienia.

- A więc... - Potarł podbródek, nad czymś się zastanawiając. - Skoro jest niebo, należy uznać, że... musi istnieć również...

- Tak, to też. Ale proszę cię, wystarczy już pytań na dziś. Xavier masował sobie skronie, próbując znaleźć sposób, który pozwoli mu przetrwać te wszystkie informacje.

- Przepraszam - powiedziałam ze współczuciem. - Wyobrażam sobie, jak bardzo musi cię to przytłaczać. Nie zwrócił uwagi na moje słowa, zajęty układaniem wydarzeń tego wieczoru w logiczny ciąg.

- Pozwól, że powtórzę to sobie na głos - rzekł. - Jesteście aniołami, które przybyły na ziemię, aby ratować ludzkość, i wyznaczono was do opieki nad Venus Cove?

- Gabriel akurat jest archaniołem - poprawiłam go. - Ale co do reszty, to się zgadza.

- No tak, to by wyjaśniało, dlaczego tak trudno mu zaimponować - zażartował Xavier.

- Jesteś jedyną osobą, która o tym wie. Nie możesz nikomu powtórzyć z tego ani słowa.

- Komu miałbym powiedzieć? - zapytał. - Kto by mi uwierzył?

- Racja.

Nagle się roześmiał.

- Moja dziewczyna jest aniołem - rzekł do siebie, po czym powtórzył to zdanie głośniej, zmieniając nacisk, sprawdzając jego brzmienie. - Moja dziewczyna jest aniołem.

- Mów ciszej - syknęłam ostrzegawczo.

Wypowiedziane na głos, wydawało się to tak niesłychane i zarazem tak oczywiste, że nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Dla kogoś przysłuchującego się z boku, użycie przez Xaviera słowa „anioł” znaczyłoby jedynie, że oto jakiś zaślepiiony miłością nastolatek ogłasza światu, że uwielbia swoją ukochaną. Tylko my dwoje wiedzieliśmy, co to naprawdę oznacza. Od tej chwili łączyła nas tajemnica, niebezpieczny sekret, który jeszcze bardziej nas do siebie zbliżył. Niniejszym przypieczętowaliśmy naszą więź, pokonując dzielącą nas otchłań i ostatecznie ją zamykając.

- Tak bardzo się bałam, że nie zechcesz mnie znać, gdy już dowiesz się prawdy. - Westchnęłam w przyływie ulgi.

- Żartujesz sobie? - Zaczął bawić się kosmykiem moich włosów. - Drugiego takiego szczęściarza nie ma na świecie.

- Skąd ten wniosek?

- Czy to nie oczywiste? Dostałem w prezencie własny kawałek nieba.

Objął mnie. Przytuliłam się do jego piersi, wdychając znajomy zapach.

- Obiecujesz, że nie będziesz zadawał zbyt wielu pytań?

- Pod warunkiem, że odpowiesz mi na jeszcze jedno, ostatnie. Wnioskuje z tego, że ty i ja to raczej... - Pokiwał w powietrzu palcem wskazującym, cmokając przy tym z dezaprobatą. Z zadowoleniem stwierdziłam, że największy szok już minął i powoli zaczyna przypominać Xaviera, jakiego znałam.

- Nie raczej - odrzekłam. - Na pewno.

- Nie martw się, Beth. Uwielbiam wyzwania.

- I co teraz? - zapytał Xavier.

- Nie rozumiem.

- Teraz, gdy już wiem, kim jesteś.

Zgromadzenie

- Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Nigdy dotąd nie mieliśmy takiej sytuacji - przyznałam.

- A więc fakt, że jesteś aniołem, nie oznacza, że... - zawahał się.

- Nie oznacza, że znam wszystkie odpowiedzi - dokończyłam za niego.

- Sądziłem, że to będzie jedna z zalet tej roboty.

- Niestety nie.

- No cóż, myślę, że dopóki nikt inny się nie dowie, jesteś bezpieczna. Jeśli zaś chodzi o tajemnice, to we mnie jak w studnię. Zapytaj moich przyjaciół.

- Wiem, że mogę ci ufać. Ale jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć. - Urwałam. Zbliżał się najtrudniejszy moment - trudniejszy nawet niż to, co zrobiłam przedtem.

- Dobrze. - Tym razem Xavier wydawał się przygotowany na wszystko.

- Musisz zrozumieć, że prędzej czy później nasza misja dobiegnie końca, a wtedy wrócimy do domu - powiedziałam.

Do domu, czyli... - Spojrzał w górę. Właśnie tam.

Mimo iż z pewnością spodziewał się takiej odpowiedzi, na jego twarzy pojawiło się napięcie. Spojrzał na mnie ze smutkiem w oczach, a usta zacisnęły się w wyrazie zaciętej determinacji.

- Jeśli odejdziesz, czy jeszcze wrócisz? - zapytał.

- Nie wydaje mi się - odrzekłam cicho. - Lecz nawet gdyby, to raczej nieprędko i prawie na pewno nie w to samo miejsce.

Xavier wyprostował się, był spięty.

- Więc ty sama nie masz nic do powiedzenia? - spytał z lekkim niedowierzaniem. - A co z wolną wolą?

- Ten dar otrzymali tylko ludzie, nie pamiętasz? Nas to nie dotyczy. Jeżeli istnieje jakiś sposób na to, abym mogła tu pozostać, jeszcze go nie znalazłam. Przybywając tu, zdawałam sobie sprawę, że to nie będzie na zawsze, że w końcu będziemy musieli odejść.

Nie przewidziałam tylko, że spotkam ciebie, a teraz...

- W takim razie zostajesz - powiedział po prostu. Równie dobrze mógłby zapowiadać pogodę: „Dziś późnym wieczorem spadnie deszcz”. W jego głosie słychać było pewność, która świadczyła wyraźnie, iż gotów jest powtórzyć to każdemu, kto odważy się mieć inne zdanie.

- Ja także tego pragnę - zapewniłam, gładząc Xaviera po ramionach i starając się go uspokoić. - Ale to nie zależy ode mnie.

- Chodzi o twoje życie - zaprotestował.

- Niezupełnie moje. To coś w rodzaju umowy najmu.

- Wobec tego należy wynegocjować lepsze warunki.

- Jak według ciebie miałoby to wyglądać? Tu nie wystarczy zatelefonować.

- Pozwól mi się zastanowić.

Musiałam przyznać, że jego determinacja mi imponuje. Była też bardzo ludzka. Przynęłam się bliżej i wśliznęłam mu pod ramię, przytulając się mocno.

- Nie rozmawiajmy już o tym dzisiaj - poprosiłam, nie chcąc psuć nastroju dyskusją o sprawach, na które i tak nie mieliśmy wpływu. Na razie wystarczała mi sama świadomość, że pragnie, abym z nim została, że zdecydowany jest stawić czoło nawet siłom niebieskim, gdyby okazało się to konieczne.

Jesteśmy razem tu i teraz, nie ma sensu martwić się na zapas. Dobrze?

Przytaknął mi i oddał pocałunek, gdy przycisnęłam usta do jego warg. Po kilku sekundach wyraźnie się rozluźnił. Osunęliśmy się na piasek. Nasze ciała tak wspaniale do siebie pasowały. Objął mnie w talii, a ja przeczesywałam palcami jego włosy, gładziłam go po twarzy. Nigdy przedtem się nie całowałam, ale miałam wrażenie, że moim ciałem zawładnęła jakaś nieznajoma, która doskonale wie, co należy robić. Przechyliwszy głowę, całowałam jego policzki, schodząc niżej, na szyję i wzdłuż obojczyka. Wstrzymał na chwilę oddech. Ujął moją twarz w dłonie, po czym głaskał po włosach, zakładając mi je za uszy.

Nie jestem pewna, jak długo tak leżeliśmy, przytuleni, złączeni uściskiem lub po prostu patrząc w górę, na księżyc i surowe klify wznoszące się nad nami. Wiem tylko, że gdy zdałam sobie w końcu sprawę z tego, która jest godzina, było później, niż sądziłam. Zerwałam się, strzepując piasek z ubrania i skóry.

- Już późno - powiedziałam. - Muszę wracać.

Widok Xaviera leżącego na piasku, z potarganymi włosami i rozmarzonym uśmiechem błakającym się na ustach, był tak pociągający, że kusiło mnie, by znowu położyć się obok niego.

Opanowałam się jednak i odwróciłam w stronę, z której przyszliśmy.

- Eee... Beth - odezwał się Xavier, wstając - chyba dobrze by było, gdybyś się czymś okryła...

Dopiero po chwili dotarło do mnie, że przez podartą bluzkę widać moje skrzydła.

- A, tak. Dzięki! - Rzucił mi swój podkoszulek, a ja go włożyłam. Okazał się sporo za duży - sięgał mi do połowy ud - lecz był ciepły, miły w dotyku i do tego cudownie pachniał nim. Gdy wreszcie się rozdzieliliśmy, resztę drogi do domu przebiegłam, czując się tak, jakby Xavier wciąż był przy mnie. Postanowiłam tej nocy spać w jego podkoszulku, by na zawsze zapamiętać ten zapach.

Dotarłszy do porośniętego chwastami podwórka za domem, w pośpiechu doprowadziłam do porządku włosy i ubranie, starając się wyglądać na kogoś, kto odbył właśnie niewinny spacer z przyjaciółmi, a nie sekretną schadzkę na oświetlonej księżycem plaży. Następnie opadłam na ciężką ogrodową huśtawkę. Drewniane siedzenie zatrzeszczało, uginając się pod moim ciężarem. Oparłam policzek o szorstką linę obwiązaną wokół grubej, sękatej gałęzi dębu, i zapatrzyłam się na dom. Przez okno salonu widziałam brata i siostrę siedzących w świetle lampy. Ivy dziergała na drutach rękawiczki, Gabriel brzdąkał coś na gitarze. Przyglądając im się tak, poczułam, że moje serce ściskają lodowate macki poczucia winy.

Była pełnia i cały ogród spowijało błękitnawe światło, padając jasną smugą na podniszczoną rzeźbę, która stała w wysokiej trawie.

Przedstawiała anioła o poważnej, skupionej twarzy, zapatrzonego w niebiosa, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Gabriel uważał, że to dość nieudolnie wykonana i na dodatek niezbyt pochlebna podobizna, lecz Ivy orzekła, iż jest ujmująca. Ja zawsze postrzegałam ją jako nieco upiorną. Nie byłam pewna, czy to gra światła czy może wytwór mojej wyobraźni, lecz gdy tak wpatrywałam się w nią w półmroku, wydało mi się, że widzę, jak anioł porusza oskarżycielsko palcem, podczas gdy kamienne gałki jego oczu poruszają się, by spojrzeć wprost na mnie.

Złudzenie trwało zaledwie sekundę, tyle, bym zeskoczyła z huśtawki, przez co ta z głośnym stuknięciem uderzyła w pień drzewa. Nim jednak zdążyłam podejść do anioła, by przyjrzeć mu się z bliska i zdecydować, czy powinnam zacząć niepokoić się o moje zdrowe zmysły, usłyszałam, jak przesuwają się szklane drzwi ogrodowe. To Ivy wyszła na taras. Wyglądała jak zjawia. Światło księżyca rozlewało się po jej białej jak śnieg skórze, uwydatniając

niebieskozielone żyłki na ramionach i szyi.

- To ty, Bethany? - Jej głos był słodki i gęsty jak syrop, a na twarzy malowała się ufność.

Poczułam, że mój żołądek zwija się w bolesny supeł. Zrobiło mi się niedobrze. Dostrzegła mnie w końcu ukrytą w cieniu drzewa.

- Co ty tam robisz? Chodź do środka.

W domu wszystko wydawało się bezpieczne i znajome. Żółte światło lampy odbijało się w wypolerowanych deskach podłogi, ozdobione nadrukiem w kształcie odcisku psich łap legowisko Fantoma leżało na zwykłym miejscu obok sofy. Starannie ułożone książki i magazyny poświęcone sztuce oraz dekoracji wnętrz, należące do Ivy, spoczywały na niskim stoliku do kawy.

Gdy weszłam, Gabriel podniósł wzrok.

- Jak minął wieczór? - zapytał z uśmiechem.

Chciałam się uśmiechnąć w odpowiedzi, lecz mięśnie twarzy odmówiły posłuszeństwa. Miałam wrażenie, że ciężar tego, co zrobiłam, przytłacza mnie, zalewa niczym fala, wciągając pod wodę i pozbawiając oddechu. Przy Xavierze nietrudno było zapomnieć, że istnieją jeszcze inne miejsca na świecie oraz ktoś, komu także winna jestem lojalność.

Nie żałowałam tego, że wyjawiałam mu prawdę. Brzydzę się jednak wszelkiego rodzaju oszustwem, zwłaszcza gdy dotyczy to mojej rodziny. Byłam przerażona na myśl o tym, jak Ivy i Gabriel zareagują, gdy dowiedzą się, co zrobiłam. Czy uda mi się znaleźć jakiś sposób na to, by zrozumieli powody, dla których tak się stało? Lecz najbardziej obawiałam się tego, że Królestwo Niebieskie zechce zakończyć naszą misję lub co najmniej zażąda mojego natychmiastowego powrotu. W obu przypadkach oznaczałoby to opuszczenie ziemi, a razem z nią tej jedynej, najdroższej mi osoby.

Gabriel z pewnością zauważył, że mam na sobie podkoszulek Xaviera, lecz powstrzymał się od komentarza. Pomimo iż część mnie gorąco pragnęła natychmiast przyznać się do wszystkiego, zmusiłam ją do milczenia. Przeprosiłam za spóźnienie i podziękowałam za kakao oraz ciasteczka, które Ivy upiekła tego popołudnia, wymawiając się zmęczeniem.

Dotarłam już do podnóża schodów, gdy Gabriel mnie zawołał. Z drżącym sercem czekałam, aż podejdzie. Mój brat był zatrważająco spostrzegawczy i miałam niemal pewność, że zauważył zmianę w moim zachowaniu. Spodziewałam się badawczego wzroku, niezręcznych pytań lub oskarżeń, on tymczasem przyłożył mi dłoń do policzka, dotykając skóry chłodnym

metałem pierścieni, które nosił na palcach, i pocałował mnie w czoło. Jego piękne, subtelne rysy cechował tego wieczoru wyjątkowy spokój.

Kosmyki jasnych włosów wymykały się spod rzemyka, którym były związane. Szare świetliste oczy straciły nieco ze swej surowości, spoglądając na mnie z braterską miłością.

- Jestem z ciebie dumny, Bethany - powiedział. - Poczyniłaś olbrzymie postępy w tak krótkim czasie. Uczysz się podejmować właściwe decyzje. Weź z sobą Fantoma, bardzo za tobą tęsknił.

Tylko ogromnym wysiłkiem woli udało mi się powstrzymać łzy. Na górze, leżąc w łóżku z ciepłym Fantomem przy boku, pozwoliłam im płynąć swobodnie. Czułam, jak kłamstwa wiją się w moim wnętrzu niczym węże, jak wypełzają, by opleść mnie śmiertelnym uściskiem. Dusiły mnie, wysysając powietrze z płuc, zaciskały się wokół serca. Poza palącym poczuciem winy, które pustoszyło moje ciało jak trucizna, odczuwałam również straszliwy lęk. Czy po przebudzeniu nadal będę na ziemi? Nie wiedziałam tego. Pragnęłam się modlić, lecz nie byłam w stanie. Za bardzo wstydziłam się popełnionych grzechów, by móc rozmawiać z Naszym Ojcem. Skrywałam swój sekret od paru zaledwie godzin, a już stało się to nie do wytrzymania.

Do wstydu i poczucia winy dołączył także nowy, nieznanym dotąd gniew z powodu tego, że mój los wcale nie zależy ode mnie. To Xavier pierwszy podsunął mi tę myśl. O przyszłości naszego związku miano zdecydować bez mojego udziału, a w dodatku - i to było najgorsze - nie miałam pojęcia kiedy. Czas mojego pobytu na tej planecie wyznaczała nieznana mi data ważności. A jeśli nie będzie mi dane nawet się pożegnać? Kopniakiem zrzuciłam z siebie kołdrę, mimo iż skórę miałam zimną jak lód. Zaczynałam sądzić, że nie potrafię już wyobrazić sobie swojego życia bez Xaviera. Nie chciałam nawet próbować.

Kilka godzin później rozszalałe myśli nadal tłukły mi się po głowie i nie zmieniło się nic prócz tego, że moja poduszka była mokra od łez. Co jakiś czas zapadałam w drzemkę. Niekiedy budziłam się, siadając gwałtownie i przeczesując wzrokiem ciemność w

poszukiwaniu śladów czegoś lub kogoś, kto przybył, by wymierzyć mi karę. „Do Mnie należy pomsta. Ja wymierzę zapłatę - mówi Pan”⁴. W pewnym momencie poderwałam się na widok zakapturzonej postaci, która - jak mi się zdawało - zmierza ku mnie, ale okazała się ona moją własną kurtką, wiszącą na wieszaku przy drzwiach. Po tym zdarzeniu bałam się już nawet

zamknąć oczy, jakby to, że nie widzę, sprawiało, iż jestem jeszcze bardziej bezbronna. Było to oczywiście zupełnie pozbawione sensu. Wiedziałam dobrze, że gdyby naprawdę po mnie przyszli, nie miałyby żadnego znaczenia, czy byłabym pogrążona we śnie czy całkowicie rozbudzona. I tak nie miałabym szans.

4Rz 12,19 - Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, wydawnictwo Pallotinum, Poznań 2003.

O świcie byłam kłębkim nerwów. Gdy podczas porannej toalety rzuciłam okiem w lustro, przekonałam się, że bez trudu można to wyczytać z mojej twarzy: była jeszcze bledsza niż zwykle, a ciemne kręgi pod oczami stały się większe. W owej chwili bardziej niż kiedykolwiek przypominałam upadłego anioła.

Zastawszy kuchnię pustą, od razu zrozumiałam, że coś jest nie tak. Nie przypominałam sobie ani jednego ranka bez Gabriela witającego mnie w drzwiach informacją, że śniadanie już prawie gotowe. Wiele razy powtarzałam mu, że mogę je zrobić sama, lecz on, niczym nadopiekuńczy rodzic, upierał się przy swoim, twierdząc, iż sprawia mu to przyjemność. Tego dnia stół nie został nakryty, w domu panowała cisza. Wmawiałam sobie, że to nic takiego - ot, niewielkie odstępstwo od rutyny. Podeszłam do lodówki, chcąc nalać sobie szklankę soku pomarańczowego, ale ręce trzęsły mi się tak bardzo, że połowę zawartości kartonika wylałam na blat. Wytarłam plamę papierowym ręcznikiem, walcząc z lękiem, który coraz mocniej ścisnął mnie za gardło.

Wyczułam obecność Ivy i Gabriela, nim jeszcze zobaczyłam lub usłyszałam, jak wchodzą. Stanęli w progu, złączeni w milczącym potępieniu, z nieruchomymi, pozbawionymi wyrazu twarzami. Nie musieli mówić niczego na głos. Wiedzieli. Czy zdradziło mnie moje zdenerwowanie? Powinnam spodziewać się takiej reakcji, a mimo to zaboląła mnie jak policzek. Przez kilka długich minut nie mogłam znaleźć siły, by się odezwać. Chciałam podbiec do Gabriela i ukryć twarz na jego piersi, błagać o przebaczenie, poczuć, jak mnie obejmuje, wiedziałam jednak, że nie znajdę u niego pocieszenia. Pomimo iż często przedstawia się anioły jako stworzenia o niewyczerpanych pokładach miłości oraz współczucia, posiadają one także i inne oblicze: szorstkie i nieprzejednane. Miłosierdzie zarezerwowane jest dla ludzi. Im zawsze okazuje się wyrozumiałość. Przywykliśmy postrzegać ich jako małe dzieci, wychodząc z założenia, że te „nieszczęsne istoty” nie wiedzą, jak należy postępować. W moim przypadku poprzeczkę umieszczono znacznie wyżej. Dla mnie, jako jednego z aniołów, nie było żadnego

wytłumaczenia.

Jeśli nie liczyć kapiącej z kranu wody i mojego urywanego oddechu, w kuchni panowała cisza. Nie mogłam tego znieść. Wolałabym już, aby natychmiast przystąpili do ataku, zwymyślali mnie lub wyrzucili z domu - wszystko, byle nie to ogłuszające milczenie.

- Zdaję sobie sprawę, jak to wygląda z waszego punktu widzenia, ale ja musiałam mu powiedzieć! - wybuchnęłam. Twarz Ivy przypominała zastygłą w przerażeniu maskę, lecz oblicze Gabriela przybrało wyraz kamiennej obojętności.

- Przepraszam - ciągnęłam. - Nic nie mogę poradzić na to, co do niego czuję. On tak wiele dla mnie znaczy.

Żadnej odpowiedzi.

- Błagam, odezwcijcie się. Co teraz będzie? Zawezwą nas z powrotem, prawda? Już nigdy go nie zobaczę.

Zabrakło mi tchu. Mogłam tylko szlochać bezgłośnie, przytrzymując się kurczowo krawędzi blatu, by nie upaść. Żadne nie wykonało nawet jednego gestu, ale nie miałam do nich pretensji. Wreszcie Gabriel postanowił przerwać ciszę. Zwrócił ku mnie wzrok twardy jak stal, jego oczy płonęły. Gdy przemówił, słychać było, iż przepętnia go gniew.

- Czy ty masz w ogóle pojęcie, co zrobiłaś? Czy zdajesz sobie sprawę, na jak wielkie niebezpieczeństwo nas naraziłaś?

Jego wzburzenie przybierało na sile, widać to było gołym okiem. Na dworze zerwał się porywisty wiatr, wprawiając w drżenie szyby w oknach. Stojąca na blacie szklanka pękła i roztrzaskała się w drobny mak. Ivy położyła Gabrielowi dłonie na ramionach. Jej dotyk przywołał go do porządku. Pozwolił jej zaprowadzić się do stołu, gdzie usiadł tyłem do mnie. Jego ramiona rytmicznie wznosiły się i opadały, podczas gdy on sam starał się opanować wściekłość. Gdzie podziała się jego niewyczerpana cierpliwość?

- Błagam - wyszeptałam ledwo słyszalnie. - Wiem, że to żadna wymówka, ale myślę, że...

- Nie mów tego. - Ivy odwróciła się, by rzucić mi ostrzegawcze spojrzenie. - Nie mów, że go kochasz.

- Mam was okłamywać? Próbowałam zapanować nad tym uczuciem, naprawdę, ale on nie jest taki jak inni ludzie. On jest... on rozumie.

- Rozumie? - zapytał Gabriel drżącym głosem, tak różnym od tego spokojnego, który słyszałam zazwyczaj. Nie sądziłam, iż kiedykolwiek zdarzy się coś, co wyprowadzi go z

równowagi. - Przez wieki zaledwie garstka śmiertelników zdołała otrzeć się o uchwycenie sensu boskości. Czy sugerujesz, że twój kolega ze szkoły się do nich zalicza?

Opuściłam głowę. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, aby Gabriel rozmawiał ze mną w ten sposób.

- Co mogę zrobić? - powiedziałam miękko, czując płynące po twarzy łzy. - Ja go kocham.

- Możliwe, lecz ta miłość nie ma racji bytu - odparł Gabriel bez cienia współczucia. - Twoim obowiązkiem jest okazywanie wyrozumiałości oraz miłosierdzia całej ludzkości. Tak szczególne przywiązanie do jednego tylko chłopca nie powinno się zdarzyć. Pochodzicie z różnych światów. Ten związek nie ma prawa istnieć. Naraziłaś życie swoje i jego.

- Jego? - zapytałam spanikowana. - Jak to?

- Uspokój się, Gabrielu - odezwała się Ivy, ściskając jego ramię. - Nieszczęście już się stało. Teraz trzeba jakoś temu zaradzić.

- Muszę wiedzieć, co się stanie! - krzyknęłam. - Czy odwołają nas z powrotem do Królestwa? Błagam, mam prawo wiedzieć! Świadomość, że widzą mnie w takim stanie, zdesperowaną i zupełnie pozbawioną kontroli nad sobą, była niezwykle upokarzająca.

Zdawałam sobie jednak sprawę, że jeśli Xavier zostanie mi odebrany, mój świat rozsypie się jak domek z kart.

- Wedle mojej oceny utraciłaś wszelkie prawa. W tej chwili można zrobić już tylko jedno - odrzekł Gabriel.

- Co? - zapytałam, próbując zapanować nad histerią.

- Muszę porozmawiać ze Zgromadzeniem. Wiedziałam, że ma na myśli krąg archaniołów, których proszono o interwencję wyłącznie w skrajnych przypadkach. Byli to najmądrzejsi i najpotężniejsi przedstawiciele naszej rasy. Ponad nimi stał już tylko Nasz Stwórca. Gabriel najwyraźniej potrzebował wsparcia.

- Czy wyjaśnisz im, jak do tego doszło? - zapytałam.

Nie będzie takiej potrzeby. Wszelkie szczegóły będą im znane.

- Co się stanie potem?

- Wydadzą werdykt, a my się mu poddamy.

Nie wyrzekłszy więcej ani słowa, Gabriel opuścił kuchnię, a kilka sekund później dało się słyszeć trzaśnięcie frontowych drzwi.

Czekanie było nie do zniesienia. Ivy zaparzyła dzbanek herbaty rumiankowej i usiadła ze

mną w salonie, lecz wydawało się, że zawisła nad nami jakaś czarna chmura. Siedziałyśmy w tym samym pokoju, a dzielił nas ocean. Nawet Fantom zrobił się niespokojny. Wyczuwając, że dzieje się coś niedobrego, ukrył pysk na moich kolanach. Staralam się nie myśleć o tym, że być może - zależnie od tego, jaki zapadnie wyrok - nigdy więcej go nie zobaczę.

Nie wiedziałyśmy, dokąd poszedł Gabriel, lecz Ivy orzekła, że najprawdopodobniej wybrał jakieś odludne miejsce, w którym będzie mógł bez przeszkód porozumieć się z archaniołami. Działo to na zasadach zbliżonych nieco do korzystania z bezprzewodowego Internetu - należało znaleźć najdogodniejszy możliwy punkt podłączenia, a im mniej wokoło ludzi, tym lepsza jakość sygnału. Gabriel musiał udać się gdzieś, gdzie łatwo mu będzie się skupić i skontaktować z siłami we wszechświecie.

Niewiele wiedziałam na temat pozostałych sześciu braci z kręgu Gabriela. Znałam ich tylko z imienia oraz opinii, jakie o nich krążyły. Zastanawiałam się, czy którykolwiek z nich wykaże zrozumienie dla mojej sprawy.

Michał pełnił funkcję przywódcy. Był Księciem Światła, aniołem czystości, prawości i zbawienia. W odróżnieniu od pozostałych, jako jedyny sprawował obowiązki Anioła Śmierci. Rafaela znano także pod przewiskiem Boży Medyk, ponieważ był uzdrowicielem, a do jego powinności należało czuwanie nad fizycznym zdrowiem swych ziemskich podopiecznych.

Uriela zwano Ogniem Pana, jako że zajmował się wymierzaniem kar, między innymi wezwano, gdy trzeba było zniszczyć Sodomę i

Gomorę. Zadaniem Raguela był nadzór nad pozostałymi członkami kręgu, miał pilnować, aby przestrzegali kodeksu ustanowionego przez Boga. Anioł Słońca, Sariel, opiekował się niebem i ziemią. Przyprawdzał również dusze przed sąd, gdy nadchodził ich czas.

No i był też, oczywiście, Gabriel. Znany jako Boży Bohater, główny wojownik Królestwa. Mówiło się o nim, że zasiada po lewicy Ojca. Lecz inaczej niż w innych, którzy wydawali mi się obcy i dalecy, w Gabrielu widziałam brata, obrońcę i przyjaciela. Przywołałam w myślach popularne wśród ludzi przysłowie na temat więzów krwi⁵. To właśnie czułam w odniesieniu do Gabriela i Ivy: byliśmy złączeni duchem. Pozostawało mi żywić nadzieję, że nie zniszczyłam tej więzi jednym nierozważnym postępkiem.

- Jak myślisz, co powiedzą? - zapytałam Ivy po raz piąty, na co ona odpowiedziała głębokim westchnieniem.

- Naprawdę nie wiem, Bethany. - Wydawało się, że jej głos dobiega z daleka. -

Otrzymaliśmy wyraźne zalecenie, aby w żadnym wypadku nie zdradzić się z tym, kim jesteśmy. Nikt nie spodziewał się, że warunek ten zostanie złamany, tak więc nie było okazji, by omówić ewentualne konsekwencje.

- Musisz mną gardzić - stwierdziłam cicho. Odwróciła się, by na mnie spojrzeć.

- Nie będę udawała, że rozumiem twoje pobudki - odparła. - Lecz to nie zmienia faktu, że nadal jesteś moją siostrą.

- Wiem, że nie ma usprawiedliwienia na to, co zrobiłam.

- Twoja inkarnacja różni się od naszych. Odczuwasz wszystko tak intensywnie. Dla nas Xavier jest tylko jednym z ludzi, dla ciebie znaczy o wiele więcej.

- Znaczy dla mnie wszystko.

5 Chodzi tu zapewne o znane anglojęzyczne powiedzenie: „Krew jest gęściejsza niż woda”, co oznacza, że więzy krwi silniejsze są od wszelkich innych.

- To lekkomyślność.

- Zdaję sobie z tego sprawę.

- Gdy uczyni się z jednej osoby punkt, wokół którego kręci się cały świat, to nie ma prawa dobrze się skończyć. Zbyt wiele jest czynników, na które nie masz wpływu.

- Jestem tego świadoma - westchnęłam.

- Czy istnieje jakaś szansa na to, byś wycofała się ze swoich uczuć? - zapytała Ivy. - Czy też nie ma o tym mowy?

Pokręciłam głową.

- Za późno.

- Tak myślałam.

- Dlaczego tak bardzo różni się od was? - spytałam po chwili. - Skąd biorą się te emocje? Ty i Gabriel macie nad nimi pełną kontrolę. Ja wydaję się zupełnie jej pozbawiona.

- Jesteś młoda - odparła Ivy powoli.

- To nie to. - Splotłam nerwowo palce. - Tu chodzi o coś innego.

- To prawda - zgodziła się moja siostra. - Masz w sobie więcej z człowieka niż jakikolwiek inny anioł, którego znałam. Silnie utożsamiasz się z ziemskim życiem. Twój brat i ja usychamy z tęsknoty za domem - to miejsce jest dla nas obce. Lecz ty doskonale tu pasujesz. Jak gdybyś była

tu od zawsze.

- Dlaczego?

Ivy pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia.

Przez moment dostrzegłam na jej twarzy pełen zadumy, niemal tęskny wyraz, tak jakby jakąś maleńką cząstką swego umysłu żałowała, że nie jest w stanie pojąć mojej bezgranicznej miłości do Xaviera. Lecz nim zdążyłam się nad tym głębiej zastanowić, po zadumie nie było śladu.

- Czy Gabriel kiedykolwiek mi przebaczy?

- On egzystuje na innym poziomie świadomości - wyjaśniła Ivy - przez co nie jest przyzwyczajony do błędów. Twoje potknięcia odczuwa jako własne. Będzie tę sytuację postrzegał jako swoją porażkę, nie twoją. Rozumiesz?

Kiwnęłam głową i zrezygnowałam z dalszego zadawania pytań. Można było już tylko czekać, a to równie dobrze mogło odbywać się w ciszy.

Zegar odmierzał powoli sekundy, minuty rozciągały się w godziny. Lęk na przemian to wzbierał we mnie, to opadał, jak fale oceanu. Wiedziałam, że jeśli wrócę do Królestwa Niebieskiego, znów będę między moimi braćmi i siostrami, lecz pozostanę też na zawsze samotna, przez resztę wieczności pragnąc tego, czego doświadczyłam na ziemi. To naturalnie przy założeniu, iż uzyskam pozwolenie na powrót do nieba. Nasz Stwórca, pomimo całej swej dobroci i łaskawości, niezbyt przychylnym okiem patrzy na okazywany Mu brak posłuszeństwa. Istniało ryzyko, że czeka mnie ekskomunika. Wolałam nic wyobrazać sobie, co może mnie spotkać w piekle. Wystarczyło mi to, co na ten temat słyszałam. Legendy głosiły, iż grzeszników wieszają za powieki, pali, torturuje i rozrywa na strzępy, po to, by na nowo ich zszyć. Mówiono, że cuchnie tam spalonym ludzkim mięsem i włosami, a rzeki spływają krwią. Rzecz jasna nie wierzyłam w żadną z tych opowieści, ale sama myśl o tym przyprawiała mnie o dreszcze.

Wielokrotnie przekonałam się, że wielu ludzi na ziemi nie wierzy w piekło, lecz nie mają pojęcia o tym, jak bardzo się mylą. Anioły takie jak ja nie miały wyobrażenia na temat prawdziwego wyglądu tego miejsca, ale też żaden z nas nie miał ochoty go odwiedzać. Gabriel, jako archanioł, z pewnością wiedział więcej o tym mrocznym imperium, lecz zabroniono mu o nim opowiadać.

Gdy drzwi wejściowe się otworzyły, a następnie zamknęły z trzaskiem, podskoczyłam na sofie, a serce zaczęło mi łomotać o żebra. Sekundę później Gabriel stał przed nami, krzyżując ręce na piersi, z twarzą zatroskaną, lecz jak zawsze nieprzeniknioną. Ivy podniosła się, by stanąć obok niego. Widziałam, że nieśpieszno jej było usłyszeć werdykt.

- Co zdecydowano? - zapytałam wprost, nie mogąc znieść napięcia.

- Bracia Przymierza żałują, że zarekomendowali Bethany do tej misji - rzekł Gabriel, kierując na mnie przenikliwe spojrzenie. - Nie tego oczekiwano od anioła o jej pozycji.

Poczułam, że zaczynam się trząść. A więc to koniec. Wracam tam, skąd przybyłam. Przemknęło mi nawet przez myśl, by spróbować ucieczki, ale zdawałam sobie sprawę, że nie miałyby to żadnego sensu. Nie istnieje na ziemi taki kąt, w którym mogłabym się skryć. Wstałam i z opuszczoną głową ruszyłam w kierunku schodów.

Źrenice Gabriela zwęziły się.

- A ty dokąd?

- Przygotuję się do odejścia - odparłam, próbując zebrać siłę, by popatrzeć mu w oczy.

- Do odejścia dokąd?

- Do domu.

- Bethany, nie wracasz do domu. Żadne z nas nie wraca. Nie pozwoliłaś mi dokończyć. Twoje poczynania sprawiły wielki zawód, ale wniosek Zgromadzenia, by zakończyć twój pobyt tutaj, został odrzucony.

Podniosłam gwałtownie głowę.

- Przez kogo?

- Przez wyższą siłę.

Uczepiłam się tego skrawka nadziei.

- Czy to znaczy, że zostajemy? Nie zabiorą mnie stąd?

- Wygląda na to, że zbyt dużo wysiłku włożono w tę misję, by zmarnować go z powodu małego niepowodzenia. Tak więc owszem, odpowiedź brzmi: zostajemy.

- A co z Xavierem? Czy wolno mi będzie go widywać? Gabriel był zirytowany, jakby decyzję, którą powzięto, uważał za w najwyższym stopniu niestosowną.

- Otrzymałaś pozwolenie na spotkanie się z tym chłopcem, dopóki tu jesteśmy. Ponieważ i tak poznał naszą tożsamość, wszelkie próby ograniczenia twoich kontaktów z nim mogłyby przynieść więcej szkody niż pożytku.

- Och, dziękuję ci! - zaczęłam, lecz Gabriel mi przerwał:

- Nie ja podjąłem tę decyzję, więc nie należą mi się żadne podziękowania.

Zapadło krępujące milczenie. Trwało kilka długich minut, aż wreszcie odważyłam się je przerwać:

- Proszę, nie złość się na mnie, Gabrielu. Masz co prawda pełne prawo mieć do mnie żal, ale postaraj się przynajmniej zrozumieć, że nie zrobiłam tego umyślnie.

- Nie interesuje mnie, co masz do powiedzenia, Bethany. Dostałaś swojego chłopaka. Ciesz się z tego.

Odwrócił się do mnie plecami. Chwilę później na moim ramieniu spoczęła krzepiąca ręka Ivy. W mgnieniu oka poczułam, jak opuszcza mnie katastroficzny nastrój, ustępując miejsca normalnemu samopoczuciu. To, znacznie szybciej niż wszelkie zapewnienia mojego brata, pozwoliło mi uwierzyć, że zostaję na ziemi.

- Trzeba zrobić zakupy - powiedziała Ivy. - Przydałaby mi się pomoc. Popatrzyłam pytająco na Gabriela.

- Jedź z Ivy i pomóż jej - odparł nieco łagodniej, najwyraźniej z powodu pomysłu, który właśnie wpadł mu do głowy. - Będzie nas dziś przy stole czworo.

Więzi rodzinne

Oświadczenie Gabriela, iż to właśnie Xavier jako pierwszy ma zostać uhonorowany wyróżnieniem w postaci zaproszenia do nas na kolację, wzbudziło we mnie niejakie podejrzenia. Zaczęłam rozmyślać nad motywem, jaki mógł się za tym kryć. Jedyne uczucia względem Xaviera, jakie dotychczas zaobserwowałam u mojego brata, wahały się pomiędzy pogardą a obojętnością.

- Dlaczego go zapraszasz? - zapytałam.

- A dlaczego nie? Skoro wie już, kim jesteśmy, nic złego nie może się wydarzyć. Ponadto należy omówić pewne zasadnicze kwestie.

- Na przykład?

- Na przykład konieczność zachowania tajemnicy.

- Nie znasz Xaviera. On potrafi milczeć tak samo jak ja - zapewniłam. Ledwo skończyłam mówić, dotarło do mnie, jak nedorzecznie brzmią w moich ustach te słowa.

- No cóż, to raczej nie budzi zaufania, prawda? - nie omieszkał zauważyć Gabriel.

- Nie denerwuj się, Bethany. Chcemy go tylko poznać - powiedziała Ivy, klepiąc mnie matczynym gestem po ramieniu. Spojrzała wymownie na Gabriela. - Chcemy, by czuł się tu swobodnie. Skoro mamy mu zaufać, on także musi mieć świadomość, że nic mu z naszej strony nie grozi.

- A jeśli jest dziś zajęty? - odparowałam.

- Tego się nie dowiemy, dopóki go nie zapytasz - odrzekł Gabriel.

- Nie pamiętam już nawet jego numeru.

Gabriel podszedł do stojącej w przedpokoju szafy. Po chwili wrócił, niosąc grubą książkę telefoniczną, którą następnie rzucił bezceremonialnie na stół.

- Na pewno go tu znajdziesz - powiedział chłodno. Stało się oczywiste, iż żadna siła nie zdoła odwieść go od tego pomysłu. Zaniechałam więc dalszej dyskusji i powlokłam się na górę, do telefonu. W ramach protestu podczas wchodzenia po schodach starałam się tupać możliwie głośno. Nigdy wcześniej nie dzwoniłam do Xaviera, nie rozpoznałam więc osoby, która odezwała się w słuchawce.

- Halo? Claire przy telefonie.

Mówiła pewnym siebie, nieskazitelnie uprzejmym głosem. Skrycie liczyłam na to, że nikt nie odbierze. Jeżeli po tym wszystkim istniało jeszcze coś, co byłoby w stanie zniechęcić do mnie Xaviera, wieczór z moją ekscentryczną rodziną z pewnością znalazłby się na czele listy. Przez moment miałam ochotę po prostu się rozłączyć, wmawiając Gabrielowi, że nie zdołałam uzyskać połączenia. Nie miało to jednak sensu - od razu poznałby, że kłamię, żądając, abym spróbowała ponownie. Lub - co gorsza - uparłby się, że sam zadzwoni.

- Dzień dobry, mówi Bethany Church - odezwałam się tak nieśmiało i cicho, że sama z trudem poznałam swój głos.

- Czy mogłabym rozmawiać z Xavierem?

- Oczywiście. Pójdę go zawołać.

Usłyszałam trzask odkładanej na stolik słuchawki, a następnie wołanie: „Xavier! Telefon!”. Z daleka dobiegły mnie jakieś szelesty, a zaraz potem odgłosy dziecięcej kłótni. Na koniec usłyszałam kroki, po czym tuż przy moim uchu rozległ się przytłumiony i nieco senny głos Xaviera:

- Halo, tu Xavier.

- Cześć, to ja.

- Witaj, ja - odparł odrobinę żywiej. - Wszystko w porządku?

- To zależy, jak na to spojrzeć - odrzekłam.

- Beth, co się stało? - Nagle spoważniał.

- Moja rodzina już wie, że ty wiesz. Nie musiałam im nawet mówić.

- O, matko. Strasznie szybko im poszło. I jak to przyjęli?

- Niezbyt dobrze - przyznałam. - Ale potem Gabriel rozmawiał ze Zgromadzeniem i...

- Przepraszam, z kim?

- To rodzaj starszyzny plemienia - zbyt skomplikowane, żeby teraz wyjaśniać. W każdym razie to z nimi należy się naradzić, gdy wydarzy się coś nieoczekiwanego.

- Rozumiem... I jaki był wynik tej rozmowy?

- No więc... żaden.

- Jak to: żaden?

- Stwierdzono, że na razie wszystko może zostać tak, jak jest.

- A my? Co z nami?

- Najwyraźniej pozwolono mi się nadal z tobą spotykać.

- To chyba dobra wiadomość, prawda?

- Wydaje mi się, że tak, ale nie mam pewności. Słuchaj... Bo widzisz, Gabriel zaczął się jakoś dziwnie zachowywać - zażyczył sobie, żebyś przyszedł do nas dzisiaj. Na kolację!

- Brzmi to całkiem przyjemnie. - Nie odezwałam się, ponieważ zdecydowanie nie podzielałam jego optymizmu. - Spokojnie, Beth. Myślę, że dam sobie radę.

- Sęk w tym, że ja chyba nie.

- Wspólnymi siłami jakoś przez to przebrniemy - zapewnił mnie Xavier. - O której mam być?

- Może być o siódmej?

- Oczywiście. Do zobaczenia.

- Xavier... - powiedziałam, obgryzając nerwowo paznokiec - boję się. Rzucamy się na naprawdę głęboką wodę. A jeśli coś pójdzie nie tak? A jeśli Gabriel ma nam coś okropnego do zakomunikowania? Myślisz, że może tak być?

- Nie, nie myślę. A teraz przestań się zamartwiać. Proszę. Możesz to dla mnie zrobić?

- Dobrze. Przepraszam. Ale widzisz, chodzi o to, że nasz związek zawisł w pewnym sensie na włosku... Co prawda okazano nam łaskę, ale ta kolacja może wszystko zmienić, i ja nie rozumiem po co Gabriel...

- No i masz - jęknął Xavier. - Proszę, co narobiłaś. Teraz i ja zacząłem się bać.

- Nie wolno ci! Któreś z nas musi zachować zimną krew! Roześmiał się i wtedy dotarło do mnie, że jego przerażenie było udawane. Chciał mi tylko pokazać, jak to jest, gdy druga osoba panikuje. W ogóle się tym wszystkim nie przejął.

- Uspokój się. Napuść sobie wody do wanny albo strzel bombę koniaku.

- W porządku.

- Z tym drugim żartowałem. Oboje wiemy, że nie potrafisz pić.

- Przyjmujesz to bardzo spokojnie.

- Bo tak jest. A czy to nie ty przypadkiem powinnaś, no, wiesz... odznaczać się pogodą ducha? Za dużo się martwisz. Będzie dobrze, naprawdę. Wystroję się nawet specjalnie na tę okazję.

- Nie, nie! Przyjdź w tym, co masz na sobie! - rzuciłam błagalnie do słuchawki, ale Xavier

już się rozłączył.

Zjawił się punktualnie, ubrany w jasnoszary garnitur w prążki oraz jedwabny czerwony krawat. Zrobił coś z włosami, które nie opadały mu już na twarz, tylko leżały grzecznie, zaczesane gładko do tyłu. Pod pachą trzymał bukiet długich żółtych róż, owinięty w zielony celofan i przewiązany rafią.

Aż cofnęłam się w progu, by mu się lepiej przyjrzeć. Uśmiechnął się szeroko na widok mojej miny.

- Przesadziłem? - zapytał.

- Nie, skąd! Wyglądasz doskonale - powiedziałam, naprawdę zadowolona z jego starań. Niestety, zaraz po tym znów popadłam w przygnębienie.

To dlaczego wyglądasz, jakbyś umierała ze strachu? - Puścił do mnie oko. - Będą mną zachwyceni.

Postaraj się tylko nie żartować, oni prawdopodobnie i tak nie zrozumieją. - Byłam roztrzęsiona i czułam, że zaczynają 11rzyć mi kolana.

- Rozumiem - żadnych dowcipów. Czy mam zaofiarować pomoc przy zmaganiu modlitwy przed posiłkiem? - Na to już musiałam się roześmiać, nie dało się inaczej.

Choć powinnam była uczynić zadość podstawowym zasadom gościnności i zaprowadzić go do salonu, nadal tkwiliśmy przy drzwiach niczym para spiskowców. Nie wiedząc, co przyniesie ten wieczór, instynktownie starałam się odsunąć go w czasie jak najdalej. Poza tym w tej chwili i tak myślałam tylko o tym, że Xavier należy do mnie, a ja do niego, o tym, jak bardzo do siebie pasujemy. Być może w istocie ubrał się z nieco przesadną elegancją jak na zwykłą, naprędce zaimprovizowaną kolację, ale za to prezentował się oszałamiająco: szerokie ramiona, przepastne błękitne oczy, gładkie lśniące włosy. Był moim własnym, prywatnym księciem z bajki. I, jak to zwykle bywa w przypadku baśniowych książąt, nie musiałam obawiać się, że w decydującej chwili podkuli ogon i ucieknie. Z pewnością nie ustąpiłby pola i nie pozwolił narzucić sobie niczyich racji, bo kierował się wyłącznie własnym rozumem. Czego jak czego, ale tego jednego byłam pewna.

Za to Ivy bez wysiłku weszła w rolę gospodyni. Okazała należyty zachwyty na widok kwiatów, a następnie zagadywała Xaviera oraz dokładała wszelkich starań, by czuł się możliwie swobodnie podczas kolacji. Surowe ocenianie innych nie leżało w jej wrażliwej naturze i

wystarczyło wykazać się prostolinijnością, aby szybko ją do siebie przekonać. Uczciwość i szczerść Xaviera nie budziły wątpliwości. To właśnie jego autentyczność spowodowała, że wybrany został przewodniczącym samorządu szkolnego, i zaskarbiła mu sympatię wszystkich. Gabriel jednak przyglądał mu się uważnie i nieufnie.

Moja siostra zadała sobie wiele trudu, przygotowując potrawy na tę okazję. Po aromatycznej zupie z ziemniaków i pora na stół wjechał pieczony pstrąg w towarzystwie półmiska pełnego zapiekanych warzyw. Na deser miał być creme brulee - widziałam w lodówce miseczki pełne tego przysmaku. Ivy posłała nawet Gabriela do sklepu po specjalny palnik, potrzebny do skarmelizowania wierzchniej warstwy cukru. Do nakrycia stołu użyła naszej najlepszej porcelany, wyjęła też srebrne sztucce. Wino w karafce miało jagodowy posmak, a w kryształowym dzbanku stała gazowana woda mineralna.

Świece rzucały na nasze twarze łagodny poblask. Z początku jedliśmy w milczeniu i wiszące w powietrzu napięcie wydawało się wręcz namacalne. Ivy rzucała nam zakłopotane spojrzenia, uśmiechając się bez przerwy, podczas gdy Gabriel kroił jedzenie tak gwałtownie, jakby wyobrażał sobie, że kartofle na jego talerzu to głowa Xaviera.

- Wspaniała kolacja - powiedział wreszcie Xavier, rozluźniając krawat. Policzki miał zarumienione od wina.

- Dziękuję. - Twarz Ivy pojaśniała z zadowolenia. - Nie byłam pewna, co lubisz.

- Mnie w zasadzie wszystko smakuje, ale te dania są naprawdę przepyszne - odparł, otrzymując od mojej siostry nagrodę w postaci kolejnego szerokiego uśmiechu.

A ja wciąż nie mogłam rozgryźć celu tego niecodziennego spotkania. Z pewnością zamysł Gabriela obejmował coś więcej niż tylko wspólne spędzenie czasu w miłej atmosferze. Być może próbuje zorientować się, jaki Xavier ma charakter? Czy nadal traktuje go podejrzliwie? Nielatwo mi było to ocenić, ponieważ do tego momentu mój brat wymówił może ze dwa słowa.

Koniec końców nawet Ivy skończyła się inwencja i rozmowa zupełnie przestała się kleić. Xavier wpatrywał się w talerz z takim przejęciem, jakby spodziewał się w resztkach niedojedzonych warzyw ujrzeć rozwiązanie największych zagadek wszechświata. Spróbowałam delikatnie kopnąć Ivy pod stołem, mając nadzieję, że nakłonię ją w ten sposób do nawiązania dalszej konwersacji, lecz trafiłam przypadkowo w łydkę Xaviera. Zaskoczony, drgnął tak, że o mało nie wylał na siebie zawartości swojej szklanki. Uśmiechając się przepraszaająco, cofnęłam stopę i od tej pory siedziałam nieruchomo.

- No więc - powiedziała wreszcie Ivy, odkładając widelec, choć prawie nie tknęła jedzenia.

- Może opowiesz nam, czym się interesujesz?

Xavier przełknął głośno ślinę.

- Chyba... niczym nadzwyczajnym - odchrząknął. - Sport, szkoła, muzyka.

- O, a jaki sport uprawiasz? - podchwyciła Ivy z nieco przesadnym ożywieniem.

- Piłkę wodną, rugby, baseball i piłkę nożną - wymienił Xavier jednym tchem.

- Jest naprawdę dobry - dodałam, chcąc mu pomóc. - Szkoda, że nie widzieliście, jak gra.

Właściwie to wybrali go nawet kapitanem drużyny piłki wodnej - paplałam jak nakręcona. - Poza tym jest przewodniczącym samorządu szkolnego... ale to już wicie.

Ivy postanowiła szybko zmienić temat.

- Od dawna mieszkasz w Venus Cove?

- Całe życie. Nigdy nie mieszkałem nigdzie indziej.

- Masz rodzeństwo?

- Jest nas w sumie sześcioro.

- Na pewno przyjemnie jest być członkiem tak dużej rodziny.

- Czasami tak - zgodził się Xavier. - Ale czasami ciężko wytrzymać ten hałas. No i nie ma właściwie mowy o prywatności. W tej właśnie chwili Gabriel postanowił bez ogródek wejść mu w słowo:

- Skoro już mowa o prywatności: dokonałeś zdaje się niedawno pewnego interesującego odkrycia?

- Nie użyłbym tu słowa „interesującego” - odparł Xavier, w ogóle niespieszony tym niespodziewanym pytaniem.

- Jakie byłoby w takim razie według ciebie właściwe określenie?

- Coś zbliżonego do „porażający”.

- Jak byś tego nie ujął, musimy wyjaśnić sobie kilka rzeczy.

- Nikomu o tym nie powiem, jeśli to pana martwi - zapewnił natychmiast Xavier. - Zależy mi na bezpieczeństwie Beth tak samo jak panu.

- Bethany ma o tobie bardzo wysokie mniemanie - oznajmił Gabriel. - Mam nadzieję, że zasługujesz na uczucie, jakim cię obdarzyła.

- Mogę jedynie zapewnić, że Beth jest dla mnie bardzo ważna i mam zamiar dbać o nią najlepiej, jak potrafię.

- Tam, skąd przybywamy, nie sędzi się ludzi po ich słowach. Xavier nie dał się zbić z tropu.

- W takim razie będzie pan musiał poczekać, by móc osądzić mnie po czynach.

Mimo iż nie zrobił nic, aby choć trochę rozładować napięcie, poznałam po wyrazie oczu Gabriela, że jest zaskoczony tym, jak dobrze Xavier sobie radzi. Nie okazał onieśmienia, a jego najpotężniejszą bronią była szczerość. Widać było, że głęboko wierzy w wyznawane przez siebie zasady. Nawet na Gabrielu musiało to zrobić wrażenie.

- Widzi pan, łączy nas jedna zasadnicza sprawa - mówił Xavier - obaj kochamy Beth.

Zapadła cisza. Ani Gabriel, ani Ivy nie spodziewali się takiej deklaracji i wprawiła ich ona w osłupienie. Być może wcześniej nie doceniali siły uczuć, jakie Xavier żywił wobec mnie. Ja sama nie mogłam do końca uwierzyć w to, co powiedział. Starłam się usilnie zapanować nad emocjami i jeść spokojnie, lecz nie zdołałam powstrzymać uśmiechu. Wzięłam Xaviera za rękę, na co Gabriel wymownie odwrócił wzrok. W myślach raz po raz słyszałam słowo „kocham”, które odbijało się w mojej głowie echem tak potężnym, jakby ktoś wykrzyczał je przez głośnik. Xavier Woods mnie kochał. Nie przeszkadzała mu moja nienaturalnie blada skóra, zupełny brak orientacji w otaczającym mnie świecie ani fakt, że zdarza mi się od czasu do czasu zgubić tu i ówdzie białe pióro.

Pragnął mnie mimo to. Kochał mnie. Byłam tak szczęśliwa, że gdyby nie pewny uścisk jego ręki, mogłabym unieść się w powietrze i odpłynąć.

- W tej sytuacji możemy chyba przejść do kolejnego punktu naszego dzisiejszego spotkania - rzekł Gabriel niespodziewanie nerwowo. - Bethany ma w zwyczaju wpadać w rozmaite tarapaty, a jak na razie to my jesteśmy za nią odpowiedzialni.

Drażniło mnie to, iż mówi o mnie w trzeciej osobie, zupełnie jakby nie zauważał mojej obecności, ale doszłam do wniosku, że lepiej mu nie przerywać.

- Jeśli masz z nią częściej przebywać, musimy wiedzieć, czy będziesz potrafił się nią zaopiekować - ciągnął Gabriel.

- Czy już tego nie udowodnił? - Nie wytrzymałam. Chciałam, żeby to przesłuchanie wreszcie się skończyło. - Przyszedł mi z pomocą na przyjęciu u Molly. Przy nim nigdy nic złego mi się nie przytrafia.

- Bethany nie dysponuje dostateczną wiedzą o tym świecie - kontynuował Gabriel, jakbym w ogóle się nie odezwała. - Przed nią jeszcze dużo nauki, a to czyni ją niemal całkowicie

bezbronną.

- Czy koniecznie należy robić ze mnie małą nieporadną dziewczynkę, która wymaga etatowej opiekunki? - Byłam zła.

- Tak się składa, że mam spore doświadczenie w tym zawodzie - zażartował Xavier. - Mogę przedstawić referencje, jeśli pan sobie życzy.

Ivy zakryła usta serwetką. Przyglądałam się Gabrielowi, szukając choćby cienia uśmiechu, jednak się go nie doczekałam.

- Jesteś pewny, że wiesz, w co się pakujesz? - spytała moja siostra, patrząc na Xaviera.

- Nie - przyznał. - Lecz jestem gotów się o tym przekonać.

- Gdy raz obiecasz nam lojalność, nie będzie odwrotu.

- Nie idziemy na wojnę - wymamrotałam pod nosem. Nikt nie zwrócił na mnie uwagi.

- Rozumiem. - Xavier również patrzył Ivy prosto w oczy.

- Nie sądzę - powiedział Gabriel łagodnie. - Ale nastąpi to wkrótce.

- Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? - zapytał Xavier.

- Wszystko w swoim czasie - odparł mój brat.

Wreszcie znalazłam się sam na sam z Xavierem. Przysiadł na brzegu wanny, podczas gdy ja myłam zęby. Szorowałam je po każdym posiłku. Można powiedzieć, że weszło mi to w krew.

- Nie było tak źle. - Oparł się o ścianę. - Spodziewałem się czegoś znacznie gorszego.

- To znaczy, że cię nie odstraszyli?

- Gdzie tam - odparł lekko. - Twój brat jest co prawda trochę spięty, ale za to kuchnia twojej siostry wynagradza wszystko z nawiązką.

Roześmiałam się.

- Nie przejmuj się Gabrielem, to u niego normalne.

- Nie przejmuję się. Przypomina mi trochę moją mamę.

- Lepiej mu tego nie mów - zachichotałam.

- Od kiedy zaczęłaś się malować? - zapytał, biorąc z półeczki kredkę do oczu.

- Kupiłam ją, żeby zrobić przyjemność Molly - odparłam, rozglądając się za płynem do płukania ust. - Uparła się, by nauczyć mnie kilku sztuczek.

- Doprawdy? Mnie się podobasz taka, jaka jesteś.

- Dzięki. Za to tobie przydałaby się odrobina makijażu. Uśmiechnęłam się od ucha do ucha i pomachałam mu przed nosem kredką.

- Nic z tego - zaprotestował, uchylając się. - Nie ma mowy.

- Dlaczego nie? - Zrobiłam nadąsaną minę.

- Bo jestem facetem. A faceci nie używają takich rzeczy, chyba że są emo albo grają w zespole.

- Proszę! - mruknęłam przymilnie.

W turkusowych źrenicach jego migdałowych oczu pojawił się błysk.

- No dobrze...

- Naprawdę? - ucieszyłam się.

- Nie! Nie pójdzie ci ze mną tak łatwo.

- Jak chcesz. - Wydęłam usta. - Zawsze możesz jeszcze pachnieć jak dziewczyna...

Nim zdołał mnie powstrzymać, chwyciłam buteleczkę perfum i spryskałam go. Powąchał z zaciekawieniem koszulę.

- Owocowe - stwierdził z namysłem - z delikatną domieszką piżma. Wybuchnęłam śmiechem.

- Jesteś niewiarygodny.

- Masz chyba na myśli „fascynujący”?

- Zgadza się - potwierdziłam. - Niewiarygodnie fascynujący.

Pochyliłam się, by go pocałować, dokładnie w chwili, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Zaraz potem Ivy wsunęła głowę do środka i oboje z Xavierem odskoczyliśmy od siebie.

- Twój brat kazał mi tu przyjść i sprawdzić, co porabiacie - oznajmiła, unosząc brew. - Miałam się upewnić, czy jesteście grzeczni.

- Tak się składa - zaczęłam z urazą - że właśnie...

- Wychodziliśmy - wpadł mi w słowo Xavier. Otworzyłam usta, by zaprotestować, lecz powstrzymałam mnie ostrym spojrzeniem. - To ich dom. Trzeba to uszanować - szepnął.

Gdy szliśmy do drzwi, spostrzegłam, że Ivy przygląda mu się z niespodziewanym uznaniem.

Wyszędłszy na dwór, usiedliśmy objęci na huśtawce. Xavier podwinął rękawy koszuli, podniósł z trawy wystrzępioną piłeczkę tenisową Fantoma i mu ją rzucił. Fantom zawsze przynosił piłkę, nie chciał jednak wypuścić jej z pyska i należało za każdym razem wydobywać mu ją, ociekającą śliną, spomiędzy zębów. Xavier znów wziął zamach, by wykonać rzut, po czym wytarł ręce o trawę. Delektowałam się jego świeżym, rześkim zapachem. Kojarzył mi się z

lasem. Myślałam tylko o tym, że z naszej pierwszej próby udało nam się wyjść niemal bez szwanku. Xavier dotrzymał słowa i nie pozwolił się zastraszyć. Wręcz przeciwnie, do końca z niezachwianym przekonaniem bronił swoich racji. Podziwiałam go bardziej niż kiedykolwiek, jednocześnie czerpiąc rozkosz z faktu, że jest w moim domu, tym razem już w charakterze pełnoprawnego gościa, nie zaś intruza, jak to bywało przedtem.

- Mogłabym tak siedzieć całą noc - wymruczałam mu w koszulę.

- Wiesz, co jest najdziwniejsze? - zapytał. - Co?

- Ze to wszystko wydaje się takie normalne.

Wplótł palce w moje włosy i ten gest wydał mi się symbolem naszych połączonych losów.

- Ivy troszkę przesadziła, mówiąc, że nie będziesz miał odwrotu - powiedziałam.

- Ale mnie to nie przeszkadza. Nie chcę już wracać do życia, jakie prowadziłem, zanim cię poznałem. Myślałem, że mam wszystko, co mi potrzebne do szczęścia, ale tak naprawdę czegoś mi brakowało. Teraz czuję się jak zupełnie inna osoba. Być może zabrzmiało to banalnie, ale odnoszę wrażenie, że przez długi czas byłem pograżony we śnie, a ty mnie obudziłaś... - przerwał. - Nie mogę uwierzyć w to, co właśnie powiedziałem. Coś ty ze mną zrobiła?

- Zamieniłam cię w poetę - zaśmiałam się.

- Mnie?! - zagrział Xavier z udawaną złością. - Poezja jest dla bab!

- Byłeś dziś wieczorem niesamowity. Jestem taka dumna, że tak doskonale sobie poradziłeś.

- Dziękuję ci. Kto wie, może za jakieś kilkadziesiąt lat twój brat i siostra nawet mnie polubią.

- Chciałabym, żebyśmy mieli przed sobą tyle czasu. - Westchnęłam, po czym natychmiast pożałowałam swoich słów. Miałam ochotę kopnąć się w kostkę, aby ukarać się za własną głupotę. Właśnie udało mi się zepsuć nastrój.

Xavier milczał tak długo, że zaczęłam mieć nadzieję, iż może mnie nie usłyszał. Lecz nagle poczułam, jak jego ciepłe palce ujmują mnie pod brodę i unoszą moją twarz. Nasze oczy się spotkały. Pochylił się i pocałował mnie delikatnie, miękko, pozostawiając na moich wargach słodki posmak swoich ust. Schyliwszy się jeszcze niżej, wyszeptał mi wprost do ucha:

- Znajdziemy jakiś sposób. Przyrzekam.

- Nie możesz tego wiedzieć. To co innego...

- Beth - położył palec na moich ustach - ja zawsze dotrzymuję obietnic.

- Ale...

- Żadnych ale. Zaufaj mi.

Po wyjściu Xaviera żadnemu z nas nie śpieszyło się do łóżka, mimo iż było już po północy. Właściwie Gabriel mógłby w ogóle nie sypiać. Zarówno on, jak i Ivy często kładli się dopiero nad ranem. Tym razem jednak cała nasza trójka snuła się z kąta w kąt, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Ivy zaproponowała gorący napój i już wyjmowała mleko z lodówki, gdy Gabriel powiedział:

- Mam lepszy pomysł. Sądzę, że wszystkim nam przydałoby się rozprostować kości.

Obie z Ivy natychmiast zgadłyśmy, co ma na myśli, nie starając się nawet ukryć podekscytowania.

- Teraz? - spytała Ivy, o mało nie upuszczając kartonu z mlekiem.

- Oczywiście, że tak. Ale musimy się pośpieszyć, za kilka godzin zrobi się jasno. Ivy aż zapiszczała z radości.

- Daj nam tylko sekundę na przebranie się! Zaraz wracamy.

Mnie także z trudem przychodziło opanować podniecenie. Był to idealny sposób dania upustu euforii, jaką odczuwałam z powodu kierunku, w którym zaczął zmierzać mój związek z Xavierem. Od tak dawna nie miałam okazji porządnie rozprostować skrzydeł.

Skok z klifu raczej trudno było zakwalifikować do tej kategorii. Zaostrzył on jedynie boleśnie apetyt i przypomniał mi o tym, jak sztywne i obolałe się stały. Próbowałam rozłożyć je u siebie w pokoju przy zaciągniętych szczelnie zasłonach i wykonać choć kilka okrążeń wokół łóżka, lecz skończyło się na zderzeniu z wiszącym pod sufitem wentylatorem oraz guzach, które nabiłam sobie, uderzając nogami o meble. Przebierając się w luźną koszulkę, poczułam nagły przypływ adrenaliny. Wiedziałam, że długo będę pamiętała ten lot tuż przed wschodem słońca. Zeszłam na dół i razem wsiedliśmy cicho do stojącego w garażu czarnego jeepa.

Jazda wczesnym rankiem wijącą się wzdłuż wybrzeża niczym wstęga drogą okazała się zupełnie nowym doświadczeniem. Powietrze przesycone było wonią sosen, a wierzchołki drzew jaśniały świeżą zielenią. Nieruchome morze wyglądało jak aksamitna peleryna, którą ktoś zarzucił na fragment lądu. Żaluzje w oknach domów były opuszczone, a chodniki puste, jakby mieszkańcy zniecka spakowali się i opuścili miasto. Przejeżdżając przez centrum, również nie widzieliśmy nikogo. Nigdy wcześniej nie oglądałam Venus Cove pogrążonego we śnie. Byłam przyzwyczajona do widoku ludzi w każdym możliwym miejscu: jeżdżących na rowerach,

jedzących frytki na pomoście, kupujących biżuterię od miejscowej artystki, która rozstawiała przy krawężniku swój straganik w niemal wszystkie soboty i niedziele. Lecz o tak wczesnej godzinie panowały spokój i cisza, które pozwalały mi wyobrazić sobie, iż jesteśmy jedynymi istotami na ziemi. Ciekawiło mnie, dlaczego ludzie zwykli nazywać tę porę „piekielnie” wczesną, podczas gdy właśnie wtedy najłatwiej jest zbliżyć się do Boga.

Przez blisko godzinę Gabriel wioził nas szosą, by później skręcić w wyboistą, porośniętą z obu stron krzakami i niskimi drzewami ścieżkę, tak krętą, że przypominała korkociąg. Wiedziałam, dokąd jedziemy. Gabriel zmierzał w kierunku Białej Góry, nazywanej tak z powodu śniegu, który niekiedy pokrywał jej szczyt, pomimo że znajdowała się w pobliżu morza. Jej zarys można było zobaczyć z

Venus Cove. Bładoszary masyw wznosił się ku usianemu gwiazdami niebu.

Górę spowijała mgła; im wyżej, tym była gęstsza. Gdy Gabriel nie mógł dostrzec drogi przed sobą, zatrzymał auto i wysiedliśmy.

Staliśmy na wąskiej krętej drodze, która pięła się zboczem. Wokół rosły wysokie świerki, otaczając nas ze wszystkich stron niczym żołnierze i niemal całkowicie przysłaniając niebo. Ich czubki ozdobione były setkami maleńkich kropelek rosy, a wydechane przez nas powietrze zamieniało się na zimnie w obłoczki pary. Grunt pod naszymi stopami zaścielały liście i kawałki kory, tłumiąc odgłos kroków. Twarze muskały nam pokryte mchem gałęzie drzew i długie wąsy okazałych paproci. Zeszliśmy ze ścieżki, zagłębiając się w gęsty las. Snopy księżycowego światła przecinały co jakiś czas zwarte sklepienie, oświetlając nam drogę niczym miniaturowe reflektory. Drzewa szeptały cicho do siebie, słychać było delikatne szelesty oraz tupot małych łapek. Żadne z nas, pomimo ciemności, nie odczuwało strachu. Wiedzieliśmy, że jesteśmy na pełnym odludziu. Nikt nie miał prawa nas tam znaleźć.

Ivy pierwsza zrzuciła kurtkę i zrobiła to, czego wszyscy nie mogliśmy się już doczekać. Stała wyprostowana, zwrócona ku nam, z odchylną do tyłu głową, a jej jasne włosy otoczyły twarz i ramiona złocistą falującą aureolą. W księżycowej poświacie jaśniała niczym lampa, przypominając wykutą w marmurze rzeźbę, białą i nieskazitelną. Linie jej ciała wyznaczały idealne kształty, tworząc harmonijną, strzelistą i smukłą postać.

- Do zobaczenia w górze! - zawołała, rozradowana jak małe dziecko.

Przymknęła na moment oczy i nabrała powietrza, po czym puściła się biegiem. Poruszała

się szybko i zwinnie, ledwo dotykając stopami ziemi. Biegła między drzewami, przyśpieszając, aż zarys jej sylwetki zatarł się niemal całkowicie. I nagle wzniosła się w powietrze. Towarzyszyła temu zapierająca dech w piersiach maestria - Ivy umiała poderwać się do lotu z wdziękiem i prostotą łabędzia. Jej skrzydła, delikatne z wyglądu, lecz niezwykle silne, rozdarły bawełnianą koszulkę, którą miała na sobie, i wystrzeliły ku niebu niczym żywe istoty. Spoczywając na jej plecach, wyglądały jak wykute w kamieniu, rozłożone i wprawione w ruch, załśniły satynowym blaskiem.

Ruszyłam pędem za nią, czując, jak moje skrzydła zaczynają pulsować, a następnie wyrrywają się przez warstwę tkaniny na wolność. Oswobodzone, zaczęły poruszać się coraz szybciej, aż wreszcie i ja uniosłam się w górę, dołączając do Ivy. Leciałyśmy przez chwilę razem, to wznosząc się niespiesznie, to znów nurkując gwałtownie w dół, by ostatecznie wylądować na gałęziach pobliskiego drzewa. Rozpromienione, odszukałyśmy wzrokiem Gabriela. Ivy wygięła się do tyłu i zaczęła spadać bezwładnie na ziemię. W locie rozpostarła skrzydła, podrywając się z powrotem do góry z głośnym westchnieniem rozkoszy.

- Na co czekasz?! - krzyknęła do Gabriela, nim zniknęła w chmurze.

Gabriel zaś, który nigdy nie robił niczego w pośpiechu, metodycznie pozbył się poszczególnych części odzieży i odstawił na bok buty. Zdjął podkoszulek. Obie patrzyłyśmy, jak następuje przemiana i znika nobliwy nauczyciel muzyki, a jego miejsce zajmuje majestatyczny niebiański wojownik, którym został stworzony. Tak wyglądał anioł, który wiele wieków wcześniej sam jeden obrócił w pył całe miasto. Jego sylwetka lśniła niczym wypolerowany mosiądz. Nawet podczas lotu zachowywał się inaczej niż my, poruszając się spokojniej, bardziej dystygowanie, jakby w zamyśleniu.

Ponad wierzchołkami drzew otuliła mnie wilgotna mgła i obłoki. Drobinki wody zbierały się na moich plecach, czułam na skórze ich chłodne uklucia. Skrzydła uderzały coraz szybciej, unosząc mnie wyżej i wyżej. Opróżniając głowę z wszelkich myśli, szybowałam, pozostawiając ciało pełną swobodę, robiąc pętle wśród drzew. Tłumiona przez tak długi czas energia płynęła przeze mnie bez ograniczeń. Raz dostrzegłam Gabriela, jak zatrzymuje się w powietrzu, by sprawdzić, czy nie straciłam nad sobą kontroli. Ivy migąła mi przed oczami jedynie od czasu do czasu, w charakterze bursztynowej łuny prześwietlającej mgłę.

Nie szukaliśmy swojego towarzystwa. To był szczególny dla każdego z nas moment, w którym mogliśmy na nowo poczuć się sobą, radować się wolnością, jakiej tak naprawdę nie

sposób doświadczyć nigdzie poza niebem. Nasza jedność wymykała się wówczas jakimkolwiek słownym definicjom. Ludzki sposób pojmowania pozostawiliśmy daleko za sobą, ciesząc się naszą prawdziwą postacią.

Lataliśmy tak przez kilka godzin, do chwili gdy Gabriel wydał niski melodyjny dźwięk, przypominający odgłos oboju. Był to sygnał do powrotu na ziemię.

Wsiadając do jeepa, pomyślałam, że z pewnością po powrocie do domu nie zasnę. Byłam zbyt pobudzona i sądziłam, że minie wiele czasu, nim wrócę do rzeczywistości. Myliłam się jednak. Jazda krętymi drogami w kołyszącym się rytmicznie samochodzie sprawiła, że usnęłam na tylnym siedzeniu zwinęta w kłębek jak kot na długo przed tym, nim dotarliśmy na miejsce.

Cisza przed burzą

Od czasu rodzinnej kolacji mój związek z Xavierem wkroczył, jak mi się wydawało, w nową, jeszcze głębszą fazę. Poczuliśmy się pewniej, ponieważ dostaliśmy pozwolenie na okazywanie sobie uczuć i nie musieliśmy obawiać się konsekwencji. Zaczęliśmy myśleć i działać wspólnie, niczym jedna istota przebywająca w dwóch ciałach. Choć dokładaliśmy wszelkich starań, by nie oddalić się znanadto od otaczających nas osób, niekiedy było to nieuniknione. Próbowaliśmy nawet wyznaczać konkretne pory na spotkania z innymi, lecz gdy już do tego dochodziło, wydawało się, że minuty ciągną się w nieskończoność, a sama sytuacja stawała się tak sztuczna, że koniec końców nie mijała godzina, a znów byliśmy razem.

Podczas przerwy obiadowej zwykliśmy siadać tylko we dwójkę przy małym stoliku na końcu stołówki. Pozostali podchodzili od czasu do czasu, by opowiedzieć dowcip lub zapytać „Woodsy’ego” o szczegóły któregoś z wyścigów łodzi, ale rzadko kiedy ktoś próbował się do nas przysiąść, nikt też nie komentował naszej zażyłości. Ludzie krążyli wokół nas, zachowując dystans z szacunku dla naszej prywatności. Jeśli nawet wyczuwali, że łączy nas jakaś tajemnica, byli na tyle dobrze wychowani, by się tym znanadto nie interesować.

- Chodźmy stąd - powiedział Xavier, pakując książki.

- Najpierw dokończ wypracowanie.

- Już skończyłem.

- Napisałeś trzy linijki.

- Trzy doskonale przemyślane linijki - zaprotestował. - Nie ilość się liczy, ale jakość.

Zapomniałaś?

- Pilnuję tylko, żebyś pamiętał o tym, co sobie założyłeś. Nie mam zamiaru być odpowiedzialna za twoją dekoncentrację.

- Trochę na to za późno - zaśmiał się. - Dekoncentrujesz mnie zgoła niebotycznie, a do tego masz na mnie fatalny wpływ.

- Jak możesz! - wykrzyknęłam, udając oburzenie. - Ja i zły wpływ? Wykluczone.

- O, doprawdy? A to dlaczego?

- Ponieważ jestem chodzącą niewinnością. Jestem czysta jak łąza! Xavier ściągnął brwi, rozważając moje wyznanie.

- Hmm, trzeba będzie coś z tym zrobić - odrzekł po chwili.
- Żałosna wymówka, byle tylko nie odrabiać pracy domowej!
- Raczej stwierdzenie faktu, że na osiągnięcie zamierzonych celów mam jeszcze całe życie.

A nie wiadomo, ile czasu z tobą mi zostało.

Wraz z tymi słowami z naszej rozmowy ulotnił się cały beztrioski nastrój. Zazwyczaj unikaliśmy tego tematu, bo wprowadzał zamęt, jak to zwykle bywa z rzeczami, na które nie mamy wpływu.

- Nie myślmy teraz o tym.

- Jak możesz o tym nie myśleć? Nie budzi cię to po nocach? Zdecydowanie nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała nasza rozmowa.

- Oczywiście, że o tym myślę - odparłam. - Nie widzę tylko sensu, żeby psuć sobie tym niepotrzebnie humor.

- Mam po prostu wrażenie, że powinniśmy coś na to poradzić - odrzekł Xavier ze złością. Wiedziałam, że jego gniew nie jest wymierzony we mnie, zresztą szybko przerodził się w przygnębienie. - Powinniśmy przynajmniej próbować.

- Nic nie możemy zrobić - odpowiedziałam cicho. - Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, z czym mamy do czynienia. Nie eksperymentuje się z siłami, które władają wszechświatem!

- A co z wolną wolą? Czy to może tylko mit?

- Nie zapominasz o czymś? Nie zostałam ulepiona z tej samej gliny co ty, więc mnie ta zasada nie dotyczy.

- A powinna.

- Może i tak... tylko co z tego? Przecież nie zaczniemy zbierać podpisów pod petycją.

- To wcale nie jest śmieszne, Beth. Chcesz wracać do domu? - zapytał, patrząc mi prosto w oczy. Zgadywałam, że nie ma na myśli budynku przy Byron Street.

- Jak możesz w ogóle o to pytać?

- Dlaczego w takim razie nie przejmujesz się tym tak bardzo, jak ja?

- Naprawdę sądzisz, że gdyby istniał jakikolwiek sposób, abym mogła tu zostać, nie wykorzystałabym go?! Uważasz, że świadomie i bez oporu porzuciłabym to, co dla mnie najcenniejsze?

Xavier odwrócił się, by na mnie spojrzeć. Jego turkusowe oczy pociemniały, usta utworzyły wąską linię.

- Kimkolwiek ci na górze są, nie powinni mieć kontroli nad naszym życiem. Nie zamierzam cię stracić. Raz już przez coś takiego przeszedłem i teraz zrobię wszystko, aby się to nie powtórzyło.

- Xavierze... - zaczęłam, ale on położył palce na moich ustach.

- Odpowiedz mi na jedno tylko pytanie: jeśli zdecydujemy się walczyć, jakie możliwości mamy do wyboru?

- Nie wiem!

- Ale są chyba jakieś opcje? Ktoś, kogo można by poprosić o pomoc, coś, czego moglibyśmy spróbować, nawet jeśli okaże się ryzykowne?

Spojrzałam mu w oczy i zobaczyłam upór, którego nigdy przedtem w nich nie było. Xavier wydawał się zawsze taki opanowany i rozluźniony.

- Beth, ja muszę to wiedzieć - nalegał. - Czy jest jakaś szansa? Choćby najmniejsza?

- Być może jest. Ale boję się to sprawdzać.

- Ja też się boję, jednak nie wolno nam tak myśleć. Musimy wierzyć.

- Nawet jeśli nic z tego nie będzie?

- Sama powiedziałaś, że jest szansa. - Splótł palce swojej dłoni z moimi. - To wszystko, czego nam trzeba.

Przez pierwsze tygodnie czułam się odrobinę winna, że zaniedbuję Molly, lecz ona pogodziła się z faktem, iż spędzamy razem czas tylko wtedy, gdy Xavier ma inne zajęcia. Domyślałam się, że nie jest zadowolona z tego, iż zmonopolizował bez reszty moją uwagę, jednak Molly okazała się realistką, wyznającą pogląd, iż z chwilą, gdy zaczyna się związek, przyjaźnie muszą zejść na dalszy plan - zwłaszcza gdy w grę wchodzi zaangażowanie tak silne jak nasze. Wydawało się też, że Xavier nie drażni jej tak bardzo jak przedtem. Mimo iż daleka była od zaliczenia go w poczet swoich przyjaciół, łatwiej przychodziło jej zaakceptowanie go jako jednego z moich.

Pewnego popołudnia wybraliśmy się z Xavierem do miasteczka na spacer. Idąc, spostrzegliśmy Ivy, która stała pod dębem w towarzystwie ciemnowłosego ucznia z ostatniej klasy naszego liceum. Chłopak miał na głowie czapkę baseballową obróconą daszkiem do tyłu, a rękawy koszuli podwinięte, by wyeksponować muskularne ramiona. Gdy mówił, z jego twarzy nie schodził znaczący uśmiešek.

Nigdy wcześniej nie widziałam mojej siostry tak zakłopotanej. Chłopak przyparł ją do

mur; w jednej ręce ścisnęła torbę z zakupami, podczas gdy drugą zakładała nerwowo włosy za ucho, ewidentnie rozglądając się w poszukiwaniu drogi ucieczki.

Szturchnęłam Xaviera w ramię.

- Co się tam dzieje?

- Wygląda na to, że Chris Bucknall w końcu zebrał się na odwagę, żeby zaprosić ją na randkę.

- Znasz go?

- Gra ze mną w drużynie piłki wodnej.

- Raczej nie jest w typie Ivy.

- Nie dziwię się. To prymityw.

- Co robimy?

- Hej, Bucknall! - zawołał Xavier. - Pozwolisz na słowo?

- Jestem jakby trochę zajęty, stary - odparł tamten.

- Słyszałeś już wieści? - zapytał Xavier. - Trener chce widzieć wszystkich u siebie dziś wieczorem po meczu.

- Tak? A po co? - spytał Chris, nie odwracając się.

- Nie jestem pewny. Ale mówił coś o liście zawodników na przyszły sezon. Kto się dziś nie pojawi, nie dostanie się na nią.

Tu Chris Bucknall okazał zaniepokojenie.

- Muszę lecieć - oznajmił Ivy. - Ale nie martw się, mała, zgadamy się później.

Gdy odszedł, Ivy posłała Xavierowi pełen wdzięczności uśmiech.

Gabriel i Ivy najwyraźniej zaakceptowali Xaviera. Nie naruszał w żaden sposób naszej przestrzeni, stając się raczej nieodłącznym jej elementem. Zaczęłam podejrzewać, że cieszy ich jego obecność w naszym życiu, po pierwsze dlatego, że można było na nim stuprocentowo polegać w kwestii pilnowania mnie, a po drugie, stał się niezwykle pomocny w sprawach wymagających znajomości sprzętu elektronicznego. Gabriel zauważył, iż uczniowie nieco dziwnie na niego spoglądają, odkąd wyszło na jaw, że nie potrafi obsługiwać odtwarzacza płyt DVD, Ivy zaś pragnęła rozpropagować swój program pomocy socjalnej poprzez szkolny system e-maili. Oboje zaangażowali do pomocy Xaviera. Mimo iż mieli rozległą wiedzę, nowinki techniczne stanowiły coś w rodzaju ich pięty achillesowej, ze względu na nieustanne zmiany zachodzące w tej dziedzinie. Gabriel, choć z pewną niechęcią, przystał nawet na to, by Xa- vier

pokazał mi, jak wysyłać e-maile do nauczycieli ze szkoły, a także nauczył go obsługi iPod'a. Niekiedy wydawało mi się, że Xavier mówi jakimś nieznanym językiem, używając obco brzmiących sformułowań w rodzaju „system Bluetooth”, „gigabajt” czy „sieć Wi-Fi”. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, po prostu przestałabym słuchać, lecz w tym wypadku przyjemność sprawiał mi sam dźwięk jego głosu, niezależnie od tego, o czym mówił. Potrafiłabym spędzać całe godziny, przysłuchując mu się, przyglądając się sposobowi, w jaki się porusza, ucząc się go na pamięć.

Poza pełnieniem funkcji naszego opiekuna technicznego Xavier przyjął na siebie obowiązki mojego „ochroniarza” z takim zaangażowaniem, że musiałam mu co jakiś czas uświadamiać, iż nie jestem ze szkła i przed jego pojawieniem się radziłam sobie całkiem nieźle. Ponieważ jednak Gabriel i Ivy powierzyli mu opiekę nade mną, postawił sobie za punkt honoru dotrzymać danego słowa i przekonać ich o sile swojego charakteru. To on przypominał mi, że powinnam pić dużo wody, i to on zbywał ciekawskich kolegów z klasy wraz z ich niewygodnymi pytaniami o moją rodzinę. Pewnego dnia podjął się nawet wytłumaczenia mnie przed panem Collinsem, który pragnął się dowiedzieć, z jakiego powodu nie zdołałam ukończyć na czas pracy domowej.

- Beth ma w tej chwili dużo różnych zobowiązań - wyjaśnił. - Dostarczy wypracowanie przed końcem tego tygodnia.

Byłam pewna, że jeśli z jakiegoś powodu o tym zapomnę, Xavier dokończy je za mnie i odda nauczycielowi bez mojej wiedzy.

Zawzięcie bronił dostępu do mnie każdemu, kto nie spełniał koniecznych jego zdaniem wymogów, a odważył się zbliżyć na odległość większą niż dwa kroki.

- Nie. - Pokręcił głową, gdy niejaki Tom Snooks zapytał mnie, czy mam ochotę „pobujać się” trochę z nim i jego znajomymi pewnego popołudnia.

- Dlaczego? - zapytałam odrobinę zła. - Wydaje się miły.

- Na dłuższą metę by ci się nie spodobał. - Bo? Zadajesz strasznie dużo pytań.

- Owszem. A teraz powiedz mi dlaczego.

- Dlatego, że on większość czasu spędza na odlocie. Gapiłam się na niego bezmyślnie, licząc na to, że rozwinie wypowiedź.

- Przyjaźni się z koleżanką Marysią - dodał Xavier, czekając, aż dotrze do mnie sens jego słów, a następnie przewracając oczami, gdy stało się jasne, że nic takiego nie nastąpi. - Ech, osiołku. Ty sama jesteś jak narkotyk.

Jednak gdyby nie Xavier, który podjął się pełnić funkcję bufora, moja egzystencja w szkole byłaby znacznie trudniejsza. Miałam wyjątkową tendencję do pakowania się w potencjalnie niebezpieczne sytuacje. Pomimo iż starałam się ze wszystkich sił unikać kłopotów, te zawsze znalazły sposób, by mnie dopaść. Stało się tak pewnego dnia, gdy przechodziłam przez parking w drodze na angielski.

- Witaj, maleńka! - Na dźwięk głosu za plecami obróciłam się na pięcie. Wołał mnie wysoki, pryszczaty, chudy chłopak z czwartej klasy o ulizanych blond włosach. Teoretycznie chodził ze mną na biologię, ale w praktyce rzadko kiedy można go było spotkać na zajęciach. Widywałam go, jak palił za śmietnikiem papierosy i kręcił kółka samochodem, aż dym szedł spod opon. Tym razem towarzyszyło mu trzech innych kolegów. Wszyscy paskudnie się uśmiechali.

- Cześć - rzuciłam nerwowo.

- Myśmy chyba nie zostali sobie przedstawieni. - Posłał mi złośliwy uśmiezek. - Mam na imię Kirk.

- Miło mi cię poznać. - Nie podnosiłam wzroku. Coś w jego zachowaniu sprawiało, że czułam się niepewnie.

- Mówił ci ktoś kiedyś, że masz całkiem niezłe zderzaki? - zapytał. Stojący za nim chłopcy zarechotali.

- Słucham? - Nie rozumiałam, o co mu chodzi.

- Chciałbym cię trochę bliżej poznać. Jeśli wiesz, co mam na myśli. - Zrobił krok w moim kierunku, a ja błyskawicznie odskoczyłam.

- Nie wstydz się, skarbie - powiedział.

- Spiesz się do klasy.

- Na pewno nie masz chwili? - Rzucił mi pożądliwe spojrzenie. - Chodzi mi tylko o szybki numer. - Złapał mnie za ramię.

- Nie dotykaj mnie!

- Proszę, jaka odważna. A nie wygląda. - Zaśmiał się i ścisnął mocniej.

- Zabieraj łapy. - Odetchnęłam z ulgą. Między nas wkroczył Xavier, wysoki i pewny siebie. Instynktownie przysunęłam się bliżej do niego, chłonąc poczucie bezpieczeństwa, jakie płynęło z samej jego obecności. Odgarnął włosy z czoła. Tak dobrze znane mi oczy koloru morskiej wody, zmrużone gniewnie, przypominały teraz wąskie szparki.

- Nie mówiłem do ciebie - warknął Kirk, opuszczając rękę. - Nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

- Cokolwiek dotyczy jej, jest moją sprawą.

- O, czyżby? I co mi zrobisz?

- Dotknij jej jeszcze raz, a sam zobaczysz - ostrzegł Xavier.

- To może pokaż, na co cię stać.

- Jak sobie życzysz. - Xavier zdjął szkolną marynarkę i podwinął rękawy. Miał poluzowany krawat, więc od razu dostrzegłam srebrny krzyżyk wtulony we wgłębienie na szyi. Materiał koszuli opinał ciasno wyrobione mięśnie jego ramion. Na pierwszy rzut oka widać było, iż zbudowany jest o wiele solidniej niż Kirk. Zauważyłam, że tamten zmierzył Xaviera wzrokiem, dochodząc prawdopodobnie do tego samego wniosku.

- Daj spokój, stary - odezwał się jeden z jego koleżków, zniżając głos. - To Xavier Woods.

Ta informacja najwyraźniej zniechęciła Kirka.

- E tam. - Splunął i odszedł powoli, obrzuciwszy mnie wcześniej pełnym nienawiści spojrzeniem.

Xavier objął mnie, a ja wtuliłam się w niego, wciągając jego charakterystyczny orzeźwiający zapach.

- Niektórym przydałaby się mała lekcja dobrego wychowania - stwierdził z pogardą. Popatrzyłam mu w twarz.

- Naprawdę miałaś zamiar bić się o mnie?

- Naturalnie - odparł bez wahania.

- Ale ich było czterech!

- Beth, w twojej obronie gotów jestem stawić czoło nawet armii Megatrona.

- Kogo?

Pokręcił głową i się roześmiał.

- Wciąż zapominam, że mamy różne punkty odniesienia. Powiedzmy po prostu, że takich czterech śmierdzących gojników nie może mnie wystraszyć.

Xavier nie wiedział zbyt dużo o aniołach, ale za to doskonale znał się na ludziach. Rozszyfrowywał ich o wiele szybciej niż ja, więc znacznie trafniej potrafił ocenić, komu można zaufać, a od kogo lepiej trzymać się z daleka. Zdawałam sobie sprawę z tego, że Ivy i Gabriel nadal niepokoją się o ewentualne komplikacje, jakie mogą wyniknąć z naszego związku. Ja

jednak czułam, iż Xavier daje mi siłę i wiarę w siebie, które zapewniają mi zapas energii koniecznej do odegrania mojej roli w tej misji, jakkolwiek miałyby ona wyglądać. Choć nie rozumiał do końca, na czym dokładnie polega nasza praca na ziemi, nagle zaczął zwracać uwagę na to, by mnie nie rozpraszać. Jednocześnie jego troska o moje dobro zaczęła balansować na granicy obsesji. Przejmował się najmniej istotnymi drobiazgami, jak na przykład ilość spożywanych przeze mnie kalorii.

- Nie musisz się tak o mnie martwić - przypomniałam mu któregoś dnia w stołówce. - Niezależnie od tego, co sądzi Gabriel, potrafię sama o siebie zadbać.

- Robię tylko to, do czego się zobowiązałem - odparł na to. - Przy okazji, jadłaś dziś drugie śniadanie?

- Nie jestem głodna. Gabriel zawsze przygotowuje rano mnóstwo jedzenia.

- W takim razie zjedz to - zarządził, rzucając mi na kolana baton energetyczny. Jako sportowiec, dysponował chyba nieograniczoną ilością tego specjału o każdej porze dnia i nocy. Z etykiety wynikało, że ten akurat rodzaj zawiera orzechy nerkowca, wiórki kokosowe, morele oraz rozmaite ziarna.

- Nie zjem tego! W tym jest karma dla ptaków!

- Nie żadna karma, tylko sezam. Dostarcza dużo energii. Nie chcę, żebyś mi tu zasłała.

- Dlaczego miałabym zasłać?

- Bo masz prawdopodobnie za niski poziom cukru we krwi. Nie kłóć się, tylko jedz.

Niekiedy rzeczywiście lepiej było nie wdawać się z Xavie-rem w dyskusję. Zwłaszcza gdy w grę wchodziła kwestia dbania o moje zdrowie.

- Dobrze, mamusiu - odparłam, gryząc twardy baton. - Swoją drogą, smakuje jak karton.

Oparłam głowę o jego silne opalone ramię, jak zawsze podniesiona na duchu samą możliwością dotknięcia go.

- Śpiąca? - zapytał.

- Fantom chrapał całutką noc, a nie miałam sumienia go wyrzucić.

Xavier westchnął i poklepał mnie czule po głowie.

- Czasami masz za miękkie serce. I nie myśl sobie, że nie zauważyłem, że ugryzłaś batonik tylko raz. Zjadaj mi go tu zaraz.

- Xavier, daj spokój. Jeszcze ktoś cię usłyszy!

Wyjął mi baton z ręki i zaczął nim wymachiwać w powietrzu, wydając przy tym gwizdzące

odgłosy.

- Będzie dużo gorzej, jeśli zmusisz mnie do zabawy w samolociki.

- Co to za zabawa?

- Taka, którą matki przekonują uparte dzieci, by jadły. Roześmiałam się, a on natychmiast wykorzystał okazję, wsuwając mi batonik prosto do ust.

Bardzo lubił opowiadać historie o swojej rodzinie, ja zaś uwielbiałam ich słuchać. Przykuwał bez reszty moją uwagę za każdym razem, gdy zaczynał mówić. Od pewnego czasu większość anegdotek krążyła wokół zbliżającego się wesela jego siostry. Często przerywałam mu pytaniami, spragniona pomijanych przez niego detali. Jakiego koloru będą suknie druhen? Jak ma na imię młodszy kuzyn, któremu przydzielono zadanie podania obrączek? Kto woli zespół muzyczny, a kto kwartet smyczkowy? Czy pantofle panny młodej będą z białej satyny? Gdy nie znał odpowiedzi na któreś z nich, obiecywał, że wszystkiego się dla mnie dowie.

Podczas gdy ja jadłam, Xavier opowiadał mi o ostatniej utarczce między jego matką a siostrą. Poszło o ustalenie, gdzie urządzić uroczystość. Siostra chciała, by ceremonia odbyła się w tutejszym ogrodzie botanicznym, matka natomiast uznała ten pomysł za „zbyt pospolity”. Klan Woodsów należał do parafii Świętego Marka, z którą łączyły go silne i długotrwałe więzy. Pani Woods życzyła więc sobie, aby Claire wzięła ślub właśnie tam. Podczas niedawnej sprzeczki zagroziła nawet, że nie pojawi się na nim w ogóle, jeśli nie będzie odbywał się w Domu Bożym. Jej zdaniem przysięga małżeńska wygłoszona poza świętym przybytkiem w ogóle nie jest ważna. Obie poszły więc na kompromis - ślub będzie w kościele, a przyjęcie w pawilonie przy plaży. Xavier zaśmiewał się, opowiadając mi tę historyjkę, ubawiony niepojętymi dla niego ekscesami żeńskiej części swojej najbliższej rodziny. Nie mogłam oprzeć się przekonaniu, że jego mama doskonale dogadałaby się z Gabrielem.

Czasem odnosiłam wrażenie, że ta część życia Xaviera mnie nie dotyczy. To było trochę tak, jakby wiódł podwójną egzystencję: jedną dzielił z bliskimi i przyjaciółmi, a na drugą składało się wyłącznie jego głębokie przywiązanie do mnie.

- Nie myślisz czasami, że do siebie nie pasujemy? - zagadnęłam go, opierając podbródek na rękach i patrząc mu w oczy.

- Nie, nie myślę - odparł bez sekundy wahania. - A ty?

- Wiem jedno: to nie miało prawa się zdarzyć. Ktoś na górze po prostu się pomylił.

- Nasz związek nie jest pomyłką - stwierdził stanowczo Xavier.

- Nie twierdzą tego. Mówię tylko, że spotkaliśmy się wbrew przeznaczeniu. Z pewnością nie to było nam pisane.

- Ja tam się cieszę, że tak wyszło. Ty nie?

- Patrząc tylko na siebie, tak. Ale... - Ale?

- Ale nie chciałabym stać się dla ciebie ciężarem.

- Nie jesteś ciężarem. Potrafisz doprowadzić człowieka do szału i w ogóle nie chcesz się słuchać, ale nigdy nie bywasz ciężarem.

- Nikogo nie doprowadzam do szału!

- Zapomniałem dodać, że słaba z siebie specjalistka od ludzkich charakterów, włączając w to twój własny.

Zmierziłam mu włosy, delektując się przy okazji ich jedwabistym dotykiem.

- Sądzisz, że twoja rodzina mogłaby mnie polubić? - zapytałam.

- Bez wątplenia. W większości wypadków ufają mojemu zdrowemu rozsądkowi.

- No tak, ale jeśli uznają mnie za dziwoląga?

- Nie mają takiego zwyczaju, ale o tym już sama się przekonasz. Przyjdź do nas w tę sobotę, to ich poznasz. Od dłuższego czasu zamierzałem cię zaprosić.

- No nie wiem - próbowałam się wykręcić. - Niezbyt dobrze się czuję w towarzystwie nowych osób.

- Oni nie są nowi. Znam ich przez całe życie.

- Dla mnie są.

- To część tego, kim jestem, Beth. Dużo by dla mnie znaczyło, gdyby mogli cię poznać.

Dość się już o tobie nasłuchali.

- Co im mówiłeś?

- Tylko to, że jesteś wspaniała.

- Gdybym była wspaniała, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy.

- Nigdy nie pociągały mnie chodzące ideały. Więc przyjdiesz?

- Zastanowię się.

Skrycie liczyłam na to, że mnie zaprosi, i pragnęłam tam pójść, lecz jakaś część mojej świadomości obawiała się etykiety odmienca. Po tym, co usłyszałam na temat konserwatywnych poglądów jego mamy, nie miałam ochoty zostać poddana ocenie. Xavier poznał po mojej minie,

że coś jest nie tak.

- O co chodzi? - zapytał.

- Jeśli twoja mama jest wierząca, może rozpoznać upadłego anioła. - Wypowiedziane na głos zabrzmiało to raczej głupio.

- Nie jesteś upadłym aniołem. Musisz tak dramatyzować?

- W porównaniu z Ivy i Gabrielem jestem.

- Nie sądzę, by moja mama zwróciła na to uwagę. Przypominam ci, że ja stanąłem przed drużyną B i nie próbowałem się od tego wymigać.

- To prawda.

- W takim razie wszystko ustalone. Przyjadę do ciebie w sobotę koło siedemnastej. Zaraz zaczniesz zajęcia z literatury, odprowadzę cię.

Gdy zbierałam książki, przez stołówkę przetoczył się odgłos odległego grzmotu, zza okien zaś nagle zniknęło słońce. Niebo pociemniało i pojawiły się burzowe chmury. Wszyscy wiedzieliśmy, że ta piękna wiosenna pogoda nie potrwa długo, lecz mimo wszystko był to przykry widok. W tej części wybrzeża pora deszczowa potrafiła naprawdę dać się we znaki.

- Zaraz lunie - stwierdził Xavier, obserwując niebo.

- Zegnaj, słoneczko - jęknęłam. Za ledwie skończyłam mówić, na ziemię spadły pierwsze krople deszczu. Niebiosa rozwarły się na dobre i wkrótce poczęły płynąć z nich strugi wody, bębniąc jednostajnie w dach J stołówki.

Patrzyłam, jak uczniowie przemykają pędem przez dziedziniec, osłaniając głowy segregatorami. Kilka dziewcząt z trzeciej klasy stanęło na środku, celowo moknąc do suchej nitki i zaśmiewając się przy tym do rozpuku. Nie unikną reprimendy, stawiając się na zajęcia w ubraniach ociekających wodą. Zobaczyłam też Gabriela idącego z zatroskaną twarzą w kierunku pracowni muzycznej. Wiatr wyrócił na drugą stronę parasol, który trzymał w ręku.

- Idziesz? - zapytał Xavier.

- Zostańmy jeszcze chwilę i popatrzmy na deszcz. Na literaturze i tak niewiele się teraz dzieje.

- Odezwała się w tobie niegrzeczna Beth?

- Zdaje się, że powinieneś przemyśleć swoją definicję słowa „niegrzeczna”. Naprawdę nie mogę tu z tobą posiedzieć przez tę jedną lekcję?

- Żeby twój brat oskarżył mnie, że mam na ciebie zły wpływ? Nigdy w życiu. Przy okazji,

słyszałem, że mamy nowego ucznia, przyjechał na wymianę z Londynu. Chyba jest w twojej grupie. Nie jesteś ani trochę ciekawa?

- Niespecjalnie. Tu mam wszystko, czego mi trzeba. - Poglaskałam go po policzku, z przyjemnością wodząc palcami po doskonałych konturach jego twarzy.

Xavier jednak odsunął moją rękę, całując czubki palców, po czym zdecydowanym gestem umieścił moją dłoń z powrotem na kolanach.

- Słuchaj, ten chłopczek to może być coś w sam raz dla ciebie. Z tego, co ptaszki na drzewach ćwierkają, wynika, że wyrzucili go już z trzech szkół, a do nas przysłali po to, żeby się choć trochę naprostował. Pewnie dlatego, że tu nie tak łatwo o kłopoty. Jego ojciec jest jakąś szychą w mediach. Czy teraz jesteś zainteresowana?

- Może. Odrobinę.

- Więc idź na zajęcia i zobacz, co to za jeden.

- Dobrze, niech ci będzie. Przyjmij jednak do wiadomości, że ja mam już sumienie, które wystarczająco głośno nie daje mi spokoju. Nie potrzebuję niańki.

- Też cię kocham, Beth.

Wspominając później ten dzień, przypominałam sobie głównie deszcz oraz twarz Xaviera. Owa nagła zmiana pogody oznaczała również istotną zmianę w naszym życiu, tyle że tej nikt nie był w stanie przewidzieć. Moje życie na ziemi pełne było drobnych porażek i obaw typowych dla nastolatków, lecz wkrótce miałam się dowiedzieć, że tego rodzaju problemy to dziecinna igraszka w porównaniu z tym, co czekało się za rogiem. Sądzę, że dowiedzieliśmy się dzięki temu dużo na temat spraw, które powinny być w życiu najważniejsze. Nie wydaje mi się, abyśmy mogli tego uniknąć, bo wydarzenia te wpisane były w naszą historię od samego początku. Koniec końców, do tego momentu wszystko przebiegało względnie gładko, więc kiedyś musiało dojść do zderzenia. Nie spodziewaliśmy się jedynie, że będzie ono tak bolesne.

Bezpośredni powód tego zderzenia przyjechał aż z Anglii i nazywał się Jake Thorn.

Mroczny księżę

Mimo iż bardzo lubiłam zajęcia z literatury, nie w głowie mi były lekcje. Chciałam spędzać więcej czasu z Xavierem. Rozstanie z nim za każdym razem sprawiało mi fizyczny ból, jakby coś ścisnęło mnie głęboko w środku. Gdy dotarliśmy do drzwi klasy, chwyciłam mocniej jego rękę i przyciągnęłam go do siebie. Choćbyśmy nie wiem jak długo przebywali razem, nigdy nie miałam dość - zawsze pragnęłam więcej. Gdy w grę wchodził Xavier, przejawiałam wilczy apetyt i nie sposób było go zaspokoić.

- Nic się nie stanie, jeśli spóźnię się kilka minut - powiedziałam słodko.

- Nie ma mowy. - Xavier siłą oderwał moją rękę od rękawa swojej koszuli. - Będiesz na czas.

- Ależ się z ciebie stara ciotka zrobiła - mruknęłam. Zignorował tę uwagę, wręczając mi moje podręczniki.

Ostatnimi czasy rzadko kiedy pozwalał na to, bym niosła coś dłużej, niż było to konieczne. Musiałam się wszystkim wydawać strasznie leniwa, mając nieodmiennie u boku Xaviera, który sumiennie dźwigał za mną cały mój dobytek.

- Wiesz, że doskonale dałabym sobie sama radę z kilkoma książkami. Nie jestem inwalidką - przypomniałam mu.

- Oczywiście - odparł, posyłając mi jeden ze swych czarujących, kpiarskich uśmiechów. - Sęk w tym, że uwielbiam ci usługiwać. Nim zdołał mnie powstrzymać, zarzuciłam mu ramiona na szyję i wciągnęłam we wnękę między metalowymi szafkami. Zresztą sam był sobie winien. Kto to widział, by tak wyglądać? Te miękkie, opadające na twarz włosy, ta wychodząca niedbale ze spodni koszula i skórzana bransoletka oplatająca jego smukły opalony nadgarstek, stanowiąca z nim niemal nierozłączną całość. Jeśli nie miał ochoty być nagabywany, nie powinien był stawać w zasięgu moich rąk.

Xavier jednak upuścił na ziemię wszystko, co trzymał, i namiętnie odwzajemnił pocałunek. Jego dłonie powędrowały do mojej szyi, całym ciałem przywarł do mnie tak mocno, jak tylko było to możliwe. Ostatni śpieszący na zajęcia uczniowie gapili się na nas, nie kryjąc zainteresowania.

- Pokój se wynajmijcie! - krzyknął ktoś, ale nie zwróciłam na to uwagi.

W tamtej chwili czas i przestrzeń nie istniały - byliśmy tylko my dwoje, ukryci w swoim własnym, prywatnym wymiarze. Nie pamiętałam, ani gdzie jestem, ani nawet kim jestem. Fizyczna granica między nami się zatarła. Pomyślałam o wersie z *Dziwnych losów Jane Eyre*, kiedy to pan Rochester wyznaje Jane, iż kocha ją jak siebie samego. W dokładnie taki sam sposób odczuwałam swoją miłość do Xaviera.

I wtedy Xavier się odsunął.

- Jest pani bardzo niegrzeczna, panno Church - powiedział, dysząc ciężko, lecz z uśmiechem igrającym na ustach. Znakomicie naśladował ton wytwornego dżentelmena. - Ja zaś bezsilny się staję w obliczu twoich wdzięków. Skutkiem czego oboje spóźnimy się na zajęcia.

Szczęśliwie dla mnie panna Castle nie przywiązywała zbytnej wagi do punktualności. Gdy weszłam i zajęłam miejsce w jednym z pierwszych rzędów, wręczyła mi potrzebne do lekcji materiały.

- Witaj, Beth - powiedziała. - Omawialiśmy właśnie wprowadzenie do trzeciej części podręcznika. Postanowiłam przydzielić wam zadanie do wykonania w parach. Wraz z partnerem należy ułożyć wiersz o tematyce miłosnej, który następnie odczytany zostanie przed całą klasą. Stanowiąc to będzie swego rodzaju wstęp do analizy twórczości wielkich poetów okresu romantyzmu: Wordswortha, Shelleya, Keatsa i Byrona. Czy któreś z was ma może swój ulubiony utwór, którym chciałoby się z nami podzielić, nim zaczniemy?

- Owszem - odezwał się uprzejmy głos z końca sali. Rozejrzałam się, szukając wzrokiem właściciela wyraźnego angielskiego akcentu. W klasie zapadła pełna respektu cisza. Głos należał bowiem do nowo przybyłego. Odważnie z jego strony tak się wychylać pierwszego dnia, pomyślałam. Bo chyba niemożliwe, żeby był aż tak bardzo zadufany w sobie.

- Dziękujemy, Jake! - wykrzyknęła panna Castle z entuzjazmem. - Czy zechcesz wyjść na środek i zadeklamować go?

- Oczywiście.

Chłopiec, który przeszedł obok mnie swobodnym, niespiesznym krokiem, w niczym nie przypominał tego, co spodziewałam się zobaczyć. Coś w jego wyglądzie sprawiło, że serce podeszło mi do gardła. Był wysoki i szczupły, a ciemne, długie i proste włosy sięgały mu aż do ramion. Miał wystające kości policzkowe, przez co jego twarz wydawała się wychudzona i zapadnięta, a do tego lekko haczykowany nos. Spod nisko osadzonych brwi spoglądały ciemne oczy.

Ubrany był w czarne dżinsy i takież podkoszulek, a wokół jego przedramienia wił się wytatuowany, również czarny, wąż. W ogóle nie przejmował się faktem, że nie ma na sobie przepisowego mundurka. Co więcej, zachowywał się z pewnością siebie świadcząca o tym, iż uważa się z kogoś, kogo nie dotyczą żadne zasady. Nie dało się zaprzeczyć - był wyjątkowo ładny. Lecz miał w sobie coś więcej. Wdzięk, niewymuszona elegancję, urok osobisty - czy też może raczej mroczną stronę?

Omiótł klasę spojrzeniem, w którym tlił się ukryty żar. Nim zdążyłam pochylić głowę, pochwyił mój wzrok i nasze oczy spotkały się na kilka sekund. Przez jego twarz przemknął triumfalny uśmiech.

- *Annabel Lee*, ballada autorstwa Edgara Allana Poe'go - oznajmił gładko. - Być może zainteresuje was informacja, iż Poe ożenił się ze swą trzynastoletnią wówczas kuzynką Virginią, samemu mając lat dwadzieścia siedem. Dwa lata później zmarła na gruźlicę.

Wszyscy bez wyjątku gapili się na niego zafascynowani. Gdy zaczął mówić, wydawało się, że jego głos płynie, a następnie wypełnia klasę niczym gęsty słodki syrop.

Wiele, o wiele już temu lat.

Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi.

Żyła dziewczyna jak wonny kwiat.

Imię jej było Annabel Lee.

Jam w tym dziewczęciu miał cały świat.

A sam znów światem byłem jej.

Oboje dziećmi byliśmy tam

Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi;

Lecz jak my się kochali, snadź nie kocha.

Bóg sam, Ja i moja Annabel Lee.

Taką miłością, że z niebieskich bram

Seraf zazdrościł mnie i jej.

I to był powód, że, ach! dawno już.

Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi

Wiatr zawiał z chmury i pęd wściekły burz

Uniósł piękną Annabel Lee.

Ze jej niebieski krewny, anioł-stróż.

*Przyszedł i zabrał ją mi.
Aby ją zamknąć w grób na wieki już -
Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi.
Anioł, co w pół tak szczęśliwe wiódł dnie.
Zazdrościł szczęścia mnie i jej -
Tak to był powód (jak każdy to wie).
Nad brzegiem, gdzie ocean grzmi
Ze wiatr przeleciał w ciemnej nocy mgle.
Porywając, zabijając moją Annabel Lee.
Lecz uczuć naszych nie przemogło nic.
I wielu starszych ode mnie i jej.
Wielu mądrzejszych - kochało snadź mniej;
Ani niebieskie duchy jasnych lic.
Ani szatan pod morzem, co grzmi.
Nie oddalą śmierci falą mej duszy od jej -
Mojej pięknej Annabel Lee.
Księżyc błysnie zza mgły - wnet obiegną mnie sny.
O mojej pięknej Annabel Lee;
Gwiazd rozświecą się skry - z nich mi jasny wzrok lśni.
Mojej pięknej Annabel Lee.
Co noc czuwam tak tam, przy jej boku wciąż trwam.
Mej błogiej, mej drogiej, którą jedną tu znam.
Na brzegu, gdzie ocean grzmi, Na jej grobie nad morzem, co grzmi 6.*

Nie dało się nie zauważyć, że nim Jake skończył, każda przedstawicielka płci żeńskiej, wliczając w to pannę Castle, wpatrywała się w niego z zachwytem, jak gdyby właśnie odnalazła swego rycerza w lśniącej zbroi. Nawet ja musiałam przyznać, że robił wrażenie. Recytował przejmująco i z uczuciem, jakby Annabel Lee naprawdę była miłością jego życia. Sądząc po wyrazie ich twarzy, niektóre z dziewcząt gotowe były natychmiast wyskoczyć z ławki i przystąpić do pocieszania go.

6Przei. Zenon Przesmycki, [w:] E. A. Poe, *Poezje wybrane*, Toruń [1995].

- Cóż za ekspresyjne wykonanie - westchnęła panna Castle. - Koniecznie musimy zaprosić cię na nasz wieczorek poezji i jazzu. Dobrze, moi kochani. Jestem pewna, że będzie wam teraz znacznie łatwiej o natchnienie. Forma zależy tylko od was. Puśćcie wodze fantazji - macie pełną swobodę!

Uczniowie zaczęli się przesiadać, tworząc pary. Idąc na swoje miejsce, Jake zatrzymał się przy mnie.

- Chcesz być ze mną w parze? - wymruczał. - Słyszałem, że też jesteś tu nowa.

- Nie taka znów nowa - odparłam, ponieważ nie spodobało mi się to porównanie.

On jednak wziął moją odpowiedź za zgodę i wsunął się płynnym ruchem na krzesło obok. Oparł się wygodnie, zakładając ręce za głowę.

- Jake Thorn - przedstawił się, spoglądając na mnie ciemnymi oczami o ciężkich powiekach. Wyciągnął rękę. Chodzący przykład dobrego wychowania.

- Bethany Church - odparłam, ostrożnie podając mu dłoń. Spodziewałam się, że ją uściśnie, on jednak obrócił ją wierzchem do góry i unióś do ust w geście jakiejś absurdalnej galanterii.

- Niezmiernie miło mi panią poznać.

O mało się nie roześmiałam. Co to miało być? Co on sobie wyobraża? Spodziewa się, że potraktuję go poważnie? I byłabym się rzeczywiście roześmiała, gdyby nie to, że spojrzałam mu w oczy. Były koloru ciemnej zieleni, a w ich głębi płonął ogień. Lecz na twarzy Jake'a malował się wyraz znużenia charakterystyczny dla kogoś, kto widział na tym świecie więcej rzeczy, niż na ogół zdarza się to jego rówieśnikom. Prześliznął się po mnie wzrokiem. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że zarejestrował każdy szczegół. Nosił na szyi wisiołek: srebrny półksiężyc z wrytymi osobliwymi symbolami.

Postukał od niechcienia palcami w biurko.

- I jak? - zapytał. - Co myślisz? Gapiłam się na niego, zupełnie zbita z tropu.

- O wierszu - przypomniał, unosząc brew.

- Ty pierwszy. Ja się jeszcze muszę zastanowić.

- Dobrze. Masz może jakieś szczególne preferencje odnośnie do metafor? Lasy tropikalne,

tęcze, tego typu sprawy?

- Zaśmiał się z siebie tylko znanych powodów. - Ja osobiście mam słabość do gadów.

- To znaczy? - zapytałam z ciekawością.

- To znaczy, że bardzo je lubię.

- Wiem, co oznacza zwrot „mieć słabość do czegoś”, ale dlaczego akurat gady?

- Mają grubą skórę i w każdej sytuacji zachowują zimną krew - odparł Jake, uśmiechając się szeroko.

Nagle odwrócił się, naskrobał coś na skrawku papieru, zwinął go w kulkę i błyskawicznym ruchem rzucił, celując w dwie gotki, Alicie i Alexandrę, które siedziały po przekątnej przed nami, pochylone nad zeszytami, pisząc coś zawzięcie. Obie obejrzały się za siebie z irytacją, która jednak szybko zniknęła, gdy zorientowały się, kto je zaczepia. Przeczytały szybko karteczkę, szepcząc coś między sobą w podnieceniu. Alicia zerknęła na Jake'a spod gęstej grzywki i ledwo zauważalnie skinęła głową. Jake puścił do niej oko, po czym, zadowolony ze swoich wysiłków, usadowił się na krześle.

- Chodzi o miłość - podjął.

- Co takiego? - spytałam głupio.

- W naszym wierszu. - Popatrzył na mnie przelotnie.

- Czyżbyś znów zapomniała?

- Po prostu się zamyśliłam.

- Zastanawiasz się, co napisałem tym dziewczętom? - zapytał przewrotnie.

- Nie! - odpowiedziałam trochę za szybko.

- Staram się tylko nawiązać przyjaźnię - powiedział, zmieniając znienacka ton. Na jego twarzy zagościł wyraz rozbrajającej szczeroci. - Ciężko jest być nowym.

Nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia.

- Na pewno szybko zyskasz znajomych. Mnie wszyscy bardzo ciepło przywitali. No i zawsze chętnie cię oprowadzę, jeśli będziesz potrzebował przewodnika.

Kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu.

- Dziękuję, Bethany. Nie omieszkałam skorzystać z twojej propozycji.

Rozważaliśmy przez jakiś czas w ciszy rozmaite pomysły, aż Jake znów się odezwał:

- A co mi powiesz na temat dostępnych tu rozrywek?

- Większość osób spotyka się po prostu z przyjaciółmi, chodzi na plażę, tego typu rzeczy.

- Nie, nie. Pytałem o to, co ty możesz powiedzieć na ten temat.

- Och... - zahałam się - spędzam czas głównie z rodziną... i z chłopakiem.

- Ach, więc jest i chłopak? Bardzo pięknie. - Uśmiechnął się.

- Oczywiście należało się tego spodziewać. Byłoby dziwne, gdybyś nie była zajęta. Z taką buzią... Któż jest tym szczęśliwcem?

- Xavier Woods - odrzekłam, wprawiona w zakłopotanie jego komplementem.

- Czy zamierza może w najbliższym czasie zasilić szeregi duchowieństwa? Spojrzałam na niego spode łba.

- Xavier to piękne imię - odparłam obronnym tonem.

- Oznacza światłość. Nie słyszałeś nigdy o świętym Franciszku Ksawerym?

Znowu się uśmiechnął.

- Czy to przypadkiem nie ten, który zwariował i zamieszkał w jaskini?

- Powiedziałabym raczej, że podjął świadomą decyzję, aby żyć w prostocie, a także wyrzec się wygod, jakie niosą ze sobą dobra materialne - poprawiłam go.

- Rozumiem. Mój błąd. Poruszyłam się niespokojnie na krześle.

- Jak ci się tu podoba? - zapytał w końcu.

- Venus Cove jest miłym miejscem i dobrze się tutaj mieszka, ludzie są otwarci i szczerzy - odpowiedziałam. - Ale komuś takiemu jak ty może się wydać nudne.

- Nie sędzę - odrzekł, wpatrując się we mnie. - Już nie. Nie, gdy poznaje się osoby takie jak ty. Zadzwonił dzwonek. Spakowałam szybko podręczniki, nie mogąc się doczekać spotkania z Xavierem.

- Do zobaczenia wkrótce, Bethany - rzucił Jake. - Być może następnym razem nasza współpraca okaże się bardziej owocna.

Gdy odnalazłam Xaviera na korytarzu przy szafkach, nagle zalała mnie fala niepewności. Byłam z jakiegoś powodu niespokojna i pragnęłam jedynie znaleźć się w jego bezpiecznych ramionach, mimo iż w istocie spędzałam w nich większość dnia. Nie czekając, aż skończy chować książki, prześliznęłam się pod jego ręką i przylgnęłam do niego niczym przysawka.

- Hej - powiedział, obejmując mnie - też się cieszę, że cię widzę. Wszystko w porządku?

- Tak. - Wtuliłam twarz w koszulę Xaviera, wdychając znajomy zapach. - Po prostu się stęskniłam.

- Nie widzieliśmy się zaledwie przez godzinę - roześmiał się. - Chodź, idziemy stąd.

Wyszliśmy razem na parking. Gabriel i Ivy udzielili Xa-vierowi pozwolenia na odwożenie mnie od czasu do czasu do domu, co on uznał za olbrzymi postęp. Jego samochód stał zaparkowany jak zwykle w cieniu pod rzędem dębów. Xavier otworzył mi drzwiczki.

Nie bardzo wiedziałam, czego jego zdaniem należy się obawiać, gdyby pozostawiono mnie w tej kwestii samej sobie. Być może martwił się, iż mogłyby wylecieć z zawiasów i przygwoździć mnie do ziemi lub też że mój nadgarstek mógłby ulec zwicnięciu podczas zmagania z klamką. A może po prostu odebrał dobre staroświeckie wychowanie.

Zaczekał, aż zapnę pasy i odłożę plecak na tylne siedzenie, a potem uruchomił silnik. Gabriel poinformował go, iż jako jedyna z naszej trójki podatna jestem na zranienia i ból. W mojej ludzkiej formie można mi było zrobić krzywdę. Xavier wziął to sobie do serca i z parkingu wyjechał z wyrazem skupienia na twarzy.

Lecz nawet tak ostrożna jazda jak jego nie mogła uchronić nas przed tym, co się stało. Gdy skręcaliśmy w główną ulicę, dosłownie znikąd wyskoczył czarny błyszczący motocykl i przejechał nam wprost przed maską. Xavier wcisnął z całej siły hamulec, szarpiąc gwałtownie autem i cudem unikając zderzenia. Samochód zjechał na prawo i uderzył w krawężnik. Rzuciło mnie do przodu, lecz przytrzymał mnie pas, który następnie siłą odbicia wgniół mnie boleśnie w siedzenie. Motocykl popędził z piskiem opon ulicą, pozostawiając za sobą chmurę spalin. Xavier patrzył za nim, oniemiały, po czym szybko odwrócił się do mnie, by sprawdzić, czy nic mi się nie stało. Dopiero gdy upewnił się, że jestem cała i zdrowa, pozwolił sobie na wybuch gniewu.

- Co to, do cholery, było?! - rzucił wściekle. - Co za kretyn! Widziałaś, kto prowadził? Jeśli kiedykolwiek dowiem się, kto to był, przysięgam na Boga, że przywalę mu w ten durny łeb!

- Nie dało się nic zobaczyć, miał na głowie kask - odparłam cicho.

- Już ja go znajdę, nie ma obawy - żołądkował się Xavier. - Tu nieczęsto widuje się kawasaki ninja ZX-14.

- Skąd wiesz, jaki to był model?

- Jestem chłopakiem. Nas interesują takie rzeczy. Odwiózł mnie do domu, mierząc ponurym spojrzeniem mijające nas pojazdy oraz jadących w nich kierowców, jakby podobne zdarzenie mogło się w każdej chwili powtórzyć. Do czasu gdy zatrzymaliśmy się przed „Byronem”, zdołał chyba nieco ochłonąć.

- Zrobiłam lemoniadę - oznajmiła Ivy, otwierając nam drzwi. W fartuszku wyglądała tak swojsko i domowo, że oboje po prostu musieliśmy się uśmiechnąć. - Wejdz, Xavierze -

powiedziała. - Możesz przecież odrobić lekcje razem z Bethany.

- Och nie, dziękuję bardzo. Obiecałem mamie, że wykonam kilka zaległych prac - odparł Xavier wymijająco.

- Gabriela nie ma w domu.

- W takim razie chętnie, dziękuję.

Ivy wprowadziła nas oboje do środka i zamknęła drzwi. Z kuchni wypadł Fantom, który usłyszawszy nasze głosy, zapragnął się przywitać i zaczął ocierać się łbem o nasze nogi.

- Najpierw lekcje, później spacer - powiedziałam. Rozłożyliśmy książki na stole w jadalni. Xavier miał do skończenia referat z psychologii, ja zaś dostałam na historii satyryczną rycinę, którą należało zanalizować. Przedstawiała króla

Ludwika XVI stojącego obok tronu. Na jego twarzy malowało się samozadowolenie. Moim zadaniem było zinterpretowanie znaczenia przedmiotów znajdujących się wokół niego.

- Jak się nazywa to coś, co on trzyma? - zapytałam Xavie-ra. - Nie widzę zbyt dobrze.

- Mnie wygląda na pogrzebacza - odparł Xavier.

- Raczej wątpliwe, żeby Ludwik XVI używał pogrzebacza. To chyba będzie berło. A co on ma na sobie?

- Hmm... poncho? Przewróciłam oczami.

- Z twoją pomocą mam szansę na same szóstki.

Prawda była taka, że ani praca domowa, ani oceny, które miałam za nią otrzymać, w ogóle mnie nie interesowały. Tego, czego pragnęłam się nauczyć, nie można było znaleźć w żadnym podręczniku. Ta wiedza pochodziła z doświadczeń oraz z kontaktów z innymi ludźmi. Xavier jednak siedział zagrzebany po uszy w swoim referacie, tak więc nie chcąc mu przeszkadzać, pochyliłam głowę i skupiłam się na rycinie. Niestety, wkrótce okazało się, że moja zdolność koncentracji bardzo się pogorszyła.

- Gdybyś mógł cofnąć jeden swój uczynek, jedną rzecz, którą zrobiłeś, co by to było? - zapytałam, łaskocząc Fantoma w nos puchatą końcówką długopisu. Chwyił go w zęby, sądząc zapewne, iż ma do czynienia z jakimś zwierzątkiem, i oddalił się zwycięskim truchtem.

Xavier odłożył pióro, przyglądając mi się w zamyśleniu.

- Czy pytasz może o niezależną zmienną w stanfordzkim eksperymencie więziennym?

- Co za nudy. - Niestety, nie wszyscy na tym świecie zostali obdarzeni przez Boga wiedzą absolutną. Westchnęłam.

- Nie mogę uwierzyć, że to cię naprawdę ciekawi.

- Nie ciekawi. Ale nie mam wyjścia, Beth. Muszę dostać się na studia i zdobyć dobrą pracę, jeśli chcę iść do przodu. Taka jest rzeczywistość. - Zaśmiał się. - No, może nie twoja, ale i moja z pewnością tak.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Sama myśl o tym, że Xavier miałby się zestarzeć, wykonując dzień w dzień to samo zajęcie, po to by utrzymać rodzinę - i tak aż do śmierci - doprowadzała mnie do płaczu. Pragnęłam, aby wiódł beztrudne życie i spędził je ze mną.

- Przepraszam - powiedziałam cicho. I Przysunął swoje krzesło bliżej mnie. - Nie przepraszaj. Znacznie bardziej wolałbym robić to...

- Pochylił się i zaczął całować moje włosy, sunąc wargami niżej, aż dotarł do podbródka i wreszcie do ust.

- Znacznie bardziej wolałbym spędzać cały czas na rozmowach z tobą, przebywaniu z tobą, odkrywaniu cię - dokończył.

- Ale nie mogę ot tak porzucić moich dawnych planów tylko dlatego, że znalazłem się nagle w samym środku zwariowanej baśni, jakkolwiek może wydawać się to kuszące. Moi rodzice nadal oczekują, że dostanę się na najlepszy uniwersytet. - Ściągnął brwi. - To dla nich ważne.

- A dla ciebie? - zapytałam.

- Chyba tak. Co innego mi pozostaje?

Pokiwałam głową - wiedziałam, co to znaczy być zmuszonym dorosnąć do oczekiwań rodziny.

- Musisz robić też to, co sprawia ci przyjemność - stwierdziłam.

- Od tego mam ciebie.

- I ja mam spokojnie odrabiać lekcje, kiedy ty mówisz takie rzeczy? - jęknęłam.

- A mogę tak jeszcze długo - przekomarzał się Xavier.

- Wymyślasz je w wolnym czasie?

- I tu mnie masz. Nie robię nic innego, tylko zapisuję teksty, które mają działać na kobiety.

- Kobiety?

- Przepraszam, jedną kobietę - poprawił się, zauważywszy moje groźne spojrzenie. - Jedną kobietę wartą tysiąca innych.

- Dobra, dobra. Już się nie podlizuj.

- Jakaś ty miłosierna. - Pokręcił głową. - Jakaż współczująca i wyrozumiała.

- Nie przeginaj, kolego - powiedziałam złowieszczco. Xavier zwiesił głowę.

- Proszę o wybaczenie... rany, ale mi dowaliłaś. Wróciłam do pracy domowej z historii, a Xavier skończył referat. Została mu jeszcze cała sterta zadań do zrobienia, lecz ostatecznie okazało się, że moja obecność za bardzo go rozprasza.

Ledwo skończył rozwiązywać trzecie zadanie z trygonometrii, gdy poczułam jego rękę na swoim kolanie. Strąciłam ją delikatnie.

- Rób lekcje - powiedziałam, gdy podniósł głowę znad kartki. - Nikt nie mówił, że czas na przerwę.

Uśmiechnął się i naskrobał coś na dole arkusza z odpowiedziami. Wynik wyglądał teraz następująco: Wyznacz x , jeśli $(x) = 2\sin 3x$, przy założeniu że $-2n < x < 2n$ $xi = Beth$.

- Przestań się wygłupiać! - skarciłam go.

- Nie wygłupiam się! Stwierdzam fakt. Jesteś moim rozwiązaniem w każdym możliwym przypadku. Końcowy wynik to zawsze ty.

X nieodmiennie równa się Beth.

Klan Woodsów

Trochę obawiałam się sobotniego spotkania z rodziną Xaviera. Ponawiał zaproszenie już kilka razy, nie było więc sposobu odmówić tak, by nie wyglądało na to, iż nie mam ochoty tam iść. Dla niego zresztą odmowa nie wchodziła w grę.

Problem tak naprawdę nie polegał na tym, że nie chciałam ich poznać, przerażała mnie raczej myśl o ich reakcji na moją osobę.

W szkole, po tym jak opadły emocje związane z pierwszym dniem, nie przejmowałam się nigdy zaniepokojeniem, jak postrzegają mnie moi rówieśnicy. Lecz w przypadku rodziny Xaviera wyglądało to zupełnie inaczej; chciałam, by mnie polubiliby uznali, iż wniosłam do jego życia coś pozytywnego. Ujmując rzecz najkrócej: zależało mi na ich aprobachie. Molly opowiadała mi niekończące się historie o swoim byłym chłopaku, Kyle'u, którego jej rodzice serdecznie nie znosili - do tego stopnia, że odmówili mu wstępu do domu. Byłam przekonana, iż klan Woodsów nie będzie miał podstaw, by posuwać się do tak drastycznych rozwiązań wobec mnie, niemniej brak sympatii z ich strony mógłby niekorzystnie wpłynąć na uczucia, jakie żywił do mnie Xavier.

W sobotę auto Xaviera zajęchało na nasz podjazd równiutko za dwie minuty pięta, tak jak zostało ustalone. Ruszyliśmy do jego domu, który znajdował się po drugiej stronie miasteczka, w odległości około dziesięciu minut jazdy samochodem. Gdy skręcaliśmy we właściwą uliczkę, w mojej głowie kłębiło się już ze sto czarnych myśli. A jeśli uznają, że moja blada cera to wynik choroby lub uzależnienia od narkotyków? A jeśli dojdą do wniosku, że nie jestem wystarczająco dobra dla Xavie-ra, że stać go na lepszą dziewczynę? A jeśli niechcący powiem lub zrobię coś niewłaściwego, jak to się często dzieje, gdy się denerwuję? A jeśli jego rodzice - są przecież lekarzami - zauważą, iż różnię się od innych ludzi? Czyż nie na tym polega ich praca? A jeśli Claire lub Nicola stwierdzą, iż mój strój jest niemodny? No, tu akurat mogłam być spokojna, ponieważ to Ivy pomagała mi się ubrać. Wybrałyśmy granatową, lekko przymarszczoną sukienkę z okrągłym kołnierzykiem, zapinaną z przodu na kremowe guziczki. Molly nazwałaby ją stylową i „bardzo francuską”. Lecz wszystko inne pozostawało jednym wielkim znakiem zapytania.

- Błagam, uspokój się! - powiedział Xavier, gdy po raz dziesiąty poprawiałam włosy oraz wyglądałam sukienkę. - Aż tutaj słyszeć, jak wali ci serce. To porządni, bogobojni ludzie. Są

wręcz zobowiązani do tego, by cię polubić. Jeśli nawet tak się nie stanie, czego w ogóle nie biorę pod uwagę, nie dadzą ci tego odczuć. Ale zobaczysz, że będą tobą zachwyceni. Już są.

- Jak to?

- Opowiadałem im o tobie. Od dawna marzą, żeby cię poznać osobiście - oznajmił. - Więc przestań już zachowywać się, jakbyś miała stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

- Mógłbyś okazać nieco więcej wyrozumiałości - odparłam rozdrażniona. - Naprawdę mam się o co martwić. Potrafisz być okropny!

Xavier wybuchnął śmiechem.

- Czy ja dobrze słyszałem? Uważasz, że jestem okropny?

- Jak najbardziej. W ogóle cię nie obchodzi, że się denerwuję!

- Oczywiście, że mnie obchodzi - zapewnił cierpliwie. - Ale tłumaczę ci, że nie masz powodu do obaw. Moja mama już cię uwielbia, wszyscy bardzo się cieszą na tę wizytę. Przez jakiś czas podejrzewali nawet, że sobie ciebie wymyśliłem. Mówię ci to po to, żeby podnieść cię na duchu, ponieważ właśnie mnie obchodzisz. A teraz żądam, abyś wycofała tę zniewagę. Nie mogę żyć z piętnem osoby, która została uznana za okropną!

- Dobrze, wycofuję. - Roześmiałam się. - Ale straszny z siebie osioł.

- Moje poczucie własnej wartości dostaje dzisiaj poważnie w kość - stwierdził, kręcąc głową. - Najpierw jestem okropny, zaraz potem nazywa się mnie osłem... Krótko mówiąc, wyszedłem na okropnego osła.

- Po prostu się niepokoję. - Śmiech zamarł mi na ustach. - A jeśli porównają mnie z Emily? A jeśli okaże się, że ich zdaniem nie dorastam jej do pięt?

- Beth - Xavier ujął moją twarz w dłonie i zmusił mnie, bym na niego spojrzała - jesteś niewiarygodna. Od razu to zobaczą. Poza tym moja mama nie lubiła Emily.

- Dlaczego?

- Była zbyt impulsywna.

- Jak to? - dopytywałam się zdezorientowana.

- Miała pewne problemy. Jej rodzice się rozwiedli, nie widywała ojca i czasem robiła różne rzeczy bez zastanowienia. Na szczęście zawsze byłem w pobliżu i dzięki Bogu nigdy nic się nie stało, ale nie zaskarbiło jej to szczególnej sympatii mojej rodziny.

- Gdybyś mógł cofnąć czas i ją odzyskać, zrobiłbyś to? - zapytałam.

- Emily nie żyje. Tak wybrał za nas los. I wtedy pojawiłaś się ty. Owszem, kiedyś ją

kochałem, lecz teraz Kocham Ciebie. Gdyby dziś wróciła, nadal byłaby drogą mi przyjaciółką, ale to z Tobą chciałbym się spotykać.

- Przepraszam cię. Czasem po prostu myślę sobie, że jesteś ze mną, ponieważ utraciłeś miłość, która była ci przeznaczona.

- Naprawdę tego nie widzisz, Beth? - zapytał Xavier z naciskiem. - Emily nigdy nie była moim przeznaczeniem. Miałem ją pokochać i utracić. To ty jesteś mi pisana.

- Już chyba rozumiem. - Ujęłam jego dłoń, ściskając ją delikatnie. - Dziękuję, że mi to wyjaśniłeś. Wiem, że zachowuję się jak małe dziecko.

Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Rozkoszne dziecko.

Już sam wygląd domu Xaviera sugerował, iż jego mieszkańcy cenią sobie wygodę. Był to okazały, niedawno postawiony budynek w stylu neogeorgiańskim, okolony schludnie przystrzyżonym żywopłotem, z kolumnami przy lśniących czystością frontowych drzwiach. Wewnątrz wszystkie ściany pomalowane zostały na biało, na podłogach położono parkiet. Z przodu znajdował się komfortowo urządzony salon, podczas gdy dalej stworzono obszerną, otwartą przestrzeń, z której wychodziło się na taras i basen. Tam właśnie cała ośmioosobowa rodzina spędzała najwięcej czasu. Naprzeciwko płaskiego, zawieszzonego na ścianie telewizora stały sofy przykryte puszystymi narzutami. Stół przeznaczony do posiłków zavalony był różnymi dziewczęcymi akcesoriami, w rogu tkwił zapomniany kosz pełen świeżo poskładanych upranych ubrań, a przy drzwiach prowadzących do tylnego wyjścia stały w rzędzie różnokolorowe tenisówki. W narożniku po przekątnej od telewizora urządzono kącik do zabawy, wypełniony lalkami Barbie, ciężarówkami i układankami, które miały zapewnić zajęcie najmłodszemu. W koszyku leżał zwinięty w kłębek rudy kot.

Być może miało to coś wspólnego z zapachem gotowanego jedzenia, unoszącym się w powietrzu, lub dochodzącymi zewsząd głosami nawołujących się domowników, niemniej w miejscu tym, pomimo jego rozmiarów, panowała przyjemna, gościnna atmosfera.

Xavier zaprowadził mnie do przestronnej kuchni, gdzie jego mama gorączkowo kończyła przygotowywać obiad, usiłując jednocześnie choć trochę posprzątać. Mimo iż wszystkie czynności wykonywała w olbrzymim pośpiechu, znalazła czas, by przywitać mnie ciepłym uśmiechem, gdy stanęłam w drzwiach. Natychmiast rozpoznałam w jej twarzy rysy Xaviera. Mieli takie same proste nosy oraz oczy w intensywnym błękitnym kolorze.

- Beth! - wykrzyknęła, stawiając na płycie kuchennej ronderek, a następnie podchodząc, by mnie objąć. - Tyle o tobie słyszeliśmy. Ja jestem Bernadette, ale możesz mówić mi Bernie, jak wszyscy.

- Bardzo mi miło panią poznać. Czy mogę jakoś pomóc? - zapytałam.

- No proszę. Dużo bym dała, aby częściej słyszeć te słowa.

Wziąwszy mnie pod rękę, wskazała stosik serwetek do złożenia oraz talerzy do wytarcia. Tymczasem do kuchni zajrzał ojciec

Xaviera, który zajęty był rozpalaniem grilla ustawionego na tarasie w cieniu białej płóciennej markizy. Był wysoki, szczupły, ze strzechą brązowych włosów. Nosił okrągłe profesorskie okulary. Patrząc na niego, wiedziałam już, po kim Xavier odziedziczył sylwetkę.

- Już ją zagoniliście do roboty - stwierdził ze śmiechem, podając mi rękę i przedstawiając się jako Peter.

Uściskawszy moje ramię pełnym otuchy gestem, Xavier wyszedł, by pomóc ojcu przy grillu. Nakrywając do stołu, chłonęłam rozkoszny, pełen domowego ciepła rozgardiasz panujący wokół. W telewizji leciał akurat mecz koszykówki, z góry dochodziły odgłosy biegających stóp, ktoś ćwiczył na klarnecie jakąś prostą dziecinną melodię. Mama Xaviera krzątała się, znosząc do pokoju półmiski. Wszystko to było tak cudownie normalne.

- Przepraszam za ten bałagan - tłumaczyła się. - Kilka dni temu mieliśmy urodziny Jasmine i od tej pory panuje tu chaos. Uśmiechnęłam się. Dla mnie nawet największy nieporządek nie miał żadnego znaczenia - czułam się tam zaskakująco dobrze.

- Mówiłam ci, że masz nie ruszać moich ostrzy! - wrzasnął dziewczęcy głos przy akompaniamencie donośnego tupania towarzyszącego schodzeniu po schodach.

Xavier, który wrócił na chwilę po talerze, westchnął z przekąsem.

- Ostatnia okazja, żeby stąd uciec - wymamrotał mi do ucha.

- Na litość boską, masz ich przecież całą paczkę, przestań jęczeć! - tłumaczył inny głos.

- A właśnie że to było jedyne, a teraz jest całe ubabrane! Przez ciebie! - Rozległ się huk zamykanych z impetem drzwi i na dole pojawiła się dziewczyna o brązowych lokach, które podtrzymywała opaska. Miała na sobie legginsy z lycry, jakby właśnie oderwała się od ćwiczeń, oraz czerwony podkoszulek bez rękawów.

- Mamo, czy mogłabyś zabronić Claire wchodzić do mojego pokoju? - zażądała z pretensją.

- Wcale do ciebie nie wchodziłam, zostawiłaś je w łazience! - krzyknęła Claire przez drzwi.

- Wyprowadź się już wreszcie i zamieszkaż z tym swoim Lukiem! - ryknęła w odpowiedzi siostra.

- Zapewniam cię, że o niczym innym nie marzę!

- Nienawidzę cię! Co za chamstwo. - W tym momencie dziewczyna najwyraźniej zdała sobie sprawę z mojej obecności i zaniechała na moment awanturowania się, by dokładnie mi się przyjrzeć.

- A to kto? - zapytała opryskliwie.

- Nicola! - przywołała ją do porządku pani Woods. - Jak ty się zachowujesz? To jest Beth. Beth, to moja piętnastoletnia córka

Nicola.

- Cześć - rzuciła Nicola niechętnie. - Nie mam pojęcia, co takiego w nim widzisz - dodała, pokazując głową w stronę Xaviera. - To kompletny kretyn, a jego dowcipy są czerstwe jak stary chleb.

- Nicola przechodzi właśnie przez okres młodzieńczego buntu i biedaczka straciła poczucie humoru - wyjaśnił Xavier. - W innym wypadku potrafiłaby bez wątpienia docenić moją błyskotliwą inteligencję.

Nicola posłała mu mordercze spojrzenie. Oszczędzono mi konieczności obmyślenia stosownej odpowiedzi, ponieważ weszła właśnie najstarsza siostra Xaviera, Claire. Miała włosy proste jak on, rozpuszczone sięgały jej do ramion. Ubrana była w czarny włóczkowy sweter oraz wysokie botki. Mimo wcześniejszych krzyków uśmiechała się przyjaźnie.

- Hej, Xavier, nie mówiłeś nic o tym, że Beth jest taka śliczna - powiedziała, podchodząc do mnie i obejmując serdecznie.

- A mnie się wydaje, że mówiłem - odparł na to.

- W takim razie nie uwierzyliśmy ci - zaśmiała się Claire. - Cześć, Beth. Witaj w naszym małym zoo.

- Gratulacje z powodu zaręczyn - powiedziałam.

- Dzięki, ale teraz kosztuje mnie to przede wszystkim masę nerwów. Nie wiem, czy Xavier ci mówił. Wczoraj zadzwonili z firmy cateringowej, żeby mi oznajmić, że...

Xavier uśmiechnął się i zostawił nas, abyśmy sobie w spokoju porozmawiały. Nie miałam zbyt dużo do powiedzenia, lecz Claire swobodnie rozprawiła o szczegółach związanych z organizacją wesela, ja zaś z wielką przyjemnością jej słuchałam. Zastanawiało mnie, dlaczego tak

radosna przecież uroczystość niesie ze sobą takie kłopoty. Z opowieści Claire wynikało, iż napotyka ona same przeciwności. Wszystko się psuło i Claire zaczynała powoli wierzyć, że ma wyjątkowego pecha. Usiłowała sobie nawet przypomnieć, czy aby nie stłukła ostatnio jakiegoś lustra.

Do kuchni weszła pani Woods, szukając Xaviera, który właśnie w tej chwili wetknął głowę przez tylne drzwi. W ręku dzierżył szczypce.

- Xavier, skarbie, leć na górę i przyprowadź maluchy, żeby mogły poznać Beth. Oglądają *Króla Lwa*. - Odwróciła się do mnie. - To jedyny sposób, by były cicho choć przez pół godziny.

Xavier puścił do mnie oko i zniknął w korytarzu. Kilka minut później usłyszałam, jak schodzi po schodach. Towarzyszył mu energiczny tupot małych bosych stopek.

Do pokoju wpadli Jasmine, Madeline oraz Michael. Na mój widok cała trójka stanęła jak wryta, przyglądając mi się w sposób, w jaki potrafią robić to bezkarnie tylko małe dzieci. Madeline i Michael byli najmłodszy. Oboje mieli jasne włosy, duże brązowe oczy i buzie usmarowane od zajadania się czekoladowymi herbatnikami. Jasmine, która właśnie skończyła dziewięć lat, wyglądała na bardzo poważną dziewczynkę. Miała wielkie błękitne oczy, a jej długie blond włosy przytrzymała satynowa wstążka, przez co wyglądała zupełnie jak Alicja z Krainy Czarów.

- Beth! - zakrzyknęli chórem Michael i Madeline, pokonując początkową nieśmiałość. Podbiegli do mnie, po czym każde uwiesiło się u jednej z moich rąk, ciągnąc co sił do kącika z zabawkami. Mama Xaviera przyglądała się temu z obawą, lecz ja czułam się doskonale. Bardzo lubiłam dusze dzieci, więc taka sytuacja nie była dla mnie niczym nowym. No, może z wyjątkiem hałasu.

- Pobawisz się z nami? - prosiły.

- Nie teraz - odezwała się pani Woods. - Poczekajcie, aż zjemy obiad. Jeszcze zdążycie zamęczyć biedną Beth.

- Ja siadam przy stole obok Beth - oznajmił Michael.

- A właśnie że ja! - zawołała Madeline, odpychając go.

- Pierwsza ją zobaczyłam!

- Wcale że nie!

- Wcale że tak!

- Hej, hej, oboje możecie usiąść obok Beth - powiedziała Claire, łapiąc ich oboje i

łaskocząc.

Nagle zdałam sobie sprawę, że przy moim boku pojawiła się jakaś drobna figurka. To Jasmine zerkała w górę, spoglądając na mnie wielkimi jasnymi oczami.

- Robią okropnie dużo zamieszania - powiedziała miękko.

- Ja wolę, gdy jest cicho.

Xavier, który podszedł do mnie już jakiś czas temu, zaśmiał się i zmierzwił jej włosy.

- Ta panna tutaj lubi bujać w obłokach - rzeki. - Ciągłe marzy o wróżkach.

- Ja wierzę we wróżki - powiedziała Jasmine. - A ty?

- Zdecydowanie tak - odparłam, klękając obok niej. - I to nie tylko we wróżki. Wierzę też w różne inne baśniowe stworzenia, w syreny i anioły.

- Naprawdę?

- Oczywiście. I powiem ci w sekrecie, że zdarza mi się je widywać.

Oczy Jasmine zrobiły się okrągłe jak talerzyki, a jej małe różowe usteczka otworzyły się ze zdumienia.

- Widujesz je? Och, jak ja bym chciała móc je zobaczyć.

- Ależ możesz. Musisz tylko uważnie się rozglądać. Niekiedy można spotkać je w miejscach, w których najmniej byś się ich spodziewała.

Gdy nadeszła pora posiłku, zorientowałam się, iż rodzice Xaviera naszykowali całą ucztę. Spoglądając na półmiski pełne wieprzowiny z grilla, kiełbasek i żeberek, poczułam niepokój. Xavier najwyraźniej zapomniał powiedzieć im, iż nie jem mięsa. I to nawet nie tyle z powodu zasad, ile dlatego, że nasz organizm wyjątkowo źle je znosił. Z trudnością przychodziło nam je trawić i czuliśmy się po nim ociężali. Zresztą nawet gdyby było inaczej, i tak nie miałabym na nie najmniejszej ochoty. Już sama myśl o mięsie powodowała, że żołądek wywracał mi się na drugą stronę. Widziałam jednak, że państwo Woods się napracowali, i nie miałam serca im o tym mówić. Na szczęście okazało się, że nie muszę.

- Beth nie je mięsa - rzucił Xavier beztrąsko. - Nie mówiłem wam?

- A dlaczego? - chciała wiedzieć Nicole.

- Poszukaj sobie w słowniku wyrazu „wegetarianin” - poradził jej ironicznie.

- Rozumiem, kochanie - powiedziała jego mama, biorąc mój talerz i nakładając na niego stos pieczonych ziemniaków, grillowanych warzyw oraz sałatki ryżowej. - To żaden problem. - Dokładała kolejne łyżki, mimo iż nie było już na nie miejsca.

- Mamo... - Xavier wziął od niej wypełniony do granic możliwości talerz i postawił go przede mną. - Beth nie będzie w stanie tego zjeść.

Gdy wszyscy zostali obsłużeni, Nicola wzięła widelec, zamierzając nabrać porcję ryżu. Pani Woods zgromiła ją wzrokiem.

- Xavier, skarbie, zmówisz modlitwę?

Nicola teatralnym gestem upuściła trzymany w ręku sztuciec, który z głośnym brzękiem upadł na talerz.

- Cśś - skarciła ją Jasmine i wszyscy pochylili głowy. Claire przytrzymała Madeline i Michaela, żeby się nie wiercili.

Xavier się przeżegnał.

- Pobłogosław, Panie Boże, nas i ten posiłek oraz tych, którzy go przygotowali, i naucz nas dzielić się chlebem i radością ze wszystkimi. Przez Chrystusa Pana naszego. Amen.

Skończywszy, podniósł wzrok i nim odwrócił głowę, by upić łyk oranżady, na ułamek sekundy nasze oczy się spotkały. Zobaczyłam w nich zrozumienie, ujrzałam łączącą nas wiarę i w tej jednej chwili kochałam go bardziej niż kiedykolwiek.

- Beth - odezwał się jego ojciec - Xavier opowiadał nam, że przeprowadziłaś się tutaj z rodzeństwem.

- Zgadza się. - Czułam, jak jedzenie staje mi w gardle. Spodziewałam się zaraz usłyszeć pytanie, które nieuchronnie musiało paść:

„A co z twoimi rodzicami?”. Lecz nic takiego nie nastąpiło.

- Chętnie bym ich poznała - powiedziała zamiast tego mama. - Czy również są wegetarianami?

Uśmiechnęłam się.

- Wszyscy jesteśmy.

- To jakieś nienormalne - stwierdziła Nicola.

Pani Woods omal nie zabiła jej wzrokiem, lecz Xavier się roześmiał.

- Obawiam się, że czeka cię spore rozczarowanie, Nic. Mnóstwo ludzi na całym świecie nie je mięsa - powiedział.

- Jesteś dziewczyną Xaviera? - spytał Michael, przesuwając palcem ziarenka fasoli na swoim talerzu, a następnie dźgając je widelcem.

- Nie baw się jedzeniem - upomniała go mama, lecz Michael jej nie słuchał. Patrzył na

mnie, czekając na odpowiedź. Rzuciłam okiem na Xaviera, niepewna, co wypada, a czego nie wypada mówić przy jego rodzinie.

- Ale ze mnie szczęściarz, co? - powiedział Xavier, zwracając się do braciszka.

- Jezu, tylko nie to - jęknęła Nicola, lecz Claire uciszyła ją, dając jej kuksańca.

- Ja też niedługo będę miał dziewczynę - oznajmił Michael poważnie i wszyscy się roześmiali.

- Masz na to jeszcze mnóstwo czasu, mały - odparł jego tata. - Nie ma powodu do pośpiechu.

- Ja tam nie chcę z nikim chodzić, tatusiu - oznajmiła Madeline. - Chłopcy to okropne brudasy i robią straszny bałagan przy jedzeniu.

- W wieku lat sześciu na pewno - zachichota! Xavier. - Ale nie martw się, z czasem im to prawie całkiem przechodzi.

- Nawet jeśli to prawda, to ja i tak nie chcę - upierała się przy swoim Madeline.

- I masz rację - rzuciła Nicola.

- Co ty wygadujesz? Przecież sama masz chłopaka - przypomniał jej Xavier. - Chociaż u ciebie to i tak na jedno wychodzi.

- Nie twój interes - odparowała Nicola. - A poza tym już od dobrych dwóch godzin nie mam żadnego chłopaka. Nikt oprócz mnie nie wydawał się szczególnie przejęty tą informacją.

- Ojej, to bardzo przykre! - powiedziałam. - Jak się czujesz? Claire się zaśmiała.

- Ona i Hamish zrywają ze sobą co najmniej raz w tygodniu - wyjaśniła. - Na ogół przed weekendem się schodzą. Nicola zrobiła urażoną minę.

- Tym razem to już definitywny koniec. A czuję się dobrze, Beth. Miło, że zapytałaś. - Popatrzyła na pozostałych spode łba.

- Nicola zostanie starą panną - oświadczył Michael, chichocząc.

- Co takiego? - warknęła. - Skąd ty w ogóle znasz takie słowa? Masz tylko cztery lata.

- Mamusia tak powiedziała.

Pani Woods zakaszlała gwałtownie, niemal się dławiąc, podczas gdy jej mąż wraz z Xavierem dusili się ze śmiechu, zasłaniając usta serwetkami.

- Dziękuję bardzo, Michaelu - powiedziała wreszcie mama. - Chodziło mi o to, że być może warto byłoby zastanowić się nad tym, jak traktujesz innych, bo mało kto to wytrzyma. Nie

musisz bez przerwy o wszystko się wściekać.

- Ja się nie wściekam! - wrzasnęła Nicola, waląc szklanką w stół i rozchlapując częściowo jej zawartość.

- Rzuciłaś w Hamisha piłką tenisową - wtrąciła się Claire.

- Powiedział, że moja sukienka jest za krótka!

- I co w związku z tym? - zainteresował się Xavier.

- Powinien był zachować tę opinię dla siebie. Stanowczo za dużo sobie pozwała.

- I dlatego należało rozwalić mu głowę piłką do tenisa - przytaknął skwapliwie Xavier. -

Wszystko jasne.

- Tak się cieszę, że mamy wreszcie okazję gościć na obiedzie dziewczynę - odezwała się pani Woods, nim wisząca w powietrzu awantura zdołała nabrać rumieńców. - Lukę i Hamish przychodzą do nas bardzo często, jednak Beth to zupełnie co innego.

- Dziękuję - odrzekłam. - Ja także bardzo się cieszę, że mogę tu dzisiaj być.

Zadzwoił telefon komórkowy Claire, wstała więc od stołu, by odebrać. Zaledwie kilka sekund później wróciła, zakrywając dłonią mikrofon.

- To Luke. Spóźnia się, ale powinien niedługo przyjechać. - Zrobiła pauzę. - Byłoby o wiele wygodniej, gdyby mógł zostać na noc.

- Wiesz dobrze, co ja i ojciec sądzimy na ten temat - odparła jej mama. - Rozmawialiśmy już o tym. Claire spojrzała błagalnie na pana Woodsa, który udawał, że jest bez reszty pochłonięty jedzeniem.

- Ja tu nie decyduję - wymamrotał z zakłopotaniem.

- Czy nie pora już machnąć na to ręką? - wtrącił się Xavier. - Przecież biorą ślub.

Lecz pani Woods pozostała niewzruszona. - To nie uchodzi. Pomyśl tylko, jaki przykład dalibyśmy pozostałym dzieciom. - Xavier oparł głowę na rękach.

- Mógłby spać w pokoju gościnnym.

- Zgłaszasz się na ochotnika, aby przez całą noc pełnić wartę? Tak myślałam. Dopóki mieszkanie pod naszym dachem, dopóty to my, wasi rodzice, będziemy ustalali zasady.

Xavier jęknął na znak, że słyszał już tę przemowę.

- Nie ma powodu się tak zachowywać - zwróciła mu uwagę matka. - Wychowuję moje dzieci tak, by wyznawały pewne wartości. Nie będzie w tej rodzinie przyzwolenia na seks przedmałżeński. Mam nadzieję, że ty nie zmieniłeś zdania w tej sprawie?

- W żadnym razie! - zapewnił Xavier z komiczną powagą. - Już sam pomysł napawa mnie obrzydzeniem.

Tu jego siostry nie wytrzymały i chóralny wybuch śmiechu, który nastąpił po tych słowach, rozjaśnił panujący przy stole nastrój. W okamgnieniu przyłączyło się do nich także i młodsze rodzeństwo, które nie miało co prawda pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale nie życzyło sobie pozostać w tyle.

- Przepraszam cię, Beth - powiedziała Claire, gdy zdołała już złapać oddech. - Mama lubi czasem wygłosić małe przemówienie i jest pod tym względem zupełnie nieprzewidywalna.

- Nie ma za co przepraszać, moja droga. Jestem przekonana, że Beth doskonale rozumie, o czym mówię. Wygląda na niezwykle rozsądną osobę. Czy twoja rodzina jest wierząca?

- Bardzo - odparłam z uśmiechem. - Myślę, że by się pani spodobała.

Resztę wieczoru spędziliśmy, rozmawiając na mniej kontrowersyjne tematy. Pani Woods zadawała mnóstwo tak zwanych neutralnych pytań, z rodzaju tych o ulubione przedmioty w szkole czy plany na przyszłość. Xavier przewidział taki obrót spraw, przygotowałam więc zczasu stosowne odpowiedzi i miałam je starannie przećwiczone. Claire przyniosła z pokoju grube czasopismo z poradami dla pań młodych, chcąc poznać moje zdanie na temat niezliczonej ilości sukien oraz rodzajów tortów weselnych. Nicola snuła się nadąsana, odpowiedzi udzielając wyłącznie w formie sarkastycznych uwag. Podczas deseru maluchy wdrapały mi się na kolana, pan Woods zaś raczył wszystkich dowcipami, które Jasmine nazywała jego „specjalnością”. Xavier natomiast siedział, obejmując mnie z wyrazem błęgiego zadowolenia na twarzy, tylko od czasu do czasu rzucając jakiś komentarz.

Czas spędzony u państwa Woodsów był najbliższy temu, co mogłabym nazwać „ziemską normalnością”, i cieszyłam się każdą minutą. Rodzina Xaviera, mimo drobnych utarczek, była tak mocno ze sobą związana, tak się kochająca, tak bardzo ludzka, a ja ponad wszystko pragnęłam, by tego rodzaju więź stała się i moim udziałem. Doskonale znali nawzajem swoje słabe i mocne strony, a mimo to się akceptowali. Podziwiałam ich niesamowitą otwartość oraz to, ile o sobie wiedzą - łącznie z takimi drobiazgami, jak ulubione smaki lodów czy gust filmowy.

- Powinnam iść na nowego Bonda? - zapytała w pewnym momencie Nicola.

- Nie spodoba ci się, Nic - odparł Xavier. - Jak dla ciebie za dużo akcji.

Gabriela, Ivy i mnie łączyło nieograniczone niemal zaufanie, lecz nie dzieliliśmy się praktycznie żadnymi szczegółami na swój temat. Większość naszych refleksji i przemyśleń

pozostawała w ukryciu, nigdy niewyrażona. Być może wynikało to z tego, iż nikt nie oczekiwał od nas posiadania osobowości. Nie poświęcaliśmy więc czasu na kształtowanie ich. Jako widzowie raczej niż uczestnicy nie musieliśmy podejmować żadnych decyzji, rozwiązywać żadnych moralnych dylematów. Życie w harmonii ze wszechświatem sprawiło, iż nie wykształciła się w nas potrzeba nawiązywania bliższego kontaktu. Jedynym uczuciem, jakiego mieliśmy doświadczać, była miłość do wszelkiego żywego stworzenia.

Z nieprzyjemnym ukłuciem zdałam sobie sprawę, iż zaczynam o wiele silniej utożsamiać się z rasą ludzką niż własną. Ludzie świadomie dążyli do tworzenia głębokich więzi. Wzajemna bliskość zarówno przerażała ich, jak i pociągała. W rodzinie nie sposób było cegokolwiek ukryć. Jeśli Nicola miała zły humor, wiedzieli o tym wszyscy. Jeśli ich matka się na kimś zawiodła, wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz, by to zrozumieć. Wszelkie próby stwarzania pozorów byłyby stratą czasu i energii.

Pod koniec wieczoru byłam Xavierowi ogromnie wdzięczna. Zapraszając mnie, abym mogła poznać jego rodzinę, ofiarował mi wspaniały podarunek.

- Jak się czujesz? - zapytał, gdy odwoził mnie do domu.

- Wykończona - przyznałam. - Ale szczęśliwa.

Tej nocy rozmyślałam o czymś, co nigdy wcześniej jakoś nie przyszło mi do głowy. Pani Woods wspomniała o seksie przed ślubem, a we mnie na te słowa coś drgnęło. Doskonale wiedziałam, że Xavier i ja moglibyśmy go uprawiać, ponieważ przyjąwszy ludzką postać, zdolna byłam do każdej formy fizycznego kontaktu z drugim człowiekiem. Jakie jednak byłyby tego konsekwencje?

Ostatecznie postanowiłam poruszyć ten temat w rozmowie z Ivy... tyle że innym razem. Nie chciałam psuć sobie radosnego nastroju.

Ostrzeżenie

Otworzywszy drzwi klasy, zastałam Jake'a Thorna siedzącego w niedbałej pozie na brzegu biurka panny Castle, z oczami utkwionymi w jej zaczerwienionej twarzy. Zrozumiałam, że nie usłyszeli, jak wchodzę, gdyż żadne z nich nie odwróciło się w moją stronę. Lśniące ciemne włosy Jake'a zaczesane były tego dnia gładko do tyłu. Jego kości policzkowe wydawały się jeszcze bardziej wydatne niż zwykle, oczy zaś, zielone i kocie, obserwowały pannę Castle w hipnotycznym niemal skupieniu, z jakim wąż zazwyczaj przypatruje się swej ofierze tuż przed atakiem. Na biurku leżała czerwona róża, a szczupła dłoń Jake'a spoczywała delikatnie na ręce nauczycielki. W klasie panowała cisza, przerywana jedynie jej gorączkowym oddechem.

- To niestosowne - wyszeptała.
- Według kogo? - Głos Jake'a był niski i przesycony pewnością siebie.
- Według władz szkoły, chociażby. Jesteś moim uczniem! Jake zachichotał ochryple.
- Jestem już dorosły. Mogę sam o sobie decydować.
- A jeśli nas przyłapią? Stracę posadę, nigdzie nie dostanę pracy jako nauczycielka, nie...

Usłyszałam, jak panna Castle gwałtownie nabiera powietrza. Jake przycisnął palec do jej ust, po czym zsunął go powoli niżej, zatrzymując się na wgłębieniu u nasady szyi.

- Będziemy uważali.

W chwili gdy pochylił się ku niej, a ona w odpowiedzi przymknęła oczy, tuż za mną rozległ się głośny huk, po nim zaś nastąpiła seria przekleństw. To Ben, który właśnie przyszedł, przytrzasnął niechcący drzwiami swoją szkolną torbę. Jake błyskawicznie zeskoczył z biurka, zwinny niczym kot, podczas gdy roztrzęsiona panna Castle zajęła się pośpiesznie przekładaniem kartek, starając się ukradkiem przygłodzić włosy.

- Cześć - mruknął Ben, przeciskając się obok mnie na swoje miejsce, nieświadomy, w czym przeszkodził. Rzucił się na krzesło i popatrzył ze złością na zegarek. - Nawet nie jestem spóźniony.

Powoli zaczęli schodzić się pozostali uczniowie, usiadłam więc za nim i zaczęłam z uwagą przyglądać się stolikowi. Na blacie ktoś wyrył słowa: „Angielski to śmierć. Śmierć to bzdura”. Nie chciałam patrzeć na Jake'a. Zaszokowało mnie to, co widziałam. Zdawałam sobie oczywiście sprawę, że nie ma żadnego powodu, by tak się tym przejmować. Jake skończył osiemnaście lat i

miał prawo czynić awanse, komu tylko chciał. Co więcej, w ogóle nie powinno mnie to obchodzić.

Powinłam była przewidzieć, iż nie pozwoli mi się zignorować. Wsunął się na miejsce obok mnie.

- Witaj - odezwał się głosem zniewalającym i miękkim jak aksamit, lecz wyraz jego oczu zniewalał jeszcze bardziej. Gdy raz się w nie spojrzało, trudno było odwrócić wzrok.

W szkole zaszły niemałe zmiany. Trudno byłoby wskazać, co konkretnie się zmieniło oraz kiedy, lecz atmosfera była zupełnie inna. Tam, gdzie w dniu naszego przybycia dominowały różnice, dziś panowała jedność. Nigdy przedtem rozmaite formy wspólnej aktywności nie cieszyły się taką popularnością, a sądząc po plakatach, które pojawiały się w każdym niemal zakątku budynku, wzrosła także świadomość dotycząca ogólnoswiatowych problemów. Nie mogłam sobie niestety przypisać żadnych zasług w tej kwestii, bo byłam za bardzo zajęta przystosowywaniem się do nowej sytuacji oraz pogłębianiem znajomości z Xavierem, by planować coś więcej. Wiedziałam doskonale, iż cała ta pozytywna energia jest zasługą wysiłków Gabriela i Ivy.

Od samego początku mieszkańcy Venus Cove podziwiali zaangażowanie, z jakim Ivy wspiera potrzebujących. Mimo iż nie chodziła do szkoły, zajęła się organizowaniem poparcia dla najrozmaitszych celów, począwszy od walki o humanitarne traktowanie zwierząt, na kwestiach ochrony środowiska skończywszy. Zachęcała do tego ze zwykłym sobie spokojem i delikatnością - nie musiała urządzić hałaśliwej kampanii, by przyciągnąć uwagę ogółu. Liceum Bryce'a Hamiltona zapraszało ją na zebrania i apele, aby powiadamiła uczniów o planowanych zbiórkach pieniędzy oraz imprezach dobroczynnych. Jeśli w miasteczku odbywał się akurat festyn ciast, dzień mycia aut, konkurs Miss Venus Cove lub jakakolwiek inna impreza charytatywna, prawie na pewno stała za tym Ivy. Najwyraźniej stworzyła też cały program opieki socjalnej, działający w obrębie miasta, a skromna, choć stale rosnąca liczba wolontariuszy zgłaszała się regularnie do pracy przy nim w środowe popołudnia. Szkoła wprowadziła nawet specjalne godziny dla ochotników, którzy mogli wybrać je zamiast części lekcji wychowania fizycznego. Zajęcia te przewidywały udzielanie się w lokalnych organizacjach społecznych, robienie zakupów starszym osobom lub pomoc przy wydawaniu darmowych posiłków w Port Circe. Choć trzeba przyznać, że zdarzali się i tacy, którzy tylko udawali zainteresowanie tego rodzaju działalnością, by zbliżyć się do Ivy, to jednak większość autentycznie przyciągał jej zapach.

Do balu pozostały zaledwie dwa tygodnie i tym samym wszelkie szlachetne inicjatywy zeszyły chwilowo na dalszy plan. Nastroje panujące wśród dziewcząt w szkole zaczynały powoli balansować na granicy hysterii. Aż trudno było uwierzyć, że ten czas minął tak szybko. Wydawało się, iż zaledwie wczoraj Molly zakreśliła w moim kalendarzu datę, łajając mnie przy okazji za brak należytego entuzjazmu. Ku swemu niepomiernemu zdziwieniu odkryłam, że także i ja nie mogę się doczekać nadejścia tego wielkiego dnia. Ilekroć któraś z nas poruszyła wiadomy temat, piszczalam i podskakiwałam razem z pozostałymi, nie przejmując się wcale tym, jak infantylnie to wygląda.

W piątek po lekcjach spotkałam się z Molly oraz resztą dziewcząt przed szkołą i wyruszyłyśmy do Port Circe na długo wyczekiwane zakupy. Było to duże miasto, odległe jedynie o pół godziny jazdy pociągiem na południe. Z ponad dwustoma tysiącami mieszkańców różniło się znacznie od Venus Cove, tak więc wielu obywateli naszej sennej miejsciny dojeżdżało tam codziennie do pracy, nastolatki zaś zwykły robić zakupy w tamtejszych sklepach oraz wkręcać się cichaczem do nocnych klubów, pokazując podrobione dowody tożsamości.

Przed wyjściem dostałam od Gabriela kartę kredytową wraz z zaleceniem zachowania zdrowego rozsądku oraz przypomnieniem, iż nie powinnam przywiązywać zbytnej wagi do dóbr materialnych. Zdawał sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmuje, puszczać grupkę rozszalałych nastolatek z kartą kredytową w kieszeni i bez żadnej kontroli, lecz nie miał powodu do zmartwień. Szanse na to, bym znalazła coś, co mi się spodoba, były bardzo niewielkie. Byłam dość wybredna, jeśli chodzi o ubrania, miałam także dokładne wyobrażenie na temat tego, co chcę włożyć na bal. Zawiesiłam poprzeczkę dość wysoko. W tę jedną noc pragnęłam nie tylko czuć się, lecz także wyglądać jak anioł, który zstąpił na ziemię.

Denerwowałam się trochę, gdy szłyśmy główną ulicą na stację. Miała to być moja pierwsza podróż transportem publicznym. Oczywiście cieszyłam się na jazdę pociągiem, lecz także nie mogłam oprzeć się pewnym obawom. Dotarłszy na miejsce, przeszłam wraz z innymi podziemnym tunelem, by następnie znów znaleźć się na górze, na nieco staroświeckim peronie. Stanęłyśmy w kolejce i kupiłyśmy bilety od starszego mężczyzny o siwych wąsach, który siedział za szybą. Kręcił z niezadowoleniem głową, słysząc hałas, jaki robiły moje koleżanki, mimo to, chowając bilet do portfela, obdarzyłam go szerokim uśmiechem.

Usiadłyśmy na ustawionych obok siebie drewnianych ławkach, czekając, aż nadjedzie nasz ekspres, który przybyć miał piętnaście po czwartej. Dziewczęta rozmawiały głośno,

przekrzykując się i wysyłając z telefonów pisane z prędkością światła wiadomości do chłopców z liceum Świętego Dominika, z którymi zamierzały się spotkać. Molly oznajmiła, iż chce jej się pić, po czym kupiła w automacie puszkę dietetycznej coli. Jeśli chodzi o mnie, czułam się doskonale do chwili, w której nadjechał pociąg. Wtedy przeżyłam prawdziwy szok.

Zaczęło się od niewielkiego dudnienia gdzieś w oddali, czegoś na kształt odległego grzmotu. Lecz dudnienie to stopniowo narastało, aż wkrótce cały peron począł wibrować pod moimi stopami. Zaraz potem, zupełnie znikąd, pojawił się pociąg, jadący po szynach z taką prędkością, że zaczęłam mieć poważne wątpliwości co do tego, czy maszynista w ogóle zdoła go zatrzymać. Na wszelki wypadek wyskoczyłam z ławki i przywarłam plecami do pobliskiej wnęki w murze. W tej samej chwili na stację wtoczyły się z łoskotem sfatygowane wagony i pociąg zahamował z piskiem. Dziewczyny przyglądały mi się z niedowierzaniem.

- Co ty wyprawiasz? - zapytała Taylah, rozglądając się dyskretnie, by sprawdzić, czy na pewno nikt inny nie był świadkiem tego przedstawienia.

Popatrzyłam podejrzliwie na wagony. Nie budziły zbyt dużego zaufania.

- Czy to normalne, że on wydaje takie dźwięki? Rozsunął się cały szereg metalowych drzwi i peron zalała fala wysiadających pasażerów. Na moich oczach jedno z takich drzwi niespodziewanie się zamknęły, przytrzaszczając jakiemuś mężczyźnie płaszcz. Z przerażenia zaparło mi dech, co u pozostałych dziewcząt wywołało nieopanowany wybuch wesołości. Mężczyzna począł walić ze złością w ścianę wagonu, aż skrzydła drzwi znów odskoczyły na boki. Odszedł pośpiesznie, obrzucając nas wściekłym spojrzeniem.

- Beth - jęknęła Molly, trzymając się za brzuch i zwijając ze śmiechu - bo pomyślę, że nigdy w życiu nie widziałas pociągu. Potężny rząd połączonych ze sobą metalowych skrzyń wyglądał mi raczej na broń masowej zagłady niż na środek bezpiecznego przemieszczania się.

- Ten akurat średnio mi się podoba - wyjąkałam.

- Daj spokój, chodź już! - Molly złapała mnie za nadgarstek i powlokła w kierunku wejścia do wagonu. - Bo nam ucieknie!

W środku nie było tak źle. Molly i jej koleżanki rzuciły się bezceremonialnie na wolne miejsca, ignorując pełne irytacji spojrzenia pasażerów, których osobista przestrzeń została przy tej okazji naruszona. Podczas gdy pociąg wiózł nas z turkotem do Port Circe, ja siedziałam na brzeżku fotela, obserwując ludzi. Zaskoczyła mnie różnorodność typów, jakie przyciągał masowy transport, począwszy od kierowników w urzędowych garniturach, poprzez spocone dzieci z

tornistrami, na bezdomnych staruszkach w obszytych futrem mokasynach kończąc. Niezbyt odpowiadało mi bezpośrednio sąsiedztwo aż tylu osób naraz, podobnie jak fakt, iż przy każdym ostrzejszym hamowaniu prawie lądowałam na ziemi, lecz powiedziałam sobie, że powinnam być wdzięczna za każde doświadczenie, jakie mnie tu spotyka. I tak wkrótce za tym zatęsknię.

Dojechawszy do celu, przyłączyłyśmy się do tłumu cisnącego się w kierunku wyjścia z pociągu, by następnie wydostać się na główny rynek Port Circe. Maleńkie Venus Cove z pewnością nie wytrzymałoby porównania z tym miastem. Każda z szerokich ulic miała tu po trzy pasy ruchu, a na tle nieba rysowały się rozliczne iglice kościołów oraz sylwetki drapaczy chmur. Molly uparła się, żebyśmy szły zatłoczonymi ulicami, zamiast skorzystać z podziemnych przejść dla pieszych. Sklepy pełne były ludzi robiących zakupy. Minęłyśmy siwobrodego żebraka siedzącego na schodach katedry. Zmarszczki wokół jego przymkniętych oczu wydawały się głębokie niczym skalne szczeliny. Narzuciwszy na ramiona wojskowy pled, stuknął blaszanym kubkiem o chodnik. Zaczęłam przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu drobnych, lecz Molly złapała mnie za rękę.

- Nie wolno podchodzić do obcych - powiedziała. - To niebezpieczne. Facet i tak jest pewnie narkomanem.

- Czy on wygląda na narkomana? - zdziwiłam się. Molly wzruszyła ramionami i poszła dalej, lecz ja zawróciłam, wciskając w dłoń mężczyzny banknot jednodolarowy.

- Niech cię Bóg błogosławi - rzekł.

Gdy zamiast na mnie spojrział gdzieś obok, zrozumiałam, że jest niewidomy.

Dziewczęta zdecydowały, iż czas się rozdzielić. Część powędrowała do niewielkiego butik, mieszczącego się przy brukowanej uliczce biegnącej w bok od głównego placu, podczas gdy Molly, Taylah i ja weszłyśmy do wielkiego domu handlowego ze szklanymi przesuwными drzwiami oraz marmurową podłogą w czarno-białą szachownicę. Szczęśliwa, że mogę odpocząć od wrzawy panującej na ulicy, uniosłam twarz ku zamontowanym w suficie kratkom wentylacyjnym, przez które napływało chłodne powietrze.

- To dom towarowy Madison - wyjaśniła Molly, jakby przemawiała do osoby przybyłej z Marsa. - Na każdym poziomie można kupić inny rodzaj artykułów.

- Dzięki, Molly, zdaje się, że rozumiem. Gdzie jest dział damskich ubrań?

- W ogóle nie patrz w tamtą stronę, te ciuchy są beznadziejne. Musimy wjechać na trzecie piętro i poszukać w Mademoiselle. Mają rewelacyjne rzeczy, a do tego taniej niż w butikach.

Megan może i ma forsy jak lodu...

Po dwóch godzinach przeczesywania niezliczonej ilości stojaków oraz dzięki wydatnej pomocy wyjątkowo cierplivej sprzedawczynie

Molly i Taylah znalazły wreszcie sukienki. Przejrzały wszystkie jedną po drugiej, odrzucając kolejne modele, ponieważ wydawały im się albo niemodne, albo zbyt prowokacyjne, zbyt staroświeckie, zanadto uduziwnione lub też za mało seksowne. Zapominając o tym, iż roztrząsały już skrupulatnie tę kwestię, rzuciły się w wir zaciętej debaty na temat odpowiedniej długości. Najwyraźniej suknia kończąca się tuż przed kolanem nadawała się tylko dla uczennic, sięgająca za kolano dla starych babć, a ta do połowy łydki była odpowiednia wyłącznie dla osób, które lubią dokonywać zakupów w sklepach z odzieżą używaną. Pozostawiało to do wyboru tylko dwie opcje: mini lub do ziemi. Dyskutowały tak zawzięcie, że można by pomyśleć, iż chodzi o sprawę wagi państwowej, po to by zaraz poszerzyć dylemat o problem wyższości falban nad ich brakiem oraz fasonu bez ramiączek nad takim, który odkrywa jedynie plecy. Na koniec przeszły do zestawienia jakości jedwabiu i satyny. Podążałam za nimi jak we śnie, starając się usilnie słuchać tego, co mówią, i nie wyglądać na tak wymęczoną, jaką w istocie byłam.

Po niekończących się - jak mi się wydawało - wahaniach, Taylah wybrała krótką, uszytą z tafty sukienkę bez pleców, w kolorze brzoskwińowym i rozszerzaną na dole. W założeniu miała ona podkreślać jej opalone nogi, nawet jeśli - według mnie - przypominała bezę.

Rzuciło mi się w oczy coś, co moim zdaniem doskonale pasowałoby do karnacji Molly, pokazałam jej więc moje znalezisko. Sprzedawczynie od razu się ze mną zgodziła.

- Ten kolor doskonale będzie na tobie wyglądał.

- Jest piękna - przyznała Molly.

- No i? - ponagliła ją Taylah. - Przymierzaj ją!

Gdy Molly ukazała się w drzwiach przymierzalni, wyglądała jak nie ta sama osoba. Z nieopierzonej nastolatki przeistoczyła się w istną boginię. Inni klienci przystawali, by ją podziwiać. Kazałyśmy jej obrócić się kilka razy, aby dokładnie się przyjrzeć. Suknia zaprojektowana została w stylu greckim, zakładana na jedno ramię. Z drugiej strony przytrzymał ją wąziutki złoty pasek. Lejący się materiał otulał miękkimi fałdami kobiece kształty Molly. Ale to właśnie kolor sprawiał, że całość prezentowała się tak wspaniale.

Przepiękny głęboki brąz połyskiwał delikatnie w świetle lamp. Idealnie podkreślał rdzawy odcień jej kręconych włosów, pięknie kontrastując z kremową karnacją.

- O rany... - wyszeptła Taylah - ta kiecka jest jak uszyta specjalnie dla ciebie. Będziecie z Ryanem wyglądali oszalamiająco.

- Zaraz, to on cię zaprosił? - wtrąciłam się. Molly skinęła głową.

- Trochę to trwało, ale tak.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Przecież to nic wielkiego.

- Żartujesz?! - wykrzyknęła Taylah. - Gadałaś o nim od tygodni. No, to teraz jest już idealnie. Masz wszystko, czego chciałaś.

- Chyba tak - zgodziła się Molly, lecz jej twarz nie wyrażała entuzjazmu. Czy myślała o Gabrieli? Spróbowałam zgadnąć. A może

Molly się zmieniała i Ryan Robertson ze swoją śliczną buzią oraz wyćwiczonymi mięśniami po prostu przestał jej wystarczać?

Męczące poszukiwania dobiegły wreszcie końca. Taylah i Molly przyjęły ten fakt z wyraźną ulgą. Buty i pozostałe akcesoria mogły poczekać - grunt, że kupiły wymarzone sukienki. Ja dla odmiany nie znalazłam nic, co by mi się choć trochę podobało. Wszystkie te stroje wyglądały mniej więcej tak samo: albo zbyt ozdobne, całe obszyte cekinami, albo nijakie. Pragnęłam czegoś prostego, a zarazem olśniewającego, czegoś, w czym mogłabym wyróżnić się w tłumie i sprawić, że Xavierowi na mój widok zabraknie tchu. Postawiłam przed sobą nie lada wyzwanie, a szanse na sprostanie mu oceniałam niestety na bardzo niewielkie. Jakaś część mnie wstydziła się tej właśnie odkrytej próżności, lecz chęć zaimponowania Xavierowi była silniejsza.

- Nie przesadzaj, Beth! - rzekła Molly, krzyżując ręce na piersiach na znak, że nie zamierza się poddać. - Musi tu być choć jedna sukienka, która ci się spodoba! Nie wyjdziemy stąd, dopóki jej nie znajdziesz.

Próbowałam protestować, lecz Molly, własne dylematy odzieżowe mając już za sobą, postanowiła wielkodusznie poświęcić się pomaganiu mnie. Na jej żądanie przymierzałam suknię za suknią, lecz żadna nie okazała się tą właściwą.

- Zwariowałaś - stwierdziła po godzinie. - Przecież ty we wszystkim wyglądasz bajecznie!

- No. Jesteś taka chuda - wycodziła Taylah przez zęby.

- Mam! - wrzasnęła Molly i wyciągnęła białą, satynową, plisowaną, mocno rozkloszowaną sukienkę. - Taką samą nosiła Marilyn

Monroe. Przymierz!

- Śliczna - przyznałam. - Ale nie tego szukam. Westchnęła, wciskając suknię na wieszak.

Opuściłam dom handlowy Madison ze skromną siateczką, w której niosłam buteleczkę lakieru do paznokci o nazwie „Powiew rózu” oraz srebrne kolczyki w kształcie kół. Tylko zmarnowałam czas.

Z resztą dziewcząt umówione byłyśmy w kawiarni Starbucks. Wokół ich stóp leżały rozliczne torby z widniejącymi na nich nazwami znanych marek, a przy stoliku siedzieli dwaj nieznani mi chłopcy w prążkowanych szkolnych marynarkach i koszulach niedbale wepchniętych w spodnie.

- Umieram z głodu - oznajmiła Molly. - Zabiłabym za jedno z tych wielkich ciastek.

Taylah pogroziła jej palcem.

- Aż do balu jemy tylko sałatki - przypomniała.

- Przecież wiem - jęknęła Molly. - A kawę mi chociaż wolno?

- Z chudym mlekiem i bez cukru.

Gdy dotarłam do domu, moje zniechęcenie było już bardzo widoczne. Wycieczka do sklepów okazała się bezowocna. Nie miałam pojęcia, skąd wziąć suknię na bal. Wszystkie skromne butiki w Venus Cove przeszukałam wiele tygodni temu, zostało tylko kilka kiosków z odzieżą używaną.

- Nic nie znalazłaś? - Ivy nie wydawała się zaskoczona. - A chociaż dobrze się bawiłaś?

- Niespecjalnie. Straciłam tylko czas. Gdy obejrzy się określoną liczbę strojów, wszystkie pozostałe zaczynają wyglądać tak samo.

- Nie martw się. Na pewno coś kupisz. Zdasz bez problemu.

- Sęk w tym, że to nie ma sensu. Nic z tego, co sprzedają w sklepach, mi nie odpowiada. Nawet nie mam po co wychodzić z domu.

- Nie mów tak - odparła moja siostra. - Nie możesz tego zrobić Xavierowi. Mam pomysł. Ty opowiesz mi, jaką sukienkę chcesz, a ja ci ją uszyję.

- To nie byłoby w porządku! Masz ważniejsze rzeczy na głowie.

- Chcę ci pomóc. Nie zajmie mi to dużo czasu, a wiesz dobrze, że potrafię uszyć, co tylko sobie wymarzysz.

Była to prawda. Ivy umiała z pomocą maszyny do szycia zdziałać cuda w zaledwie kilka godzin. Nie istniało nic, czego ona lub

Gabriel nie zdołałby dokonać, jeśli tylko to sobie postanowili.

- Może poprzeglądamy dziś po południu magazyny o modzie? A nuż znajdzie się coś, co wpadnie ci w oko?

- Nie trzeba. Ja wiem, jak ona powinna wyglądać, mam jej obraz w głowie. Ivy się uśmiechnęła.

- W takim razie zamknij oczy i mi pokaż.

Zrobiłam to i wyobraziłam sobie wieczór w dniu balu. Zobaczyłam siebie i Xaviera stojących pod sklepieniem z migoczących lampek. On miał na sobie smoking, pachniał cudownie i świeżo, na oczy opadała mu grzywa niesfornych włosów. Trzymałam go pod rękę. Wtedy oczami wyobraźni ujrzałam suknię z moich snów. Była długa i lśniąca, w kolorze kości słoniowej. Podszewkę miała z kremowego jedwabiu, a wierzch z kunsztownej staroświeckiej koronki. Gorset wyszywany był perłami, a wzdłuż dopasowanych rękawów biegł rząd obszytych satyną guziczków. Lamówkę przy dekolcie wykończono misternym złotym haftem w maleńkie pączki róż. Cały materiał połyskiwał subtelnie perłową poświatą, jakby był przetykany promykami światła. Na stopach miałam lekkie jak mgiełka, ozdobione koralikami satynowe pantofelki.

Spojrzałam nieśmiało na Ivy. Nie był to projekt najłatwiejszy do wykonania.

- Bułka z masłem - odrzekła moja siostra. - Wyczaruję ci ją w pięć minut.

Poniedziałkową przerwę obiadową spędzałam w stołówce samotnie. Xavier miał trening, a Molly wraz z resztą dziewcząt była w komitecie organizującym bal i właśnie odbywało się zebranie w sprawie ostatnich ustaleń na temat dekoracji oraz przydzielania miejsc przy stolikach. Wiele osób zerkało na mnie z zaciekawieniem, gdy siedziałam tak, skubiąc przywiedłłą sałatę. Przypuszczalnie fakt, iż jestem sama, budził spore zdziwienie, lecz nie zwracałam na to uwagi. Moje myśli jak zwykle zajmował Xavier, tym bardziej że fizycznie go przy mnie nie było. W końcu złapałam się na tym, iż odliczam minuty do chwili, w której będę mogła znów go zobaczyć, i doszłam do wniosku, że zdecydowanie powinnam zająć się czymś bardziej pożytecznym. Ruszyłam więc do biblioteki. Było to jedyne miejsce, w którym nikogo nie dziwiło robienie czegoś w pojedynkę. Zamierzałam wypełnić resztę przerwy, czytając o tym, jak doszło do rewolucji francuskiej.

Zdążyłam zaledwie zabrać z szafki potrzebne książki i wybrawszy drogę na skróty, przecinałam właśnie wąską ścieżkę biegnącą wzdłuż budynku, gdy z tyłu dobiegło mnie wołanie:

- Witam!

Odwróciwszy się, ujrzałam Jake'a Thorna opartego o mur, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Ciemne włosy okalały jego bladą twarz, usta wykrzywiał ironiczny uśmiezek. Tym razem miał na sobie regulaminowy strój, zmodyfikowany jednak na potrzeby własnego stylu: był bez krawata, kołnierz koszuli miał postawiony, a marynarkę zastępowała szara wiatrówka z kapturem. Zamiast przepisowych półbutów założył białe oksfordy⁷. Spodnie wisiały luźno na jego szczupłych biodrach. Po raz pierwszy zauważyłam, że prócz tajemniczego wisiorka na szyi w lewym uchu nosi diamentowy kolczyk. Zaciągnął się głęboko papierosem, wydmuchując kółko dymu.

- Nie powinieneś tu palić - ostrzegłam go, zastanawiając się, jak można aż tak lekceważyć obowiązujące w szkole zasady. - Będziesz miał kłopoty.

- Naprawdę? - odparł Jake z udawanym przejęciem. - A tu podobno właśnie jest kącik dla palaczy.

- Nauczyciele jeszcze nie zeszli z dyżuru.

- Z moich obserwacji wynika, że nigdy nie zapuszczają się tak daleko. Zawsze kręcą się tylko w okolicach bocznego wejścia, odliczając minuty do chwili, gdy będą mogli wrócić do swojej kawy i krzyżówek.

- A ja myślę, że lepiej będzie, jeśli to wyrzucisz, zanim ktoś cię zobaczy.

- Skoro tak twierdzisz...

Zgasił niedopałek obcasem i kopnął go w kierunku klombu z kwiatami akurat w momencie, gdy panna Pace, stara i gderliwa szkolna bibliotekarka, przedreptała tuż obok, mierząc nas podejrzliwym spojrzeniem.

- Dziękuję, Beth - powiedział, gdy odeszła na tyle daleko, by nas nie słyszeć. - Zdaje się, że właśnie uratowałaś mi skórę.

- Nie ma za co - bąknęłam, rumieniąc się w odpowiedzi na tak wylewne wyrazy wdzięczności. - W nowym miejscu zawsze jest trudniej. Z tego, co widzę, w poprzedniej szkole miałaś dużą swobodę.

- Powiedzmy, że lubię ryzyko. Niekiedy się to nie opłaca - patrz moje zesłanie tutaj. Wiesz, że starożytni Rzymianie woleli śmierć od wygnania? Na całe szczęście w moim przypadku jest to tymczasowe.

-Długo u nas zostaniesz?

7 Klasyczne wiązane półbuty ze skóry z podłużnymi noskami, często ozdobione przeszyciami lub dziurkowane.

- Tyle, ile wymagać będzie zreformowanie mojego charakteru. Roześmiałam się.

- A są na to w ogóle jakieś szanse?

- Rzekłbym, że ogromne. Wystarczy wpływ odpowiedniej osoby - odparł znacząco Jake. Nagle zmrużył oczy, jakby coś mu się przypomniało. - Nieczęsto widuję cię samą. Gdzież się podział twój nadopiekuńczy książę? Nie jest chory, mam nadzieję?

- Xavier ma trening - odrzekłam szybko.

- Ach, sport - wynalazek pedagogów, którego zasadniczym celem jest próba utrzymania w ryzach szalejących hormonów.

- Słucham?

- Nic, nic. - Jake potarł w zamyśleniu swój kilkudniowy zarost. - Wiem już, że twój wybranek uprawia sporty. Lecz powiedz mi, czy dobry z niego poeta?

- Xavier jest dobry we wszystkim - pochwaliłam się.

- Doprawdy? Cóż za szczęściara z ciebie. - Jake uniósł brew.

Nie rozumiałam, o co mu chodzi. Wprawiał mnie w zakłopotanie, lecz w żadnym razie nie zamierzałam dać tego po sobie poznać. Doszłam do wniosku, że najbezpieczniej będzie zmienić temat.

- Gdzie mieszkasz? - zapytałam. - Gdzieś blisko szkoły?

- W tej chwili zajmuję wolny pokój mieszczący się nad salonem tatuażu. Do czasu, aż uda się zorganizować dogodniejszą kwaterę.

- Sądziłam, że przydzielą cię do jakiejś rodziny - odrzekłam zaskoczona.

- To by było coś na kształt pobytu u nieciekawych krewnych. Wolę własne towarzystwo.

- I twoim rodzicom to nie przeszkadza? - Nie podobał mi się ten pomysł z samodzielnym mieszkaniem. Mimo iż Jake wydawał się dojrzały oraz całkiem nieźle obyty z rzeczywistością, nadal był zaledwie nastolatkiem.

- Opowiem ci o moich rodzicach, jeśli ty powiesz mi coś o swoich. - Gorące spojrzenie jego ciemnych oczu przepalało mnie na wylot niczym laser. - Wydaje mi się, że więcej mamy wspólnego, niż zdajemy sobie z tego sprawę. A przy okazji: co robisz w niedzielę rano?

Pomyślałem, że moglibyśmy popracować nad naszym wspólnym arcydziełem.

- W niedzielę idę do kościoła.
- Ach, oczywiście.
- Możesz się przyłączyć, jeśli masz ochotę.
- Niestety, jestem uczulony na kadzidło.
- Bardzo mi przykro.
- Taka już zmora mego istnienia.
- No cóż, muszę wracać do nauki - oznajmiłam, ruszając dalej, świadoma, że czas ucieka.

Zrobił krok do przodu, by mnie zatrzymać.

- Zaczekaj, mam tu pierwszą linijkę naszego wiersza. Wygrzebał z kieszeni kulkę papieru i podał mi ją niedbałym gestem.

- Nie oceniaj mnie zbyt surowo, to tylko początek. Możemy rozwinąć go, w co tylko zechcesz.

Błysnął zębami w uśmiechu i odszedł powoli. Usiadłam na najbliższej ławce, wygładzając karteczkę. Pismo Jake'a było smukłe i eleganckie, litery miały wyszukany kształt, całkowite przeciwieństwo chłopięcego stylu Xaviera, który nie znosił ozdobników - zabierały jego zdaniem zbyt wiele czasu i wyglądały pretensjonalnie. Zapisane na papierze słowa przypominały artystyczną kaligrafię; sunęły gładko jedno za drugim niby w tańcu. Lecz to zawarta w nich treść, nie zaś ich uroda, sprawiła, iż zakręciło mi się w głowie:

W jej twarzy ujrzałem anioła

Na dno

Co Jake mógł mieć na myśli? *W jej twarzy ujrzałem anioła.* Wciąż miałam przed oczami to zdanie, jakby ktoś wypalił mi je od wewnątrz na powiekach. Czułam się tak, jakby Jake w ciągu jednej sekundy zdarł ze mnie ubranie, pozostawiając nagą i bezbronną. Czy to możliwe, aby odgadł mój sekret? Albo wybrał aż tak chory sposób żartowania sobie ze mnie?

I wtedy coś we mnie pękło - zalała mnie fala niepohamowanego gniewu. Zapominając o planach dotyczących rewolucji francuskiej, rzuciłam się z powrotem do wnętrza budynku szkoły z zamiarem odszukania Jake'a. Popędziłam przez puste korytarze i wpadłam do stołówki, rozglądając się pośpiesznie wśród siedzących tam uczniów, lecz go nie dostrzegłam. W piersi poczułam pierwsze ukłucia strachu. Wiedziałam, że wkrótce stanie się dotkliwszy, jeśli jakoś temu nie zaradzę. Musiałam odnaleźć Jake'a i zapytać go o ten wiersz jeszcze przed rozpoczęciem kolejnych zajęć, inaczej narastający lęk strawi mnie do cna.

Dopadłam go przy szafkach.

- Co to ma znaczyć? - natarłam na niego niczym rozjuszony byk, wymachując mu przed nosem skrawkiem papieru.

- Przepraszam...

- Nie bawi mnie to!

- Ależ to nie miało być zabawne.

- Nie jestem w nastroju do gierki. Mów, o co ci chodzi.

- Hmm, zgaduję, że nie podoba ci się ten wers. Spokojnie, możemy go przecież zmienić.

Nie ma co się tak denerwować.

- Co ty właściwie myślałaś, pisząc go?

- Tylko to, że może być z tego całkiem przyzwoity punkt wyjścia. - Wzruszył ramionami. - Czyżbym cię uraził?

Oddechnęłam głęboko kilka razy, zmuszając się do przywołania w myślach wprowadzenia, jakim panna Castle poprzedziła ten projekt. Omówiła z nami pokrótce historię romantycznej miłości w literaturze, przeczytała nam kilka wierszy Petrarce oraz parę sonetów miłosnych Szekspira. Wspomniała o idealizowaniu kobiety, o okazywanym jej platonizmem uwielbieniu. Czyżby Jake trzymał się po prostu ściśle jej wskazówek? Nagle zrozumiałam, że jestem zła tylko

sama na siebie - za zbyt pochopne wyciągnię wniosków.

- Nie uraziłeś - odrzekłam, czując się jak idiotka. Zarówno gniew, jak i strach ustąpiły równie szybko, jak się pojawiły. Trudno, doprawdy, było winić Jake'a za to, że w związku z miłosnym poematem przyszło mu do głowy słowo „anioł”. To tylko ja dostałam paranoi na tle wszelkich odniesień do nieba. Wybór tego akurat słowa wcale nie musiał niczego oznaczać. Nie był nawet specjalnie oryginalny - iluż to poetów przed nim użyło już podobnej metafory?

- Może tak zostać - dodałam. - Popracujemy nad tym jeszcze trochę podczas lekcji. Przepraszam, jeśli zachowałam się dziwnie.

- Nic nie szkodzi, każdemu się zdarza.

Znów się uśmiechnął, ale tym razem normalnie, bez ironii czy pozerstwa. Dotknął mojego przedramienia.

- Dzięki, że podszedłeś do tego na luzie - odparłam z wdzięcznością, powtarzając to, co mogłaby w takiej sytuacji powiedzieć

Molly.

- Taki już jestem.

Patrzyłam, jak odchodzi w stronę grupy, w skład której wchodziłi Alicia, Alexandra i Ben z naszych wspólnych zajęć literatury, oraz jeszcze kilku innych chłopców - najprawdopodobniej z klasy muzycznej, sądząc po ich potarganych włosach i luźno zawiązanych krawatach. Otoczyli go niczym grono wielbicieli, gdy tylko się zbliżył, po czym natychmiast pograżyli się w ożywionej dyskusji.

Ucieszyłam się, że najwyraźniej znalazł sobie towarzystwo, w którym dobrze się czuje.

Wróciłam do swojej szafki, wciąż nie mogąc oprzeć się wrażeniu, iż coś jest nie tak. Dopiero gdy zabrałam książki i stałam, czekając na Xaviera, zdałam sobie sprawę, że źródłem tego wrażenia jest fizyczny ból. Skupiwszy się na nim przez chwilę, zlokalizowałam punkt, z którego wypływał. Nie był to nawet prawdziwy ból, raczej delikatnie podrażnienie, jakiego można się nabawić, zbyt długo pozostając na słońcu. Skóra na przedramieniu, tuż poniżej łokcia, szczypała mnie dokładnie w tym miejscu, w którym dotknął mnie Jake. Jak jednak mógłby mnie zranić jego dotyk? Musnął tylko moją rękę, a ja niczego niezwykłego nie poczułam.

- Wydajesz się jakaś nieobecna - odezwał się Xavier w drodze na francuski. Znał mnie tak dobrze, że nic nie mogło mu umknąć.

- Myślę o balu - odparłam.

- I to dlatego jesteś smutna?

Postanowiłam przestać zaprzętać sobie głowę Jakiem Thor-nem. Ranka na moim ręku najpewniej nie miała z nim nic wspólnego. Najprawdopodobniej otarłam się po prostu o drzwi szafki lub szorstki blat biurka, nawet tego nie zauważając. Należało przestać wyszukiwać sobie problemy.

- Nie jestem smutna - odrzekłam lekko. - Tak wyglądam, kiedy się zamyślam. Sądziłam, że potrafisz już wyczytać takie rzeczy z mojej twarzy?

- Musiało mi się coś pomylić.

- Tym razem żalosny wykręt nie wystarczy.

- Wiem. Udzielam ci pozwolenia na ukaranie mnie w dowolny sposób.

- Czy wspominałam ci już, iż podjęłam wreszcie decyzję, jakie przezwisko ci nadam?

- Nie miałem pojęcia, że się nad tym zastanawiasz.

- Owszem, zastanawiałam się, i to długo. - I cóż wykoncypowałeś?

- Ciasteczko - oznajmiłam z dumą. Xavier skrzywił się niemiłosiernie.

- Mowy nie ma.

- Nie podoba ci się? To może Bączuś?

- Jeszcze gorzej.

- A Misio-Pysio?

- Masz może cyjanek?

- No cóż, niektórym nie dogodzisz.

Minęliśmy właśnie grupkę dziewcząt ślęczących nad zdjęciami strojów różnych znanych gwiazd, co przypomniało mi, iż mam

Xavierowi do zakomunikowania jeszcze jedną nowinę.

- Wiesz, że Ivy uszyje mi sukienkę? Mam nadzieję, iż nie sprawi jej to zbyt dużego kłopotu.

- Od czego są siostry?

- Tak się cieszę, że idziemy razem - westchnęłam. - Będzie cudownie.

- Ty się cieszysz? - wyszeptał Xavier. - To przecież ja przyjdę z aniołem.

- Cicho! - Zakryłam mu usta ręką. - Pamiętaj, co obiecaliśmy Gabrielowi.

- Spokojnie, Beth. Nikt tu u nas nie dysponuje nadprzyrodzonym słuchem. - Cmoknął mnie

w policzek. - A na balu na pewno będzie super. Opowiadaj, co to za sukienka.

Zrobiłam tajemniczą minę, odmawiając ujawnienia jakichkolwiek szczegółów.

- No co ty!

- Nic z tego. Będziesz musiał zaczekać.

- Zdradź mi chociaż kolor. - Nie.

- Kobiety potrafią być naprawdę okrutne.

- Xavier?

- Tak, kochanie?

- Napisałbyś dla mnie wiersz, gdybym cię o to poprosiła? Popatrzył na mnie zdziwiony.

- Miłosny? - Tak.

- Nie mogę powiedzieć, żeby to była moja mocna strona, ale do wieczora na pewno coś wymyślę.

- Nie musisz - zaśmiałam się. - Tak się tylko zastanawiałam.

Za każdym razem zaskakiwała mnie łatwość, z jaką Xavier na wszystko się zgadzał. Czy w ogóle istniało coś, czego by dla mnie nie zrobił?

Na lekcji mieliśmy we dwójkę wygłosić pogadankę po francusku. Jako temat wybraliśmy sobie Paryż, miasto zakochanych. Prawdę powiedziawszy, niewiele czasu zajęło nam przygotowanie się do tych zajęć; wszelkie potrzebne informacje uzyskaliśmy od Gabriela. Nie musieliśmy otwierać ani jednej książki czy strony internetowej. Gdy pan Collins wywołał nasze nazwiska, Xavier zaczął mówić pierwszy. Zauważyłam, że pozostałe dziewczęta mu się przyglądają. Spróbowałam wyobrazić sobie siebie na ich miejscu, jak spoglądam na niego tęsknym wzrokiem, lecz nigdy nie dane mi będzie się do niego zbliżyć. Patrzyłam na jego gładką opaloną skórę, na oczy w kolorze morskiej wody, w których można by utonąć na zawsze, na jego przekorny uśmiech i silne ramiona, na kosmyk jasnobrązowych włosów opadający niesfornie na czoło. Nadal nosił na rzemyku na szyi srebrny krzyżyk. Był taki piękny - i cały mój.

Tak bardzo pochłonęło mnie podziwianie go, że przegapiłam moment, w którym nadeszła moja kolej. Xavier odchrząknął głośno, przywracając mnie do rzeczywistości. Prędko przedstawiłam swoją część prezentacji, opowiadając o romantycznych zakątkach Paryża oraz o potrawach, jakie oferują tamtejsze restauracje. Mówiąc, zdałam sobie sprawę, iż zamiast nawiązać kontakt wzrokowy z resztą klasy, starając się zachęcić ich tym samym do słuchania, wciąż zerkam kątem oka na Xaviera. Najwyraźniej nie mogłam oderwać od niego wzroku nawet

na minutę.

Gdy skończyłam, Xavier porwał mnie w ramiona.

- Rany, weźcie w końcu przestańcie! - wykrzyknęła Taylah. - *C'est tres* niesmaczne.

- Tak, dziękuję bardzo. Już wystarczy - rzekł pan Collins, poklepując nas na znak, że mamy się od siebie odsunąć.

- Bardzo przepraszam, proszę pana - rzekł Xavier z uśmiechem. - Chciałem tylko uwiarygodnić naszą prezentację.

Pan Collins popatrzył na nas spode łba, lecz wszyscy pozostali wybuchnęli śmiechem.

Wieść o naszym występie rozeszła się błyskawicznie i przy najbliższej okazji Molly postanowiła wypytać mnie szczegółowo na tę okoliczność.

- Czyli co, ty i Xavier to już na poważnie? - zagadnęła z nutką zazdrości w głosie.

- Tak - odparłam, starając się powstrzymać błogi uśmiech, który na ogół pojawiał się na mojej twarzy, gdy tylko pomyślałam o

Xavierze.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteście razem - rzekła, kręcąc głową. - Nie zrozum mnie źle, bo uważam, że jesteś śliczna i tak dalej, ale dziewczyny uganiały się za nim od wieków, a on nawet okiem nie mrugnął. Wszyscy myśleli, że nigdy nie zapomni o Emily, aż pojawiłaś się ty...

- Ja też czasem nie mogę w to uwierzyć - przyznałam skromnie.

- Nie da się ukryć, że to naprawdę romantyczne, jak tak się tobą opiekuje. Jak jakiś rycerz w lśniącej zbroi - westchnęła Molly. - Żeby mnie tak ktoś traktował.

- W tobie kocha się na zabój cały tłum chłopaków. Chodzą za tobą jak małe pieski.

- Może i tak, ale to nie to samo. Was dwoje łączy coś zupełnie innego. Pozostałym zależy tylko na jednym. - Zamilkła na chwilę. - Domyślam się, że ty i Xavier też sobie nie żałujecie, ale u was to wygląda na coś więcej.

- Czego sobie nie żałujemy? - zainteresowałam się.

- No wiesz, w sypialni. - Molly zachichotała. - Mnie się nie musisz wstydzić, mam już to wszystko za sobą. No, prawie wszystko.

- Nie wstydzę się. My po prostu niczego takiego nie robimy. Oczy Molly zaokrągliły się ze zdziwienia.

- To znaczy, że wy nie...

- Cicho! - Zamachałam rękami, bo siedzący przy stoliku obok pierwszoklasiści jak na

komendę odwrócili głowy, przyglądając nam się z zainteresowaniem. - Nie. Oczywiście, że nie!

- Przepraszam. Po prostu mnie zaskoczyłaś. To znaczy wiesz... no... myślałam, że chyba raczej tak. Ale inne rzeczy wchodzą w grę?

- Pewnie. Spacerujemy, trzymamy się za ręce, dzielimy kanapkami...

- Jezu, Beth. Ile ty masz lat? - jęknęła Molly. - Czy tobie wszystko trzeba tłumaczyć? - Zmrużyła oczy. - Zaraz, czy ty to w ogóle chociaż widziałaś?

- Co widziałam?! - wybuchnęłam zirytowana.

- No wiesz... - szepnęła z naciskiem. - To! - Wskazała gestem miejsce w pobliżu swojej pachwiny, i wreszcie zrozumiałam.

- Och! Nigdy bym czegoś podobnego nie zrobiła.

- No dobrze, a on? Nic nie wspominał, że oczekuje czegoś więcej?

- Nie - odparłam zgorszona. - Xavierowi nie w głowie takie rzeczy.

- Oni wszyscy na początku tak mówią - prychnęła Molly cynicznie. - Poczekaj tylko. Xavier może i jest wspaniały, ale to tylko chłopak. A każdy chłopak chce tego samego.

- Naprawdę?

- Oczywiście, skarbie - Molly poklepała mnie po ręce. - Lepiej, żebyś była na to przygotowana.

Umilkłam. Mogłam nie zgadzać się z nią w wielu kwestiach, ale w tej akurat liczyłam się z jej zdaniem. Molly знаła się na chłopcach, a i doświadczenie miała w tej mierze wystarczająco duże, by wiedzieć, o czym mówi. Nagle ogarnął mnie lęk. Dotychczas zakładałam, iż Xavierowi nie będzie przeszkadzał mój brak zaangażowania w pewne sfery naszego związku. Bądź co bądź nigdy do tej pory nie wspominał nic na ten temat, ani razu nie dał mi do zrozumienia, iż coś takiego znajduje się na liście jego oczekiwań. Czy możliwe jednak, aby ukrywał przede mną swoje prawdziwe pragnienia? Fakt, że o tym nie mówił, nie oznaczał jeszcze, iż w ogóle się nad tym nie zastanawia. Kochał mnie, ponieważ różniłam się od innych dziewcząt, lecz ludzkie istoty mają swoje potrzeby - i nie każdą z nich da się w nieskończoność ignorować.

- Boże mój, widziałaś tego nowego?

Głos Molly przerwał moje rozmyślenia. Podniósłszy wzrok, ujrzałam Jake'a Thorna, który przechodził właśnie obok nas. Nie spojrzał na mnie i udał się na drugi koniec stołówki, by zasiąść u szczytu stołu, przy którym siedziało około piętnastu czwartoklasistów. Na ich twarzach malował się wyraz osobliwej mieszaniny uwielbienia i respektu.

- Nie marnuje czasu - mruknęłam do Molly.

- Dziwisz się? Facet jest obłądnie przystojny.

- Tak uważasz?

- Zdecydowanie. Ma w sobie coś mrocznego, tajemniczego. Z taką twarzą to i modelem mógłby zostać.

Wszyscy członkowie świty Jake'a nosili się podobnie jak on. Pod ich oczami widniały ciemne kręgi. Głowy trzymali nisko pochylone, unikając kontaktu wzrokowego z kimkolwiek spoza grupy. Obserwowałam przez chwilę sposób, w jaki Jake na nich patrzy - z jego twarzy nie schodził pełen satysfakcji uśmiech. Miał minę kota, przed którym postawiono miskę pełną śmietanki.

- Chodzi ze mną na literaturę - rzuciłam od niechcienia.

- Jezu, ty to masz szczęście - jęknęła Molly. - To jaki on jest? Mnie wygląda na buntownika.

- W sumie całkiem inteligentny.

- Cholera. - Molly wydeła wargi. - Tacy nigdy na mnie nie lecą. Dla mnie zostają same głupie ćwoki. Ale co szkodzi spróbować, nie?

- To chyba nie jest dobry pomysł.

- Łatwo to mówić komuś, kto chodzi z Xavierem Wood-sem - odcięła się.

W tym momencie z kuchni dobiegł rozdzierający krzyk, a zaraz potem dały się słyszeć spanikowane głosy oraz tupot nóg. Uczniowie zaczęli rozglądać się nerwowo, kilka osób podniosło się z miejsc i z wahaniem ruszyło w kierunku zaplecza. Jedną z takich osób był Simon Laurence. Dotarłszy do drzwi kuchni, zamarł bez ruchu, unosząc rękę do ust. Cofnął się kilka kroków, twarz mu poszarzała. Wyglądało na to, że z trudem panuje nad nudnościami.

- Hej, co się stało? - Molly złapała go za rękaw.

- Kucharka... - wymamrotał. - Frytkownica się na nią wywróciła... strasznie poparzyło jej nogi. Dzwonią po karetkę. - Odszedł chwiejnym krokiem, wyraźnie wstrząśnięty.

Utkwiłam wzrok w talerzu, starając się skupić na tym, by wysłać w tamtą stronę jak najwięcej uzdrawiającej energii lub przynajmniej takiej, która pomoże uśmierzyć ból. Najlepsze efekty osiągałam wówczas, gdy miałam rannego w zasięgu wzroku lub mogłam go dotknąć, wiedziałam jednak, że wzbudziłabym zbyt wiele podejrzeń, gdybym teraz pobiegła do kuchni. Poza tym zostałabym stamtąd najprawdopodobniej wyrzucona, nim w ogóle zdołałabym zbliżyć

się do tej kobiety. Pozostałam więc na krześle, robiąc, co w mojej mocy. Coś jednak było nie tak: energia nie przepływała należycie. Z każdą próbą czułam, jak płynące ode mnie fale odbijają się, nim zdążą dotrzeć do celu. Gdzieś po drodze napotykały przeszkodę. Odniosłam wrażenie, że przechwytyje je jakaś inna siła, nieprzenikniona niczym betonowy mur, i odsyła z powrotem.

Może byłam po prostu zmęczona? Spróbowałam jeszcze raz, koncentrując się coraz mocniej, po to tylko, by napotkać jeszcze silniejszy opór.

- Beth? Co ty robisz? Wyglądasz, jakbyś miała zatwardzenie - odezwała się Molly, wytrącając mnie z transu. Potrząsnęłam głową, by odzyskać ostrość widzenia, i uśmiechnęłam się z przymusem.

- Trochę mi tylko duszno.

- Rzeczywiście, duszno tu. Chodźmy, i tak nic nie pomożemy. - Odsunęła krzesło i wstała. Bez słowa ruszyłam za nią.

Gdy mijałyśmy stolik, przy którym siedział Jake Thorn wraz ze swymi nowymi przyjaciółmi, poczułam na sobie jego spojrzenie. Nasze oczy spotkały się i przez ułamek sekundy zdawało mi się, że utonę w ich głębi.

Słowo na „s”

W sobotę Molly po raz pierwszy przysłała do mnie w odwiedzin. Od dłuższego czasu czyniła rozmaite zawoalowane aluzje na ten temat, poddałam się więc i ją zaprosiłam. Bardzo szybko poczuła się u nas jak u siebie w domu. Opadła na miękką sofę, wyzbywając się resztek onieśmielenia.

- Fajny macie ten dom - stwierdziła. - Mogłabyś tu urządzić ekstraimprezę.

- Nie sądzę, aby miało to nastąpić w najbliższym czasie - mruknęłam.

Niezrażona moim brakiem entuzjazmu, Molly zeskoczyła z kanapy, by przyjrzeć się z bliska obrazowi wiszącemu nad kominkiem. Było to dzieło malarza abstrakcjonisty, przedstawiające białą przestrzeń z namalowanym na środku okrągłym symbolem. Otaczały go błękitne pierścienie, blednące stopniowo, im bliżej krawędzi płótna się znajdowały.

- Co to ma być? - zapytała.

Spojrzałam na atramentowe kręgi, odcinające się na czystym białym tle. Pomyślałam o różnych ideach, które mogłyby reprezentować. W moich oczach wyrażały istotę naszej rzeczywistości, opisując rolę jej Stwórcy we wszechświecie. To On wszak jest źródłem i ośrodkiem, wokół którego skupia się cała materia. Od Niego wychodzi życiodajna nić, na wieki nierozzerwalnie z Nim związana. Pierścienie symbolizują Jego moc, biel zaś to czas i przestrzeń. Jego obecność i potęga rozciągają się aż do krańców obrazu, a przypuszczalnie i poza jego granice - wypełniając sobą wszystko. Nie tylko ziemia należy do Niego, ale też cały wszechświat. Jest to wyraz nieskończoności i tego, co poza nią. Jedyna prawda, której nie da się podważyć, to On.

Nie miałam - rzecz jasna - zamiaru próbować wyjaśniać tego Molly. Przeświadczenie, iż przekracza to ludzką zdolność pojmowania, nie wynikało z mojego poczucia wyższości. Ludzie zanadto obawiają się życia poza znanym sobie światem i mimo iż niektórzy z nich stawiają pytania, co znajduje się dalej, nigdy nie udaje im się zbliżyć do właściwej odpowiedzi. Życie ludzkie dobiegnie końca, a pewnego dnia zniknie nawet sama ziemia, lecz istnienie trwać będzie nadal.

Molly tymczasem straciła zainteresowanie płótnem i zajęła się gitarą opartą o krzesło.

Wzięła ją ostrożnie w obie ręce.

- Należy do Gabriela?

- Owszem. Ma obsesję na jej punkcie - odparłam w nadziei, że może ją odłożyć.

Rozejrzałam się ukradkiem, na wypadek gdyby Gabriel lub Ivy mieli spoglądać na nas z jakiegoś kąta, lecz oni zawniczasu taktownie się usunęli. Molly trzymała delikatnie instrument, z widoczną fascynacją przesuwałac palce po naprężonych strunach.

- Szkoda, że nie umiem na niczym grać. Jako dziecko brałam lekcje gry na pianinie, ale nigdy nie mogłam się zmusić, żeby regularnie ćwiczyć. Za dużo było z tym zachodu. Bardzo bym chciała usłyszeć grę twojego brata.

- Zawsze możemy go poprosić, gdy wróci. Masz ochotę coś przegryźć?

Myśl o jedzeniu odwróciła jej uwagę. Zaprowadziłam ją do kuchni, gdzie pocziwa Ivy zostawiła na wierzchu kilka rodzajów muffinek oraz paterę z owocami. Moje rodzeństwo otrząsnęło się już po incydencie na imprezie i zaakceptowało Molly jako moją przyjaciółkę. Choć, prawdę powiedziawszy, nie mieli zbytniego wyboru - nie wiedzieć kiedy stałam się nieugięta.

- Ale pycha! - wykrzyknęła Molly, odgryzając kęs jagodowej babeczki i wznosząc przy tym oczy do sufitu, by dodatkowo podkreślić uznanie dla umiejętności kulinarnych Ivy. Nagle jednak zamarła z wyrazem rozpaczu na twarzy.

- To ma pewnie trochę więcej kalorii niż sałatka, co?

W tej właśnie chwili w drzwiach stanął Gabriel z deską surfingową pod pachą, w mokrym podkoszulku opinającym umięśnione ciało. Surfing był jego najnowszym hobby, które traktował jako dobry sposób na rozładowanie napięcia. Nie potrzebował oczywiście żadnych lekcji. Po co kurs surfingu komuś, kto włada falami? W ludzkiej postaci Gabriel przejawiał dużą aktywność; wysiłek fizyczny, taki jak pływanie, bieganie czy podnoszenie ciężarów, pomagał mu się wyciszyć. Molly na jego widok dyskretnie położyła ciastko na talerzyku.

- Witaj, Molly - pozdrowił ją.

Ponieważ nic nigdy nie uchodziło uwagi Gabriela, jego wzrok powędrował w stronę na wpół zjedzonej muffinki. Zastanawiał się zapewne, co takiego zrobił, że Molly straciła apetyt.

- Bethany, zaproponuj może koleżance coś innego - dodał nieskazitelnie uprzejmym tonem.

- Wydaje się, iż niezbyt smakuja jej wypieki Ivy.

- Ależ nie, są przepyszne - zapewniła Molly pośpiesznie.

- Nie przejmuj się, Gabe - zaśmiałam się. - Molly przeszła na głodową dietę z powodu balu. Gabriel pokręcił kłową.

- Takie rzeczy są bardzo niezdrowe dla dziewcząt w waszym wieku - powiedział. - Ponadto osobiście nie zalecałbym utraty wagi. W twoim wypadku jest to najzupełniej zbyteczne.

Molly przyglądała się mu w milczeniu przez kilka sekund, nim odpowiedziała.

- Mówi pan tak z grzeczności. Zdecydowanie przydałoby mi się zgubić parę kilogramów. Ujęła w dwa palce fałdkę skóry w okolicy talii, by lepiej zobrazować, co ma na myśli. Gabriel przechylił się przez kuchenny blat, poddając ją skrupulatnym oględzinom.

- Molly - rzekł wreszcie - ciało ludzkie jest piękne, niezależnie od kształtu czy rozmiaru. Pewnego dnia to zrozumiesz.

- Czy jednak niektóre kształty nie są piękniejsze od innych? - zapytała Molly. - Na przykład modelki?

- Nie istnieje nic bardziej pociągającego niż kobieta potrafiąca docenić dobre jedzenie - zawyrokował Gabriel.

Zaskoczył mnie tą wypowiedzią. Nigdy wcześniej nie słyszałam, by wygłaszał jakiegokolwiek opinie na temat tego, co składa się na kobiecej powab. Na ogół był odporny na damskie wdzięki. Po prostu ich nie zauważał.

- Zgadzam się w zupełności! - Molly wróciła do pogryzania ciastka.

Gabriel, zadowolony, iż udało mu się ją przekonać, zamierzał wyjść z kuchni.

- Proszę zaczekać! Czy będzie pan na balu? - zawołała za nim Molly.

Odwrócił się, by na nią spojrzeć. W jego srebrzystoszarych oczach mignęło lekkie rozbawienie.

- Owszem. Jest to niestety wpisane w zakres moich obowiązków.

- Może nie będzie tak źle - rzekła Molly nieśmiało.

- Zobaczymy.

Pomimo niezobowiązującego charakteru odpowiedzi Gabriela, Molly wyglądała na wniebowziętą.

- W takim razie do zobaczenia - powiedziała.

Resztę popołudnia spędziłyśmy, przerzucając magazyny o modzie oraz oglądając zdjęcia wyszukane w Internecie na laptopie Molly.

Tym razem skupiłyśmy się na fryzurach, które można by odtworzyć. Molly zdecydowana

była upiąć włosy - we francuski kok lub koronę. Ja nie wiedziałam jeszcze, co wybiorę, miałam jednak pewność, iż mogę polegać w tej kwestii na Ivy.

- Myślałam o tym, co mi powiedziałaś - wypaliłam nagle, podczas gdy Molly drukowała fotkę Gwyneth Paltrow w roli Emmy

Woodhouse⁸ - o Xavierze i... ee... fizycznym aspekcie naszego związku.

⁸ Emma Woodhouse - tytułowa bohaterka powieści Jane Austen *Emma* z 1815 r.

- O mój Boże - pisnęła Molly. - Opowiadaj wszystko ze szczegółami. Jak było? Podobało ci się? Nie przejmuj się, jeśli nie. Za pierwszym razem nigdy nie jest dobrze. Z czasem będzie lepiej.

- Nie, nie, do niczego nie doszło. Zastanawiałam się tylko, czy nie powinnam z nim o tym porozmawiać.

- Porozmawiać? A po co?

- Żeby dowiedzieć się, co na ten temat myśli.

- Gdyby miał z tym jakiś problem, sam zacząłby rozmowę. Czym się zajmujesz?

- Chciałabym wiedzieć, czego on pragnie, czego oczekuje, co czyni go szczęśliwym...

- Beth, nie masz obowiązku robić czegokolwiek tylko po to, by uszczęśliwić swojego chłopaka. Jeśli nie jesteś jeszcze gotowa, powinnaś poczekać. Sama żałuję, że nie poczekałam.

- Ale ja chcę z nim o tym pomówić - upierałam się. - Nie jestem już małą dziewczynką.

- Beth - Molly zamknęła stronę internetową, którą przeglądała, by odwrócić się przodem do mnie. Jej twarz wyrażała powagę, jak zawsze, gdy zamierzała udzielić mi rady - to temat, który prędzej czy później poruszyć musi każda para. Najlepiej być szczerą, nie udawaj kogoś, kim nie jesteś. On wie, że nie masz w tej kwestii żadnego doświadczenia? - Skinęłam w milczeniu głową.

- To bardzo dobrze. Nie będzie przynajmniej żadnych niespodzianek. Powinnaś mu w takim razie powiedzieć, że ci to nie daje spokoju i zapytać, co on czuje. I wtedy będziesz wiedziała, na czym stoicie.

- Dzięki. - Uśmiechnęłam się szeroko. - Jesteś nieoceniona.

Roześmiała się.

- Wiem, wiem. Przy okazji, mówiłam ci już, jaki genialny obmyśliłam plan?

- Nie. A w związku z czym?

- W związku z Gabrielem. Jęknęłam w duchu.

- Molly, tylko nie to. Już to przerabialiśmy.

- Ale ja nigdy nie poznałam kogoś takiego jak on. A poza tym wszystko się zmieniło... Ja się zmieniłam.

- To znaczy?

- Zdałam sobie z czegoś sprawę - oznajmiła z uśmiechem. - Jedyne sposoby na zdobycie Gabriela to stać się lepszą osobą.

Postanowiłam więc przywiązywać większą wagę do problemów innych, wykazać się większym zaangażowaniem w sprawy ogółu.

- Jak masz zamiar to osiągnąć?

- Zgłosiłam się jako wolontariuszka w domu opieki. Sama przyznasz, że to doskonała strategia.

- Większość osób pomaga potrzebującym z nieco innych pobudek - zauważyłam. - Nie powinnaś tak tego traktować. Gabrielowi bardzo by się to nie spodobało.

- Ale on przecież o tym nie wie. Nie robię zresztą niczego złego - odrzekła. - Rozumiem, że twój brat nie patrzy na mnie jak na kobietę, jednak pewnego dnia może się to zmienić. Nie mogę siedzieć z założonymi rękami i czekać, aż sam znienacka na to wpadnie. Muszę mu udowodnić, że jestem go warta.

- Udowodnić, że jesteś go warta? Oszukując go?

- A może ja naprawdę chcę się zmienić?

- Molls... - zaczęłam, ale mi przerwała:

- Nie próbuj mnie od tego odwieść. Mam zamiar pójść za ciosem i zobaczyć, dokąd mnie to zaprowadzi. Muszę spróbować.

Donikąd, bo nie może, pomyślałam. Przypomniały mi się ostrzeżenia, których mnie samej nie tak dawno udzielano.

- Nic nie wiesz o Gabrielu - powiedziałam. - On nie jest taki, jak ci się wydaje. Ma w sobie tyle uczucia, co ten kamienny anioł w naszym ogrodzie.

- Jak możesz tak mówić?! - wykrzyknęła Molly. - Każdy ma jakieś uczucia, tylko do niektórych ludzi trudniej dotrzeć. Ale ja jestem cierpliwa.

- Tracisz tylko czas - rzekłam w odpowiedzi. - Gabriel różni się pod tym względem od innych.

- No cóż, jeśli okaże się, że masz rację - wówczas dam sobie spokój.

- Przepraszam. Nie miałam zamiaru zrobić ci przykrości. Nie chcę tylko patrzeć, jak cierpisz.

- Mam świadomość, że z tego może nic nie wyjść - przyznała Molly. - Ale gotowa jestem zaryzykować. A co mi pozostaje? Już za późno na wycofanie się. Przy nim nikt inny nie wydaje się godny uwagi.

Przyjrzałam jej się uważnie. Wydawała się taka szczerą i bezbronną, że po prostu musiałam uwierzyć, iż rzeczywiście tak myśli. W jej oczach widziałam determinację.

- Nie dał ci chyba żadnego powodu, by sądzić, że coś mogłoby między wami być? - spytałam ostrożnie.

- Jeszcze nie. Wciąż czekam na jakiś znak.

- Dlaczego tak ci na nim zależy? Czy to z powodu wyglądu?

- Z początku tak było - przyznała. - Ale teraz to coś więcej. Za każdym razem, gdy go widzę, doznaję takiego dziwnego uczucia, czegoś w rodzaju *deja vu* - jakbym już kiedyś z nim była. To trochę straszne, ale też wspaniałe. Czasem wydaje mi się, że wiem, co zaraz powie albo zrobi. - Potrząsnęła z determinacją lokami. - No więc jak, pomożesz mi?

- A co ja mogę tu pomóc?

- Możesz ułatwić mi wprowadzenie w życie mojego pomysłu. Zabierz mnie ze sobą następnym razem, gdy będziesz jechała do „Fairhaven”.

Czy to możliwe, że nagle zainteresowanie Molly pracą w domu opieki stanowiło część boskiego planu? Staraliśmy się wszak zaszczepić ducha dobroczynności u wszystkich, nawet jeśli ich motywy nie były do końca czyste.

- No dobrze, tyle mogę zrobić. Obiecuj jednak, że nie zaczniesz od razu rozbudzać w sobie kolejnej nadziei.

Gdy Molly postanowiła wracać do domu, na dworze zaczęło się już ściemniać. Gabriel uprzejmie zaoferował, że ją odwiezie.

- Nie, nie trzeba - odrzekła, nie chcąc się narzucać. - Przejdę się. To naprawdę nie tak daleko.

- Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić - odparł Gabriel, biorąc kluczyki od samochodu. - Ulica o tak późnej godzinie to nie miejsce dla młodej dziewczyny.

Ponieważ nie należał do osób, z którymi warto się spierać, Molly tylko mrugnęła porozumiewawczo, ściskając mnie na do widzenia.

- Znak! - syknęła mi do ucha, nim ruszyła za Gabrielem do samochodu, starając się przy tym wyglądać najskromniej, jak tylko potrafiła.

Poszłam na górę do swojego pokoju i spróbowałam popracować nad zadanym wierszem, lecz wkrótce okazało się, że zupełnie nie mam natchnienia. Nic nie przychodziło mi do głowy. Zanotowałam kilka wstępnych pomysłów, lecz wszystkie wydały mi się tak wyświechtane, że ostatecznie wylądowały w koszu. Jako że to Jake był autorem pierwszego wersu, nie czułam się w żaden sposób z nim związana. Moje propozycje nijak nie chciały do niego pasować. Koniec końców poddałam się i zesłam na dół, by zadzwonić do Xaviera.

Jak miałam się niebawem przekonać, moja twórcza niemoc nie stanowiła najmniejszej przeszkody.

- Pozwoliłem sobie dokończyć pierwszą zwrotkę - oznajmił nazajutrz Jake, siadając obok mnie w ostatniej ławce. - Mam nadzieję, że nie jesteś zła?

- Nie, bardzo się cieszę. Mogę ją usłyszeć?

Jednym ruchem ręki otworzył zeszyt we właściwym miejscu i zaczął czytać płynnie i z dużą swobodą.

W jej oczach ujrzałem anioła

W oczach odbicie swe

Nie różniło nas nic, mnie i jej

Oboje złączył kłamstwa grzech

Podniosłam powoli wzrok, niepewna, czego się właściwie spodziewałam. Wyraz twarzy Jakea się nie zmienił.

- Bardzo ci się nie podoba? - Przyglądał mi się, czekając na reakcję. Mogłabym przysiąc, że ostatnim razem jego oczy miały zielony kolor. Tego dnia były czarne jak węgiel.

- Jest bardzo dobry - odparłam słabo. - Masz do tego dryg.

- Dzięki. Wyobraziłem sobie, iż jestem Heathcliffem i piszę o Katarzynie⁹. Dla niego nikt nie znaczył tyle co ona. Kochał ją tak

bardzo, że dla innych nic mu już nie pozostało.

9 Katarzyna i Heathcliff - bohaterowie słynnej dziewiętnastowiecznej powieści *Wichrowe Wzgórze* Emily Bronte. Na drodze ich uczuciu stanęły różnice klasowe, nienawiść oraz chęć zemsty. Oboje, a zwłaszcza Heathcliff, są symbolem graniczącej z obłędem, niespełnionej miłości.

- W istocie, uczucie do niej pochłonęło go bez reszty - zgodziłam się.

Pochyliłam głowę, lecz Jake złapał mnie za rękę i zaczął wodzić palcem po wewnętrznej stronie nadgarstka, kreśląc skomplikowane wzory. Od jego dłoni płynęło palące gorąco. Odniosłam wrażenie, że próbuje przekazać mi coś bez słów.

- Jesteś bardzo piękna - szeptał. - Nigdy wcześniej nie widziałem skóry tak delikatnej, jest jak płatek kwiatu. Przypuszczam jednak, że słyszysz to codziennie.

Wyrwałam rękę.

- Nie. Nikt mi tego jeszcze nie mówił.

- Mam ci dużo więcej do powiedzenia, jeśli tylko mi na to pozwolisz. - Jake przemawiał jak w transie. - Mógłbym pokazać ci, co to znaczy być naprawdę zakochanym.

- Ja jestem zakochana. Nie potrzebuję do tego ciebie.

- Mógłbym sprawić, że poczujesz rzeczy, których dotąd nie znałaś.

- Xavier daje mi wszystko, czego pragnę - odparłam ostro.

- Ukazałbym ci rozkosz, jakiej nigdy nie zdołałabyś sobie nawet wyobrazić - nalegał Jake niskim hipnotycznym szeptem.

- Ciekawe, co na to Xavier - rzekłam zimno.

- Pomyśl o tym, czego ty pragniesz, Bethany. Jeśli chodzi o Xaviera, to zdaje się, że jesteś wobec niego zdecydowanie zbyt szczerą.

Na twoim miejscu poprzestałbym na tym, co niezbędne.

Zaszokowała mnie bezceremonialność, z jaką to powiedział.

- Jednak nie jesteś na moim miejscu, a ja nie postępuję w ten sposób. Mój związek z Xavierem oparty jest na zaufaniu, które to pojęcie najwyraźniej pozostaje dla ciebie obce - rzuciłam podniesionym tonem. Zależało mi na tym, aby podkreślić przepaść, jaka nas dzieli.

Wstałam. Kilkoro uczniów odwróciło się, przyglądając mi się na poły z zaciekawieniem, na poły wyczekująco. Nawet panna Castle podniosła wzrok znad sterty leżących na jej biurku

klasówek.

- Nie gniewaj się na mnie, Beth - głos Jake'a stał się nagle błagalny. - Usiądź, proszę.

Choć niechętnie, jednak wróciłam na miejsce. Nie chciałam dostarczać niepotrzebnego materiału do szkolnych plotek.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mogli nadal razem pracować - oświadczyłam. - Jestem pewna, że panna Castle to zrozumie.

- Nie bądź taka. Przepraszam. Nie możemy po prostu o wszystkim zapomnieć?

Sapnęłam z irytacją, krzyżując ręce na piersi, jednakże niewinność malująca się na twarzy Jake'a rozbroiła mnie.

- Potrzebuję cię jako przyjaciela - powiedział. - Dasz mi jeszcze jedną szansę?

- Tylko jeśli obiecasz, że nigdy nie powiesz czegoś podobnego.

- Dobrze, dobrze. - Uniósł ręce w geście kapitulacji.

- Obiecuję, ani słowa więcej.

Spotkawszy się z Xavierem po zajęciach, nie wspomniałam mu nic o tej rozmowie. Podejrzywałam, iż może go tylko rozzłościć i w rezultacie doprowadzić do bójki. Poza tym mieliśmy dość na głowie, nawet bez tego. Mimo to czułam się nieswojo, zatajając coś przed nim. Później zrozumiałam, że w ten właśnie sposób Jake Thorn osiągnął dokładnie to, co zamierzał.

- Mogę z tobą o czymś pomówić? - zapytałam Xaviera, leżąc na piasku.

Zamierzaliśmy iść po szkole prosto do domu, by uczyć się do egzaminów semestralnych, lecz zniecka dopadła nas ochota na lody. Kupiliśmy więc po rożku i ruszyliśmy okrężną drogą przez plażę, trzymając się za ręce. Zapragnęłam zamoczyć stopy w morzu. Skończyło się to gonitwą, aż w końcu Xavier mnie złapał, po czym oboje przewróciliśmy się na ziemię.

Odwrócił się teraz twarzą do mnie, strącając ziarenka piasku z mojego nosa.

- Możesz rozmawiać ze mną, o czym tylko zechcesz.

- No więc... - zaczęłam - nie bardzo wiem, jak to powiedzieć... a nie chciałabym, żeby to źle zabrzmiało...

Usiadł gwałtownie, odgarniając włosy z oczu, wyraźnie zaniepokojony.

- Zrywasz ze mną? - zapytał.

- Co takiego?! Nie, oczywiście, że nie. Wręcz odwrotnie.

- A. - Opadł na plecy, uśmiechając się leniwie. - W takim razie masz zamiar mi się oświadczyć.

- Nie ułatwiasz mi tego - rzekłam z pretensją w głosie.

- Przepraszam. - Spojrzał na mnie z powagą. - O czym chciałaś porozmawiać?

- Chciałabym wiedzieć, co myślisz o... jakie są twoje odczucia odnośnie do... - zrobiłam pauzę, zniżając głos - słowa na „s”. Xavier oparł podbródek na dłoni.

- Nie jestem szczególnie dobry w zagadkach. Będziesz musiała zdradzić mi więcej szczegółów.

Kręciłam się niespokojnie, nie umiając powiedzieć wprost, o co mi chodzi.

- Jaka jest druga litera? - zaśmiał się Xavier, próbując mi pomóc.

- „E” - odparłam. - A następne to „k” i „s”.

- Chcesz rozmawiać o seksie?

- Nie rozmawiać - poprawiłam. - Pytam tylko, czy... no, czy myślisz o nim czasami?

- Skąd ci się to wzięło? - zapytał łagodnie. - To zupełnie do ciebie niepodobne.

- Rozmawiałam z Molly. I ona uważa, że to dziwne, że my nic... no wiesz. Xavier ściągnął brwi.

- Czy Molly naprawdę musi być wtajemniczona we wszystko, co nas dotyczy?

- Czy ja cię w ogóle nie pociągam? - przerwałam mu, czując nagły ucisk w piersi. Nie rozważałam wcześniej takiej możliwości. - Może ze mną jest coś nie w porządku?

- Oczywiście, że nie. - Wziął mnie za rękę. - Beth... Jest wiele par, dla których seks to jedyny element, jaki powstrzymuje ich związek przed rozpadem, ale w naszym przypadku to nie ma znaczenia. Łączy nas o wiele więcej. Nigdy nie poruszałem z tobą tego tematu, ponieważ nigdy nie odczułem, że jest taka potrzeba. - Popatrzył mi w oczy. - Nie wątpię, że byłoby nam razem cudownie, ale ja kocham cię dla ciebie samej, a nie dla tego, co możesz mi zaofiarować.

- Czy ty i Emily sypialiście ze sobą? - Prawie go nie słuchałam.

- O Boże - Xavier opadł na piasek - tylko nie to.

- Sypialiście czy nie?

- Jakie to ma znaczenie?

- Odpowiedz po prostu!

- Tak. Owszem. Zadowolona?

- No i sam widzisz! Kolejna rzecz, którą mogliście ze sobą dzielić, a której ja nie jestem w stanie ci dać.

- Beth, strona fizyczna nie stanowi podstawy związku - powiedział spokojnie.

- Ale jest jego częścią - zaprotestowałam.

- Oczywiście. Jednak nie najważniejszą.

- Jesteś przecież chłopcem, nie masz swoich... potrzeb? - zapytałam cicho. Roześmiał się.

- Poznając rodzinę posłańców przybyłych z niebios, człowiek zapomina jakoś o „potrzebach” i koncentruje się na ważniejszych sprawach.

- A gdybym ci powiedziała, że tego chcę? - wypaliłam, zaskoczona własnymi słowami. Co ja wygaduję? Czy zdaję sobie sprawę, że tego rodzaju sugestii nie rzuca się ot tak? Wiedziałam tylko, że kocham Xaviera ponad wszystko w świecie i że rozłąka z nim sprawia mi fizyczny ból. Nie mogłam znieść myśli, że istnieje jakaś jego część, której nie znam i która być może pozostanie zamknięta przede mną na zawsze. Pragnęłam poznać mapę jego ciała, wyryć jego obraz w pamięci tak, aby już tam pozostał. Zbliżyć się do niego najbardziej, jak to tylko możliwe, złączyć się w jedno ciałem i duszą.

- Więc? - zapytałam miękko. - Zgodziłbyś się?

- W żadnym razie.

- Dlaczego?!

- Ponieważ nie sądzę, abyś była gotowa.

- Czy to nie ja przypadkiem powinnam o tym zdecydować? - oburzyłam się. - Nie powstrzymasz mnie.

- Do tego potrzeba dwojga. - Xavier pogłaskał mnie po twarzy. - Beth, przecież ja cię kocham. Nic nie może uszczęśliwić mnie bardziej niż twoja bliskość. Działasz na mnie jak narkotyk.

- A więc...

- Więc jeśli naprawdę tego pragniesz, to ja tym bardziej. Najpierw jednak powinniśmy rozważyć wszelkie za i przeciw.

- A kiedy to nastąpi?

- Gdy się nad tym wszystkim dobrze zastanowisz. Bez udziału Molly. Westchnęłam.

- To nie ma nic wspólnego z Molly.

- Czy wzięłaś pod uwagę konsekwencje, jakie coś takiego mogłoby za sobą pociągnąć?

- Chyba tak.

- I nadal chcesz to zrobić? Jesteś szalona.

- Nie rozumiesz? Nie mam nic do stracenia. - Zwróciłam twarz ku niebu. - To już nie jest

mój dom. Teraz ty nim jesteś.

Objął mnie i przyciągnął do siebie.

- Tak jak ty dla mnie. Ale nie możesz żądać, abym zaangażował się w coś, co mogłoby skończyć się dla ciebie źle. Musimy trzymać się zasad.

- To nie fair. Jakim prawem oni rządzą moim życiem?

- Wiem, że to nie w porządku, ale na razie nic nie możemy na to poradzić.

- Możemy robić to, na co mamy ochotę. - Próbowałam się powstrzymać, lecz wydawało się, że słowa płyną same, bez żadnej kontroli. - Moglibyśmy się stąd wyprowadzić, zapomnieć o tym, że istnieje cokolwiek poza nami. - Nagle zdałam sobie sprawę, iż od dawna pragnęłam to z siebie wyrzucić. - Moglibyśmy się ukryć, żeby nigdy nas nie znaleźli.

- Znaleźliby nas. A ja nie chcę cię stracić, Beth - powiedział Xavier z mocą. - To zaś oznacza, że musimy przestrzegać reguł. Trudno. Rozumiem, że jesteś zła, ale proszę: zastanów się jeszcze. Pomyśl przez chwilę.

- Jak długą? Kilka dni?

- Raczej kilka miesięcy.

Westchnęłam ciężko, lecz Xavier pozostał niewzruszony.

- Nie pozwolę ci podjąć pochopnej decyzji, której możesz później żałować. Zwolnij trochę tempo - potrzeba nam spokoju i rozwagi. Zrobisz to dla mnie?

Oparłam głowę na jego piersi, czując, jak mój gniew powoli opada.

- Dla ciebie zrobię wszystko.

- Co mogłoby się stać, gdyby anioł i człowiek postanowili uprawiać miłość? - zapytałam tego wieczoru Ivy, nalewając sobie mleko. Spojrzała na mnie przenikliwie.

- Dlaczego o to pytasz? Bethany, powiedz, proszę, że niczego takiego nie zrobiłaś.

- Oczywiście, że nie. Po prostu ciekawi mnie ta kwestia.

- No cóż... - zamyśliła się. - Celem naszej egzystencji jest służba Bogu. Mamy pomagać ludziom, nie z nimi współżyć.

- Czy zdarzyło się to już kiedyś?

- Owszem. I następstwa były tragiczne.

- To znaczy?

- To znaczy, że nie należy łączyć tego, co ludzkie, z tym, co boskie. Anioł najpewniej straci swe skrzydła. Dla takiego występku nie może być odkupienia.

- A człowiek?
- Człowiek nigdy już nie będzie mógł powrócić do normalnej egzystencji.
- Dlaczego?
- Ponieważ to doświadczenie przekracza wszystko, czego mógłby kiedykolwiek doznać.
- Zostałby więc na zawsze okaleczony?

- Tak - odparła Ivy. - Można i tak to ująć. Stałby się kimś w rodzaju wyrzutka. Sądzę, że byłoby to okrutne. Przypominałoby sytuację, w której pozwalamy komuś zajrzeć do innego wymiaru po to tylko, by zaraz zatrzaskać drzwi. Aniołów nie ogranicza czas ani przestrzeń, mogą więc swobodnie podróżować między światami. Życie, jakie wiemy, stanowi dla ludzi zagadkę, której nie umieją i nie będą potrafili rozwikłać.

Mimo iż wydało mi się to bardzo złożone i nie do końca wszystko rozumiałam, pojęłam jedną rzecz: nie wolno mi niczego robić bez zastanowienia, choćbym nie wiem nawet jak tego pragnęła. Nasza miłość była niebezpieczna i zakazana. Skonsumowanie jej oznaczałoby nienaturalne złączenie nieba z ziemią, kolizję dwóch światów. Z tego zaś, co mówiła Ivy, wynikało, iż zderzenie takie może mieć katastrofalne skutki.

- Zdecydowaliśmy się z Xavierem zaczekać - oznajmiłam Molly, gdy zaczęła mnie wypytywać w stołówce podczas przerwy. Czasem odnosiłam wrażenie, iż jej zainteresowanie moim życiem uczuciowym jest trochę niezdrowe. Nie mogłam powtórzyć jej tego, co powiedziała Ivy, postarałam się więc sformułować odpowiedź inaczej: - Nie potrzebujemy udowadniać sobie na siłę swoich uczuć.

- Nie kusi cię, żeby spróbować? - zdziwiła się. - Nie jesteś ciekawa?

- Jestem, ale przecież nam się nie śpieszy.

- Rany, wy naprawdę żyjecie w jakiejś innej rzeczywistości - roześmiała się. - Nikogo innego nie trzeba do tego namawiać.

- Namawiać do czego? - zapytała Taylah, która właśnie stanęła za plecami Molly. W buzi trzymała lizaka. Pokręciłam głową na znak, że wolałabym zmienić temat, lecz Molly nie zwróciła na mnie uwagi.

- Żeby poszedł na całość - odparła.

- Och, ktoś tu, widzę, marzy o tym, żeby zrzucić wianek - stwierdziła Taylah, siadając obok nas. Na mojej twarzy prawdopodobnie odmalowało się przerażenie, bo Molly wybuchnęła

śmiechem.

- Spokojnie, skarbie. Znam Taylah nie od dziś. Może ona będzie mogła ci coś doradzić.

- Jeśli chodzi o seks, wal śmiało. Znam się trochę na tym - zapewniła Taylah. Ja jednak miałam pewne wątpliwości. Molly darzyłam zaufaniem, ale jej koleżanki rzadko zastanawiały się nad tym, co i komu powtarzają, a pojęcie dyskrecji było im zupełnie obce.

- To nic takiego - odparłam. - Drobnostka.

- Chcesz dobrą radę? - zapytała Taylah, najwyraźniej zdecydowana mi jej udzielić, niezależnie od tego, czy mam na to ochotę czy nie. - Nie rób tego z kimś, kogo kochasz.

- Co? - wytrzeszczyłam na nią oczy. Tymi kilkoma prostymi słowami w jednej chwili wyrzuciła za okno cały mój system wartości. - Czy nie tak właśnie powinno być?

- Tay, daj spokój - poprosiła Molly.

- Poważnie - Taylah pomachała mi przed nosem palcem wskazującym. - Jeśli stracisz dziewictwo z gościem, w którym jesteś zakochana, wszystko pójdzie w diabły.

- Ale dlaczego?

- Dlatego, że kiedy cię zostawi, wyjdzie na to, że oddałeś mu coś, co mogłeś ofiarować tylko raz i czego nie da się już odzyskać. Jeśli zaś podarujesz to komuś, na kim ci nie zależy, nie będzie później tak bolało.

- A jeżeli on mnie nie zostawi? - zapytałam, czując, jak w gardle rośnie mi bolesna gula.

- Uwierz mi, Beth, wszystko ma swój koniec. Słuchając jej, odczułam nagle przemożne, wszechogarniające pragnienie, by uciec jak najdalej.

- Nie bierz tego do siebie, Bethie - rzekła Molly, gdy odsunęłam krzesło i wstałam. - No i zobacz, co narobiłaś. Tylko ją zdenerwowałaś.

- Nie jestem zdenerwowana - skłamałam, starając się zapanować nad drżeniem głosu. - Mam spotkanie. Zobaczymy się później. Dzięki za radę, Taylah.

Znalazszy się za drzwiami stołówki, przyśpieszyłam kroku. Musiałam natychmiast znaleźć Xaviera. Chciałam, żeby mnie przytulił, żebym znów mogła oddychać. Tylko jego zapach i dotyk były w stanie powstrzymać targające mną fale nudności. Odnalazłam go przy szafkach, przebierał się właśnie na trening. Rzuciłam się ku niemu, rozpaczliwie łaknąc pocieszenia.

- My się nie rozstaniemy, prawda? - Ukryłam twarz w jego koszulce. - Obiecuj mi, że do tego nie dopuścisz.

- Spokojnie, Beth! Co się stało? - Xavier odsunął mnie od siebie delikatnie, lecz stanowczo,

i zmusiłbym popatrzeć mu w oczy. - Co się dzieje?

- Nic - odparłam drżącym głosem. - Tyle że Taylah powiedziała...

- Beth, kiedy wreszcie przestaniesz ich słuchać?

- Powiedziała, że wszystko ma swój koniec - wyszeptalam, czując, jak ramiona Xaviera obejmują mnie mocniej. Zrozumiałam, że i dla niego ta myśl jest bolesna. - Nie zniosłabym, gdyby to przytrafiło się nam. Wszystko rozsypałoby się w proch; nie miałabym po co żyć. Nasz koniec oznacza mój koniec.

- Nie mów tak - skarcił mnie Xavier. - Jesteśmy tu oboje i żadne z nas nigdzie się nie wybiera.

- I nigdy mnie nie opuścisz?

- Nie, dopóki żyję.

- Skąd możesz to wiedzieć na pewno?

- Ponieważ, patrząc na ciebie, widzę cały mój świat. Nie mam zamiaru odchodzić. Nie miałbym do czego.

- Dlaczego wybrałaś właśnie mnie? - Znałam odpowiedź na to pytanie, wiedziałam, jak bardzo Xavier mnie kocha, a mimo to pragnęłam usłyszeć ją z jego ust jeszcze raz.

- Dlatego, że dzięki tobie zbliżam się do Boga i lepiej poznaję siebie samego - odparł. - Będąc z tobą, rozumiem rzeczy, o których nigdy nie myślałem, że będę w stanie je pojąć. Moje uczucie do ciebie przekracza wszystko, co znam. Dopóki mam ciebie, niestraszne mi żadne nieszczęście.

- Chcesz usłyszeć coś szalonego? - wyszeptalam. - Czasami w nocy wydaje mi się, że czuję twoją duszę obok mojej.

- Słyszałem bardziej szalone rzeczy - uśmiechnął się Xavier.

- Stwórzmy sobie miejsce - zaproponowałam, tuląc się do niego. - Nasze własne miejsce, dostępne tylko dla nas. Będziemy zawsze mogli się tam odnaleźć, jeśli wydarzy się coś złego.

- Może ta jaskinia pod klifami za Wybrzeżem Rozbitków?

- Nie, to ma być miejsce istniejące tylko w naszych głowach - wyjaśniłam. - Takie, do którego będzie można się udać jeśli się zgubimy lub zostaniemy rozdzieleni, albo po prostu zechcemy się ze sobą skontaktować. W tym jednym, jedynym miejscu nikt nas nigdy nie znajdzie.

- Podoba mi się ten pomysł. Nazwijmy je Biały Pokój.

- Wspaniale.

R.I.P10

10 R.I.P - skrót od *Requiescat in pace* (tac.) - Niech spoczywa w pokoju.

Zgodnie z przekonaniem, jakie wyznaje większość ludzi, istnieją tylko dwa wymiary: ten, w którym mieszkają żywi, oraz ten należący do zmarłych. Nikt nie zdaje sobie jednak sprawy, iż w rzeczywistości wymiarów tych jest znacznie więcej. Mieszkańcy ziemi wiodą codzienną egzystencję w sąsiedztwie wielu innych stworzeń; znajdują się one na wyciągnięcie ręki, lecz dla niewprawnego oka pozostają niezauważalne. Są wśród nich takie, które zwą się Ludem Tęczy - od wieków podróżują między światami, nieśmiertelne, nieskończenie mądre i wspaniałomyślne. Ludziom zdarza się niekiedy ujrzeć je przez chwilę króciutką jak mgnienie oka, gdy przeskakują z jednej rzeczywistości do drugiej. Pojawiają się jako smuga skrzących się białozłocistych promieni lub gasnąca tęczowa poświata, unosząca się w powietrzu. Większość tych, którzy je widzieli, uważa, iż była to tylko gra światła. Bardzo niewielu potrafi wyczuć obecność boskiego pierwiastka. Lubiłam myśleć, że Xavier jest właśnie jedną z takich osób.

Odnalazłszy go w stołówce, wsunęłam się na miejsce obok i skubnęłam kilka chipsów z opakowania, które mi podsunął.

Obracając się na krześle, otarł się udem o moją nogę, powodując tym falę rozkosznych dreszczy. Niestety, nie było mi dane długo się nim cieszyć, ponieważ w tym samym momencie od strony bufetu dobiegły nas podniesione głosy. Dwóch chłopców w wieku lat mniej więcej czternastu wdało się w kłótnię dotyczącą miejsca w kolejce.

- Stary, nie świruj, dobra? Wepchnąłeś się przede mnie i tyle.

- Ale co ty chrzaniś, stoję tu od początku.

- Kłamiesz w żywe oczy! Każdy to potwierdzi! Ponieważ w pobliżu nie było akurat żadnego nauczyciela, ich spór wkrótce przerodził się w przepychankę i obrzucanie się wyzwiskami. Gdy wreszcie jeden z chłopców otoczył ramieniem szyję drugiego i zaczął go dusić, stojące za nimi dziewczęta z trzeciej klasy wyraźnie się zaniepokoiły.

Xavier zerwał się na równe nogi, zamierzając interweniować, lecz zaraz usiadł - ktoś inny okazał się szybszy. Był to Lachlan

Merton, chłopak o tlenionych blond włosach, który nigdy nie rozstawał się z odtwarzaczem

mp3 i od początku roku szkolnego nie oddał ani jednej pracy domowej. Wdarł się pomiędzy walczących, a następnie zaczął ich od siebie odciągać. Nie usłyszeliśmy, co powiedział, ale chłopcy, choć niechętnie, zaniechali bójki. Usłuchali go nawet, gdy zarządził, że mają podać sobie ręce.

Wymieniliśmy z Xavierem spojrzenia.

- Lachlan Merton i odpowiedzialne zachowanie - kto by pomyślał? - mruknął Xavier.

Zrozumiałam, że na własne oczy mieliśmy właśnie okazję zobaczyć koronny dowód na zmiany, jakie zachodzą w sposobie myślenia uczniów liceum imienia Bryce'a Hamiltona. Ivy i Gabriel byliby zachwyceni, widząc, jak wspaniałe rezultaty przynosi ich wspólny wysiłek. Wiedziałam oczywiście, iż są na świecie miejsca bardziej niż Venus Cove potrzebujące pomocy, lecz nasza misja zakładała pobyt akurat tu. Gdzie indziej wartę pełnili inni opiekunowie. W duchu cieszyłam się, że nie zostałam wysłana w zakątek świata nękaną wojną, ubóstwem czy klęskami żywiołowymi. Zdjęcia, które widywałam na pierwszych stronach gazet, były wystarczająco potworne. Starłam się unikać wszelkich wiadomości, ponieważ najczęściej doprowadzały mnie do rozpacz. Nie mogłam spokojnie oglądać reportaży o dzieciach umierających z głodu i z powodu chorób spowodowanych brakiem dostępu do czystej wody. Na myśl o tym, co dzieje się na ziemi, a na co tak wielu ludzi woli przymykać oczy, chciało mi się płakać. Dlaczego jedni zasługują na godziwe życie bardziej niż inni? Nikt nie powinien cierpieć głodu ani samotności, marząc tylko o tym, aby jego smutny los dobiegł końca. Mimo iż modliłam się gorąco o interwencję Najwyższego, świadomość, że na świecie jest tylu nieszczęśliwych ludzi, nie dawała mi spokoju.

Gdy powiedziałam o tym Gabrielowi, odparł, iż nie jestem jeszcze gotowa, by to zrozumieć, lecz że pewnego dnia będę. Poradził mi, abym „zajęła się sprawami, na które mogę mieć wpływ”.

Następnego ranka cała nasz trójka wyruszyła do „Fairha-ven”, miejscowego domu spokojnej starości. Zgodnie z obietnicą odwiedziłam Alice dwa lub trzy razy, lecz ostatnio zaniedbałam wizyty u niej, jako że większość wolnego czasu poświęcałam

Xavierowi. Za to Gabriel i Ivy byli tam częstymi gośćmi, za każdym razem pamiętając, by zabrać ze sobą Fantoma. Z ich opowiadań wynikało, iż ten nieodmiennie trafiał do swej dawnej pani jak po sznurku, nie potrzebując jakichkolwiek wskazówek.

Ponieważ Molly zgłosiła chęć zabrania się z nami, pojechaliśmy okrężną drogą, by po nią

wstąpić. Czekala na nas ubrana i gotowa, pomimo że wybiła zaledwie dziewiąta rano, ja zaś wiedziałam dobrze, iż w sobotę Molly rzadko kiedy otwiera oczy przed południem.

Ku naszemu zdumieniu, miała na sobie strój sugerujący, że wybiera się raczej na sesję zdjęciową: dzinsową spódniczkę mini, buty na obcasach oraz kraciatą bluzkę. Taylah, która spała u niej tej nocy, wydawała się nieco ogłuszona faktem, iż jej przyjaciółka przedkłada opiekowanie się starymi ludźmi nad wspólne oglądanie serialu *Plotkara*. Otwierając drzwi auta, usłyszałam jej głos:

- Na jaką cholerę potrzebny ci ten dom starców?

- Wszyscy tam kiedyś trafimy - odparła Molly z uśmiechem. Zerknęła w szybę samochodu, sprawdzając, czy nie rozmazał jej się błyszczyk.

- Ja na pewno nie - oświadczyła Taylah. - Tam strasznie śmierdzi.

- Zdzwonimy się później - rzuciła Molly w odpowiedzi, siadając obok mnie.

- Ale Molls - jęknęła Taylah - Adam i Chris mieli wpaść dziś rano.

- Pozdrów ich ode mnie.

Gdy ruszaliśmy z podjazdu, Taylah stała tam jeszcze i patrzyła za nami, w oczywisty sposób zastanawiając się, kto porwał jej najlepszą przyjaciółkę, podrzucając zamiast niej jakiegoś sobowtóra.

Pielęgniarki i pielęgniarze z „Fairhaven” ucieszyli się na nasz widok. Przyzwyczaili się już do częstych odwiedzin Ivy i Gabriela, lecz obecność Molly była dla nich zaskoczeniem.

- To jest Molly - przedstawił ją Gabriel. - Zaofiarowała się dziś nam pomóc.

- Dodatkowa para rąk to dla nas zawsze duża ulga - odparła Helen, jedna z pielęgniarek. - Zwłaszcza gdy mamy takie braki w personelu jak dziś. - Wyglądała na przemęczoną.

- Miło mi, że mogę się na coś przydać - rzekła Molly, wymawiając poszczególne słowa wolno i wyraźnie, jakby rozmawiała z osobą niedosłyszącą. - To bardzo ważne, żeby umieć dawać, a nie tylko brać. - Rzuciła spod rzęs spojrzenie na Gabriela, lecz ten, zajęty wyjmowaniem gitary, nie zwracał na nią uwagi.

- Zdążyliście akurat na śniadanie - oznajmiła pielęgniarka.

- Dziękuję bardzo, ja już jadłam - odparła Molly. Na twarzy Helen pojawiło się zakłopotanie.

- Miałam na myśli śniadanie dla pensjonariuszy. Jeśli chcesz, możesz pomóc nam przy karmieniu.

Poszliśmy za nią ciemnym korytarzem do wysłużonej jadalni, w której panowała przygnębiająca atmosfera. Na podłodze leżał stary wytarty dywan w kwiaty, a nadrukowane na zasłonach kolorowe owoce dawno już wyblakły. Mieszkańcy ośrodka siedzieli na plastikowych krzesłach ustawionych przy turystycznych stolikach. Tych, którzy nie mogli samodzielnie utrzymać się w pozycji pionowej, umieszczono w głębokich skórzanych fotelach, zwanych tu „wanienkami”. Choć w każdym niemal kontakcie tkwiły elektryczne odświeżacze powietrza, w sali unosił się zapach amoniaku, połączony z wonią gotowanych warzyw. W rogu pod sufitem wisiał telewizor. Puszczano właśnie film dokumentalny o zwierzętach. Obsługa składała się głównie z kobiet. Mechanicznie wykonywały codzienne czynności - składały serwetki, wycierały blaty stołów, wiązały śliniaczki najmniej sprawnym. Gdy weszliśmy, niektóre z twarzy uniosły się w oczekiwaniu. Pozostali byli zbyt mało świadomi tego, co się dookoła nich dzieje, by cokolwiek zauważyć.

Tace używane do podawania śniadań leżały ułożone w stos na wózku, jedzenie zostało przygotowane wcześniej, podzielone na porcje i zapakowane w folię. Obok ustawiono rzędami jednorazowe kubeczki.

Jako że nie zauważyłam nigdzie Alice, zajęłam się kobietą imieniem Dora - staruszką na wózku inwalidzkim, z kolanami przykrytymi zrobionym na drutach pledem w kolorową kratę. Siedziała zgarbiona, z rozchylonymi ustami, powieki jej opadały. Miała bladą ziemistą cerę i plamy wątrobowe na rękach. Przez cienką jak papier skórę jej twarzy prześwitywała siateczka naczyń krwionośnych. Nie znałam się zbyt dobrze na tym, co powinno wchodzić w skład porannego menu w „Fairhaven”, lecz to tutaj wyglądało jak bladożółta mulista maź. Wiedziałam, iż niektórym z pensjonariuszy podaje się posiłki w formie przecieru, aby uniknąć ryzyka uduszenia.

- Co to jest? - zapytałam Helen.

- Jajecznicą - odparła, popychając wózek z tacami. Jeden z seniorów spróbował unieść do ust napełnioną jedzeniem łyżeczkę, jednak ręce trzęsły mu się tak bardzo, że wszystko spadło mu na koszulę. Nie minęła sekunda, a Gabriel już przy nim był.

- Ja to zrobię - powiedział, wycierając plamę papierowym ręcznikiem.

Zapatrzona w niego Molly zapomniała nakarmić swoją podopieczną, każąc jej czekać z otwartymi ustami.

Skończywszy pomagać Dorze, podeszłam do Mabel, która cieszyła się opinią najbardziej

zadziornej mieszkanki domu. Odepchnęła podsuniętą przeze mnie łyżeczkę, zaciskając buntowniczo usta.

- Nie jest pani głodna? - zapytałam.

- Mabel możesz zostawić - odezwała się Helen. - Czekaj na Gabriela. Nie weźmie nic od nikogo innego, jeśli on tu jest.

- Dobrze. Nie widziałam dziś Alice. Co się z nią stało?

- Przeniesiono ją do osobnego pokoju. Obawiam się, iż jej stan uległ pogorszeniu, odkąd ją ostatnio widziałas. Niemal zupełnie straciła wzrok i nie może dojść do siebie po infekcji płuc. Jej pokój jest zaraz obok. Pierwsze drzwi po prawej. Jestem pewna, że twoja wizyta doskonale jej zrobi.

Dlaczego Gabriel i Ivy nic mi nie powiedzieli? Czyżbym tak bardzo pogrzyżała się we własnym świecie, że doszli do wniosku, iż nie ma sensu ze mną o tym rozmawiać? Ruszyłam do pokoju Alice z narastającym poczuciem grozy.

Fantom, który dotarł tam przede mną, siedział na korytarzu, trzymając straż przed drzwiami. Gdy je uchyliłam i weszliśmy do środka, prawie nie rozpoznałam osoby leżącej na łóżku. W niczym nie przypominała Alice, jaką zapamiętałam. Choroba poczyniła straszliwe spustoszenie na jej twarzy, zniekształcając rysy. Drobną i wychudzoną, wyglądała jak bezbronny ptak. Jej cienkie siwe włosy były potargane. Zniknęły też kolorowe swetry - miała na sobie prostą białą koszulę. Nie otworzyła oczu na dźwięk swojego imienia, jednak wyciągnęła do mnie rękę. Nim zdążyłam ją ująć, Fantom podsunął pod nią łeb.

- Czy to ty, Fantom? - zapytała Alice ochryłym głosem.

- Fantom i Bethany - odparłam. - Przyszliśmy panią odwiedzić.

- Bethany... - powtórzyła. - Jak to miło z twojej strony, że wpadłaś. Tęskniłam za tobą. - Nadal nie unosiła powiek, jakby związany z tym wysiłek był dla niej zbyt wielki.

- Jak się pani czuje? Może coś pani przynieść?

- Nie, kochanie. Mam wszystko, czego mi trzeba.

- Przepraszam, że nie przychodziłam tak długo. Ja po prostu... - Nie wiedziałam, jak wytłumaczyć swoje zaniedbanie.

- Rozumiem. Takie jest życie. Nie musisz przeproszać. Ważne, że teraz tu jesteś. Mam nadzieję, iż Fantom nie sprawia zbytniego kłopotu.

Na dźwięk swojego imienia Fantom szczerknął krótko.

- Jest doskonałym towarzyszem.
- Dobry piesek - pochwaliła go Alice.
- Ale co ja słyszę, pani podobno choruje? Będziemy musieli postawić panią na nogi!
- Sęk w tym, że ja wcale nie wiem, czy chcę wstawać. Wydaje mi się, że nadszedł już mój

czas...

- Proszę tak nie mówić - przerwałam jej. - Musi pani tylko odpocząć...

Głowa Alice obróciła się nagle na poduszce, a jej oczy gwałtownie się otworzyły. Nie patrzyła na nic konkretnego, utkwivszy rozszerzone źrenice gdzieś przed sobą.

- Wiem, kim jesteś - wychrypiła.

- To dobrze - odparłam, czując wzbierający w piersiach lęk. - Dobrze, że mnie pani pamięta.

- Przyszłaś mnie stąd zabrać. Jeszcze nie dziś, ale wkrótce. - A dokąd pojedziemy? - zapytałam. Nie chciałam pogodzić się z tym, co słyszę.

- Do nieba. Nie mogę zobaczyć twojej twarzy, Bethany, ale widzę bijące od ciebie światło. Patrzyłam na nią, nie mogąc wyrzucić słowa.

- Poprowadzisz mnie, prawda? - spytała.

Dotknęłam jej nadgarstka, szukając pulsu. Był słabutki niczym płomień gasnącej świecy. Zrozumiałam, że nie mogę pozwolić, aby moje przywiązanie do niej powstrzymało mnie przed wykonaniem mej powinności. Przymknęłam oczy, przywołując w myślach istotę, jaką byłam w Królestwie Niebieskim: przewodnika i opiekuna dusz stających w obliczu śmierci. Niosłam pocieszenie przede wszystkim duszyczkom dzieci, które rozpoczynały wędrówkę na drugą stronę.

- Gdy przyjdzie twój czas, nie będziesz sama.

- Trochę się boję. Powiedz mi, Bethany, czy będzie tam ciemność?

- Nie, Alice. Czeka na ciebie tylko światło.

- A moje grzechy? Nie zawsze byłam przykładną obywatelką - odpowiedziała głosem, w którym dało się wyczuć echo jej dawnej, dziarskiej osobowości.

- Miłosierdzie Ojca, którego znam, jest nieskończone.

- Czy zobaczę znowu moich bliskich?

- Dołączysz do znacznie większej rodziny. Staniesz się jednością z wszelkim stworzeniem, zarówno z tego świata, jak i pozostałych.

Alice opadła na poduszki, uspokojona, lecz wycieńczona. Zatrzepotała powiekami.

- Spróbuj teraz zasnąć - poprosiłam.

Zacisnęłam palce na jej wątlej dłoni, a Fantom oparł głowę na jej ramieniu. I tak we dwoje pilnowaliśmy jej, aż usnęła.

Wracając do domu, wciąż myślałam o Alice i o tym, co mi powiedziała. Oglądanie śmierci z góry nappełniało mnie smutkiem, lecz prawdziwe doświadczenie jej tu, na ziemi, okazało się niemal ponad moje siły. Był to fizyczny ból, na który nie ma i nigdy nie będzie żadnego lekarstwa. Ogarnęło mnie ogromne poczucie winy z powodu tego, że pozwoliłam, aby miłość do Xaviera przysłoniła mi moje obowiązki. Niebiosy zezwoliły na nasz związek, przynajmniej tymczasowo, ale nie powinnam dopuścić do tego, by pochłonął całą moją uwagę. Jednocześnie ponad wszystko inne pragnęłam odszukać Xaviera, znów poczuć jego znajomy zapach. Nikt oprócz niego nie potrafił mi aż tyle dać.

Następnego ranka dowiedzieliśmy się, iż Alice umarła we śnie. Nie byłam zaskoczona tą wiadomością. W nocy obudził mnie smagający szyby deszcz i ujrzałam jej duszę unoszącą się w powietrzu. Uśmiechała się, już spokojna. Miała za sobą długie, bogate, pełne doświadczeń życie i gotowa była wyruszyć w dalszą drogę. Jej stratę najboleśniej odczuje rodzina, która nie zdołała w pełni wykorzystać danego im czasu. Wówczas jeszcze o tym nie wiedzieli, lecz pewnego dnia dostaną drugą szansę.

W chwili gdy opuszczała ten świat, jej duch pełen był radosnego oczekiwania. Miejsce niedawnego lęku zastąpiła ciekawość tego, co znajduje się dalej. W myślach wyciągnęłam do niej rękę w geście pożegnania.

Ludzkie słabości

Dzień pogrzebu Alice okazał się pochmurny. Niebo przybrało kolor ołowiu, a ziemia przesiąknięta była wilgocią - przez całą noc mżyło. Przybyła jedynie niewielka garstka żałobników, włączając w to pracowników „Fairhaven” oraz ojca Mela, który odprawił mszę. Na miejsce pochówku wybrano trawiaste zbocze pagórka, u stóp rosnącego tam dębu. Pomyślałam, że Alice z pewnością rozbawiłaby wiadomość, iż trafił jej się grób z tak pięknym widokiem.

Jej śmierć mnie poruszyła. Skierowała moją uwagę na cele naszej misji. Postanowiłam więcej godzin poświęcać pracy społecznej. W ogólnym rozrachunku był to bardzo skromny gest i czułam się głupio, oferując taką pomoc. Naszym zadaniem było wszak ratowanie ziemi przed zakusami upadłych oraz nasyłanymi przez nich siłami ciemności! Czułam jednak, iż dzięki temu koncentruję się wreszcie na tym, co istotne, i mam jakiś udział w całej sprawie. Xavier często mi towarzyszył. Jego rodzina od lat udzielała się w rozmaitych akcjach dobroczynnych organizowanych przez Kościół, nie była to więc dla niego nowość.

- Nie musisz jeździć ze mną za każdym razem - powiedziałam do niego któregoś wieczoru, gdy czekaliśmy na pociąg. Miał zawieźć nas do punktu wydawania darmowych posiłków w Point Circe.

- Wiem, ale sam tego chcę. Zostałem wychowany w poczuciu przynależności do wspólnoty i jest dla mnie ważna.

- Ale masz o tyle więcej rzeczy na głowie niż ja. Nie chciałabym dodatkowo cię obciążać.

- Nie martw się. Potrafię odpowiednio zarządzać własnym czasem.

- A nie masz przypadkiem jutro ustnego testu z francuskiego?

- My mamy ustny test z francuskiego. I właśnie dlatego zabrałem to. - Wyjął z plecaka podręcznik. - Będziemy mogli uczyć się po drodze.

Z czasem przyzwyczaiłam się nieco do pociągów, a już z pewnością nie bez znaczenia był fakt, że podróżowałam z Xavierem. Zajęliśmy miejsca w prawie pustym wagonie. Jedynym pasażerem był pomarszczony staruszek, który drzemał, śliniąc sobie przy tym koszulę. Między jego stopami stała butelka w brązowej papierowej torbie.

Otworzyliśmy książkę i zaczęliśmy czytać, nie minęło jednak kilka minut, gdy Xavier podniósł wzrok.

- Niebo musi być całkiem spore - stwierdził. Mówił cicho, żeby nie narazić się na reprimendę za poruszanie tego tematu w miejscu publicznym. - Ile przestrzeni potrzeba, by pomieścić wszystkie te dusze? Pewnie jak zwykle okaże się, że chodzi o kwestię nieskończoności, której nijak nie mogę ogarnąć.

- Tak naprawdę to jest siedem sfer niebieskich - odrzekłam, zaskakując samą siebie. Pragnęłam podzielić się moją wiedzą z Xavierem, nawet pomimo świadomości, iż łamię zasady.

Westchnął, opadając na siedzenie.

- A już myślałam, że zaczynam coś rozumieć. Jak to: siedem?

- W pierwszym niebie znajduje się tylko tron. Są tam też anioły głoszące słowo Pana. Ojciec, Syn i Duch Święty mieszkają w siódmym niebie, które jest jednocześnie ostatnią ze sfer.

- Ale jaki w tym sens?

- Każda sfera pełni określoną funkcję. To trochę jak w firmie: żeby poznać prezesa, musisz wjechać na ostatnie piętro.

Xavier pomasaował sobie skronie.

- Muszę się jeszcze dużo nauczyć, co?

- Istnieje po prostu wiele reguł, o których trzeba pamiętać - odparłam. - Drugie niebo umieszczone jest w dokładnie tej samej odległości od ziemi co pierwsze. Anioły stojące po prawej stronie są zawsze wyższe rangą od tych, które stoją po lewej. Wejście do szóstego nieba nastrocza pewnych trudności, ponieważ można dostać się przed jego bramy wyłącznie drogą powietrzną. Zdaję sobie sprawę, że to wszystko brzmi dość mętnie, ale zapewniam cię, iż z łatwością da się odróżnić poszczególne sfery, jako że te znajdujące się niżej są znacznie ciemniejsze w porównaniu z jasnością bijącą od siódmej...

- Przestań - przerwał mi Xavier. - Przestań, nim pęknie mi głowa.

- Przepraszam - powiedziałam nieśmiało. - To chyba rzeczywiście dość przytłaczająca ilość informacji. Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo.

- Spróbuj czasem pamiętać, że jestem tylko człowiekiem.

Zostałam zaproszona na ostatni mecz rugby w tym sezonie - miała grać drużyna Xaviera. Wiedząc, jakie to dla niego ważne, umówiłam się z Molly oraz jej koleżankami, które na ogół kibicowały wszelkim rozgrywkom, w jakich brało udział nasze liceum. Choć nazywały to lojalnością wobec szkoły, podejrzewałam, że chodzi głównie o przyglądanie się spoconym chłopcom, biegającym po boisku w krótkich spodenkach. Żadna z nich nigdy nie przegapiła

okazji, by podczas przerwy znaleźć się w pobliżu szatni, oferując zmęczonym graczom coś zimnego do picia w nadziei na komplement lub - jeszcze lepiej - propozycję randki.

Ponieważ mecz rozgrywany był u nas, zeszliśmy wszystkie razem na boisko. Zawodnicy byli już na miejscu, rozgrzewając się w strojach w czarno-czerwone pasy. Ich przeciwnicy ze szkoły w Middleton stali po drugiej stronie murawy, ubrani na zielono i żółto. Przysłuchiwali się z uwagą trenerowi o twarzy tak czerwonej i nabrzmiałej, że wyglądał, jakby miał za chwilę dostać wylewu. Na mój widok Xavier pomachał kilka razy, zaraz jednak wracając do rozgrzewki. Zanim rozpoczęła się gra, nasi chłopcy zbili się w ciasną grupkę, by odśpiewać jakąś zagrzewającą do walki pieśń o „niezwyciężonej armii czerwieni i czerni”. Następnie zaczęli przebierać nogami w miejscu i obejmować się, czekając na gwizdek sędziego.

- Normalka - wymamrotała Molly. - Nic innego poza sportem nie jest w stanie skłonić ich do okazania jakichkolwiek emocji.

Gdy tylko zaczął się mecz, zrozumiałam, że nigdy nie zostanę fanką rugby. Był to zdecydowanie zbyt agresywny rodzaj sportu.

Polegał głównie na tym, by wpadać na przeciwnika z możliwie największą prędkością w celu wyrwania mu piłki. Patrzyłam, jak jeden z kolegów Xaviera gna przez boisko, ściskając piłkę pod pachą. Udało mu się wyminąć dwóch graczy drużyny Middleton, którzy natychmiast puścili się za nim w bezlitosną pogoń. Będąc kilka metrów od celu, rzucił się przed siebie na oślep, padając na ziemię z rękami wyciągniętymi nad głowę. Jego dłonie, nadal kurczowo trzymające piłkę, znalazły się tuż za linią. Jeden z chłopców z Middleton, który usiłował go wcześniej przewrócić, wylądował mu na plecach. Drużyna naszych zaczęła wznosić zwycięskie okrzyki, pomagając swojemu zawodnikowi wstać, a następnie waląc go po plecach, gdy zataczając się, wracał na środek boiska.

Zasłaniałam właśnie oczy, aby nie oglądać wyjątkowo brutalnego zderzenia, gdy Molly szturchnęła mnie w bok.

- Kto to jest? - zapytała, wskazując postać stojącą po przeciwnej stronie trybuny. Był to jakiś młody człowiek, ubrany w długi skórzany płaszcz. Nie sposób było rozpoznać, kim jest, jako że miał na głowie kapelusz, a dolną część twarzy osłonił chustką.

- Nie wiem - odparłam. - Może któryś z rodziców?

- Trochę dziwny, jak na rodzica - stwierdziła Molly. - No i dlaczego stoi tam sam?

Szybko jednak zapomnialiśmy o nieznanym, wracając do obserwowania gry. W miarę

jej trwania stawałam się coraz bardziej nerwowa. Chłopcy z Middleton nie znali litości, a większość z nich przypominała wyglądem buldożery. Za każdym razem, gdy któryś zbliżał się do Xaviera, czułam, że serce wali mi jak młot, a oddech gwałtownie przyśpiesza. Zważywszy na charakter tego sportu, działo się to dość często, a i Xavier nie należał do tych, co lubią trzymać się z tyłu. Chciał być w samym centrum akcji i, podobnie jak reszcie, zależało mu na wygranej. I choć sama gra zupełnie mi się nie podobała, musiałam przyznać, iż ma do niej dryg. Był szybki i silny, a co najważniejsze - grał fair. Widziałam, jak pędzi do celu, waląc piłką o trawę. Gdy któryś z graczy drużyny przeciwników złapał go lub powalił na ziemię, w kilka sekund stawał na nogi. Był niezmordowany. W końcu przestałam więc mrużyć oczy z powodu każdego ewentualnego zadrapania czy siniaka, przestałam martwić się o jego bezpieczeństwo, a zaczęłam być z niego dumna.

Krzyczałam głośno, wymachując pomponami, które przyniosła Molly, gdy tylko udało mi się przejąć piłkę.

Do końca pierwszej połowy nasze liceum prowadziło trzema punktami. Xavier przeszedł na skraj boiska, a ja wybiegłam mu na spotkanie.

- Dziękuję, że przyszedłeś - wydyszał. - Domyślałam się, że nie jest to twój ulubiony sposób spędzania czasu. - Błysnął zębami w jednym ze swych rozczulających uśmiechów, wylewając sobie na głowę butelkę wody.

- Doskonale dajesz sobie radę - powiedziałam, odgarniając mu z czoła mokre włosy. - Ale musisz uważać, ci z Middleton to prawdziwe olbrzymy.

- Liczą się umiejętności - odparł.

Z bólem serca oglądałam długą szramę na jego przedramieniu.

- Jak to się stało?

- To tylko zadrapanie - roześmiał się na widok mojej miny.

- Być może dla ciebie. Dla mnie jest to uszkodzenie mojego ramienia, które życzę sobie widzieć w nienaruszonym stanie.

- Czy całość również otempłowana została jako własność Bethany Church, czy tylko ręka?

- Każdy jeden centymetr, więc radzę ci być ostrożnym.

- Tak jest, panie trenerze.

- Ja nie żartuję. Zdajesz sobie sprawę, mam nadzieję, że już nigdy nie będziesz mógł mnie łajać za brak ostrożności - odparłam.

- Skarbie, takie rzeczy są nieuniknione, to część gry. Po wszystkim możesz zabawić się w pielęgniarkę, jeśli masz ochotę. - Mrugnął do mnie przez ramię przy dźwięku gwizdka wzywającego na drugą część meczu. - Nie martw się. Jestem niepokonany.

Patrzyłam, jak podbiega beztrąsko do kolegów. Odnotowałam też, że chłopiec w skórzanym płaszczu nadal stoi naprzeciwko nas. Ręce schowane miał głęboko w kieszeniach. Wciąż nie udało mi się dostrzec jego twarzy.

Dziesięć minut przed końcem gry wszystko wskazywało na to, że zawodnicy z naszej szkoły mają zwycięstwo w kieszeni. Trener drużyny przeciwników nie przestawał kręcić głową, raz po raz ocierając pot z czoła, a jego podopieczni wyglądali na wściekłych i zdesperowanych. Wkrótce zaczęli uciekać się do nieczystych chwytów. Xavier biegł przez boisko z piłką, gdy dwóch zawodników z Middleton ruszyło na niego - każdy z siłą rozpędzonego pociągu. Wykonał nagły zwrot, by uniknąć zderzenia, lecz tamci zrobili to samo, dopadając go. Krzyknęłam głośno, gdy jeden z nich wyrzucił w powietrze nogę, podcinając Xaviera w okolicy kostek, skutkiem czego ten poleciał bezwładnie naprzód, wypuszczając piłkę. Zobaczyłam, jak jego głowa uderza o ziemię, a powieki zaciskają się z bólu. Gracze z jego drużyny gwałtownie zaprotestowali, na co sędzia odgwizdał faul - ale było już za późno.

Dwóch z naszych podbiegło do Xaviera, który nadal leżał rozciągnięty na ziemi. Próbował się podnieść, lecz jego lewa kostka skrzyżowana była pod dziwnym kątem i gdy tylko spróbował na niej stanąć, upadł z widocznym grymasem bólu na twarzy. Wsparty na ramionach kolegów, dotarł jakoś do ławki. Na boisko wbiegli sanitariusze. Xavier wyglądał bardzo niewyraźnie - jakby lada chwila miał stracić przytomność.

Z miejsca, w którym stałam, nie mogłam usłyszeć, o czym rozmawiają. Widziałam tylko, jak jeden z sanitariuszy poświecił

Xavierowi latarką w oczy, a następnie pokręcił głową. Xavier zacisnął zęby, najwyraźniej załamany. Zaczęłam przepychać się między dziewczynami, by się do niego dostać, lecz Molly mnie przytrzymała.

- Nie, Beth. Oni wiedzą, co robią. Będiesz tylko przeszkadzała.

Nim zdołałam cokolwiek powiedzieć, Xaviera przełożono na nosze i zaniesiono do karetki, która zawsze na wszelki wypadek czekała w pobliżu. Niezdolna do żadnego ruchu, patrzyłam, jak w obliczu zażeganego kryzysu gra zostaje wznowiona. Karetka wyjechała już na ulicę. Pomimo paniki zauważyłam jak przez mgłę, że chłopak z naprzeciwka zniknął.

- Dokąd go zabierają? - zapytałam.

- No przecież do szpitala - odparła Molly. Jej twarz złagodniała na widok moich oczu, które wypełniły się łzami.

- Ale nie wyglądało to wcale poważnie, pewnie tylko zwichnął sobie nogę. Obandażują mi ją i odeślą go do domu. Zobacz - wskazała tablicę z wynikami. - I tak wygramy z nimi sześcioma punktami.

Ja jednak nie widziałam żadnego powodu do radości, przeprosiłam więc wszystkich i pobiegłam do domu, do Gabriela i Ivy, by prosić ich, żeby zawieźli mnie do szpitala. Biegając, wzywałam ich myślami, na wypadek gdyby gdzieś wyszli. Tak bardzo martwiłam się o Xaviera, że na parkingu zderzyłam się z Jakiem Thornem.

- Komuś się chyba spieszy - powiedział, pomagając mi wstać i otrzepać się z kurzu. - Co się stało?

- Xavier miał wypadek podczas meczu rugby - odparłam, pocierając oczy pięściami jak małe dziecko. Nie obchodziło mnie, jak wyglądam. Pragnęłam tylko upewnić się, że Xavier jest cały i zdrowy.

- Coś podobnego - mruknął Jake, przeciągając sylaby. - Takie nieszczęście... Stało mu się coś poważnego?

- Nie wiem - odpowiedziałam zdławionym głosem. - Zabrali go do szpitala na badania.

- Rozumiem. Na pewno nic mu nie będzie. Taka już jest ta gra.

- Powinnam była to przewidzieć - rzuciłam ze złością, bardziej do siebie niż do niego.

- Co przewidzieć? - zapytał Jake, patrząc mi w oczy. - Przecież to nie twoja wina. Nie płacz...

Podszedł bliżej i objął mnie. W niczym nie przypominało to uścisku Xaviera, bo Jake był zbyt szczupły i kościsty, aby można było się do niego wygodnie przytulić. Jednak pozwoliłam mu trzymać się w objęciach, szlochając wprost w jego koszulę. Gdy spróbowałam się odsunąć, okazało się, że nadal mocno zaciska wokół mnie ramiona i musiałam się z nich na siłę wyrwać.

- Przepraszam - rzekł z osobliwym wyrazem oczu. - Upewniałem się tylko, czy dobrze się czujesz.

- Dziękuję ci, ale teraz naprawdę muszę już iść. - Pod powiekami czułam piekące łzy. Z trudem wymawiałam poszczególne słowa.

Wbiegłam po schodach i ruszyłam opustoszałym korytarzem. Na jego końcu ujrzałam

idących ku mnie Ivy i Gabriela. Poczułam ulgę.

- Usłyszeliśmy twoje wezwanie - powiedziała Ivy, gdy tylko otworzyłam usta, by wszystko im opowiedzieć. - Wiemy, co się stało.

- Muszę się natychmiast dostać do szpitala. Mogę mu pomóc! - krzyknęłam. Gabriel zastąpił mi drogę, ujmując mnie za ramiona.

- Bethany, uspokój się! Nie możesz nic zrobić, nie teraz, kiedy już się nim zajęli.

- Dlaczego?

- Zastanów się przez moment - rzekła nieco gniewnie Ivy. - Zabrano go do szpitala, jego rodzice z pewnością zostali powiadomieni. Jeśli teraz jego urazy zostaną cudownie zaleczone, jak myślisz, co wszyscy zrobią?

- Ale on mnie potrzebuje.

- Jemu najbardziej przyda się twój zdrowy rozsądek - tłumaczył mój brat. - Xavier jest młody i zdrowy. Wróci do sił w naturalny sposób i nikt niczego nie będzie podejrzewał. Jeśli zechcesz później przyspieszyć jego rekonwalescencję, nie będę protestował. Ale na razie musisz ochłonąć. Ostatecznie nic strasznego mu nie grozi.

- Czy mogę go w takim razie chociaż zobaczyć? - zapytałam, zła na nich, że mają rację. Oznaczało to bowiem, iż Xa-vier dłużej będzie dochodził do zdrowia.

- Tak - odrzekł Gabriel. - Pojedziemy tam wszyscy razem. Nie spodobał mi się miejscowy szpital. Był szary i sterylny, a buty pielęgniarek piszczały nieprzyjemnie w zetknięciu z linoleum. Gdy tylko przeszłam przez rozsuwane automatycznie drzwi, wyczułam smutek i zwątpienie. Wiedziałam już, iż znajdują się tam ludzie, którym nigdy nie dane będzie wyzdrowieć - ofiary wypadków lub śmiertelnie chorzy. W każdej chwili ktoś mógł stracić matkę, ojca, męża, siostrę lub dziecko. Ból zatrzymany w ścianach tego budynku piekł mnie niczym uderzenie w twarz. To stąd tak wielu wyruszało w podróż do nieba. Przypomniało mi to, ilu z nich dane mi było ułatwić przejście na drugą stronę - liczba osób, które zwracają się ku wierze w ostatnich dniach pobytu na ziemi, bywa zaskakująca. Przebywała tu ogromna ilość dusz potrzebujących natychmiastowego wsparcia, zapewnienia, że wszystko będzie dobrze, moim zaś obowiązkiem było udzielenie im pomocy. Lecz - jak zwykle - gdy tylko stanęła mi przed oczami twarz Xaviera, poczucie odpowiedzialności czy winy opuściło mnie i byłam w stanie skupić się już tylko na tym, by go odnaleźć.

Podążyłam szybkim krokiem za Ivy i Gabrielem korytarzem wypełnionym jarzeniowym

światłem oraz szpitalnymi meblami. Xaviera umieszczono w sali na piątym piętrze. Gdy dotarliśmy na miejsce, cała jego rodzina akurat wychodziła.

- Och, Beth! - wykrzyknęła pani Woods i nagle zostałam otoczona przez wszystkich członków klanu, z których każdy miał mi do przekazania coś na temat stanu chorego. Gabriel i Ivy przyglądali się temu w osłupieniu.

- Dziękuję, że przyjechałaś, kochanie - powiedziała mama Xaviera. - Odsuńcie się trochę, dajcie dziewczynie odetchnąć. Nic mu nie będzie, Beth, nie martw się tak strasznie. Chociaż tak naprawdę przydałoby się podnieść go trochę na duchu.

Obrzuciła Gabriela i Ivy badawczym spojrzeniem.

- To na pewno twoje rodzeństwo. - Wyciągnęła na powitanie rękę, którą oni kolejno uścisnęli. - My już lecimy. Wejdź do pokoju, Beth, Xavier się ucieszy na twój widok.

Jedno łóżko stało puste, wokół drugiego zaciągnięto zasłony.

- Puk, puk - odezwałam się cicho.

- Beth? - ze środka dobiegł głos Xaviera. - Chodź! Siedział oparty o poduszki, z niebieską szpitalną bransoletką na nadgarstku.

- Co tak długo? - zapytał. Oczy rozbłyły mu radością.

Podbiegłam do niego, biorąc jego twarz w dłonie i wpatrując się w nią uważnie. Gabriel i Ivy zostali na korytarzu, nie chcąc przeszkadzać.

- Ładny mi niepokonany. Jak tam twoja kostka? - zapytałam. Podniósł woreczek z lodem, ukazując spuchniętą nogę.

- Zrobili mi prześwietlenie i wyszło, że jest pęknięta. Gdy tylko opuchlizna trochę zejdzie, założą mi gips. Zdaje się, że pochodzę sobie o kulach przez jakiś czas.

- No cóż, nie będzie to nic przyjemnego, ale to jeszcze nie koniec świata. Teraz ja dla odmiany będę miała okazję trochę się tobą poopiekować.

- Drobiazg. Potrzymają mnie tu przez noc na obserwacji, ale rano wracam do domu. Przez kilka tygodni nie będę mógł tylko stawać na tej nodze...

- To wspaniała wiadomość. - Uśmiechnęłam się szeroko.

- Jest coś jeszcze. - Xavier najwyraźniej czuł się nieswojo, jakby wstydził się przyznać do jakiegokolwiek słabości.

- Co takiego? - spytałam łagodnie.

- Podobno mam wstrząśnienie mózgu - rzekł, kładąc nacisk na słowo „podobno”, jakby nie

brał tej informacji zbyt serio. - Mówiłem, że nic mi nie jest, ale im nie da się nic wytłumaczyć. Kazali mi zostać w łóżku przez następnych kilka dni.

- Brzmi niewesoło. Na pewno dobrze się czujesz?

- Na pewno. Po prostu strasznie boli mnie głowa.

- Nie martw się, zajmę się tobą. To dla mnie żaden problem.

- Zdaje się, że o czymś zapominasz, Beth.

- Wiem, wiem - przerwałam mu. - Nie lubisz być traktowany jak inwalida, ale tak się właśnie kończy udział w podobnych...

- Nie, Beth, nie rozumiesz. - Pokręcił z przygnębieniem głową. - W ten piątek jest bal. Poczułam w żołądku dziwny ucisk.

- No i co z tego! - wykrzyknęłam sztucznie wesołym głosem. - Po prostu nie pójde.

- Musisz iść. Cieszyłaś się na to od tyłu tygodni. Ivy uszyła ci sukienkę. Limuzyny są już zamówione i wszyscy się ciebie spodziewają.

- Ale ja chciałam iść z tobą. Bez ciebie to w ogóle nie ma sensu.

- Przepraszam. - Xavier zacisnął pięści. - Jestem kretynem.

- To nie twoja wina.

- Powinienem był bardziej uważać. - Rozchmurzył się trochę. - Powiedz, proszę, że pójdziesz. Wtedy nie będę się czuł tak okropnie winny. Nie chcę, żeby przeze mnie ominęło cię coś takiego. Nie możemy iść razem, ale to przecież jeszcze nie znaczy, że nie będzie fajnie. To najważniejsze wydarzenie w roku i musisz mi wszystko dokładnie opowiedzieć.

- No nie wiem...

- Proszę! Zrobisz to dla mnie? Przewróciłam oczami.

- No cóż, skoro postanowiłeś posunąć się do szantażu emocjonalnego, co innego mi pozostaje? - Dobrze wiedziałam, że Xavier czyniłby sobie wyrzuty przez kolejnych pięć lat, gdybym nie zjawiła się na balu z jego powodu.

- A więc wszystko uzgodnione?

- Dobrze, ale chcę, żebyś wiedział, że i tak będę cały wieczór myślała o tobie.

Uśmiechnął się.

- Mógłbyś wpaść do nas, zanim wyjdę? - zapytałam. - Zęby zobaczyć mnie w sukience?

- Przyjdę na pewno. Za nic nie odpuściłbym takiego widoku.

- Okropnie się czuję, zostawiając cię tutaj samego - powiedziałam, siadając na stojącym

przy łóżku krześle.

- Nie martw się. Jak znam mamę, na pewno skombinuje jakąś leżankę i będzie tu spała.

- Przydałoby się jeszcze zrobić coś, żebyś się nie nudził. Skinął głową w kierunku maleńkiej szafki nocnej, na której leżała na wpół otwarta gruba, czarno oprawiona książka, z tytułem wypisanym złotymi literami.

- Zawsze mogę poczytać sobie Biblię i dowiedzieć się nieco więcej o wiecznym potępieniu.

- Tym się na ogół zajmujesz dla zabicia czasu? - zapytałam z ironią.

- To całkiem wartka opowieść - stary dobry Lucyfer zadbał o odpowiednią dawkę dramatyzmu.

- A znasz całą tę historię? - zapytałam.

- Wiem, że Lucyfer był archaniołem - odparł Xavier ku mojemu zaskoczeniu. - Po czym wypadł z obiegu w dość spektakularny sposób.

- A więc jednak uważałeś na lekcjach w szkółce niedzielnej - roześmiałam się. - Jego imię tak naprawdę oznacza „dający światło”. W Królestwie Niebieskim cieszył się wyjątkowymi względami Ojca. Został stworzony nadzwyczaj pięknym oraz nieprzeciętnie inteligentnym. To jego proszono o radę w trudnych sytuacjach. Wszystkie pozostałe anioły bardzo go szanowały.

- Ale jemu to nie wystarczyło - wtrącił Xavier.

- Właśnie. Stał się zarozumiały. Pogardzał ludźmi, nie potrafił zrozumieć, dlaczego Nasz Ojciec uważa ich za Swe największe dzieło. Sądził, iż tylko aniołom należy się chwała, i doszedł do wniosku, że zdoła doprowadzić do upadku Boga.

- I to wtedy go wykopali.

- Tak. Ojciec usłyszał jego myśli i wygnął go razem z jego zwolennikami, którzy zmienili się w demony. Lucyfer dostał to, czego chciał, i stał się odpowiednikiem Boga, władcą podziemi, a wszystkie upadłe anioły zostały jego demonami.

- Wiesz coś na temat tego, jak tam jest? - zapytał Xavier. Pokręciłam głową.

- Nie, ale Gabriel wie. Znał Lucyfera. Byli braćmi - podobnie jak reszta archaniołów. Lecz on nigdy o tym nie wspomina.

W tym momencie rozmowa się urwała, ponieważ Ivy i Gabriel wsunęli głowy między zasłony, chcąc sprawdzić, jak się czuje pacjent.

- Mówisz poważnie? - Molly wyglądała na przerażoną. - Myślałam, że zabierają go do szpitala tylko na wszelki wypadek. Naprawdę ma wstrząs mózgu? To jakiś koszmar! Będiesz

musiała sama iść na bal!

Zaczynałam powoli żałować, że jej o tym powiedziałam. Taka reakcja z pewnością nie przyczyniała się do poprawy mojego samopoczucia. To miała być magiczna noc, spędzona z Xavierem. Chciałam zapamiętać ją na zawsze. Teraz moje nadzieje się rozwiały.

- W ogóle nie mam ochoty tam iść. Wybieram się tylko dlatego, że Xavier mnie o to prosi.

- To takie słodkie z jego strony - westchnęła Molly.

- Wiem i dlatego nie martwię się wcale brakiem partnera.

- Coś się wymyśli - odparła pocieszająco. - Na pewno znajdzie się ktoś, kto będzie mógł go w ostatniej chwili zastąpić. Muszę się tylko zastanowić.

Wiedziałam, o co jej chodzi. Wyobrażała sobie początek balu, kiedy to wszystkie pary wchodzi i pozują do zdjęć. Pojawienie się w takiej chwili samotnie równało się według niej towarzyskiemu samobójstwu.

Jak się wkrótce okazało, Molly niepotrzebnie kłopotowała się szukaniem wyjścia z sytuacji, gdyż pojawiło się samo, w dodatku jeszcze tego popołudnia.

Siedziałam obok Jake'a Thorna w tej samej co zwykle ławce z tyłu klasy, w której odbywały się zajęcia z literatury. On notował coś w zeszycie, podczas gdy ja starałam się skupić na ostatnim wersie naszego wspólnego wiersza.

- Fakt, że napisałeś początek z męskiego punktu widzenia, bardzo mi wszystko utrudnia - narzekałam.

- Przyjmij wyrazy najszczerzego żalu - odparł Jake w typowy dla siebie, bardzo egzaltowany sposób. - Nie wahaj się jednak przejąć odrobinę twórczej inicjatywy. Pierwsza zwrotka jest adresowana do kobiety, lecz drugą bez trudu przedstawić można z odwrotnej perspektywy. Nie męcz się z tym w nieskończoność, Beth. Ja zapomniałem już o tym zadaniu. Skończmy je i zajmijmy się czymś bardziej interesującym.

- Nie poganiaj mnie - odrzekłam szorstko. - Nie wiem, jak tobie, ale mnie zależy, żeby dobrze wypaść.

- Dlaczego? Przecież niepotrzebne ci stopnie.

- Słucham? A to niby z jakiego powodu?

- Z góry wiadomo, że dobrze wypadniemy. Panna Castle mnie lubi.

Uśmiechnął się z zadowoleniem, ignorując moje pytanie, i wrócił do notowania. Nie pytałam, co tak zawzięcie skrobie, on zaś nie zamierzał niczego zdradzać.

Sugestia Jake'a wyzwoliła we mnie wenę i znacznie łatwiej było mi dokończyć wiersz, skoro mogłam pisać o Xavierze. Wystarczyło przywołać w wyobraźni jego twarz, a słowa popłynęły same, jakby moje pióro nagle ożyło. Co więcej, przydzielone mi cztery linijki przestały wystarczać. Myślam o nim bez trudu zapelniałabym wszystkie zeszyty świata. Mogłabym poświęcić całe stronicie opisom jego głosu, dotyku, zapachu - każdego najdrobniejszego szczegółu związanego z jego osobą. I tak, zanim się obejrzałam, moje lekko pochyłe pismo uzupełniło ozdobne zawijasy Jakea. Całość przyjęła następującą formę: ***W tej twarzy ujrzałem aniola***

W oczach odbicie swe

Nie różniło nas nic, mnie i jej

Oboje złączył kłamstwa grzech

ON BYŁ MI PRZYJACIELEM

ON BYŁ PRZYSZŁOŚCIĄ MĄ

**POCZĄTKIEM, KOŃCEM PRZEZNACZENIEM Z NIM SWÓJ NA WIEKI
ZWIĄŻĘ LOS**

- Pasuje - uznał Jake. - Być może będzie z ciebie jeszcze poetka.

- Dzięki - odparłam. - Nad czym tak intensywnie pracujesz? - Takie tam zapiski... obserwacje.

- Co dotychczas zaobserwowałaś?

- Tylko to, że ludzie są bardzo łatwowierni oraz bardzo przewidywalni.

- Co tym złego?

- Uważam, że to żalodne. - Powiedział to z taką złością, że aż się od niego odsunęłam. - Tak łatwo ich rozgryźć. Nie stanowią żadnego wyzwania.

- Nie zostali stworzeni dla twojej rozrywki - zaproponowałam. - Przebywanie między ludźmi to nie hobby.

- Dla mnie owszem. Większość z nich to otwarta księga... oprócz ciebie. Ty jedna stanowisz dla mnie zagadkę.

- Ja? - Zaśmiałam się z przymusem. - Nie ma we mnie niczego zagadkowego. Jestem taka jak wszyscy.

- Niezupełnie. - Znów zaczynał mówić szyfrem. Powoli stawało się to niepokojące.

- Nie wiem, o co ci chodzi - odparłam, lecz musiałam przy tym odwrócić głowę, żeby nie

zauważył, jak moje policzki oblewa rumieniec.

- Skoro tak twierdzisz. - Na tym zakończył rozmowę. Podeszły do nas Alicia i Alexandra. Czekają cierpliwie, aż Jake je zauważy.

- Tak? - odezwał się opryskliwie, gdy stało się jasne, że nie odejdą. Nigdy dotąd nie słyszałam, by używał tak ostrego tonu.

- Spotykamy się dziś wieczorem? - zapytała szeptem Alicia. Jake posłał jej pełne złości spojrzenie.

- Dostałaś moją wiadomość? - Tak.

- To w czym problem?

- Nie ma żadnego problemu - odparła, wyraźnie upokorzona.

- W takim razie do zobaczenia później - odrzekł gładko.

Przed powrotem na miejsca dziewczyny wymieniły tajemnicze uśmiechy. W odpowiedzi na mój pytający wzrok Jake wzruszył ramionami. Wyglądało to tak, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że ich zachowanie dziwi go tak samo jak mnie.

- Pewnie nie możesz doczekać się piątku? - zagadnął, zmieniając temat. - Doszły mnie słuchy, że z powodu drobnego niepowodzenia na boisku zostałaś bez partnera. Jaka szkoda, że twój książę nie będzie mógł ci towarzyszyć. - Jego ciemne oczy rozbliły. Obnażył zęby w pełnym pogardy grymasie.

- Wieści szybko się tu rozchodzą - odparłam bezbarwnym tonem, decydując się nie reagować na takie zaczepki. Zamiast cieszyć się na ten wieczór, bałam się go i nie miałam ochoty, by mi o tym przypominano.

- A ty z kim idziesz? - zapytałam z grzeczności.

- Ja także wybieram się sam.

- Dlaczego? Co na to twój fanklub?

- Fani bywają do zniesienia jedynie w niewielkich dawkach. Westchnęłam głośno.

- Życie nie jest sprawiedliwe. - Staralam się ze wszystkich sił myśleć pozytywnie, ale mi to nie wychodziło.

- Nie musi takie być. Rozumiem, że na taki bal najprzyjemniej jest wybrać się z ukochanym, czasem jednak trzeba pójść za głosem rozsądku - szczególnie w sytuacji, gdy wspomniany wyżej ukochany pozostaje w niejkiej niedyspozycji.

Udało mu się skutecznie rozbawić mnie tą zawiłą przemową.

- Od razu lepiej. Z ponurą miną ci nie do twarzy. - Wyprostował się. - Bethany, zdaję sobie sprawę z tego, że wolałabyś iść z kim innym, czy uczynisz mi jednak ten zaszczyt i pozwolisz towarzyszyć sobie na balu? Pragnę wybawić cię z kłopotliwego położenia.

Jego intencje wyglądały na szczere, mimo to nie potrafiłam tak od razu wyrazić zgody.

- Sama nie wiem. Dziękuję ci za dobre chęci, ale będę musiała omówić to najpierw z Xavierem. Skinął głową.

- Naturalnie. Wiedz jednak, że moja propozycja pozostaje aktualna, w razie gdybyś zdecydowała się ją przyjąć.

Zagadnięty na ten temat Xavier nie zastanawiał się ani chwili.

- Oczywiście, że powinnaś iść z kimś innym.

Siedział na kanapie, przodem do telewizora. Widziałam, że się nudzi - dla kogoś tak nawykłego do aktywności oglądanie całymi dniami telewizji było kiepską alternatywą. Miał na sobie szarą bluzę, a jego chora noga spoczywała na poduszce. Wyraźnie nie mógł znaleźć dogodnej pozycji i wciąż się kręcił. Nie skarżył się, ale ja wiedziałam, że nadal boli go głowa.

- To przecież tańce - ciągnął z uśmiechem. - Potrzebny ci będzie partner, skoro ja się do niczego nie nadaję.

- No dobrze - powiedziałam powoli. - A co byś powiedział, gdyby tym partnerem został Jake Thorn?

- Naprawdę? - Z twarzy Xaviera zniknął uśmiech, a jego błękitne oczy niemal niezauważalnie się zwęziły. - Nie przepadam za tym chłopakiem.

- Kiedy to właśnie on mi to zaproponował. Xavier westchnął.

- Beth, każdy facet skakałby z radości, mogąc ci towarzyszyć.

- Jake jest moim przyjacielem.

- Jesteś tego pewna? - zapytał.

- A co to niby ma znaczyć?

- Nic, po prostu nie znasz go zbyt długo. Jest w nim coś, co mi się nie podoba.

- Xavier... - Ujęłam jego dłoń i przytuliłam ją do policzka. - Przecież to tylko jeden wieczór.

- Wiem, Beth. I bardzo chciałbym, żebyś mogła przeżyć go w pełni. Wolałbym tylko, żeby to był ktoś inny... Ktokolwiek.

- Nie ma znaczenia, z kim pójdę. I tak będę myślała o tobie przez cały czas - zapewniłam.

- Doskonale, teraz jeszcze zacznij się przymilać. - Znow się uśmiechnął. - Jeśli jesteś pewna co do Jake'a, idź z nim. Proszę tylko, żebyś nie zapomniała, że on to nie ja.

- Jakbym mogła kiedykolwiek o tobie zapomnieć. Pochylił się, by mnie pocałować, i jak zwykle nie skończyło się na jednym razie. Opadliśmy na kanapę. Zanurzyłam ręce w jego włosach, a on oplótł ramionami moją talię. Nasze ciała przylgnęły do siebie. I wtedy oboje jak na komendę spojrzeliśmy na wystający pod dziwacznym kątem gips, równocześnie wybuchając śmiechem.

Zastępstwo

- Doskonale! - wykrzyknął Jake, gdy przekazałam mu wiadomość. - Będzie z nas fantastyczna para.

- Mhm. - Kiwnęłam głową.

Gdzieś na dnie mojej duszy wciąż czaiły się wątpliwości, jakieś złe przeczucie, które wywoływało delikatny dreszcz w okolicy kręgosłupa. Gdy leżałam bezpieczna w ramionach Xaviera, cały ten pomysł nie wydawał się taki zły, lecz w świetle dnia zaczynałam żałować swojej decyzji. Ponieważ jednak nie umiałam niczym wytłumaczyć mojego niepokoju, postanowiłam nie zwracać na niego uwagi. Poza tym nie mogłam się już przecież wycofać - zawiodłabym Jake'a.

- Nie pożałujesz - dodał jedwabistym głosem, jak gdyby czytał mi w myślach. - Zobaczysz, zajmę się tobą. Przyjechać po ciebie o siódmej?

Zawahałam się przez moment.

- Niech będzie o siódmej trzydzieści.

Na wieść o zmianie planów Molly opadła szczęka.

- Co ty masz w sobie takiego? - zapytała, unosząc ręce w geście skrajnej irytacji. - Jesteś jak magnes! Przyciągasz najlepszych chłopaków w szkole. Wierzyć się nie chce, że o mało mu nie odmówiłaś.

- Bo to nie Xavier - przypominałam posępnie. - Z nim to nie będzie to samo. Zdawałam sobie sprawę, że zaczynam się powtarzać, lecz rozczarowanie było silniejsze.

- Ale Jake to chyba nie najgorsze zastępstwo?!

Posłałam jej pochmurne spojrzenie. Molly westchnęła ciężko.

- No cóż, będzie musiał ci wystarczyć - stwierdziła z przekąsem. - Pocierpisz trochę w milczeniu, męcząc się u boku tego przystojniaka... Strasznie mi ciebie szkoda.

- Przestań już.

- Ale naprawdę, Beth, Jake to świetny facet. Połowa naszych dziewczyn zdążyła się w nim zakochać. Robi Xavierowi niezłą konkurencję.

Prychnęłam.

- No dobrze, wiem, że w twoich oczach nikt nie może równać się z Xavierem Woodsem.

Jednak będzie mu przykro, jeśli choć trochę się nie postarasz.

Z tym nie dało się polemizować.

Dobrze wiedząc, że gorączka związana z balem zrobi swoje, a co za tym idzie, połowa uczniów ostatnich klas i tak nie pojawi się na zajęciach, dyrekcja szkoły postanowiła dać nam w piątkowe popołudnie wolne na przygotowanie się. Oczywiście rano także nikt nie był w stanie się skupić na pracy. Większość nauczycieli nawet nie starała się przekrzyczeć podnieconych rozmów, prowadzonych w każdej niemal sali.

Ani Molly, ani jej koleżanki nie próżnowały poprzedniego wieczoru, w związku z czym przypominały prażone migdałki - efekt natryskowego opalania. Na paznokciach miały zrobiony francuski manicure, a na głowach świeże pasemka. Włosy Taylah, choć wydawało się, iż nie mogą być już jaśniejsze, zaczynały wyglądać niczym chmura talku. Gdy o jedenastej zadzwonił dzwonek, Molly złapała mnie za rękę i wyciągnęła z klasy. Nie zwolniła tempa ani nie rozluźniła uścisku aż do chwili, w której obie siedziałyśmy przypięte bezpiecznie pasami na tylnych fotelach auta Taylah. Po wyrazie jej twarzy poznałam, że to nie przelewki.

- Najpierw makijaż - oznajmiła głosem przywódcy. Wsunęła głowę między przednie siedzenia. - Jedziemy! Ruszyliśmy na główną ulicę, zatrzymując się przed studiem urody „Łabędź”, jednym z dwóch miejscowych gabinetów kosmetycznych. W środku pachniało wanilią. Na ścianach wisiały lustra oraz oszklone szafki pełne najnowszych środków upiększających. Właściciele postawili na wystrój w nieco cygańskim, zwróconym ku naturze stylu. W drzwiach wisiały zasłony z koralików, w małych, wysadzanych kamieniami świecznikach paliły się wonne kadzidelka, z ukrytych głośników sączyły się kojące odgłosy tropikalnego lasu. W poczekalni znajdowały się kolorowe pufy oraz misy wypełnione płatkami suszonych kwiatów, na niskim stoliku ustawiono podgrzewane czajniczki z wyborem ziołowych herbat.

Jednak pracownice, które wyszły nam na powitanie, w ogóle nie wyglądały na osoby pozostające w głębokim kontakcie z naturą - nie wskazywały na to ani ich platynowe blond włosy, ani obcisłe bluzki, ani jaskrawy makijaż. Wydawało się, że Molly jest z nimi w dobrej komitywie - obie uściśniły ją ciepło, gdy weszła. Przedstawiła je nam jako Melinę oraz Marę.

- A więc to dziś! - zaśpiewały. - Na pewno nie możecie się już doczekać! No to co, dziewczyny? Zaczynamy, żeby makijaż zdążył się ułożyć.

Posadziły nas na wysokich obrotowych fotelach, na wprost luster. Po cichu liczyłam na to,

że podczas pracy nie będą się kierowały własnym gustem.

- Ja chcę coś w słodkim stylu - oznajmiła Taylah. - Błyszczące cienie, blad różowe usta...

- Dla mnie klasyczne kocie oczy z lat sześćdziesiątych. Grube kreski na powiekach, do tego koniecznie sztuczne rzęsy - zarządziła Hayley.

- Ja chciałabym dyskretny przydymiony makijaż - powiedziała Molly.

- A ja chciałabym wyglądać, jakbym w ogóle nie była umalowana - poprosiłam, gdy nadeszła moja kolej.

- Bo też i wcale nie jest ci to potrzebne - stwierdziła Me-linda, przyglądając się z bliska mojej cerze.

Starając się nie wiercić, przysłuchiwałam się wyjaśnieniom dotyczącym czekających nas zabiegów. Prawdę powiedziawszy, nie brzmiało to jak żaden znany mi język.

- Najpierw pozbędziemy się z waszej skóry wszelkich zanieczyszczeń za pomocą ziołowej maseczki oraz łagodnego peelingu - poinformowała Mara. - Potem rzucimy bazę, a następnie korektorem numer jeden - odcień kość słoniowa - zatuszujemy wszelkie niedoskonałości oraz przebarwienia. Na to właściwy podkład w tonacji żółtej lub różowej, w zależności od waszego indywidualnego kolorytu. No i na koniec róż, cienie, tusz i błyszczak!

- Nie widzę żadnych wyprysków ani plamek na twojej skórze - zwróciła się do mnie Melinda. - Jakiej firmy produktów używasz?

- Właściwie żadnej. Zazwyczaj wieczorem przemywam tylko twarz wodą. Melinda przewróciła oczami.

- Wolisz zachować to w tajemnicy? Rozumiem.

- Nie, naprawdę. Nie stosuję kosmetyków.

- Jak chcesz.

- To prawda, Mel - odezwała się Molly. - Rodzina Beth pewnie nie uznaje nawet takich rzeczy. Oni żyją zupełnie jak amisze.

- Widać lektura *Dobrej Księgi* działa cuda i dla cery - wymamrotała Melinda.

Mimo że najwyraźniej niezbyt mnie polubiła, musiałam przyznać, iż Melinda doskonale знаła się na swojej pracy. Gdy pokazała mi w lustrze rezultat, dosłownie odebrało mi mowę. Po raz pierwszy moja twarz nabrała koloru. Policzki połyskiwały delikatnym różem. Usta zrobiły się pełne i czerwone, może tylko odrobinę zanadto błyszczące. Oczy wydawały się olbrzymie i pełne życia, obramowane długimi delikatnymi rzęsami, o powiekach oproszonych subtelną srebrzystą

mgiełką. Linia rzęs została podkreślona cieniutką czarną kreską. Wyglądałam tak pięknie, że z trudem się poznawałam. Najbardziej cieszyło mnie to, że nadal jestem podobna do siebie, w odróżnieniu od Molly oraz pozostałych dziewcząt, których upudrowane, sztucznie opalone twarze przypominały maski.

Dziewczęta pojechały z gabinetu kosmetycznego do fryzjera, lecz ja zdecydowałam się wrócić do domu i pozostawić kwestię fryzury w rękach Ivy. Już byłam zmęczona i szczerze wątpiłam, czy zdołałabym wytrzymać jeszcze jakieś zabiegi upiększające. Poza tym do Ivy miałam największe zaufanie.

Nim dotarłam na miejsce, oboje zdążyli się już przygotować. Gabriel siedział przy kuchennym stole ubrany w smoking. Jego jasne włosy zostały gładko zaczesane do tyłu z pomocą brylantyny, co sprawiało, iż wyglądał jak skrzyżowanie zabójczo przystojnego hollywoodzkiego gwiazdora z osiemnastowiecznym dżentelmenem. Ivy stała przy zlewie, zmywając naczynia w długiej szmaragdowozielonej sukni. Miękkie falujące loki upięła na karku w luźny węzeł. Jej widok, przywodzący na myśl bardziej złudzenie niż ludzką istotę, stojącą tak w różowych gumowych rękawicach przy zlewie pełnym brudnych naczyń, był absurdalny. Świadczył o tym, jak niewielką przywiązuje wagę do zewnętrznego piękna. Gdy weszłam, pomachała mi trzymaną w ręku gąbką.

- Pięknie wyglądasz - powiedziała. - Pójdziemy na górę upiąć ci włosy?

Najpierw jednak Ivy pomogła mi włożyć suknię, wygładzając i poprawiając materiał tak, aby leżał idealnie. Przypominałam w niej skrzący się snop księżycowego światła. Spod zwojów tkaniny wystawały czubki delikatnych srebrnych pantofelków. Na mojej twarzy odmalował się czysty zachwyty.

- Cieszę się, że ci się podoba. - Ivy jaśniała dumą. - Wiem, że nie wszystko ułożyło się tak, jakbyś sobie tego życzyła. Mimo to chciałabym, żebyś wyglądała oszalamiająco i przeżyła niezapomniane chwile.

- Nikt nie mógłby sobie wymarzyć lepszej siostry - odparłam, ściskając ją.

- Nie śpiesz się tak. - Roześmiała się. - Najpierw zobaczymy, co uda mi się zrobić z twoimi włosami.

- Nic skomplikowanego - poprosiłam, gdy zaczęła je rozpuszczać. - Zależy mi na tym, aby... pasowały do mnie.

- Nie martw się. - Poklepała mnie uspokajająco po głowie. - Rozumiem, co masz na myśli.

Jej zręcznym palcom potrzeba było niewiele czasu, by ułożyć doskonałą fryzurę. Zostawiła naturalne, swobodne fale, zbierając jedynie dwa pasma po bokach po to, by zapleść je w warkocze i połączyć z tyłu głowy jak opaskę. Reszcie pozwoliła opadać na plecy. W warkoczyki wplotła sznurek drobniotkich pereł, tworząc w ten sposób wspaniałe uzupełnienie dla sukni.

- Jest idealnie - westchnęłam. - Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

O szóstej przyjechał Xavier, żeby zobaczyć, jak wyglądam. Mogliśmy dzięki temu choć przez chwilę udawać, iż nasz wymarzony wieczór nie został zrujnowany przez jeden niefortunny wypadek. Usłyszałam, jak rozmawia na dole z Gabrielem, i mój żołądek w mgnieniu oka wypełniła cała armia motyli. Nie rozumiałam, dlaczego tak się denerwuję, skoro zazwyczaj jego towarzystwo było dla mnie czymś naturalnym. Widać zależało mi na tym, aby zrobić na nim wrażenie, by upewnić się, iż mnie kocha. Chciałam odczytać to z wyrazu jego twarzy, gdy na mnie spojrzy.

Ivy spryskała mnie perfumami, po czym ujęła moją dłoń i poprowadziła na szczyt schodów.

- Zejdiesz pierwsza? - poprosiłam, z trudem przełykając ślinę.

- Dobrze - uśmiechnęła się. - Ale Xavier chyba nie na mnie czeka.

Patrząc, z jaką gracją stąpa, zastanawiałam się, co też przyszło mi do głowy. Przy niej nikt nie mógł dobrze wypaść - każdy z góry skazany był na porażkę, i w zasadzie powinnam była od razu złożyć broń. Do moich uszu dotarły ciche oklaski oraz komplementy wygłaszane przez Xaviera. Wiedziałam, że u stóp schodów czekać będzie na nią Gabriel, oferując jej swe ramię. Nadeszła moja kolej, a na dole trzy osoby w milczeniu czekały, aż się pojawię.

- Idziesz, Bethany? - usłyszałam głos Gabriela. Odetchnęłam głęboko i postawiłam drżącą stopę na pierwszym stopniu. A jeśli Xavierowi nie spodoba się suknia? A jeśli się potknę? A jeśli ujrawszy mnie, dojdzie do wniosku, iż rzeczywistość nie dorównuje jego wyobrażeniom? Jedna za drugą, niczym miniaturowe błyskawice, kolejne wątpliwości przecinały moje myśli. Lecz gdy tylko dotarłam do zakrętu schodów i ujrzałam Xaviera, wszelkie obawy oraz cała niepewność rozwiały się niczym pył na wietrze. Zastygłam w oczekiwaniu twarz miał zwróconą ku górze, ja zaś zobaczyłam, jak źrenice jego oczu rozszerzają się na mój widok, a usta rozchylają nieznacznie w niemym wyrazie zaskoczenia. Opierał się o barierkę i wyglądał na oszołomionego. Zaciekawilo mnie, czy to ja wywołałam taką reakcję czy też może to resztki skutków

wstrząśnienia mózgu.

Gdy dotarłam na dół, ujął moją dłoń i pomógł mi zejść z ostatniego schodka, ani na sekundę nie odrywając ode mnie wzroku. Przemknął spojrzeniem po mojej twarzy, a następnie po całym moim ciele, chłonąc każdy szczegół.

- I jak? - zapytałam, przygryzając nieśmiało wargę.

Xavier otworzył usta, pokręcił głową, po czym znów je zamknął. Jego błękitne oczy przyglądały mi się z wyrazem, którego nawet ja nie potrafię rozszyfrować.

Ivy zaśmiała się.

- Jesteś wyjątkowo oszczędny w słowach, Xavierze.

- Zdaje się, że po prostu mi ich zabrakło - odparł, najwyraźniej powoli dochodząc do siebie. Kącik jego ust uniósł się w znajomym półuśmiechu. - W ogóle słowa to za mało. Beth, wyglądasz niewiarygodnie.

- Dziękuję - wybałam. - Nie musisz tego mówić.

- Ale to prawda. Ledwo mogę uwierzyć w to, że stoisz tu przede mną. Mam wrażenie, że jeśli zamknę oczy, znikniesz. Chciałbym znaleźć się tam dziś z tobą choćby tylko po to, żeby zobaczyć miny pozostałych.

- Nie wygłupiaj się - skarciłam go. - Wszyscy będą pięknie wyglądali.

- Beth, czyś ty się przejrzała w lustrze? - zapytał Xavier. - Przecież ty emanujesz światłem. Nigdy jeszcze nie widziałem kogoś, kto by tak przypominał... no cóż... anioła.

Zarumieniłam się, podczas gdy on zapiął ostrożnie ozdobę z maleńkich białych pączków róż wokół mojego nadgarstka. Zapragnęłam przytulić się do niego, zanurzyć palce w jego rozwichrzonych włosach, poczuć gładką skórę jego twarzy, pocałować w pięknie wykrojone usta. Nie chciałam jednak zmarnować starań Ivy, pochyliłam się więc tylko delikatnie, obdarzając go pojedynczym całusem.

Wydawało mi się, że zdążyliśmy zamienić zaledwie dwa słowa, a już rozległo się pukanie do drzwi. Gabriel poszedł otworzyć i wrócił, prowadząc Jake'a Thorna.

Nie byłam pewna, czy to przypadkiem nie złudzenie, ale przysięgłabym, że Gabriel, który jeszcze przed momentem zachowywał się swobodnie, nagle stał się spięty. Szczęki miał zaciśnięte, a na jego szyi pulsowała żyła. Ivy również jakby zeszywniała na widok Jake'a, jej szare oczy przesłoniła osobliwa szklista mgła, która pojawiała się tylko wtedy, gdy była czymś zaniepokojona.

Ich reakcja wytrąciła mnie z równowagi, wzbudzając na nowo falę wątpliwości. Pochwyciłam spojrzenie Xaviera. Coś w wyrazie jego twarzy sugerowało, że także jest pełen obaw.

Idąc do kuchni po napoje, Gabriel przystanął przy mnie, by położyć mi na chwilę dłoń na ramieniu. Oboje z Ivy na ogół z rezerwą podchodzili do wszelkich nieznajomych, zrobili wyjątek dla Xaviera i Molly, lecz dla nikogo więcej. Mimo to ich ewidentna nieufność wobec Jake'a sprawiła, że poczułam się zdezorientowana. Co właściwie było jej przyczyną?

Cóż on mógł zrobić takiego w swoim krótkim życiu, że anioły z trudem znosiły jego obecność? Wiedziałam dobrze, iż żadne z nich nie posunęłyby się do okazania otwartej niechęci, postarałam się więc wyrzucić z głowy wszelkie podejrzliwe myśli i korzystać z wieczoru. Wyczuwając moje zdenerwowanie, Xavier stanął obok mnie, obejmując mnie w tali.

Jake wydawał się całkowicie nieświadomy zamieszania, jakie wywołał. Nie miał na sobie smokingu, w którym spodziewałam się go ujrzeć, lecz dopasowane czarne spodnie oraz skórzaną lotniczą kurtkę. Cały on, pomyślałam. Z pewnością będzie wyróżniał się w tłumie, a to właśnie lubił.

- Dobry wieczór wszystkim - rzekł, podchodząc do mnie swobodnym krokiem. - Witaj, maleńka. Cudownie wyglądasz.

- Cześć, Jake.

Zrobiłam krok do przodu, by się z nim przywitać, a on uniosł moją dłoń do ust. Kątem oka dostrzegłam, że twarz Xaviera przybrała trudny do sprecyzowania wyraz, który jednak zaraz zniknął, po czym on także wyciągnął rękę na powitanie.

- Miło mi cię poznać - powiedział, lecz w jego głosie słychać było wyraźny przymus.

- Mnie również - odparł Jake. - Dawno już powinniśmy zostać sobie przedstawieni.

Fantom natomiast nawet nie starał się być uprzejmy. Przysiadłszy na tylnych łapach, wydał z siebie głuchy gardłowy warkot.

- Witaj, piesku - rzekł Jake, pochylając się nad nim i podsuwając mu dłoń do powąchania.

Fantom zerwał się z miejsca, szczekając i klapiąc zębami. Jake cofnął rękę, a Ivy wyprowadziła opierającego się psa, ciągnąc go za obrozę.

- Przepraszam cię - zwróciłam się do Jakea. - On się na ogół tak nie zachowuje.

- Nie przejmuj się. - Wyjął z kieszeni kurtki niewielkie pudełeczko. - To dla ciebie. Ozdoby z kwiatów wyszły już z mody, jak mi się wydaje.

Xavier rzucił mu pochmurne spojrzenie, alr powstrzymał się od komentarza.

- Dziękuję bardzo, ale nie trzeba było - powiedziałam, biorąc pudełko.

W środku znajdowały się kolczyki z białego złota w kształcie małych kóleczek. Poczułam się nieco zakłopotana, wyglądały bowiem na dość drogie.

- To nic takiego - odparł Jake. - Tak sobie tylko pomyślałem. W tym momencie Xavier postanowił włączyć się do rozmowy.

- Dziękuję ci za to, że zajmiesz się dziś wieczorem Beth - wtrącił grzecznie. - Ja jestem, jak widzisz, odrobinę niedysponowany.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odrzekł Jake. Ton jego głosu był jak zwykle afektowany i odrobinę pretensjonalny. - Przykro mi było słyszeć o twoim wypadku. Jaka szkoda, że musiało ci się to przytrafić akurat tuż przed balem. Nie martw się jednak, dopilnuję, by Bethany dobrze się bawiła. Tyle przynajmniej mogę dla niej zrobić jako przyjaciel.

- Sam rozumiesz, że jako jej chłopak, zdecydowanie wolałbym tam z nią być - odparł Xavier. - Ale wynagrodzę jej to, nie ma obawy.

Tym razem to Jake się nachmurzył. Xavier odwrócił się do niego plecami, by ująć w dłonie moją twarz i pocałować mnie w policzek. Następnie otulił mnie starannie srebrnym szalem, który trzymałam przerzucony przez ramię.

- Gotowa? - zapytał.

Szczerze powiedziawszy, jedyne, na co miałam ochotę, to zostać w domu i zwinąć się w kłębek na kanapie obok Xavie-ra, zapominając o balu. Pragnęłam zrzucić sukienkę, włożyć zamiast niej piżamę i wtulić się w niego mocno. W ogóle nie miałam ochoty wychodzić, a już z pewnością nie w towarzystwie innego chłopca. Nie dałam jednak nic po sobie poznać. Uśmiechając się z wysiłkiem, pokiwałam głową.

- Dbaj o nią - zwróci! się Xavier do Take'a. Wyraz jego twarzy był przyjazny, jednak w głosie dało się wyczuć dyskretne ostrzeżenie.

- Nie spuszczę jej z oka.

Jake podał mi ramię i wyszliśmy na ulicę, gdzie czekała na nas limuzyna. Z miny Gabriela wyczytałam, iż uznał to za przesadę. Nim przeszłam przez drzwi, Ivy pochyliła się ku mnie, poprawiając mi coś przy ramiączku sukni.

- Będziemy cały czas blisko ciebie, w razie gdybyś nas potrzebowała - wyszeptwała. Pomyślałam, że chyba odrobinę przesadza. Co złego mogło się wydarzyć w sali wypełnionej

setką ludzi? Mimo to jej słowa przyniosły mi pewną ulgę.

Opływowy kształt limuzyny oraz jej przyciemniane szyby przywodziły na myśl statek kosmiczny. Mnie wydała się raczej wulgarna niż wytworna.

W środku było bardziej przestronnie, niż to sobie wyobrażałam. Naokoło biegła dzielona, obita białą skórą kanapa. Umieszczone w suficie halogenowe żarówki emitowały fiole-towobłękitne światło. Po prawej znajdował się wmontowany na stałe barek, a niebieskie lampki rzucały barwną poświatę na rzędy szklanek oraz butelek z alkoholem, przyniesionych przez nieletnich uczestników zabawy. Znaczną część jednej ze ścian zajmował telewizor wraz z zestawem wbudowanych w dach głośników. Całe wnętrze wibrowało rykiem piosenki opowiadającej o dziewczynach, które chcą się bawić. Wsiadaliśmy jako ostatni i samochód był prawie pełny. Na mój widok twarz Molly rozjaśnił szeroki uśmiech. Nie mogąc mnie uściskać, posłała mi z siedzenia kilka całusów. Część z pozostałych dziewcząt obrzuciła mnie niechętnym spojrzeniem.

- Zawiesz, cóż to za paskudna przypadłość - wyszeptał mi do ucha Jake. - W promieniu kilometra nie znajdzie się piękniejszej od ciebie. Z pewnością zostaniesz królową balu.

- Nie ma to dla mnie najmniejszego znaczenia. Poza tym nie widziałeś jeszcze reszty konkurentek.

- Nie muszę. Dla mnie ty już wygrałaś.

Bal

Bal absolwentów odbywał się na terenie klubu tenisowego „Pawilon”. Dzięki rozległym terenom oraz funkcjonalnym salom, z których roztaczał się wspaniały widok na zatokę, cieszył się w okolicy niewątpliwie zasłużoną sławą najlepszego miejsca na imprezy.

Limuzyna przemknęła gładko obok wysokiego kamiennego ogrodzenia, a następnie przez bramę z kutego żelaza, wjeżdżając na kręty zwirowy podjazd, wzdłuż którego ciągnęły się wypielęgnowane trawniki oraz poprzycinane równiutko żywopłoty. Ogród ozdobiony był kamiennymi fontannami; jedna z nich miała kształt dumnego lwa, stojącego z łapą uniesioną jak do ataku. Z każdego pazura wystrzeliwał strumień wody, spływając łagodnym łukiem ku ziemi. Znajdowało się tam nawet małe jezioro z mostkiem i altaną, co pasowałoby raczej do starego zamku gdzieś w Europie niż do tak niewyróżniającego się niczym miasteczka, jak Venus

Cove. Cały ten przepych mimo wszystko mnie onieśmielał, na Jake’u jednak najwyraźniej nie robił żadnego wrażenia. Wydawał się tak samo znudzony jak zawsze i uśmiechał się z przesadną pewnością siebie, ilekroć podchwycił moje spojrzenie.

Jadąc dalej, minęliśmy korty tenisowe, lśniące w reflektorach samochodu niczym tafle zielonkawej wody, aż dotarliśmy do właściwego pawilonu: dużej okrągłej budowli ze szkła ze szpiczastym dachem, okolonej szeregiem tarasów o białych balustradach.

Do jej wnętrza napływał nieprzerwany strumień par - chłopcy szli wyprostowani, dziewczyny ścisnęły torebki, poprawiając ramiączka sukienek. Mimo że ich partnerzy wyglądali w smokingach niezwykle stylowo, tak naprawdę stanowili tylko dodatek; ta noc należała do dziewcząt. Na twarzy każdej z nich widać było ten sam wyraz oczekiwania.

Część uczestników przyjechała limuzynami lub wynajętymi autami, za których kierownicami zasiadali szoferzy, inni woleli piętrowe autobusy. Te właśnie podjeżdżały, wioząc tłum rozbawionych pasażerów. Zauważyłam, że zostały specjalnie przerobione, aby ich wnętrze przypominało wystrojem nocny klub. Zamontowano w nich nawet stroboskopowe światła oraz dudniące muzyką głośniki.

Na ten jeden wieczór cała feministyczna ideologia poszła w zapomnienie i dziewczęta, niczym baśniowe księżniczki, pozwalały prowadzić się w górę schodami, a następnie dalej, do

foyer. Po swojej prawej stronie miałam Molly, tak bez reszty pochłoniętą otoczeniem, że nie starała się nawet nawiązywać rozmowy z Ryanem Robertsonem - który, trzeba to przyznać - prezentował się imponująco w garniturze. Po lewej szła Taylah, robiąc po drodze setki zdjęć i starając się uwiecznić każdy, najdrobniejszy nawet szczegół. Sądząc, że nikt na nią nie patrzy, zerkała co jakiś czas spod rzęs na Jake'a. W pewnym momencie podchwycił jej spojrzenie i mrugnął figlarnie w odpowiedzi. Policzki Taylah spłonęły taką czerwienią, iż chyba tylko cud uratował jej makijaż od natychmiastowego rozpuszczenia się.

Doktor Chester, dyrektor liceum Bryce'a Hamiltona, czekał przy wejściu, ubrany w jasnoszary garnitur. Wokół niego, na podwyższeniach, ustawiono wymyślne kwiatowe kompozycje. Pozostali członkowie grona pedagogicznego rozproszyli się po całym holu, tak by mieć oko na wchodzące pary. Na wysokim czole doktora Chestera błyszczały kropelki potu - jedyna oznaka napięcia. Jego usta rozciągały się w szerokim uśmiechu, lecz oczy mówiły wyraźnie, iż wolałyby w tej chwili siedzieć w domu, w ulubionym fotelu, zamiast pilnować stada rozwydrzonych czwartoklasistów, zdecydowanych za wszelką cenę uczynić tę noc godną zapamiętania.

Stanęliśmy z Jakiem w kolejce wśród eleganckich par oczekujących na wejście. Molly oraz Ryan byli przed nami, obserwowałam ich więc uważnie, by zorientować się w obowiązujących zasadach i nie popełnić błędu.

- Pan pozwoli, oto moja partnerka, Molly Amelia Harrison - oznajmił Ryan oficjalnym tonem. Zabrzmiało to dość osobliwie w ustach chłopca, który na co dzień zwykł z kolegami zabawiać się rysowaniem na asfalcie przed wejściem do szkoły nadnaturalnych rozmiarów genitaliów. Słyszałam jednak, że Molly przykazała mu pilnować manier podczas balu.

Uśmiechnąwszy się dobrodusznie, dyrektor uścisnął mu dłoń i gestem wskazał, aby przeszli dalej. Nadeszła nasza kolej. Jake wziął mnie pod ramię.

- Panie dyrektorze, przedstawiam panu moją partnerkę, Bethany Rose Church - rzekł z galanterią, dokonując prezentacji godnej królewskiego dworu.

Doktor Chester obdarzył mnie uśmiechem pełnym aprobaty.

- Skąd wiesz, jak mam na drugie imię? - zapytałam, gdy znaleźliśmy się w środku.

- Nie wspominałem ci, że jestem jasnowidzem? - odparł

Jake.

Podążając za falą młodzieży, weszliśmy do sali balowej, której wystawność przeszła moje

najśmielsze oczekiwania. Ściany od podłogi do sufitu były ze szkła, na podłodze leżał puszysty dywan w kolorze głębokiej czerwieni. Parkiet do tańca lśnił w świetle kryształowych żyrandoli, skrzących się migotliwym blaskiem. Spoglądając na dwór, widziałam jedynie falującą powierzchnię oceanu i niewielką białą kolumnę, kształtem przypominającą solniczkę. Dłuższą chwilę zajęło mi uświadomienie sobie, iż to latarnia morska. Naokoło nas rozstawiono nakryte śnieżnobiałymi obrusami stoliki zastawione wytworną porcelaną. Pośrodku każdego z nich stała dekoracja wykonana z blad różowych i żółtych pączków róż, wokół których rozsypano srebrne cekiny. W głębi sali orkiestra stroiła instrumenty. Wszędzie krzątali się kelnerzy, roznosząc bezalkoholowy poncz.

W oddali dostrzegłam Gabriela i Ivy. Trzymali się raczej z boku, zapierając dech w piersiach swym nieprawdopodobnym wyglądem. Wyraz twarzy Gabriela był jak zwykle nieprzenikniony, ja jednak wyczuwałam, iż go to wszystko nie zachwyca. Mijający Ivy uczniowie rzucali na nią milczące, pełne podziwu spojrzenia, żaden jednak nie odważył się podejść. Zauważyłam, że Gabriel omiata wzrokiem salę, jakby kogoś szukał - wreszcie jego oczy spoczęły na Jake'u. Obserwował go przez kilka sekund w skupieniu, niemal przewiercając wzrokiem na wylot, zanim odwrócił głowę.

- Siedzimy przy jednym stoliku! - oznajmiła Molly, obejmując mnie od tyłu. - Chodźmy usiąść, bo te buty już zdążyły porządnie dać mi w kość. - W tym momencie spostrzegła Gabriela. - Chociaż może pójdę najpierw przywitać się z twoim bratem... Nie chcę wyjść na gbura!

Pozostawiając Jake'owi zadanie odnalezienia naszych miejsc, ruszyliśmy w stronę mojego rodzeństwa. Gabriel stał z rękami założonymi do tyłu, przyglądając się ponuro całemu widowisku.

- Dzień dobry! - odezwała się Molly, podchodząc do niego chwiejnym kroczkiem w eleganckich sandałkach na cieniotkich obcasach.

- Dobry wieczór, Molly - odparł Gabriel. - Wyglądasz dziś zaiste ujmująco. Molly zerknęła na mnie niepewnie.

- To znaczy, że mu się podoba - wyszeptalam, na co jej twarz błyskawicznie się rozjaśniła.

- Och, dziękuję bardzo! Pan również jest zaiste ujmujący. Dobrze się pan bawi?

- „Bawić się” nie jest tu chyba najbardziej odpowiednim określeniem. Nie przepadam za tego rodzaju wydarzeniami towarzyskimi.

- Doskonale pana rozumiem. Część oficjalna jest zawsze trochę nudna. Prawdziwa frajda

zaczyna się na prywatnym przyjęciu. Idzie pan?

Wydawało się, że kamienne oblicze Gabriela straciło na moment nieco ze swej powagi, a kąćki jego ust zadrgały. Zaraz jednak odzyskał panowanie nad sobą.

- Obawiam się, iż jako nauczyciel zmuszony jestem udawać, że nie słyszałem nic na temat żadnego prywatnego przyjęcia - rzekł. - Dyrektor wyraźnie ich zakazał.

- Może i tak, ale poradzić to on nic na to nie poradzi, prawda? - zaśmiała się Molly.

- Z kim przyszłaś? - Gabriel zmienił temat. - Nie pamiętam, żebyś mi go przedstawiała.

- Ma na imię Ryan i siedzi tam.

Wskazała stolik, przy którym Ryan siłował się z kolegą na rękę. Jeden z nich przewrócił właśnie łokciem szklankę, która potoczyła się po podłodze. Gabriel zmierzył obu chłopców krytycznym spojrzeniem.

Molly zarumieniła się i odwróciła wzrok.

- Bywa czasem trochę niedojrzały, ale to dobry chłopak. Lepiej już tam wróć, zanim zniszczy coś cennego i nas wyrzucą! Do zobaczenia później. Zarezerwowałam dla pana taniec.

Musiałam ciągnąć Molly do naszego stolika niemal siłą, ponieważ wciąż oglądała się na Gabriela, nie próbując nawet ukryć zachwytu. Ryan zdawał się niczego nie zauważać.

Wkrótce odkryłam, że pomimo magicznej atmosfery ja także nie mam jakoś nastroju do zabawy. Wymieniałam zdawkowe komentarze, kilkakrotnie łapiąc się na tym, iż rozglądam się w poszukiwaniu zegara. Zaczęłam obmyślać powód, który pozwoliłby mi oddalić się na tak długo, bym mogła zadzwonić do Xaviera. Niestety, nawet gdybym pożyczyla od Molly telefon, i tak nie znalazłabym spokojnego kąta do rozmowy. Przy każdym wyjściu stali nauczyciele, pilnując, aby nikt nie wymknął się do ogrodu, a łazienki pełne były dziewcząt poprawiających makijaż.

Po emocjach związanych z przygotowaniem czułam się rozczarowana. Nie była to wina Jake'a - widziałam, że się stara. Zajmował się mną troskliwie, opowiadając dowcipy lub wymieniając anegdotki z resztą towarzystwa siedzącego przy naszym stoliku. Obserwując dziewczęta, które skubały ostrożnie zawartość swoich talerzy albo strzepywały niewidzialne pyłki z sukienek, dochodziłam do wniosku, że główna atrakcja tego rodzaju imprez polega na tym, by ładnie wyglądać. Gdy wszyscy już się dokładnie sobie przyjrzeni, nie było właściwie co robić.

Nawet podczas rozmowy z innymi Jake rzadko odrywał wzrok od mojej twarzy. Najwyraźniej postawił sobie za cel śledzić każdy mój ruch. Niekiedy próbował wciągnąć mnie w

rozmowę, zadając przemyślnie sformułowane pytania, lecz ja odpowiadałam monosylabami, skupiając wzrok na swoich dłoniach. Mimo że nie chciałam psuć nikomu humoru ani też sprawiać wrażenia nadąsanej, myślami wciąż wracałam do Xaviera. Zastanawiałam się, co robi, wyobrażałam sobie, jak mógłby wyglądać ten wieczór, gdyby to on przyszedł tu ze mną. Miejsce było wspaniałe, a ja miałam na sobie wymarzoną sukienkę. Siedziałam jednak u boku niewłaściwego chłopca i nic nie mogłam poradzić na to, że jest mi z tego powodu trochę smutno.

- Co się dzieje, księżniczko? - zapytał Jake, przyłapawszy mnie na tęsknym wpatrywaniu się w ocean.

- Nic - odparłam prędko. - Doskonale się bawię. - Wstrętna kłamczucha - zaśmiał się. - Może zagramy w jakąś grę?

- Jeśli chcesz.

- No dobrze... Jak byś mnie opisała jednym słowem?

- Ambitny? - rzuciłam.

- Błąd. Wszystko można o mnie powiedzieć, tylko nie to, że jestem ambitny. Ciekawostka: nigdy nie odrabiam pracy domowej. Czym jeszcze się wyróżniam?

- Rodzajem żelu do włosów? Szarmanckim zachowaniem? Szóstym palcem u nogi?

- O, wypraszam sobie tego typu insynuacje. Szósty palec usunięto mi już lata temu. - Błysnął zębami w uśmiechu. - Teraz ty opisz siebie jednym słowem.

- No nie wiem... - zawahałam się. - Naprawdę... Chyba będzie mi trudno.

- I bardzo dobrze. Nigdy nie mógłbym spotykać się z dziewczyną, która potrafiłaby zawrzeć swoją osobowość w jednym wyrazie.

To byłoby zbyt proste. A prostym kobietom brakuje głębi.

- Cenisz sobie głębię? - zapytałam. - Molly twierdzi, że chłopcy pragną jedynie, żeby dziewczyna była wyluzowana.

- Wyluzowana znaczy tylko, że łatwo ją zaciągnąć do łóżka. Zresztą nie ma w tym nic złego.

- Ale czy nie jest to przeciwieństwo głębi? - wytknęłam mu. - Zdecyduj się na coś!

- Partia szachów potrafi pobudzić do głębokiej refleksji.

- Eee... tak, owszem. Czy ma to znaczyć, że wolisz figury szachowe od dziewcząt?

- Ależ skąd. Czy złamałaś kiedyś komuś serce?

- Nie. I nie zamierzam. A ty?

- Wiele razy. Ale zawsze miałem dobry powód.

- Jaki powód?

- Nie były dla mnie stworzone.

- Mam nadzieję, że pofatygowałeś się chociaż, by załatwić to osobiście, a nie przez telefon.

- Za kogo ty mnie masz? - obruszył się Jake. - Akurat tyle mogłem im ofiarować. Ten okruch godności to wszystko, co im na koniec pozostało.

- Co przez to rozumiesz? - zapytałam z ciekawością.

- Powiedzmy, że gdy się kocha, to się traci.

Wysłuchaliśmy nużącej przemowy doktora Chestera, który przypomniał nam, iż jest to „wyjątkowy dla wszystkich tu zgromadzonych wieczór”, w związku z czym oczekuje się od nas odpowiedzialnego zachowania. Wyraził nadzieję, że nie uczynimy nic, co mogłoby narazić dobre imię szkoły. Zaznaczył także, iż ufa, że po balu rozejdziemy się prosto do domów. Po tej uwadze rozległy się pojedyncze chichoty, które dyrektor zdecydował się puścić mimo uszu. Wspomniał za to, iż do naszych rodziców rozesłane zostały listy informujące o tym, że dyrekcja liceum nie popiera organizowania prywatnych przyjęć po części oficjalnej.

Nie mógł wiedzieć, że taka impreza zaplanowana została wiele miesięcy wcześniej, organizatorzy zaś nie okazali się bynajmniej na tyle naiwni, by urządzać ją w domu, pod nosem rodziców. Miała się odbyć w starej, opuszczonej fabryce za miastem. Ojciec jednego z uczniów najstarszych klas był architektem i pracował przy projekcie adaptacji budynku na apartamentowiec. Inwestycja spotkała się z protestami lokalnych organizacji zajmujących się ochroną środowiska, została więc zawieszona do czasu uzyskania potrzebnych zezwoleń. W fabryce nie brakowało miejsca ani stosownej atmosfery, a co najważniejsze, stała na zupełnym odludziu. Nikomu nie przy-szłoby do głowy szukać tam imprezowiczów. Jako że w pobliżu nie było żadnych domów, a co za tym idzie, nie miał kto się skarżyć, najgłośniejsza nawet muzyka nie stanowiła problemu. Ktoś znał zawodowego didżeja, który zaoferował na tę noc darmowe usługi. Wszyscy czekali z niecierpliwością na zakończenie balu, by „mogła się zacząć właściwa zabawa”. Jeśli o mnie chodzi, nie wybierałabym się tam, nawet gdyby Xavier mógł pójść ze mną. Byłam już w swoim ludzkim życiu na jednej imprezie i to mi wystarczyło.

Po przemówieniach podano gorącą kolację. Skończywszy jeść, ustawiliśmy się wszyscy w kolejce na specjalnym podwyższeniu, gdzie robiono nam zdjęcia do szkolnego albumu.

Większość par przyjmowała typowe pozy: dziewczęta, skromnie uśmiechnięte, obejmowały swoich partnerów, ci zaś stali sztywno wyprostowani, obawiając się wykonać jakikolwiek ruch, który mógłby zepsuć ujęcie - wiedzieli dobrze, iż nigdy nie zostałoby im to wybaczone.

Powinłam była się spodziewać, że Jake wybierze coś bardziej oryginalnego. Gdy nadeszła nasza kolej, opadł na jedno kolano, wyszarpnął z dekoracji na stole różę, po czym wziął ją w zęby.

- Uśmiech, księżniczko - wyszeptał mi do ucha.

Fotograf, który do tej pory pstrykał mechanicznie, rozpromienił się na jego widok, wdzięczny za tę odmianę. Schodząc z podium, zauważyłam, że inne dziewczęta spoglądają na swoich partnerów nieco krzywo. Ich oczy zdawały się mówić: „Dlaczego ty też nie możesz być taki, jak ten Jake Thorn?”. Jeden z nich spróbował nawet wykonać podobny gest, ale skończyło się na tym, że pokłął sobie wargę i jego czerwona jak burak towarzyszka zmuszona była zaprowadzić go do łazienki. Bardzo mu współczułam.

Po zdjęciach nadszedł czas na deser, na który podano *creme caramel*. Później były tańce, po czym zawołano nas na miejsca, gdyż ogłoszone miały zostać wyniki konkursów. Wszyscy patrzyliśmy, jak komisja organizacyjna, w skład której wchodziły Molly i Taylah, wdrapuje się na podest, dzierżąc koperty oraz puchary.

- Z prawdziwą przyjemnością - zaczęła dziewczyna imieniem Bella - pragnę ogłosić tegorocznych laureatów nagród przyznawanych na balu absolwentów liceum imienia Bryce'a Hamiltona. Podjęcie decyzji kosztowało nas dużo wysiłku i zastanowienia, więc zanim zaczniemy, chciałybyśmy przypomnieć wam, że tak naprawdę każdy z was już wygrał!

Do moich uszu dotarło zduszone prychnięcie. To Jake starał się stłumić śmiech.

- Stworzyliśmy w tym roku więcej kategorii, aby móc lepiej docenić wasz wysiłek - kontynuowała Bella. - Zacznijmy od nagrody za najlepszą fryzurę.

Wydawało mi się, że świat oszalał. Wymieniając między sobą oszołomione spojrzenia, obserwowaliśmy z Jakiem wręczanie wyróżnień w kategoriach: Najlepsza Fryzura, Najpiękniejsza Suknia, Największa Przemiana, Najładniejszy Krawat, Najlepsze Buty, Najciekawszy Makijaż, Najbardziej Olśniewająca oraz Miss Naturalnego Piękna. Wreszcie pomniejsze nagrody zostały rozdane i nadszedł moment, na który wszyscy czekali: ogłoszenie, kto zastał Królem i Królową Balu. Przez salę przebiegła fala podnieconych szeptów. To właśnie o te tytuły rywalizowano najzacieklej. Wszystkie dziewczęta siedzące na widowni wstrzymały

oddech, a chłopcy starali się nie wyglądać na zainteresowanych. Nie bardzo wiedziałam, o co ten cały szum. W końcu nie jest to coś, co umieszcza się w CV

- Tegorocznymi zwycięzcami zostają... - zaczęła prowadząca. Zrobiła dramatyczną pauzę, dla wzmocnienia efektu, i z piersi publiczności wyrwał się jęk. - Bethany Church i Jake Thorn!

Sala zagrzmiała oklaskami, a ja rozejrzałam się odruchowo, nim pojęłam, że to moje nazwisko zostało wyczytane. Musiałam wyglądać na ogłuszoną, gdy podchodziłam z Jakiem do podium, choć w jego wypadku niesmak ustąpił miejsca widocznemu rozbawieniu. Czułam się okropnie, podczas gdy Molly zakładała mi koronę oraz wiązała szarfę. Jake'owi za to zaczynało się to wszystko najwyraźniej podobać. Mieliśmy za zadanie rozpocząć walca, podałam mu więc dłoń, on zaś objął mnie w talii. Mimo iż ćwiczyłam wcześniej ten taniec z Xa-vierem, teraz, gdy nie było go przy mnie, zabrakło mi pewności siebie. Na szczęście aniołom stosunkowo łatwo przychodzi radzenie sobie w takich sytuacjach. Pozwoliłam Jake'owi prowadzić i wkrótce tańczyłam tak, jakbym przez całe życie nic innego ni robiła. Sunęłam swobodnie, ze zdziwieniem odnotowując, iż Jake'owi przychodzi to z podobną łatwością.

Minęli nas Ivy i Gabriel. Poruszali się w idealnej harmonii, płynęli w takt melodii. Ledwo dotykając stopami podłogi, zdawali się unosić w powietrzu. Nawet mimo posępnych min wyglądali tak zjawiskowo, że pozostałe pary zatrzymywały się, usuwając na bok, by na nich popatrzeć. Im jednak prędko znudziło się bycie atrakcją wieczoru i wrócili do stolika.

Gdy muzyka zmieniła tempo, Jake wśród obrotów pokierował nas na skraj parkietu. Pochylił się ku mnie, muskając wargami moje ucho.

- Jesteś olśniewająca.

- Podobnie jak ty. - Roześmiałam się, chcąc wprowadzić żartobliwy nastrój. - Wszystkie dziewczyny tak uważają.

- A ty? Czy ty też tak uważasz?

- Ja... myślę, że jesteś czarujący.

- Czarujący. - Zastanowił się przez chwilę. - No cóż, na razie będzie mi to musiało wystarczyć. Czy wiesz, że jeszcze nigdy nie spotkałem kobiety o takiej twarzy? Twoja skóra przypomina odcieniem światło księżyca, twoje oczy są jak przepastna głębia.

- Teraz to już przesadzasz - droczyłam się z nim. Wyczuwałam, że zamierza rozpocząć kolejną poetycką przemowę, i za wszelką cenę chciałam temu zapobiec.

- Nie potrafisz przyjmować komplementów - stwierdził. Zarumieniłam się.

- To prawda. Nigdy nie wiem, co powiedzieć.

- A może po prostu „dziękuję”?

- Dziękuję, Jake.

- No widzisz, nie było tak źle. A teraz mam ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza. Co ty na to?

- Raczej trudno się stąd wydostać - odparłam, wskazując głową nauczycieli pilnujących wyjść.

- Odkryłem inną drogę. Chodź, pokażę ci.

Droga Jake'a prowadziła przez tylne drzwi, które jakimś sposobem zostały przeoczone. Należało przejść obok toalet, a następnie przez magazyn znajdujący się na tyłach budynku. Jake pomógł mi prześliznąć się między wiadrami oraz mopami ustawionymi wzdłuż ścian i nagle znalazłam się z nim sam na sam na tarasie, który okalał cały pawilon. Noc była bezchmurna, niebo usiane gwiazdami, a skórę chłodził przyjemny wietrzyk. Przez szyby widać było tańczące pary. Dziewczeta, nieco już zmęczone, z wdzięcznością opierały się na swych partnerach. W pewnej odległości od reszty stali Gabriel i Ivy, skrząc się niby oproszeni gwiazdowym pyłem.

- Tyle gwiazd - powiedział Jake tak cicho, jakby mówił do siebie - lecz żadna z nich nie dorównuje ci urodą.

Przysunął się tak blisko, że czułam na policzku jego oddech. Spuściłam wzrok, pragnąc, by przestał już prawić mi komplementy.

Spróbowałam skierować uwagę na niego.

- Chciałabym być tak pewna siebie jak ty. Ciebie chyba nic nie peszy.

- A dlaczego miałoby mnie cokolwiek peszyć? Życie jest grą, a ja po prostu dobrze znam jej reguły.

- Nawet ty musisz czasem popełniać błędy.

- Właśnie taki sposób myślenia nie pozwala ludziom wygrywać.

- Każdy kiedyś przegrywa, lecz i z porażki można wiele wynieść.

- Kto ci to powiedział? - Jake pokręcił głową, wpatrując się we mnie szmaragdowymi oczami. - Ja nie lubię przegrywać i zawsze dostaję to, czego chcę.

- Czy więc teraz masz już wszystko, czego sobie życzyłeś?

- Niezupełnie. Brakuje mi jednego.

- Czegóż to? - zapytałam ostrożnie. Coś mi podpowiadało, że stąпам po niebezpiecznym

gruncie.

- Ciebie - odrzekł po prostu.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa.

- No cóż, to bardzo miłe z twojej strony, Jake, ale wiesz przecież, że nie jestem wolna.

- Ten fakt jest bez znaczenia.

- Nie dla mnie! - Cofnęłam się o krok. - Kocham Xaviera. Zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem.

- Naprawdę nie rozumiesz, że on nie jest dla ciebie odpowiedni?

- Nie, nie rozumiem. Domyślam się też, iż jesteś dość zarozumiała, by uważać, że bardziej odpowiedni byłbyś ty?

- Uważam tylko, że zasługuję, aby dać mi szansę.

- Obiecałeś, że nie będziesz do tego wracał - przypomniałam mu. - Jesteśmy przyjaciółmi i powinieneś się z tego cieszyć.

- Ależ cieszę się. Tyle tylko, że mi to nie wystarcza.

- Nie ty będziesz o tym decydował! Nie jestem zabawką, po którą wystarczy sięgnąć!

- Mam na ten temat inne zdanie.

Szybko zrobił krok do przodu, chwytając mnie za ramiona i przyciągając do siebie. Naparł mocno całym ciałem, próbując mnie pocałować. Odwróciłam twarz, lecz on zwrócił ją ku sobie, przyciskając usta do moich warg. Na niebie nagle coś błysnęło, choć nie zanosiło się na deszcz. Całował mnie mocno i zapamiętale, trzymając w żelaznym uścisku. Szarpałam się ile sił, usiłując go od siebie odepchnąć, i wreszcie zdołałam się wyrwać. - Co ty sobie wyobrażasz?! - krzyknęłam, kipiąc ze złości.

- Że pragniesz tego tak samo jak ja.

- Nic podobnego! Czy zrobiłam cokolwiek, abyś mógł tak myśleć?

- Zdążyłem cię dobrze poznać, Bethany Church. Z ciebie jest cicha woda - warknął Jake. - Widziałem, jak na mnie patrzysz, i czułem, że między nami coś iskrzy.

- Nic nie iskrzy - ucięłam dobitnie. - Nie między nami. Przykro mi, jeśli odniosłeś takie wrażenie. Jego oczy błysnęły groźnie.

- Jesteś pewna, że chcesz mi odmówić?

- Tak, jestem pewna. Kocham Xaviera. Cały czas ci to powtarzam. To nie moja wina, że

wolałeś mi nie wierzyć.

Zrobił krok w moim kierunku. Twarz pociemniała mu z gniewu.

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co chcesz zrobić?

- Nigdy w życiu z niczego lepiej sobie nie zdawałam sprawy - odrzekłam chłodno. - Ty i ja możemy być tylko przyjaciółmi.

Jake zaśmiał się gardłowo.

- Nie, dziękuję. Przyjaźń mnie nie interesuje.

- Czy nie mógłbyś postarać się przyjąć tego w bardziej dojrzały sposób?

- Ty chyba nie rozumiesz, Beth. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Czekałem na ciebie całe moje życie.

- Co masz na myśli?

- Szukałem cię od stuleci. Prawie straciłem już nadzieję. Poczułem w piersi dziwne zimno.

O czym on mówił?

- Nigdy, nawet w najśmielszych snach nie przypuszczałem, że okażesz się... jedną z nich. Z początku usiłowałem z tym walczyć, ale to na nic - nasza wspólna przyszłość zapisana została w gwiazdach.

- Coś ci się pomyliło - przerwałam mu. - My nie mamy przed sobą żadnej wspólnej przyszłości.

- Czy wiesz, jak to jest przemierzać ziemię bez celu w poszukiwaniu kogoś, kto może znajdować się wszędzie? Nie zostawię tak tego teraz.

- No cóż. Zdaje się, że nie masz wyboru.

- Dam ci jeszcze jedną szansę, ostatnią - powiedział cicho. - Nie sądzę, byś była tego świadoma, ale popełniasz straszliwy błąd - błąd, który będzie cię drogo kosztował.

- Nie zwykłam ulegać groźbom - odparłam wyniośle.

- Dobrze więc. - Jego twarz zasnuł mrok. Odsunął się ode mnie, drżąc gwałtownie, jakby sam mój widok doprowadzał go do wściekłości. - Nie będzie więcej litości dla aniołów.

Igrając z ogniem

W następnej chwili Jake obrócił się na pięcie i odszedł tam, skąd przyszliśmy. Ja zaś stałam jak wrośnięta w ziemię, czując, że całe moje ciało wypełnia chłód. Spróbowałam wmówić sobie, że być może źle zrozumiałam jego ostatnie słowa, lecz wiedziałam, że to nieprawda. Nagle odniosłam wrażenie, że noc mnie przygniata, dusi swym ciężarem. Zrozumiałam ponad wszelką wątpliwość dwie rzeczy: po pierwsze, Jake Thom wiedział, kim jesteśmy. Po drugie, był niebezpieczny. Dotarło do mnie, że wykazałam się skrajną naiwnością, nie dostrzegając tego wcześniej. Tak bardzo pragnęłam odnaleźć w nim dobro, że zlekceważyłam oczywiste oznaki czegoś wprost przeciwnego. Teraz stanęły mi wszystkie przed oczami, żywe i jaskrawe, migając niczym tablice świetlne.

Ktoś złapał mnie za łokieć i z przerażenia zaparło mi dech. Z ulgą stwierdziłam, że to Molly.

- Co się dzieje? - zapytała z pretensją. - Widzieliśmy was przez szybę! Chodzisz teraz z Jakiem? Pokłóciłaś się z Xavie-rem czy co?

- Nie - wybełkotałam - w żadnym razie nie chodzę z Jakiem! On tylko... Nie wiem, co w niego wstąpiło... Muszę wracać do domu.

- Co? Dlaczego? Nie możesz tak po prostu wyjść. Co z naszą imprezą? - pytała Molly, lecz ja zaczęłam już biec. Odnalazłam Gabriela i Ivy przy stole dla nauczycieli i odciągnęłam ich na bok.

- Musimy iść - powiedziałam, szarpiąc Gabriela za rękaw. Być może wiedział już, co się stało, albo też usłyszał błaganie w moim głosie, ale nie zadawał żadnych pytań. Oboje z Ivy zabrali w milczeniu swoje rzeczy, ruszając przodem. Wyszliśmy z pawilonu i wsiedliśmy do jeepa. Podczas drogi bez słowa wysłuchali moich wyjaśnień, powtórzyłam im też pożegnalne słowa Jakea.

- Nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia - jęknęłam, ukrywając twarz w dłoniach. - Powinnam była coś zauważyć... zorientować się wcześniej.

- To nie twoja wina, Bethany - pocieszała mnie Ivy.

- Co jest ze mną nie tak? - zapytałam. - Dlaczego nic nie wyczułam? Wy podejrzewaliście, że z nim jest coś nie w porządku, prawda? Zdaliście sobie z tego sprawę w momencie, w którym

przekroczył próg naszego domu.

- Poczuliśmy złą energię - przyznał Gabe.
- Dlaczego żadne z was się nie odezwało? - pytałam dalej.
- Dlaczego pozwoliliście mi z nim pójść?
- Nie mogliśmy być niczego pewni - wyjaśnił Gabriel.
- Dobrze strzegł swoich myśli, właściwie nie sposób było czegokolwiek z nich wydobyć.

Nie musiało to oznaczać nic złego, a nie chcieliśmy niepokoić cię bez powodu.

- Istoty ludzkie, które przechodzą przez trudny okres w swoim życiu, także miewają mroczną aurę - dodała Ivy. - Może to być wynikiem wielu rzeczy, takich jak tragedia, żal czy ból...

- Albo złe zamiary - wtrąciłam.

- Tak, to też - przyznał Gabriel. - Woleliśmy nie wyciągać pochopnych wniosków, lecz jeśli ten chłopiec wie, kim jesteśmy, to może to oznaczać, że... sam jest czymś więcej niż tylko zwykłym człowiekiem.

- Czym więcej?

- Tego nie wiem. Chyba że... nie sądzisz, że Xavier mógł...

- urwał.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie.

- Xavier nigdy nikomu nie wyjawiałby naszej tajemnicy - zapewniłam. - Nie rozumiem, jak w ogóle mogłeś tak pomyśleć. Powinieneś już lepiej go znać.

- Dobrze więc. Załóżmy, że Xavier nie ma z tym nic wspólnego - rzekł Gabriel. - Jake Thorn skrywa jakiś sekret, wyczuwasz to równie silnie jak ja, Bethany.

- I co teraz? - zapytałam.

- Musimy cierpliwie czekać. Wypadki potoczą się swoim torem. Nie wolno nam działać bez zastanowienia. Jeśli on rzeczywiście stanowi jakieś zagrożenie, z czasem się tego dowiemy.

Gdy dotarliśmy do domu, Ivy zaproponowała mi gorące kakao, ale odmówiłam. Poszłam na górę i zdjęłam sukienkę, odnosząc wrażenie, iż na moich barkach spoczął właśnie ogromny ciężar. Tyle udało nam się osiągnąć, a teraz ten jeden chłopiec może wszystko zniszczyć. Wyjęłam perły z włosów i zmyłam makijaż, niespodziewanie czując się jak zwykła oszustka. Było zbyt późno, by dzwonić do Xaviera, choć wiedziałam, że rozmowa z nim podniosłaby mnie na duchu. Zamiast tego włożyłam ulubioną piżamę i wpełzłam do łóżka, ściskając pluszową

zabawkę, którą podarował mi Xavier. Pozwoliłam łzom popłynąć spod zaciśniętych powiek. Nie odczuwałam już gniewu czy strachu, tylko smutek. Tak bardzo pragnęłam, aby sprawy przybrały inny, prostszy obrót. Dlaczego nasza misja musiała obfitować w tyle komplikacji? Nie chciałam zachowywać się dziecinnie, ale myślałam tylko o tym, jakie to niesprawiedliwie. Byłam zbyt zmęczona, by nie móc uciec w sen, lecz udawałam się tam ze świadomością, iż wkrótce rozpęta się prawdziwa burza.

Przez cały weekend Xavier się nie odzywał. Wysłałam z założenia, że nie słyszał nic o zajściu na balu, i nie chciałam go denerwować. Tak zaprzętałam mnie lęk związany z Jakiem, że nie poświęciłam nawet chwili na zastanowienie się, dlaczego Xavier nie dzwoni. A przecież rzadko zdarzało się, żebyśmy nie rozmawiali ze sobą dłużej niż kilka godzin.

Z drugiej strony Jake Thorn nie tracił czasu. Gdy w poniedziałek rano otworzyłam szkolną szafkę, wypadł z niej skrawek papieru, spływając łagodnie na ziemię niczym płatek kwiatu. Podniosłam go, spodziewając się liściku od Xaviera, który wywoła bądź moje pełne zachwyty westchnienie, bądź chichot. Lecz charakter pisma nie należał do niego. Były to te same wykwintne pochyłe litery, które znałam z zajęć literatury. Przeczytawszy tekst na karteczce, poczułam, że krew zastyga mi w żyłach:

Anioł przybył Anioł zobaczył Anioł upadł

Pokazałam list Gabrielowi, a on rzucił na niego okiem, po czym zgniótł w bezsilnej złości, nie mówiąc ani słowa. Staralam się przez resztę dnia nie myśleć o Jakeu, lecz nie było to łatwe. Xavier nie pojawił się w szkole, a ja desperacko pragnęłam z nim porozmawiać. Wydawało mi się, że od piątku minęła cała wieczność, tyle się wydarzyło.

Dzień upłynął w oparach szarej mgły. Ożyłam na jakieś pięć minut podczas przerwy obiadowej, kiedy pożyczyłam od Molly telefon, by zadzwonić do Xaviera. Zaraz jednak znowu pograżyłam się w letargu, ponieważ odezwała się automatyczna sekretarka.

Nie mogąc się z nim skontaktować, byłam apatyczna i ociężała. Mój umysł przysłoniła gęsta chmura. Nie potrafiłam uchwycić żadnej z myśli, które skakały mi po głowie, bo wszystkie znikwały zbyt szybko.

Wróciwszy razem z rodzeństwem po szkole do domu, nadal nie miałam żadnych wieści od Xaviera. Próbowalam dzwonić do niego jeszcze kilka razy, lecz na dźwięk nagranej wiadomości zachciało mi się płakać. Całe popołudnie i wieczór spędziłam, czekając na telefon od niego lub dzwonek do drzwi, ale się nie odezwał. Czy nie jest ciekaw, jak się bawiłam na balu? A może coś

mu się stało? Jaka może być przyczyna tego nagłego milczenia? Nic z tego nie rozumiałam.

- Nie mogę porozumieć się z Xavierem - wydusiłam podczas kolacji. - Nie było go w szkole i nie odbiera telefonów ode mnie. Ivy z Gabrielem wymienili spojrzenia.

- Nie ma powodu do paniki, Bethany - odezwała się Ivy łagodnie. - Istnieje mnóstwo powodów, dla których Xavier może nie podnosić słuchawki.

- A jeśli gorzej się poczuł?

- Wiedzielibyśmy o tym - uspokoił mnie Gabriel. Kiwnęłam głową i postarałam się dokończyć posiłek, lecz jedzenie nie chciało przechodzić mi przez gardło. Z nikim już nie rozmawiałam. Powlokłam się na górę i poszłam spać z poczuciem, że jestem osaczona.

Gdy następnego dnia okazało się, iż Xaviera znowu nie ma w szkole, poczułam, że pieką mnie oczy. Zrobiło mi się gorąco i ogarnęły mnie zawroty głowy. Pragnęłam jedynie zwinąć się w kłębek na ziemi, czekając, aż ktoś mnie stamtąd zabierze. Nie byłam w stanie przeżyć bez niego kolejnego dnia; wątpiałam, czy uda mi się wytrzymać choćby minutę. Gdzie on się podziewał? Za co mnie karał?

Molly zauważyła, jak stoję oparta bezwładnie o szafkę. Podeszła do mnie, kładąc mi ostrożnie dłoń na ramieniu.

- Beth, kochanie, wszystko w porządku?

- Muszę koniecznie porozmawiać z Xavierem - odparłam - ale nie mogę się z nim skontaktować.

Molly przygryzła wargę.

- Myślę, że powinnaś coś zobaczyć.

- Co? - zapytałam spanikowana. - Czy coś mu się stało?

- Nic mu nie jest. Chodź ze mną.

Poprowadziła mnie na trzecie piętro, do jednej z pracowni komputerowych. Było to ponure pomieszczenie bez okien, z szarą cętkowaną wykładziną na podłodze i rzędami komputerów, które ziały ku nam pustymi monitorami. Molly włączyła jeden z nich, przysuwając dla nas krzesła. Czekając, postukując akrylowymi paznokciami w blat i nucąc nerwowo pod nosem. Gdy komputer skończył się uruchamiać, kliknęła na jedną z ikon na ekranie, po czym wpisała coś szybko w pasek na górze.

- Co robisz? - zapytałam. Odwróciła się do mnie.

- Pamiętasz, jak opowiadałam ci o Facebooku i o tym, jaka to fajna sprawa? - zapytała.

Kiwnęłam głową, niczego nie rozumiejąc.

- No więc... ma on też i kilka słabych stron.

- To znaczy?

- No... na przykład trudno tam o anonimowość.

- Co masz na myśli?

Wiedziałam, że do czegoś zmierza, ale nie mogłam odgadnąć, do czego - sądząc zaś z wyrazu jej twarzy, nie byłam do końca przekonana, czy aby na pewno chcę zgadywać. Patrzyła na mnie z mieszaniną przerażenia i troski. Znając tendencję Molly do przesady, starałam się nie panikować. Jej definicja katastrofy znacząco różniła się od mojej.

Odetchnęła głęboko.

- No dobrze... pokażę ci.

Stuknęła w jakiś klawisz i na ekranie pojawiła się strona jej konta na Facebooku. Odczytała na głos hasło, które wyświetlone zostało pod nagłówkiem:

- „Facebook pomaga swoim użytkownikom kontaktować się z innymi osobami i udostępniać im różne informacje i treści”. Tyle tylko, że tej akurat treści wolałybyśmy nie udostępniać - dodała tajemniczo.

Zaczynałam mieć dość tych sekretów.

- Powiedz mi po prostu, co się stało. Nie może to być chyba nic aż tak strasznego.

- Dobrze już, dobrze. Chciałam tylko, żebyś była przygotowana. Wybrała album ze zdjęciami zatytułowany *FotAi z balu, Kristy Peters*.

- Kto to jest Kristy Peters?

- Taka jedna dziewczyna z ostatniej klasy. Robiła zdjęcia przez całą noc.

- Zaraz, tu jest napisane, że ja też tam jestem - zauważyłam.

- Zgadza się. - Molly kiwnęła głową. - Ty i... ktoś jeszcze. Kliknęła na jedną z miniatur. Czekałam, aż fotografia otworzy się w pełnym rozmiarze. Serce waliło mi w piersi. Cóż to mogło być? Czyżby Kristy jakimś sposobem zdołała uchwycić aparatem moje skrzydła? Czy też chodziło po prostu o wyjątkowo niekorzystne ujęcie, które Molly uznała za wymagające natychmiastowej interwencji? Gdy jednak obrazek pojawił się wreszcie na monitorze, zrozumiałam, że to coś znacznie, znacznie gorszego. Poczułam mdłości. Z pola widzenia zniknęło wszystko inne i zostały tylko dwie twarze uwiecznione na zdjęciu: moją oraz

Jake'a Thorna, złączone pocałunkiem. Siedziałam tak, wpatrując się w nie przez kilka

długich chwil. Jake obejmował mnie, a ja trzymałam ręce na jego ramionach, usiłując go odepchnąć. Oczy przymknięte miałam z powodu oburzenia, dla każdego jednak, kto nie był obecny przy całej scenie, musiało to wyglądać, jakbym poddawała się namiętnej pieszczocie.

- Musimy się go pozbyć! - krzyknęłam, chwytając myszkę. - Ono musi stąd zniknąć.

- Nie da się go pozbyć - odparła cicho Molly.

- Jak to? - wykrztusiłam. - Nie możemy go po prostu wykasować?

- Tylko Kristy może to zrobić, logując się na swoje konto - wyjaśniła. - Możemy usunąć z niego twoje nazwisko, ale samo zdjęcie będzie nadal widoczne po wejściu na jej stronę.

- Ale ono nie może tu zostać - błagałam. - Musimy coś z tym zrobić, nim Xavier je zobaczy.

Molly popatrzyła na mnie ze współczuciem.

- Beth, kotku, sądzę, że on już je widział.

Rzuciłam się do wyjścia z pracowni komputerowej, a następnie wybiegłam ze szkoły. Nie wiedziałam, gdzie jest Gabriel, ale nie miałam czasu, by na niego czekać. Xavier musiał usłyszeć, co się naprawdę wydarzyło, i to natychmiast.

Jego dom nie znajdował się daleko, ja zaś ani na moment nie zwolniłam tempa, wiedzona swym nieomylnym zmysłem orientacji.

Był środek dnia, więc uznałam, że jego rodzice są w pracy. Claire wraz z druhami pojechała na przymiarkę sukien, reszta zaś nie wróciła jeszcze ze szkoły. Gdy więc nacisnęłam dzwonek przy drzwiach, to właśnie Xavier stanął w progu. Miał na sobie luźną szarą bluzę i spodnie od dresu, widać też było, że od dawna się nie golił. Wciąż chodził o kulach. Jego miękkie włosy były w lekkim nieładzie, a choć twarz pozostała tak samo czysta i piękna jak zawsze, w oczach pojawił się nowy wyraz. Te tak dobrze mi znane turkusowe oczy, które dotychczas za każdym razem rozjaśniały się na mój widok, teraz spoglądały na mnie wrogo.

Nie odezwał się, ujrzawszy mnie w drzwiach. Odwrócił się tylko i odszedł, pozostawiając je otwarte. Nie byłam pewna, czy życzy sobie, abym za nim poszła, lecz i tak to zrobiłam. Siedział w kuchni, jedząc płatki, mimo iż było prawie południe. Nie podniósł wzroku, gdy weszłam.

- Pozwól mi wyjaśnić - powiedziałam miękko. - To nie jest to, na co wygląda.

- Nie? - zapytał zachrypniętym głosem. - A mnie się wydaje, że właśnie dokładnie to. Cóż innego mogłoby to być?

- Xavier, proszę... - Walczyłam ze łzami. - Ja naprawdę mogę to wyjaśnić, wysłuchaj mnie tylko.

- Próbowałaś zrobić mu sztuczne oddychanie metodą usta-usta? - przerwał mi z ironią. - Pobierałaś próbki śliny do badań? A może on jest chory, co? Umierający? I to było jego ostatnie życzenie? Nie igraj ze mną, Beth, nie jestem w nastroju.

Podbiegłam do niego, chwytając go za rękę, lecz ją wyrwał. Zrobiło mi się niedobrze, nie tak miało to wyglądać. Co się działo? Nie mogłam znieść dystansu, jaki wyczuwałam między nami. Xavier odgrodził się ode mnie niewidzialną ścianą. Ta zimna, obojętna osoba to nie był Xavier, jakiego znałam.

- To Jake mnie pocałował - powiedziałam z mocą. - A zdjęcie zrobiono na sekundę przed tym, nim go odepchnęłam.

- Bardzo wygodnie - wymamrotał. - Za kogo ty mnie uważasz? Może i jestem tylko człowiekiem, ale to nie czyni ze mnie idioty.

- Zapytaj Molly! - wykrzyknęłam. - Albo Gabriela, albo Ivy, wszystko ci opowiedzą!

- Zaufałem ci. A tobie wystarczył jeden wieczór beze mnie, żeby znaleźć sobie kogoś nowego.

- To nieprawda!

- Mogłabyś mieć choć na tyle przyzwoitości, żeby powiadomić mnie o tym osobiście, zamiast czekać, aż dowiem się od innych.

- Ale o czym powiadomić? - wykrztusiłam. - Przecież to nie koniec! Nie mów tak! Błagam...

- Czy ty zdajesz sobie w ogóle sprawę z tego, jak mnie poniżyłaś? W Internecie krąży sobie fotka mojej dziewczyny w objęciach jakiegoś koleśka, podczas gdy ja siedzę w domu, przykuty do łóżka przez kretyński wstrząs mózgu. Wszyscy moi koledzy zdążyli już do mnie zadzwonić z pytaniem, czy zostałem porzucony osobiście czy też może przez telefon.

- Wiem. Rozumiem cię i bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, ale...

- Ale co? - Ale... ty...

- Tak, jestem skończonym głupkiem, wiem - przerwał mi Xavier - żeby pozwolić ci pójść na bal z Jakiem. Zdaje się, że za bardzo w ciebie wierzyłem. Nie popełnię więcej tego błędu.

- Dlaczego nie chcesz mnie wysłuchać? - wyszeptalam. - Dlaczego z takim uporem ufasz wszystkim prócz mnie?

- Myślałam, że coś nas łączy. - Podniósł wzrok i zobaczyłam w jego oczach łzy. Zamrugał ze złością. - Po tym wszystkim, co przeszliśmy, aby być razem, ty po prostu... Nasz związek najwyraźniej niezbyt dużo dla ciebie znaczył.

Nie zdołałam się już dłużej powstrzymać i wybuchnęłam płaczem. Trzęsłam się, szlochając spazmatycznie. Widziałam, że

Xavier podniósł się odruchowo, chcąc mnie pocieszyć, lecz nagle zmienił zdanie i usiadł. Szczęki miał zaciśnięte, jak I gdyby oglądanie mnie w takim stanie było dla niego torturą. V

- Błagam! - krzyknęłam. - Kocham cię. To samo powiedziałam Jake'owi. Wiem, że trudno ze mną wytrzymać, ale nie poddawaj się, proszę!

- Chciałbym zostać sam - rzekł cicho, nie patrząc mi w oczy. Uciekłam. Nie zatrzymując się, dotarłam do plaży, gdzie rzuciłam się na piasek i płakałam tak długo, aż opadłam z sił. M Czułam się tak, jakby coś we mnie pękło, jakbym dosłownie rozsypała się na kawałki, z których już nikt nigdy nie będzie w stanie złożyć całości. Kochałam Xaviera do utraty tchu, a mimo to on się ode mnie odwrócił. Nie szukałam ulgi, pozwoliłam sobie po prostu cierpieć. Nie wiem, jak długo tam leżałam, W lecz po pewnym czasie zorientowałam się, iż fale przyływu dosięgły moich stóp. Było mi wszystko jedno, miałam wręcz nadzieję, że zabiorą mnie ze sobą, porwą niczym szmacianą lalkę, wciągając pod wodę i wypłukując z mojej głowy wszystkie myśli, pozbawiając ciało resztek czucia. Zerwał się wiatr, przyływ podpełzał coraz bliżej, a ja nadal leżałam bez ruchu. Czy w taki właśnie sposób Nasz Ojciec postanowił mnie ukarać? Czy mój występki okazał się na tyle poważny, bym zasłużyła na coś takiego? Na to, by doświadczyć miłości po to tylko, aby zaraz ją ze mnie wyrwano, pozostawiając otwartą ranę? Czy Xavier nadal mnie kochał? Czy nienawidził? A może przestał we mnie wierzyć?

Gdy Ivy i Gabriel mnie odnaleźli, woda sięgała mi już do pasa. Drżałam na całym ciele, lecz nie zwracałam na to uwagi. Nie poruszyłam się ani nie wymówiłam słowa nawet wtedy, gdy Gabriel wziął mnie na ręce i zaniósł do domu. Ivy pomogła mi wejść pod prysznic, wracając pół godziny później, by mnie spod niego wyciągnąć - zapomniawszy, gdzie jestem, stałam otępiała pod strumieniem wody. Gabriel przyniósł mi na górę kolację, ale nie byłam w stanie nic przełknąć. Siedziałam na łóżku, patrząc przed siebie i myśląc tylko o Xavierze, choć jednocześnie starałam się wyrzucić go choć na chwilę z głowy. Jego brak sprawił, iż zdałam sobie sprawę, jak bardzo bezpieczna się przy nim czułam. Tęskniłam za jego dotykiem, zapachem, a nawet za samą świadomością, że jest tuż obok. Lecz teraz odszedł gdzieś daleko, w

miejsce, do którego nie mogłam dotrzeć - i to właśnie sprawiało, iż gotowa byłam obrócić się w proch, przestać istnieć.

Sen, który wreszcie nadszedł, przyjąłam jak wybawienie, mimo że wiedziałam, iż rano koszmar powróci. Okazało się jednak, że wcale mnie nie opuścił. Tej nocy moje sny były mroczne.

Śniłam o latarni na Wybrzeżu Rozbitków. Było ciemno i z trudem dostrzegałam cokolwiek przez mgłę, lecz na ziemi ktoś leżał, jakiś poskręcany ludzki kształt. Gdy jęknął, przewracając się na plecy, natychmiast rozpoznałam twarz Xavie-ra. Krzyknęłam, chcąc do niego podbiec, lecz kilkanaście par wilgotnych, lepkich rąk wyciągnęło się do mnie, zatrzymując w miejscu. Z latarni wyszedł beztróskim krokiem Jake Thorn. Jego oczy lśniły zimnym, ostrym blaskiem, jak gdyby utkwiliły w nich kawałki potłuczonego szkła.

Długie ciemne włosy zaczesał do tyłu. Miał na sobie czarny skórzany płaszcz. Postawił kołnierz, by osłonić twarz od wiatru.

- Nie chciałem, aby do tego doszło, Bethany - powiedział czule. - Ale czasem po prostu nie mamy wyboru.

- Coś ty mu zrobił? - szlochałam, podczas gdy Xavier wił się na ziemi. - Puść go!

- Kończę tylko to, co powinienem był zacząć dawno temu - warknął Jake. - Nie bój się, nie będzie go bolało. Przecież i tak praktycznie jest już martwy...

Jednym machnięciem dłoni Jake uniósł Xaviera do pionu i popchnął w stronę krawędzi klifu. W normalnej walce Xavier pokonałby go w mgnieniu oka, lecz w starciu z nadprzyrodzonymi siłami nie miał szans.

- Słodkich snów, chłopczyku - powiedział Jake, gdy stopy Xaviera zsunęły się ze skały. Noc wchłonęła mój krzyk.

Kolejnych kilka dni pamiętam jak przez mgłę. Nie czułam, że żyję, a raczej, że tylko przyglądam się życiu, stojąc z boku. Nie chodziłam do szkoły, a Gabriel i Ivy się na to godzili. Niewiele jadłam, nie wychodziłam z domu. Przez większość czasu spałam. Sen był najlepszym sposobem na to, by uciec przed tęsknotą za Xavierem.

Jedynym źródłem pocieszenia okazał się Fantom. Wyczuwał, że cierpię, i nie odstępował mnie na krok, próbując poprawić mi humor swymi wyczynami. Powyciągał moją bieliznę z otwartych szuflad i rozwłóczył po całym pokoju; zaplątał się w robótkę Ivy, zmuszając mnie do tego, bym go uwolniła. Na koniec przyniósł na górę calutkie opakowanie psich ciasteczek, mając

nadzieję dostać jedno w nagrodę. Te drobne wydarzenia pozwalały mi wyrwać się na krótko z piekła niekończącej się ciszy i pustki, które rozciągały się przede mną, jednak zaraz potem znów pogrążałam się w letargu.

Ivy i Gabriel martwili się o mnie coraz bardziej. Stałam się cieniem zarówno człowieka, jak i anioła; w żaden sposób nie uczestniczyłam już w sprawach dotyczących naszej rodziny.

- Tak nie może dłużej być - oznajmił Gabriel pewnego popołudnia. - To nie jest życie.
- Przepraszam - odparłam głucho - postaram się bardziej.
- Nie. Ivy i ja zakończymy to dziś wieczorem.
- Co macie zamiar zrobić?
- Zobaczysz - odrzekł, odmawiając ujawnienia jakichkolwiek szczegółów.

Po kolacji wyszli razem z Ivy, podczas gdy ja leżałam na łóżku, patrząc w sufit. Nie sądziłam, by mogli mi jakoś pomóc, choć doceniałam to, że próbują.

Zmusiłam się, by wstać, i poszłam do łazienki przejrzeć się w lustrze. Z pewnością zaszły w moim wyglądzie widoczne zmiany. Nawet w rozciągniętej piżamie, którą miałam na sobie, można było dostrzec, iż w ciągu tych paru dni straciłam na wadze - skóra na mojej twarzy pożółkła, wystawały mi łopatki. Włosy wisiały matowe i nie było w nich życia, tak samo jak w oczach, które spoglądały na mnie wielkie, ciemne i smutne. Zamiast stać prosto, garbiłam się, jak gdybym z trudem mogła ustać na nogach. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek jeszcze będę w stanie poskładać w całość okruchy mojej egzystencji na ziemi po tym, jak rozbiło ją odejście Xaviera. Przemknęło mi przez myśl, że on w zasadzie nie zerwał ze mną wprost - lecz przecież to właśnie miał na myśli. Widziałam wyraz jego twarzy, mówił wyraźnie, że to koniec. Powłócząc nogami, wróciłam do łóżka i zwinęłam się w kłębek pod kocem.

Mniej więcej godzinę później rozległo się pukanie do drzwi. Ledwo je zarejestrowałam poprzez opary letargu. Pukanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze. Usłyszałam, że drzwi się otwierają i ktoś wchodzi do pokoju. Nakryłam głowę poduszką; nie chciałam, by namawiano mnie do zejścia na dół.

- Boże, Beth - przemówił stojący w progu Xavier. - Coś ty ze sobą zrobiła?

Leżałam bez ruchu, nie mając odwagi uwierzyć, że to naprawdę on. Wstrzymałam oddech, przekonana, że gdy tylko uniosę głowę, pokój okaże się pusty. Ale wtedy odezwał się znowu:

- Beth? Gabriel mi wszystko wytłumaczył... co zrobił Jake i jak ci groził. Mój Boże, tak strasznie mi przykro.

Usiadłam, a on stał w luźnym białym podkoszulku i wyblakłych džinsach, wysoki i piękny, dokładnie taki, jakim go zapamiętałam.

Był nieco bledszy niż zwykle, a pod oczami miał ciemne kręgi - jedyne świadectwo tego, co przeszedł. Widziałam, jak drgnął, zobaczywszy mnie wychudzoną i wyczerpaną.

- Sądziłam, że już nigdy więcej cię nie zobaczę - wyszeptałam, oglądając go od stóp do głów, by upewnić się, że naprawdę tu jest, że przyszedł do mnie.

Xavier podszedł do łóżka, ujął moją dłoń i przycisnął do piersi. Zadrżałam pod jego dotykiem. Spojrzałam w szafirowe oczy pełne troski i nie zdołałam powstrzymać łez.

- Jestem tu - wyszeptał. - Nie płacz, już jestem. Jestem. Powtarzał to w kółko, a ja pozwoliłam mu wziąć się w ramiona i utulić.

- Nigdy nie powinienem był zostawiać cię samej. Ale nie byłem wtedy sobą. Myślałem, że... zresztą wiesz, co myślałem.

- Wiem. Gdybyś tylko zaufał mi na tyle, by pozwolić mi wszystko wytłumaczyć.

- Masz rację. Kocham cię i dlatego należało ci uwierzyć, bo mówiłaś prawdę. Nie potrafię zrozumieć, jak mogłem być aż tak głupi.

- Myślałam, że odszedłeś na zawsze - szeptałam, a łzy same wymykały się spod zamkniętych powiek. - Sądziłam, że odwróciłeś się ode mnie, bo cię zawiodłam, bo zniszczyłam jedyną rzecz, jaka kiedykolwiek miała dla mnie znaczenie. Czekałam, aż przyjdiesz, ale ciebie nie było.

- Przepraszam - głos Xaviera się załamał. Przełknął głośno ślinę, utkwivszy wzrok w swoich dłoniach. - Zrobię wszystko, żeby ci to wynagrodzić, ja...

Uciszyłam go, przykładając mu palec do ust.

- Już po wszystkim - powiedziałam. - Chcę o tym zapomnieć.

- Oczywiście. Czego tylko sobie życzysz.

Leżeliśmy przez jakiś czas w milczeniu, ciesząc się na nowo swoim towarzystwem. Ścisnęłam kurczowo w rękę jego koszulkę, jakbym bała się, że zniknie, jeśli wypuszczę ją z palców. Xavier powiedział mi, iż Ivy i Gabriel pojechali do miasta, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać.

- Wiesz co - odezwał się wreszcie - zmuszenie się do tego, by nie odzywać się do ciebie przez te kilka dni, było chyba najtrudniejszą rzeczą w moim życiu.

- Dobrze wiem, co masz na myśli - odparłam miękko.

- Chciałam wtedy umrzeć.

Wypuścił mnie gwałtownie z objęć.

- Nigdy tak nie myśl, Beth - skarcił mnie - choćby nie wiem co. Nie jestem tego wart.

- Jesteś - odparłam, na co Xavier westchnął.

- Nie mogę powiedzieć, że cię nie rozumiem - przyznał.

- Wydaje się, że to koniec świata, prawda?

- Koniec wszelkiej radości - zgodziłam się z nim. - Koniec wszystkiego, co znałeś. Tak to jest, gdy dopuści się do tego, aby jedna osoba stała się dla nas wszystkim.

Uśmiechnął się.

- Wychodzi na to, że nie postąpiliśmy najrozsądniej. Ale nie żałuję.

- Ani ja. - Zamilkłam na parę minut, po czym trąciłam nosem jego dłoń. - Xavier...

- Tak? - Pochylił głowę, odwzajemniając mój gest.

- Jeśli te kilka dni o mało nas nie zabiło, co będzie, gdy...

- Nie teraz - przerwał mi. - Właśnie cię odzyskałem, nie chcę myśleć o tym, że mógłbym znów cię stracić. Nie pozwolę na to.

- Nic nie będziesz mógł poradzić. Fakt, że grasz w rugby, nie oznacza, że jesteś gotowy, by zmierzyć się z siłami nieba. Niczego nie pragnę bardziej, niż być z tobą, ale tak strasznie się boję...

- Zakochany mężczyzna potrafi dokonywać niezwykłych rzeczy - odrzekł Xavier. - Nie obchodzi mnie, że jesteś aniołem. Jesteś moja i nie pozwolę ci odejść.

- A jeśli przyjdą bez ostrzeżenia? - zapytałam z rozpaczą. - A jeśli któregoś ranka obudzę się tam, skąd przybyłam? Pomyślałeś o tym?

Xavier zmrużył oczy.

- A jak sądzisz, czego najbardziej się boję, Beth? Nie wiesz, jak bardzo przeraża mnie świadomość, że pewnego dnia po prostu nie zjawisz się w szkole? Ze przybiegnę tu, szukając cię, lecz nikt nie otworzy mi drzwi? Nikt w całym miasteczku nie będzie miał pojęcia, co się z tobą stało - oprócz mnie. A ja nie będę mógł nic zrobić. Nie pytaj mnie więc, czy się nad tym zastanawiałem, ponieważ odpowiedź brzmi: tak, myślę o tym każdego dnia.

Opadł na plecy, wpatrując się ze złością w wiszący pod sufitem wentylator, jakby to urządzenie obarczał winą za całą tę sytuację.

Przyglądając mu się, zrozumiałam, iż oto widzę przed sobą cały mój świat: miał nieco

ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i leżał na moim łóżku. W tej samej chwili zdałam sobie sprawę, że nigdy nie zdołam go opuścić. Nigdy już nie wrócę do domu, ponieważ to on stał się moim domem. Przepęłniła mnie przemożna chęć, by znaleźć się jak najbliżej niego, by złączyć się z nim w jedno, składając tym samym obietnicę nam obojgu - obietnicę, iż nigdy nie dopuszczę do tego, abyśmy zostali rozdzieleni.

Zeskoczyłam z łóżka i stanęłam na dywanie, podwijając place stóp. Xavier popatrzył na mnie zaintrygowany. Odwzajemniając jego spojrzenie, powoli ściągnęłam przez głowę koszulkę. Nie czułam się wcale oneśmielona, czułam się wolna. Zsunęłam spodnie od piżamy, po czym stanęłam przed Xavie-rem zupełnie naga i bezbronna. Pragnęłam, by zobaczył mnie właśnie taką.

Nie odezwał się, nie chcąc zmać ciszy, jaka zapadła w pokoju. Sekundę później także wstał, powtarzając moje ruchy, a jego podkoszulek i dżinsy spoczęły u moich stóp. Podeszedł do mnie i przesunął gorącymi dłońmi po moich plecach. Westchnęłam, zatracając się w jego uścisku. Dotyk jego skóry sprawił, że całe moje ciało ogarnęła fala rozkosznego ciepła, przytuliłam się więc mocniej, po raz pierwszy od wielu dni czując się sobą.

Całowałam jego miękkie usta, głaskałam jego twarz, sunąc opuszkami palców po tak dobrze znanym mi kształcie nosa i policzków.

Rozpoznałabym te rysy wszędzie, jak niewidomy czytający pismo Braille'a. Pachniał świeżo i słodko. Oparłam się o jego pierś. W moich oczach nie miał ani jednej skazy, lecz nawet gdyby tak nie było, nie zwróciłabym na to uwagi. Kochałabym go równie mocno, gdyby obdarty czy kaleki zebrał na ulicy, tylko dlatego, że był Xavierem.

Osunęliśmy się na łóżko i pozostaliśmy tak do chwili, gdy usłyszeliśmy na dole Gabriela i Ivy. Molly uznałaby to pewnie za dziwactwo, lecz my takiego właśnie kontaktu pragnęliśmy.

Chcieliśmy poczuć się jak jedno ciało zamiast dwóch oddzielnych istnień. Ubrania nas ograniczały. Bez nich nie było już gdzie się skryć, zachować jakiegokolwiek części siebie w tajemnicy, i o to dokładnie nam chodziło - aby odkryć siebie do końca, do ostatnich możliwych granic, czując się przy tym całkowicie bezpiecznie.

Anioł zagłady

Następnego ranka Xavier wrócił, by zjeść z nami śniadanie przed szkołą. Podczas posiłku Gabriel starał się przemówić mu choć trochę do rozumu. Wszyscy wiedzieliśmy, iż Xavier wściekł się na wieść o drugim obliczu Jake'a i gotów był doprowadzić do konfrontacji z nim. Gabriel natomiast pragnął uniknąć tego za wszelką cenę, zwłaszcza, że nie znaliśmy jeszcze mocy Jake'a.

- W żadnym razie nie wolno ci go sprowokować - rzekł poważnie.

Xavier popatrzył na niego znad kubka z kawą.

- On groził Beth - powiedział, zaciskając pięści. - Narzucał się jej. Nie możemy pozwolić, aby uszło mu to płazem.

- Jake nie jest zwykłym uczniem. Pod żadnym pozorem nie staraj się rozprawić z nim sam - ostrzegł Gabriel. - Nie wiemy, do czego jest zdolny.

- A do czego może być zdolny taki chudzielec - wymamrotał Xavier pod nosem. Ivy rzuciła mu surowe spojrzenie.

- Wiesz dobrze, że wygląd nie ma z tym nic wspólnego.

- Co więc mamy robić? - zapytał Xavier.

- Na razie nic - odparł Gabriel. - Nie chcemy zwracać na siebie niepożądaney uwagi.

Pozostaje nam jedynie liczyć na to, że on nie ma złych zamiarów.

Xavier zaśmiał się krótko, po czym zagapił z niedowierzaniem na Gabriela.

- Pan mówi poważnie?

- Śmiertelnie poważnie.

- A to, co zrobił na balu?

- Nie nazwałbym tego dowodem.

- A to zajście z kucharką i frytkownicą? - przypomniałam. - I wypadek samochodowy na początku semestru?

- Myślisz, że Jake mógł mieć z tym coś wspólnego? - zapytała Ivy. - Przecież gdy zdarzył się ten wypadek, on nie chodził jeszcze do waszej szkoły.

- Wystarczyłoby, gdyby był w mieście. Natomiast w stołówce widziałam go na pewno,

przeszłam tuż obok niego.

- Czytałem o incydencie, do którego doszło dwa dni temu w porcie. Coś stało się z łodzią - dodał Xavier. - Wybuchło też ostatnio kilka pożarów, w gazecie napisano, że to podpalacz. Takie rzeczy nigdy się tu nie zdarzały.

Gabriel oparł głowę na rękach.

- Pozwólcie mi się nad tym zastanowić - rzekł.

- To jeszcze nie wszystko - przerwałam mu, choć czułam się winna z powodu tej fali złych wieści. - On ma zwolenników, podążają za nim wszędzie, traktują go jak przywódcę. Zaczęło się od kilku, ale za każdym razem, gdy go widzę, jest ich więcej.

- Beth, przygotuj się do wyjścia - rzekł Gabriel cicho.

- Ale... - zaczęłam.

- Idź już. Ivy i ja musimy porozmawiać.

Po balu popularność Jake'a zaczęła rosnąć w zastraszającym tempie, a liczebność jego świty się podwoiła. Wróciwszy do szkoły, zauważyłam, że wszyscy jej członkowie patrzą takim samym pustym wzrokiem i poruszają się niczym w narkotycznym transie.

Żrenice mieli nienaturalnie powiększone, a ręce trzymali w kieszeniach. Ich twarze ożywiały się jedynie na widok Jake'a, przyjmując wyraz niepokojącego uwielbienia, który pozwalał sądzić, iż na jego rozkaz gotowi są rzucić się w odmęty oceanu.

Coraz częściej dochodziło do aktów bezmyślnego wandalizmu. Ktoś pokrył drzwi kościoła Świętego Marka obscenicznymi rysunkami. Okna jednego z budynków należących do urzędu miasta zostały wysadzone przy użyciu sporządzonych domowym sposobem ładunków wybuchowych. „Fairhaven” zgłosiło przypadek masowego zatrucia - wielu pensjonariuszy: trafiło do szpitala.

Zadziwiającym zbiegiem okoliczności za każdym razem, gdy działo się coś niedobrego, Jake Thorn znajdował się w pobliżu. Zawsze był poza wszelkim podejrzeniem i obserwował całe zdarzenie, stojąc z boku. Dla mnie wyglądało to tak, jakby postawił sobie za cel zadawanie bólu i cierpienia. Nie mogłam też powstrzymać się od myśli, iż powoduje nim żądza zemsty. Czyżby zamierza! pokazać mi, do czego doprowadziłam, odrzucając jego awanse?

W czwartek po południu zamierzałam wyjść ze szkoły wcześniej, żeby odebrać Fantoma od psiego fryzjera. Gabriel nie pojawił się tego dnia - zadzwonił rano, by powiedzieć, że jest chory. Prawda była jednak taka, że oboje z Ivy odzyskiwali siły po tygodniu spędzonym na

likwidowaniu skutków działalności Jake'a. Pomimo mocy, jaką dysponowali, bezustanny wysiłek spowodował u nich znaczne osłabienie.

Zabrawszy z szafki plecak, szłam właśnie do wyjścia, by spotkać się z Xavierem na parkingu. Nieco dalej, w głębi korytarza, zauważyłam grupę uczniów tłoczących się przed wejściem do toalety dla dziewcząt. Coś w głębi duszy mówiło mi, by pod żadnym pozorem tam nie iść, lecz instynkt oraz ciekawość pchnęły mnie naprzód. Stojący na korytarzu uczniowie trzymali się kurczowo jeden drugiego, rozmawiając przyciszonymi głosami. Niektórzy płakali. Jedna z dziewcząt szlochała na piersi czwartoklasisty, który wciąż miał na sobie strój do gry w hokeja. Najwyraźniej odwołano go wprost z treningu. Spoglądał na drzwi łazienki z malującą się na twarzy mieszaniną cierpienia i niedowierzania.

Szłam przed siebie jak w zwolnionym tempie, czując się, jakbym została oddzielona od ciała, jakbym obserwowała rzeczywistość z perspektywy widza, który ogląda film lub program w telewizji. Między zwykłymi uczniami dostrzegałam członków sekty Jake'a. Łatwo ich było odróżnić po nieobecnych spojrzeniach i czarnych strojach. Niektórzy z nich przyglądali mi się otwarcie, gdy ich mijałam - zdałam sobie wówczas sprawę, że wszyscy mają identyczne oczy: wielkie, przepastne i czarne jak smoła.

Zbliżywszy się nieco, zobaczyłam, że przy drzwiach toalety stoi dyrektor szkoły w towarzystwie dwóch policjantów. Jeden z nich rozmawiał z Jakiem Thornem. Twarz Jake'a zastygła w wystudiowanym wyrazie powagi połączonej z troską, lecz w jego kocich oczach czaiły się groźne błyski, a górna warga unosiła się niemal niedostrzegalnie, jakby marzył o tym, by zatopić zęby w gardle rozmówcy. Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, iż tylko ja dostrzegam tę ukrytą groźbę - dla wszystkich innych wyglądał jak najzwyklejszy pod słońcem, niewinny nastolatek. Zrobiłam jeszcze kilka kroków, by usłyszeć, o czym mówią.

- Nie mieści mi się w głowie, że w tak spokojnej szkole mogło dojść do czegoś podobnego - mówił Jake. - To szok dla nas wszystkich.

Zaraz jednak odwrócił się, a do moich uszu docierać zaczęły tylko pojedyncze słowa czy fragmenty zdań w rodzaju: „tragedia”, „nikogo w pobliżu”, „zawiadomić rodzinę”. Wreszcie policjant skinął głową i Jake odszedł. Zauważyłam, że jego zwolennicy zerkają na siebie podekscytowani, uśmiechając się nieznacznie. Z ich oczu wycierała chciwość, niemal głód, i wszyscy oni zdawali się czerpać skrytą przyjemność z tego, co się dzieje.

Na znak Jake'a zaczęli się powoli rozchodzić. Nikt nie zwracał na nich uwagi. Chciałam

krzyżeć, zawołać kogoś, by ich zatrzymał, wyjaśnić, jak bardzo są niebezpieczni - ale nie mogłam wydobyć głosu.

Niespodziewanie zorientowałam się, iż jestem coraz bliżej wejścia do łazienki, jakby przyciągała mnie tam jakaś niewidzialna siła.

Dwóch sanitariuszy wynosiło właśnie nosze przykryte niebieską tkaniną. Przez materiał zaczynała przesiąkać krew, plama powiększała się i pełzała niczym żywa istota. Spod okrycia wystawała smukła blada dłoń. Czubki palców były już zsiniałe.

Nagle dech zaparła mi fala cierpienia i lęku. Odczucia te nie wypływały jednak ze mnie - należały do kogoś innego, do dziewczyny na noszach. Zobaczyłam jej ręce ściskające rękojeść noża. Poczułam strach połączony z bezradnością, podczas gdy jakiś niepojęty przymus poprowadził ostrze ku jej gardłu. Próbowala z nim walczyć, lecz wydawało się, iż została pozbawiona kontroli nad własnym ciałem. Zimny metal przecinał skórę, a mnie ogarnął przeszywający ból i usłyszałam okrutny śmiech rozlegający się w jej głowie. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłam, była jej twarz - przemknęła mi przed oczami w króciutkim przeblasku. Znałam tę twarz. Ileż przerw spędziłam, słuchając jej ploteczek? Ile razy śmiałam się z jej dowcipów lub przyjmowałam jej rady? Rysy Taylah na zawsze już miały pozostać wyryte w mojej pamięci. Pochyliła się gwałtownie do przodu, a ja poczułam, jak walczy o oddech. Krew z bąbelkami powietrza wypływała z przeciętego gardła, zalewając piersi. W jej oczach widziałam panikę i przerażenie. Zaraz potem stały się szkliste, ona zaś osunęła się martwa na ziemię. Otworzyłam usta, by krzyknąć, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

W chwili gdy zaczęły mną wstrząsać gwałtowne dreszcze, ktoś podszedł do mnie, chwytając za ramiona. Przerażona, próbowałam wyrwać się z jego uścisku, lecz trzymał mnie mocno. Podniosłam wzrok, spodziewając się ujrzeć przed sobą płonące źrenice oraz zapadnięte policzki, lecz zamiast tego zobaczyłam Xaviera. Objął mnie i wyprowadził na świeże powietrze.

- Nie - powtarzałam, bardziej do siebie niż do niego. - Nie, błagam...

Musiał niemal zanieść mnie do samochodu, przytrzymując w talii, ponieważ nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

- Już dobrze - powiedział, przykładając mi dłoń do czoła i patrząc w oczy. - Wszystko będzie dobrze.

- To niemożliwe... to nie dzieje się naprawdę... ta dziewczyna... ona... Pod powiekami poczułam piekące łzy.

- Wsiądź do samochodu, Beth - poprosił, otwierając szarpnięciem drzwi.

- To Jake! - krzyknęłam, podczas gdy Xavier zapalał silnik. Wyraźnie śpieszył się do domu, do Ivy i Gabriela. Prawdę powiedziawszy, ja też. Oni będą wiedzieli, co robić.

- Policja uważa, że to samobójstwo - wyjaśnił Xavier bezbarwnym głosem. - To straszne, co się stało, ale nie ma to nic wspólnego z Jakiem. Przeciwnie, to on zauważył, że zniknęła, i zawiadomił nauczycieli.

- Nie. - Pokręciłam energicznie głową. - Taylah nigdy by czegoś podobnego nie zrobiła. Jake maczał w tym palce. Xavier nie wydawał się przekonany.

- Różne rzeczy można powiedzieć o Jake'u, ale nie to, że jest mordercą.

- Nie rozumiesz. - Otarłam łzy. - Ja to widziałam na własne oczy, zupełnie jakbym była przy niej, gdy umierała.

- Co? - Odwrócił się do mnie. - Jak to?

- Na widok jej ciała połączyłam się z nią w jedno. W pewnym sensie przeżyłam jej śmierć - wyjaśniłam. - Podcięła sobie gardło, ale nie z własnej woli, ktoś ją do tego zmusił. Przejął nad nią władzę, a później śmiał się, podczas gdy ona się wykrwawiała. To był on, wiem to na pewno.

Xavier zacisnął powieki i odchylił głowę do tyłu.

- Nie masz żadnych wątpliwości?

- Czułam go wyraźnie. To jego sprawka.

Oboje milczeliśmy przez jakiś czas, aż wreszcie spytałam:

- Co działo się potem? Tego już nie widziałam.

Choć twarz miał ściągniętą bólem, jego głos brzmiał niemal obojętnie.

- Znalaziono ją martwą na podłodze w łazience. To wszystko, co wiem. Jakaś dziewczyna z trzeciej klasy weszła i zobaczyła ją leżącą w kałuży krwi. Oprócz niej był tam jeszcze tylko kuchenny nóż.

Ścisnął kierownicę tak mocno, że pobielały mu kostki.

- Dlaczego Jake wybrał właśnie ją?

- Przypuszczalnie miała po prostu pecha. Znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Wiem, że się z nią przyjaźniłaś, Beth, i bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało.

- Czy to nasza wina? - spytałam cicho. - Czy zrobił to, żeby się na nas odegrać?

- Zrobił to, ponieważ jest chory - odrzekł Xavier. Wpatrywał się w drogę przed sobą. Przesłał nawet mrugać, jakby próbował powstrzymać to, co czuje, od wydostania się na zewnątrz.

- Wolałbym tylko, żebyś nie musiała tego oglądać. - Jego słowa przepełnione były gniewem, lecz dobrze rozumiałam, iż to nie ja jestem jego przyczyną.

- Widziałam gorsze rzeczy.

- Tak?

- Tam, skąd przybywam, to chleb powszedni. - Nie chciałam mówić mu, jak olbrzymią różnicę stanowi fakt, iż tej straty doświadczyłam tu, osobiście, a ofiara była moją przyjaciółką, przez co cierpienie stało się dziesięciokrotnie większe. - Czy ty też ją znałeś? - zapytałam zamiast tego.

- Chodzę z nimi wszystkimi do szkoły od pierwszej klasy. Nie ma tu osoby, której bym nie znał.

- Przykro mi. - Położyłam mu dłoń na ramieniu. Był spięty.

- Mnie również.

Gdy dotarliśmy do domu, okazało się, że Ivy i Gabriel już wiedzą.

- Musimy zacząć działać - powiedziała Ivy. - Sprawy zaszły za daleko.

- I co według ciebie powinniśmy zrobić? - zapytał Gabriel.

- Trzeba go powstrzymać - rzuciłam. - Zgładzić go, jeśli okaże się to konieczne.

- Nie możemy go tak po prostu unicestwić - zauważył mój brat. - Nie wolno nam odbierać życia bez przyczyny.

- Przecież on to właśnie zrobił! - krzyknęłam.

- Bethany, nie mamy prawa wyrządzić mu żadnej krzywdy, nim nie zyskamy pewności, kim - lub czym - jest. Tak więc, choć to kusząca propozycja, na razie bezpośrednie starcie nie wchodzi w rachubę.

- Być może wam nie wolno go ruszyć - wtrącił się Xavier - ale mnie te zasady nie dotyczą. Pozwólcie mi z nim walczyć.

Wyraz szarych oczu Gabriela pozostał niewzruszony.

- Martwy na nic się Bethany nie przydasz - odparł sucho.

- Gabe! - Byłam przerażona samą myślą, iż ktoś mógłby tknąć Xaviera. Miałam pełną świadomość tego, że pierwszy rzuci się na

Jake'a, jeśli tylko uzna, iż zapewni mi w ten sposób bezpieczeństwo.

- Jestem od niego silniejszy - upierał się. - Wiem o tym dobrze; dajcie mi szansę. Ivy położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie zdajesz sobie sprawy, z czym masz do czynienia - powiedziała.

- To tylko chłopak. Co takiego może mi zrobić?

- To nie jest zwykły chłopak - odrzekła Ivy. - Widzieliśmy jego aurę, jest coraz wyraźniejsza. Wspierają go mroczne siły, których mocy żaden człowiek nie pojmie.

- Co wy mi próbujecie powiedzieć? Ze to jakiś demon? - zapytał Xavier z niedowierzaniem. - Przecież to niemożliwe.

- Uwierzyłeś w anioły, czy tak trudno przyjąć do wiadomości fakt, iż druga strona również ma swoich przedstawicieli?

- spytał Gabriel.

- Staralem się o tym nie myśleć - wyznał Xavier.

- Podobnie jak istnieje niebo, istnieje również piekło - powiedziała Ivy miękko.

- Uważacie więc, że Jake jest demonem? - wyszeptalam.

- Sądzymy, iż może być wysłannikiem Lucyfera - odrzekł Gabriel. - Potrzebujemy jednak dowodu, nim będziemy mogli podjąć przeciwko niemu jakiegokolwiek działania.

Dowód objawił się w chwili, gdy nieco później tego popołudnia zabrałam się do rozpakowywania plecaka. W zamku znalazłam wsunięty znajomy już zwitek papieru. Po rozwinięciu go naszym oczom ukazało się charakterystyczne pismo Jake'a:

Gdy ziemia spłynie aniołów łzami

Piekło rozewrze na powrót swe bramy

W dniu gdy anioły ujrzą swój kres

Ziemię chłopca dosięgnie śmierć.

Coś ścisnęło mnie za gardło. Była to ewidentna groźba. Ta zemsta nie dotyczyła już tylko mnie. Chwyciłam Xaviera za ramię. Pod palcami wyczuwałam twarde mięśnie - były one oznaką siły, lecz ludzka siła mogła tu nie wystarczyć.

- Czy to pana satysfakcjonuje? - odezwał się Xavier cicho.

- To jest wiersz i nic ponad to - stwierdził Gabriel. - Posłuchaj: wierzę, że to Jake stoi za tym morderstwem oraz pozostałymi wydarzeniami. Wierzę, iż jego celem jest wywołać zamęt, lecz potrzebuję niezbitego dowodu, nim będę mógł podjąć jakiegokolwiek działania - takie są prawa niebios.

- A co się wtedy stanie? - chciał wiedzieć Xavier.

- Wszystko, co konieczne, by znów zapanował pokój - odrzekł Gabriel.

- Nawet jeśli będzie to oznaczało zabicie go? - zapytał Xavier wprost.

- Tak - brzmiała lodowata odpowiedź mojego brata. - Jeżeli jest on tym, za kogo go uważamy, odebranie mu życia sprawi tylko, że wróci tam, skąd przybył.

Xavier rozważał przez chwilę te słowa, po czym skinął głową.

- Ale czego on chce od Beth? Co ona ma takiego, czego on pragnie?

- Beth odrzuciła jego umizgi. Ktoś taki jak Jake Thorn jest przyzwyczajony, iż dostaje to, czego sobie zażyczy. Ucierpiała jego duma - wyjaśnił Gabriel.

Przestąpiłam niespokojnie z nogi na nogę.

- On wspominał coś o tym, że szukał mnie przez setki lat...

- Co takiego?! - wybuchnął Xavier. - Co to ma znaczyć? Gabriel i Ivy wymienili zatroskane spojrzenia.

- Demony często szukają dla siebie partnera wśród ludzi - wyjaśniła Ivy. - To z ich strony rodzaj wypaczonej wersji miłości, jak sądzę. Zwabiają wybranego człowieka do świata podziemi, a ten zmuszony jest tam pozostać. Z czasem ulega zepsuciu i zaczyna nawet darzyć swego oprawcę uczuciem.

- Jaki w tym sens? - zastanawiał się Xavier. - Czy demony w ogóle są zdolne do odczuwania czegokolwiek?

- Chodzi głównie o to, by zakpić z Naszego Ojca - tłumaczyła Ivy. - Gdy niszczone jest to, co stworzył, bardzo cierpi.

- Przecież ja nie jestem człowiekiem! - krzyknęłam.

- Otóż to - odrzekł Gabriel. - Trudno o bardziej smakowity kąsek niż anioł w ludzkiej skórze. Zdobyć jednego z nas oznaczałoby ostateczne zwycięstwo.

- Czy Beth coś grozi? - Xavier przysunął się bliżej mnie.

- Myślę, że nam wszystkim może grozić niebezpieczeństwo - westchnął Gabriel. - Cierpliwości. Nasz Ojciec w odpowiednim czasie wskaże nam właściwą ścieżkę.

Nalegałam, by Xavier spędził u nas noc. Ani Gabriel, ani Ivy nie zgłosili zastrzeżeń. Mimo iż nie mówili o tym głośno, wiedziałam, że martwią się o niego.

Jake stał się nieobliczalny, był jak bomba z opóźnionym zapłonem.

Xavier zadzwonił do rodziców, zawiadamiając ich, że przenocuje u kolegi, z którym od

rana chce się uczyć do egzaminu. Jego mama nigdy nie zgodziłaby się na to, by spał poza domem, gdyby wiedziała, że jest u mnie - nie pozwalały jej na to konserwatywne poglądy. Pod tym względem pasowałyby znakomicie do Gabriela. Pożegnawszy się z moim rodzeństwem, poszliśmy na górę. Podczas gdy ja brałam prysznic i myłam zęby, Xavier wyszedł na balkon. Nie pytałam go, o czym myśli ani czy boi się tak bardzo jak ja. Dobrze wiedziałam, że nigdy się do tego nie przyzna, przynajmniej nie przede mną. Do snu rozebrał się do spodenek z napisem „Nie daj się”, nadrukowanym z tyłu, oraz białego podkoszulka bez rękawów, który miał pod szkolnym strojem. Ja wciągnęłam legginsy i luźną koszulkę.

Nie rozmawialiśmy dużo tego wieczoru. Leżałam, wsłuchując się w miarowy oddech Xaviera. Mając go tak blisko, wtulona w jego opiekuńcze ramiona, czułam się bezpieczna, zamknięta w ochronnym kokonie. Pomimo iż był tylko człowiekiem, wydawało mi się, że potrafi obronić mnie przed każdym możliwym zagrożeniem. Nie przestraszyłabym się nawet zionącego ogniem smoka, ponieważ on był ze mną. Zastanowiło mnie przelotnie, czy aby nie za dużo od niego wymagam, lecz szybko odrzuciłam tę myśl.

Obudziłam się po kilku godzinach przerażona koszmarem, którego nie mogłam sobie przypomnieć. Xavier spał obok mnie. Wyglądał tak pięknie; ustał miał lekko rozchylone, a rozwichrzone włosy rozrzucone na poduszce. Jego pierś wznosiła się i opadała rytmicznie. Owładnięta lękiem, ścisnęłam jego dłoń. Obudził się natychmiast, otwierając oczy, które lśniły intensywnym błękitem nawet w świetle księżyca.

- Co to jest? - wyszeptałam, wpatrując się w półmrok. - Tam, widzisz?

Nie wypuszczając mnie z objęć, uniósł się na łokciu i rozejrzał.

- Gdzie? - zapytał zaspanym głosem.

Machnęłam ręką w kierunku kąta pokoju. Xavier wstał i podszedł do miejsca, które wskazywałam.

- Tu? - zapytał. - Według mnie to wygląda na zwykły wieszak.

Kiwnęłam głową, nim dotarło do mnie, że w ciemnościach i tak nie będzie tego widać.

- Wydawało mi się, że ktoś tam stoi - wyjaśniłam. - Mężczyzna ubrany w długi płaszcz i kapelusz. - Wypowiedziane na głos, zabrzmiało to nedorzecznie.

- Coś mi się zdaje, że masz przywidzenia, skarbie. - Ziewnął przeciągle i trącił stojak stopą.
- Tak jest. Wieszak.

- Przepraszam - powiedziałam, gdy wrócił pod kołdrę. Otuliłam się jego ciepłem.

- Nie bój się - wymruczał. - Przy mnie nic ci nie grozi. Uwierzyłam mu. Po chwili przestałam nasłuchiwać szmerów i odgłosów kroków.

- Kocham cię - powiedział, zapadając w drzemkę.

- Ja ciebie bardziej - rzuciłam zaczepnie.

- Nigdy w życiu - odparł Xavier, na nowo rozbudzony. - Ja jestem większy, więc mieszczę w sobie więcej miłości.

- Za to u mnie jej cząsteczki są lepiej skompresowane, a co za tym idzie, liczniejsze. Roześmiał się.

- Ten wywód to czysta abstrakcja. Nie liczy się.

- Opieram go na tym, jak bardzo za tobą tęsknię, gdy cię przy mnie nie ma - odparowałam.

- A skąd ty możesz wiedzieć, jak ja za tobą tęsknię? Dysponujesz może wbudowanym tęsknotomierzem, który pozwala na regularne odczyty?

- Jestem dziewczyną, tęsknotomierz jest w moim przypadku częścią podstawowego wyposażenia.

Odpywałam powoli w sen, kołysana spokojnym oddechem Xaviera. Gładziłam delikatnie skórę jego ramion, położoną słońcem. W blasku księżyca widziałam wyraźnie każdy włos, każdą żyłkę, każdą plamkę - i kochałam je wszystkie. To była moja ostatnia myśl, nim zasnęłam, czując, iż strach mnie opuścił.

Przyjaciel w potrzebie

Śniła mi się niemal wyłącznie Taylah. Ukazała mi się jako duch bez twarzy, o bladych zakrwawionych rękach, które na próżno próbowały coś pochwycić. Zaraz potem znalazłam się w jej ciele, leżąc w kałuży lepkiej gorącej krwi. Słyszałam stłumiony odgłos wody kapiącej z kranu w łazience dla dziewcząt, podczas gdy ona osuwała się z wolna w niebyt. Wówczas załała mnie żalność oraz bezbrzeżny smutek, jaki odczuwała jej rodzina. Obarczali się winą za to, iż nie dostrzegli objawów depresji, wciąż na nowo roztrząsając, czy mogli zrobić coś, by uniknąć tragedii. Jake również pojawił się w tym śnie - błąkał się gdzieś po jego obrzeżach, jakby za mgłą, śmiejąc się cicho.

Rano obudziłam się w zmiętej pościeli, a miejsce obok mnie było puste. Zagłębienie w poduszce, w którym spoczywała w nocy głowa Xaviera, nadal nim pachniało. Wskoczyłam z łóżka i rozsunęłam zasłony, wpuszczając do pokoju złociste promienie słońca.

Tym razem to nie Gabriel krzątał się w kuchni przy śniadaniu, lecz Xavier. Ubrany był w dzinsy i podkoszulek, włosy miał potargane. Świeży, rumiany i piękny, wbijał jajka na skwierczącą patelnię.

- Pomyślałem, że przyda nam się porządne śniadanie - powiedział na mój widok. Gabriel i Ivy siedzieli już przy stole, przed nimi stały talerze z tostami i jajecznicą.

- Ależ to jest dobre - odezwała się Ivy między jednym a drugim kęsem. - Gdzie się nauczyłeś tak gotować?

- To z konieczności. U nas wszyscy prócz mamy mają do tego dwie lewe ręce. Potrafią tylko zamówić pizzę, ewentualnie wsypać zupkę w proszku do wody i zamieszać. Więc gdy mama zostaje do późna w przychodni, gotuję ja.

- Xavier jeszcze niejednym was zaskoczy - oznajmiłam rozpromieniona.

Mimo iż nocował u nas pierwszy raz, z zadziwiającą łatwością wkroczył w codzienne życie naszej małej rodziny. Nie mieliśmy już wrażenia, iż w domu przebywa gość - Xavier był teraz po prostu jednym z nas. Nawet Gabriel wydawał się pogodzony z tym faktem, pożyczając mu czystą białą koszulę do szkoły.

Wszyscy unikaliśmy poruszania tematu wydarzeń z poprzedniego dnia. Przynajmniej ja z pewnością nie chciałam do tego wracać.

- Wiem, że to, co się wczoraj stało, było olbrzymim wstrząsem - powiedziała wreszcie Ivy.
- Ale poradzimy sobie z tą sytuacją.

- Jak? - zapytałam.

- Nasz Ojciec wskaże nam drogę.

- Mam tylko nadzieję, że zrobi to, zanim będzie za późno - wymamrotał Xavier, lecz na szczęście dotarło to jedynie do moich uszu.

Domniemane samobójstwo Taylah wywołało w szkole prawdziwą burzę. Choć, by zachować pozory normalności, lekcje szły zwykłym torem, wydawało się, że wszystko inne pozostaje jakby w zawieszeniu. Rodzice otrzymali listy oferujące wsparcie psychologa oraz porady dotyczące rozwiązywania kryzysów w rodzinie. Podczas przerw uczniowie chodzili na palcach, nie chcąc okazywać braku wrażliwości zbyt głośnym zachowaniem. Nieobecność zarówno Jake'a Thorna, jak i jego świty kłuła w oczy.

Mniej więcej w połowie porannych zajęć zorganizowano specjalny apel, podczas którego dyrektor powiedział, iż dyrekcja szkoły nie dysponuje na razie żadnymi nowymi informacjami, śledztwo zaś zostało przekazane w ręce policji. Po tym oficjalnym wstępie jego przemówienie przybrało nieco cieplejszy ton.

- Strata Taylah McIntosh jest dla nas niezwykle bolesna i tragiczna. Była nieocenioną przyjaciółką oraz uzdolnioną uczennicą, której wszystkim nam będzie bardzo brakowało. Jeśli którekolwiek z was pragnęłoby porozmawiać z kimś na temat tego, co się stało, zachęcam do kontaktu z naszą zaufaną psycholog, panną Hirche.

- Szkoda mi go - westchnął Xavier. - Od rana urywają się u niego telefony. Rodzice pozostałych uczniów dosłownie wpadli w szal.

- Jak to?

- Z powodu takich wypadków zamykają szkoły - odparł. - Każdy chce się dowiedzieć, co się właściwie stało, domagając się od dyrekcji wyjaśnień, jakie kroki można było podjąć, aby tego uniknąć. Martwią się o swoje dzieci.

- Przecież to nie miało nic wspólnego ze szkołą! - wykrzyknęłam oburzona.

- Niestety, rodzice tak tego nie widzą.

Po apelu podeszła do mnie Molly. Oczywiście miała czerwone i zapuchnięte od płaczu. Widząc, że wolałaby porozmawiać na osobności, Xavier przeprosił nas, wymawiając się zebraniem drużyny piłki wodnej.

- Jak się trzymasz? - zapytałam, ściskając jej rękę. Molly pokręciła głową, a po jej policzkach popłynęły łzy.

- Strasznie dziwnie się czuję, przychodząc do szkoły - powiedziała zdławionym głosem. - Bez niej nie jest tu tak samo.

- Wiem - odparłam miękko.

- Nie rozumiem tego - ciągnęła. - Nie mogę uwierzyć, że była zdolna do czegoś takiego. Dlaczego nie przyszła ze mną porozmawiać? Nie miałam pojęcia, że jest w depresji. Co ze mnie za przyjaciółka? - Zaniósła się szlochem, a ja ją przytuliłam. Ledwo trzymała się na nogach.

- To nie twoja wina - tłumaczyłam. - Niekiedy pewne rzeczy są poza naszą kontrolą.

- Ale... - zaczęła Molly.

- Nie - przerwałam jej. - Uwierz mi, nie mogłaś zrobić niczego, aby temu zapobiec.

- Chciałabym w to wierzyć - wyszeptła. - Słyszałaś, że znaleźli ją całą we krwi? Zupełnie jak w jakimś horrorze.

- Tak - wybąkałam. Nie miałam ochoty znowu doświadczać tej wizji. - A może porozmawiasz z psychologiem? - zasugerowałam łagodnie. - Mogłoby ci to pomóc.

- Nie. - Pokręciła energicznie głową, śmiejąc się piskliwie i histerycznie. - Chcę zapomnieć, że to się w ogóle stało. Będzie tak, jakby ona nigdy nie istniała.

- Molly, nie możesz udawać, że wszystko jest w porządku. - A właśnie, że mogę - odparła ze sztuczną wesołością.

- Wiesz, wczoraj wydarzyło się też coś fajnego. - Uśmiechnęła się szeroko, z oczami wciąż pełnymi łez. Był to przerażający widok.

- Co takiego? - zapytałam, licząc na to, że zakończy tę osobliwą grę, jeśli przez chwilę poudaję razem z nią.

- Okazało się, że Jake Thorn chodzi ze mną na informatykę.

- Och - zdziwiłam się, zaskoczona tempem, w jakim sprawy przybierały niepożądany obrót.

- To super.

- Fakt. Bo do tego jeszcze zaprosił mnie na randkę. - Co?!

- Wiem, wiem. Ja też nie mogłam w to uwierzyć. - Wyraźnie szok zbierał swoje żniwo. Molly chwyciła się wszystkiego, co pozwalało jej nie myśleć o bólu.

- I co mu odpowiedziałaś? - zapytałam. Zaśmiała się ochryple.

- Nie wygłupiaj się, Beth. A co mogłam odpowiedzieć? Umówiliśmy się na niedzielę, będą

też jego znajomi. No tak, byłabym zapomniała. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? Po tym, co wydarzyło się na balu. Bo mówiłaś, że nic do niego nie czujesz...

- Nie! To znaczy... oczywiście, że nic do niego nie czuję.

- Więc ci to nie przeszkadza?

- Bardzo mi to przeszkadza, tyle że nie z takich powodów, o jakich myślisz. Molly, Jake to nic dobrego - nie spotykaj się z nim, bardzo cię proszę. I czy mogłabyś przestać już udawać, że nic się nie stało?! - Ostatnie zdanie wypowiedziałam podniesionym głosem, dając upust narastającemu napięciu.

Molly wyglądała na zdezorientowaną. - Ale o co chodzi? Dlaczego tak dziwnie się zachowujesz? Myślałam, że się ucieszysz.

- Cieszyłabym się, gdyby chodziło o kogokolwiek innego! Jemu nie można ufać. Nie wierzę, że tego nie widzisz. Ma wypisane na czole, co z niego za ziółko.

W głosie Molly zaczęły pobrzmiwać niebezpieczne nuty.

- Nie lubisz go tylko dlatego, że przez niego o mało nie rozstałaś się z Xavierem - powiedziała zaczepnie.

- Nic podobnego. Po prostu się na nim poznałam. Wygadujesz bzdury, bo nie myślisz teraz trzeźwo!

- A może mu zazdrościsz, bo jest wyjątkowy? - rzuciła ze złością. - Mówił mi, że niektórzy nie potrafią tego znieść.

- Co takiego? - prychnęłam. - Przecież to bez sensu.

- Wcale nie - odparowała Molly. - Wydaje ci się, że tylko tobie i Xavierowi coś się od życia należy. Ja też chcę być szczęśliwa, Beth.

Potrzebuję tego, zwłaszcza teraz.

- Molly, nie gadaj głupstw. Wiesz dobrze, że tak nie myślę.

- To dlaczego nie podoba ci się, że Jake zwrócił na mnie uwagę?

- Ponieważ się go boję - odparłam szczerze. - I nie chcę patrzeć, jak popełniasz gigantyczny błąd tylko dlatego, że jesteś w szoku po tym, co stało się z Taylah.

Ale Molly już mnie nie słuchała.

- Chcesz go dla siebie? Tak? To o to chodzi? No cóż, Beth, możesz mieć każdego faceta na ziemi, ale wypada zostawić coś dla innych.

- Nie chcę go ani dla siebie, ani dla ciebie, w ogóle nie chcę, żeby się do nas zbliżał...

- Dlaczego?

- Bo to on zabił Taylah! - wrzasnęłam.

Zamilkła, wytrzeszczając na mnie oczy. Sama nie mogłam uwierzyć w to, co zrobiłam, lecz jeśli Molly miała odzyskać dzięki temu rozum, jeśli miało ją to uchronić przed zakusami Jake'a, to było warto. Lecz już chwilę później jej źrenice się zwęziły.

- Oszalałaś - wysyczała, odsuwając się ode mnie.

- Zaczekaj! Wysłuchaj mnie...

- Nie - przerwała mi. - Nie chcę tego słuchać. Możesz go sobie nienawidzić, ile dusza zapagnie, a ja i tak się z nim spotkam, ponieważ tego chcę. To najwspanialszy chłopak, jakiego dotąd poznałam, i nie zamierzam z niego zrezygnować tylko dlatego, że tobie odbija przed okresem. - Zmrużyła oczy, patrząc na mnie ze złością. - A jeśli chcesz wiedzieć, to on uważa cię za wredną krowę.

Już otwierałam usta, by jej odpowiedzieć, gdy na chodnik padł cień i ktoś stanął obok Molly. Zaraz potem Jake rzucił mi jadowite spojrzenie, obejmując ją i przyciągając do siebie. Ona zaś przytuliła poufale policzek do jego piersi i zachichotała.

- Zazdrość to śmiertelny grzech, Bethany - syknął. Oczy miał teraz zupełnie czarne, tak że nie sposób było odróżnić źrenic od tęczy. - Kto jak kto, ale ty powinnaś to wiedzieć. Okaż nieco klasy i pogratuluj Molly.

- Równie dobrze mogę zacząć pisać jej nekrolog - warknęłam.

- No, no, moja droga, to był cios poniżej pasa. Nie obawiaj się, zajmę się twoją przyjaciółką jak należy. Zdaje się, że mamy ze sobą wiele wspólnego.

Odwrócił się na pięcie i odszedł, a Molly za nim. Obserwowałam, jak idzie, a jej rude loki podskakują przy każdym ruchu głowy. Resztę popołudnia spędziłam, rozpaczliwie jej szukając. Chciałam wytłumaczyć wszystko jeszcze raz, tak aby wreszcie zrozumiała, lecz nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Opowiedziałam Xavierowi o całym zajściu. Nie chciał dać nic po sobie poznać, lecz ja widziałam, jak zaciska szczęki. Razem zaczęliśmy szukać Molly. W każdej kolejnej klasie, która okazywała się pusta, czułam, jak moje wnętrza skręcają się z niepokoju. Gdy zaczęłam z trudem łapać oddech, Xavier zmusił mnie, bym usiadła.

- Hej - ujął moją twarz w dłonie, zaglądając mi w oczy - uspokój się. Nic jej nie będzie. Nikomu nic nie będzie.

- Jak mam w to uwierzyć? On jest niebezpieczny! Niezrównoważony! Ja wiem, o co mu

chodzi. Liczy, że w ten sposób coś na mnie wymusi. Wie, że Molly jest moją przyjaciółką.

Xavier usiadł obok mnie.

- Zastanów się na spokojnie, Beth - poprosił. - Dotychczas jeszcze nikomu z jego najbliższego kręgu nie stała się krzywda. Jemu zależy na rekrutowaniu zwolenników - tym od początku się zajmuje. Dopóki więc Molly będzie po jego stronie, nic jej nie zrobi.

- Nie możesz tego wiedzieć. On jest zupełnie nieprzewidywalny.

- Tak czy inaczej, nie skrzywdzi jej - stwierdził Xavier. - Musimy teraz zachować zimną krew, nie wolno nam tracić głowy. Nietrudno wpaść w panikę, zważywszy na ostatnie wydarzenia.

- Co więc powinniśmy twoim zdaniem zrobić?

- Wydaje mi się, że Jake niechcący dał nam wskazówkę, jak zdobyć dowód, na którym tak zależy Gabrielowi.

- Naprawdę?

- Czy Molly mówiła ci, dokąd ją zabiera?

- Powiedziała tylko, że umówili się na niedzielę... i że będą tam jego znajomi - odparłam.

Xavier skinął głową.

- No więc właśnie. Venus Cove nie jest duże - dowiemy się, dokąd idą, i spróbujemy ich śledzić.

Przedstawiliśmy swoje zamiary Gabrielowi i Ivy. Główny problem stanowiło ustalenie miejsca, do którego Jake zabierze Molly. W grę wchodził niemal każdy zakątek Venus Cove, my zaś nie mogliśmy pozwolić sobie na pomyłkę. Pojawiła się szansa na to, by sprawdzić, co tak naprawdę knuje Jake Thorn, i za nic nie chcieliśmy jej zmarnować.

- Dokąd on zechce pójść? - zastanawiała się Ivy. - Pełno tu oczywiście atrakcji w rodzaju kina, kawiarni czy kręgielni...

- Nie ma sensu brać pod uwagę czegoś normalnego - wtrąciłam się. - Bo o nim można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że jest normalny.

- Beth ma rację - odparł Xavier. - Spróbujmy na chwilę przestawić się na jego tok myślenia.

To dość trudne wymagać od anioła, aby dobrowolnie wszedł w skórę demona. Gabriel i Ivy jednak postarali się przełknąć obrzydzenie i spełnili prośbę Xaviera.

- Na pewno nie wybierze nic na widoku - odezwała się nagle Ivy - zwłaszcza że zamierza przeprowadzić swoich przyjaciół. To duża grupa, za bardzo rzucaliby się w oczy.

- Spotkają się gdzieś, gdzie będą mieli ciszę, spokój i nikt im nie przeszkodzi - zgodził się Gabriel.

- Są tu w pobliżu jakieś puste domy albo fabryki, jak ta, w której odbywała się impreza po balu? - zapytałam. - To byłoby coś w sam raz.

Xavier pokręcił głową.

- Jake wygląda mi na kogoś, kto wolałby nieco bardziej dramatyczną scenerię.

- Pomyślmy więc o czymś ostentacyjnym - zaproponowała Ivy.

- Otóż to. - Xavier spojrzał na mnie z błyskiem w szafirowych tęczówkach. - Jego świta... przypomnij sobie, jak wyglądają, co noszą...

- Ubierają się jak gości - podsunęłam.

- A wokół czego obraca się kultura gotów? - zapytał Gabriel Ivy popatrzyła na niego, otwierając szeroko oczy.

- Wokół śmierci.

- Tak jest. - Xavier miał posępny wyraz twarzy. - Gdzie więc najchętniej spotka się banda świrów z obsesją na punkcie śmierci? Zrozumiałam, co mu chodzi po głowie. Wciągnęłam ze świstem powietrze. Było to nedorzeczne, ponure i mroczne. I wręcz wymarzone dla przedstawienia Take'a.

- Cmentarz - wyszeptałam. Xavier skinął głową.

- Tak mi się wydaje.

Odwrócił się do Gabriela i Ivy, którzy patrzyli na siebie z poważnymi minami. Palce Gabriela zacisnęły się mocniej na kubku z kawą.

- Sądzę, że jesteś na właściwym tropie - rzekł wreszcie.

- A liczyłam na to, że chłopak wykaże się większą inwencją - rzuciła Ivy z pogardą. - Jakby nie było innych miejsc na świecie. No cóż, ktoś z nas będzie musiał pójść tam za nimi w niedzielę.

- Ja - zgłosił się natychmiast Gabriel, lecz Xavier pokręcił głową.

- To by było jawne prośenie się o wojnę. Nawet dla mnie jest oczywiste, że nie można ot tak sobie dopuszczać anioła w pobliże demona. To ja powinienem pójść - rzekł.

- To zbyt niebezpieczne - zaprotestowałam.

- Beth, ja się ich nie boję.

- Ty się niczego nie boisz - odparowałam. - A może powinienes.

- Ale to jedyny sposób - upierał się. Zerknęłam na Ivy i Gabriela.

- Dobrze, ale w takim razie ja idę z nim - oznajmiłam.

- Żadne z was nigdzie nie pójdzie - odrzekł Gabriel. - Jeśli Jake zwróci się przeciwko wam, mając w dodatku wsparcie pozostałych...

- Będę jej pilnował - obiecał Xavier. Wydawał się urażony sugestią, iż być może nie zdoła mnie obronić. - Dobrze pan wie, że nie pozwolę, by coś jej się stało.

Gabriel nie wyglądał na przekonanego.

- Nie wątpię w twoją tężyznę fizyczną, ale...

- Ale co? - zapytał cicho Xavier. - Oddałbym za nią życie.

- W to też nie wątpię, ale nie jesteś świadomy tego, na co się porywasz.

- Muszę bronić Beth...

- Xavierze - Ivy położyła mu dłoń na ramieniu; wiedziałam, iż przesyła mu w ten sposób kojącą energię - proszę, wysłuchaj nas. Nie wiemy, kim są ci ludzie. Nie wiemy, jak są silni ani na co ich stać. Z tego, co mieliśmy okazję zobaczyć, raczej nie mają oporów przed zabijaniem. Doceniamy twoją odwagę, niemniej w dalszym ciągu jesteś tylko człowiekiem, który próbuje w pojedynkę stawić czoło... cóż, tylko Nasz Ojciec wie, czemu.

- Co więc mamy robić?

- Moim zdaniem nic, dopóki nie skonsultujemy się z wyższą siłą. - Twarz Gabriela była nieprzenikniona. - Zamierzam jak najszybciej nawiązać kontakt ze Zgromadzeniem.

- Nie ma na to czasu! - wykrzyknęłam. - Molly może być w poważnych tarapatach.

- W pierwszej kolejności musimy zadbać o bezpieczeństwo was dwojga! - zagrzmiał gniewnie Gabriel, a w pokoju zapadła pełna respektu cisza. Nikt nie odezwał się słowem, aż wreszcie Ivy popatrzyła na nas z nagłym zdecydowaniem.

- Cokolwiek postanowimy, Xavier nie może teraz wrócić do domu - rzekła. - To zbyt ryzykowne. Musi zostać u nas.

Scena, która rozegrała się w domu Xaviera, nie należała do najprzyjemniejszych. Gabriel i Ivy zostali w samochodzie, podczas gdy my weszliśmy do środka, by wyjaśnić jego rodzicom, iż spędzi weekend ze mną.

Dowiedziawszy się, co mamy jej do zakomunikowania, pani Woods spiorunowała syna wzrokiem.

- W życiu o czymś podobnym nie słyszałam.

Poszła za nim do jego pokoju i wzięwszy się pod boki, stanęła w drzwiach, podczas gdy on pakował swoje rzeczy.

- Wykluczone, nie zgadzam się. Mamy plany na niedzielę. Wydawało się, że ignoruje fakt, iż Xavier tak naprawdę wcale nie prosił jej o pozwolenie.

- Przykro mi, mamó - powiedział, krążąc po pokoju i wrzucając do torby ubrania i bieliznę - ale muszę iść.

Pani Woods nie wierzyła własnym uszom. Rzuciła mi oskarżycielskie spojrzenie, najwyraźniej uważając mnie za winną tej niespodziewanej przemiany jej wzorowego dotychczas syna. Zrobiło mi się smutno, bo przecież dotąd tak dobrze nam się układało. Żałowałam, że nie mogę wyjawić jej prawdy. Wiedziałam jednak, iż w żaden sposób nie zdołalibyśmy wytłumaczyć jej, że w domu Xavier jest zupełnie bezbronny.

- Xavierze, powiedziałam: nie. Lecz on nie słuchał.

- Wrócę w niedzielę wieczorem - oznajmił, zapinając torbę i przerzucając ją sobie przez ramię.

- Dostyc tego, idę po ojca. - Obróciła się na pięcie i pomaszzerowała korytarzem. - Peter! - usłyszeliśmy jej wołanie. - Peterze, przyjdź tu, proszę, i porozmawiaj ze swoim synem. On chyba postradał zmysły!

Xavier popatrzył na mnie z zakłopotaniem.

- Przepraszam cię za to.

- Martwię się o ciebie. Nie ma w tym nic dziwnego. Kilkanaście sekund później jego tata pojawił się w progu ze zmarszczonym czołem. Ręce trzymał w kieszeniach.

- Zdaje się, że zdenerwowałaś matkę - powiedział.

- Przepraszam, tato. - Xavier położył mu rękę na ramieniu. - Nie mogę ci tego teraz wyjaśnić, ale naprawdę muszę iść. Zaufaj mi.

Pan Woods przeniósł wzrok na mnie.

- Wszystko u was w porządku? - zapytał.

- Już niedługo będzie. W poniedziałek wszystko wróci do normy.

Wyczuwając w naszych głosach gorączkowy pośpiech, ojciec Xaviera poklepał syna po ręku.

- Ja zajmę się mamą. O nic się nie martwcie. Załatwcie swoje sprawy. - Wykonał gest w kierunku okna. - Tędy. - Popatrzyliśmy na niego z niedowierzaniem. - Prędko!

Xavier uśmiechnął się ponuro, podszedł do parapetu i przerzucił przez okno swoją torbę, a następnie pomógł mnie.

- Dzięki, tato - szepnął.

Na dole, przyciśnięci do chłodnej ceglanej ściany usłyszeliśmy, jak pani Woods wraca do pokoju.

- Gdzie oni są? - zapytała tonem niewróżącym nic dobrego.

- No właśnie nie wiem - odparł jej mąż niewinnie. - Musieli się wymknąć niezauważeni.

- Nic ci nie jest? - spytałam, gdy już siedzieliśmy bezpiecznie w samochodzie. Pamiętałam, jak okropnie się czułam, okłamując Ivy i

Gabriela. Wiedziałam też, że Xaviera z rodzicami łączy silna więź.

- Mamie wkrótce przejdzie - odrzekł, uśmiechając się. - Teraz to ty jesteś dla mnie najważniejsza i nie waz się o tym zapominać. Jechaliśmy na Byron Street w pełnym zadumy milczeniu.

Piekło

Pomimo usilnych starań nie mogłam zgodzić się z Gabrielem, który twierdził, iż należy poczekać na instrukcje z góry. Takie zachowanie było do niego niepodobne, zazwyczaj nie cechowała go aż taka ostrożność. Płynął dla mnie z tego jeden wniosek: Jake Thorn stanowi poważne zagrożenie. Nie mogłam siedzieć spokojnie w domu, gdy Molly była w jego szponach.

To ona pierwsza wyciągnęła do mnie przyjazną dłoń, gdy przybyliśmy do Venus Cove. Wzięła mnie pod swoje skrzydła, powierzała mi swoje sekrety, zrobiła wszystko, żebym nie czuła się wyobcowana. Jeśli ktoś taki jak Gabriel boi się działać w pojedynkę, oznacza to, iż sytuacja jest dramatyczna. Nie zastanawiałam się długo. Wiedziałam, co należy robić.

- Pójdę po zakupy - powiadomiłam go, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. Bałam się, że może wyczuć kłamstwo. Mój brat ściągnął brwi.

- Niczego nam nie brakuje, Ivy była wczoraj w sklepie.

- Muszę się czymś zająć, żeby nie myśleć o Jake'u - odparłam, zmieniając taktykę. Gabriel przyjrzał mi się uważnie spod zmrużonych powiek. Jego idealna twarz teraz była surowa. Przełknęłam ślinę. Nigdy nie było mi łatwo go okłamywać. - Muszę po prostu wyjść na chwilę z domu.

- Pójdę z tobą. Nie chcę, żebyś w tych okolicznościach wychodziła sama...

- Nie idę sama. Będzie ze mną Xavier. Poza tym nie potrwa to dłużej niż dziesięć minut. - Paskudnie się czułam, oszukując brata w tak perfidny sposób, ale nie miałam wyjścia.

- Nie bądź takim pesymistą. - Ivy poklepała go delikatnie po ramieniu. Zawsze była skłonna ufać mi bez zastrzeżeń. - Świeże powietrze dobrze im zrobi.

Gabriel zasznurował usta.

- No dobrze. Ale macie zaraz wracać.

Złapałam Xaviera za rękę i pociągnęłam do drzwi. Bez słowa zapalił silnik auta. Poprosiłam, by przy końcu ulicy skręcił w lewo.

- Twój zmysł orientacji jest zupełnie do niczego - uśmiechnął się. Tylko jego oczy pozostały poważne.

- Nie jedziemy do sklepu.

- Wiem. I myślę, że to czyste wariactwo.

- Muszę coś zrobić - powiedziała cicho. - Jake ma już na sumieniu śmierć co najmniej jednej osoby. A jeśli Molly okaże się jego kolejną ofiarą? Jak później spojrzymy sobie w oczy?

Xavier nie wyglądał na przekonanego.

- Czy ty naprawdę uważasz, że ja tak po prostu oddam cię w łapy mordercy? Ten facet ma nierówno pod sufitem. Słyszałaś, co mówił twój brat.

- Tu już nie chodzi o mnie. Nie martwię się o siebie.

- A ja owszem! Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się narażasz?

- To mój obowiązek! Jak myślisz, po co zostałam tu przysłana? Nasza misja nie polega tylko na sprzedawaniu znaczków oraz pracy w darmowej jadłodajni - teraz właśnie stoję przed prawdziwym wyzwaniem! Nie wolno mi go zlekceważyć tylko dlatego, że się boję!

- A może Gabriel ma rację? Może czasem rozsądniej jest się bać?

- Ale trzeba też umieć pogodzić się z tym, co nieuniknione - powiedziała stanowczo.

Xavier z trudem nad sobą panował.

- Dobrze, w takim razie ja pojedę na cmentarz i przywiozę Molly. Ty zostań.

- Doskonały pomysł - stwierdziłam ironicznie. - Ciebie Jake nienawidzi jeszcze bardziej niż mnie. Posłuchaj, możesz albo pojechać ze mną, albo zostać w domu. Ja i tak pomogę Molly. Zrozumiem, jeśli nie zechcesz brać w tym udziału...

Skręciliśmy gwałtownie na kolejnym skrzyżowaniu. Xavier prowadził w milczeniu. Przed nami ciągnęła się długa prosta szosa. Zauważyłam, że mijamy coraz mniej domów.

- Dokądkolwiek idziesz ty, idę i ja - powiedział.

Cmentarz mieścił się przy końcu szerokiej drogi tuż za miastem. Wzdłuż jego murów biegły zapomniane tory kolejowe, na których stały bezpieczne, zniszczone przez deszcz, wiatr i słońce wagony. Jediną znajdującą się w pobliżu zabudowę stanowił rząd opuszczonych budynków komunalnych. Ich okna były zabite deskami, a balkony porastała dzika roślinność.

Cmentarz założyli pierwsi osadnicy, rozrósł się jednak znacznie od tamtego czasu wraz z napływem ludności. Na najnowszą część składały się lśniące marmurowe nagrobki oraz miniaturowe kapliczki, wszystkie starannie utrzymane. W wielu z nich widać było zdjęcia zmarłych, otoczone palącymi się świeczkami w kloszach z matowego szkła. W niektórych umieszczono również maleńkie ołtarzyki, krzyże oraz figurki Jezusa czy Błogosławionej Dziewicy Maryi, z dłońmi złożonymi do modlitwy.

Xavier zaparkował samochód po drugiej stronie ulicy, w pewnym oddaleniu od głównej bramy. O tej porze cmentarz był jeszcze otwarty, weszliśmy więc bez przeszkód. Na pierwszy rzut oka panował tam spokój. Samotna, ubrana na czarno starsza kobieta porządkowała jeden z nowszych grobów. Czyściła płytę i uprzątała uschnięte kwiaty, zastępując je świeżym bukietem chryzantem, który przycinała właśnie do odpowiedniej długości. Była tak tym pochłonięta, że ledwo zwróciła na nas uwagę. Wyglądało na to, iż oprócz niej nie było tam nikogo, jeśli nie liczyć krążących tu i ówdzie kruków czy pszczoł krzątających w krzewach bzu. Mimo pozornej pustki wyczuwałam obecność kilku zbłąkanych dusz, nawiedzających miejsce swojego pochówku. W innych okolicznościach z przyjemnością pomogłabym im w ich wędrówce, lecz tym razem bardziej zaprzątały mnie inne sprawy.

- Chyba wiem, gdzie ich znajdziemy - rzekł Xavier, prowadząc mnie do starej części cmentarza.

Tam naszym oczom ukazała się zupełnie inna sceneria. Grobami najwyraźniej nikt się nie opiekował, ponieważ wyglądały na zaniedbane, a otaczające je żelazne płotki dawno przerdzewiały. Wszystko pokrywał wszędobylski bluszcz, który z czasem zdusił wszelką inną roślinność. Panował teraz niepodzielnie, oplatając pręty barierek jak sznur. Tutaj nagrobki prezentowały się znacznie skromniej; w niektórych przypadkach za całą ozdobę służyła tabliczka z nazwiskiem zmarłej osoby. W pewnym momencie moją uwagę zwrócił pasek murawy pełen miniaturowych wiatraczków oraz wyblakłych pluszowych zabawek. Po chwili zrozumiałam, iż leżą tu niemowlęta. Zatrzymałam się przy jednej z malutkich tabliczek. Napis na niej brzmiał: AMELIA ROSE 1949-1949, ZMARŁA

W WIEKU PIĘCIU DNI. Myśl, iż ta małeńka duszyczka gościła na ziemi przez zaledwie pięć dni, przepełniła mnie niewysłowionym smutkiem.

Stąpaliśmy ostrożnie wśród rozpadających się płyt nagrobnych. Niewiele z nich pozostało nietkniętych. Większość zapadła się w trawę, a napisy zatarły się i stały niemal nieczytelne. Pozostałe przedstawiały godny pożałowania widok w postaci zarastających chwastami i spękanych kamieni. Co jakiś czas natykaliśmy się na rzeźby wyobrażające anioły; niektóre wysokie, inne skromniejszych rozmiarów, lecz wszystkie o jednakowo posępnych twarzach, wyciągające ręce jakby w geście powitania.

Szłam, myśląc o leżących pod przykryciem utkanym z kamienia i mchu ciałach. Na skórze czułam mrowienie. Jednak to nie obecność śpiących pod naszymi stopami zmarłych mnie

niepokoiła, a świadomość tego, co może czaić się za najbliższym zakrętem.

Widziałam, iż Xavier żałuje, że zgodził się mnie tu przywieźć. Mimo to nie okazywał strachu.

Zatrzymaliśmy się nagle, słysząc głosy. Nuciły jakąś żalobną pieśń. Podkradliśmy się na tyle blisko, by stały się wyraźniejsze, po czym schowaliśmy się za grubym pniem drzewa. Wychylając się ostrożnie, zobaczyliśmy niewielką grupę osób. Mogło ich być w sumie około dwudziestu, może dwudziestu kilku. Twarzą do nich, na porośniętym mchem nagrobku stał Jake, wyprostowany jak struna, na szeroko rozstawionych nogach. Ubrany był w czarną skórzaną kurtkę, na szyi miał odwrócony pentagram, a na głowie szary filcowy kapelusz. Zastygłam bez ruchu - widziałam już gdzieś ten kapelusz. Głęboko we mnie drgnęło wspomnienie. I wtedy mnie olśniło: samotny nieznajomy na meczu rugby. Pojawił się na trybunach, nie można było dostrzec jego twarzy, a po tym, jak Xavier został kontuzjowany, zniknął, dosłownie rozplynał się w powietrzu. A więc to Jake wszystko wyreżyserował! Myśl o tym, iż chciał skrzywdzić Xaviera, wywołała we mnie falę pulsującego gniewu, spróbowałam go jednak opanować. Musiałam zachować zimną krew. Potrzebowałam jej teraz bardziej niż kiedykolwiek.

Za plecami Jake'a wznosił się trzymetrowej wysokości kamienny anioł. Była to z całą pewnością jedna z najbardziej upiornych rzeźb, jakie widziałam w moim ziemskim życiu. Pomimo anielskiej postaci, którą przedstawiała, miała w sobie coś złowieszczego.

Wąskie oczy spoglądały groźnie, wielkie czarne skrzydła wyrastały majestatycznie z jej ramion, a potężne muskularne ciało sprawiało wrażenie niesłychanej siły, zdolnej zmiażdżyć wszystko na swojej drodze. Do pasa przytroczony miała długi miecz. Jake stał w jej cieniu, jakby oddawał się pod jej opiekę.

Pozostali otoczyli go półkolem. Ubrani byli w dziwaczne stroje: jedni otuleni w szaty z kapturem, które zakrywały ich twarze, inni w czarnych poszarpanych koronkach i łańcuchach. Policzki upudrowane mieli na biało, usta zaś pociągnięte krwistą czerwienią.

Wydawało się, że nie zwracają na siebie uwagi, podchodząc kolejno do Jake'a i kłaniając mu się z szacunkiem. Następnie każdy z nich wyjmował coś z trzymanej w ręku sakiewki i składał u jego stóp niczym ofiarę. Łagodny blask popołudniowego słońca oświetlał ten ponury spektakl. Zastanawiało mnie, co też takiego Jake obiecał tym młodym ludziom, w jaki sposób nakłonił ich, aby porzucili swe zwykłe zajęcia i przyszli tu, by razem z nim zakłócać spokój zmarłych.

Podniósł ręce i grupa znieruchomiała. Zerwał z głowy kapelusz. Jego długie ciemne włosy były matowe i splątane. Przypominał szaleńca. Gdy przemówił, głos zdawał się dobywać z kamiennej statuy.

- Witajcie po mrocznej stronie - rzekł, po czym zaśmiał się cynicznie. - Choć ja zwykle uważać ją po prostu za bardziej zabawną.

- Wśród jego zwolenników rozległ się pomruk aprobaty. - Przrzekam wam, że nie istnieje nic przyjemniejszego od grzechu.

Dlaczegoż mielibyśmy odmawiać sobie rozkoszy, skoro świat traktuje nas tak obojętnie? Zebraliśmy się tu wszyscy z jednego powodu: ponieważ chcemy poczuć, że żyjemy!

Przesunął szczupłą dłoń po chropowatym kamiennym udzie anioła i mówił dalej głosem słodkim jak ulepek:

- Ból, udręka, zniszczenie, śmierć - te słowa brzmią jak muzyka w naszych uszach, są niczym miód na nasze serca. To z nich czerpiemy energię. Stanowią pożywienie dla naszych dusz. Wszyscy musicie nauczyć się odwracać plecami do społeczeństwa, które obiecuje złote góry, lecz nie daje nic. Jestem tu po to, by pokazać wam, jak można nadać swemu istnieniu nowy sens; by uwolnić was z więzienia, w którym tkwicie, skuci łańcuchami niczym zwierzęta. Zostaliście stworzeni, by rządzić, lecz wasz stwórca okazał się zdziecinniałym staruchem. Przejmijmy na nowo władzę nad ziemią!

Potoczył wzrokiem po twarzach swych wyznawców i nagle stał się przymilny jak rodzic, który próbuje nakłonić do czegoś swoje dziecko. Jego dłoń spoczęła na rękojeści wyrzeźbionego miecza.

- Dotychczas spisaliście się doskonale i jestem bardzo zadowolony z waszych postępów. Nadszedł jednak czas, by pewniej stanąć na nogach. Namawiam was, abyście zaczęli działać, abyście odmienili swoje życie, zerwali pęta obyczajów, które wam narzucono.

Przywołajmy tchnące zepsuciem duchy nocy, niechaj nas wesprą.

Na dźwięk tych słów stojących przed nim ludzi ogarnęła osobliwa gorączka, rodzaj hipnotycznego transu. Odrzucili głowy do tyłu i zaczęli wydawać rozmaite odgłosy, jedni szepcząc, inni krzycząc. Rozbrzmiewały w nich przede wszystkim ból oraz pragnienie zemsty.

Jake uśmiechnął się z zadowoleniem, po czym zerknął na swój złoty zegarek.

- Nie zostało nam dużo czasu. Przejdźmy do rzeczy. - Popatrzył przed siebie. - Gdzie oni są? Przyprawdźcie ich tu.

Dwie wypchnięte siłą postacie upadły u jego stóp. Obie miały na sobie peleryny z kapturami. Jake złapał tę leżącą bliżej niego, odsłaniając jej twarz. Okazało się, że to zupełnie przeciętny chłopiec z naszej szkoły, którego znałam z widzenia. Nigdy nie rzucił się w oczy, był skromny, spokojny i należał do klubu szachowego. Pod jego oczami nie widniały ciemne kręgi, a tęczęwki nie były czarne jak u pozostałych, lecz jasnozielone. Wyglądał na zdenerwowanego.

Jake położył mu rękę na głowie.

- Nie bój się - wymruczał aksamitnym głosem. - Jestem tu, by ci pomóc.

Z wolna zaczął kreślić w powietrzu nad głową chłopca zamaszyste znaki. Z miejsca, w którym przykucnęłam, widać było, jak chłopak śledzi wzrokiem ruchy Jake'a i zerka na twarze pozostałych, próbując ocenić powagę sytuacji. Być może sądził, iż jest to rodzaj żartu, część rytuału otrzęsin, przez który należy przejść, zanim zostanie się pełnoprawnym członkiem grupy. Ja jednak obawiałam się, że nastąpi coś znacznie gorszego.

Wtedy jeden z chłopców wręczył Jake'owi książkę. Oprawiona w czarną skórę, miała strony pożółkłe ze starości. On zaś pełnym czci gestem uniósł ją, pozwalając jej się otworzyć. Gwałtowny podmuch wiatru zatrzęsł koronami drzew, wokół przygarbionych nagrobków zawirowały chmury pyłu. Znałam tę książkę z nauk pobieranych w niebie.

- O nie - wyszeptałam.

- Co takiego? - W głosie Xaviera wyczułam niepokój. On również zwrócił uwagę na to, co Jake trzyma w ręku. - Co to jest?

- To grymuar. Księga czarnej magii. Zawiera instrukcje na temat tego, jak wzywać duchy oraz przywracać zmarłych do życia.

- Chyba sobie ze mnie żartujesz. - Xavier wyglądał, jakby zamierzał się uszczypnąć, licząc, że pomoże mu się to obudzić z koszmaru. Nagle zdałam sobie sprawę z jego nieświadomości i na moment ogarnęło mnie obezwładniające poczucie winy z powodu tego, w co go wciągnęłam. Nie mogłam jednak tracić głowy.

- Nie jest dobrze - odrzekłam. - Grymuary to bardzo potężne narzędzia.

Jake wciąż stał na płycie nagrobnej. Jego pierś unosiła się i opadała coraz szybciej, w miarę jak tempa nabierało nucenie, przechodzące w obłąkańczy śpiew. Rozłożył szeroko ramiona, recytując inwokację z książki:

- *Exorior mens atrum amici us quod uindicatum is somes.* Mówił po łacinie, jednak żadną ze znanych mi odmian. Została dziwacznie zniekształcona, mimo to instynktownie pojęłam, iż

jest to język Królestwa Podziemi.

- *Is est vestri pro captus* - śpiewał Jake, zaciskając w powietrzu pięść.

- Co to znaczy? - wyszeptał Xavier. Ku własnemu zdziwieniu potrafiłam dokładnie przetłumaczyć te słowa.

-”Przybądź, mroczny przyjacielu, i przejmij to ciało. Jest do twojej dyspozycji”.

Pozostali przyglądali się temu z zapartym tchem. Nikt się nie poruszył ani nie wydał żadnego dźwięku, nie mając śmiałości przerywać obrzędu.

Xavier stał jak zahipnotyzowany. Musiałam dotknąć jego ręki, by upewnić się, iż jest przytomny. Oboje drgnęliśmy gwałtownie, gdy powietrze przeszył dźwięk przypominający odgłos pękającego kamienia. Z trudem udało nam się powstrzymać od zakrycia rękami uszu. Był to paskudny, zgrzytliwy pisk, podobny do tego, jaki wydają paznokcie skrobiące o tablicę. Po chwili ucichł tak samo nagle, jak się pojawił, z ust kamiennego anioła zaczął wydobywać się czarny dym. Spłynął ku Jake’owi, zdając się szeptać mu coś do ucha.

Jake chwycił głowę klęczącego przed nim chłopca i odchylił ją do tyłu, zmuszając go do otwarcia ust.

- Co robisz?! - krzyknął chłopiec.

Czarna chmura zawisła na moment nad nimi, wijąc się i obracając, nim dała nurka w dół. Jake puścił chłopca, na co ten wydał zduszony krzyk. Chwycił się za gardło, tarzając w konwulsjach po ziemi. Jego twarz wykrzywił grymas potwornego bólu. Poczułam, że Xavier trzęsie się z hamowanego gniewu.

Chłopiec znieruchomiał. Zaraz jednak usiadł i rozejrzył się z niedowierzaniem, które wkrótce ustąpiło miejsca zadowoleniu. Jake podał mu dłoń, pomagając wstać. Chłopak wyginał się i przeciągał, jakby od dawna nie miał do czynienia z ludzkim ciałem.

- Witaj z powrotem, przyjacielu - rzeki Jake, a gdy chłopiec się odwrócił, zobaczyłam, że jego oczy są czarne jak węgiel.

- Jak mogłam wcześniej na to nie wpaść? - jęknęłam, opuszczając głowę. - Zaprzyjaźniłam się z nim, chciałam mu pomóc... powinienam była wyczuć w nim demona.

Xavier położył mi dłoń na plecach.

- To nie twoja wina. - Przebiegł wzrokiem po zgromadzeniu zebranym u stóp Jake’a. - Czy to wszystko są demony? Pokręciłam głową.

- Nie sądzę. Wydaje mi się, że on przywołuje żadne zemsty duchy, którym następnie

pozwała opanowywać ciała swoich zwolenników.

- Robi się coraz ciekawiej - wymamrotał Xavier. - Skąd te duchy pochodzą? Czy to zmarli z tych grobów?

- Wątpię. To najprawdopodobniej dusze przeklętych ze świata cieni, których nie należy jednak mylić z demonami. Demon to istota stworzona przez Lucyfera, posłuszna tylko jemu. To taki sam rodzaj hierarchii, jak w niebie; miliony dusz trafiają do Królestwa Niebieskiego, lecz nie zostają aniołami. Ani anioły, ani demony nigdy nie były ludźmi. To osobna rasa.

- Jak bardzo niebezpieczne są takie dusze? - chciał wiedzieć Xavier. - Co stanie się z osobą, której ciało przejmą?

- Ich głównym celem jest sianie zniszczenia - wyjaśniłam. - Gdy wejdą w ciało człowieka, mogą zmusić go, do czego tylko zechcą. To jakby dodatkowy byt, zamknięty w cielesnej powłoce. Większość ludzi jest w stanie to przeżyć, o ile duch nie zechce naumyślnie uszkodzić ich ciała. Dla nas nie stanowią wielkiego zagrożenia, dysponujemy znacznie potężniejszą mocą. Jedynym, którego należy się obawiać, jest Jake.

Zamilkliśmy oboje, podczas gdy Jake wyprowadził na środek kolejną ofiarę. W ogóle nie byłam przygotowana na to, co nastąpiło.

Gdy zsunął kaptur z jej głowy, ujrzałam burzę rdzawych loków oraz wystraszone błękitne oczy.

- Nic się nie martw, maleńka - rzekł Jake, sunąc delikatnie palcem wzdłuż szyi i dekoltu Molly. - Nie będzie bardzo bolało. Ścisnęłam ramię Xaviera.

- Musimy go powstrzymać. Nie możemy pozwolić, by ją skrzywdził! Był blady jak ściana.

- Nikomu bardziej niż mnie nie zależy na tym, aby się go pozbyć. Lecz jeśli teraz się w to włączymy, nie mamy szans przeciwko całej tej zgrai. Potrzebujemy pomocy twojego rodzeństwa.

Pokręcił głową. Zrozumiałam, iż nareszcie przyjął do wiadomości fakt, że nie pokona Jake'a w pojedynkę.

Jedna z dziewcząt rzuciła się na ziemię. Owładnięta zazdrością i pożądaniem, wiła się, błyskając białkami oczu i otwierając oraz zamykając usta. Od razu ją rozpoznałam - była to Alexandra z zajęć z literatury. Jake pochylił się nad nią, łapiąc ją za włosy, na co natychmiast się uspokoiła. Zmysłowym gestem przesunął palcem po jej gardle, zatrzymując go na ustach. Dysząc ciężko, wygięła się ku niemu w ekstazie, on jednak odsunął się, czubkiem buta rysując linię przez środek jej ciała.

- Powinniśmy już iść - wyszeptał Xavier. - Sami nie damy sobie z nim rady.

- Nie odejdziemy bez Molly.

- Beth, nie możemy pozwolić, aby nas tu znalazł.

- Nie ruszę się bez niej. Westchnął.

- No dobrze, wymyśliłem chyba sposób, w jaki być może uda nam się ją odbić. Musisz jednak mi zaufać i robić dokładnie to, co powiem. Fałszywy ruch z naszej strony może ją drogo kosztować.

Skinęłam głową, czekając na dalszy ciąg, lecz mrozący krew w żyłach krzyk, który rozległ się w tym samym momencie, sprawił, że zapomniałam o wszystkim innym. Molly klęczała przed Jakim, ten zaś trzymał ją z tyłu za szyję. Ręce miała związane na plecach. Z ust kamiennego anioła wydobywał się czarny dym. Twarz Molly zbieła z bólu i przerażenia, lecz jej oczy skupione były na Jake'u. Nie mogłam na to patrzeć. Potykając się, wyskoczyłam zza drzewa, nie zwracając uwagi na protesty Xaviera.

- Co robisz?! - krzyknęłam. - Przestań! Jake, puść ją! Zobaczyłam wściekłość, która zniekształciła mu rysy. Przy moim boku pojawił się Xavier. Zrobił krok do przodu, by mnie zasłonić.

Na jego widok gniew Jake'a się ulotnił. Skrzyżował ręce na piersi, unosząc jedną brew, wyraźnie rozbawiony.

- Proszę, proszę... Kogo my tu mamy? Czyżby to nasz anioł miłosierdzia razem ze swoim...

- Molly, zejdź stamtąd! - krzyknął Xavier, ta zaś posłuchała bez zastanowienia, zbyt oszołomiona, by zaprotestować lub wydusić jakąkolwiek odpowiedź. Jake warknął ostrzegawczo.

- Ani kroku dalej. - Molly zastygła w bezruchu.

- Ty! - Wskazałam na niego palcem. - Wiemy, kim jesteś. Klasnął teatralnie kilka razy.

- Brawo. Cóż za dzielny detektyw z ciebie.

- Nie ujdzie ci to na sucho - oznajmił Xavier. - Jest nas czworo przeciwko tobie jednemu. Jake roześmiał się, zataczając ręką koło.

- Obawiam się, że mnie nie doceniasz. W dodatku nasze szeregi wciąż się powiększają. - Zachichotał. - Zdaje się, iż jestem dość lubiany.

Obserwowałam go przerażona, czując, że opuszczają mnie resztki pewności siebie.

- Wy i wasze szlachetne uczynki. Nie macie szans. Lepiej od razu dajcie sobie spokój.

- Nie ma mowy - prychnął gniewnie Xavier.
- Ojej, jakie to słodkie. Ziemski chłopiec sądzi, iż zdoła uratować anioła.
- Uwierz mi, że tak będzie.
- Tobie naprawdę wydaje się, że możesz mi coś zrobić? - zapytał Jake.
- Dotknij jej, a się przekonasz - odrzekł Xavier. Wargi Jake'a uniosły się, obnażając małe ostre zęby.

- Powinieneś już wiedzieć, że igrasz z ogniem - odparł wyniośle.

- Sęk w tym, że ja nie boję się byle oparzenia - rzucił Xavier. Mierzyli się przez długą chwilę wściekłymi spojrzeniami, jakby jeden drugiego wyzywał, by zaczął pierwszy. Zrobiłam krok do przodu.

- Puść tylko Molly - powiedziałam. - Nie ma potrzeby jej krzywdzić, nic ci z tego nie przyjdzie.

- Z przyjemnością ją uwolnię - uśmiechnął się Jake - pod jednym warunkiem...

- Jakim? - zapytał Xavier.

- Takim, że Beth zajmie jej miejsce.

Turkusowe oczy Xaviera zabłyśły. Ciało naprężyło się do skoku.

- Idź do diabła!

- Mój ty biedny, bezradny człowieczku - naigrawał się Jake. - Straciłeś już jedną ukochaną, mało ci jeszcze?

- Coś ty powiedział? - Źrenice Xaviera się zwężyły. - Skąd o niej wiesz?

- O, doskonale ją pamiętam - odparł Jake z paskudnym uśmieszkiem. - Miała na imię Emily, nieprawdaż? Nigdy nie zastanawiało cię, dlaczego cała jej rodzina uszła z życiem, tylko ona jedna nie?

Xavier wyglądał, jakby za chwilę miał zwymiotować. Złapałam go za rękę, podczas gdy Jake mówił dalej:

- Aż się zdziwiłem, że tak łatwo mi poszło - wystarczyło przywiązać ją do łóżka, gdy tylko dom stanął w ogniu. Wszyscy myśleli, że w ogóle się nie obudziła. Nikt nie słyszał jej wrzasków, bo zagłuszył je ryk płomieni.

- Ty gnoju. - Xavier zrobił kilka kroków w jego kierunku, lecz nie zaszedł daleko. Jake uśmiechnął się z wyższością, ledwo dostrzegalnie strzelając palcami, i Xavier zgiął się w pół, trzymając rękami za brzuch. Usiłował jeszcze stanąć prosto, lecz Jake jednym machnięciem ręki

powalił go na ziemię.

- Xavier! - krzyknęłam, podbiegając do niego. Trząśnięty z bólu. - Zostaw go! - błagałam. - Przestań, proszę!

W myślach usiłowałam przywołać na pomoc Boga, powtarzając słowa modlitwy: Wszchemogący Ojcze, Stwórczo nieba i ziemi, uratuj nas od złego. Ześlij swego ducha, aby nas wspomógł, wezwij anioły zbawienia. Albowiem Twoje jest królestwo i potęga, i chwała na wieki...

Lecz moc Jake'a przyćmiła moją modlitwę, zasnuwając ją niczym gęstą czarną mgłą. Poszczególne wyrazy utknęły jak gdyby w pół drogi, rozsadzając mi głowę. Jake Thorn żywił się rozpaczą i cierpieniem. Wiedziałam dobrze, że nie zdołam sama pokonać kogoś takiego jak on. Xavier miał rację. Jaka szkoda, że go nie posłuchałam. A ponieważ nie miał kto przybyć nam z odsieczą, pozostał tylko jeden sposób, aby pomóc jemu i Molly. - Weź mnie! - krzyknęłam, rozkładając szeroko ramiona.

- Nie! - Xavier podźwignął się na nogi, nie miał jednak szans przeciwko mrocznej potędze Jake'a. Padł na kolana.

Nie wahałam się dłużej; rzuciłam się naprzód, wpadając w sam środek kręgu. Towarzysze Jake'a natarli na mnie, śpiewając swą obłąkaną pieśń, dopóki on sam ruchem ręki nie nakazał im się cofnąć.

Wyciągnęłam ręce do Molly i wreszcie udało mi się ją od niego odciągnąć.

- Uciekaj! - wydyszałam.

Zaraz potem zabrakło mi tchu. Czarna mgła Jake'a zawładnęła mną i osunęłam się na ziemię, uderzając głową o cokół, na którym stał kamienny anioł. Musiałam rozciąć sobie skórę, ponieważ poczułam ciepłą stróżkę krwi ściekającą po czole. Spróbowałam się podnieść, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Czułam się tak, jakby wyciekła ze mnie cała energia, do ostatniej kropli. Otworzyłam oczy i zobaczyłam, że nade mną stoi Jake.

- Mój brat i siostra dopilnują, żebyś poniósł klęskę - wymamrotałam.

- No cóż, mnie się wydaje, że już wygrałem - warknął Jake. - Dałem ci szansę, abyś się do mnie przyłączyła. Głupotą było odmawiać.

- Jesteś wcielonym złem. Nigdy nie staniemy po jednej stronie.

- A mogło być tak miło - roześmiał się Jake.

- Wolalabym umrzeć.

- I tak też się stanie.

- Zostaw ją! - ryknął Xavier głosem nabrzmiałym bólem. Nadał leżał na ziemi, nie mogąc się ruszyć. - Nie waż się jej tknąć!

- Zamilcz już wreszcie - rzucił zimno Jake. - Twoja śliczna buzia nic jej teraz nie pomoże.

Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałam, nim ogarnęła mnie ciemność, był pożądliwy błysk w oczach Jake'a oraz głos Xavie-ra wołającego moje imię.

Wybawienie

Obudziłam się na tylnym siedzeniu limuzyny. Gdy tylko spróbowałam się poruszyć, zdałam sobie sprawę, że przytrzymuje mnie jakaś niewidzialna siła. Samochód prowadził Jake Thorn, a po obu moich stronach siedziały Alicia oraz Alexandra z lekcji literatury. Obserwowały mnie z beznamiętnym wyrazem upudrowanych na biało twarzy, jakbym była okazem w muzeum. Obleczone w rękawiczki dłonie trzymały na kolanach. Postarałam się uwolnić i niemal mi się to udało - uderzyłam Alexandrę łokciem w zębra.

- Zaczyna się szarpać - powiadomiła Jake'a, który rzucił jej niewielką paczuszkę owiniętą w folię.

- Jedna powinna wystarczyć - powiedział.

Alicia rozchyliła mi siłą usta, a Alexandra wrzuciła do nich jasnozieloną tabletkę, wlewając następnie nieco płynu ze srebrnej piersiówki. Napój palił mnie w gardło i wargi, ciekąc po brodzie. W końcu zakrztusiłam się i nie mając innego wyjścia, przełknęłam proszek. Zaczęłam dławić się i prychać, na co obie dziewczyny uśmiechnęły się z satysfakcją. Ich blade twarze oraz puste oczy zaczęły rozmywać się w błękitnej mgle, a w moich uszach rozległo się dzwonięcie, zagłuszające wszelkie inne dźwięki. Zdołałam jeszcze pomyśleć, iż serce bije mi owiele za szybko, po czym osunęłam się bezwładnie na ich kościste kolana i wszystko spowiła czerń.

Gdy otworzyłam oczy, siedziałam na podłodze, na wyblakłym dywanie, oparta o zimną ścianę. Zrozumiałam, że musiałam tu spędzić jakiś czas, ponieważ chłód pokoju przeniknął przez ubranie, przyprawiając mnie o gęsią skórkę. Ręce miałam związane, a gdy spróbowałam poruszyć palcami, poczułam w nich mrowienie. Moje ramiona zdrętwiały. Ktoś przewiązał mnie ciasno sznurem w talii.

Do ust włożono mi knebel w postaci brudnej szmaty, która utrudniała oddychanie. Wydawało mi się, iż czuję zapach benzyny.

Rozejrzałam się po mrocznym pomieszczeniu, starając się odgadnąć, dokąd mógł zabrać mnie Jake. Nie był to loch, jak mi się z początku wydawało. Wyglądało raczej na okazały salon w wiktoriańskim domu. Pokój był duży, przestronny i wysoki, z sufitu zwisał żyrandol, kuty w splecione pączki róż. Bogata faktura dywanu wskazywała na to, że pochodzi z Persji, lecz pachniał stęchlizną. W powietrzu dało się wyczuć także starą woń cygar. Dwie niegdyś okazałe,

obite skórą kanapy stały naprzeciwko siebie, a koło nich stoliki o marmurowych blatach i mosiężnych nóżkach. W mahoniowym kredensie dostrzegłam karafki tak zakurzone, że z trudem można było stwierdzić, jakiego koloru płyny zawierają. Pośrodku znajdował się długi stół z polerowanego drewna o wymyślnie rzeźbionych nogach. Naokoło niego ustawiono wyściełane ciemnoczerwonym aksamitem krzesła z wysokimi oparciami. Środek blatu ozdobił ogromnych rozmiarów kandelabr, a płomienie zapalonych świec rzucały długie drżące cienie. Na ścianach pokrytych obłazącą tapetą w paski wisiały dziwaczne litografie. Znad kominka zerkały na mnie porozumiewawczo portrety oprawione w ciężkie złożone ramy. Wyraz twarzy ukazanych na nich postaci sugerował, iż wiedzą o czymś, co dla mnie pozostawało tajemnicą. Jeden przedstawiał renesansowego dżentelmena w kryzie, na drugim widniała kobieta otoczona córkami podobnymi do nimf. Wszystkie miały długie wijące się włosy i zwiewne sukienki.

Każdy przedmiot, łącznie z obrazami, pokrywała gruba warstwa kurzu. Ciekawa byłam, ile lat upłynęło od chwili, gdy ktoś mieszka! w tym domu. Wydawał się zaklęty w czasie. Spod ozdobnych stiuków zwieszała się wdzięcznie olbrzymia pajęczyna, zwiewna niczym muślinowa firanka. Przyjrawszy się uważniej, zauważyłam, że w całym pokoju widać ślady rozkładu: obicia krzeseł nadzarte były przez mole, obrazy wisiały krzywo, siedzenia skórzanych kanap dawno się zapadły, a na suficie widniały mokre plamy w miejscach, gdzie najwyraźniej przesiąkła woda. Wszystko to wyglądało tak, jakby właściciele opuścili mieszkanie w pośpiechu, spodziewając się wkrótce wrócić, lecz nigdy to nie nastąpiło. Okna zabito deskami, więc do środka z trudem przenikało światło, którego promienie przecinały ukośnie dywan.

Całe ciało miałam obolałe, a głowę ciężką. Byłam zamroczona. Z daleka dochodziły jakieś głosy, lecz nie widziałam nikogo. Prawdopodobnie przebywałam tam już od wielu godzin, ponieważ zaczęłam powoli zdawać sobie sprawę, co miał na myśli Gabriel, mówiąc o potrzebach ludzkiego ciała. Było mi słabo z głodu, w gardle zaschło z pragnienia, wargi miałam spierzchnięte i rozpaczliwie potrzebowałam skorzystać z łazienki. Odpląnąłam w stan półświadomości, z którego wyrwał mnie dopiero odgłos kroków. Ktoś wszedł do pokoju.

Gdy uniosłam się nieco i spojrzałam przed siebie, ujrzałam Jake'a Thorna. Siedział u szczytu stołu, ubrany - o ironio - w smoking. Ręce skrzyżował na piersi. Na jego twarzy widniał znajomy, pełen satysfakcji uśmiešek.

- Przykro mi, że to się musiało tak skończyć, Bethany - rzekł. Wstał i podszedł do mnie, by

wyjąć mi z ust knebel. Przemawiał głosem słodkim jak miód. - Usiłowałem namówić cię, abyśmy spróbowali utworzyć razem szczęśliwe stadło.

- Życie z tobą byłoby gorsze od śmierci - odparłam ochryple. Rysy Take'a stężały. W czarnych oczach pojawił się złowrogi błysk.

- Podziwiam twój stoicki spokój. Prawdę powiedziawszy, jest to chyba jedna z rzeczy, które najbardziej mnie w tobie urzekły. Jednak obawiam się, iż w tym przypadku przyjdzie ci pożałować wyboru, którego dokonałaś.

- Nie możesz mi nic zrobić. Najwyżej wrócę jedynie do mojego świata.

- Ależ oczywiście. - Uśmiechnął się. - Szkoda tylko, że twoja druga połówka utknie w tym. Zastanawia mnie, co też się z nim stanie, gdy ciebie już tu nie będzie.

- Nie wąż się mu grozić!

- Trafiłem w czuły punkt? Ciekaw jestem, jak też Xavier zareaguje na wieść o tym, iż jego najdroższa zaginęła w tajemniczych okolicznościach. Mam nadzieję, że nie uczyni niczego pochopnego - rozpacz popycha niekiedy ludzi do najdziwniejszych rzeczy.

- Zostaw go w spokoju. - Spróbowałam się uwolnić. - Możemy załatwić to między sobą.

- Nie sądzisz, że twoja obecna sytuacja raczej nie służy negocjacom?

- Dlaczego to robisz, Jake? Co chcesz zyskać?

- To zależy, co rozumiesz przez zysk. Jestem jedynie pokornym sługą Lucyfera. Czy wiesz, co było jego największym grzechem?

- Pycha.

- Otóż to. Nie należało więc mnie upokarzać. Nie spodobało mi się to.

- Nie chciałam cię upokorzyć, Jake... Przerwał mi.

- Popelniłaś błąd, a teraz mam szansę się odegrać. Ależ to będzie sensacja, gdy przewodniczący samorządu szkolnego odbierze sobie życie! Wyobrażasz sobie? I co wszyscy powiedzą?

- Xavier nigdy tego nie zrobi! - wyszczałam, choć serce we mnie zamarło.

- Zgadza się - przytaknął Jake - sam z siebie nie. Tyle że ja mu pomogę. Zajrzę sobie do jego głowy i podrzucę kilka stosownych sugestii. Nie powinno być z tym problemu. Przecież stracił już jedną ukochaną, prawda? Takie doświadczenia bardzo ułatwiają zadanie. Do czego by go tu namówić? Zeby rzucił się z klifu na Wybrzeżu Rozbitków? A może lepiej niech uderzy samochodem w drzewo, podetnie sobie żyły albo utopi w oceanie? Ależ wybór!

- Robisz to, ponieważ czujesz się zraniony - powiedziałam. - Ale śmierć Xaviera nie sprawi, że znów staniesz się szczęśliwy. Podobnie jak zabicie mnie nie da ci satysfakcji.

- Dość już tego gadania. Męczy mnie!

Wyjawszy z wewnętrznej kieszeni marynarki ostry nóż, pochylił się i wprawnymi ruchami poprzecinał krępujące mnie więzy.

Uwolnione ramiona i ręce rozbolały mnie jeszcze bardziej.

Jake podniósł mnie tak, że teraz klęczałam u jego stóp. Spojrzałam na spiczaste czubki wypolerowanych czarnych butów i poczułam, że nie obchodzi mnie ani ból, ani dudnienie, jakie rozlegało się w mojej głowie; nie obchodzą mdłości ani fakt, że z głodu ledwo trzymam się na nogach. Myślałam tylko o tym, by wstać. Nie pokłonię się wysłannikowi ciemności. Wolałam umrzeć niż wypowiedzieć lojalność wobec nieba, korząc się przed demonem.

Oparłam się ręką o ścianę, dźwigając się do pozycji pionowej. Zużyłam na to cały zapas sił i nie wiedziałam, jak długo uda mi się wytrzymać na stojąco. Kolana mi drżały, jakbym zaraz miała się przewrócić.

Jake przyglądał mi się z lekkim rozbawieniem.

- Raczej nie czas teraz na takie gesty - zadrwił. - Zdajesz sobie sprawę, że twoje życie jest w moich rękach? Więc oddaj mi hołd, jeśli chcesz jeszcze kiedyś zobaczyć swojego Xaviera.

- Wyrzekam się ciebie oraz wszelkich twoich dzieł - powiedziałam spokojnie.

To najwyraźniej doprowadziło go do wściekłości, ponieważ złapał mnie, a następnie cisnął przez stół. Z głośnym trzaskiem uderzyłam głową o blat i wyładowałam bezwładnie na podłogę. Po czole ciekło mi coś lepkiego.

- Wszystko w porządku tam na dole? - zapytał z zadowoleniem Jake, opierając się o krawędź stołu. Dotknął przelotnie rany na mojej twarzy. Jego ręce promieniowały gorącem.

- Nie musi tak być. - Czekał na jakiś znak z mojej strony, lecz ja milczałam.

- No cóż, skoro tak, nie pozostawiasz mi wyboru. Wyrwę z ciebie po kawałeczku każdy okrucieństwo - powiedział miękko. - Gdy z tobą skończę, nie znajdziesz w sobie cienia uczciwości ani prawdy.

Pochylił się nade mną, a włosy opadły mu na oczy, w których tańczyły migotliwe blaski. Jego twarz znalazła się kilka centymetrów od mojej. Widziałam z bliska każdą zmarszczkę, wydatną linię kości policzkowych, cienką kreskę ust i kilkudniowy zarost.

- Sprawię, że twoja dusza stanie się czarna jak smoła, a wtedy będziesz należała do mnie.

Zadrzałam pod wpływem jego słów. Rozpaczliwie chwyciłam się nóg stołu, szukając oparcia. Jake wolno przesunął ręką po moim przedramieniu, rozkoszując się tym dotykiem. Skóra zaczęła mnie piec, a cała ręka pulsować bólem. Zerknąwszy w dół, ujrzałam czerwoną pręgę poparzenia.

- Obawiam się, że nie wrócisz już do nieba, Bethany. Po tym, co z tobą zrobię, nie będą cię tam więcej chcieli.

Opuszką palca pogłaskał mnie po twarzy, rysując obwódkę wokół ust. Natychmiast zamieniła się w palącą maskę.

Odwrociłam głowę, rzucając się gwałtownie, lecz Jake przytrzymał mnie, zmuszając, bym na niego spojrzała. Wydawało mi się, że jego palce przepalają mi policzki na wylot.

- Nie denerwuj się tak, mój aniele. My w piekle jesteśmy niezwykle gościnni.

Pocalowa! mnie brutalnie, napierając na mnie całym ciężarem, nim się odsunął. Moim ciałem wstrząsnęły dreszcze.

- Czas pożegnać się z panną Church.

Zamknął oczy, koncentrując się z takim wysiłkiem, że na czoło wystąpił mu pot, a na skroni pojawiła się pulsująca żyła. A potem wyprostował się powoli, zaciskając ręce wokół mojej głowy.

I wtedy stało się - mój mózg przeszył strumień gorących bezlitosnych igieł, wbijających się głęboko w świadomość. W jednej chwili ujrzałam całe zło, jakie popełniano na tym świecie od zarania dziejów. Każda klęska, każde nieszczęście znane ludzkości stanęło mi przed oczami, połączone w pasmo obrazów, w serię błysków o takiej mocy, że o mało nie rozsadziły mi czaszki.

Zobaczyłam dzieci osierocone przez wojnę, wioski obrócone w gruzy podczas trzęsień ziemi, mężczyzn rozrywanych wybuchami bomb, całe rodziny umierające z głodu i pragnienia. Widziałam morderstwa. Słyszałam krzyk ofiar. Odczułam na sobie wszelką niesprawiedliwość. Zostałam zakażona wszystkimi chorobami, jakie poznał człowiek. Zalało mnie przerażenie, smutek i bezradność. Z makabryczną dokładnością przeżyłam każdy wypadek, który spowodował czyjąś śmierć. Siedziałam w samochodzie obok Grace Kelly, gdy zginęła. Tonęłam, przygniatana naporem fal, razem z mężczyzną, którego łódź przewróciła się na morzu. Byłam Emily, płonęłam żywcem w jej łóżku. I przez cały ten czas słyszałam bezlitosny śmiech. Wiedziałam, że to śmiech Jake'a.

Cierpienie tysięcy milionów istnień wtargnęło do mojego wnętrza, raniąc mnie niczym odłamki szkła. Jak przez mgłę pamiętam moje ciało, wijące się w agonii na podłodze, z rękami przy skroniach. Byłam aniołem, a wlewano we mnie niekończącą się udrękę i ciemność. To musiało mnie zabić. Otworzyłam usta, chcąc błagać Jake'a, by zakończył tę mękę, lecz nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Nie miałam dość sił, nawet by prosić o własną śmierć. Koszmar trwał więc nadal, potworne wizje wysyłane przez niego napływały do ranie, aż wreszcie poczułam, że nie mogę oddychać.

Nagle Jake oderwał ręce. Zatonęłam w bezgranicznej uldze. To wtedy właśnie spostrzegłam płomienie pochłaniające wszystko na swojej drodze i zdałam sobie nagle sprawę z tego, że powietrze gęste jest od dymu. Żyrandol zadrżał, po czym runął razem z kawałkami tynku, zasypując blat stołu deszczem maleńkich odłamków szkła. Kilkadziesiąt centymetrów od nas zasłony zajęły się ogniem, pokrywając wszystko wokół deszczem żarzącego się popiołu. Zakryłam głowę, lecz żar przepalił ubranie, parząc mi skórę. Całe moje ciało pulsowało bólem, wstrząsane straszliwymi wspomnieniami, płuca wypełniał mi dym, źrenice paliły, a myśli krążyły bezładnie. Zrozumiałam, że tracę przytomność. Próbowалам z tym walczyć, lecz była to z góry przegrana bitwa. Widziałam już tylko twarz Jake'a na tle płomieni.

Wówczas jedna ze ścian pękła, jakby rozerwana eksplozją. Przez chwilę mogłam zobaczyć opustoszałą ulicę w dole, a potem pokój wypełniła oślepiająca jasność. Jake cofnął się chwiejnie, zasłaniając oczy. Z rumowiska wyłonił się Gabriel. Skrzydła miał rozpostarte, a w ręku trzymał miecz wyglądający jak snop białego światła. Długie rozpuszczone włosy powiewały za nim niczym wstęgi utkane z czystego złota. Za nim pojawili się Ivy i Xavier, od razu ruszając do mnie. Twarz Xaviera była zalana łzami. Chciał wziąć mnie w ramiona, lecz Ivy go powstrzymała.

- Nie ruszaj jej. Odniosła zbyt poważne obrażenia. Proces leczenia trzeba będzie rozpocząć tutaj.

Xavier ujął moją głowę w dłoń.

- Beth? - Poczulaм jego usta tuż przy swoim policzku.

- Słyszysz mnie?

- Ona nie może ci teraz odpowiedzieć - odezwał się słodki, melodyjny głos Ivy. Jej chłodne palce dotknęły mojego czoła. Drgnęłam gwałtownie, gdy popłynęła od nich uzdrawiająca energia.

- Co się z nią dzieje?! - krzyknął Xavier, ponieważ zaczęłam się trząść. Oczy uciekły mi w tył głowy, a usta rozwarły się w niemym krzyku. - Sprawiasz jej ból!

- Usuвам z jej mózgu wspomnienia, które wlał tam Jake - wyjaśniła Ivy. - Umrze, jeśli tego nie zrobię.

Xavier był tak blisko, że słyszałam bicie jego serca. Uchwyciłam się tego dźwięku, wierząc, iż jest to jedyne, co utrzyma mnie przy życiu.

- Będzie dobrze - powtarzał łagodnie. - Już po wszystkim. Jesteśmy tu. Nikt nie zrobi ci już krzywdy. Zostań z nami, Beth. Staraj się słuchać mojego głosu.

Spróbowałam usiąść i ujrzałam mojego brata wynurzającego się z płomieni. Światło spływało po nim strumieniami. Biły od niego taki blask i piękno, że oczy niemal bolały od patrzenia. Przeszedł przez ogień, stanął naprzeciwko Jake'a i po raz pierwszy zobaczyłam, jak na twarzy tego drugiego pojawia się strach. Opanował się jednak błyskawicznie, rozciągając usta w drwiącym uśmiešku.

- Widzę, że wpadłeś się zabawić - stwierdził pogardliwie. - Zupełnie jak za dawnych, dobrych czasów.

- Przybyłem, by położyć kres twoim rozrywkom - odparł Gabriel złowieszczo.

Wyprostował się i uniósł ramiona. Zerwał się potężny wichur, wprawiając w drżenie szyby w oknach i zrywając ze ścian obrazy. Poczzerwieniałe sklepienie przecięły błyskawice, jakby całe niebiosa podniosły bunt. Pośrodku tego wszystkiego stał Gabriel, potężny i wielki. Jego muskularne ciało lśniło, jak gdyby wykute zostało ze szczerzego złota. Miecz, który dzierzył w rękę, jarzył się bielą, wibrując niczym żywe stworzenie. Jake Thorn zachwiał się na ten widok. Gdy Gabriel znowu przemówił, jego głos przetoczył się po niebie jak grzmot.

- Dam ci jedną i zarazem ostatnią szansę - oznajmił. - Możesz jeszcze okazać skruchę. Możesz odwrócić się od Lucyfera i wyrzec się jego niecných uczynków.

Jake splunął mu pod nogi.

- Trochę na to za późno, nie uważasz? Chociaż miło z twojej strony, że proponujesz.

- Nigdy nie jest za późno - odparł mój brat. - Zawsze trzeba mieć nadzieję.

- Jedyna nadzieja, jaką mam, to ujrzeć twoją moc startą na proch - wysyczał Jake. Twarz Gabriela stężała, a z jego oczu zniknął ostatni ślad z miłosierdzia.

- Odejdź zatem - rozkazał. - Nie ma tu dla ciebie miejsca. Wracaj do piekła, tam, gdzie cię zesłano.

Uniósł miecz i razem z nim ruszyły w górę płomienie, pełznąc ku Jake'owi, jakby nagle ożyły. Zawisły nad jego głową niczym sępy, szykując się do ataku - i niespodziewanie zastygły. Coś je zatrzymało. To moc Jake'a zdawała się go chronić.

I stali tak, anioł i demon, mocując się, a między nimi jaśniał ognisty miecz, wyznaczając granicę dwóch światów. Oczy Gabriela lśniły gniewem Bożym, podczas gdy źrenice Jake'a płonęły żądzą krwi płynącą z samego piekła. Poprzez opary bólu, który wciąż trzymał w swych bezlitosnych szponach moje ciało i umysł, przedarł się lodowaty, wszechogarniający lęk. A jeśli

Gabrielowi nie uda się pokonać Jake'a? Co się z nami stanie?

Zdałam sobie sprawę z tego, że ściskam dłoń Xaviera, która chłodziła moją poparzoną skórę. Gdy odwzajemnił uścisk, dostrzegłam osobliwe światło bijące od miejsca, w którym stykały się nasze ręce. Wkrótce cali byliśmy nim spowici. Sięgało tak daleko, że nas otuliło. Zauważyłam, że gdy tylko przyciągam go mocniej do siebie, światło reaguje, rozciągając się szerzej wokół nas niczym ochronna tarcza. Lecz co to było? Co oznaczało? Xavier w ogóle go nie zauważył, był zbyt zajęty próbami ulżenia mi w cierpieniu, lecz nie umknęło ono bystrym oczom Ivy. Nachyliła się ku mnie, szepcząc mi wprost do ucha:

- To twój dar, Bethany. Użyj go.

_Nie rozumiem - odparłam. - Powiesz mi, jak?

- Otrzymałaś najpotężniejszy dar ze wszystkich. Wiesz, co masz robić.

Mój umysł nie pojął słów Ivy, lecz jakimś sposobem zrozumiało je moje ciało. Przywołałam resztki sił, jakie we mnie pozostały, i odepchnąwszy ból, który mnie obezwładniał, uniosłam głowę. W chwili gdy dotknęłam ustami warg Xaviera, wszelkie ponure myśli odpłynęły i widziałam już tylko jego. Jake Thorn odskoczył - od naszych złączonych ciał wzbila się oślepiająca światłość, zalewając pokój strugą złocistych promieni. Jake krzyknął, zasłaniając się rękami, lecz światło dosięgło go, oplatając niczym macki. Przez kilka sekund wił się, rzucając na boki, lecz w końcu zastygł bez ruchu, pozwalając, by promienie popęzły w górę, owijając się ciasno wokół niego.

- Co to takiego?! - krzyknął Xavier, zasłaniając oczy.

Ivy i Gabriel, którzy spokojnie przyglądali się całej scenie, odwrócili się w jego stronę.

- Kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć - rzekła moja siostra. - To miłość.

Wtuliłam się w niego najmocniej, jak potrafiłam, podczas gdy dom zadrżał w posadach, a podłoga rozerwała się przecięta smugą światła.

W niej właśnie zniknął Jake Thron. Spadając, spojrzał mi prosto w oczy. Przeżywał katusze, a mimo to wciąż się drwiąco uśmiechał.

Następstwa

Przez kolejne miesiące moje rodzeństwo robiło wszystko, by opanować zamęt, jaki pozostawił po sobie Jake. Odwiedzali rodziny dotknięte zbrodniami, których się dopuścił, spędzając mnóstwo czasu na próbach odbudowania zaufania wśród mieszkańców Venus Cove.

Molly oraz resztą ofiar zakusów Jake'a zajęła się Ivy. Mroczne duchy zamieszkujące ich ciała zostały wessane z powrotem do piekła wraz z tym, który je wskrzesił. Moja siostra wymazała z umysłów tych młodych ludzi wszelkie wspomnienia jego działań, uważając przy tym, by reszta pozostała nietknięta. Przypominało to trochę usuwanie zbędnych słów z opowiadania - należało wybierać je bardzo ostrożnie, tak aby nie pozbyć się przy okazji czegoś istotnego. Po tym pamiętali już tylko, że uczęszczał kiedyś do ich szkoły niejaki Jake Thorn, lecz żadne z nich nie mogło przypomnieć sobie, aby kiedykolwiek z nim rozmawiało. Do dyrekcji szkoły została przesłana informacja, że Jake opuścił liceum imienia Bryce'a Hamiltona na prośbę swego ojca, który domagał się jego powrotu do Anglii. Stało się to tematem plotek na dzień lub dwa, po czym uczniowie zajęli się ważniejszymi sprawami.

- Co się właściwie stało z tym przystojniakiem z Wysp? - zapytała Molly dwa tygodnie później. Siedziała na brzegu mojego łóżka, piłując paznokcie. - Jak mu tam było... Jack, James?

- Jake. Wrócił do siebie.

- Szkoda. Podobały mi się jego tatuaże. Może też powinnam sobie zrobić? Myślałam nad jakimś napisem, na przykład „leirbag”.

- Chcesz sobie wytatuować imię Gabriela zapisane wspak?

- Cholera, to aż tak oczywiste? Będę musiała wykombinować coś innego.

- Gabriel nie lubi tatuaży. Twierdzi, że ludzkie ciało to nie tablica reklamowa.

- Dzięki, Bethie - odparła Molly z wdzięcznością. - Jak to dobrze, że cię mam. Ty wiesz, jak przemówić mi do rozsądku. Nielatwo mi było rozmawiać z nią tak jak kiedyś. Coś się we mnie zmieniło. Ja jedna z naszej rodziny nie doszłam jeszcze do siebie po starciu z Jakiem. Choć od pożaru minęło już wiele dni, nadal nie wychodziłam z domu. Z początku wynikało to z faktu, iż moje skrzydła, które zostały poparzone, potrzebowały czasu, aby się zagoić. Później po prostu zabrakło mi odwagi. Czułam się dobrze, wisząc w próżni. Po wszystkich wcześniejszych pragnieniach związanych z doświadczaniem ludzkiej egzystencji marzyłam jedynie o

bezpiecznym azylu czterech ścian. Nie potrafiłam myśleć o Jake'u bez łez. Staralam się nie dać nic po sobie poznać, lecz gdy tylko zostawałam sama, przestawałam nad sobą panować i płakałam. Nie tylko z powodu bólu, jaki mi zadał, lecz również dlatego, że wiedziałam, kim mógłby się stać, gdyby tylko zechciał przyjąć moją pomoc. Nie nienawidziłam go. Nienawiść to potężne uczucie, a ja nie miałam na nie dość sił. Mimo iż Jake przybył tu tylko po to, by rozmyślnie wsączyć jad w nasze życie, tak naprawdę niczego nie osiągnął. Niemniej wolałam nie wyobrażać sobie, co mogłoby się wydarzyć, gdyby Gabriel nie zdążył na czas. Lecz myśl ta wciąż zakradała się do mojej głowy, niwecząc wszelką chęć opuszczenia znajomego pokoju.

Czasem siadałam przy oknie, patrząc, jak świat podąża utartym torem. Wiosna zmieniła się w lato, i dni stały się dłuższe. Zauważyłam, że słońce zaczęło coraz wcześniej pojawiać się na niebie, pozostając tam do późnego wieczora. Przyglądałam się ptakom wijącym gniazdo na poddaszu. W oddali widziałam pluskające leniwie fale.

Wizyty Xaviera stanowiły jedyną część dnia, której nie mogłam się doczekać. Gabriel i Ivy byli mi oczywiście wielkim pocieszeniem, lecz oni zawsze pozostawali nieco na uboczu, wciąż silnie związani z naszym poprzednim domem. W moich oczach Xavier stanowił ucieleśnienie ziemi - solidny, wytrzymały, dający oparcie. Martwiłam się, że doświadczenia z Jakiem mogły i na niego wpłynąć niekorzystnie, lecz jedyną reakcją, jaką okazał, był brak jakiegokolwiek reakcji. Znow poświęcił się z zapalem opiece nade mną, nie przyjmując do wiadomości faktu istnienia sił nadprzyrodzonych.

- A może ja nie chcę wiedzieć? - rzekł pewnego popołudnia, gdy zapytałam go o to wprost.
- Widziałem wystarczająco dużo, by uwierzyć.

- I nie intryguje cię to?

- Jest tak, jak mówiłaś. - Usiadł koło mnie, zakładając mi kosmyk włosów za ucho. - Są rzeczy, które na zawsze pozostaną poza ludzką zdolnością pojmowania. Wiem, że i niebo, i piekło istnieją. Poznałem też dwa rodzaje zamieszkujących je istot. Na razie tyle mi wystarczy. Nie ma sensu pytać o nic więcej.

Uśmiechnęłam się.

- Od kiedy to stałeś się taki mądry, staruszkule? Wzruszył ramionami.

- Przecież zadaję się z towarzystwem, które oglądało świat w dniu jego narodzin. Człowiek łąpie dystans, gdy za drugą połówkę ma anioła.

- Nazywasz mnie swoją drugą połówką? - zapytałam sennie, przesuwając palcem po

skórzanym rzemyku na jego szyi.

- Naturalnie. Kiedy cię przy mnie nie ma, czuję się tak, jakbym oglądał świat na ekranie, który wyświetla wyłącznie szare barwy.

- A gdy jesteś ze mną? - spytałam miękko.

- Włącza się film w technikolorze.; Choć zbliżały się końcowe egzaminy, Xavier przychodził codziennie, zawsze tak samo troskliwie wypatrując na mojej i twarzy oznak poprawy. Za każdym razem przynosił jakiś drobny podarek - a to wycięty z gazety artykuł, a to wypożyczoną z biblioteki książkę, ciekawą historyjkę do opowiedzenia lub własnoręcznie upieczone ciasteczka. Przy nim nie sposób było się nad sobą uzalać. Jeśli kiedykolwiek w przeszłości miewa - 'łam wątpliwości co do łączącego nas uczucia, w tych dniach ostatecznie się ich pozbyłam.

- Może spróbujemy dziś wyjść na spacer? - zapytał. - Moglibyśmy pójść na plażę. Zabierzemy Fantoma, jeśli chcesz.

W pierwszej chwili ta propozycja wydała mi się kusząca, lecz później myśl o konfrontacji ze światem zewnętrznym przytłoczyła mnie. Podciągnęłam koc pod samą brodę.

- Nie ma sprawy. - Xavier nie naciskał. - Może jutro. Co w takim razie powiesz na wspólne przygotowanie kolacji?

Skinęłam w milczeniu głową, przysuwając się bliżej. Spojrzałam w jego idealną twarz. Popatrzyłam na uśmiech i kosmyk orzechowobrazowych włosów opadający mu na czoło. Wszystko to było tak cudownie znajome.

- Masz do mnie świętą cierpliwość - westchnęłam. - Trzeba będzie wszcząć procedurę kanonizacyjną.

Zaśmiał się, ujmując moją dłoń, zadowolony, że widzi przebłysk dawnej mnie. Zesłłam za nim na dół, ubrana w piżamę, przysłuchując się, jak omawia z Gabrielem i z Ivy pomysły na rozmaite przepisy. Jego głos działał na mnie kojąco, niczym chłodny balsam studzący rozgorączkowane myśli. Wiedziałam, że zostanie ze mną i będzie do mnie mówił, dopóki nie zasnę. Z każdym wypowiedzianym przez niego słowem czułam się o krok bliżej dawnego życia.

Lecz nawet jego obecność nie mogła uchronić mnie przed koszmarami. Każdej nocy wyglądało to tak samo: budziłam się zrana zimnym potem ze świadomością, iż to tylko sen. Zdawałam sobie sprawę z tego, że rozgrywał się wyłącznie w mojej głowie. Śnił mi się od tygodni, lecz wciąż mnie przerażał i sprawiał, że serce podchodziło mi do gardła, a ręce same

zaciskały się w pięści.

Byłam w niebie, porzuciwszy na dobre świat ludzi. Głęboki smutek, który odczuwałam, wydawał się tak realny, że po obudzeniu nadal miałam uczucie, jak gdyby w mojej piersi ziała otwarta rana. Wspaniałości Królestwa Niebieskiego nie robiły już na mnie wrażenia, błagałam więc Naszego Ojca, by ponownie wysłał mnie na ziemię. Prosiłam Go najgoręcej, jak umiałam, płacząc gorzkimi łzami, lecz On pozostawał głuchy. Z rozpaczą patrzyłam, jak zatrząskują się za mną bramy Niebios, wiedząc o tym, że nie ma już dla mnie ucieczki. Miałam swoją szansę i zmarnowałam ją.

Mimo że byłam w domu, czułam się obco. Sam powrót nie przysporzył mi aż tak wielkich cierpień, najgorsze było wspomnienie tego, co pozostawiłam za sobą. Myśl, iż nigdy już nie dotknę Xaviera, nie zobaczę jego twarzy, rozdzierała mi duszę. W tym śnie traciłam go na zawsze. Jego rysy zacierały się, gdy próbowałam przywołać je w pamięci. Najbardziej jednak dręczył mnie fakt, że nawet nie zdążyłam się pożegnać.

Miałam do dyspozycji cały bezmiar nieskończoności, lecz ja pragnęłam zostać zwykłą śmiertelniczką. Nie mogłam jednak nic zrobić. Nie było sposobu, by nagiąć niewzruszone prawa rządzące życiem i śmiercią, niebem i ziemią. Nie pozostała mi nawet nadzieja, ponieważ nie miałam na co czekać. Bracia i siostry krążyli wokół mnie, szepcząc słowa otuchy, lecz ja nie pragnęłam pocieszenia. Życie bez Xaviera było dla mnie pozbawione sensu.

Pomimo tortury, jaką sprawiał mi ten sen, nie martwiłam się tym, że mnie nawiedza, bo nadchodziła chwila przebudzenia, a wraz z nią pewność, iż niedługo go zobaczę. Tylko to się liczyło. To i ciepło promieni słonecznych wpadających przez drzwi balkonowe, spokojny oddech śpiącego u moich stóp Fantoma, krzyki mew krążących nad lazurowymi falami oceanu.

Przyszłość mogła zaczekać. Zostaliśmy oboje poddani niezwykle ciężkiej próbie i przetrwaliśmy ją. Wyszliśmy z niej pokiereszowani, ale i silniejsi. Nie umiałam uwierzyć w to, że niebo, które znałam, mogłoby okazać się tak okrutne, by nas rozdzielić. Nie potrafiłam przewidzieć, co przyniosą nadchodzące dni, lecz wiedziałam, że stawimy temu czoło razem.

Od wielu tygodni obywałam się prawie bez snu. Siedziałam na łóżku, obserwując skrawki księżycowej poświaty wędrujące po deskach podłogi. W ogóle nie próbowałam zasnąć - gdy tylko zamykałam oczy, zdawało mi się, że czuję na twarzy dotyk czyjejś dłoni lub słyszę stłumione kroki skradającej się ciemnej postaci. Pewnej nocy wyjrzałam nawet przez okno, przekonana, że dostrzegam w górze zarys twarzy Jake'a.

Wstałam i otworzyłam balkon. Do pokoju wpadł podmuch lodowatego wiatru, na niebie wisiały nisko czarne chmury. Nadciągała burza. Zapragnęłam, by znalazł się przy mnie Xavier - wyobraziłam sobie, jak jego ramiona otulają mnie ciepłym uściskiem, a usta szepczą do ucha, że nie ma się czego bać, ponieważ już zawsze będę bezpieczna. Lecz jego nie było, a ja stałam zupełnie sama, czując na skórze pierwsze krople deszczu. Wiedziałam dobrze, iż zobaczę go rano, gdy przyjedzie, by odwiedzić mnie do szkoły. Ranek jednak wydawał się tak odległy, a myśl o samotnym czekaniu w ciemnościach przyprawiała mnie o mdłości. Wychyliłam się przez poręcz, wdychając rześkie powietrze. Miałam na sobie tylko cienką koszulę nocną, którą wiatr nadymał i szarpał, próbując porwać mnie ze sobą. W oddali widziałam morze, przypominało czarne, pogrążone we śnie zwierzę. Jego falująca powierzchnia wznosiła się i opadała, zupełnie jakby oddychało. Smagana porywami wichru, wpadłam na niesamowity pomysł. Już i tak prawie unosiłam się w powietrzu, sam wiatr mnie zapraszał. Zerknęłam na wyświetlacz budzika stojącego na szafce nocnej - było po północy, a więc okoliczne domy pogrążyły się już we śnie. Przez chwilę poczułam się tak, jakby cały świat należał tylko do mnie. Nim zdałam sobie na dobre sprawę z tego, co się dzieje, balansowałam na krawędzi barierki. Wyciągnęłam ręce nad głowę. Powietrze było tak orzeźwiająco chłodne. Wysunęłam język, łapiąc nim kropelkę deszczu, i roześmiałam się w głos, zachwycona tą nagłą swobodą. Błyskawica rozświetliła horyzont w miejscu, gdzie morze stykało się z niebem. Zawładnęła mną nieopanowana żądza przygody - i skoczyłam.

Z początku zdziwiłam się, dlaczego nie spadam, lecz zdałam sobie sprawę, iż coś trzyma mnie w górze. To moje skrzydła przecięły materiał koszuli, uderzając delikatnie powietrze. Pozwoliłam im unieść się wyżej, przebierając nogami jak rozradowane dziecko. W ciągu kilku sekund dachy domów pozostały daleko w dole, ja zaś nurkowałam, kręcąc pętle na nocnym niebie. Ziemia drżała już od łoskotu grzmotów, potężne błyskawice rozświetlały mrok, lecz ja się nie bałam. Wiedziałam dokładnie, dokąd chcę polecieć. Drogę do domu Xaviera znałam na pamięć. Lot nad uśpionym miastem był surrealistycznym przeżyciem - minęłam szkołę, szybując ponad dobrze znanymi ulicami. Wyludnione, sprawiało wrażenie zamieszkanego przez duchy. Jednak świadomość, że w każdej chwili ktoś może mnie zobaczyć, wprawiała mnie w radosne podniecenie. Nie zadałam sobie nawet trudu, by skryć się za nabrzmiałymi deszczem chmurami.

Wkrótce znalazłam się na trawniku przed domem Xaviera. Zakradłam się na tyły, gdzie mieścił się jego pokój. Okno było otwarte, a lampka przy łóżku wciąż się paliła. Na piersi

Xaviera leżała grzbietem do góry otwarta książka do chemii. Z jakiegoś powodu we śnie wyglądał znacznie młodziej. Wciąż miał na sobie wyblakłe spodnie od dresu oraz rozciągnięty biały podkoszulek. Jedna ręka spoczywała za jego głową, druga opadła luźno wzdłuż ciała. Usta rozchyliły się delikatnie, a ja patrzyłam, jak oddycha miarowo. Na jego twarzy malował się spokój, jakby nie mogło dotknąć go żadne z ludzkich zmartwień.

Złożywszy skrzydła, wdrapałam się cicho do środka. Na palcach podeszłam do łóżka i wyciągnęłam rękę, by zabrać podręcznik. Xavier poruszył się, lecz nie obudził. Stałam, obserwując go, i nagle poczułam się bliżej Naszego Stwórcy niż kiedykolwiek wcześniej, nawet będąc w Niebie. Oto miałam przed sobą Jego najdoskonalsze dzieło. Anioły może i stworzone zostały na strażników, lecz nie zdołałam oprzeć się wrażeniu, iż od Xaviera również bije wielka moc - siła jego woli, zdolna zmieniać świat. Mógł robić, co chciał, zostać kimkolwiek zapragnął. Niespodziewanie pojęłam, iż moim największym marzeniem jest, by był szczęśliwy - ze mną lub beze mnie. Uklęłam więc i pochyliwszy głowę, modliłam się do Boga, aby pobłogosławił go oraz ochronił od złego. Prosiłam Go, by uczynił życie Xaviera długim pasmem wszelkiej pomysłowości. By spełniły się wszystkie jego marzenia. Bym na zawsze mogła pozostać z nim związana choćby najcieńszą nicią porozumienia, również wtedy, gdy opuszczę już ziemię.

Nim odeszłam, rozejrzałam się jeszcze raz po pokoju. Prześliznęłam się wzrokiem po rozpiętej na ścianie fladze drużyny Los

Angeles Lakers, przeczytałam napisy wyryte na pucharach, które zajmowały niemal wszystkie półki. Przesunęłam palcami po przedmiotach rozsypanych w nieładzie na biurku. Leżała pomiędzy nimi mała drewniana szkatułka z rzeźbionym wieczkiem.

Zwróciła moją uwagę, ponieważ wyróżniała się spośród chłopięcych drobiazgów, nie pasowała do nich. Przysunęłam ją i uniosłam wieczko. W środku wyścielana była czerwoną satyną, a na niej spoczywało białe pióro. Natychmiast je rozpoznałam - było to to samo pióro, które Xavier znalazł w swoim samochodzie po naszej pierwszej randce. Wiedziałam, iż zatrzyma je na zawsze.

Epilog

Trzy miesiące później emocje opadły i wszystko mniej więcej wróciło do normy. Razem z Gabrielem i Ivy dołożyliśmy starań, aby uleczyć społeczność miasteczka oraz uczniów liceum imienia Bryce'a Hamiltona z wszelkich pozostałości okropieństw, jakich doświadczyli osobiście lub mogli być świadkami. Ich wspomnienia zostały zredukowane do mglistych fragmentów obrazów lub słów, które w żaden sposób nie układały się w logiczną całość. Xavier jako jedyny zachował pełną świadomość. Nie rozmawialiśmy o tym, lecz wiedziałam, iż nadal o wszystkim pamięta - i że nigdy już nie zapomni. Był jednak silny; we wczesnej młodości musiał poradzić sobie z ogromną stratą i bólem, tak więc nie załamywał się łatwo.

Z upływem czasu zdołaliśmy wrócić do dawnych przyzwyczajęń. Udało mi się nawet poczynić pewne postępy w odzyskiwaniu przychylności pani Woods.

- W skali od jeden do dziesięciu, jak blisko jestem całkowitego przebaczenia? - zapytałam Xaviera, gdy szliśmy do szkoły skapaną w porannym słońcu ulicą.

- Dziesięć. Wiem, że moja mama bywa trudna, ale w końcu jak długo można się gniewać? To wszystko należy już do przeszłości.

- Mam nadzieję.

Wziął mnie za rękę.

- Nie musisz się już bać.

- Chyba że znowu wpadnie do nas z wizytą jakiś demon - drażniłam się z nim. - Ale tym nie ma się co przejmować.

- W żadnym razie. Nikt nie będzie psuł nam humoru.

- Nie martwisz się czasami, że on może wrócić, a wtedy wszystko runie jak domek z kart?

- Nie, ponieważ wiem, że my dwoje potrafimy na nowo go poskładać.

- Ty zawsze masz na wszystko gotową odpowiedź. - Uśmiechnęłam się. - Ćwiczysz je w domu?

- Do tego trzeba mieć wrodzony talent. - Puścił do mnie oko.

- Bethie! - Molly dogoniła nas przy wejściu do szkoły.

- Jak ci się podobam?

Obróciła się wokół własnej osi i spostrzegłam, iż przeszła całkowitą przemianę.

Przedłużyła spódniczkę tak, by sięgała poniżej kolan, bluzkę zapiętą miała pod samą szyję, a krawat schludnie zawiązany. Włosy zaplotła w ciasny warkocz i pozbyła się całej biżuterii. Założyła nawet przepisowe podkolanówki.

- Tak przygotowana możesz iść prosto do klasztoru - orzekł Xavier.

- I bardzo dobrze! - Molly wyglądała na zadowoloną.

- Staram się robić wrażenie osoby dojrzałej i odpowiedzialnej.

- Och, Molly - westchnęłam - to chyba nie ma nic wspólnego z Gabrielem?

- A jak myślisz? Po co w takim razie paradowałabym ubrana jak kretyńska?

- Oho - Xavier pokiwał głową - i już leci szóstka za dojrzałość.

- Nie sądzisz, że najlepiej jest być po prostu sobą? - zapytałam.

- Na widok prawdziwej Molly Gabriel mógłby zwiać, gdzie pieprz rośnie - wtrącił Xavier.

- Przestań. - Klepnęłam go lekko w ramię. - Chodzi mi tylko o to, że Gabriel powinien polubić cię taką, jaka jesteś...

- Może i tak - odparła Molly wykrętnie. - Ale ja lubię zmiany, mogę być, kim tylko zechce.

- Kiedy on chce, żebyś była najzwyczajszą Molly.

- Ale ja nie - zaczął Xavier. - Ja bym chciał, żebyś zmieniła się w... - Przerwał ze śmiechem, ponieważ dałam mu kuksańca.

- Mógłbyś się choć trochę postarać.

- Dobrze, już dobrze. Słuchaj, Molly, dziewczyny, które coś udają albo zbyt nachalnie próbują zwrócić na siebie uwagę, są zdecydowanie zniechęcające. Powinnaś trochę wyluzować i przestać się za nim uganiać.

- A nie należy najpierw dać mu do zrozumienia, że mi się podoba? - zapytała Molly.

- Sądzę, że on już o tym wie. - Xavier przewrócił oczami. - Teraz musisz poczekać, aż sam do ciebie przyjdzie. Może zaczniesz spotykać się z kimś innym?

- Po co?

- Sprawdzisz, czy Gabriel jest zazdrosny. To, jak zareaguje na wasz widok, będzie jednoznacznie świadczyło o tym, czy coś do ciebie czuje.

- Dzięki, jesteś super! - rozpromieniła się Molly.

Błyskawicznie rozpuściła włosy, jednym gestem rozpięła górne guziki bluzki, po czym się oddaliła. Udała się zapewne na poszukiwania jakiegoś biedaka, który posłuży jej za rekwizyt w misternym planie mającym na celu zdobycie serca jej brata.

- Nie powinniśmy robić jej nadziei - powiedziałam.
- Nigdy nic nie wiadomo - odparł Xavier. - A nuż okaże się, że jest w typie Gabriela?
- Gabriel nie ma swojego typu - zaśmiałam się. - Poza tym jest już zajęty.
- Ludzie także bywają całkiem ponętni.
- Mnie nie musisz tego mówić. - Stałam na palcach, by pocałować czule płatek jego

ucha.

- Moja droga, a cóż to za zachowanie, w dodatku przed szkołą? - skarcił mnie żartobliwie. -
Ja rozumiem, że trudno mi się oprzeć, ale postaraj się, proszę, opanować.

Rozstaliśmy się zaraz za głównym wejściem. Patrząc, jak Xavier odchodzi, poczułam się tak bezpieczna, jak nie czułam się od długiego czasu. Przez chwilę naprawdę uwierzyłam, że najgorsze mamy już za sobą.

Mylłam się. Powinnam była przewidzieć, iż to nie może skończyć się tak szybko. Gdy tylko Xavier zniknął mi z oczu, z górnego zawiasu mojej szafki wypadł zwitek papieru. Rozwijając go, wiedziałam już, że zaraz zobaczę czarne pismo pełną przez karteczkę niczym pająk. Groza zasnęła wszystko wokół gęstą mgłą, podczas gdy ja widziałam tylko słowa: *Jezioro ognia czeka na ciebie moja Pani*

Podziękowania

Blask jest pierwszym tomem z serii, w którą włożyłam dużo energii i zaangażowania. Nie mogłaby jednak powstać, gdyby nie pomoc następujących osób, którym niniejszym pragnę podziękować: Mojej agentce, Till Grinberg, za entuzjazm i bezgraniczną wiarę.

Mojej mamie za wsparcie oraz brutalną szczerość.

Jean Feiwel, Liz Szabli oraz wszystkim pracownikom wydawnictwa Feiwel and Friends za to, iż poświęcili temu pomysłowi tak dużo czasu i energii.

Lisie Berryman za to, iż służy mi radą, odkąd skończyłam trzynaście lat.

Dyrektorowi mojej szkoły za wyrozumiałość okazywaną młodym ludziom oraz ich marzeniom.

Specjalne podziękowania należą się także Matthew DeFiny (Moo-Moo) za jego nieoceniony wgląd w męską psychikę, za przemyślane odpowiedzi na moje niekończące się pytania oraz za to, że potrafił mnie rozbawić, gdy robiło się naprawdę ciężko.

